

Prestigio



Henryk Sienkiewicz

Quo vadis

ebook.prestigioplaza.com

ROZDZIAŁ I.

Petroniusz obudził się zaledwie koło południa i, jak zwykle, zmęczony bardzo. Poprzedniego dnia był na uczcie u Nerona, która przeciągnęła się do późna w noc. Od pewnego czasu zdrowie jego zaczęło się psuć. Sam mówił, że rankami budzi się jakby zdrętwiały i bez możliwości zebrania myśli. Ale poranna kąpiel i staranne wygniatanie ciała przez wprawionych do tego niewolników, przyspieszało stopniowo obieg jego leniwej krwi, rozbudzało go, cucilo, wracało mu siły, tak że z oleotekium, to jest z ostatniego kąpielowego przedziału, wychodził jeszcze jakby wskrzeszony, z oczyma błyszczącymi dowcipem i wesołością, odmłodzon, pełen życia, wykwinny, tak niedościgniony, że sam Otho nie mógł się z nim porównać — i prawdziwy, jak go nazywano: „arbiter elegantiarum“. W łaźniach publicznych bywał rzadko: chyba że zdarzył się jakiś budzący podziw retor, o którym mówiono w mieście, lub gdy w ephebiach odbywały się wyjątkowo zajmujące zapasy. Zresztą miał w swej „insuli“ własne kąpiele, które słynny współnik Severusa, Celler, rozszerzył mu, przebudował i urządził z tak nadzwyczajnym smakiem, iż sam Nero przyznawał im wyższość nad cezarykańskimi, chociaż cezarykańskie były obszerniejsze i urządzone z nierównie większym przepychem. Po owej więc uczcie, na której znudziwszy się błaznowaniem Vatiniusza brał wraz z Neronem, Lukanem, i Seneciem udział w diatrybie, czy kobieta ma duszę — wstawszy późno, zażywał, jak zwykle, kąpiele. Dwaj ogromni balneatorzy złożyli go właśnie na cyprysowej „mensie“ pokrytej śnieżnym egipskim bysem — i dłońmi maczanymi w wonnej oliwie poczęli nacierać jego kształtne ciało — on zaś z zamkniętymi oczyma czekał aż ciepło laconicum i ciepło ich rąk przejdzie w niego i usunie zeń znużenie. Lecz po pewnym czasie przemówił — i, otworzywszy oczy, jał rozpytywać o pogodę, a następnie o gemmy, które jubiler Idomen obiecał mu przysłać na dzień dzisiejszy do obejrzenia... Pokazało się, że pogoda jest piękna, połączona z lekkim powiewem od gór Albańskich, i że gemmy nie przyszły. Petroniusz znów przymknął oczy i wydał rozkaz, by przeniesiono go do tepidarium, gdy wtem, z poza kotary, wychylił się „nomenclator“, oznajmiając, że młody Marcus Viniciusz, przybyły świeżo z Azyi Mniejszej, przyszedł go odwiedzić. Petroniusz kazał wpuścić gościa do tepidarium, dokąd i sam się przeniósł. Viniciusz był synem jego starszej siostry, która przed laty wyszła za Marca Viniciusza, męża konsularnego z czasów tyberyuszowych. Młody służył obecnie pod Korbulonem przeciw Partom i po ukończonej wojnie wracał do miasta. Petroniusz miał do niego pewną słabość, graniczącą z przywiązaniem, albowiem Marcus był pięknym i atletycznym młodzieńcem, a zarazem umiał zachowywać pewną estetyczną miarę w zepsuciu, co Petroniusz cenił nad wszystko. — Pozdrowienie Petroniuszowi — rzekł młody człowiek, wchodząc sprężystym krokiem do tepidarium; — niech wszyscy bogowie darzą cię pomyślnością, a zwłaszcza Asklepios i Kiprida, albowiem pod ich podwójną opieką, nic złego spotkać cię nie może. — Witaj w Rzymie i niech ci odpoczynek będzie słodki po wojnie — odrzekł Petroniusz, wyciągając rękę z pomiędzy fałd miękkiej karbassowej tkaniny, w którą był obwinięty — co słysząc w Armenii i czy, bawiąc w Azyi, nie zawadziłeś o Bithynię? Petroniusz był niegdyś rządcą Bithynii, i co większa, rządził nią sprężysto i sprawiedliwie. Stanowiło to dziwną sprzeczność z charakterem człowieka słynnego ze swej zniewieściałości i zamiłowania do rozkoszy — dlatego lubił wspominać te czasy, albowiem stanowiły one dowód, czemby być mógł i umiał, gdyby mu się podobało. — Zdarzyło mi się być w Heraklei — odrzekł Viniciusz. — Wysłał mnie tam Korbolo z rozkazem ściągnięcia posiłków. — Ach, Heraklea! znałem tam jedną dziewczynę z Kolchidy, za którą oddałbym wszystkie tutejsze rozwódki, nie wyłączając Poppei. Ale to dawne dzieje. Mów raczej co słysząc od ściany parthyjskiej. Nudzą mnie wprawdzie te wszystkie Vologesy, Tirydaty, Tigranesy i cała ta barbaria, która, jak twierdzi młody Arulanus, chodzi u siebie w domu jeszcze na czworakach, a tylko wobec nas udaje ludzi. Ale teraz dużo się o nich mówi w Rzymie, choćby dlatego, że niebezpiecznie mówić

o czym innym. — Ta wojna źle idzie i gdyby nie Korbulo, mogłaby się zmienić w klęskę. — Korbulo! na Baccha! prawdziwy to bożek wojny, istny Mars: wielki wódz, a zarazem zapalczywy, prawy i głupi. Lubię go, choćby dlatego, że Nero go się boi. — Korbulo nie jest człowiekiem głupim. — Może masz słuszość, a zresztą wszystko to jedno. Głupota, jak powiada Pyrron, w niczem nie jest gorsza od mądrości, i w niczem się od niej nie różni. Viniciusz począł opowiadać o wojnie, lecz gdy Petroniusz przymknął powieki, młody człowiek, widząc jego znużoną, i nieco wychudłą, twarz, zmienił przedmiot rozmowy i jął wypytywać go z pewną troskliwością o zdrowie. Petroniusz otworzył znów oczy. Zdrowie!... Nie. On nie czuł się zdrow. Nie doszedł jeszcze wprawdzie do tego, do czego doszedł młody Sissena, który stracił do tego stopnia czucie, że gdy go przynoszono rano do łaźni, pytał: „czy ja siedzę?” — Ale nie był zdrow. Viniciusz oddał go oto pod opiekę Asklepiosa i Kipridy. Ale on, Petroniusz, nie wierzy w Asklepiosa. Niewiadomo nawet, czyim był synem ten Asklepios, czy Arsinoe czy Koronidy, a gdy matka niepewna, cóż dopiero mówić o ojcu. Kto teraz może ręczyć nawet za swego własnego ojca! Tu Petroniusz począł się śmiać, poczem mówił dalej: — Posłałem wprawdzie dwa lata temu do Epidaurus trzy tuziny żywych paszkotów i kubek złota, ale wiesz dlaczego: oto powiedziałem sobie: pomoże, nie pomoże, ale nie zaszkodzi. Jeśli ludzie składają jeszcze na świecie ofiary bogom, to jednak myślę, że wszyscy rozumują tak jak ja. Wszyscy! z wyjątkiem może mulników, którzy najmują się podróżnym przy porta Kapena. Prócz Asklepiosa, miałem także do czynienia i z Asklepiadami, gdy zeszłego roku chorował trochę na pęcherz. Odprawiali za mnie inkubację. Wiedziałem, że to oszuści, ale również mówiłem sobie: co mi to szkodzi! Świat stoi na oszustwie, a życie jest złudzeniem. Dusza jest także złudzeniem. Trzeba mieć jednak tyle rozumu, by umieć rozróżniać złudzenia rozkoszne od przykrych. W mojem hypocaustum każę palić cedrowem drzewem posypywanem ambrawą, bo wolę w życiu zapachy od zaduchów. Co do Kipridy, której mnie także poleciłeś, doznałem jej opieki o tyle, że mam strzykanie w prawej nodze. Ale zresztą to dobra bogini! Przypuszczam, że i ty także poniesiesz teraz prędzej czy później białe gołębie na jej ołtarz. — Tak jest — rzekł Viniciusz. — Nie dosięgnęły mnie strzały Partów, ale trafił mnie grot Amora... najniespodzianie, o kilka stadiów od bramy miasta. — Na białe kolana Charytek! opowiesz mi to wolnym czasem — rzekł Petroniusz. — Właśnie przyszedłem zasięgnąć twej rady — odpowiedział Marcus. Lecz w tej chwili weszli epilatorowie, którzy zajęli się Petroniuszem, Marcus zaś, zrzuciwszy tunikę, wstąpił do wanny z letnią wodą, albowiem Petroniusz zaprosił go do kąpieli. — Ach, nie pytam nawet czy masz wzajemność — odrzekł Petroniusz, spoglądając na młode, jakby wykute z marmuru, ciało Viniciusza. Gdyby Lizipp był cię widział, zdołałbyś teraz bramę wiodącą do Palatynu, jako posąg Herkulesa w młodzieńczym wieku. Młody człowiek uśmiechnął się z zadowoleniem i począł zanurzać się w wannie, wychlustywając przytem obficie ciepłą wodę na mozaikę, przedstawiającą Herę w chwili, gdy prosi Sen o uspienie Zeusa. Petroniusz patrzył na niego zadowolonym okiem artysty. Lecz gdy skończył i oddał się z kolei epilatorom, wszedł „lector“ z puszką brązową na brzuchu i zwojami papieru w puszcze. — Czy chcesz posłuchać? — spytał Petroniusz. — Jeśli to twój utwór, chętnie! — odpowiedział Viniciusz — ale jeśli nie, wolę rozmawiać. Poeci łapią dziś ludzi na wszystkich rogach ulic. — A jakże. Nie przejdiesz koło żadnej bazyliki, koło termów, koło biblioteki lub księgarni, żebyś nie ujrzał poety giestykulującego jak małpa. Agryppa, gdy tu przyjechał ze Wschodu, wziął ich za opętanych. Ale to teraz takie czasy. Cezar pisuje wiersze, więc wszyscy idą w jego ślady. Niewolno tylko pisywać wierszy lepszych od Cezara i z tego powodu boję się trochę o Lukana... Ale ja pisuję prozą, którą jednak nie częstuję ani samego siebie, ani innych. To co lector miał czytać, to są „codicilli“, tego biednego Fabriciusa Veienta. — Dlaczego „biednego?“ — Bo mu powiedziano, żeby zabawił się w Odyssa i nie wracał do domowych pieleszy, aż do nowego rozporządzenia. Ta Odysea o tyle mu

będzie lżejszą, niż Odysseuszowi, że żona jego nie jest Penelopą. Nie potrzebuję ci zresztą mówić, że postąpiono głupio. Ale tu nikt inaczej rzeczy nie bierze, jak po wierzchu. To dość licha i nudna książka, którą zaczęto namiętnie czytać dopiero wówczas, gdy autor został wygnany. Teraz słyhać na wszystkie strony: „scandale! scandale!“ i być może, że niektóre rzeczy Veiento wymyślał, ale ja, który znam miasto, znam naszych patres i nasze kobiety, upewniam cię, iż to wszystko bledsze, niż rzeczywistość. Swoją drogą, każdy szuka tam obecnie — siebie z obawą, a znajomych z przyjemnością. W księgarni Avirunusa stu skrybów przepisuje książkę za dyktandem — i powodzenie jej zapewnione. — Twoich sprawek tam niema? — Są, ale autor chybił, albowiem jestem zarazem i gorszy i mniej płaski, niż mnie przedstawił. Widzisz, my tu dawno zatraciliśmy poczucie tego, co jest godziwe lub niegodziwe, i mnie samemu wydaje się, że tak naprawdę, to tej różnicy niema, chociaż Seneca, Musonius i Trasea udają, że ją widzą. Mnie to wszystko jedno! na Herkulesa, mówię, jak myślę! Ale zachowałem tę wyższość, że wiem, co jest szpetne, a co piękne, a tego na przykład nasz miedzianobrody poeta, furman, śpiewak, tancerz i histrio — nie rozumie. — Żal mi jednak Fabriciusa! To dobry towarzysz. — Zgubiła go miłość własna. Każdy go podejrzewał, nikt dobrze nie wiedział, ale on sam nie mógł wytrzymać i na wszystkie strony rozgadywał pod sekretem. Czy ty słyzałeś historię Ruffinusa? — Nie. — To przejdźmy do frigidarium, gdzie wychłodniemy i gdzie ci ją opowiem. Przeszli do frigidarium, na środku którego biła fontanna, zabarwiona na kolor jasno-różowy i roznosząca woń fijołków. Tam siadłszy w niszach, wysłanych jedwabiem, poczęli się ochładzać. Przez chwilę panowało milczenie. Viniciusz patrzył czas jakiś w zamyśleniu na brązowego Fauna, który, przegiąwszy sobie przez ramię nimfę, szukał chciwie ustami jej ust, poczem rzekł: — Ten ma słuszość. Oto co jest w życiu najlepsze. — Mniej więcej! Ale ty prócz tego kochasz wojnę, której ja nie lubię, albowiem pod namiotami paznogcie pękają i przestają być różowe. Zresztą każdy ma swoje zamiłowania. Miedzianobrody lubi śpiew, zwłaszcza swój własny, a stary Scaurus swoją wagę koryncką, która w nocy stoi przy jego łożu i którą całuje, jeśli nie może spać. Wycalaował już jej brzegi. Powiedz mi, czy ty nie pisujesz wierszy? — Nie. Nie złożyłem nigdy całego heksametru. — A nie grywasz na lutni i nie śpiewasz? — Nie. — A nie powozisz? — Ściagałem się swego czasu w Antiochii, ale bez powodzenia. — Tedy jestem o ciebie spokojny. A do jakiego stronnictwa należysz w hipodromie? — Do Zielonych. — Tedy jestem zupełnie spokojny, zwłaszcza, że posiadasz wprawdzie duży majątek, ale nie jesteś tak bogaty, jak Pallas albo Seneca. Bo widzisz, u nas teraz dobrze jest pisać wiersze, śpiewać przy lutni, deklamować i ściagać się w cyrku, ale jeszcze lepiej, a zwłaszcza bezpieczniej jest nie pisywać wierszy, nie grać, nie śpiewać i nie ściagać się w cyrku. Najlepiej zaś jest umieć podziwiać, gdy to czyni Miedzianobrody. Jesteś pięknym chłopcem, więc ci to chyba może grozić, że Poppea zakocha się w tobie. Ale ona zbyt na to doświadczona. Miłości zażyła dość przy dwóch pierwszych mężach, a przy trzecim chodzi jej o co innego. Czy wiesz, że ten głupi Otho kocha ją dotąd do szaleństwa... Chodzi tam po skałach Hiszpanii i wzdycha, tak zaś stracił dawne przyzwyczajenia i tak przestał dbać o siebie, że na układanie fryzury wystarcza mu teraz trzy godziny dziennie. Ktoby się tego spodziewał, zwłaszcza po Othonie. — Ja go rozumiem — odrzekł Viniciusz. — Ale na jego miejscu robiłbym co innego. — Co mianowicie? — Tworzyłbym wierne sobie legie z tamtejszych górali. To tędzy żołnierze, ci Iberowie. — Viniciuszu! Viniciuszu! Chce mi się prawie powiedzieć, że nie byłbyś do tego zdolny. A wiesz dlaczego? Oto takie rzeczy się robi, ale się o nich nie mówi nawet warunkowo. Co do mnie, śmiałybym się na jego miejscu z Poppei, śmiałybym się z Miedzianobrodego i formowałbym sobie legie, ale nie z Iberów, tylko z Iberek. Co najwyżej, pisałbym epigramata, którychbym zresztą nie odczytywał nikomu, jak ten biedny Ruffinus. — Miałeś mi opowiedzieć jego historię. — Opowiem ci ją w unctuarium. Ale w unctuarium uwaga Viniciusza zwróciła się na co innego, mianowicie na

cudne niewolnice, które czekały tam na kąpiących się. Dwie z nich, Murzynki, podobne do wspaniałych posągów z hebanu, poczęły maścić ich ciała delikatnymi woniami Arabii, inne, biegle w czesaniu Frygijki, trzymały w rękach miękkich i giętkich, jak węże, polerowane stalowe zwierciadła i grzebienie, dwie zaś, wprost do bóstw podobne greckie dziewczyny z Cos, czekały jako „vestiplicae“, aż przyjdzie chwila posągowego układania fałd na togach panów. — Na Zeusa Chmurozbiórcę! — rzekł Marcus Viniciusz — jaki ty masz u siebie wybór! — Wolę wybór, niż liczbę — odpowiedział Petroniusz. — Cała moja „familia“ w Rzymie nie przenosi czterystu głów i sądzę, że do osobistej posługi chyba dorobkowicze potrzebują większej ilości ludzi. — Piękniejszych ciał nawet i Miedzianobrody nie posiada — mówił, rozdymając nozdrza, Viniciusz. Na to Petronius odrzekł z pewną przyjazną niedbałością: — Jesteś moim krewnym, a ja nie jestem ani tak nieużyty jak Bassus, ani taki pedant, jak Aulus Plautiusz. Lecz Viniciusz usłyszawszy to ostatnie imię, zapomniał na chwilę o dziewczynach z Cos i, podniósłszy żywo głowę, spytał: — Skąd ci przyszedł na myśl Aulus Plautiusz? Czy wiesz, że ja, wybiwszy rękę pod miastem, spędziłem kilkanaście dni w ich domu. Zdarzyło się, że Plautiusz nadjechał w chwili wypadku i widząc, że cierpię bardzo, zabrał mnie do siebie, tam zaś niewolnik jego, lekarz Merion, przyprowadził mnie do zdrowia. O tem właśnie chciałem z tobą mówić. — Dlaczego? Czy nie zakochałeś się wypadkiem w Pomponii? W takim razie żal mi cię: niemłoda i cnotliwa! Nie umiem sobie wyobrazić gorszego nad to połączenia. Brr! — Nie w Pomponii — eheu! — rzekł Viniciusz. — Zatem w kim? — Gdybym ja sam wiedział w kim? Ale ja nie wiem nawet dobrze, jak jej imię: Lygia czy Callina? Nazywają ją w domu Lygią, gdyż pochodzi z narodu Lygiów, a ma swoje barbarzyńskie imię: Callina. Dziwny to dom tych Plautiuszów. Rojno w nim, a cicho, jak w gajach w Subiacum. Przez kilkanaście dni nie wiedziałem, że mieszka w nim bóstwo. Aż raz o świcie zobaczyłem ją myjącą się w ogrodowej fontannie. I przysięgam ci na tę pianę, z której powstała Afrodyta, że promienie zorzy przechodziły na wylot przez jej ciało. Myślałem, że gdy słońce zejdzie, ona rozplynie mi się w świetle, jak rozplywa się jutrzienka. Od tej pory widziałem ją dwukrotnie i od tej pory również nie wiem co spokój, nie wiem co inne pragnienia, nie chcę wiedzieć, co może mi dać miasto, nie chcę kobiet, nie chcę złota, nie chcę korynckiej miedzi, ani bursztynu, ani perłowca, ani wina, ani uczt, tylko chcę Lygii. Mówię ci szczerze, Petroniuszu, że tęsknię za nią, jak tęsknił ten Sen, wyobrażony na mozaice w twoim tepidarium za Paisytheją, tęsknię po całych dniach i nocach. — Jeśli to niewolnica, to ją odkup. — Ona nie jest niewolnicą. — Czem-że jest? Wyzwolenicą Plautiusza? — Nie będąc nigdy niewolnicą, nie mogła być wyzwolona. — Więc? — Nie wiem: córką królewską, lub czemś podobnem. — Zaciekawiasz mnie, Viniciuszu. — Lecz jeśli zechcesz mnie posłuchać, zaraz zaspokoję twoją ciekawość. Historia nie jest zbyt długa. Ty może osobiście znałeś Vanniusza, króla Swewów, który, wypędzony z kraju, długi czas przesiadywał tu w Rzymie, a nawet wślawił się szczęśliwą grą w kości i dobrem powożeniem. Cezar Drusus wprowadził go znów na tron. Vanniusz, który był w istocie rzeczy tęgim człowiekiem, rządził z początku dobrze i prowadził szczęśliwe wojny, później jednak począł nadto łupić ze skóry, nietylko sąsiadów, ale i własnych Swewów. Wówczas Vangio i Sido, dwaj jego siostrzeńcy, a synowie Vibiliusza, króla Hermandurów, postanowili zmusić go, by znów pojechał do Rzymu... próbować szczęścia w kości. — Pamiętam, to Klaudiuszowe, niedawne czasy. — Tak! Wybuchła wojna. Vanniusz wezwał na pomoc Jazygów, jego zaś mili siostrzeńcy Lygiów, którzy, zasłyszawszy o bogactwach Vanniusza i zwabieni nadzieją łupów, przybyli w takiej liczbie, iż sam cesarz Claudiusz począł obawiać się o spokój granicy. Claudiusz nie chciał mieszać się w wojny barbarzyńców, napisał jednak do Ateliusa Histera, który dowodził legią naddunajską, by zwracał pilne oko na przebieg wojny i nie pozwolił zamącić naszego pokoju. Hister zażądał wówczas od Lygiów, by przyrzekli, iż nie przekroczą granicy, na co nietylko zgodzili się, ale dali

zakładników, między którymi znajdowała się żona i córka ich wodza... Wiadomo ci, że barbarzyńcy wyciągają na wojny z żonami i dziećmi... Otóż moja Lygia jest córką owego wodza. — Skąd to wszystko wiesz? — Mówił mi to sam Aulus Plautiusz. Lygiowie nie przekroczyli istotnie wówczas granicy, ale barbarzyńcy przychodzą jak burza i uciekają jak burza. Tak znikli i Lygiowie, razem ze swymi turzymi rogami na głowach. Zbili vanniuszowych Swewów i Jazygów, ale król ich poległ, zaczęli odeszli z łupami, a zakładniczki zostały w ręku Histera. Matka wkrótce umarła, dziecko zaś Hister, nie wiedząc co z niem robić, odesłał do rządcy całej Germanii, Pomponiusza. Ow, po ukończeniu wojny z Kattami, wrócił do Rzymu, gdzie Claudiusz, jak wiesz, pozwolił mu odprawić tryumf. Dziewczyna szła wówczas za wozem zwycięzcy, ale po skończonej uroczystości, ponieważ zakładniczki nie można było uważać za brankę, z kolei i Pomponiusz nie wiedział co z nią zrobić, a wreszcie oddał ją swej siostrze, Pomponii Graecinie, żonie Plautiusza. W tym domu, gdzie wszystko, począwszy od panów, a skończywszy na drobiu w kurniku, jest cnotliwe, wyrosła na dziewicę, niestety, tak cnotliwą, jak sama Graecina, a tak piękną, że nawet Poppea wyglądałaby przy niej, jak jesienna figa przy jabłku hysperyjskim. — I co? — I powtarzam ci, że od chwili, gdy widziałem, jak promienie przechodziły przy fontannie nawskróś przez jej ciało, zakochałem się bez pamięci. — Jest więc tak przezroczysta, jak lampryska, albo jak młoda sardynka? — Nie żartuj Petroniuszu, a jeśli cię ludzi swoboda, z jaką ja sam o mojej żądzy mówię, wiedz o tem, że jaskrawa suknia częstokroć głębokie rany pokrywa. Muszę ci też powiedzieć, że wracając z Azyi, przespałem jedną noc w świątyni Mopsusa, aby mieć sen wróżebny. Otóż we śnie pojawił mi się sam Mopsus i zapowiedział, że w życiu mojem nastąpi wielka przemiana przez miłość. — Słyszałem, jak Pliniusz mówił, że nie wierzy w bogów, ale wierzy w sny, i być może, że ma słuszość. Moje żarty nie przeszkadzają mi też myśleć czasem, że naprawdę jest tylko jedno bóstwo, odwieczne, wszechwładne, twórcze, Venus Genitrix. Ona skupia dusze, skupia ciała i rzeczy. Eros wywołał świat z chaosu. Czy dobrze uczynił, to inna rzecz, ale gdy tak jest, musimy uznać jego potęgę, choć wolno jej nie błogosławić... — Ach, Petroniuszu! Łatwiej na świecie o filozofię, niż o dobrą radę. — Powiedz mi, czego ty właściwie chcesz? — Chcę mieć Lygię. Chcę, by te moje ramiona, które obejmują teraz tylko powietrze, mogły objąć ją i przycisnąć do piersi. Chcę oddychać jej tchnieniem. Gdyby była niewolnicą, dałbym za nią Aulusowi sto dziewcząt z nogami pobielonemi wapnem, na znak, że je pierwszy raz wystawiono na sprzedaż. Chcę ją mieć w domu moim dopóty, dopóki głowa moja nie będzie tak białą, jak szczyt Soracte w zimie. — Ona nie jest niewolnicą, ale ostatecznie należy do „familii“ Plautiusza, a ponieważ jest dzieckiem opuszczonem, może być uważana jako „alumna“. Plautiusz mógłby ci ją odstąpić, gdyby chciał. — To chyba nie znasz Pomponii Graeciny. Zresztą oboje przywiązali się do niej, jak do własnego dziecka. — Pomponię znam. Istny cyprys. Gdyby nie była żoną Aulusa, możnaby ją wynajmować jako płaczkę. Od śmierci Julii nie zrzuciła ciemnej stoli i wogóle wygląda, jakby za życia jeszcze chodziła po łące, poroślej asfodelami. Jest przy tem „univira“, a więc między naszymi cztero i pięciokrotnymi rozwódkami jest zarazem feniksem... Ale!... czy słyszałeś, że feniks jakoby naprawdę wylął się teraz w górnym Egipcie, co mu się zdarza nie częściej, jak raz na pięćset lat? — Petroniuszu! Petroniuszu! o feniksie pogadamy kiedyindziej. — Cóż ja ci powiem, mój Marku. Znam Aulusa Plautiusza, który, lubo nagania mój sposób życia, ma do mnie pewną słabość, a może nawet szanuje mnie więcej od innych, wie bowiem, że nie byłem nigdy donosicielem, jak naprzykład Domitius Afer, Tigellinus i cała zgraja przyjaciół Ahenobarba. Nie udając przytem stoika, krzywiłem się jednak nieraz na takie postęпки Nerona, na które Seneca i Burrhus patrzyli przez szpary. Jeśli sądzisz, że mogę coś dla ciebie u Aulusa wyjednać, — jestem na twoje usługi. — Sądzę, że możesz. Ty masz na niego wpływ, a przytem umysł twój posiada niewyczerpane sposoby. Gdybyś się rozejrzał w położeniu i pomówił z Plautiuszem... — Zbytnie masz pojęcie o moim wpływie i o

dowcipie, ale jeśli tylko o to chodzi, pomówię z Plautiuszem, jak tylko przeniosą się do miasta. — Oni wrócili dwa dni temu. — W takim razie pójdźmy do triclinium, gdzie czeka na nas śniadanie, a następnie, nabrawszy sił, każemy się zanieść do Plautiusza. — Zawsześ mi był miły — odrzekł na to z żywością Viniciusz — ale teraz każę chyba ustawić wśród moich larów twój posąg — ot, taki piękny, jak ten — i będę mu składał ofiary. To rzekłszy, zwrócił się w stronę posągów, które zdobiły całą jedną ścianę wonnej świetlicy, i wskazał ręką na posąg Petroniusza, przedstawiający go jako Hermesa, z posochem w dłoni. Poczem dodał: — Na światło Heliosa! Jeśli „boski“ Aleksander był do ciebie podobny, — nie dziwić się Helenie. I w okrzyku tym było tyleż szczerości, ile pochlebstwa, Petroniusz bowiem, lubo starszy i mniej atletyczny, piękniejszy był nawet od Viniciusza. Kobiety w Rzymie podziwiałały nietylko jego giętki umysł i smak, który mu zjednał nazwę arbitra elegancyi, — ale i ciało. Podziw ów znać było nawet na twarzach owych dziewcząt z Cos, które układały teraz fałdy jego togi, a z których jedna, imieniem Eunice, skrycie go kochająca, patrzyła mu w oczy z pokorą i zachwytem. Lecz on nie zwrócił nawet na to uwagi, jeno, uśmiechnąwszy się do Viciniusza, począł cytować mu w odpowiedzi wyrażenie Seneki o kobietach: — Animal impudens... etc. A następnie, otoczywszy ręką jego ramiona, wyprowadził go do triclinium. W unctuarium dwie greckie dziewczyny, Frygijki i dwie Murzynki poczęły uprzętać epilichnia z woniami. Lecz w tejże chwili z po za uchylonej kotary od frigidarium ukazały się głowy balneatorów i rozległo się ciche: „psst!“ — a na to wezwanie jedna z Greczynek, Frygijki i dwie Etyopki, poskoczywszy żywo, znikły w mgnieniu oka za kotarą. W termach rozpoczynała się chwila swawoli i rozpusty, której inspektor nie przeszkadzał, albowiem sam częstokroć brał w podobnych hulankach udział. Domyślał się ich zresztą i Petroniusz, ale jako człowiek wyrozumiały i nie lubiący karać, patrzył na nie przez szpary. W unctuarium pozostała tylko Eunice. Czas jakiś nasłuchiwała oddalających się w kierunku laconicum głosów i śmiechów, wreszcie, uniosłszy wykładany bursztyнем i kością słoniową stołek, na którym przed chwilą siedział Petroniusz, przysunęła go ostrożnie do jego posągu. Unctuarium pełne było słonecznego światła i kolorów, bijących od tęczyowych marmurów, którymi wyłożone były ściany. Eunice wstąpiła na stołek — i, znalazłszy się na wysokości posągu, nagle zarzuciła mu na szyję ramiona, — poczem, odrzuciwszy w tył swe złote włosy i tuląc różowe ciało do białego marmuru, poczęła przyciskać w uniesieniu usta do zimnych warg Petroniusza.

ROZDZIAŁ II.

Po posiłku, który zwał się śniadaniem, a do którego dwaj towarzysze zasiedli wówczas, gdy zwykli śmiertelni byli już dawno po południowem prandium, Petroniusz zaproponował lekką drzemkę. Według niego pora była jeszcze zawczesna na odwiedziny. Są wprawdzie ludzie, którzy poczynają odwiedzać znajomych o wschodzie słońca, uważając w dodatku zwyczaj ten za stary, rzymski. Ale on, Petroniusz, uważa go za barbarzyński. Godziny popołudniowe są najwłaściwsze, nie wcześniej jednak, zanim słońce nie przejdzie w stronę świątyni Jowisza Kapitolijnskiego i nie pocznie patrzeć z ukosa na Forum. Jesienią bywa jeszcze gorąco i ludzie radzi śpią po jedzeniu. Tymczasem miło jest posłuchać szumu fontanny w atrium i po obowiązkowym tysiącu kroków, zdrzemnąć się w czerwonym świetle, precedzonym przez purpurowe, nawpół zaciągnięte velarium. Viniciusz uznał słuszność jego słów i poczęli się przechadzać, rozmawiając w sposób niedbały o tem, co słyhać na Palatynie i w mieście, a potrochu filozofując nad życiem. Poczem Petroniusz udał się do cubiculum, lecz nie spał długo. Po upływie pół godziny wyszedł i, kazawszy sobie przynieść werweny, poczęł ją wachać i nacierać sobie nią ręce i skronie. — Nie uwierzysz — rzekł — jak to ożywia i otrzeźwia. Teraz jestem gotów. Lektyka czekała już oddawna, więc wsiedli i kazali się ponieść na Vicus Patricius, do domu Aulusa. „Insula“ Petroniusza leżała na południowym stoku Palatynu około tak

zwanych Carinae, najkrótsza więc droga wypadła im poniżej Forum, lecz, ponieważ Petroniusz chciał zarazem wstąpić do złotnika, Idomena, wydał przeto polecenie, by niesiono ich przez Vicus Apollinis i Forum, w stronę Vicus Sceleratus, na rogu którego pełno było wszelkiego rodzaju tabern. Olbrzymi Murzyni podnieśli lektykę i ruszyli, poprzedzani przez niewolnikow, zwanych pedisequii. Petroniusz przez czas jakiś podnosił w milczeniu swe dłonie, pachnące werweną, ku nozdrzom i zdawał się nad czemś namyślać, po chwili zaś rzekł: — Przychodzi mi do głowy, że jeśli twoja leśna boginka nie jest niewolnicą, tedy mogłaby porzucić dom Plautiuszów, a przenieść się do twego. Otoczyłbyś ją miłością i obsypał bogactwy, tak jak ja moją ubóstwioną Chryzotemis, której, mówiąc między nami, mam przynajmniej o tyle dosyć, o ile ona mnie. Marcus potrząsnął głową. — Nie? — pytał Petroniusz. — W najgorszym razie sprawa oparłaby się o cezara, a możesz być pewny, że, choćby dzięki moim wpływom, nasz Miedzianobrody byłby po twojej stronie. — Nie znasz Lygii! — odparł Viniciusz. — To pozwól-że się zapytać, czy ty ją znasz — inaczej, jak z widzenia? Mówił-żeś z nią? wyznał-żeś jej swą miłość? — Widziałem ją naprzód przy fontannie, a potem spotkałem ją dwukrotnie. Pamiętaj, że podczas pobytu w domu Aulusów mieszkałem w bocznej willi, przeznaczonej dla gości — i, mając wybitą rękę, nie mogłem zasiadać do wspólnego stołu. Dopiero w wigilię dnia, na który zapowiedziałem swój odjazd, spotkałem Lygię przy wieczerzy — i nie mogłem słowa do niej przemówić. Musiałem słuchać Aulusa i jego opowiadań o zwycięstwach, jakie odniósł w Brytanii, a następnie o upadku małych gospodarstw w Italii, któremu jeszcze Licinius Stolo starał się zapobiedz. W ogóle nie wiem, czy Aulus potrafi mówić o czem innem, i nie mniemaj, że zdołamy się od tego wykręcić, chyba, że zechcesz słuchać o zniewieściałości czasów dzisiejszych. Oni tam mają bażanty w kurnikach, ale ich nie jedzą, wychodząc z zasady, że każdy zjedzony bażant przybliża koniec potęgi rzymskiej. Drugi raz spotkałem ją koło ogrodowej cysterny, ze świeżo wyrwaną trzcina w rękę, którą zanurzała kiścią w wodzie i skrapiała rosnące wokoło irysy. Spójrz na moje kolana. Na tarczę Herakła, mówię ci, że nie drżały, gdy nasze maniple szły z wyciem chmury Partów, ale drżały przy owej cysternie. I, zmieszany, jak pacholę, które nosi jeszcze bullę na szyi, oczyma tylko zebrałem litości, długo nie mogąc słowa przemówić. Petroniusz spojrział na niego jakby z pewną zazdrością. — Szczęśliwy! — rzekł — choćby świat i życie były jak najgorsze, jedno w nich zostanie wieczne dobro — młodość! Po chwili zaś spytał: — I nie przemówiłeś do niej? — Owszem. Oprzytomniawszy nieco, rzekłem, że wracam z Azji, że wybił rękę pod miastem i cierpiałem srodze, ale w chwili, gdy mi przychodzi porzucić ten dom gościnny, widzę, że cierpienie w nim więcej jest warte, niż gdzieindziej rozkosz, — choroba więcej, niż gdzieindziej zdrowie. Ona słuchała słów moich także zmieszana i ze schyloną głową, kreśląc coś trzcina na szafrannym piasku. Poczem podniosła oczy, raz jeszcze spojrziała na owe skreślone znaki, raz jeszcze na mnie, jakby chcąc o coś spytać — i nagle uciekła, jak hamadriada przed głupowatym faunem. — Musi mieć piękne oczy. — Jak morze, — i utonąłem w nich też jak w morzu. Wierz mi, że Archipelag mniej jest błękitny. Po chwili przybiegł mały Plautiusz i począł o coś pytać. Ale ja nie rozumiałem, o co mu chodzi. — O Athene! — zawołał Petroniusz — zdejm temu chłopcu opaskę z oczu, którą nawiązał Eros, bo inaczej rozbije sobie głowę o kolumnę świątyni Venus. Poczem zwrócił się do Viniciusza: — O, ty wiosenny pączku na drzewie życia, ty pierwsza zielona gałązko winogrodu. Powinienbym, zamiast do Plautiuszów, kazać cię zanieść do domu Gelociusa, gdzie jest szkoła dla nieświadomych życia chłopców. — Czego ty właściwie chcesz? — A co skreśliła na piasku? Czy nie imię Amora, czy nie serce przeszyte jego grotem, lub nie coś takiego, z czego mógłbyś poznać, że Satyry szeptały już tej nimfie do ucha różne tajemnice życia? Jak można było nie spojrzeć na te znaki. — Dawniej widziałem toę, niż myślisz — rzekł Viniciusz — i zanim nadbiegł mały Aulus, patrzyłem pilnie na te znaki. Wszakże wiem, że i w Grecyi i w Rzymie nieraz dziewczęta kreślą na piasku wyznania,

których nie chcą wymówić ich usta... Ale zgadnij, co nakreśliła? — Jeśli co innego, niż przypuszczałem, to nie zgadnę. — Rybę. — Jak powiadasz? — Powiadam: rybę. Czy miało to znaczyć, że w żyłach jej zimna dotąd krew płynie? — nie wiem! Ale ty, któryś mnie nazwał wiosennem pąkowiec na drzewie życia — zapewne potrafisz lepiej ten znak zrozumieć? — Carissime! o taką rzecz spytaj Pliniusza. On się zna na rybach. Gdyby stary Apiciusz żył jeszcze, możeby ci także umiał coś o tem powiedzieć, albowiem zjadł w ciągu życia więcej ryb, niż może ich odrazu pomieścić zatoka Neapolitańska. Lecz dalsza rozmowa urwała się, wniesiono ich bowiem na rojne ulice, na których przeszkadzał jej gwar ludzki. Przez Vicus Apollinis skręcili na Forum Romanum, gdzie w dniu pogodne, przed zachodem słońca, gromadziły się tłumy próżniaczej ludności, by przechadzać się wśród kolumn, opowiadać nowiny i słuchać ich, widzieć przenoszone lektyki ze znakomitymi ludźmi, a wreszcie zaglądać do sklepów złotniczych, do księgarni, do sklepów, w których zmieniano monetę, do bławatnych, brązowniczych i wszelkich innych, których pełno było w domach, obejmujących część rynku, położoną naprzeciw Kapitolu. Połowa Forum, leżąca tuż pod wiszarami zamku, pogrążona była już w cieniu, natomiast kolumny położonych wyżej świątyń złościły się w blasku i na błękicie. Leżące niżej zrzucały wydłużone cienie na marmurowe płyty, — wszędzie zaś było ich tak pełno, że oczy gubiły się wśród nich jak w lesie. Zdawało się, że tym budowlom i kolumnom aż ciasno koło siebie. Piętrzyły się jedne nad drugimi, biegły w prawo i w lewo, wdzierały się na wzgórza, tuliły się do zamkowego muru lub jedne do drugich, na podobieństwo większych i mniejszych, grubszych i cieńszych, złotawych i białych pni, to rozkwitłych pod architrawami, kwiatami akantu, to pozawijanych w jońskie rogi, to zakończonych prostym doryckim kwadratem. Nad owym lasem błyszczały barwne tryglify, z tympanów wychylały się rzeźbione postaci bogów, ze szczytów uskrzydłone złote kwadrygi zdawały się chcieć ulecieć w powietrze, w ów błękit, który zwieszał się spokojnie nad owem zbitem miastem świątyń. W środku rynku i po brzegach płynęła rzeka ludzka: tłumy przechadzały się pod łukami Bazyliki Juliusza Cezara, tłumy siedziały na schodach Kastora i Polluksa i kręciły się koło świątynki Westy, podobne na tem wielkiem marmurowem tle do różnokolorowych rojów motyli lub żuków. Z góry, przez ogromne stopnie, od strony świątyni, poświęconej „Jovi optimo, maximo“, napływały nowe fale; przy Rostrach słuchano jakichś przygodnych mówców; tu i owdzie słychać było okrzyki przekupniów, sprzedających owoce, wino lub wodę, pomieszaną z figowym sokiem; oszustów, polecających cudowne lekarstwa, wróżbitów, odgadywaczy ukrytych skarbów, tłumaczów snów. Gdzieniegdzie z gwarem rozmów i nawoływań mieszały się dźwięki sistry, egipskiej sambuki lub greckich fletów. Gdzieniegdzie chorzy, pobożni lub stroskani, nieśli do świątyni ofiary. Wśród ludzi, na kamiennych płytach, zbierały się chciwe na ofiarne ziarno, podobne do ruchomych, pstrych i ciemnych plam, stadka gołębi, to wzbijając się chwilowo z rozgłośnym szumem skrzydeł w górę, to znów zapadając na opróżnione przez tłum miejsca. Od czasu do czasu gromady ludzkie rozstępowały się przed lektykami, w których widać było wykwintne twarze kobiece lub głowy senatorów i rycerzy, o rysach jakby zakrzepłych i wyniszczonych życiem. Różnojęzyczna ludność powtarzała w głos ich imiona z dodatkiem przezwisk, szyderstw lub pochwał. Między bezładnymi grupami przeciskały się czasem postępujące miarowym krokiem oddziały żołnierzy lub wigilów, czuwających nad ulicznym porządkiem. Język grecki dawał się słyszeć naokół równie często, jak łaciński. Viniciusz, który dawno nie był w mieście, patrzył z pewną ciekawością na owo rojowisko ludzkie i na owo „Forum Romanum“, zarazem panujące nad falą świata i zarazem tak nią zalane, że Petroniusz, który odgadł myśl towarzysza, nazwał je „gniazdem Kwiryków — bez Kwiryków“. Istotnie, miejscowy żywioł ginął niemal w tym tłumie, złożonym ze wszystkich ras i narodów. Widać tu było Etyopów, olbrzymich jasnowłosych ludzi z dalekiej Północy, Brytanów, Gallów i Germanów, skośnookich

mieszkańców Sericum, ludzi z nad Eufratu i ludzi z nad Indu, o brodach barwionych na kolor cegły, Syryjczyków z nad brzegów Orontu, o oczach czarnych i słodkich; wyschniętych, jak kość, mieszkańców pustyń arabskich, Żydów z zapadłą piersią, Egipcyan z wiecznym obojętnym uśmiechem w twarzach, i Numidów, i Afrów; Greków z Hellady, którzy na równi z Rzymianami władali nad miastem, ale władali wiedzą, sztuką, rozumem i szalbierstwem, Greków z wysp i z Azji Mniejszej, i z Egiptu, i z Italii, i z Narbońskiej Galii. W tłumie niewolników z podziurawionymi uszami, nie brakło i wolnej, próżniaczej ludności, którą Cezar bawił, żywił, a nawet odziewał, — i wolnych przybyszów, których do olbrzymiego miasta zwabiła łatwość życia i widoki Fortuny; nie brakło przekupniów i kapłanów Serapisa z palmowemi gałęziami w rękę, i kapłanów Izydy, na której ołtarze znoszono więcej ofiar, niż do świątyni kapitolńskiego Jowisza, — i kapłanów Kibelli, noszących w rękę złote kiście ryżu, i kapłanów wędrownych bóstw, i tanecznicy wschodnich z jaskrawemi mitrami, i sprzedających amulety, i poskromców węzów i chaldejskich magów, wreszcie ludzi bez wszelkich zajęć, którzy co tydzień zgłaszali się do śpichlerzy nadtybrzańskich po zboże, bili się o loteryjne bilety w cyrkach, spędzali noce w walących się ustawicznie w zatybrzańskiejskiej dzielnicy domach, a dnie słoneczne i ciepłe w kryptoportykach, w brudnych garkuchniach Suburry, na moście Milwiusa lub przed „insulami“ możliwych, gdzie im od czasu do czasu wyrzucano resztki ze stołu niewolników. Petroniusz dobrze był znany przez te tłumy. O uszy Viniciusza obijało się ustawiczne: „Hic est!“ — „to on!“ — Lubiono go za hojność, a zwłaszcza popularność jego wzrosła od czasu, gdy dowiedziano się, że przemawiał przed Cezarem przeciw wyrokowi śmierci, wydanemu na całą „rodzinę“, to jest na wszystkich bez różnicy płci i wieku niewolników prefekta Pedaniasza Sekunda, za to, iż jeden z nich zabił tego okrutnika w chwili rozpaczki. Petroniusz powtarzał wprawdzie głośno, że mu to było wszystko jedno, i że przemawiał do Cezara tylko prywatnie, jako arbiter elegantiarum, którego estetyczne uczucia oburzała owa barbarzyńska rzeź, godna jakichś Scytów, nie Rzymian. Niemniej lud, który wzburzył się z powodu tej rzezi, kochał od tej pory Petroniasza. Lecz on o to nie dbał. Pamiętał, że ten lud kochał także i Britanika, którego Nero otrul i Agrypinę, którą kazał zamordować — i Oktawie, którą na Pandataryi uduszono, po uprzedniem otwarciu jej żył w gorącej parze — i Rubeliusa Plauta, który został wygnany, i Trazeasza, któremu każde jutro mogło przynieść wyrok śmierci. Miłość ludu mogła być uważana raczej za złą wróżbę, a sceptyczny Petroniasz był zarazem przesądny. Tłumem gardził podwójnie: i jako arystokrata i jako esteta. Ludzie pachnący prażonym bobem, który nosili w zanadrzu, a przytem wiecznie schrypnięci i spotnieli od gry w morę po rogach ulic i peristylach, nie zasługiwali w jego oczach na miano ludzi. Nie odpowiadając też wcale ani na oklaski, ani na posyłane tu i owdzie od ust pocałunki, opowiadał Markowi sprawę Pedaniasza, drwiąc przytem ze zmienności ulicznej hałastry, która, nazajutrz po groźnem wzburzeniu, oklaskiwała Nerona, przejeżdżającego do świątyni Jowisza Statora. Lecz przed księgarnią Avirnusa kazał się zatrzymać i, wysiadłszy, zakupił ozdobny rękopism, który oddał Viniciuszowi. — To podarek dla ciebie — rzekł. — Dzięki! — odrzekł Viniciusz. Poczem, spojrzawszy na tytuł, zapytał: — Satyricon? To coś nowego. Czyje to? — Moje. Ale ja nie chcę iść śladem Ruffinusa, którego historię miałem ci opowiedzieć, ani też śladem Fabriciusa Veienta, dlatego nikt o tem nie wie, ty zaś nikomu nie mów. — A mówiłeś, że nie piszesz wierszy — rzekł Viniciusz, zaglądając do środka — tu zaś widzę prozę, gęsto nimi przeplatana. — Jak będziesz czytał, zwróć uwagę na ucztę Trimalchiona. Co do wierszy — zbrzydły mi od czasu, jak Nero pisze epos. Viteliusz, widzisz, chcąc sobie ulżyć, używa pałeczki z kości słoniowej, którą zasuwa sobie w gardło: inni posługują się piórami flamingów, maczanemi w oliwie lub w odwarze macierzanki — ja zaś odczytuję poezye Nerona — i skutek jest natychmiastowy. Mogę je potem chwalić, jeśli nie z czystym sumieniem, to z czystym żołądkiem. To rzekłszy, zatrzymał znów lektykę przed złotnikiem

Idomenem i, załatwiwszy sprawę gemm, kazał nieść lektykę wprost do domu Aulusa. — Po drodze opowiem ci na dowód, co jest miłość własna autorska, historię Ruffinusa — rzekł. Lecz, zanim ją rozpoczął, skręcili na Vicus Patricius i niebawem znaleźli się przed mieszkaniem Aulusa. Młody i tęgi „ianitor“ otworzył im drzwi wiodące do ostium, nad którymi sroka, zamknięta w klatce, witała ich wrzaskliwie słowem: „salve“. Po drodze z drugiej sieni, zwanej ostium, do właściwego atrium, Viniciusz rzekł: — Czyś zauważył, że odźwierny tu bez łańcuchów? — To dziwny dom — odpowiedział półgłosem Petroniusz. — Pewno ci wiadomo, że Pomponię Graecinę podejrzewano o wyznawanie wschodniego zabobonu, polegającego na czci jakiegoś Chrestosa. Zdaje się, że przysłużyła się jej Crispinilla, która nie może darować Pomponii, że jeden mąż wystarczył jej na całe życie. — Univira!.. Łatwiej dziś w Rzymie o półmisek rydźów z Noricum. Sądono ją sądem domowym... — Masz słuszność, że to dziwny dom. Później opowiem ci, com tu słyszał i widział. Tymczasem znaleźli się w atrium. Przełożony nad niem niewolnik, zwany atriensis, wysłał nomenklatora, by oznajmił gości, jednocześnie zaś służba podsunęła im krzesła i stołeczki pod nogi. Petroniusz, który, wyobrażając sobie, że w tym surowym domu panuje wieczny smutek, nigdy w nim nie bywał, spoglądał naokół z pewnem zdziwieniem i jakby z poczuciem zawodu, albowiem atrium czyniło raczej wesołe wrażenie. Z góry przez duży otwór, wpadał snop jasnego światła, łamiącego się w tysiące skier na wodotrysku. Kwadratowa sadzawka z fontanną w środku, przeznaczona do przyjmowania dżdżu, wpadającego w czasie niepogody przez górny otwór, a zwana impluvium, otoczona była anemonami i liliami. Szczególnie w liliach widocznie kochano się w domu, gdyż były ich całe kępy, i białych, i czerwonych, i wreszcie szafirowych irysów, których delikatne płatki były jakby posrebrzone od wodnego pyłu. Wśród mokrych mchów, w których ukryte były donice z liliami, i wśród pęków liści, widniały brązowe posążki, przedstawiające dzieci i ptactwo wodne. W jednym rogu odlana również z brązu łania, pochylała swą zaśniedziałą od wilgoci, zielonawą głowę ku wodzie, jakby się chciała napić. Podłoga atrium była z mozaiki; ściany, częścią wykładane czerwonym marmurem, częścią malowane w drzewa, ryby, ptaki i gryfy, nęciły oczy grą kolorów. Odrzwia do bocznych izb zdobne były żółwiowcem lub nawet kością słoniową; przy ścianach, między drzwiami, stały posągi przodków Aulusa. Wszędy znać było spokojny dostatek, daleki od zbytku, ale szlachetny i pewny siebie. Petroniusz, który mieszkał nierównie okazalej i wykwintniej, nie mógł tu jednak znaleźć żadnej rzeczy, któraby raziała jego smak — i właśnie zwrócił się z tą uwagą do Viniciusza, gdy wtem niewolnik „velarius“ odsunął kotarę, dzielącą atrium od tablinum, i w głębi domu ukazał się nadchodzący śpiesznie Aulus Plautiusz. Był to człowiek zbliżający się do wieczornych dni życia, z głową pobieloną szronem, ale czerstwy, o twarzy energicznej, nieco zakrótkiej, ale też nieco podobnej do głowy orła. Tym razem malowało się na niej pewne zdziwienie, a nawet niepokój, z powodu niespodziewanego przybycia Neronowego przyjaciela, towarzysza i zausznika. Lecz Petroniusz był nadto światowcem i nadto bystrym człowiekiem, by tego nie zauważyć, zatem, po pierwszych powitaniach, oznajmił z całą wymową i swobodą, na jaką było go stać, że przychodzi podziękować za opiekę, jakiej w tym domu doznał syn jego siostry, i że jedynie wdzięczność jest powodem jego odwiedzin, do których zresztą ośmieliła go dawna z Aulusem znajomość. Aulus zapewnił go ze swojej strony, iż miłym jest gościem, a co do wdzięczności, oświadczył, że sam się do niej poczuwa, chociaż zapewne Petroniusz nie domyśla się jej powodów. Jakoż Petroniusz nie domyślał się ich rzeczywiście. Próżno, podniósłszy swe orzechowe oczy w górę, biedził się, by sobie przypomnieć najmniejszą usługę, oddaną Aulusowi lub komukolwiek. Nie przypominał sobie żadnej, prócz tej chyba, którą zamierzał wyświadczyć Viniciuszowi. Mimowoli, mogło się wprawdzie coś podobnego zdarzyć, ale tylko mimowoli. — Kocham i cenię bardzo Wespazjana — odrzekł Aulus — któremu uratowałeś życie, gdy raz zdarzyło mu się nieszczęście

usnąć przy słuchaniu wierszy Cezara. — Zdarzyło mu się szczęście — odrzekł Petroniusz — bo ich nie słyszał, nie przeczę jednak, że mogło się ono skończyć nieszczęściem. Miedzianobrody chciał mu koniecznie posłać centuriona z przyjacielskim zleceniem, by sobie otworzył żyły. — Ty zaś, Petroniuszu, wyśmiałeś go. — Tak jest, a raczej przeciwnie: powiedziałem mu, że, jeśli Orfeusz umiał pieśnią usypiać dzikie bestye, jego tryumf jest równy, skoro potrafił uspić Wespazyana. Ahenobarbowi można przyganiać pod warunkiem, żeby w małej przyganie mieściło się wielkie pochlebstwo. Nasza miłociwa Augusta, Poppea, rozumie to doskonale. — Niestety, takie to czasy — odrzekł Aulus. — Brak mi na przodzie dwóch zębów, które mi wybił kamień, rzucony ręką Brytona, i przez to mowa moja stała się świszcząca, a jednak najszczęśliwsze chwile mego życia spędziłem w Brytanii... — Bo zwycięskie — dorzucił Viniciusz. Lecz Petroniusz, zląkwszy się, by stary wódz nie zaczął opowiadać o dawnych swych wojnach, zmienił przedmiot rozmowy. Oto w okolicy Praeneste wieśniacy znaleźli martwe wilcze szczenię o dwu głowach, w czasie zaś onegdajszej burzy piorun oberwał narożnik w świątyni Luny, co było rzeczą, ze względu na spóźnioną jesień, niesłychaną. Niejaki też Cotta, który mu to opowiadał, dodawał zarazem, iż kapłani tejże świątyni przepowiadają z tego powodu upadek miasta, lub co najmniej ruinę wielkiego domu, która tylko nadzwyczajnymi ofiarami da się odwrócić. Aulus, wysłuchawszy opowiadania, wyraził zdanie, że takich oznak nie można jednak lekceważyć. Że bogowie mogą być zgniewani przebraną miarą zbrodni, w tem nie masz nic dziwnego — a w takim razie ofiary błagalne są zupełnie na miejscu. Na to Petroniusz rzekł: — Twój dom, Plautiuszu, nie jest zbyt wielki, choć mieszka w nim wielki człowiek; mój jest wprawdzie zaduży na tak lichego właściciela, ale również mały. A jeśli chodzi o ruinę jakiegoś, tak wielkiego, jak na przykład „domus transitoria“, to czy opłaci się nam składać ofiary, by tę ruinę odwrócić? Plautiusz nie odpowiedział na to pytanie, która to ostrożność dotknęła nawet nieco Petroniusza, albowiem, przy całym swym braku poczucia różnicy między złem a dobrem, nie był nigdy donosicielem, i można z nim było rozmawiać z zupełnem bezpieczeństwem. Zaczem zmienił znów rozmowę i począł wychwalać mieszkanie Plautiuszowe, oraz dobry smak panujący w domu. — Stara to siedziba — odrzekł Plautiusz — w której nic nie zmieniłem od czasu, jakem ją odziedziczył. Po odsunięciu kotary, dzielącej atrium od tablinum, dom otwarty był na przestrzał, tak że przez tablinum, przez następny perystyl i leżącą za nim salę, zwaną oecus, wzrok biegł aż do ogrodu, który widniał zdala jak jasny obraz, ujęty w ciemną ramę. Wesołe dziecinne śmiechy dolatywały stamtąd do atrium. — Ach, wodzu — rzekł Petroniusz — pozwól nam posłuchać zblizka tego szczerego śmiechu, o który dziś tak trudno. — Chętnie — odrzekł, powstając, Plautiusz. — To mój mały Aulus i Lygia bawią się w piłki. Ale, co do śmiechu, mniemam, Petroniuszu, że całe życie schodzi ci na nim. — Życie jest śmiechu warte, więc się śmieję — odpowiedział Petroniusz — tu jednak śmiech brzmi inaczej. — Petroniusz — dodał Viniciusz — nie śmieje się zresztą po całych dniach, ale raczej po całych nocach. Tak rozmawiając, przeszli przez długość domu i znaleźli się w ogrodzie, gdzie Lygia i mały Aulus bawili się piłkami, które niewolnicy, wyłącznie do tej zabawy przeznaczeni, zwani spheristae, zbierali z ziemi i podawali im do rąk. Petroniusz rzucił szybkie, przelotne spojrzenie na Lygię, mały Aulus, ujrzawszy Viniciusza, przybiegł się z nim witać, ów zaś, przechodząc, schylił głowę przed piękną dziewczyną, która stała z piłką w ręku, z włosami nieco rozwianymi, trochę zdyszana i zarumieniona. Lecz w ogrodowym triclinium, zacienionem przez bluszcze, winograd i kozie ziele, siedziała Pomponia Graecina, poszli się więc z nią witać. Petroniuszowi, jakkolwiek nie uczęszczał do domu Plautiuszów, była ona znajoma, albowiem widywał ją u Antistii, córki Rubeliusa Plauta, a dalej w domu Seneków i u Poliona. Nie mógł też oprzeć się pewnemu podziwowi, jakim przejmowała go jej twarz smutna, ale pogodna, szlachetność jej postawy, ruchów, słów. Pomponia mąciła do tego stopnia jego pojęcie o kobietach, że ów zepsuty do szpiku kości i pewny siebie, jak

nikt w całym Rzymie, człowiek, nie tylko odczuwał dla niej pewien rodzaj szacunku, ale nawet tracił poniekąd pewność siebie. I teraz oto, dziękując jej za opiekę nad Viniciuszem, wtrącał jakby mimowoli wyraz: „domina“, który nigdy nie przychodził mu na myśl, gdy naprzykład rozmawiał z Calwią, Crispinillą, ze Scribonią, z Valerią, Soliną i innymi niewiastami z wielkiego świata. — Po przywitaniu i złożeniu podziękowań, począł też zaraz narzekać, że Pomponię widuje się tak rzadko, że jej nie można spotkać ni w cyrku, ni w amfiteatrze, na co odpowiedziała mu spokojnie, położywszy dłoń na dłoni męża: — Starzejemy się i oboje lubimy coraz więcej domowe zacisze. Petroniusz chciał przeczyć, lecz Aulus Plautiusz dodał swoim świszczącym głosem: — I coraz nam bardziej obco między ludźmi, którzy nawet naszych bogów rzymskich greckimi nazywają imionami. — Bogowie stali się od pewnego czasu tylko retorycznymi figurami — odrzekł niedbale Petroniusz — że zaś retoryki uczyli nas Grecy, przeto mnie samemu łatwiej naprzykład powiedzieć: Hera, niż Juno. To rzekłszy, zwrócił oczy na Pomponię, jakby na znak, że wobec niej żadne inne bóstwo nie mogło mu przyjść na myśl, a następnie jął przeczyć temu, co mówiła o starości: „Ludzie starzeją się wprawdzie prędko, ale tacy, którzy żyją zgoła innym życiem, a oprócz tego są twarze, o których Saturn zdaje się zapominać“. — Petroniusz mówił to z pewną nawet szczerością, albowiem Pomponia Graecina, jakkolwiek schodziła z południa życia, zachowała niezwykłą świeżość cery, a że głowę miała małą i twarz drobną, chwilami więc, mimo swej ciemnej sukni, mimo powagi i smutku, czyniła wrażenie kobiety zupełnie młodej. Tymczasem mały Aulus, który podczas pobytu Viniciusza w domu zaprzyjaźnił się był z nim nadzwyczajnie, zbliżywszy się, począł go zapraszać do gry w piłkę. Za chłopcem weszła do triclinium i Lygia. Pod firanką bluszczów, ze świeatełkami, drgającymi na twarzy, wydała się teraz Petroniuszowi ładniejszą, niż na pierwszy rzut oka, i istotnie podobną do jakiejś nimfy. Że zaś nie przemówił do niej dotąd, więc podniósł się, pochylił przed nią głowę i, zamiast zwykłych wyrazów powitania, począł cytować słowa, które Odyss powitał Nausikeę:

„Nie wiem, czyliś jest bóstwem, czy panną śmiertelną...

„Lecz jeśliś jest mieszkanką ziemskiego padołu,

„Błogosławiony ojciec z matką twą pospołu,

„Błogosławieni bracia

Nawet Pomponii podobała się wykwinna grzeczność tego światowca. Co do Lygii, słuchała zmieszana i zapłoniona, nie śmiać oczu podnieść. Lecz stopniowo w kątach jej ust począł drgać swawolny uśmiech, na twarzy znać było walkę między dziewczęcym zawstydzieniem, a chęcią odpowiedzi — i widocznie chęć ta przemogła, spojrzawszy bowiem nagle na Petroniusza, odpowiedziała mu słowami tejsze Nausikai, cytując je jednym tchem i trochę jak wydawaną lekcję:

„Nie byle kto ty jesteś — i nie byle głowa!

„

Poczem, zawróciwszy w miejscu, uciekła, jak ucieka spłoszony ptak. Teraz na Petroniusza przyszła kolej zdziwienia — nie spodziewał się bowiem usłyszeć homerowego wiersza w ustach dziewczyny, o której barbarzyńskim pochodzeniu był przez Viniciusza uprzedzony. Spojrzał też pytającym wzrokiem na Pomponię, lecz ta nie mogła mu dać odpowiedzi, patrzyła bowiem w tej chwili, uśmiechając się, na dumę, jaka odbiła się w obliczu starego Aulusa. On zaś nie umiał tej dumy ukryć. Naprzód, przywiązał się był do Lygii, jak do własnego dziecka, a powtóre, mimo swych staro-rzymskich uprzedzeń, które kazały mu przeciw greczyźnie i jej rozpowszechnieniu piorunować, uważał ją za szczyt towarzyskiej ogłady. Sam nie mógł się jej nigdy dobrze nauczyć, nad czym skrycie bolał, rad był więc teraz, że temu wytwornemu panu, a zarazem i literatowi, który gotów był uważać dom jego za barbarzyński, odpowiedziano w nim językiem i wierszem Homera. — Jest w domu pedagogus, Grek — rzekł, zwracając się do Petroniusza — który uczy naszego chłopaka, a

dziewczyna przysłuchuje się lekcjom. Pliszka to jeszcze, ale miła pliszka, do której nawykliśmy oboje. Petroniusz patrzył teraz poprzez skręty bluszczów i kapryfolium na ogród i na bawiącą się trójkę. Viniciusz zrzucił togę i w tunice tylko podbijał w górę piłkę, którą stojąca naprzeciw z wzniesionymi ramionami Lygia usiłowała schwytać. Dziewczyna na pierwszy rzut oka nie uczyniła wielkiego na Petroniuszu wrażenia. Wydała mu się zbyt szczupła. Lecz od chwili, gdy w triclinium spojrzął na nią bliżej, pomyślał sobie, że tak jednak mogłaby wyglądać jutrzeńka — i, jako znawca, zrozumiał, że jest w niej coś niezwykłego. Wszystko zauważył i wszystko ocenił: więc i twarz różową i przeźroczą, i świeże usta, jakby do pocałunku złożone, i niebieskie, jak lazur mórz, oczy, i alabastrową białość czoła, i bujność ciemnych włosów, przeświecających na skrętach odbłaskiem bursztynu albo korynckiej miedzi — i lekką szyję, i „boską“ spadzistość ramion, i całą postać giętką, smukłą, młodą młodością maju i świeżo rozkwitłych kwiatów. Zbudził się w nim artysta i czciciel piękności, który odczuł, że pod posągiem tej dziewczyny możnaby podpisać: „wiosna“. — Nagle przypomniał sobie Chryzotemis i wziął go pusty śmiech. Wydała mu się, razem ze swoim złotym pudrem na włosach i uczernionymi brwiami, bajecznie zwiędłą, czemś w rodzaju poźółkłej i roniącej płatki róży. A jednak tej Chryzotemis zazdrościł mu cały Rzym. Następnie przypomniał sobie Poppeę — i owa przesławna Poppea również wydała mu się bezduszną woskową maską. W tej dziewczynie o tanagryjskich kształtach była nietylko wiosna — była i promienista „Psyche“, która przeświecała przez jej różane ciało, jak promyk prześwieca przez lampę. — Viniciusz ma słuszość — pomyślał — a moja Chryzotemis jest stara, stara... jak Troja! Poczem zwrócił się do Pomponii Graeciny — i wskazawszy na ogród, rzekł: — Rozumiem teraz, domina, że, wobec takich dwojga, wolicie dom od uczt na Palatynie i cyrku. — Tak — odpowiedziała, zwracając oczy w stronę małego Aulusa i Lygii. A stary wódz począł opowiadać historię dziewczyny i to, co słyszał przed laty od Ateliusa Histera o siedzącym w mrokach północy narodzie Lygiów. Tamci zaś skończyli grać w piłkę i przez czas jakiś chodzili po piasku ogrodowym, odbijając na czarnem tle myrtów i cyprysów, jak trzy białe posągi. Lygia trzymała małego Aulusa za rękę. Pochodziwszy nieco, siedli na ławce przy „piscinie“, zajmującej środek ogrodu. Lecz po chwili Aulus zerwał się, by płoszyć ryby w przeźroczej wodzie, Viniciusz zaś prowadził dalej rozmowę, zaczęłą w czasie przechadzki: — Tak jest — mówił niskim, drgającym głosem. — Zaledwie zrzucił pretekstę, wysłano mnie do azyatyckich legii. Miastam nie zaznał — ani życia, ani miłości. Umieję na pamięć trochę Anakreonta i Horacyusza, ale nie potrafiłbym tak, jak Petroniusz, mówić wierszy wówczas, gdy rozum niemiej z podziwu i własnych słów znaleźć nie może. Chłopcem będąc, chodziłem do szkoły Musoniusza, który mawiał nam, że szczęście polega na tem, by chcieć tego, czego chcą bogi — a zatem od naszej woli zależy. Ja jednak myślę, że jest inne, większe i droższe, które od woli nie zależy, bo je tylko miłość dać może. — Szukają tego szczęścia sami bogowie, więc i ja, o Lygio, którym nie zaznał dotąd miłości, idąc w ich ślady, szukam także tej, któraby mi szczęście dać chciała... Umilkł — i przez czas jakiś słycać było tylko lekki plusk wody, w którą mały Aulus ciskał kamyki, płosząc nimi ryby. — Po chwili jednak Viniciusz znów mówić począł, głosem jeszcze miększym i cichszym: — Wszak znasz Wespazyanowego syna, Tytusa? Mówią, że, zaledwie z chłopięcego wieku wyszedłszy, pokochał tak Berenikę, iż omal tęsknota nie wyssała mu życia... Tak i jabym umiał pokochać, o Lygio!... Bogactwo, sława, władza — czyż dym! marność! Bogaty znajdzie bogatszego od siebie, sławnego zaćmi cudza większa sława, potężnego potężniejszy pokona... Lecz zali sam Cezar, zali który bóg nawet, może doznawać większej rozkoszy, lub być szczęśliwszym, niż prosty śmiertelnik, w chwili gdy mu przy piersi dyszy pierś droga, lub gdy całuje usta kochane... Więc miłość z bogami nas równa — o Lygio!... A ona słuchała w niepokoju, w zdziwieniu i zarazem tak, jakby słuchała głosu greckiej fletni lub cytry. Zdawało się jej chwilami, że Viniciusz śpiewa jakąś pieśń dziwną, która śący się w

jej uszy, porusza w niej krew, a zarazem przejmuje serce omdleniem, strachem i jakąś niepojętą radością... Zdawało jej się też, że on mówi coś takiego, co w niej już było poprzednio, ale z czego nie umiała sobie zdać sprawy. Czuła, że on w niej coś budzi, co drzemało dotąd, i że w tej chwili, zamglony sen zmienia się w kształt coraz wyraźniejszy, bardziej upodobany i śliczny. Tymczasem słońce przetoczyło się dawno za Tyber i stało nisko nad Janikulskim wzgórzem. Na nieruchome cyprysy padało czerwone światło — i całe powietrze było niem przesycone. Lygia podniosła swoje błękitne, jakby rozbudzone ze snu, oczy na Viniciusza i nagle — w wieczornych odblaskach, pochylony nad nią, z prośbą drgającą w oczach, wydał się jej piękniejszy od wszystkich ludzi i od wszystkich greckich i rzymskich bogów, których posągi widywała na frontonach świątyń. On zaś objął zlekka palcami jej rękę powyżej kostki i pytał: — Zali ty nie odgadujesz, Lygio, czemu ja mówię to tobie?... — Nie! — odszeptą tak cicho, że Viniciusz zaledwie dosłyszał. Lecz nie uwierzył jej i, przyciągając coraz silniej jej rękę, byłby ją przyciągnął do serca, bijącego jak młotem, pod wpływem żądz, rozbudzonej przez cudną dziewczynę — i byłby wprost do niej zwrócił palące słowa, gdyby nie to, że na ścieżce, ujętej w ramy myrtów, ukazał się stary Aulus, który zbliżywszy się, rzekł: — Słońce zachodzi, więc strzeżcie się wieczornego chłodu i nie żartujcie z Libitiną... — Nie — odrzekł Viniciusz — nie wdziałem dotąd togi i nie poczułem chłodu. — A oto już ledwie pół tarczy z za wzgórz wygląda — odpowiedział stary wojownik. — Bogdaj to słodki klimat Sycylii, gdzie wieczorami lud zbiera się na rynkach, aby chóralnym śpiewem żegnać zachodzącego Feba. I zapomniawszy, że przed chwilą sam ostrzegał przed Libitiną, począł opowiadać o Sycylii, gdzie miał swe posiadłości i duże gospodarstwo rolne, w którym się kochał. Wspomniał też, że nieraz przychodziło mu na myśl przenieść się do Sycylii i tam dokonać spokojnie życia. Dość ma zimowych szronów ten, komu zimy ubieliły już głowę. Jeszcze liść nie opada z drzew i nad miastem śmieje się niebo łaskawie, ale gdy winograd pożółknie, gdy śnieg spadnie w górach Albańskich, a bogowie nawiedzą przejmującym wichrem Kampanię, wówczas kto wie, czy z całym domem nie przeniesie się do swojej zacisznej wiejskiej sadyby. — Miałżebyś chęć opuścić Rzym, Plautiuszu? — spytał z nagłym niepokojem Viniciusz. — Chęć tę mam dawno — odpowiedział Aulus — bo tam spokojniej i bezpieczniej. I jał znowu wychwalać swoje sady, stada, dom ukryty w zieleni i wzgórz, porośłe tymem i cząbrami, wśród których brzęczą roje pszczół. Lecz Viniciusz nie zważał na tę bukoliczną nutę — i, myśląc tylko o tem, że może utracić Lygię, spoglądał w stronę Petroniusza, jakby od niego jedynie wyglądał ratunku. Tymczasem Petroniusz, siedząc przy Pomponii, lubował się widokiem zachodzącego słońca, ogrodu i stojących przy sadzawce ludzi. Białe ich ubrania na ciemnym tle myrtów świeciły złotem od wieczornych blasków. Na niebie zorza poczęła zabarwiać się purpurą, fioletem i mienić się nakształt opalu. Strop nieba stał się liliowy. Czarne sylwetki cyprysów uczyniły się jeszcze wyrazistsze, niż w dzień biały, zaś w ludziach, w drzewach i w całym ogrodzie zapanował spokój wieczorny. Petroniusza uderzył ten spokój i uderzył go zwłaszcza w ludziach. W twarzy Pomponii, starego Aulusa, ich chłopca i Lygii — było coś, czego nie widywał w tych twarzach, które go codziennie, a raczej co noc otaczały: było jakieś światło, jakieś ukojenie i jakaś pogoda, płynąca wprost z takiego życia, jakiem tu wszyscy żyli. I z pewnem zdziwieniem pomyślał, że jednak mogła istnieć piękność i słodycz, których on, wiecznie goniący za pięknością i słodyczą, nie zaznał. Myśli tej nie umiał ukryć w sobie i, zwróciwszy się do Pomponii, rzekł: — Rozważam w duszy, jak odmienny jest wasz świat od tego świata, którym włada nasz Nero. Ona zaś podniosła swoją drobną twarz ku zorzy wieczornej i odrzekła z prostotą: — Nad światem włada nie Nero — ale Bóg. Nastąpiła chwila milczenia. W pobliżu triclinium dały się słyszeć w alei kroki starego wodza, Viniciusza, Lygii i małego Aulusa — lecz, nim nadeszli, Petroniusz spytał jeszcze: — A więc ty wierzysz w bogi, Pomponio? — Wierzę w Boga, który jest jeden, sprawiedliwy i wszechmocny —

odpowiedziała żona Aula Plautiusza.

ROZDZIAŁ III.

— Wierzy w Boga, który jest jeden, wszechmocny i sprawiedliwy, — powtórzył Petroniusz, w chwili, gdy znów znalazł się w lektyce sam na sam z Viniciuszem. — Jeśli jej Bóg jest wszechmocny, tedy rządzi życiem i śmiercią; a jeśli jest sprawiedliwy, tedy słusznie zsyła śmierć. Czemu więc Pomponia nosi żałobę po Julii? Żałując Julii, przygania swemu Bogu. Muszę to rozumowanie powtórzyć naszej miedzianobrodej małpie, uważam bowiem, że w dyalektyce dorównywał Sokratesowi. Co do kobiet, zgadzam się, że każda posiada trzy lub cztery dusze, ale żadna nie ma duszy rozumnej. Niechby Pomponia rozmyślała sobie z Seneką lub z Kornutusem nad tem, czym jest ich wielki Logos... Niechby razem wywoływali cienie Ksenofanesa, Parmenida, Zenona i Platona, które nudzą się tam w Kimeryjskich krainach, jak czyże w klatce. Ja chciałem mówić z nią i z Plautiuszem o czem innym. Na święty brzuch egipskiej Izys! Gdybym im tak poprostu powiedział, pociągnę przyszedł, przypuszczam, że cnota ich zadźwięczałaby, jak miedziana tarcza, w którą ktoś pałką uderzy. I nie śmiałem! Dasz wiarę, Viniciuszu, że nie śmiałem! Pawie są piękne ptaki, ale krzyczą zbyt przeraźliwie. Złakłem się krzyku. Muszę jednak pochwalić twój wybór. Istna „rózanopalca Jutrzenka“... I wiesz, co mi także przypominała? — Wiosnę! — i to nie naszą w Italii, gdzie ledwie tu i owdzie jabłoń pokryje się kwiatem, a oliwniki szarzeją, jak szarzały, ale tę wiosnę, którą niegdyś widziałem w Helwecyi, młodą, świeżą, jasno-zieloną... Na tę bladą Selenę — nie dziwię ci się, Marku — wiedz jednak, że Dianę miłujesz, i że Aulus i Pomponia gotowi cię rozszarpać, jak niegdyś psy rozszarpały Akteona. Viniciusz, nie podnosząc głowy, przez chwilę milczał, poczem jął mówić przerywanym przez żądzę głosem: — Pragnąłem jej poprzednio, a teraz pragnę jeszcze więcej. Gdy objął jej rękę, owionął mnie ogień... Muszę ją mieć. Gdybym był Zeusem, otoczyłbym ją chmurą, jak on otoczył Jo, lub spadłbym na nią dżdżem jak on spadł na Danae. Chciałbym całować jej usta, aż do bólu! Chciałbym słyszeć jej krzyk w moich ramionach. Chciałbym zabić Aula i Pomponię, a ją porwać i zanieść na rękę do mego domu. Nie będę dziś spał. Rozkażę ćwiczyć którego z niewolników i będę słuchał jego jęków... — Uspokój się — rzekł Petroniusz. — Masz zachcianki cieśli z Suburry. — Wszystko mi jedno. Muszę ją mieć. Udałem się do ciebie po radę, lecz jeśli ty jej nie znajdziesz, znajdę ją sam... Aulus uważa Lygię za córkę, czemużbym ja miał patrzeć na nią, jak na niewolnicę? Więc skoro niema innej drogi, niechże oprzędzie drzwi mego domu, niech je namaści wilczym tłuszczem i niechaj siedzie, jako żona, przy mojem ognisku. — Uspokój się, szalony potomku konsulów. Nie po to sprowadzamy barbarzyńców na sznurach za naszymi wozami, byśmy mieli zaślubiać ich córki. Strzeż się ostateczności. Wyczerpnij proste uczciwe sposoby i zostaw sobie i mnie czas do namysłu. Mnie także Chryzotemis wydawała się córką Jowisza, a jednak nie zaślubiłem jej — tak jak i Nero nie zaślubił Akte, choć ją czyniono córką króla Attala... Uspokój się... Pomyśl, że jeśli ona zechce opuścić Aulusów dla ciebie, oni nie mają prawa jej wstrzymać, wiedz zaś o tem, że nietylko sam gorejesz, bo i w niej Eros rozniecił płomień... Jam to widział, a mnie należy wierzyć... Miej cierpliwość. Na wszystko jest sposób, ale dziś i tak już za dużo myślałem, a to mnie nuży. Natomiast przyrzekam ci, że jutro pomyślę jeszcze o twojej miłości i chyba Petroniusz nie byłby Petroniuszem, gdyby jakiego środka nie znalazł. Umilkli znów obaj — wreszcie po jakimś czasie Viniciusz rzekł już spokojniej: — Dziękuję ci i niech Fortuna szczodra ci będzie. — Bądź cierpliwy. — Dokąd się nieś kazałeś? — Do Chryzotemis... — Szczęśliwyś, że posiadasz tę, którą kochasz. — Ja? Wiesz, co mnie jeszcze bawi w Chryzotemis? Oto, że ona mnie zdradza z moim własnym wyzwoleniecem, lutnistą Teoklesem, i myśli, że tego nie widzę. Niegdyś kochałem ją, a teraz bawią mnie jej kłamstwa i jej głupota. Chodź ze mną do niej. Jeśli pocnie cię bałamucić i kreślić ci litery na stole palcem, umocnym w winie, wiedz o tem, że nie jestem

zazdrosny. I kazali się ponieść razem do Chryzotemis. Lecz w przedsiönku Petroniusz położył rękę na ramieniu Viniciusza i rzekł: — Czekaj, zdaje mi się, że obmyśliłem sposób. — Niech wszystkie bogi ci nagrodzą... — Tak jest! sądzę, że środek jest nieomylny. — Wiesz co, Marku? — Słucham cię — moja Athene... — Oto, za kilka dni, boska Lygia będzie spożywała w twoim domu ziarno Demetry. — Jesteś większy, niż Cezar! — zawołał z uniesieniem Viniciusz.

ROZDZIAŁ IV.

Jakoż Petroniusz dotrzymał obietnicy. Nazajutrz, po odwiedzinach u Chryzotemis, spał wprawdzie cały dzień, ale wieczorem kazał się zanieść na Palatyn i miał z Neronem poufną rozmowę, skutkiem której, na trzeci dzień, przed domem Plauciusza pojawił się centurion na czele kilkunastu pretoriańskich żołnierzy. Czasy były niepewne i straszne. Posłańcy tego rodzaju byli zarazem najczęściej zwiastunami śmierci. To też z chwilą, w której centurion uderzył młotkiem we drzwi Aulusa, i gdy nadzorca atrium dał znać, iż w sieni znajdują się żołnierze, przerażenie zapanowało w całym domu. Rodzina wnet otoczyła starego wodza, nikt bowiem nie wątpił, że niebezpieczeństwo przedewszystkiem nad nim zawisło. Pomponia, objąwszy ramionami jego szyję, przytuliła się do niego ze wszystkich sił, a zsiniałe jej usta poruszały się szybko, wymawiając jakieś ciche wyrazy; Lygia, z twarzą bladą, jak płótno, całowała jego rękę; mały Aulus czepiał się togi — z korytarzy, z pokoi, leżących na piętrze i przeznaczonych dla służebnic, z czeladnej, z łaźni, ze sklepionych dolnych mieszkań, z całego domu poczęły się wysypywać roje niewolników i niewolnic. Dały się słyszeć okrzyki: „heu! heu, me miserum!“ kobiety uderzyły w wielki płacz; niektóre poczęły już sobie drapać policzki, lub nakrywać głowy chustami. Sam tylko stary wódz, przywykły od lat całych patrzeć śmierci prosto w oczy, pozostał spokojny i tylko jego krótka, orla twarz stała się jakby z kamienia wykutą. Po chwili, uciszwszy wrzaski i rozkazawszy rozejść się służbie, rzekł: — Puść mnie, Pomponio. Jeśli mi nadszedł kres, będziemy mieli czas się pożegnać. I usunął ją zlekka — ona zaś rzekła: — Bogdajby twój los był zarazem i moim — o Aulu! Poczem, padłszy na kolana, poczęła się modlić z tą siłą, jaką jedynie bojaźń o drogą istotę dać może. Aulus przeszedł do atrium, gdzie czekał nań centurion. Był to stary Caius Hasta, dawny jego podwładny i towarzysz z wojen brytańskich. — Witaj, wodzu — rzekł. — Przynoszę ci rozkaz i pozdrowienie Cezara — a oto są tabliczki i znak, że w jego imieniu przychodzę. — Wdzięcznym jest Cezarowi za pozdrowienie, a rozkaz wykonam — odrzekł Aulus. — Witaj, Hasto, i mów, z jakim zleceniem przychodzisz. — Aulu Plauciuszu — począł Hasta — Cezar dowiedział się, iż w domu twoim przebywa córka króla Lygiów, którą ów król, jeszcze za życia boskiego Claudiusa, oddał w ręce Rzymian, jako rękojmię, że granice imperium nigdy nie zostaną przez Lygiów naruszone. Boski Nero wdzięczny ci jest, o wodzu, za to, iżes jej przez lat tyle dawał gościnność u siebie, lecz, nie chcąc dłużej obarczać twego domu, jak również bacząc, iż dziewczica, jako zakładniczka, winna zostawać pod opieką samego Cezara i senatu — rozkazuje ci ją wydać w moje ręce. Aulus nadto był żołnierzem i nadto hartownym mężem, by wobec rozkazu pozwolić sobie na żal, na marne słowa lub skargi. Jednakże zmarszczka nagłego gniewu i bólu zjawiła mu się na czole. Przed takim zmarszczeniem brwi drżały niegdyś legie brytańskie — i nawet w tej chwili jeszcze na twarzy Hasty odbił się przestach. Lecz obecnie, wobec rozkazu Aulus Plauciusz uczuł się bezbronnym. Przez czas jakiś patrzył na tabliczki, na znak, poczem, podniósłszy oczy na starego centuriona, rzekł już spokojnie: — Zaczekaj, Hasto, w atrium, zanim zakładniczka zostanie ci wydana. I po tych słowach przeszedł na drugi koniec domu do sali, zwanej oecus, gdzie Pomponia Graecina, Lygia i mały Aulus czekali nań w niepokoju i trwodze. — Nikomu nie grozi śmierć, ani wygnanie na dalekie wyspy — rzekł — a jednak poseł Cezara jest zwiastunem nieszczęścia. O ciebie chodzi, Lygio. — O Lygię? — zawołała ze zdumieniem Pomponia. — Tak jest! — odrzekł Aulus. I zwróciwszy się do dziewczyny, począł mówić: — Lygio,

byłaś chowana w naszym domu, jak własne nasze dziecko, i oboje z Pomponią miłujemy cię, jak córkę. Ale wiesz o tem, że nie jesteś naszą córką. Jesteś zakładniczką, daną przez twój naród Rzymowi, i opieka nad tobą należy do Cezara. Otóż Cezar zabiera cię z naszego domu. Wódz mówił spokojnie, ale jakimś dziwnym, niezwykłym głosem. Lygia słuchała słów jego, mrugając oczyma i jakby nie rozumiejąc, o co chodzi, policzki Pomponii pokryły się bladością; we drzwiach, wiodących z korytarza do oecus, poczęły się znów ukazywać przerażone twarze niewolnic. — Wola Cezara musi być spełniona — rzekł Aulus. — Aulu! — zawołała Pomponia, obejmując ramionami dziewczynę, jakby chciała jej bronić — lepiejby dla niej było umrzeć. Lygia zaś, tuląc się do jej piersi, powtarzała: „matko! matko!“ nie mogąc zdobyć się wśród łkań na inne słowa. Na twarzy Aulusa znów odbił się gniew i ból. — Gdybym był sam na świecie — rzekł ponuro — nie oddałbym jej żywej — i krewni moi dziś jeszcze mogliby złożyć za nas ofiary „Jovi liberatori“... Lecz nie mam prawa gubić ciebie i naszego dziecka, które może szczęśliwszych dożyć czasów... Udam się dziś jeszcze do Cezara i będę go błagał, by rozkaz odmienił. Czy mnie wysłucha — nie wiem. Tymczasem bądź zdrowa, Lygio — i wiedz o tem, że i ja, i Pomponia błogosławiliśmy zawsze dzień, w którym zasiadłaś przy naszym ognisku. To rzekłszy, położył jej rękę na głowie, ale choć starał się zachować spokój, jednakże w chwili, gdy Lygia zwróciła ku niemu oczy, zalane łzami, a potem, chwyciwszy jego rękę, poczęła ją do ust przyciskać, w głosie jego zadrgał żal głęboki, ojcowski. — Żegnaj radości nasza i światło oczu naszych — rzekł. I prędko wyszedł z powrotem do atrium, by nie pozwolić opanować się niegodnemu Rzymianina i wodza wzruszeniu. Tymczasem Pomponia, zaprowadziwszy Lygię do cubiculum, poczęła ją uspokajać, pocieszać, dodawać jej otuchy i mówić słowa — brzmiące dziwnie w tym domu, w którym tuż obok, w przyległej świetlicy, stało jeszcze „lararium“ i ognisko, na którym Aulus Plauciusz, wierny dawnemu obyczajowi, poświęcał ofiary bogom domowym. Oto czas próby nadszedł. Niegdyś Virginiusz przebił pierś własnej córki, by ją wyzwolić z rąk Appiusza; dawniej jeszcze Lukrecya dobrowolnie przyplaciła życiem hańbę. Dom Cezara jest jaskinią hańby, zła, zbrodni. — „Lecz my, Lygio, wiemy dlaczego — nie mamy prawa podnieść na siebie ręki!...“ Tak jest! — To prawo, pod którym obie żyją, jest inne, większe, świętsze, pozwala jednak bronić się od zła i hańby, choćby tę obronę życiem i męką przyszło przyplacić. Kto czysty wychodzi z przybytku zepsucia, tem większa jego zasługa. Ziemia jest takim przybytkiem, ale na szczęście życie jest jednym mgnieniem oka, a zmartwychwstaje się tylko z grobu, za którym, nie władnie już Nero, lecz Miłosierdzie — i zamiast bólu jest radość, i zamiast łez wesele. Poczem jąła mówić o sobie. Tak! Spokojna jest — ale i w jej piersiach niebrak ran bolesnych. Oto na oczach jej Aulusa leży jeszcze bielmo, jeszcze nie spłynął na niego źródź światła. Niewolno jej także wychowywać syna w Prawdzie. — Więc gdy pomyśli, że tak może być do kresu życia i że nadejść może chwila rozłączenia się z nimi, stokroć większego i straszniejszego, niż to czasowe, nad którym obie teraz boleją — nie umie nawet pojąć, jakim sposobem potrafi być bez nich, nawet w niebie szczęśliwa. I wiele już nocy przepłakała, wiele spędziła na modlitwie, żebrząc o zmiłowanie i łaskę. Lecz swój ból ofiaruje Bogu — i czeka — i ufa. — A gdy teraz nowy spotyka ją cios, gdy rozkaz okrutnika zabiera jej drogą głowę — tę, którą Aulus nazwał światłem oczu, ufa jeszcze, wierząc, że jest moc nad Neronową większa — i Miłosierdzie od jego złości silniejsze. I przycisnęła jeszcze silniej do piersi główkę dziewczyny, ta zaś osunęła się po chwili do jej kolan i ukrywszy oczy w fałdach jej peplum, pozostała tak przez długi czas w milczeniu, lecz, gdy się wreszcie podniosła, na twarzy jej widać już było nieco spokoju. — Żal mi ciebie, matko, i ojca, i brata, ale wiem, że opór nie przydałby się na nic, a zgubił was wszystkich. Natomiast przyrzekam ci, że słów twoich nie zapomnę nigdy w domu Cezara. Raz jeszcze zarzuciła jej ramiona na szyję, a potem, gdy obie wyszły do oecus, poczęła się żegnać z małym Plauciuszem — ze staruszką

Grekiem, który był ich nauczycielem, ze swoją szatną, która niegdyś niańczyła ją, i ze wszystkimi niewolnikami. Jeden z nich, wysoki i barczysty Ligijczyk, którego w domu zwano Ursus, a który w swoim czasie, razem z matką Lygii i z nią, przybył z inną ich służbą do obozu Rzymian, padł teraz do jej nóg, a następnie pochylił się do kolan Pomponii, mówiąc: — O domina! pozwólcie mi iść z moją panią, abym jej służył i czuwał nad nią w domu Cezara. — Nie naszym, lecz Lygii jesteś sługą — odrzekła Pomponia Graecina — lecz zali cię dopuszczą do drzwi Cezara? i w jaki sposób potrafiśz czuwać nad nią? — Nie wiem, domina, wiem jeno, że żelazo kruszy się w moich rękach, jak drzewo... Aulus Plauciusz, który nadszedł na tę chwilę, dowiedziawszy się, o co chodzi, nie tylko nie sprzeciwił się chęci Ursusa, ale oświadczył, że nie mają nawet prawa go zatrzymywać. Odsyłają Lygię jako zakładniczkę, o którą upomina się Cezar — a zatem obowiązani są odesłać jej orszak — który przechodzi wraz z nią pod opiekę Cezara. Tu szepnął Pomponii, że, pod pozorem orszaku, może jej dodać tyle niewolnic, ile uzna za stosowne — centurion bowiem nie może odmówić ich przyjęcia. Dla Lygii była w tem pewna pociecha, Pomponia zaś również była rada, że może ją otoczyć służbą swego wyboru. Jakoż, prócz Ursusa, wyznaczyła jej starą szatną, dwie Cypryjki, biegłe w czesaniu, i dwie kąpielowe dziewczki giermańskie. Wybór jej padł wyłącznie na wyznawców nowej nauki, gdy zaś i Ursus wyznawał ją już od lat kilku, Pomponia mogła liczyć na wierność tej służby, a zarazem cieszyć się myślą, że ziarna prawdy zostaną posiane w domu Cezara. Napisała też kilka słów, polecając opiekę nad Lygią wyzwolenicy Neronowej, Akte. Pomponia nie widywała jej wprawdzie na zebraniach wyznawców nowej nauki, słyszała jednak od nich, że Akte nie odmawia im nigdy usług i że czytuje chciwie listy Pawła z Tarsu. Wiadomem jej było zresztą, iż młoda wyzwolenica żyje w ciągłym smutku, że jest istotą odmienną od wszystkich domowniczek Nerona, i że wogóle jest dobrym duchem pałacu. Hasta podjął się sam wręczyć list Akte. Uważając też za rzecz naturalną, że córka królewska musi mieć orszak swych sług, nie czynił najmniejszej trudności w zabranii ich do pałacu, dziwiąc się raczej małej ich liczbie. Prosił jednakże o pośpiech, z obawy, by nie być posądzonym o brak gorliwości w spełnianiu rozkazów. Godzina rozstania nadeszła. Oczy Pomponii i Lygii znów zapływały łzami; Aulus jeszcze raz złożył dłoń na jej głowie, i po chwili żołnierze, przeprowadzani krzykiem małego Aulusa, który, w obronie siostry, wygrażał swemi małemi pięściami centurionowi — uprowadzili Lygię do domu Cezara. Lecz stary wódz kazał gotować dla siebie lektykę, tymczasem zaś, zamknąwszy się z Pomponią w przyległej do oecus pinakotece, rzekł jej: — Słuchaj mnie, Pomponio. Udaję się do Cezara, choć sędzę, że napróżno, a jakkolwiek słowo Seneki nic już u niego nie znaczy, będę i u Seneki. Dziś więcej znaczą Sofoniusz, Tigellinus, Petroniusz lub Vatiniusz... Co do Cezara, może i nie słyszał on nigdy w życiu o narodzie Lygiów, i jeśli zażądał wydania Lygii, jako zakładniczki, to dlatego, iż ktoś go do tego podmówił, łatwo zaś odgadnąć, kto mógł to uczynić. A ona podniosła na niego nagle oczy: — Petroniusz?... — Tak jest. Nastąpiła chwila milczenia, poczem wódz mówił dalej: — Oto co jest wpuścić przez próg którego z tych ludzi bez czci i sumienia. Przekłęta niech będzie chwila, w której Viniciusz wszedł w nasz dom. On to sprowadził do nas Petroniusza. Biada Lygii, albowiem nie o zakładniczkę, tylko o nałożnicę im chodzi. I mowa jego, z gniewu, z bezsilnej wściekłości i z żalu za przybranem dzieckiem, stała się jeszcze bardziej świszcząca, niż zwykle. Czas jakiś zmagął się sam ze sobą i tylko zaciśnięte pięści świadczyły, jak ta wewnętrzna walka jest ciężka. — Czciłem dotychczas bogów — rzekł — ale w tej chwili myślę, że nie masz ich nad światem, i że jest tylko jeden, zły, szalony i potworny, któremu imię Nero. — Aulu! — rzekła Pomponia. — Nero jest tylko garścią zgniłego prochu wobec Boga. On zaś począł chodzić szerokimi krokami po mozaice pinakoteki. W życiu jego były wielkie czyny, ale nie było wielkich nieszczęść, więc nie był do nich przyzwyczajony. Stary żołnierz przywiązał się był do Lygii więcej, niż sam o tem wiedział, i teraz nie umiał się pogodzić z myślą, iż ją stracił. Prócz tego czuł się

upokorzony. Zaciężyła nad nim ręka, którą pogardzał, a jednocześnie czuł, że wobec jej siły, jego siła jest niczem. Lecz, gdy wreszcie potłumił w sobie gniew, który mieszał mu myśli, rzekł: — Sądzę, że Petroniusz nie odjął nam jej dla Cezara, nie chciałby bowiem narazić się Poppei. Więc albo dla siebie, albo dla Viniciusza... Dziś jeszcze dowiem się o tem. I po chwili lektyka unosiła go w stronę Palatynu, Pomponia zaś, zostawszy sama, poszła do małego Aula, który nie ustawał w płaczu za siostrą, i w pogrózkach przeciw Cezarowi.

ROZDZIAŁ V.

Aulus słusznie jednak domyślał się, że nie zostanie dopuszczony przed oblicze Nerona. Odpowiedziano mu, że Cezar zajęty jest śpiewem z lutnistą Terpnosem i że wogóle nie przyjmuje tych, których sam nie wezwał. Innemi słowy, znaczyło to, by Aulus nie próbował i na przyszłość widzieć się z nim. Natomiast Seneka, jakkolwiek chory na gorączkę, przyjął starego wodza ze czcią mu przynależną, ale gdy wysłuchał, o co mu chodzi, uśmiechnął się gorzko i rzekł: — Jedną ci tylko mogę oddać usługę, szlachetny Plauciuszu, to jest: nie okazać nigdy Cezarowi, że serce moje odczuwa twój ból i że chciałbym ci dopomódz; gdyby bowiem Cezar powziął najmniejsze pod tym względem podejrzenie, wiedz o tem, że nie oddałby ci Lygii, choćby nie miał do tego żadnych innych powodów, jak tylko, by mi uczynić na złość. Nie radził mu również udawać się ni do Tigellina, ni do Vatiniusza, ni do Viteliusza. Może pieniędzmi możnaby z nimi coś wskórać, może także chcieliby uczynić na złość Petroniuszowi, którego wpływ starają się podkopać, lecz najprawdopodobniej zdradziliby przed Cezarem, jak dalece Lygia jest dla Plauciuszów drogą, a wówczas Cezar tembardziejby jej nie oddał. Tu stary mędrzec począł mówić z gryzącą ironią, którą zwracał przeciw sobie samemu: „Milczałeś, Plauciuszu, milczałeś przez lata całe, a Cezar nie lubi tych, którzy milczą! Jakże ci było nie unosić się nad jego pięknosciami, cnotą, śpiewem, nad jego deklamacją, powożeniem i wierszami. Jakże ci było nie wysławiać śmierci Brytanika, nie powiedzieć mowy pochwalnej na cześć matkobójcy i nie złożyć życzeń z powodu uduszenia Oktawii. Brak ci przezorności, Aulu, którą my, żyjący szczęśliwie przy dworze, posiadamy w stopniu odpowiednim“. Tak mówiąc, wziął kubek, który nosił u pasa, zaczerpnął wody z fontanny impluvium, odświeżył spalone usta i mówił dalej: — Ach, Nero ma wdzięczne serce. Kocha ciebie, boś służył Rzymowi i imię jego rozstawił na krańcach świata, i kocha mnie, bom mu był mistrzem w młodości. Dlatego, widzisz, wiem, że ta woda nie jest zatruta i piję ją spokojny. Wino w moim domu byłoby mniej pewne, ale, jeśliś spragniony, to napij się śmiało tej wody. Wodociągi prowadzą ją aż z Gór Albańskich, i chcąc ją zatruci, trzeba by zatruci wszystkie fontanny w Rzymie. Jak widzisz, można być jeszcze na tym świecie bezpiecznym i mieć spokojną starość. Jestem chory wprawdzie, ale to raczej dusza choruje, nie ciało. Była to prawda. Senece brakło tej siły duszy, jaką posiadał na przykład Kornutus lub Trazeasz, więc życie jego było szeregiem ustępstw, czynionych zbrodni. Sam to czuł, sam rozumiał, że wyznawca zasad Zenona z Cytyum inną powinien był iść drogą, i cierpiał z tego powodu więcej, niż z obawy samej śmierci. Lecz wódz przerwał mu teraz zgryźliwe rozmyślenia. — Szlachetny Anneuszu — rzekł. — Wiem, jak Cezar wypłacił ci się za opiekę, którą otoczyłeś jego młode lata. Lecz sprawcą porwania nam dziecka jest Petroniusz. Wskaż mi na niego sposoby, wskaż wpływy, jakim ulega i sam wreszcie użyj z nim całej wymowy, jaką cię stara przyjaźń dla mnie natchnąć zdoła. — Petroniusz i ja — odpowiedział Seneka — jesteśmy ludzie z dwóch przeciwnych obozów. Sposobów na niego nie wiem, wpływom niczyim nie podlega. Być może, że przy całym swem zepsuciu, więcej on jeszcze wart od tych łotrów, którymi Nero dziś się otacza. Ale dowodzić mu, że popełnił zły uczynek, jest to tylko czas tracić; Petroniusz dawno zatracił ten zmysł, który złe od dobrego odróżnia. Dowiedz mu, że jego postępek jest szpetny, wówczas zawstydy się. Gdy się z nim zobaczę, powiem mu: czyn twój jest godny wyzwolenca. Jeśli to nie pomoże, nic nie pomoże. — Dzięki i za to — odrzekł wódz.

Poczem kazał się nieść do Viniciusza, którego zastał fechtującego się z domowym lanistą. Aulusa, na widok młodego człowieka, oddającego się spokojnie ćwiczeniom w chwili, gdy zamach na Lygię został spełniony, porwał straszliwy gniew, który też, za ledwie zasłona opadła za lanistą, wybuchnął potokiem gorzkich wyrzutów i obelg. Lecz Viniciusz, dowiedziawszy się, że Lygia została porwana, pobladł tak straszliwie, iż ani na chwilę, nawet Aulus, nie mógł go posądzać o współnictwo w zamachu. Czoło młodzieńca pokryło się kroplami potu; krew, która na chwilę uciekła do serca, napłynęła znów gorącą falą do twarzy, oczy poczęły sypać skrami, usta rzucać bezładne pytania. Zazdrość i wściekłość miotają nim naprzemian, jak wicher. Zdawało mu się, że Lygia, raz przestąpiwszy próg domu Cezara, jest dla niego stracona na zawsze, gdy zaś Aulus wymówił imię Petroniusza, podejrzenie, niby błyskawica, przeleciało przez myśl młodego żołnierza, że Petroniusz zdrwił z niego i że albo podarkiem Lygii chciał sobie zjednać nowe łaski Cezara, albo ją chciał zatrzymać dla siebie. To, żeby ktoś, ujrzawszy Lygię, nie zapragnął jej zarazem, nie mieściło mu się w głowie. Zapamiętałość, dziedziczna w jego rodzie, unosiła go teraz, jak rozhukany koń i odejmowała mu przytomność. — Wodzu — rzekł przerywanym głosem. — Wracaj do siebie i czekaj na mnie... Wiedz, że gdyby Petroniusz był ojcem moim, jeszczebym pomścił na nim krzywdę Lygii. Wracaj do siebie i czekaj mnie. Ni Petroniusz, ni Cezar mieć jej nie będą. Poczem zwrócił zaciśnięte pięści ku woskowym maskom, stojącym w szatach w atrium, i wybuchnął: — Na te maski śmiertelne! pierwszej zabiję ją i siebie. To rzekłszy, zerwał się i rzuciwszy raz jeszcze Aulusowi słowo: „czekaj mnie“, wybiegł jak szalony, z atrium i leciał do Petroniusza, roztrącając po drodze przechodniów. Aulus zaś wrócił do domu z pewną otuchą. Sądził, że jeśli Petroniusz namówił Cezara do porwania Lygii dla oddania jej Viniciuszowi, to Viniciusz odprowadzi ją do ich domu. Wreszcie niemałą pociechą była mu myśl, że Lygia, jeśli nie zostanie uratowaną, to będzie pomszczoną i zasłoniętą przez śmierć od hańby. Wierzył, że Viniciusz dokona wszystkiego, co przyrzekł. Widział jego wściekłość i znał zapalczywość, wrodzoną całemu temu rodowi. On sam, choć miłował Lygię, jak rodzony ojciec, wolałby był ją zabić, niż oddać Cezarowi i gdyby nie wzgląd na syna, ostatniego potomka rodu, byłby niechybnie to uczynił. Aulus był żołnierzem, o stoikach za ledwie słyszał, ale charakterem nie był od nich daleki i do jego pojęć, do jego dumy, śmierć przypadała łatwiej i lepiej od hańby. Wróciwszy do domu, uspokoił Pomponię, przelał w nią swą otuchę, i oboje poczęli oczekiwać wieści od Viniciusza. Chwilami, gdy w atrium odzywały się kroki którego z niewolników, sądzili, że to może Viniciusz odprowadza im kochane dziecko, i gotowi byli z głębi duszy pobłogosławić obojgu. Ale czas upływał i wieść żadna nie nadchodziła. Wieczorem dopiero ozwał się młotek przy bramie. Po chwili, niewolnik wszedł i oddał Aulusowi list. Stary wódz, jakkolwiek lubił okazywać panowanie nad sobą, wziął go jednak nieco drżącą ręką i począł czytać tak skwapliwie, jakby chodziło o cały jego dom. Nagle twarz mu zmierzchła, jakgdyby padł na nią cień od przelatującej chmury. — Czytaj — rzekł, zwróciwszy się do Pomponii. Pomponia wzięła list i czytała, co następuje: „Marcus Viniciusz pozdrowienie Aulowi Plauciuszowi. Co się stało, stało się z woli Cezara, przed którą schylcie głowy, jako schylamy ja i Petroniusz“. Poczem nastąpiło długie milczenie.

ROZDZIAŁ VI.

Petroniusz był w domu. Odzwierny nie śmiał zatrzymać Viniciusza, który wpadł do atrium, jak burza i dowiedziawszy się, że gospodarza należy szukać w bibliotece, tym samym pędem wpadł do biblioteki i zastawszy Petroniusza piszącego, wyrwał mu trzcinę z ręki, złamał ją, cisnął na ziemię, następnie wpił palce w jego ramiona i zbliżając twarz do jego twarzy, począł pytać chrapliwym głosem: — Coś z nią uczynił? Gdzie ona jest? Lecz nagle stała się rzecz zdumiewająca. Oto ów wysmukły i zniewieściały Petroniusz chwycił wpijającą mu się w ramię dłoń młodego atlety, zaczem

chwycił drugą i trzymając je obie w swojej jednej z siłą żelaznych kleszczy, rzekł: — Ja tylko zrana jestem niedołęgą, a wieczorem odzyskuję dawną sprężystość. Spróbuj się wyrwać. Gimnastyki musiał cię uczyć tkacz, a obyczajów kowal. Na twarzy jego nie znać było nawet gniewu, tylko w oczach mignął mu jakiś płowy odbłysek odwagi i energii. Po chwili, puścił ręce Viniciusza, który stał przed nim upokorzony, zawstydzony i wściekły. — Stalową masz rękę — rzekł — ale na wszystkich bogów piekielnych przysięgam ci, że, jeśliś mnie zdradził, wepchnę ci nóż w gardło, choćby w pokojach Cezara. — Pogadajmy spokojnie — odpowiedział Petroniusz. — Stal mocniejsza jest, jak widzisz, od żelaza, więc, choć z twego jednego ramienia możnaby moich dwa uczynić, nie potrzebuję się ciebie bać. Natomiast boleję nad twym grubiaństwem, a gdyby niewdzięczność ludzka mogła mnie jeszcze dziwić, dziwiłbym się twej niewdzięczności. — Gdzie jest Lygia? — W lupanarze, to jest w domu Cezara. — Petroniuszu! — Uspokój się i siadaj. Prosiłem Cezara o dwie rzeczy, które mi przyrzekł: naprzód o wydobyć Lygii z domu Aulusów, a powtóre o oddanie jej tobie. Czy nie masz tam gdzie noża w fałdach togi? Może mnie pchniesz! Ale ja ci radzę poczekać parę dni, bo wziętoby cię do więzienia, a tymczasem Lygia nudziłaby się w twym domu. Nastąpiło milczenie. Viniciusz poglądał czas jakiś zdumionemi oczyma na Petroniusza, poczem rzekł: — Przebac mi. Miłuję ją i miłość miesza moje zmysły. — Podziwiał mnie, Marku. Onegdaj rzekłem Cezarowi tak: mój siostrzeniec Viniciusz pokochał tak pewną chuderławą dziewczynę, która hoduje się u Aulusów, że dom jego zmienił się w łaźnię parową od westchnień. Ty (powiadam) Cezarze, ani ja, którzy wiemy, co jest prawdziwa piękność, nie dalibyśmy za nią tysiąca sestercyi, ale to chłopak zawsze był głupi, jak trójnóg, a teraz zgłupiał do reszty. — Petroniuszu! — Jeśli nie rozumiesz, żem to powiedział, chcąc zabezpieczyć Lygię, gotówem uwierzyć, żem powiedział prawdę. Wmówiłem w Miedzianobrodego, że taki esteta, jak on, nie może uważać takiej dziewczyny za piękność, i Nero, który dotąd nie śmie patrzeć inaczej, jak przez moje oczy, nie znajdzie w niej piękności, a nie znalazłszy, nie będzie jej pożądał. Trzeba się było przed małpą zabezpieczyć i wziąć ją na sznur. Na Lygii pozna się teraz nie on, ale Poppea, i oczywiście postara się ją jak najprędzej z pałacu wyprawić. Ja zaś mówiłem dalej z niechcenia Miedzianej brodzie: „Weź Lygię i daj ją Viniciuszowi! Masz prawo to uczynić, bo jest zakładniczką, a gdy tak postąpisz, wyrządzisz krzywdę Aulusowi“. I zgodził się. Nie miał najmniejszego powodu nie zgodzić się, tembardziej, że dałem mu sposobność dokuczenia porządny ludzom. Uczynią cię urzędowym stróżem zakładniczki, oddadzą ci w ręce ów skarb ligijski, ty zaś, jako sprzymierzeniec walecznych Lygiów, a zarazem wierny sługa Cezara, nietylko nic ze skarbu nie strwonisz, ale postarasz się o jego pomnożenie. Cezar, dla zachowania pozorów, zatrzyma ją kilka dni w domu, a potem odeśle do twojej insuli, szczęśliwczu! — Prawdą-ż to jest? Nic-że jej tam nie grozi w domu Cezara? — Gdyby tam miała stale zamieszkać, Poppea pogadałaby o niej z Lokustą, ale przez kilka dni nic jej nie grozi. W pałacu Cezara jest dziesięć tysięcy ludzi. Być może, że jej Nero wcale nie zobaczy, tembardziej, że wszystko powierzył mi do tego stopnia, iż przed chwilą centurion u mnie był z wiadomością, że odprowadził dziewczynę do pałacu i zdał ją w ręce Akte. To dobra dusza ta Akte, dlatego kazałem jej ją oddać. Pomponia Graecina jest widocznie również tego zdania, bo do niej pisała. Jutro jest uczta u Nerona. Wymówiłem ci miejsce obok Lygii. — Wybacz mi, Kaju, moją porywczosć — rzekł Viniciusz. — Sądziłem, żeś ją kazał uprowadzić dla siebie lub dla Cezara. — Ja mogę ci wybaczyć porywczosć, ale trudniej mi wybaczyć gminne giesta, rubaszne krzyki i głos, przypominający grających w morę. Tego nie lubię, Marku, i tego się strzeż. Wiedz, że stręczycielem Cezara jest Tigellinus, i wiedz także, że gdybym dziewczynę chciał wziąć dla siebie, tobym teraz, patrząc ci prosto w oczy, powiedział, co następuje: Viniciuszu! odbieram ci Lygię, i będę ją trzymał póty, póki mi się nie znudzi. Tak mówiąc, począł patrzeć swemi orzechowemi żrenicami wprost w oczy Viniciusza, z

wyrazem chłodnym i zuchwałym, młody człowiek zaś zmieszał się do reszty. — Wina jest moja — rzekł. — Jesteś dobry, zacny i dziękuję ci z całej duszy. Pozwól mi tylko zadać ci jeszcze jedno pytanie. Czemu nie kazałeś odesłać Lygii wprost do mego domu? — Bo Cezar chce zachować pozory. Będą o tem ludzie mówili w Rzymie, że zaś Lygię zabieramy, jako zakładniczkę, więc póki będą mówili, póty zostanie w pałacu Cezara. Potem odeślą ci ją pocichu i będzie koniec. Miedzianobrody jest tchórzliwym psem. Wie, że władza jego jest bez granic, a jednak stara się upozorować każdy postępek. Czy ochłonałeś już do tego stopnia, abys mógł trochę pofilozofować? Mnie samemu nieraz przychodziło na myśl, dlaczego zbrodnia, choćby była potężna, jak Cezar i pewna, jak on, bezkarności, stara się zawsze o pozory prawa, sprawiedliwości i cnoty?... Na co jej ten trud? Ja uważam, że zamordować brata, matkę i żonę, jest rzeczą godną jakiegoś azyatyckiego królika, nie rzymskiego cezara; ale, gdyby mi się to przytrafiło, nie pisałbym usprawiedliwiających listów do senatu... Nero zaś pisze — Nero szuka pozorów, bo Nero jest tchórzem. Ale taki Tyberiusz nie był tchórzem, a jednak usprawiedliwiał każdy swój występek. Czemu tak jest? Co to za dziwny, mimowolny hołd, składany przez zło cnotcie. I wiesz, co mi się zdaje? Oto, iż dzieje się tak dlatego, że występek jest szpetny, a cnota piękna. Ergo, prawdziwy esteta jest temsamem cnotliwym człowiekiem. Ergo, ja jestem cnotliwym człowiekiem. Muszę dziś wylać nieco wina ceniom Protagora, Prodyka i Gorgiasa. Pokazuje się, że i sofisci mogą się na coś przydać. Słuchaj, albowiem mówię dalej. Odjąłem Lygię Aulusom, by ją oddać tobie. Dobrze. Ale Lyzypp utworzyłby z was cudowne grupy. Oboje jesteście piękni, a więc i mój postępek jest piękny, a będąc pięknym, nie może być złym. Patrz, Marku, oto siedzi przed tobą cnota wcielona w Petroniusza! Gdyby Arystydes żył, powinienby przyjść do mnie i ofiarować mi sto min za krótki wykład o cnotcie. Lecz Viniciusz, jako człowiek, którego rzeczywistość więcej obchodziła od wykładów o cnotcie, rzekł: — Jutro zobaczę Lygię, a potem będę ją miał w domu moim codziennie, ciągle i do śmierci. — Ty będziesz miał Lygię, a ja będę miał na głowie Aulusa. Wezwie na mnie pomsty wszystkich podziemnych bogów. I gdyby przynajmniej bestya wzięła przedtem lekcyę porządnej deklamacyi... Ale on będzie wymyślał tak, jak moim klientom wymyślał dawny mój odźwierny, którego zresztą wysłałem za to na wieś do ergastulum. — Aulus był u mnie. Obiecałem mu przesłać wiadomość o Lygii. — Napisz mu, że wola „boskiego“ Cezara jest najwyższem prawem i że pierwszy twój syn będzie miał na imię Aulus. Trzeba, żeby stary miał jakąś pociechę. Jestem gotów prosić Miedzianobrodego, by go wezwał jutro na ucztę. Niechby cię zobaczył w triclinium obok Lygii. — Nie czyn tego — rzekł Viniciusz. — Mnie ich jednak żal, zwłaszcza Pomponii. I zasiadł, by napisać ów list, który staremu wodzowi odebrał resztę nadziei.

ROZDZIAŁ VII.

Przed Akte, dawną kochanką Nerona, schylały się niegdyś najwyższe głowy w Rzymie. Lecz ona i wówczas nawet nie chciała się mieszać do spraw publicznych, i jeśli kiedykolwiek używała swego wpływu na młodego władcę, to chyba dla wyproszenia dla kogoś litości. Cicha i pokorna, zjednała sobie wdzięczność wielu, nikogo zaś nie uczyniła swym nieprzyjacielem. Nie potrafiła jej znieawidzić nawet Oktawia. Zazdrosnym wydawała się zbyt mało niebezpieczną. Wiedzano o niej, że kocha zawsze Nerona miłością smutną i zboląłą, która żyje, już nie nadzieją, ale tylko wspomnieniami chwil, w których ów Nero był nietylko młodszym i kochającym, ale lepszym. Wiedzano, że od tych wspomnień nie może oderwać duszy i myśli, ale niczego już nie czeka, że zaś nie było istotnie obawy, aby Cezar do niej wrócił, patrzono na nią, jak na istotę zgoła bezbronną, i z tego powodu pozostawiono ją w spokoju. Poppea miała ją tylko za cichą sługę, tak dalece nieszkodliwą, że nie domagała się nawet usunięcia jej z pałacu. Ponieważ jednak Cezar kochał ją niegdyś i porzucił bez urazy, w spokojny, a nawet poniekąd przyjazny sposób, zachowano dla niej

pewne względy. Nero, wyzwoliwszy ją, dał jej w pałacu mieszkanie, a w niem osobne cubiculum i garść ludzi ze służby. A gdy swego czasu Pallas i Narcyz, chociaż Klaudiuszowi wyzwoleńcy, nietylko zasiadali z Klaudiuszem do uczt, ale jako potężni ministrowie, zabierali poczesne miejsca, więc i ją zapraszano czasem do stołu Cezara. Czyniono to może dlatego, że jej śliczna postać stanowiła prawdziwą ozdobę uczy. Zresztą Cezar w doborze towarzystwa oddawna już przestał się rachować z jakimikolwiek względami. Do stołu jego zasiadała najróżnorodniejsza mieszanina ludzi wszelkich stanów i powołań. Byli między nimi senatorowie, ale przeważnie tacy, którzy godzili się być zarazem błaznami. Byli patrycyusze starzy i młodzi, spragnieni rozkoszy, zbytku i użycia. Bywały kobiety, noszące wielkie imiona, lecz nie wahające się wkładać wieczorem płowych peruk i szukać dla rozrywki przygód na ciemnych ulicach. Bywali i wysocy urzędnicy i kapłani, którzy przy pełnych czarach sami radzi drwili z własnych bogów, obok nich zaś wszelkiego rodzaju hałastra, złożona ze śpiewaków, z mimów, muzyków, tancerzy i tancerek, z poetów, którzy deklamując wiersze, myśleli o sestercyach, jakie im za pochwałę wierszy cesarowych spaść mogą; z filozofów-głodomorów, odprowadzających chciwemi oczyma podawane potrawy, wreszcie ze słynnych woźniców, sztukmistrzów, cudotwórców, bajarzy, trefnisiów, wreszcie z przeróżnych, pasowanych przez modę lub głupotę na jednodniowe znakomitości, drapichrustów, między którymi nie brakło i takich, co długimi włosami pokrywali przekłute na znak niewolnictwa uszy. Słynniejsi zasiadali wprost do stołów, mniejsi służyli do rozrywki w czasie jedzenia, czekając na chwilę, w której służba pozwoli im rzucić się na resztki potraw i napojów. Gości tego rodzaju dostarczali Tigellinus, Watyniusz i Witeliusz, gościom zaś zmuszeni byli nieraz dostarczać odzieży, odpowiedniej do pokoiów Cezara, który zresztą lubił takie towarzystwo, czując się w niem najswobodniejszym. Zbytek dworu złościł wszystko i wszystko pokrywał blaskiem. Wielcy i mali, potomkowie wielkich rodów i hołota z bruku miejskiego, potężni artyści i liche wyskrobki talentów, cisnęli się do pałacu, by nasycić olśnione oczy przepychem, niemal przechodzącym ludzkie pojęcie, i zbliżyć się do rozdawcy wszelkich łask, bogactw i dobra, którego jedno widzimisię mogło wprawdzie poniżyć, ale mogło i wynieść bez miary. Dnia tego i Lygia miała wziąć udział w podobnej uczcie. Strach, niepewność i odurzenie, niedziwne po nagłym przejściu, walczyły w niej z chęcią oporu. Bała się Cezara, bała się ludzi, bała się pałacu, którego gwar odejmował jej przytomność, bała się uczt, o których sromocie słyszała od Aulusa, od Pomponii Graeciny i ich przyjaciół. Będąc młodą dziewczyną, nie była jednak nieświadomą, albowiem świadomość złego, w owych czasach, wczesnie dochodziła nawet do dziecięcych uszu. Wiedziała więc, że w tym pałacu grozi jej zguba, o której zresztą ostrzegła ją w chwili rozstania i Pomponia. Mając jednak duszę młodą, nieobytą z zepsuciem i wyznając wysoką naukę, wszczepioną jej przez przybraną matkę, przyrzekła bronić się od owej zguby: matce, sobie i zarazem temu Boskiemu nauczycielowi, w którego nietylko wierzyła, ale którego pokochała swem w pół dziecinnem sercem za słodycz nauki, za gorycz śmierci i za chwałę zmartwychpowstania. Była też pewna, że teraz już ni Aulus, ni Pomponia Graecina nie będą odpowiadali za jej postęпки, zamyślała więc, czy nie lepiej będzie stawić opór i nie iść na ucztę. Z jednej strony strach i niepokój głośno gadały w jej duszy, z drugiej rodziła się w niej chęć okazania odwagi, wytrwałości, narażenia się na mękę i śmierć. Wszakże Boski nauczyciel tak kazał. Wszakże sam dał przykład. Wszakże Pomponia opowiadała jej, że gorliwsi między wyznawcami pożądamy całą duszą takiej próby i modlą się o nią. I Lygię, gdy jeszcze była w domu Aulusów, opanowywała chwilami podobna żądza. Widziała się męczennicą, z ranami w rękach i stopach, białą, jak śniegi, piękną nadziemską pięknnością, niesioną przez równie białych aniołów w błękit, i podobnemi widzeniami lubowała się jej wyobraźnia. Było w tem dużo marzeń dziecinnych, ale było i nieco upodobania w samej sobie, które karciała Pomponia. Teraz zaś, gdy opór woli Cezara mógł pociągnąć za sobą jakąś okrutną karę i

gdy widywane w marzeniach męczarnie mogły się stać rzeczywistością, do pięknych widzeń, do upodobań, dołączyła się jeszcze, pomieszana ze strachem, jakaś ciekawość, jak też ją skarżą i jaki rodzaj mąk dla niej obmyślą. I tak wahała się jej wół jeszcze dziecinna dusza na dwie strony. Lecz Akte, dowiedziawszy się o tych wahaniach, spojrzała na nią z takim zdumieniem, jakby dziewczyna mówiła w gorączce. Okazać opór woli Cezara? Narazić się od pierwszej chwili na jego gniew? Na to trzeba chyba być dzieckiem, które nie wie, co mówi. Z własnych oto słów Lygii pokazuje się, że właściwie nie jest ona zakładniczką, ale dziewczyną zapomnianą przez swój naród. Nie broni jej żadne prawo narodów, a gdyby jej nawet broniło, Cezar dość jest potężny, by je w chwili gniewu podeptać. Cezarowi spodobało się ją wziąć i odtąd nią rozporządza. Odtąd jest ona na jego woli, nad którą nie masz innej na świecie. — Tak jest — mówiła dalej — i ja czytałam listy Pawła z Tarsu, i ja wiem, że nad ziemią jest Bóg i jest Syn Boży, który zmartwychwstał, ale na ziemi jest tylko Cezar. Pamiętaj o tem, Lygio. Wiem także, że twoja nauka nie pozwala ci być tem, czem ja byłam, i że wam, jak i stoikom, o których opowiadał mi Epiktet, gdy przyjdzie wybór między sromotą a śmiercią, śmierć tylko wybrać wolno. Ale czy możesz zgadnąć, że cię czeka śmierć, nie sromota? Zali nie słyszałaś o córce Sejana, która małym była jeszcze dziewczętkiem, a która z Tyberyuszowego rozkazu musiała, dla zachowania prawa, które zabrania karać dziewic śmiercią, przejść przez hańbę przed zgonem? Lygio, Lygio, nie drażnij Cezara. Gdy przyjdzie chwila stanowcza, gdy musisz wybierać między hańbą a śmiercią, postąpisz tak, jak ci twoja Prawda wskazuje, ale nie szukaj dobrowolnie zguby i nie drażnij z błahaego powodu ziemskiego, a przytem okrutnego, boga. Akte mówiła z wielką litością i nawet z uniesieniem, a mając z natury wzrok nieco krótki, przysunęła blisko swą słodką twarz do twarzy Lygii, jakby chcąc sprawdzić, jakie jej słowa czynią wrażenie. Lygia zaś, zarzuciwszy z ufnością dziecka ręce na jej szyję, rzekła: — Ty dobra jesteś, Akte. Akte, ujęta pochwałą i ufnością, przycisnęła ją do serca, a następnie, uwolniwszy się z ramion dziewczyny, odpowiedziała: — Moje szczęście minęło i radość minęła, ale zła nie jestem. Poczem jeła chodzić szybkimi krokami po izbie i mówić do siebie jakby z rozpaczą: — Nie! I on nie był zły. On sam myślał wówczas, że jest dobry, i chciał być dobrym. Ja to wiem najlepiej. To wszystko przyszło później... gdy przestał kochać... To inni uczynili go takim, jak jest — to inni — i Poppea! Tu rzęsy jej pokryły się łzami. Lygia wodziła za nią czas jakiś swemi błękitnymi oczyma, a wreszcie rzekła: — Ty go żałujesz, Akte? — Żałuję! — odpowiedziała głucho Greczynka. I znów poczęła chodzić ze ściśniętymi, jakby z bólu, rękoma i twarzą bezradną. A Lygia pytała nieśmiało dalej: — Ty go jeszcze kochasz, Akte? — Kocham... Po chwili zaś dodała: — Jego nikt, prócz mnie, nie kocha... Nastąpiło milczenie, podczas którego Akte usiłowała odzyskać zmaconą wspomnieniami spokojność i gdy wreszcie twarz jej przybrała znów zwykły wyraz cichego smutku, rzekła: — Mówmy o tobie, Lygio. Nie myśl nawet o tem, by sprzeciwić się Cezarowi. To byłoby szaleństwem. Wreszcie uspokój się. Znam dobrze ten dom i sądzę, że ze strony Cezara nic ci nie grozi. Gdyby Nero kazał cię porwać dla siebie, nie sprowadzaliby cię na Palatyn. Tu władza Poppea, a Nero, od czasu, gdy mu powiła córkę, jest jeszcze bardziej pod jej władzą... Nie. Nero kazał wprowadzić, byś była na uczcie, ale nie widział cię dotąd, nie zapytał o ciebie, więc mu o ciebie nie chodzi. Może odebrał cię Aulusowi i Pomponii tylko przez złość do nich... Do mnie Petroniusz pisał, bym miała nad tobą opiekę, a że pisała, jak wiesz, i Pomponia, więc chyba porozumieli się ze sobą. Może on to uczynił na jej prośbę. Jeśli tak jest, jeśli i on na prośbę Pomponii zaopiekuje się tobą, nic ci nie grozi i kto wie nawet, czy Nero za jego namową nie odeśle cię do Aulusów. Nie wiem, czy Nero zbyt go kocha, ale wiem, że rzadko śmie być przeciwnego z nim zdania. — Ach, Akte — odpowiedziała Lygia. — Petroniusz był u nas przedtem, niż mnie zabrali, i matka moja była przekonana, iż Nero zażądał wydania mnie z jego namowy. — To byłoby źle — rzekła Akte. Lecz, zamyśliwszy się przez chwilę,

mówiła dalej: — Może jednak Petroniusz wygadał się tylko przed Neronem przy jakiej wieczerzy, że widział u Aulusów zakładniczkę Lygiów, i Nero, który jest zazdrosny o swoją władzę, zażądał cię tylko dlatego, że zakładnicy należą do Cezara. On zresztą nie lubi Aulusa i Pomponii... Nie! Nie zdaje mi się, by Petroniusz, gdyby cię chciał odebrać Aulusowi, chwycił się takiego sposobu... Nie wiem, czy Petroniusz jest lepszy od tych, którzy otaczają Cezara, ale jest inny... Może wreszcie, prócz niego, znajdziesz jeszcze kogo, kto by się chciał wstawić za tobą. Czy u Aulusów nie poznałaś kogo z bliskich Cezara? — Widywałam Wespazyana i Tytusa. — Cezar ich nie lubi. — I Senekę. — Dość, by Seneka coś poradził, aby Nero postąpił inaczej. Jasna twarz Lygii poczęła pokrywać się rumieńcem. — I Viniciusza... — Nie znam go. — To krewny Petroniusza, który wrócił niedawno z Armenii... — Czy myślisz, że Nero rad go widzi? — Viniciusza lubią wszyscy. — I chciałby się wstawić za tobą? — Tak. Akte uśmiechnęła się tkliwie i rzekła: — To go pewnie na uczcie zobaczysz. Być na niej musisz, naprzód dlatego, że musisz... Tylko takie dziecko, jak ty, mogło pomyśleć inaczej. Powtóre, jeśli chcesz wrócić do domu Aulusów, znajdziesz sposobność proszenia Petroniusza i Viniciusza, by swoim wpływem wyjednali dla cię prawo powrotu. Gdyby tu byli, obaj powiedzieliby ci to, co ja: że szaleństwem i zgubą byłoby próbować oporu. Cezar mógłby wprawdzie nie dostrzedz twej nieobecności, lecz gdyby dostrzegł i pomyślał, że śmiałaś się sprzeciwić jego woli, nie byłoby już dla ciebie ratunku. Chodź, Lygio... Czy słyszysz ten gwar w domu? Słońce się zniża i goście już wkrótce zaczną przybywać. — Masz słusność, Akte — odpowiedziała Lygia — i pójdę za twoją radą. Ile w tem postanowieniu było chęci zobaczenia Viniciusza i Petroniusza, ile kobiecej ciekawości, by raz w życiu ujrzeć taką ucztę, a na niej Cezara, dwór, słynną Poppeę i inne piękności, i cały ten niesłychany przepych, o którym cuda opowiadano w Rzymie, sama Lygia nie umiała sobie zapewne zdać sprawy. Lecz Akte swoją drogą miała słusność i dziewczyna czuła to dobrze. Iść było trzeba, więc gdy konieczność i prosty rozum wsparły ukrytą pokusę, przestała się wahać. Akte zaprowadziła ją wówczas do własnego unctorium, by ją namaścić i ubrać, a jakkolwiek w domu Cezara nie brakło niewolnic i Akte miała ich sporo dla osobistej usługi, jednak przez współczucie dla dziewczyny, której niewinność i piękność chwyciły ją za serce, sama postanowiła ją ubrać. I zaraz pokazało się, że w młodej Greczynce, mimo jej smutku i mimo wczytywania się w listy Pawła z Tarsu, zostało wiele jeszcze dawnej duszy helleńskiej, do której piękność ciała przemawiała silniej, niż wszystko inne na świecie. Obnażywszy Lygię, na widok jej kształtów, zarazem wiotkich i pełnych, utworzonych jakby z perłowej masy i róży, nie mogła wstrzymać okrzyku podziwienia, i odstąpiwszy kilka kroków, patrzyła z zachwytem na tę niezrównaną wiosenną postać. — Lygio! — zawołała wreszcie — tyś stokroć piękniejsza od Poppei! Lecz dziewczyna, wychowana w surowym domu Pomponii, gdzie skromności przestrzegano nawet wówczas, gdy kobiety były same ze sobą, stała — cudna, jak cudny sen, harmonijna, jak dzieło Praksytelesa, lub jak pieśń, ale zmieszana, różowa od wstydu, ze ściśniętymi kolany, z rękoma na piersi i ze spuszczone na oczy rzęsami. Wreszcie, podniósłszy nagłym ruchem ramiona, wyjęła szpilki, podtrzymujące włosy i w jednej chwili, jednym wstrząśnięciem głowy, okryła się nimi, jak płaszczem. Akte zaś, zbliżywszy się i dotykając jej ciemnych splotów, mówiła: — O jakie ty masz włosy!... Nie posypię ich złotym pudrem, one same przeświecają gdzieniegdzie złotem na skrętach... Ledwie że może tu i owdzie dodam złotego połysku, lecz lekko, lekko, jakby rozjaśnił je promień... Cudny musi być wasz kraj Lygijski, gdzie takie się rodzą dziewczyny. — Ja go nie pamiętam — odrzekła Lygia — Ursus tylko mi mówił, że u nas lasy, lasy i lasy. — A w lasach kwiaty kwitną — mówiła Akte, maczając dłonie w wazie, pełnej werweny i zwilżając nią włosy Lygii. Po ukończeniu zaś tej roboty, poczęła maścić leciuchno całe jej ciało wonnymi olejkami z Arabii, a następnie przyoblekła je w miękką złotej barwy tunikę bez rękawów, na którą miało przyjść śnieżne peplum.

Lecz że przedtem trzeba było uczesać włosy, więc tymczasem owinęła ją w rodzaj obszernej szaty, zwanej synthesis i, usadziwszy na krześle, oddała ją na chwilę w ręce niewolnic, by czuwać zdaleka nad czesaniem. Dwie niewolnice poczęły nakładać jednocześnie na nóżki Lygii białe, haftowane purpurą trzewiki, przypasując je na krzyż złotymi taśmami do alabastrowych kostek. Gdy wreszcie czesanie było skończone, ułożono na niej peplum w prześliczne lekkie fałdy, poczem Akte, zapiąwszy jej perły na szyi i dotknąwszy włosów na skrętach złocistym pyłem, sama kazała się przybierać, wodząc przez cały czas zachwyconemi oczyma za Lygią. Lecz wnet była gotowa, a gdy przed główną bramą pierwsze dopiero zaczęły się ukazywać lektyki, weszły obie do bocznego kryptoportyku, z którego widać było główną bramę, wewnętrzne galerie i dziedziniec, otoczony kolumnadą z numidyjskiego marmuru. Stopniowo coraz więcej ludzi przechodziło pod wyniosłym łukiem bramy, nad którą wspaniała kwadryga Lyziasza zdawała się unosić w powietrzu Apollina i Dyanę. Oczy Lygii uderzył pyszny widok, o którym skromny dom Aulusa nie mógł jej dać najmniejszego pojęcia. Była to chwila zachodu słońca i ostatnie jego promienie padały na żółty numidyjski marmur kolumn, który w tych blaskach świecił jak złoto, i zarazem mienił się na różowo. Wśród kolumn, obok białych posągów Danaid i innych, przedstawiających bogów lub bohaterów, przepływały tłumy ludzi, mężczyzn i kobiet, podobnych również do posągów, bo udrapowanych w togi, peplumy i stole, spływające z wdziękiem ku ziemi miękkimi fałdami, na których dogasały blaski zachodzącego słońca. Olbrzymi Herkules, z głową jeszcze w świetle, od piersi pogrążon już w cieniu, rzucanym przez kolumnę, spoglądał z góry na ów tłum. Akte pokazywała Lygii senatorów w szeroko obramowanych togach, w barwnych tunikach i z półksiężycami na obuwiu, i rycerzy, i słynnych artystów, i rzymskie panie, przybrane w sposób rzymski, to grecki, to w fantastyczne wschodnie stroje, z włosami upiętymi w wieże, w piramidy, lub zaczesane na wzór posągów bogiń nisko przy głowie, a strojne w kwiaty. Wielu mężczyzn i wiele kobiet nazywała Akte po imieniu, dodając do imion krótkie i nieraz straszne historye, przejmujące Lygię strachem, podziwem, zdumieniem. Był to dla niej świat dziwny, którego pięknnością napawały się jej oczy, ale którego przeciwieństw nie umiał pojąć jej dziewczęcy rozum. W tych zorzach na niebie, w tych szeregach nieruchomych kolumn, ginących w głębi, i w tych ludziach, podobnych do posągów, był jakiś wielki spokój; zdawało się, że wśród owych prostolinijnych marmurów powinni żyć jacyś próżni trosk, ukojeni i szczęśliwi półbogowie, tymczasem cichy głos Akte odkrywał raz po raz coraz inną, straszną tajemnicę i tego pałacu i tych ludzi. Oto tam zdala widać kryptoportyk, na którego kolumnach i podłodze czerwieni się jeszcze krwawe plamy krwi, którą obluzgał białe marmury Kaligula, gdy padł pod nożem Kassiusza Cherei; tam zamordowano jego żonę; tam dziecko rozbito o kamienie; tam pod tem skrzydłem jest podziemie, w którym gryzł ręce z głodu młodszy Drusus; tam otruto starszego, tam wił się ze strachu Gemellus, tam z konwulsji Klaudiusz, tam Germanik, wszędy te ściany słyszały jęki i chrapanie konających, a ci ludzie, którzy śpieszą teraz na ucztę w togach, w barwnych tunikach, w kwiatkach i klejnotach, to może jutrzejsi skazańcy; może na niejednej twarzy uśmiech pokrywa strachy, niepokój, niepewność jutra; może gorączka, chciwość, zazdrość wżerają się w tej chwili w serca tych napozór beztroskich, uwieńczonych półbogów. Spłoszone myśli Lygii nie mogły nadażyć za słowami Akte, i gdy ów cudny świat przyciągał z coraz większą siłą jej oczy, serce ścisnęło się w niej przestraszeniem, a w duszy zerwała się nagle niewypowiedziana i niezmierna tęsknota za kochaną Pomponią Graeciną i za spokojnym domem Aulusów, w którym panowała miłość, nie zbrodnia. Tymczasem od Vicus Apollinis napływały coraz nowe fale gości. Z za bramy dochodził gwar i okrzyki klientów odprowadzających swych patronów. Dziedziniec i kolumnady zaroily się od mnóstwa cesarowych niewolników, niewolnic, małych pacholąt i pretoriańskich żołnierzy, utrzymujących straż w pałacu. Gdzieniedzie, między białymi lub smagłymi twarzami, zaczerniała twarz Numida, w pierzastym

hełmie i z wielkimi złocistymi kółkami w uszach. Niesiono lutnie, cytry, pęki sztucznie wyhodowanych mimo późnej jesieni kwiatów, lampy ręczne srebrne, złote i miedziane. Coraz głośniejszy szmer rozmów mieszał się z pluskiem fontanny, której różowe od wieczornych blasków warkocze, spadając z wysoka na marmury, rozbijały się na nich jakby z łkaniem. Akte przestała opowiadać, lecz Lygia patrzyła ciągle, jakby wypatrując kogoś w tłumach. I nagle twarz jej pokryła się rumieńcem. Z pomiędzy kolumn wysunęli się Viniciusz i Petroniusz i szli ku wielkiemu tryklinium, piękni, spokojni, podobni w swoich togach do białych bogów. Lygii, gdy wśród obcych ludzi ujrzała te dwie znajome i przyjazne twarze, a zwłaszcza, gdy ujrzała Viniciusza, zdawało się, że wielki ciężar spadł z jej serca. Uczuła się mniej samotną. Ta niezmierna tęsknota za Pomponią i domem Aulusów, która zerwała się w niej przed chwilą, przestała nagle być dotkliwą. Pokusa widzenia Viniciusza i rozmowy z nim zgłuszyła inne głosy. Próżno przypominała sobie wszystko złe, które słyszała o domu Cezara, i słowa Akte, i przestrogi Pomponii, mimo tych słów i przestróg poczuła nagle, że na tej uczcie nietylko być musi, ale chce: na myśl, że za chwilę usłyszy ten miły i upodobany głos, który jej mówił o miłości i o szczęściu, godnem bogów, i który brzmiał dotąd w jej uszach, jak pieśń, chwyciła ją wprost radość. Lecz nagle złękła się tej radości. Wydało jej się, że w tej chwili zdradza i tę czystą naukę, w jakiej ją wychowano, i Pomponię i siebie samą. Inna rzecz jest iść pod przymusem, a inna radować się taką koniecznością. Uczuła się winną, niegodną i zgubioną. Porwała ją rozpacz i chciało jej się płakać. Gdyby była sama, byłaby klękała i poczęła się bić w piersi, powtarzając: moja wina, moja wina! Akte, wzięwszy teraz jej rękę, wiodła ją przez wewnętrzne pokoje do wielkiego tryklinium, w którym miała odbywać się uczta, a jej ćmiło się w oczach, szumiało od wewnętrznych wzruszeń w uszach i bicie serca tamowało jej oddech. Jak przez sen ujrzała tysiące lamp migocących i na stołach, i na ścianach, jak przez sen usłyszała okrzyk, którym witano Cezara, jak przez mgłę dojrzała jego samego. Okrzyk zgłuszył ją, blask olśnił, odurzyły wonie i, straciwszy resztę przytomności, zaledwie mogła rozeznąć Akte, która, umieściwszy ją przy stole, sama zajęła miejsce obok. Lecz po chwili, niski, znajomy głos ozwał się z drugiej strony: — Bądź pozdrowiona najpiękniejsza z dziewczic na ziemi i z gwiazd na niebie. Bądź pozdrowiona boska Kallino! Lygia, oprzytomniawszy nieco, spojrzała: obok niej spoczywał Viniciusz. Był bez togi, albowiem wygoda i zwyczaj nakazywały zrzucać togi do uczty. Ciało okrywała mu tylko szkarłatna tunika bez rękawów, wyszyta w srebrne palmy. Ramiona miał nagie, ozdobione obyczajem wschodnim dwoma szerokimi złotymi naramiennikami, upiętymi powyżej łokci, niżej, starannie oczyszczone z włosów, gładkie, lecz zbyt muskularne, prawdziwe ramiona żołnierza, stworzone do miecza i tarczy. Na głowie nosił wieniec z róż. Ze swemi zrośniętymi nad nosem brwiami, z przepysznyemi oczyma i smagłą cerą, był jakby uosobieniem młodości i siły. Lygii wydał się tak piękny, że jakkolwiek pierwsze jej odurzenie już przeszło, zaledwie zdołała odpowiedzieć: — Bądź pozdrowiony, Marku... On zaś mówił: — Szczęśliwe oczy moje, które cię widzą; szczęśliwe uszy, które słyszały twój głos, miłszy mi od głosu fletni i cytr. Gdyby mi kazano wybierać, kto ma spoczywać przy mnie na tej uczcie, czy ty, Lygio, czy Wenus, wybrałbym ciebie, o boska! I począł patrzeć na nią, jakby chciał nasycić się jej widokiem i palił ją oczyma. Wzrok jego ześlizgiwał się z jej twarzy na szyję i obnażone ramiona, pieścił jej śliczne kształty, lubował się nią, ogarniał ją, pochłaniał, lecz, obok żądy, świeciło w nim szczęście i rozmiłowanie, i zachwyty bez granic. — Wiedziałem, że cię zobaczę w domu Cezara — mówił dalej — a jednak, gdy cię ujrzałem, całą duszą moją wstrząsnęła taka radość, jakby mnie całkiem niespodziane szczęście spotkało. Lygia, oprzytomniawszy, i czując, że w tym tłumie, i w tym domu jest on jedyną bliską jej istotą, poczęła mówić z nim i wypytywać go o wszystko, co było dla niej niezrozumiałem i co przejmowało ją strachem. Skąd wiedział, że ją znajdzie w domu Cezara i dlaczego ona tu jest? Dlaczego Cezar

odebrał ją Pomponii? Ona się tu boi i chce do niej powrócić. Umarłaby z tęsknoty i niepokoju, gdyby nie nadzieja, że Petroniusz i on wstawią się za nią do Cezara. Viniciusz tłumaczył jej, iż o jej porwaniu dowiedział się od samego Aulusa. Dlaczego ona tu jest, nie wie. Cezar nikomu nie zdaje sprawy ze swoich rozporządzeń i rozkazów. Jednakże, niechaj się nie boi. Oto on, Viniciusz, jest przy niej i pozostanie przy niej. Wolałby stracić oczy, niż jej nie widzieć, wolałby stracić życie, niż ją opuścić. Ona jest jego duszą, więc będzie jej strzegł jak własnej duszy. Zbuduje jej u siebie w domu ołtarz, jak swemu bóstwu, na którym będzie ofiarowywał myrrę i aloes, a wiosną sasanki i kwiat jabłoni... A skoro się boi domu Cezara, więc jej przyrzeka, że w domu tym nie pozostanie. A jakkolwiek mówił wykrętnie i chwilami zmyślał, w głosie jego czuć było prawdę, ponieważ uczucia jego były prawdziwe. Ogarniała go także szczerza litość i słowa jej wnikały mu do duszy tak, że gdy zaczęła dziękować i zapewniać go, że Pomponia pokocha go za jego dobroć, a ona sama będzie mu całe życie wdzięczna, nie mógł opanować wzruszenia i zdawało mu się, że nigdy w życiu nie potrafi się oprzeć jej prośbie. Serce poczęło w nim topnieć. Piękność jej upajała jego zmysły i pragnął jej, lecz zarazem czuł, że jest mu bardzo droga i że naprawdę mógłby ją wielbić, jak bóstwo; czuł również niepomaganą potrzebę mówienia o jej piękności i o swem dla niej uwielbieniu, że zaś gwar przy uczcie wznagał się, więc, przysunawszy się bliżej, począł jej szeptać wyrazy dobre, słodkie, płynące z głębi duszy, dźwięczne, jak muzyka, a upajające, jak wino. I upajał ją. Wśród tych obcych, którzy ją otaczali, wydawał jej się coraz bliższym, coraz miłszym, i zupełnie pewnym, i całą duszą oddanym. Uspokoił ją, obiecał wyrwać z domu Cezara; obiecał, że jej nie opuści i że będzie jej służył. Prócz tego, przedtem, u Aulusów, rozmawiał z nią tylko ogólnie o miłości i o szczęściu, jakie ona dać może, teraz zaś mówił już wprost, że ją kocha, że mu jest najmiłszą i najdroższą. Lygia po raz pierwszy słyszała takie słowa z męskich ust i w miarę, jak słuchała, zdawało się jej, że coś budzi się w niej, jak ze snu, że ogarnia ją jakieś szczęście, w którym niezmierna radość miesza się z niezmiernym niepokojem. Policzki jej poczęły pałać, serce bić, usta rozchyliły się jakby z podziwu. Brał ją strach, że takich rzeczy słucha, a nie chciałaby za nic w świecie uronić jednego słowa. Chwilami spuszczała oczy, to znów podnosiła na Viniciusza wzrok świetlisty, bojaźliwy i zarazem pytający, jakby pragnęła mu powiedzieć: „mów dalej!“ Gwar, muzyka, woń kwiatów, i woń arabskich kadzideł poczęły ją znów odurzać. W Rzymie było zwyczajem spoczywać przy ucztach, lecz w domu Lygia zajmowała miejsce między Pomponią i małym Aulusem, teraz zaś spoczywał obok niej Viniciusz, młody, ogromny, rozkochany, pałający, ona zaś, czując żar, który od niego bił, doznawała zarazem wstydu i rozkoszy. Ogarniała ją jakaś słodka niemoc, jakaś omdlałość i zapomnienie, jakby ją morzył sen. Lecz bliskość jej poczęła działać i na niego. Twarz mu zbladła. Nozdrza rozdeły mu się, jak u wschodniego konia. Widać i jego serce biło pod szkarłatną tuniką niezwykle tętnem, bo oddech jego stał się krótki, a wyrazy rwały mu się w ustach. I on po raz pierwszy był tak tuż przy niej. Myśli poczęły mu się mącić; w żyłach czuł płomień, który próżno chciał ugasić winem. Nie wino jeszcze, ale jej cudna twarz, jej nagie ręce, jej dziewczęca pierś, falująca pod złotą tuniką, i jej postać ukryta w białych fałdach peplum, upajały go coraz więcej. Wreszcie objął jej rękę powyżej kostki, jak to raz już uczynił w domu Aulusów i, ciągnąc ją ku sobie, począł szeptać drżącymi wargami: — Ja ciebie kocham, Kallino... boska moja... — Marku, puść mnie — rzekła Lygia. On zaś mówił dalej z oczyma zaszłemi mgłą: — Boska moja! — Kochaj mnie... Lecz w tej chwili ozwał się głos Akte, która spoczywała z drugiej strony Lygii: — Cezar patrzy na was. Viniciusza porwał nagły gniew i na Cezara i na Akte. Oto słowa jej rozproszyły czar upojenia. Młodemu człowiekowi nawet przyjazny głos wydałby się w takiej chwili natrętnym, sądził zaś, że Akte pragnie umyślnie przeszkodzić jego rozmowie z Lygią. Więc, podniósłszy głowę i spojrzawszy na młodą wyzwolenicę poprzez ramiona Lygii, rzekł ze złością: — Minał czas Akte,

gdyś na ucztach spoczywała obok Cezara, i mówią, że ci grozi ślepotą, więc jakże możesz go dojrzeć? A ona odpowiedziała jakby ze smutkiem: — Widzę go jednak... On także ma krótki wzrok, i patrzy na was przez szmaragd. Wszystko, co czynił Nero, wzbudzało czujność, nawet w jego najbliższych, więc Viniciusz zaniepokoił się, ochłonał — i począł spoglądać nieznacznie w stronę Cezara. Lygia, która na początku uczy, widziała go ze zmieszania, jak przez mgłę, a potem, pochłonięta przez obecność i rozmowę Viniciusza, nie patrzyła nań wcale, teraz zwróciła także ku niemu zarazem ciekawe i przestraszone oczy. Akte mówiła prawdę. Cezar, pochylony nad stołem i zmrużywszy jedno oko, a trzymając palcami przy drugim okrągły wypolerowany szmaragd, którym stale się posługiwał, patrzył na nich. Na chwilę wzrok jego spotkał się z oczyma Lygii i serce dziewczyny ścisnęło się przerażeniem. Gdy, dzieckiem jeszcze, bywała w wiejskiej sycylijskiej posiadłości Aulusów, stara niewolnica egipska opowiadała jej o smokach, zamieszkujących czeluście gór, i otóż teraz wydało jej się, że nagle spojrzeło na nią zielonawe oko takiego smoka. Dłonią chwyciła rękę Viniciusza, jak dziecko, które się boi, a do głowy poczęły jej się cisnąć bezładne i szybkie wrażenia: Więc to był on? ten straszny i wszechmocny? Nie widziała go dotąd nigdy, a myślała, że wygląda inaczej. Wyobrażała sobie jakieś okropne oblicze, ze skamieniałą w rysach złością; tymczasem ujrzała wielką, osadzoną na grubym karku głowę, straszną wprawdzie, ale niemal śmieszłą, albowiem podobną zdaleka do głowy dziecka. Tunika ametystowej barwy, zabronionej zwykłym śmiertelnikom, rzucała sinawy odblask na jego szeroką i krótką twarz. Włosy miał ciemne, utrefione modą, zaprowadzoną przez Othona, w cztery rzędy pukli. Brody nie nosił, gdyż przed niedawnym czasem poświęcił ją Jowiszowi, za co cały Rzym składał mu dziękczynienie, jakkolwiek po cichu szeptano sobie, iż poświęcił ją dlatego, że, jak wszyscy z jego rodziny, zarastał na czerwono. W jego silnie występującem nad brwiami czole, było jednak coś olimpijskiego. W ściągniętych brwiach znać było świadomość wszechmocy; lecz pod tem czołem półboga mieściła się twarz małpy, pijaka i komedyanta, próżna, pełna zmiennych żądz, zalana mimo młodego wieku tłuszczem, a jednak chorobliwa i plugawa. Lygii wydał się wrogim, lecz przedewszystkiem ohydny. Po chwili położył szmaragd i przestał patrzeć na nią. Wówczas ujrzała jego wypukłe niebieskie oczy, mrużące się pod nadmiarem światła, szkliste, bez myśli, podobne do oczu umarłych. On zaś, zwróciwszy się do Petroniusza, rzekł: — Czy to jest owa zakładniczka, w której się kocha Viniciusz? — To ona — odrzekł Petroniusz. — Jak się nazywa jej naród? — Lygowie. — Viniciusz uważa ją za piękną? — Przybierz w niewieście peplum spróchniały pień oliwny, a Viniciusz uzna go za piękny. Ale na twojem obliczu, o znawco nieźrównany, czytam już wyrok na nią! Nie potrzebujesz go ogłaszać! Tak jest! zasucha! chuderlawa, istna makówka na cienkiej łądydze, a ty, boski esteto, cenisz w kobiecie łądygę, i po trzykroć, po czterekroć, masz słusność! Sama twarz nic nie znaczy. Jam dużo skorzystał przy tobie, ale tak pewnego rzutu oka nie mam jeszcze... I gotówem oto się założyć z Tuluszem Senecionem o jego kochankę, że jakkolwiek przy ucztach, gdy wszyscy leżą, trudno o całej postaci wyrokować, ty jużś sobie powiedział: „zawązka w biodrach“. — Zawązka w biodrach — odrzekł, przymykając oczy, Nero. Na ustach Petroniusza pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech, zaś Tulusz Senecio, który był zajęty aż do tej chwili rozmową z Vestinusem, a raczej przedrwiwaniem snów, w które Vestinus wierzył, zwrócił się do Petroniusza i, chociaż nie miał najmniejszego pojęcia, o co chodzi, rzekł: — Mylisz się! — ja trzymam z Cezarem. — Dobrze — odparł Petroniusz. — Dowodziłem właśnie, że masz szczyptę rozumu, Cezar zaś twierdzi, iż jesteś osłem bez domieszki. — Habet! — rzekł Nero, śmiejąc się i zwracając w dół wielki palec ręki, jak to czyniło się w cyrkach na znak, że gladyator otrzymał cios i ma być dobity. A Vestinus, sądząc, że mowa ciągle o snach, zawołał: — A ja wierzę w sny i Seneka mówił mi kiedyś, że wierzy także. — Ostatniej nocy śniło mi się, że zostałam westalką — rzekła, przechylając się przez stół, Kallwia

Krispinilla. Na to Nero począł bić w dłonie, inni poszli za jego przykładem i przez chwilę naokół rozlegały się oklaski, albowiem Krispinilla, kilkakrotna rozwódka, znana była ze swej bajecznej rozpusty w całym Rzymie. Lecz ona, nie mieszawszy się bynajmniej, rzekła: — I cóż! Wszystkie one stare i brzydkie. Jedna Rubria do ludzi podobna, a tak byłoby nas dwie, chociaż i Rubria dostaje latem piegów. — Pozwól jednak, przeczysta Kallwio — rzekł Petroniusz, iż westalką mogłaś zostać chyba przez sen. — A gdyby Cezar kazał? — Uwierzyłbym, że sprawdzają się sny nawet najdziwaczniejsze. — Bo się sprawdzają — rzekł Vestinus. — Rozumiem ludzi, którzy nie wierzą w bogów, ale jak można nie wierzyć w sny? — A wróżby? — spytał Nero. — Wróżono mi niegdyś, że Rzym przestanie istnieć, a ja będę panował nad całym Wschodem. — Wróżby i sny, to się ze sobą łączy — mówił Vestinus. — Raz, jeden prokonsul, wielki niedowiarek, posłał do świątyni Mopsusa niewolnika z opieczętowanym listem, którego nie pozwolił otwierać, by sprawdzić, czy bożek potrafi odpowiedzieć na pytanie, w liście zawarte. Niewolnik przespał noc w świątyni, by mieć sen wróżebny, poczem wrócił i rzekł tak: śnił mi się młodzian, jasny jak słońce, który rzekł mi jeden tylko wyraz: „czarnego“. Prokonsul, usłyszawszy to, zbladł — i, zwracając się do swych gości, równych mu niedowiarków, powiedział: „Czy wiecie, co było w liście?“ Tu Vestinus przerwał i, podniósłszy czaszę z winem, począł pić. — Co było w liście? — spytał Senecio. — W liście było pytanie: „Jakiego byka mam ofiarować: białego, czy czarnego?“ Lecz zajęcie, wzbudzone opowiadaniem przerwał Viteliusz, który, przyszedłszy już podpity na ucztę, wybuchnął nagle bez żadnego powodu bezmyślnym śmiechem. — Z czego ta beczka łoju śmieje się? — spytał Nero. — Śmiech odróżnia ludzi od zwierząt — rzekł Petroniusz — a on nie ma innego dowodu, że nie jest wieprzem. Viteliusz zaś urwał w pół śmiechu i cmokając świecącemi od sosów i tłuszców wargami, począł spoglądać na obecnych z takim zdumieniem, jakby ich nigdy przedtem nie widział. Następnie podniósł swą podobną do poduszki dłoń i rzekł ochryłym głosem: — Spadł mi z palca rycerski pierścień po ojcu. — Który był szewcem — dodał Nero. Lecz Viteliusz wybuchnął znowu niespodzianym śmiechem i począł szukać pierścienia w peplum Kalwii Krispinilli. Na to Vatiniusz jął udawać okrzyki przestraszonej kobiety, Nigidia zaś, przyjaciółka Kalwii, młoda wdowa z twarzą dziecka, a oczyma nierządnic, rzekła w głos: — Szuka, czego nie zgubił. — I co mu się na nic nie przyda, choćby znalazł — dokończył poeta Lukan. Uczta stawała się weselszą. Tłumy niewolników roznosiły coraz nowe dania; z wielkich waz, napełnionych śniegiem i okręconych bluszczem, wydobywano co chwila mniejsze kraterki z licznymi gatunkami win. Wszyscy pili obficie. Z pułapu na stół i na biesiadników spadały raz wraz róże. Petroniusz począł jednak prosić Nerona, by, nim goście się popiją, uszlachetnił ucztę swym śpiewem. Chór głosów poparł jego słowa, ale Nero począł się wzbraniać. Nie o samą odwagę chodzi, chociaż brak mu jej zawsze... Bogowie wiedzą, ile go kosztują wszelkie popisy... Nie uchyla się wprawdzie od nich, boć trzeba coś uczynić dla sztuki, i zresztą, jeśli Apollo obdarzył go pewnym głosem, to darów bożych nie godzi się marnować. Rozumie nawet, że jest to jego obowiązkiem względem państwa. Ale dziś jest naprawdę zachrypnięty. W nocy położył sobie ołowiane ciężarki na piersiach, ale i to nie pomogło... Myśli nawet jechać do Ancium, by odetchnąć morskiem powietrzem. Lecz Lukan począł go zaklinać w imię sztuki i ludzkości. Wszyscy wiedzą, że boski poeta i śpiewak ułożył nowy hymn do Wenus, wobec którego lukrecyuszowy jest skomleniem rocznego wilczęcia. Niechże ta uczta będzie prawdziwą ucztą. Władca, tak dobry, nie powinien zadawać takich mąk swym poddanym: „Nie bądź okrutnikiem, Cezarze!“ — Nie bądź okrutnikiem! — powtórzyli wszyscy siedzący bliżej. Nero rozłożył ręce, na znak, że musi ustąpić. Wówczas wszystkie twarze ubrały się w wyraz wdzięczności, a wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Lecz on kazał jeszcze przedtem oznajmić Poppei, że będzie śpiewał, obecnym zaś oświadczył, że nie przyszła ona na ucztę, bo nie czuła się zdrową, ponieważ jednak żadne

lekarstwo nie sprawia jej takiej ulgi, jak jego śpiew, przeto żalby mu było pozbawiać ją sposobności. Jakoż Poppea nadeszła niebawem. Władzała ona dotąd Neronem, jak poddanym, wiedziała jednak, że, gdy chodziło o jego miłość własną, jako śpiewaka, woźnicy lub poety, niebezpiecznie byłoby ją zadrażnić. Weszła więc, piękna jak bóstwo, przybrana, równie jak Nero, w ametystowej barwy szatę i w naszyjnik z olbrzymich pereł, złupiony niegdyś na Massynisie, złotowłosa, słodka i, jakkolwiek po dwóch mężach rozwódka, z twarzą i wejrzeniem dziewicy. Witano ją okrzykami i mianem „boskiej Augusty“. Lygia nigdy w życiu nie widziała nic równie pięknego i oczom własnym nie chciało jej się wierzyć, albowiem wiadomo jej było, że Poppea Sabina jest jedną z najniegodziwszych w świecie kobiet. Wiedziała od Pomponii, że ona doprowadziła Cezara do zamordowania matki i żony, znała ją z opowieści Aulusowych gości i służby; słyszała, że jej to posągi obalano po nocach w mieście; słyszała o napisach, których sprawców skazywano na najcięższe kary, a które jednak zjawiały się każdego rana na murach miasta. Tymczasem teraz, na widok tej osławionej Poppei, uważanej przez wyznawców Chrystusa za wcielenie zła i zbrodni, wydało jej się, że tak mogli wyglądać aniołowie lub jakieś duchy niebiańskie. Prostu nie umiała od niej oderwać oczu, a z ust mimowoli wyrwało się jej pytanie: — Ach, Marku, czy to być może?... On zaś, podniecony winem i jakby zniecierpliwiony, że tyle rzeczy rozpraszało jej uwagę i odrywało ją od niego i jego słów, mówił: — Tak, ona piękna, aleś ty stokroć piękniejsza. Ty się nie znasz, inaczej zakochałabyś się w sobie, jak Narcyz... Ona się kąpie w mleku oślic, a ciebie chyba Wenus wykąpała we własnym. Ty się nie znasz, ocelle mi!... Nie patrz na nią. Zwróć oczy ku mnie, ocelle mi... Dotknij ustami tej kruży wina, a potem ja oprę na tem samem miejscu moje... I przysuwał się coraz bliżej, a ona poczęła się cofać ku Akte. Ale w tej chwili nakazano ciszę, albowiem Cezar powstał. Śpiewak Diodor podał mu lutnię z rodzaju zwanych delta, drugi, Terpnos, który miał mu towarzyszyć w graniu, zbliżył się z instrumentem, zwanym nablium, Nero zaś, oparłszy deltę o stół, wznosił oczy w górę i przez chwilę w tryklinium zapanowała cisza, przerywana tylko szmerem, jaki wydawały spadające wciąż z pułapu róże. Poczem jął śpiewać, a raczej mówić śpiewnie i rytmicznie, przy odgłosie dwóch lutni, swój hymn do Wenus. Ani głos, lubo nieco przyćmiony, ani wiersz nie były złe, tak, że biedną Lygię znowu opanowały wyrzuty sumienia, albowiem hymn, jakkolwiek sławiący nieczystą pogańską Wenus, wydał się jej aż nadto piękny, a i sam Cezar, ze swoim wieńcem laurowym na czole i wzniesionemi oczyma, wspanialszym, daleko mniej strasznym i mniej ohydny, niż na początku uczy. Lecz biesiadnicy ozwali się grzmotem oklasków. Wołania: „o głosie niebiański!“ rozległy się naokół; niektóre z kobiet, podniósłszy dłonie w górę, pozostały tak, na znak zachwyty, nawet po skończeniu śpiewu; inne obcierały załzawione oczy; w całej sali zawrzało jak w ulu. Poppea, schyliwszy swą złotowłosą główkę, podniosła do ust rękę Nerona i trzymała ją długo w milczeniu, młody zaś Pytagoras, Grek precudnej urody, ten sam, z którym później nawpół już obłąkany Nero kazał sobie dać ślub flaminom, z zachowaniem wszelkich obrzędów, ukląkł teraz u jego nóg. Lecz Nero patrzył pilnie na Petroniusza, którego pochwały przedewszystkiem były mu zawsze pożądane, ów zaś rzekł: — Jeśli chodzi o muzykę, Orfeusz musi być w tej chwili tak żółty z zazdrości, jak tu obecny Lukan, a co do wierszy, żałuję, że nie są gorsze, bo możebym znalazł wówczas odpowiednie na ich pochwałę słowa. Lecz Lukan nie wziął mu za złe wzmianki o zazdrości, owszem, spojrzawszy na niego z wdzięcznością i, udając zły humor, począł mruzczyć: — Przekłęte fatum, które kazało mi żyć współcześnie z takim poetą. Miałby człek miejsce w pamięci ludzkiej i na Parnasie, a tak, zgaśnie, jak gaśnie kaganek przy słońcu. Petroniusz jednak, który miał pamięć zadziwiającą, począł powtarzać ustępy z hymnu, cytować pojedyncze wiersze, podnosić i rozbierać piękniejsze wyrażenia. Lukan, zapomniawszy niby o zazdrości wobec uroku poezji, dołączył do jego słów swoje zachwyty. Na twarzy Nerona odbiła się rozkosz i bezdenna

próżność, nie tylko granicząca z głupotą, lecz zupełnie jej równa. Sam podsuwał im wiersze, które uważał za najpiękniejsze, a wreszcie jął pocieszać Lukana i mówić mu, by nie tracił odwagi, bo, jakkolwiek czem się kto urodzi, tem jest, jednakże cześć, jaką ludzie oddają Jowiszowi, nie wyłącza czci innych bogów. Poczem wstał, by odprowadzić Poppeę, która będąc istotnie niezdrową, pragnęła odejść. Wszelako biesiadnikom, którzy pozostali, rozkazał zająć znów miejsca i zapowiedział, że wróci. Jakoż wrócił po chwili, by odurzać się dymem kadzideł i patrzeć na dalsze widowiska, jakie on sam, Petroniusz lub Tigellinus przygotowali na ucztę. Czytano znów wiersze lub słuchano dialogów, w których dziwactwo zastępowało dowcip. Zaczem słynny mima, Parys, przedstawiał przygody Jony, córki Inacha. Gościom, a zwłaszcza Lygii, nieprzywykłej do podobnych widowisk, wydało się, że widzą cuda i czary. Parys ruchami rąk i ciała umiał wyrażać rzeczy, napozór do wyrażenia w tańcu niemożliwe. Dłonie jego zamąciły powietrze, tworząc chmurę świetlistą, żywą, pełną drgań, lubieżną, otaczającą nawpół omdlały dziewiczy kształt, wstrząsany spazmem rozkoszy. Był to obraz, nie taniec, obraz jasny, odsłaniający tajnie miłości, czarowny i bezwstydnny, a gdy po jego ukończeniu weszli korybanci i rozpoczęli z syryjskimi dziewczętami, przy odgłosie cytr, fletni, cymbałów i bębenków, taniec bachiczny, pełen dzikich wrzasków i dzikszej jeszcze rozpusty, Ligii wydało się, że spali ją żywy ogień, że piorun powinien uderzyć w ten dom, lub pułap zapaść się na głowy biesiadników. Lecz ze złotego niewodu, upiętego pod pułapem, padały tylko róże, a natomiast nawpół pijany już Viniciusz mówił jej: — Widziałem cię w domu Aulusów przy fontannie i pokochałem cię. Był świt i myślałaś, że nikt nie patrzy, a jam cię widział... I widzę cię taką dotąd, chociaż kryje mi cię to peplum. Zrzuć peplum, jak Krispinilla. Widzisz! Bogowie i ludzie szukają miłości. Niema, prócz niej, nic w świecie! Oprzyj mi głowę na piersiach i zmruż oczy. A jej tętna biły ciężko w skroniach i rękach. Ogarniało ją wrażenie, że leci w jakąś przepaść, a ten Viniciusz, który przedtem wydawał jej się tak blizkim i pewnym, zamiast ratować, ciągnie ją do niej. I uczuła do niego żal. Poczęła się znów bać i tej uczy, i jego, i siebie samej. Jakiś głos, podobny do głosu Pomponii, wołał jeszcze w jej duszy: Lygio! ratuj się! ale coś mówiło jej także, że już zapóźno, i że kogo obwiął podobny płomień, kto to wszystko, co działo się na tej uczcie, widział, w kim serce tak biło, jak biło w niej, gdy słuchała słów Viniciusza, i kogo przejmował taki dreszcz, jaki przejmował ją, gdy on przybliżał się do niej, ten jest już zgubiony bez ratunku. Czyniło jej się słabo. Chwilami zdawało jej się, że zemdleje, a potem stanie się coś strasznego. Wiedziała, że, pod groźbą gniewu Cezara, niewolno nikomu wstać, póki nie wstanie Cezar, ale choćby i tak nie było, nie miałyby już na to sił. Tymczasem do końca uczy było daleko. Niewolnicy przynosili jeszcze nowe dania i ustawicznie napełniali kruże winem, a przed stołem ustawionym w otwartą z jednej strony kłamrę, zjawili się dwaj atleci, by dać gościom widok zapasów. I wnet poczęli się zmagać. Potężne, świecące od oliwy ciała, utworzyły jedną bryłę, kości ich chrzęściały w żelaznych ramionach, z zaciśniętych szczęk wydobywał się zgrzyt złowrogi. Chwilami słychać było szybkie, głuche uderzenia ich stóp o przytrząśniętą szafranem podłogę, to znów stawali nieruchomie, cichli, i widzom wydawało się, że mają przed sobą grupę wykutą z kamienia. Oczy Rzymian z lubością śledziły grę straszliwie napiętych grzbietów, łyd i ramion. Lecz walka nie trwała zbyt długo, albowiem Kroto, mistrz i przełożony szkoły gladyatorów, niepróżno uchodził za najsilniejszego w państwie człowieka. Przeciwnik jego począł oddychać coraz śpieszniej, potem rzezić, potem twarz mu posiniała, wreszcie wyrzucił krew ustami i zwisł. Grzmot oklasków powitał koniec walki, zaś Kroto, oparłszy stopy na plecach przeciwnika, skrzyżował olbrzymie ramiona na piersiach i toczył oczyma tryumfatora po sali. Weszli następnie udawacze zwierząt i ich głosów, kuglarze i błazny, lecz mało na nich patrzono, gdyż wino ćmiło już oczy patrzących. Uczta zmieniała się stopniowo w pijacką i rozpustną orgię. Syryjskie dziewczęta, które poprzednio tańczyły taniec bachiczny, pomieszały się z gośćmi. Muzyka zmieniła

się w bezładny i dziki hałas cytr, lutni, cymbałów armeńskich, sistr egipskich, trąb i rogów, gdy zaś niektórzy z biesiadników pragnęli rozmawiać, poczęto krzyczeć na muzykantów, by poszli precz. Powietrze przesycone zapachem kwiatów, pełne woni olejków, którymi śliczne pacholęta przez czas uczty skrapiały stopy biesiadników, przesycone szafranem i wyziewami ludzkimi, stało się duszne; lampy paliły się mdłym płomieniem, poprzekrzywiały się wieńce na czołach, twarze pobladły i pokryły się kroplami potu. Viteliusz zwałił się pod stół. Nigidia, obnażywszy się do wpół ciała, wsparła swą pijaną dziecinną głowę na piersi Lukana, a ów, równie pijany, począł zdmuchiwać złoty puder z jej włosów, podnosząc oczy z niezmierną uciechą ku górze. Vestinus z uporem pijaka powtarzał po raz dziesiąty odpowiedź Mopsusa na zapieczętowany list prokonsula, Tuliusz zaś, który drwił z bogów, mówił przerywanym przez czkawkę, rozwlekłym głosem: — Bo, jeśli Sferos Ksenofanesa jest okrągły, to uważasz, takiego boga można toczyć nogą przed sobą jak beczkę. Lecz Domiciusz Afer, stary złodziej i donosiciel, oburzył się tą rozmową i z oburzenia polał sobie falernem całą tunikę. On zawsze wierzył w bogów. Ludzie mówią, że Rzym zginie, a są nawet tacy, którzy twierdzą, że już ginie. I pewno!... Ale jeśli to nastąpi, to dlatego, że młodzież nie ma wiary, a bez wiary nie może być cnoty. Zaniechano także dawnych surowych obyczajów i nikomu nie przychodzi do głowy, że epikurejczycy nie oprą się barbarzyńcom. A to darmo! Co do niego, żałuje, że dożył takich czasów i że w uciechach szukać musi obrony przed zmartwieniami, które inaczej rychłoby sobie dały z nim rady. To rzekłszy, przygarnął ku sobie syryjską tancerkę i bezzębni ustami począł całować jej kark i plecy, co widząc konsul Memmiusz Regulus, rozśmiał się i, podniósłszy swą łysinę, przybraną w wieniec na bakier, rzekł: — Kto mówi, że Rzym ginie?... Głupstwo!... Ja, konsul, wiem najlepiej... Videant consules!.. trzydzieści legii strzeże naszej pax romana!.. Tu przyłożył pięści do skroni i począł krzyczeć na całą komnatę: Trzydzieści legii! — trzydzieści legii!.. od Brytanii do granic Partów! Lecz nagle zastanowił się i, przyłożywszy palec do czoła, rzekł: — A bodaj, że nawet trzydzieści dwie... I stoczył się pod stół, gdzie po chwili począł oddawać języki flamingów, pieczone rydze, mrożone grzyby, szarańcze na miodzie, ryby, mięsiwa i wszystko, co zjadł lub wypił. Domiciusza nie uspokoiła jednak ilość legii, strzegących rzymskiego pokoju: „Nie, nie! Rzym musi zginąć, bo zginęła wiara w bogów i surowy obyczaj! Rzym musi zginąć, a szkoda! bo życie jednak jest dobre, Cezar łaskawy, wino dobre! ach, co za szkoda!“ I, ukrywszy głowę w łopatki syryjskiej bachantki, rozplakał się: — Co tam to życie przyszłe!.. Achilles miał słusność, że lepiej jest być parobkiem w podświetlonym świetle, niż królować w kimeryjskich krainach. A i to pytanie, czy istnieją jacy bogowie, chociaż niewiara gubi młodzież. Lukan tymczasem rozdmuchał wszystkie złoty puder z włosów Nigidii, która, spiwszy się usnęła. Następnie zdjął zwoje bluszczów ze stojącej przed nim wazy i obwinął w nie śpiącą, a po dokonaniu tego dzieła, jął patrzeć na obecnych wzrokiem rozradowanym i pytającym. Poczem ustroił i siebie w bluszcz, powtarzając tonem głębokiego przekonania: — Wcale nie jestem człowiekiem, tylko faunem. Petroniusz nie był pijany, ale Nero, który z początku pił ze względu na swój „niebieski“ głos mało, pod koniec wychylał czasę po czaszy i upił się. Chciał nawet śpiewać dalej swe wiersze, tym razem greckie, ale ich zapomniał i przez omyłkę zaśpiewał piosnkę Anakreona. Wtórowali mu do niej Pytagoras, Diodor i Terpnos, ale ponieważ wszystkim nie szło, więc dali spokój. Nero natomiast począł się zachwycać, jako znawca i esteta, urodą Pytagorasa, i z zachwytu całować go po rękach. Tak piękne ręce widział tylko niegdyś... u kogoś?... I przyłożywszy dłoń do mokrego czoła, począł sobie przypominać. Po chwili, na twarzy jego odbił się strach: — Aha! u matki! u Agrypiny! I nagle opanowały go posępne widzenia. — Mówią — rzekł — że ona nocami chodzi przy księżycu po morzu koło Bajów i Bauli... Nic, tylko chodzi, chodzi, jakby czego szukała. A jak zbliży się do łódki, to popatrzy i odejdzie, ale rybak, na którego spojrzała, umiera. — Niezły temat — rzekł Petroniusz. Vestinus zaś, wyciągnąwszy

szyję, jak żóraw, szeptał tajemniczo: — Nie wierzę w bogów, ale wierzę w duchy — oj! Lecz Nero nie uważał na ich słowa i mówił dalej: — Przecie odbyłem lemuralia. Nie chcę jej widzieć! To już piąty rok. Musiałem, musiałem ją skazać, bo nasłała na mnie mordercę i gdybym jej nie był uprzedził, nie słyszelibyście dziś mego śpiewu. — Dzięki, Cezarze, w imieniu miasta i świata — zawołał Domiciusz Afer. — Wina! i niech uderzą w tympany. Hałas wszczął się na nowo. Lukan cały w bluszczach, chcąc go przekrzyczeć, wstał i począł wołać: — Nie jestem człowiekiem, jeno faunem i mieszkam w lesie! E...cho...oooo! Spił się wreszcie Cezar, spili się mężczyźni i kobiety. Viniciusz niemniej był pijany od innych, a w dodatku obok żądzy, budziła się w nim chęć do kłótni, co zdarzało mu się zawsze, ilekroć przebrał miarę. Jego czarniawa twarz stała się jeszcze bledszą i język plątał mu się już, gdy mówił głosem podniesionym już i rozkazującym: — Daj mi usta! Dziś, jutro, wszystko jedno!.. Dość tego! Cezar wziął cię od Aulusów, by cię darować mnie, rozumiesz! Jutro o zmroku przyszlę po ciebie, rozumiesz!... Cezar mi cię obiecał, nim cię wziął... Musisz być moją! Daj mi usta! nie chcę czekać jutra... daj prędko usta! I objął ją, ale Akte poczęła jej bronić, a i ona sama broniła się ostatkiem sił, bo czuła, że ginie. Próżno jednak usiłowała obu rękoma zdjąć z siebie jego bezwłose ramię; próżno głosem, w którym drgał żal i strach, błagała go, by nie był takim, jak jest, i by miał nad nią litość. Przesycony winem oddech, oblewał ją coraz bliżej, a twarz jego znalazła się tuż koło jej twarzy. Nie był to już dawny, dobry i niemal drogi duszy Viniciusz, ale pijany, zły, satyr, który napełniał ją przerażeniem i wstrętem. Siły jednak opuszczały ją coraz bardziej. Daremnie, przechyliwszy się, odwracała twarz, by uniknąć jego pocałunków. On podniósł się, chwycił ją w oba ramiona, i przyciągnąwszy jej głowę ku piersiom, począł, dysząc, rozgniewać ustami jej zbladłe usta. Lecz w tejże chwili jakaś straszna siła odwinęła jego ramiona z jej szyi z taką łatwością, jakby to były ramiona dziecka, jego zaś odsunęła na bok, jak suchą gałązkę lub zwiędły liść. Co się stało? Viniciusz przetarł zdumione oczy i nagle ujrzał nad sobą olbrzymią postać Lyga, zwanego Ursusem, którego poznał w domu Aulusów. Lyg stał spokojny i tylko patrzył na Viniciusza błękitnymi oczyma tak dziwnie, iż młodemu człowiekowi krew ścięła się w żyłach, poczem wziął na ręce swą królową i krokiem równym, cichym, wyszedł z tryklinium. Akte w tej chwili wyszła za nim. Viniciusz siedział przez mgnienie oka, jak skamieniały, poczem zerwał się i począł biedz ku wyjściu: — Lygio! Lygio!.. Lecz żądza, zdumienie, wściekłość i wino podcięły mu nogi. Zatoczył się raz i drugi, poczem chwycił za nagie ramiona jednej z bahantek i począł pytać, mrugając oczyma: — Co się stało? A ona, wzięwszy krużę z winem, podała mu ją z uśmiechem w zamglonych oczach. — Pij! — rzekła. Viniciusz wypił i zwałił się z nóg. Większa część gości leżała już pod stołem; inni chodzili chwiejnym krokiem po tryklinium, inni spali na sofach stołowych, chrapiąc lub oddając przez sen zbytek wina, a na pijanych konsulów i senatorów, na pijanych rycerzy, poetów, filozofów, na pijane tancerki i patrycyuszki, na cały ten świat, wszechwładny jeszcze, ale już bezduszny, uwieńczony i rozpasany, ale już gasnący, ze złotego niewodu, upiętego pod pułapem, kapały i kapały wciąż róże. Na dworze poczęło świtać.

ROZDZIAŁ VIII.

Ursusa nikt nie zatrzymał, nikt nie zapytał nawet, co czyni. Ci z gości, którzy nie leżeli pod stołem, nie pilnowali już swych miejsc, więc służba, widząc olbrzyma, niosącego na ręku biesiadniczkę, sądziła, że to jakiś niewolnik wynosi pijaną swoją panią. Zresztą Akte szła z nimi i obecność jej usuwała wszelkie podejrzenia. W ten sposób wyszli z tryklinium do przyległej komnaty, a stamtąd na galeryę, wiodącą do mieszkania Akte. Ligię opuściły siły tak dalece, że ciężyla, jak martwa, na ramieniu Ursusa. Ale, gdy oblało ją chłodne i czyste poranne powietrze, otworzyła oczy. Na świecie czyniło się coraz widniej. Po chwili, idąc kolumnadą, skręcili w boczny portyk, wychodzący, nie na dziedziniec, ale na pałacowe ogrody, w których wierzchołki pinii i cyprysów rumieniły się już od

zorzy porannej. W tej części gmachu było pusto, a odgłosy muzyki i wrzaski biesiadne dochodziły ich coraz niewyraźniej. Lygii wydało się, że wyrwano ją z piekła i wyniesiono na jasny świat Boży. Było jednak coś poza tem ohydny tryklinium. Było niebo, zorze, światło i cisza. Dziewczynę chwycił nagły płacz i tuląc się do ramienia olbrzyma, poczęła powtarzać ze łkaniem: — Do domu, Ursusie! do domu, do Aulusów!... — Pójdziemy! — odrzekł Ursus. Tymczasem jednak znaleźli się w małym atrium, przynależnym do mieszkania Akte. Tam Ursus posadził Lygię na marmurowej ławce, opodal fontanny, Akte zaś poczęła ją uspokajać i zachęcać do spoczynku, upewniając, że chwilowo nic jej nie grozi, gdyż pijani biesiadnicy będą po uczcie spali do wieczora. Lecz Lygia przez długi czas nie chciała się uspokoić i przycisnąwszy rękoma skronie, powtarzała tylko, jak dziecko: — Do domu, do Aulusów!... Ursus był gotów. Przy bramach stoją wprawdzie pretoryanie, ale on i tak przejdzie. Żołnierze nie zatrzymują wychodzących. Przed łukiem mrowi się od lektyk. Ludzie poczną wychodzić całymi kupami. Nikt ich nie zatrzyma. Wyjdą razem z tłumem, i pójdą prosto do domu. Zresztą, co mu tam! Jak królowna każe, tak musi być. Po to on tu jest. A Lygia powtarzała: — Tak, Ursusie, wyjdziemy. Lecz Akte musiała mieć rozum za oboje. Wyjdą! tak! Nikt ich nie zatrzyma. Ale z domu Cezara uciekać nie wolno i kto to czyni, obraża jego majestat. Wyjdą, ale wieczorem centurion na czele żołnierzy przyniesie wyrok śmierci Aulusowi, Pomponii Graecinie, Lygię zaś zabierze napowrót do pałacu i wówczas już nie będzie dla niej ratunku. Jeśli Aulusowie przyjmą ją pod swój dach, śmierć czeka ich napewno. Lygii opadły ręce. Nie było rady. Musiała wybierać między zgubą Plauciuszów, a własną. Idąc na ucztę, miała nadzieję, że Viniciusz i Petroniusz wyproszą ją od Cezara i oddadzą Pomponii, teraz zaś wiedziała, że to oni właśnie namówili Cezara, by ją odebrał Aulusom. Nie było rady. Cud chyba mógł ją wyrwać z tej przepaści. Cud i potęga Boża. — Akte — rzekła z rozpaczą — czy słyszałaś, co mówił Viniciusz, że mu Cezar mnie darował, i że dziś wieczór przyśle po mnie niewolników i zabierze mnie do swego domu? — Słyszałam — rzekła Akte. I rozłożywszy ręce, umilkła. Rozpacz, z jaką mówiła Lygia, nie znajdowała w niej echa. Ona sama była przecie kochanką Nerona. Serce jej, jakkolwiek dobre, nie umiało dość odczuć sromoty takiego stosunku. Jako dawna niewolnica, nadto zżyła się z prawem niewoli, a oprócz tego kochała dotąd Nerona. Gdyby chciał powrócić do niej, wyciągnęłaby do niego ręce, jak do szczęścia. Rozumiejąc teraz jasno, że Lygia albo musi zostać kochanką młodego i pięknego Viniciusza, albo narazić siebie i Aulusów na zgubę, nie pojmowała poprostu, jak dziewczyna mogła się wahać. — W domu Cezara — rzekła po chwili — nie byłoby ci bezpieczniej, niż w domu Viniciusza. I nie przyszło jej na myśl, że jakkolwiek mówiła prawdę, słowa jej znaczyły: „zgódź się z losem i zostań nałożnicą Viniciusza“. Lecz Lygii, która czuła jeszcze na ustach jego pełne zwierzęcej żądz i palące, jak węgiel, pocałunki, krew napłynęła ze wstydu na samo wspomnienie o nich do twarzy. — Nigdy — zawołała z wybuchem. — Nie zostanę ani tu, ani u Viniciusza, nigdy! Akte zadziwił ów wybuch: — Zali — spytała — Viniciusz jest ci tak nienawistny? Lecz Lygia nie mogła odpowiedzieć, gdyż porwał ją znów płacz. Akte przygarnęła ją do piersi i poczęła uspokajać. Ursus oddychał ciężko i zaciskał olbrzymie pięści, albowiem, kochając z wiernością psa swą królową, nie mógł znieść widoku jej łez. W jego lygijskim, półdzikiem sercu, rodziła się chęć, by wrócić do sali, zdławić Viniciusza, a w razie potrzeby Cezara, bał się jednak zaofiarować z tem swej pani, nie będąc pewnym, czy taki postępek, który zrazu wydał mu się nader prostym, byłby odpowiednim dla wyznawcy ukrzyżowanego Baranka. A Akte, utuliwszy Lygię, poczęła znów pytać: — Zali on ci tak nienawistny? — Nie — rzekła Lygia — niewolno mi go nienawidzić, bo jestem chrześcijanką. — Wiem, Lygio. Wiem także z listów Pawła z Tarsu, iż wam niewolno ni się pohańbić, ni bać się więcej śmierci, niż grzechu, ale powiedz mi, czy twoja nauka pozwala śmierć zadawać? — Nie. — Więc jakże możesz ściągać pomstę Cezara na dom Aulusów? Nastąpiła chwila milczenia. Przepaść bez

dna otworzyła się przed Lygią nanowo. Zaś młoda wyzwolenica mówiła dalej: — Pytam, bo mi cię żal, i żal dobrej Pomponii, i Aulusa, i ich dziecka. Ja dawno żyję w tym domu, i wiem, czem grozi gniew Cezara. Nie! Wy nie możecie stąd uciekać. Jedna ci droga zostaje: błagać Viniciusza, aby cię wrócił Pomponii. Lecz Lygia obsunęła się na kolana, by błagać kogo innego. Ursus ukląkł po chwili także, i oboje poczęli się modlić, w domu Cezara, przy rannej zorzy. Akte po raz pierwszy widziała taką modlitwę i nie mogła oczu oderwać od Lygii, która, zwrócona do niej profilem, ze wzniesioną głową i rękoma, patrzyła w niebo, jakby czekając stamtąd ratunku. Świt obrzucił światłem jej ciemne włosy i białe peplum, odbił się w źrenicach i cała w blasku, sama wyglądała jak światło. W jej pobladłej twarzy, w otwartych ustach, we wzniesionych rękach i oczach, znać było jakieś nadziejskie uniesienie. I Akte zrozumiała teraz, dlaczego Lygia nie może zostać niczyją nałożnicą. Przed dawną kochanką Nerona uchylił się jakby róg zasłony, kryjącej świat zgoła inny, niż ów, do którego przywykła. Zdumiewała ją ta modlitwa, w tym domu zbrodni i sromoty. Przed chwilą wydawało się jej, że niema dla Lygii ratunku, teraz zaś poczęła wierzyć, że może stać się coś nadzwyczajnego, że przyjdzie jakiś ratunek, tak potężny, iż i sam Cezar oprzeć mu się nie zdoła, że z nieba zejda jakieś skrzydlate wojska w pomoc dziewczynie, albo że słońce podściele pod nią promienie i pociągnie ją ku sobie. Słyszała już o wielu cudach między chrześcijanami, i myślała teraz, że widocznie wszystko to prawda, skoro Lygia tak się modli. Lygia zaś podniosła się wreszcie z twarzą rozjaśnioną nadzieją, Ursus podniósł się także i przykucnąwszy obok ławki, patrzył w swą panią, czekając jej słów. A jej oczy zaszły mgłą i po chwili dwie wielkie łzy poczęły się toczyć zwolna po jej policzkach. — Niech Bóg błogosławi Pomponii i Aulosowi — rzekła. — Niewolno mi ścigać zguby na nich, więc nie zobaczę ich nigdy więcej. Poczem, zwróciwszy się do Ursusa, poczęła mu mówić, iż on jeden zostaje jej teraz na świecie, że musi być teraz jej ojcem i opiekunem. Nie mogą szukać schronienia u Aulusów, albowiem ściągnęliby na nich gniew Cezara. Ale ona nie może pozostać także ni w domu Cezara, ni Viniciusza. Niechże więc Ursus ją weźmie, niech wyprowadzi z miasta, niech ukryje gdzieś, gdzie jej nie znajdzie ni Viniciusz, ni jego słudzy. Ona wszędzie pójdzie za nim, choćby za morza, choćby za góry, do barbarzyńców, gdzie nie słyszano rzymskiego imienia i gdzie władza Cezara nie sięga. Niech ją weźmie i ratuje, bo on jej jeden pozostał. Lyg był gotów i na znak posłuszeństwa, pochyliwszy się, objął jej nogi. Lecz na twarzy Akte, która spodziewała się cudu, odbiło się rozczarowanie. Tyleż tylko sprawiła ta modlitwa? Uciec z domu Cezara, jest to dopuścić się zbrodni obrazy majestatu, która musi być pomszczona, i gdyby nawet Lygia zdołała się ukryć, Cezar pomści się na Aulusach. Jeśli chce uciekać, niech ucieka z domu Viniciusza. Wówczas Cezar, który nie lubi zajmować się cudzemi sprawami, może nawet nie zechce pomagać Viniciuszowi w pościgu, a w każdym razie nie będzie zbrodni obrażonego majestatu. Lecz Lygia tak właśnie myślała. Aulusowie nie będą nawet wiedzieli, gdzie ona jest, nawet Pomponia... Ucieknie jednak, nie z domu Viniciusza, tylko z drogi. On oświadczył jej po pijanemu, iż wieczorem przyśle po nią swych niewolników. Mówił pewno prawdę, której nie byłby wyznał, gdyby był trzeźwym. Widocznie on sam, lub może obaj z Petroniuszem widzieli przed ucztą Cezara i wymogli na nim obietnicę, że ją nazajutrz wieczorem wyda. A jeśliby dziś zapomnieli, to przyślą po nią jutro. Ale Ursus ją uratuje. Przyjdzie, wyniesie ją z lektyki, jak wyniósł z tryklinium, i pójdą w świat. Ursusowi nie potrafi się oprzeć nikt. Jemu nie oparłby się nawet ów straszny zapaśnik, który wczoraj zmagił się w tryklinium. Ale że Viniciusz może przysłać bardzo dużo niewolników, więc Ursus pójdzie zaraz do biskupa Linnusa o radę i pomoc. Biskup ulituje się nad nią, nie zostawi jej w rękach Viniciusza i każe chrześcijanom iść z Ursusem na jej ratunek. Odbiją ją i uprowadzą, a potem Ursus potrafi ją wywieść z miasta i ukryć gdzieś przed mocą rzymską. I twarz jej poczęła się powlekać rumieńcem i śmiać. Otucha wstąpiła w nią nanowo, tak jakby nadzieja ratunku zmieniła się

już w rzeczywistość. Nagle rzuciła się na szyję Akte i przyłożywszy swe śliczne usta do jej policzka, poczęła szeptać: — Ty nas nie zdradzisz, Akte, nieprawda? — Na cień matki mojej — odpowiedziała wyzwolenica — nie zdradzę was, i proś tylko swego Boga, by Ursus potrafił cię odebrać. Ale niebieskie, dziecinne oczy olbrzyma świeciły szczęściem. Oto nie potrafił nic wymyśleć, choć łamał swą biedną głowę, ale taką rzecz, to on potrafi. I czy w dzień, czy w nocy, wszystko mu jedno!... Pójdzie do biskupa, bo biskup w niebie czyta, co trzeba, a czego nie trzeba. Ale chrześcijan toby i tak potrafił zebrać. Małoż to on ma znajomych i niewolników i gladyatorów, i wolnych ludzi, i na Suburze i za mostami. Zebrałby ich tysiąc, i dwa. I odbije swoją panią, a wyprowadzić ją z miasta także potrafi, i pójść z nią potrafi. Pójdą choćby na koniec świata, choćby tam, skąd są, gdzie i nie słyszał nikt o Rzymie. Tu począł wpatrywać się przed siebie, jakby chciał dojrzeć jakieś rzeczy przeszłe i niezmiernie odległe, poczem jął mówić: — Do boru? Hej, jaki bór, jaki bór!... Lecz po chwili otrząsnął się z widzeń: Ot, pójdzie zaraz do biskupa, a wieczorem będzie już w jakie sto głów czatował na lektykę. I niechby ją prowadzili nietylko niewolnicy, ale nawet pretoryanie!! Już tam lepiej nikomu nie podsuwać się pod jego pięści, choćby w żelaznej zbroi... Bo czy to żelazo takie mocne! Jak godnie stuknąć w żelazo, to i głowa pod niem nie wytrzyma. Lecz Lygia z wielką, a zarazem dziecinną powagą podniosła palec w górę: — Ursusie! „nie zabijaj“ — rzekła. Lyg założył swą podobną do maczugi rękę na tył głowy i począł, mrużąc, pocierać kark z wielkiem zakłopotaniem: On przecie musi ją odebrać... „swoje światło“... Sama powiedziała, że teraz jego kolej... Będzie się starał, ile będzie mógł. Ale jakby się zdarzyło niechcący?... Przecie musi ją odebrać! No, jakby się zdarzyło, to już on tak będzie pokutował, tak Baranka Niewinnego przeproszał, że Baranek Ukrzyżowany zlituje się nad nim biednym... Onby przecie Baranka nie chciał obrazić, tylko że ręce ma takie ciężkie... I wielkie rozczulenie odmalowało się na jego twarzy, lecz pragnąc je ukryć, pokłonił się i rzekł: — To ja idę do świętego biskupa. Akte zaś, objąwszy szyję Lygii, poczęła płakać... Raz jeszcze zrozumiała, że jest jakiś świat, w którym nawet w cierpieniu więcej jest szczęścia, niż we wszystkich zbytkach i rozkoszach domu Cezara, raz jeszcze uchyliły się przed nią jakieś drzwi na światło, lecz zarazem uczuła, że niegodna jest przejść przez te drzwi.

ROZDZIAŁ IX.

Lygii żal było Pomponii Graeciny, którą kochała z całej duszy, i żal całego domu Aulusów, jednakże rozpacz jej minęła. Czuła nawet pewną słodycz w myśli, że oto dla swej Prawdy poświęca dostatek, wygodę i idzie na życie tułacze i nieznanne. Może było w tem trochę i dziecinnej ciekawości, jakim będzie to życie gdzieś w odległych krajach, wśród barbarzyńców i dzikich zwierząt, było wszelako jeszcze więcej głębszej i ufnej wiary, że postępując w ten sposób, czyni tak, jak nakazał „boski Mistrz“, i że odtąd On sam będzie czuwał nad nią, jak nad dzieckiem posłusznym i wiernym. A w takim razie coś złego mogło ją spotkać? Przyjdą-li jakie cierpienia, to ona je zniesie w Jego imię. Przyjdzie-li śmierć niespodziana, to On ją zabierze i kiedyś, gdy umrze Pomponia, będą razem przez całą wieczność. Nieraz, jeszcze w domu Aulusów, trapiła swą dziecinną główkę, że ona, chrześcijanka, nic nie może uczynić dla tego Ukrzyżowanego, o którym z takim rozczuleniem wspominał Ursus. Lecz teraz, chwila nadeszła. Lygia czuła się prawie szczęśliwa i poczęła mówić o swoim szczęściu Akte, która jednak nie mogła jej zrozumieć. Porzucić wszystko, porzucić dom, dostatki, miasto, ogrody, świątynie, portyki, wszystko, co jest piękne, porzucić kraj słoneczny i ludzi blizkich, i dlaczego? Dlatego, by skryć się przed miłością młodego i pięknego rycerza?... W głowie Akte nie chciały się te rzeczy pomieścić. Chwilami odczuwała, że jest w tem słuszność, że może być nawet jakieś ogromne tajemnicze szczęście, ale jasno nie umiała zdać sobie z tego sprawy, zwłaszcza, że Lygię czekało jeszcze przejście, które mogło się źle zakończyć, i w którym mogła stracić wprost życie. Akte była bojaźliwą z natury i ze strachem myślała o tem, co ów wieczór może

przynieść. Lecz o obawach swych nie chciała mówić Lygii, że zaś tymczasem uczynił się dzień jasny i słońce zajrzało do atrium, więc poczęła ją namawiać na spoczynek, potrzebny po bezsennej spędzonej nocy. Lygia nie stawiała oporu i obie weszły do cubikulum, które było obszerne i urządzone z przepychem, skutkiem dawnych stosunków Akte z Cezarem. Tam położyły się jedna obok drugiej, lecz Akte, mimo zmęczenia, nie mogła zasnąć. Oddawna była smutna i nieszczęśliwa, lecz teraz począł ją chwycać jakiś niepokój, którego nie doznawała nigdy przedtem. Dotychczas życie wydawało się jej tylko ciężkiem i pozbawionem jutra, teraz wydało się jej nagle bezecnem. W głowie jej powstawał coraz większy zamęt. Drzwi na światło poczęły się znów, to odchyłać, to zamykać. Ale w chwili, gdy się otwierały, światło owo olśniewało ją tak, że nie widziała nic wyraźnie. Raczej odgadywała tylko, że tkwi w tej jasności jakieś szczęście, poprostu bez miary, wobec którego wszelkie inne jest tak dalece niczem, że gdyby naprzykład Cezar oddalił Poppeę, a pokochał nanowo ją, Akte, to i to byłoby marnością. Naraz przyszła jej myśl, że ten Cezar, którego kochała i którego mimowoli uważała za jakiegoś pół-boga, jest czemś tak lichem, jak i każdy niewolnik, a ów pałac z kolumnadami z numidyjskiego marmuru czemś nielepszym od kupy kamieni. Lecz, w końcu, te poczucia, z których nie umiała sobie zdać sprawy, poczęły ją męczyć. Pragnęła zasnąć, lecz, nurtowana przez niepokój, nie mogła. Nakoniec, sądząc, że Lygia, nad którą zawisło tyle gróźb i niepewności, nie śpi także, zwróciła się ku niej, by rozmawiać o jej wieczornej ucieczce. Lecz Lygia spała spokojnie. Do ciemnego cubikulum, przez zasuniętą niedość szczelnie zasłone, wpadało kilka jasnych promieni, w których kręcił się pył złoty. Przy ich świetle, Akte spostrzegła jej delikatną twarz, wspartą na obnażonym ramieniu, zamknięte oczy i otwarte nieco usta. Oddychała równo, ale tak, jak oddycha się we śnie. — Śpi, może spać! — pomyślała Akte — to jeszcze dziecko. Wszelako, po chwili, przyszło jej do głowy, że to dziecko woli jednak uciekać, niż zostać kochanką Viniciusza, woli nędzę, niż hańbę, tułactwo, niż wspaniały dom koło Karynów, niż stroje, klejnoty, niż uczyty, głosy lutni i cytr. — Dlaczego? I poczęła patrzeć na Lygię, jakby chcąc znaleźć odpowiedź w jej uśmiechanej twarzy. Patrzyła na jej przeczyste czoło, na pogodny łuk brwi, na ciemne rzęsy, na rozchylone usta, na poruszaną spokojnym oddechem pierś dziewczęcą, poczem pomyślała znów: — Jaka ona inna ode mnie! I Lygia wydała jej się cudem, jakimś boskim widzeniem, jakimś ukochaniem bogów, stokroć piękniejszym od wszystkich kwiatów w ogrodzie Cezara i od wszystkich rzeźb w jego pałacu. Lecz w sercu Greczynki nie było zazdrości. Owszem, na myśl o niebezpieczeństwach, jakie groziły dziewczynie, chwyciła ją wielka litość. Zbudziło się w niej jakieś uczucie matki; Lygia wydała się jej nie tylko piękną, jak piękny sen, ale zarazem bardzo kochaną, i zbliżywszy usta do jej ciemnych włosów, poczęła je całować. A Lygia spała spokojnie, jakby w domu, pod opieką Pomponii Graeciny. I spała dość długo. Południe przeszło już, gdy otworzyła swe błękitne oczy i poczęła spoglądać po cubikulum z wielkiem zdziwieniem. Widocznie dziwiło ją, że nie jest w domu u Aulusów. — To ty, Akte? — rzekła wreszcie, dojrzwawszy w mroku twarz Greczynki. — Ja, Lygio. — Czy to już wieczór? — Nie, dziecko, ale południe już minęło. — A Ursus nie wrócił? — Ursus nie mówił, że wróci, tylko że wieczorem będzie czatował z chrześcijanami na lektykę. — Prawda. Poczem opuściły cubikulum i udały się do łaźni, gdzie Akte, wykąpawszy Lygię, zaprowadziła ją na śniadanie, a potem do ogrodów pałacowych, w których żadnego niebezpiecznego spotkania nie należało się obawiać, albowiem Cezar i jego przedniejsi dworscy spali jeszcze. Lygia po raz pierwszy w życiu widziała te wspaniałe ogrody, pełne cyprysów, pinii, dębów, oliwek i mirtów, wśród których bielił się cały lud posągów, błyszcząły spokojne zwierciadła sadzawek, kwieciły się całe gaiki róż, zraszanych pyłem fontann, gdzie wejścia do czarownych grot obrastał bluszcz lub winograd, gdzie na wodach pływały srebrne łabędzie, a wśród posągów i drzew chodziły przyswojone gazele z pustyń Afryki i barwne ptactwo, sprowadzane ze wszystkich znanych krain

świata. Ogrody były puste; tu i owdzie tylko pracowali z łopatami w rękę niewolnicy, śpiewając półgłosem pieśni; inni, którym dano chwilę wypoczynku, siedzieli nad sadzawkami lub w cieniu dębów, w drgających światłkach, utworzonych od promieni słońca, przedzierających się przez liście; inni nakoniec zraszali róże lub blado-lila kwiaty szafranu. Akte z Lygią chodziły dość długo, oglądając wszelkie cuda ogrodów i jakkolwiek Lygii brakło swobody myśli, była jednak jeszcze nadto dzieckiem, aby mogła oprzeć się zajęciu, ciekawości i podziwowi. Przychodziło jej nawet na myśl, że gdyby Cezar był dobry, to w takim pałacu i w takich ogrodach mógłby być bardzo szczęśliwy. Lecz wreszcie, zmęczone nieco, siadły na ławce, ukrytej prawie całkiem w gąszczu cyprysów i poczęły rozmawiać o tem, co im najbardziej ciążyło na sercu, to jest o wieczornej ucieczce Lygii. Akte była daleko mniej spokojną od Lygii o powodzenie tej ucieczki. Chwilami wydawało się jej nawet, że to jest zamiar szalony, który nie może się udać. Czuła coraz większą litość nad Lygią. Przychodziło jej też do głowy, że stokroć bezpieczniej byłoby próbować przejednać Viniciusza. Po chwili poczęła ją wypytywać, jak dawno zna Viniciusza i czy nie myśli, że dałby się może ubłagać, i wrócił ją Pomponii. Lecz Ligia potrząsnęła smutno swą ciemną główką. — Nie. W domu Aulusów Viniciusz był inny, dobry bardzo, ale od wczorajszej uczytę boję się go i wolę uciec do Lygów. Akte pytała dalej: — Jednak w domu Aulusów był ci miłym? — Tak — odrzekła Lygia, schylając głowę. — Ty przecie nie jesteś niewolnicą, tak jak ja byłam — rzekła po chwili namysłu Akte. — Ciebie Viniciusz mógłby zaślubić. Jesteś zakładniczką i córką króla Lygów. Aulusowie kochają cię, jak własne dziecko i jestem pewna, że gotowi cię przyjąć za córkę. Viniciusz mógłby cię zaślubić, Lygio. Lecz ona odpowiedziała cicho i jeszcze smutniej: — Wolę uciec do Lygów. — Lygio, czy chcesz, bym zaraz poszła do Viniciusza, zbudziła go, jeśli śpi, i powiedziała mu to, co tobie mówię w tej chwili? Tak, droga moja, pójdę do niego i powiem mu: Viniciuszu, to córka królewska i drogie dziecko sławnego Aulusa; jeśli ją kochasz, wróć ją Aulusom, a potem weź ją, jako żonę, z ich domu. A dziewczyna odpowiedziała głosem tak już cichym, że Akte zaledwie mogła dosłyszeć: — Wolę do Lygów... I dwie łzy zawisły na jej spuszczonej rzesach. Lecz dalszą rozmowę przerwał szelest zbliżających się kroków i zanim Akte miała czas zobaczyć, kto nadchodzi, przed ławką ukazała się Sabina Poppea z małym orszakiem niewolnic. Dwie z nich trzymały nad jej głową pęki strusich piór, osadzone na złotych prętach, któremi wachlowały ją lekko, a zarazem i zasłaniały przed pałacem jeszcze jesiennem słońcem, przed nią zaś czarna, jak heban, Etyopka, o wydętych, jakby wezbranych mlekiem, piersiach, niosła na rękę dziecko, owinięte w purpurę ze złotą frędzlą. Akte i Lygia powstały, mniemając, że Poppea przejdzie obok ławki, nie zwróciwszy na nie uwagi, lecz ona zatrzymała się przed niemi i rzekła: — Akte, dzwonki, któreś przyszyła na ikunkuli (lalce), źle były przyszyte; dziecko oderwało jeden i poniosło do ust; szczęście, że Lilith zobaczyła dość wcześnie. — Wybacz, boska — odpowiedziała Akte, krzyżując ręce na piersi i pochylając głowę. Lecz Poppea poczęła patrzeć na Lygię. — Co to za niewolnica? — spytała po chwili. — To nie jest niewolnica, boska Augusto, ale wychowanka Pomponii Graeciny i córka króla Lygów, dana przez tegoż, jako zakładniczka, Rzymowi. — I przyszła cię odwiedzić? — Nie, Augusto. Od onegdaj mieszka w pałacu. — Była wczoraj na ucztie? — Była, Augusto. — Z czyjego rozkazu? — Z rozkazu Cezara... Poppea poczęła jeszcze uważniej patrzeć na Lygię, która stała przed nią z głową pochyloną, to wznosząc z ciekawości swe promienne oczy, to nakrywając je znów powiekami. Nagle zmarszczka zjawiła się między brwiami Augusty. Zazdrosna o własną urodę i o władzę, żyła ona w ustawicznej trwodze, by kiedyś jakaś szczęśliwa współzawodniczka nie zgubiła jej tak, jak ona sama zgubiła Oktawię. Dlatego każda piękna twarz w pałacu wzbudzała w niej podejrzenie. Okiem znawczyni ogarnęła od razu wszystkie kształty Lygii, oceniła każdy szczegół jej twarzy, i złąka się. „To jest wprost nimfa“, rzekła sobie. „Ją urodziła Venus“. I nagle przyszło jej do głowy to, co nie

przychodziło jej nigdy dotąd, na widok żadnej piękności: że jest znacznie starsza! Zadrzała w niej zraniona miłość własna, chwycił ją niepokój, i różne obawy poczęły jej przesuwając się szybko przez głowę. „Może jej Nero nie widział, albo patrząc przez szmaragd, nie ocenił. Ale co może się zdarzyć jeśli ją spotka w dzień, przy słońcu, taką cudną?... W dodatku nie jest niewolnicą! jest córką królewską, z barbarzyńców wprawdzie, ale córką królewską!... Bogowie nieśmiertelni! Ona równie piękna, jak ja, a młodsza! I zmarszczka między brwiami stała się jeszcze większą, a oczy jej z pod złotych rzęs poczęły świecić zimnym blaskiem. Lecz, zwróciwszy się do Lygii, poczęła pytać z pozornym spokojem: — Mówiłaś z Cezarem? — Nie, Augusto. — Dlaczego wolisz tu być, niż u Aulusów? — Ja nie wolę, pani. Petroniusz namówił Cezara, by mnie odebrał Pomponii, ale jam tu poniewoli, o, pani!... — I chciałybyś wrócić do Pomponii? Ostatnie pytanie Poppea zadała głosem miększym i łagodniejszym, więc w serce Lygii wstąpiła nagle nadzieja. — Pani! — rzekła, wyciągając ku niej rękę. — Cezar obiecał oddać mnie, jak niewolnicę, Viniciuszowi, ale ty się wstaw za mną i wróc mnie Pomponii. — Więc Petroniusz namówił Cezara, by cię zabrał Aulusowi i oddał Viniciuszowi? — Tak, pani. Viniciusz ma dziś jeszcze przysłać po mnie, lecz ty, dobra, ulituj się nade mną. To rzekłszy, schyliła się i chwyciwszy za brzeg sukni Poppei, poczęła czekać na jej słowo z bijącym sercem, Poppea zaś patrzyła na nią przez chwilę z twarzą rozjaśnioną złym uśmiechem, poczem rzekła: — Więc ci obiecuję, że dziś jeszcze zostaniesz niewolnicą Viniciusza. I odeszła, jak widziadło piękne, ale złe. Do uszu Lygii i Akte doszedł tylko krzyk dziecka, które niewiadomo dlaczego zaczęło płakać. Lygii oczy również wezbrały łzami, lecz po chwili wzięła rękę Akte i rzekła: — Wróćmy. Pomocy stąd tylko czekać należy, skąd przyjsć może. I wróciły do atrium, którego nie opuszczały już do wieczora. Gdy się ściemniło i gdy niewolnicy wnieśli poczwórne kaganki o wielkich płomieniach, obie były bardzo blade. Rozmowa ich rwała się co chwila. Obie nasłuchiwały wciąż, czy się kto nie zbliża. Lygia powtarzała ustawicznie, że jakkolwiek żal jej porzucać Akte, ale ponieważ Arsus musi tam już czekać w ciemnościach, więc wolałaby, żeby wszystko stało się dziś. Jednakże oddech jej uczynił się ze wzruszenia szybszy i głośniejszy. Akte gorączkowo zgarniała, jakie mogła, klejnoty i wiążąc je w róg peplum, zaklinała Lygię, by nie odrzucała tego daru i tego środka ucieczki. Chwilami zapadała głucha cisza, pełna złudzeń słuchu. Obydwom zdawało się, że słyszą to jakiś szept za kotarą, to daleki płacz dziecka, to szczekanie psów. Nagle zasłona od przedsionka poruszyła się bez szelestu i wysoki, czarniawy człowiek, z twarzą poznaczoną ospą, zjawił się, jak duch, w atrium. Lygia w jednej chwili poznała Atacina, wyzwolenca Viniciuszowego, który przychodził do domu Aulusów. Akte krzyknęła, lecz Atacinus skłonił się nisko i rzekł: — Pozdrowienie boskiej Lygii od Marka Viniciusza, który czeka ją z uczcią w domu, przybranym w zieleń. Usta dziewczyny pobieleły zupełnie. — Idę — rzekła. I zarzuciła na pożegnanie ręce na szyję Akte.

ROZDZIAŁ X.

A dom Viniciusza przybrany był istotnie w zielen mirtową i bluszcze, z których poczyniono upięcia na ścianach i nad drzwiami. Kolumny okręcono zwojami winogrodu. W atrium, nad którego otworem rozciągnięto dla ochrony od nocnego chłodu wełnianą purpurową zasłonę, widno było, jak w dzień. Płonęły ośmio- i dwunasto-płomienne kaganki, mające kształt naczyń, drzew, zwierząt, ptaków, lub posągów trzymających lampy, napełnione wonną oliwą, wykutych z alabastru, z marmuru, ze złoczonej miedzi korynckiej, nie tak cudnych, jak ów sławny świecznik ze świątyni Apollina, którym posługiwał się Nero, ale pięknych i przez sławnych mistrzów rzeźbionych. Niektóre poosłaniane były aleksandryjskiem szkłem lub przeźroczeni tkaninami z nad Indu, barwy czerwonej, błękitnej, żółtej, fioletowej, tak, że całe atrium pełne było różnokolorowych promieni. Wszędy rozchodziła się woń nardu, do której Viniciusz przywykł i którą polubił na Wschodzie. Głęb domu, w której snuły się żeńskie i męskie postacie niewolników, jaśniała także światłem. W tryklinium stół był przygotowany na cztery osoby, do uczyty bowiem, prócz Viniciusza i Lygii, miał zasiąść Petroniusz i Chryzotemis. Viniciusz szedł we wszystkim za słowami Petroniusza, który radził mu nie iść po Lygię, ale posłać Atacina z uzyskanem od Cezara pozwoleniem, samemu zaś przyjąć ją w domu i przyjąć uprzejmie, a nawet z oznakami czci. — Wczoraj byłeś pijany — mówił mu. — Widziałem cię: postępowałeś z nią, jak kamieniarz z gór Albańskich. Nie bądź zbyt natarczywy i pamiętaj, że dobre wino zależy pić powoli. Wiedz także, że słodko jest pożądać, lecz jeszcze słodziej być pożądanym. Chryzotemis miała o tem własne, nieco odmienne zdanie, lecz Petroniusz, nazywając ją swoją westalką i gołąbką, począł jej tłómaczyć różnicę, jaka być musi między wprawnym cyrkowym woźnicą, a pacholęciem, które po raz pierwszy wsiada na kwadrygę. Poczem, zwróciwszy się do Viniciusza, mówił dalej: — Zyskaj jej ufność, rozwesel ją, bądź z nią wspaniałomyślny. Nie chciałbym widzieć smutnej uczyty. Przysięgnij jej nawet na Hades, że ją wrócisz Pomponii, a już twoją będzie rzeczą, by wolała nazajutrz zostać, niż wrócić. Poczem, ukazując na Chryzotemis, dodał: — Ja, od pięciu lat, codzień postępuję w ten mniej więcej sposób z tą płochliwą turkawką, i nie mogę się uskarżać na jej srogość... Chryzotemis uderzyła go na to wachlarzem z pawich piór i rzekła: — Alboż się nie opierałam, satyrze! — Ze względu na mego poprzednika... — Alboż nie byłeś u moich nóg? — Żeby na ich palce zakładać pierścionki. Chryzotemis spojrzała mimowoli na swe stopy, na których palcach połyskiwały istotnie skry klejnotów, i oboje z Petroniuszem poczęli się śmiać. Lecz Viniciusz nie słuchał ich sprzeczki. Serce biło mu niespokojnie pod wzorzystą szatą syryjskiego kapłana, w którą się przybrał na przyjęcie Lygii. — Już powinni byli wyjść z pałacu — rzekł, jakby mówiąc sam do siebie. — Powinni byli — odpowiedział Petroniusz. — Może ci tymczasem opowiedzieć o wróżbach Apoloniusza z Tyany, lub ową historję o Rufinie, której nie pamiętam dlaczego nie skończyłem. Lecz Viniciusza zarówno mało obchodził Apoloniusz z Tyany, jak i historia Rufina. Myśl jego była przy Lygii i choć czuł, że piękniej było przyjąć ją w domu, niż iść w roli zbira do pałacu, żałował jednak chwilami, że nie poszedł tylko dlatego, że mógłby wcześniej widzieć Lygię i siedzieć koło niej w ciemnościach w podwójnej lektyce. Tymczasem niewolnicy wnieśli trójnożne, zdobne głowami tryków, brązowe misy z węglami, na które poczęli sypać małe żdźbła myrry i nardu. — Już skręcają ku Karynom — rzekł znów Viniciusz. — On nie wytrzyma, wybiegnie naprzeciw i gotów się jeszcze z nimi rozminąć — zawołała Chryzotemis. Viniciusz uśmiechnął się bezmyślnie i rzekł: — Owszem, wytrzymam. Lecz począł poruszać nozdrzami i sapać, co widząc Petroniusz, wzruszył ramionami. — Niema w nim filozofa za jedną sesterceyę — rzekł — i nigdy nie zrobię z tego syna Marsa, człowieka. Viniciusz nawet nie usłyszał: — Są już na Karynach!... Oni zaś rzeczywiście skręcali ku Karynom. Niewolnicy, zwani lampadarii, szli na przedzie, inni, zwani pedisequi, po obu stronach lektyki, Aticinus zaś tuż za nią, czuwając nad pochodem. Lecz posuwali

się zwolna, bo latarnie, w mieście wcale nieoświetlone, źle rozjaśniały drogę. Przytem ulice w pobliżu pałacu były puste, zaledwie gdzieniegdzie jakiś człowiek przesuwiał się z latarką, ale dalej niezwykle ożywione. Z każdego prawie zaułku wychodzili ludzie, po trzech, po czterech, wszyscy bez pochodni, wszyscy w ciemnych płaszczach. Niektórzy szli razem z pochodem, mieszając się z niewolnikami, inni w większych gromadach, zachodzili z naprzeciwka. Niektórzy taczali się, jak pijani. Chwilami pochód stawał się tak trudny, że „lampadarii“ zaczęli wołać: — Miejsce dla szlachetnego trybuna, Marka Viniciusza! Lygia widziała przez rozsunięte firanki te ciemne gromady i poczęła dygotać ze wzruszenia. Porywała ją naprzemian to nadzieja, to trwoga. „To on! to Ursus i chrześcijanie! To stanie się już zaraz“ — mówiła drżącymi ustami — „O Chryste, pomagaj! o Chryste, ratuj!“ Ale i Aticinus, który z początku nie zważał na owo niezwykle ożywienie ulicy, począł się wreszcie niepokoić. Było w tem coś dziwnego. Lampadarii musieli coraz częściej wołać: „Miejsce dla lektyki szlachetnego trybuna!“ Z boków nieznani ludzie naciskali tak lektykę, że Aticinus kazał niewolnikom odganiać ich kijami. Nagle krzyk uczynił się na przodzie pochodu, w jednej chwili pogasły wszystkie światła. Koło lektyki uczynił się tłok, zamieszanie i bitwa. Aticinus zrozumiał: był to wprost napad. I zrozumiawszy, struchlał. Wiadomem było wszystkim, że Cezar często dla zabawy rozbija w gronie Augustyanów, i na Suburze, i w innych dzielnicach miasta. Wiadomem było, że czasem nawet przynosił z tych nocnych wycieczek guzy i sińce, lecz kto się bronił, szedł na śmierć, choćby był senatorem. Dom wigilów, których obowiązkiem było czuwać nad miastem, nie był zbyt odległy, ale straż udawała w podobnych wypadkach, że była głuchą i ślepą. Tymczasem koło lektyki wrzało; ludzie poczęli się zмагаć, bić, obalać i deptać. Aticinusowi błysnęła myśl, że przedewszystkiem należy ocalić Lygię i siebie, a resztę zostawić losowi. Jakoż, wyciągnąwszy ją z lektyki, porwał na ręce i usiłował się wymknąć w ciemności. Lecz Lygia poczęła wołać: — Ursus! Ursus! Była biało ubrana, więc łatwo było ją dojrzeć. Aticinus począł drugą wolną ręką narzucać na nią gwałtownie własny płaszcz, gdy naraz straszliwe cęgi chwyciły jego kark, a na głowę spadła mu, jak kamień, olbrzymia druzgocąca masa. On zaś padł w jednej chwili, jak wół, uderzony obuchem przed ołtarzem Jowisza. Niewolnicy leżeli po większej części na ziemi, lub ratowali się, rozbijając się wśród grubych ciemności o załomy murów. Na miejscu pozostała tylko podruzgotana w zamieszaniu lektyka. Ursus unosił Lygię ku Suburze, towarzysze jego dążyli za nim, rozpraszając się stopniowo po drodze. Lecz niewolnicy poczęli się zbierać przed domem Viniciusza i naradzać. Nie śmieli wejść. Po krótkiej naradzie wrócili na miejsce spotkania, na którym znaleźli kilka ciał martwych, a między niemi ciało Atycyna. Ten drgał jeszcze, lecz po chwilowej silniejszej konwulsyi, wyprężył się i pozostał nieruchomy. Wówczas zabrali go i wróciwszy, zatrzymali się znów przed bramą. Trzeba było jednak oznajmić panu, co się stało. — Gulo niech oznajmi — poczęło szeptać kilka głosów — krew mu płynie, jak i nam, z twarzy i pan go kocha. Gulowi bezpieczniej od innych. A Germanin Gulo, stary niewolnik, który niegdyś wyniańczył Viniciusza, a odziedziczony był przez niego po matce, siostrze Petroniusza, rzekł: — Ja oznajmię, ale pójdźmy wszyscy. Niech na mnie jednego nie spada jego gniew. Viniciusz zaś począł się już niecierpliwie zupełnie. Petroniusz i Chryzotemis wyśmiewali go, lecz on chodził szybkim krokiem po atrium, powtarzając: — Już powinni być!... Już powinni być!... I chciał iść, a tamci oboje go wstrzymywali. Lecz nagle w przedsionku dały się słyszeć kroki i do atrium wpadli hurmem niewolnicy, a stanąwszy szybko pod ścianą, podnieśli ręce w górę i poczęli powtarzać jękliwymi głosami: — Aaaa!... aa! Viniciusz skoczył ku nim: — Gdzie Lygia? — zawołał strasznym, zmienionym głosem: — Aaaa!!!... Wtem Gulo wysunął się naprzód ze swoją pokrzwawioną twarzą, wołając z pośpiechem i żałością: — Oto krew, panie! broniliśmy! Oto krew, panie! oto krew !... Lecz nie zdołał dokończyć, gdyż Viniciusz chwycił brązowy świecznik i jednym uderzeniem strzaskał czerep niewolnika, poczem

objąwszy się za głowę rękoma, wpił palce we włosy, powtarzając chrapliwie: — Me miserum! Me miserum!... Twarz mu posiniała, oczy uciekły pod czoło, piana wystąpiła na usta. — Rózeg!!! — ryknął wreszcie nieludzkim głosem. — Panie! Aaaa!... ulituj się! — jęczeli niewolnicy. Lecz Petroniusz podniósł się z wyrazem niesmaku w twarzy. — Chodź, Chryzotemis! — rzekł — jeśli chcesz patrzeć na mięso, każę odbić sklep rzeźnika na Karynach. I wyszedł z atrium, w całym zaś domu, ubranym w zieleń bluszczów i gotowym do uczy, rozległy się po chwili jęki i świst rózeg, który trwał niemal do rana.

ROZDZIAŁ XI.

Tej nocy Viniciusz nie kładł się wcale. W czas jakiś po odejściu Petroniusza, gdy jęki smaganych niewolników nie mogły ukoić ani jego bólu, ani wściekłości, zebrał gromadę innych sług i na ich czele, późną już nocą, wypadł na poszukiwanie Lygii. Zwiedził dzielnicę eskwilińską, potem Suburę, Vicus Sceleratus i wszystkie przyległe zaułki. Poczem, obszedłszy Kapitol, przez most Fabriciusza przedostał się na wyspę, zaczem przebiegł część miasta zatybrzańską. Lecz była to gonitwa bez celu, gdyż sam nie miał nadziei odnalezienia Lygii i jeśli jej szukał, to głównie dlatego, by zapełnić czemkolwiek noc straszną. Jakoż wrócił do domu dopiero o świtaniu, gdy już w mieście poczęły się zjawiać wozy i muły przekupniów jarzyn i gdy piekarze otwierali już sklepy. Wróciwszy, kazał uprzątnąć ciało Gula, którego nikt nie śmiał tknąć dotąd, następnie tych niewolników, którym odbito Lygię, kazał wysłać do wiejskich ergastulów, co było karą straszniejszą niemal od śmierci, wreszcie, rzuciwszy się na wysłaną ławę w atrium, począł beładnie rozmyślać, jakim sposobem odnajdzie i zabierze Lygię. Wyrzec się jej, stracić ją, nie zobaczyć jej więcej, wydawało mu się niepodobieństwem i na samą myśl o tem ogarniał go szal. Samowolna natura młodego żołnierza pierwszy raz w życiu trafiła na opór, na inną niezłomną wolę i wprost nie mogła pojąć, jak to być może, by ktoś śmiał stawać w poprzek jego żądry. Viniciusz wolałby raczej, żeby świat i miasto zapadły w gruzy, niż żeby on nie miał dopiąć tego, czego chciał. Odjęto mu czarę rozkoszy niemal z przed ust, więc wydało mu się, iż spełniło się coś niesłychanego, wołającego o pomstę do praw boskich i ludzkich. Lecz przedewszystkiem nie chciał i nie mógł się pogodzić z losem, albowiem nigdy niczego tak nie pragnął w życiu, jak Lygii. Zdawało mu się, że nie potrafi bez niej istnieć. Nie umiał sobie odpowiedzieć, co zrobiłby bez niej jutro, jakby mógł przeżyć dni następne. Chwilami porywał go na nią gniew, blizki obłędu. Chciałby ją mieć, po to, by ją bić, włóczyć za włosy do cubikulów i pastwić się nad nią, to znów porywała go straszna tęsknota za jej głosem, postacią, oczyma i czuł, że gotówby był leżeć u jej nóg. Wołał na nią, gryzł palce, obejmował głowę rękoma. Zmuszał się ze wszystkich sił, by myśleć spokojnie o jej odzyskaniu, i nie mógł. Przez głowę przelatywały mu tysiączne środki i sposoby, ale jedno od drugich szaleńsze. Wreszcie błysnęła mu myśl, że nikt inny jej nie odbił, tylko Aulus, że w najgorszym razie Aulus musiał wiedzieć, gdzie ona się ukrywa. I zerwał się, by biedz do domu Aulusów. Jeśli mu jej nie oddadzą, jeśli nie ulękną się groźb, pójdzie do Cezara, oskarży starego wodza o nieposłuszeństwo i uzyska na niego wyrok śmierci, ale przedtem wydobędzie z nich wyznanie, gdzie jest Lygia. Lecz jeśli ją oddadzą, nawet dobrowolnie, i tak się pomści. Przyjęli go wprawdzie w dom i pielęgowali, ale to nic. Tą jedną krzywdą uwolnili go od wszelkiej wdzięczności. Tu mściwa i zawzięta jego dusza poczęła się lubować myślą o rozpacy Pomponii Graeciny, gdy staremu Aulusowi centurion przyniesie wyrok śmierci. Był zaś niemal pewny, że go uzyska. Pomoże mu w tem Petroniusz. Zresztą i sam Cezar nie odmawia niczego swym towarzyszom augustianom, chyba, że mu nakazuje odmówić osobista niechęć lub żądza. I nagle serce zamarło w nim niemal pod wpływem strasznego przypuszczenia. A nuż to sam Cezar odbił Lygię? Wszyscy wiedzieli, że Cezar często szukał w nocnych rozbojach rozrywek wśród nudów. Nawet Petroniusz przyjmował udział w tych zabawach. Głównym ich celem było

wprawdzie chwytanie kobiet i podrzucanie ich na płaszczu żołnierskim, aż do omdlenia. Jednakże sam Nero nazywał czasami owe wyprawy „połowem pereł“, zdarzało się bowiem, że w głębi dzielnic, zamieszkałych przez rojną ubogą ludność, wylawiano prawdziwą perłę wdzięku i młodości. Wówczas „sagatio“, jak nazywano podrzucanie na żołnierskiej guni, zmieniano się na prawdziwe porwanie i „perłę“ odsyłano albo na Palatyn, albo do którejś z niezliczonych willi Cezara, albo wreszcie Nero odstępował ją któremu z towarzyszków. Tak mogło zdarzyć się i z Lygią. Cezar przypatrywał się jej w czasie uczyty i Viniciusz ani na chwilę nie wątpił, że musiała mu się wydać najpiękniejszą z kobiet, jakie dotąd widział. Jakżeby mogło być inaczej! Wprawdzie Nero ją miał u siebie na Palatynie i mógł otwarcie zatrzymać. Lecz, jak słusznie mówił Petroniusz, Cezar nie miał odwagi w zbrodniach i, mogąc działać otwarcie, wolał zawsze działać tajemnie. Tym razem mogła go do tego skłonić i obawa przed Poppeą. Viniciuszowi przyszło teraz do głowy, że Aulusowie możeby nie śmieli porywać przemocą dziewczyny, podarowanej mu przez Cezara. Ktoby zresztą śmiał? Czy może ów olbrzymi Lyg z błękitnymi oczyma, który odważył się jednak wejść do triklinium i wynieść ją z uczyty na rękę? Ale gdzieżby się z nią schronił, dokądby ją mógł zaprowadzić? Nie! niewolnik nie zdobyłby się na to. Zatem, nie uczynił tego nikt inny, jak Cezar. Na tę myśl, Viniciuszowi pociemniało w oczach i krople potu pokryły mu czoło. W takim razie Lygia była straconą na zawsze. Można ją było wyrwać z każdych innych rąk, lecz nie z takich. Teraz z większą, niż przedtem słusnością mógł powtarzać: *Vae misero mihi!* Wyobraźnia przedstawiła mu Lygię w ramionach Nerona i po raz pierwszy w życiu zrozumiał, że są myśli, których człowiek poprostu znieść nie może. Dopiero teraz poznał, jak ją pokochał. Jak tonącemu przesuwa się błyskawicznie przez pamięć całe jego życie, tak jemu poczęła się przesuwać Lygia. Widział ją, słyszał każde jej słowo. Widział ją przy fontannie, widział u Aulusów i na uczcie. Czuł ją znów blisko, czuł zapach jej włosów, ciepło jej ciała, rozkosz pocałunków, którymi na uczcie rozgniała jej niewinne usta. Wydała mu się stokroć piękniejszą, pożądańszą, słodsza, stokroć więcej jedyną wybraną z pośród wszystkich śmiertelnych i wszystkich bóstw, niż kiedykolwiek. I gdy pomyślał, że to wszystko, co tak wszczepiło mu się w serce, co stało się krwią i życiem, mógł posiadać Nero, chwycił go ból, zupełnie fizyczny, tak straszny, że chciało mu się bić głową o ściany atrium, póki jej nie roztrzaska. Czuł, że może oszaleć i że oszalałby z pewnością, gdyby mu jeszcze nie pozostawała zemsta. Lecz, jak poprzednio wydało mu się, że nie będzie mógł żyć, jeśli Lygii nie odzyska, tak obecnie, że nie będzie mógł umrzeć, póki jej nie pomści. Ta jedna myśl sprawiała mu niejaka ulgę. „Będę twoim Kasiuszem Chereą!“ — powtarzał sobie, myśląc o Neronie. Po chwili, chwyciwszy w ręce ziemi z waz kwiatowych, otaczających impluwium, wykonał straszną przysięgę Erebowi, Hekacie i własnym domowym larom, że zemsty dokona. I doznał istotnie ulgi. Miał przynajmniej dlaczego żyć i czem zapełnić dnie i noce. Poczem, zaniechawszy myśli udania się do Aulusów, kazał się nieść na Palatyn. Po drodze myślał, że jeśli go nie dopuszczą do Cezara lub zechcą sprawdzać, czy nie ma przy sobie broni, to będzie dowód, że Lygię porwał Cezar. Broni jednak nie wziął. Stracił przytomność w ogóle, lecz jak zwykle ludzie, pochłonięci jedną myślą, zachował ją w tem, co się tyczyło zemsty. Nie chciał, by mu spełzła przedwcześnie. Prócz tego pragnął przede wszystkim zobaczyć Akte, sądził bowiem, że od niej może dowiedzieć się prawdy. Chwilami przebłyskiwała mu nadzieja, że może zobaczy i Lygię, i na tę myśl poczynał drzeć. Nuż bowiem Cezar porwał ją, nie wiedząc, kogo porywa i dziś mu ją wróci? Ale po chwili odrzucił to przypuszczenie. Gdyby chciano mu ją odesłać, odesłanoby wczoraj. Akte jedna mogła wszystko wyjaśnić i ją przed innymi należało zobaczyć. Utwierdziwszy się w tem, kazał niewolnikom przyśpieszyć kroku, po drodze zaś rozmyślał bezładnie to o Lygii, to o zemście. Słyszał, że kapłani egipskiej bogini, Pacht, umieją sprowadzać choroby, na kogo zechcą, i postanowił dowiedzieć się od nich o sposobie. Na Wschodzie mówiono mu także, że

Żydzi mają jakieś zaklęcia, za pomocą których pokrywają wrzodami ciała nieprzyjaciół. Między niewolnikami miał w domu kilkunastu Żydów, obiecał sobie więc, że za powrotem każe ich ćwiczyć, póki mu tej tajemnicy nie wyjawią. Z największą jednak rozkoszą myślał o krótkim mieczu rzymskim, który wytacza strumienie krwi, takie właśnie, jakie wytrysły z Kajusa Kaliguli i potworzyły niestarte plamy na kolumnie portyku. Gotów był teraz wymordować cały Rzym, a gdyby jacy mściwi bogowie obiecali mu, że wszyscy ludzie wymrą, z wyjątkiem jego i Lygii, byłby się na to zgodził. Przed łukiem zebrał całą przytomność i na widok straży pretoriańskiej pomyślał, że jeśli mu będą czynili choćby najmniejsze trudności przy wejściu, to będzie dowód, że Lygia jest z woli Cezara w pałacu. Lecz pryncypilarny centurion uśmiechnął się do niego przyjaźnie i, postąpiwszy kilka kroków, rzekł: — Witaj, szlachetny trybunie. Jeśli pragniesz złożyć pokłon Cezarowi, na złą trafiłeś chwilę i nie wiem, czy będziesz mógł go zobaczyć. — Co się stało? — spytał Viniciusz. — Boska mała Augusta zachorowała niespodzianie od dnia wczorajszego. Cezar i Augusta Poppea są przy niej wraz z lekarzami, których z całego miasta wezwano. Był to wypadek ważny. Cezar, gdy mu się urodziła ta córka, szalał prosto ze szczęścia i przyjął ją: *extra humanum gaudium*. Przedtem jeszcze senat polecał najuroczyściej bogom łono Poppei. Czyniono wota i wyprawiano w Antium, gdzie nastąpiło rozwiązanie, wspaniałe igrzyska, a oprócz tego wzniesiono świątynię dwom Fortunom. Nero, który w niczem nie umiał zachować miary, bez miary również kochał to dziecko, Poppei zaś było ono także drogiem, choćby dlatego, że umacniało jej stanowisko i wpływ czyniło nieprzepartym. Od zdrowia i życia małej Augusty mogły zależeć losy całego imperium, lecz Viniciusz tak był zajęty sobą, własną sprawą i własną miłością, że, nie zwróciwszy prawie uwagi na wiadomość centuriona, odrzekł: — Chcę widzieć się tylko z Akte. I przeszedł. Lecz Akte zajęta była także przy dziecku i musiał czekać na nią długo. Nadeszła dopiero koło południa, z twarzą zmęczoną i bladą, która na widok Viniciusza pobladła jeszcze bardziej. — Akte — zawołał, chwytając jej rękę, Viniciusz, i ciągnąc ją na środek atrium — gdzie jest Lygia? — Chciałam się ciebie o to zapytać — odrzekła, patrząc mu z wyrzutem w oczy. A on, jakkolwiek przyrzekał sobie, że wybada ją spokojnie, ścisnął znów dłońmi głowę i począł powtarzać, z twarzą ściągniętą przez ból i gniew: — Niema jej. Porwano mi ją w drodze! Po chwili jednak opamiętał się i, zbliżywszy swą twarz do twarzy Akte, począł mówić przez zaciśnięte zęby: — Akte... Jeśli ci życie miłe, jeśli nie chcesz stać się przyczyną nieszczęść, których nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, odpowiedz mi prawdę: czy nie Cezar ją odbił? — Cezar nie wychodził wczoraj z pałacu. — Na cień matki twojej, na wszystkich bogów! Czy niema jej w pałacu? — Na cień matki mojej, Marku — niemasz jej w pałacu i nie Cezar ją odbił. Od wczoraj zachorowała mała Augusta i Nero nie oddała się od jej kołyski. Viniciusz odetchnął. To, co wydawało mu się najstraszniejszym, przestało mu grozić. — A więc — rzekł, siadając na ławie i zaciskając pięści — porwali ją Aulusowie i w takim razie biada im! — Aulus Plauciusz był tu dziś rano. Nie mógł się ze mną widzieć, gdyż byłam zajęta przy dziecku, ale wypytywał o Lygię Epafrodyta i innych ze służby cesarskiej, a potem oświadczył im, że przyjdzie jeszcze, aby się widzieć ze mną. — Chciał odwrócić od siebie podejrzenia. Gdyby nie wiedział, co się stało z Lygią, byłby przyszedł szukać jej do mego domu. — Zostawił mi kilka słów na tabliczce, z których zobaczysz, że, wiedząc, iż Lygia została zabrana z jego domu przez Cezara na twoje i Petroniusza żądanie, spodziewał się, iż zostanie tobie odesłana i dziś rano był w twoim domu, gdzie mu powiedziano, co się stało. To rzekłszy poszła do cubikulum i po chwili wróciła z tabliczką, którą jej zostawił Aulus. Viniciusz przeczytał i zamilkł. Akte zaś zdawała się czytać myśli w jego posępnej twarzy, gdyż po chwili rzekła: — Nie, Marku. Stało się to, czego chciała sama Lygia. — Tyś wiedziała, że ona chce uciec! — wybuchnął Viniciusz. A ona spojrzała na niego swemi mglistymi oczyma niemal surowo. — Wiedziałam, że nie chce zostać twoją nałożnicą. — A ty czem byłaś całe

życie?! — Ja byłam przedtem niewolnicą. Lecz Viniciusz nie przestał się burzyć: Cezar darował mu Lygię, więc on nie potrzebuje pytać, czem była przedtem. Wynajdzie ją choćby pod ziemią i uczyni z niej wszystko, co mu się podoba. Tak jest! Będzie jego nałożnicą. Każe ją chłostać, ilekroć mu się podoba. Gdy mu się sprzykrzy, odda ją ostatniemu ze swoich niewolników, albo każe jej obracać żarna w swoich posiadłościach w Afryce. Będzie jej teraz szukał i odnajdzie ją tylko po to, by ją zgnieść, zdeptać i upokorzyć. I, podniecając się coraz bardziej, tracił wszelką miarę do tego stopnia, że nawet Akte poznała, iż zapowiadał więcej, niż byłby zdolny dotrzymać, i że mówi przez niego gniew i męka. Nad męką miałyby litość, lecz przebrana miara wyczerpała jej cierpliwość, tak, że wreszcie spytała go, dlaczego do niej przyszedł. Viniciusz nie znalazł na razie odpowiedzi. Przyszedł do niej, bo tak chciał, bo sądził, że udzieli mu jakich wiadomości, ale właściwie przyszedł tylko do Cezara, a nie mogąc się z nim zobaczyć, wstąpił do niej. Lygia, uciekając, sprzeciwiła się woli Cezara, więc on ubłaga go, by nakazał jej szukać w całym mieście i państwie, choćby przyszło użyć do tego wszystkich legii i przetrząsać kolejno każdy dom w imperium. Petroniusz poprze jego prośbę i poszukiwania rozpoczną się od dziś dnia. Na to Akte rzekła: — Strzeż się, byś jej nie stracił na zawsze, wówczas dopiero, gdy ją z rozkazu Cezara odnajdą. Viniciusz zmarszczył brwi: — Co to znaczy? — spytał. — Słuchaj mnie, Marku! Wczoraj byliśmy z Lygią w tutejszych ogrodach i spotkałyśmy Poppeę a z nią małą Augustę, którą niosła Murzynka, Lilith. Wieczorem dziecko zachorowało, a Lilith twierdzi, że zostało urzeczone i że urzekła je ta cudzoziemka, którą spotkały w ogrodach. Jeśli dziecko wyzdrowieje, zapomną o tem, lecz w razie przeciwnym pierwsza Poppea oskarży Lygię o czary, a wówczas, gdziekolwiek ją odnajdą, nie będzie dla niej ratunku. Nastąpiła chwila milczenia, poczem Viniciusz ozwał się: — A może ją urzekła: i mnie urzekła. — Lilith powtarza, że dziecko zaraz zapłakało, gdy je przeniosła koło nas. I prawda! zapłakało. Pewno wyniesiono je do ogrodów już chore. Marku, szukaj jej sam, gdzie chcesz, ale póki mała Augusta nie wyzdrowieje, nie mów o niej z Cezarem, bo ściągniesz na nią pomstę Poppei. Dość już jej oczy płakały przez ciebie, i niech wszyscy bogowie strzegą teraz jej biednej głowy. — Ty ją kochasz Akte? — spytał posępnie Viniciusz. A w oczach wyzwolenicy błysnęły łzy. — Tak! Pokochałam ją. — Bo ci nie odplaciła nienawiścią, jak mnie. Akte popatrzyła na niego przez chwilę, jakby wahając się lub jakby pragnąc zbadać, czy mówił szczerze, poczem odrzekła: — Człowieku zapalczywy i ślepy: ona cię kochała. Viniciusz zerwał się pod wpływem tych słów, jak opętany. „Nieprawda!“ Nienawidziła go. Skąd Akte może wiedzieć!? Czy po jednym dniu znajomości Lygia uczyniła jej wyznanie? Co to jest za miłość, która woli tułactwo, hańbę ubóstwa, niepewność jutra, a może i nędzną śmierć od uwięzionego domu, w którym czeka z ucztą kochany! Lepiej mu takich rzeczy nie słyszeć, bo gotów oszaleć. Oto nie oddałby tej dziewczyny za wszystkie skarby tego pałacu, a ona uciekła. Co to jest za miłość, która boi się rozkoszy, a płodzi boleść! Kto to pojmie? Kto może zrozumieć? Gdyby nie nadzieja, że ją odnajdzie, to utopiłby w sobie miecz! Miłość się oddaje, nie odbiera. Były chwile u Aulusów, że sam wierzył w blizkie szczęście, ale teraz wie, że go nienawidziła, nienawidzi i umrze z nienawiścią w sercu. Lecz Akte, zwykle bojaźliwa i łagodna, wybuchnęła z kolei oburzeniem: Jakże to on starał się ją pozyskać? Zamiast pokłonić się o nią Aulusowi i Pomponii, odebrał dziecko podstępem rodzicom. Chciał ją uczynić nie żoną, ale nałożnicą, ją, wychowaną zacnego domu, ją, córkę królewską. I sprowadził ją do tego domu zbrodni i sromoty, pokalał jej niewinne oczy widokiem bezecnej uczty; postępował z nią, jak z nierządnicą. Zali zapomniał, czem jest dom Aulusów? i kim Pomponia Graecina, która wychowała Lygię? Zali nie ma dość rozumu na to, by odgadnąć, że to są kobiety inne, niż Nigidia, niż Kalwia Krispinilla, niż Poppea i niż te wszystkie, które napotyka w domu Cezara? Zali, ujrzawszy Lygię, nie zrozumiał odrazu, że to jest czyste dziewczę, które woli śmierć od hańby? Skądże wie, jakich ona bogów

wyznaje i czy nie czystszych, nie lepszych, niż nierządna Wenus lub niż Izys, którą czczą rozpustne Rzymianki? Nie! Lygia nie czyniła jej wyznań, ale mówiła jej, że ratunku wygląda od niego, od Viniciusza; miała nadzieję, że on wyprosi dla niej od Cezara powrót do domu i że wróci ją Pomponii. A mówiąc o tem, płoniła się jak dziewczę, które kocha i ufa. I jej serce biło dla niego, ale on sam przestraszył ją, zraził, oburzył, i niechże teraz jej szuka z pomocą żołnierzy Cezara, ale niech wie, że, jeśli dziecko Poppei umrze, to na nią padnie podejrzenie, i zguba jej będzie nieuchronna. Przez gniew i ból Viniciusza poczęło się przeciskać wzruszenie. Wiadomość, że Lygia kochała go, wstrząsnęła do głębi jego duszą. Przypomniał ją sobie w ogrodzie u Aulusów, gdy słuchała jego słów z rumieńcami na twarzy i z oczyma pełnemi światła. Wydało mu się, że wówczas istotnie poczyniała go kochać, i nagle ogarnęło go na tę myśl poczucie jakiegoś szczęścia, stokroć jeszcze większego, niż to, którego pragnął. Pomyślał, że istotnie mógł ją mieć powolną, a w dodatku kochającą. Oto byłaby oprędną drzwi jego i namaściła je wilczym tłuszczem, a potem zasiadła, jako żona, na owczem runie, u jego ogniska. Oto usłyszałby z jej ust sakramentalne: „gdzie ty Kajus, tam i ja Kaja“ i byłaby na zawsze jego. Czemu on tak nie postąpił? Był przecie gotów. A teraz jej nie ma i może jej nie odnaleźć, a gdyby odnalazł, może ją zgubić, a gdyby nawet nie zgubił, nie zechcą go już ani Aulusowie, ani ona. Tu gniew począł mu znów podnosić włosy na głowie, lecz teraz zwrócił się już nie przeciw Aulusom lub Lygii, lecz przeciw Petroniuszowi. On był wszystkiemu winien. Gdyby nie on, Lygia nie potrzebowałaby się tułać, byłaby jego narzeczoną i żadne niebezpieczeństwo nie wisiałoby nad jej drogą głową. A teraz stało się i zapóźno naprawiać złe, które się naprawić nie da. — Zapóźno! I zdawało mu się, że otchłań otworzyła się przed jego nogami. Nie wiedział, co przedsięwziąć, jak postąpić, dokąd się udać. Akte powtórzyła, jak echo, słowo: „zapóźno“, które, w cudzych ustach, zabrzmiało mu, jak wyrok śmierci. Rozumiał tylko jedną rzecz, że trzeba mu znaleźć Lygię, bo inaczej stanie się z nim coś złego. I, okręciwszy się machinalnie w togę, chciał odejść, nie żegnając się nawet z Akte, gdy wtem zasłona, dzieląca przedsionek od atrium, uchyliła się i nagle ujrzał przed sobą żalobną postać Pomponii Graeciny. Widocznie i ona dowiedziała się już o zniknięciu Lygii i, sądząc, że jej łatwiej będzie, niż Aulusowi widzieć się z Akte, przychodziła do niej po wiadomości. Lecz, spostrzegłszy Viniciusza, zwróciła ku niemu swą drobną, bladą twarz i, po chwili, rzekła: — Marku, niech Bóg ci przebaczy krzywdę, jaką wyrządziłeś nam i Lygii. A on stał, z czołem spuszczone, z poczuciem nieszczęścia i winy, nie rozumiejąc, jaki Bóg miał i mógł mu przebaczyć, ni dlaczego Pomponia mówiła o przebaczeniu, gdy powinna była mówić o zemście. I wreszcie wyszedł z głową bezradną, pełną ciężkich myśli, ogromnej troski i zdumienia. Na dziedzińcu i pod galeryą stały niespokojne gromady ludzi. Między pałacowymi niewolnikami widać było rycerzy i senatorów, którzy przybyli dowiedzieć się o zdrowie małej Augusty, a zarazem pokazać się w pałacu i złożyć dowód swej troskliwości, choćby wobec niewolników cezaryańskich. Wieść o chorobie „bogini“ rozeszła się widać szybko, bo w bramie ukazywały się coraz nowe postacie, a przez otwór łuku widać było całe tłumy. Niektórzy z przybywających, widząc, że Viniciusz wychodził z pałacu, zaczepiali go o nowiny, lecz on, nie odpowiadając na pytania, szedł przed siebie, dopóki Petroniusz, który także przybył już po wiadomości, nie potrącił go omal piersią i nie zatrzymał. Viniciusz byłby niechybnie zawrzał na jego widok i dopuścił się jakiego bezprawia w pałacu Cezara, gdyby nie to, że od Akte wyszedł, jak złamany, w takim wyczerpaniu i pogwałceniu, że chwilowo opuściła go nawet wrodzona mu zapalczywość. Odsunął jednak Petroniusza i chciał przejść, lecz ów zatrzymał go prawie przemocą. — Jak się ma boska? — spytał. Ale owa przemoc rozdrażniła znów Viniciusza i wzburzyła go w jednej chwili. — Niech piekło pochłonie ją i cały ten dom — odpowiedział, ściskając zęby. — Milcz, nieszczęśliwy! — rzekł Petroniusz i, rozejrzawszy się naokół, dodał pośpiesznie: — Chcesz wiedzieć coś o Lygii, to chodź ze mną. Nie! Tu nic nie

powiem! Chodź ze mną, powiem ci moje domysły w lektyce. I, otoczywszy ramieniem młodego człowieka, wyprowadził go coby prędzej z pałacu. Lecz o to mu głównie chodziło, gdyż nowin nie miał żadnych. Natomiast, będąc człowiekiem zaradnym i mając mimo wczorajszego oburzenia dużo współczucia dla Viniciusza, a wreszcie, poczuwając się poniekąd do odpowiedzialności za wszystko, co się stało, już był coś przedsięwziął i, gdy wsiedli do lektyki, rzekł: — Przy wszystkich bramach kazałem czuwać moim niewolnikom, dawszy im dokładny opis dziewczyny i tego olbrzyma, który ją u Cezara wyniósł z uczy, niema bowiem wątpliwości, że to on ją odbił. Słuchaj mnie! Być może, że Aulusowie zechcą ją ukryć w której ze swych wiejskich posiadłości, a w takim razie będziemy wiedzieli, w którą stronę ją uprowadzą. Jeśli zaś przy bramach jej nie dostrzegą, to będzie dowód, że została w mieście i dziś jeszcze w mieście rozpoczniemy poszukiwania. — Aulusowie nie wiedzą, gdzie ona jest — odrzekł Viniciusz. — Masz-li pewność, że tak jest? — Widziałem Pomponię. Oni szukają jej także. — Wczoraj nie mogła z miasta wyjść, bo nocą bramy zamknięte. Dwóch z moich ludzi krąży koło każdej bramy. Jeden ma iść w ślad za Lygią i za olbrzymem, drugi wróci natychmiast, by dać znać. Jeśli jest w mieście, znajdziemy ją, bo owego Lyga, choćby po wzroście i barkach, rozpoznać łatwo. Szczęśliwyś, że nie porwał jej Cezar, mogę cię zaś upewnić, że nie, bo na Palatynie nie ma dla mnie tajemnic. Lecz Viniciusz wybuchnął więcej jeszcze żalem, niż gniewem, i głosem, przerywanym przez wzruszenie, począł Petroniuszowi opowiadać, co słyszał od Akte i jakie nowe niebezpieczeństwa zawisły nad głową Lygii, tak straszne, że wobec nich, znalazłszy zbiegów, trzeba będzie ukrywać ją jak najstaranniej przed Poppeą. Poczem ją wyrzucił gorzko Petroniuszowi jego rady. Gdyby nie on, wszystkoby poszło inaczej. Lygia byłaby u Aulusów, a on, Viniciusz, mógłby ją widywać codziennie i byłby dziś szczęśliwszy od Cezara. I, unosząc się w miarę opowiadania, poddawał się coraz bardziej wzruszeniu, aż wreszcie łzy żalu i wściekłości poczęły mu kapać z oczu. Petroniusz zaś, który wprost nie spodziewał się, by młody człowiek mógł kochać i pożądać do tego stopnia, widząc te łzy rozpacz, mówił sobie w duchu z pewnem zdziwieniem: — O potężna pani Cypru, ty jedna królujesz bogom i ludziom!

ROZDZIAŁ XII.

Lecz, gdy wysiedli przed domem Petroniusza, przełożony nad atrium oświadczył im, że żaden z niewolników, wysłanych do bram, jeszcze nie wrócił. „Atriensis“ kazał im ponieść żywność i nowy rozkaz, by, pod groźbą chłosty, dawali pilne baczenie na wszystkich wychodzących z miasta. — Widzisz — rzekł Petroniusz — niewątpliwie są dotąd w mieście, a w takim razie znajdziemy ich. Każ jednak i swoim ludziom czuwać przy bramach, tym mianowicie, którzy byli posłani po Lygię, bo ci łatwo ją rozpoznają. — Kazałem ich zesłać do wiejskich ergastulów — rzekł Viniciusz — ale wnet rozkaz odwołam, niech idą do bram. I, skreśliwszy kilka słów na powleczonej woskiem tabliczce, oddał ją Petroniuszowi, który polecił odesłać natychmiast do domu Viniciusza. Poczem przeszli do wewnętrznego portyku i tam, zasiadłszy na marmurowej ławie, poczęli rozmawiać. Złotowłosa Eunice i Iras podsunęły im pod nogi brązowe stołeczki, a następnie, przystawiwszy do ławki stolik, poczęły im lać wino do czasz, z cudnych wązkoszyjastych dzbanków, które sprowadzano z Volaterra i Caeciny. — Czy masz między swymi ludźmi kogo, coby znał tego olbrzymiego Lyga? — spytał Petroniusz. — Znał go Atacinus i Gulo. Ale Atacinus legł wczoraj przy lektyce, a Gula zabiłem ja. — Szkoda mi go — rzekł Petroniusz. — On nosił na ręku nie tylko ciebie, ale i mnie. — Chciałem go nawet wyzwolić — odparł Viniciusz — lecz mniejsza z tem. Mówmy o Lygii. Rzym, to morze... — Perły poławiają się właśnie w morzu... Zapewne, nie znajdziemy jej dziś, lub jutro, jednakże znajdziemy niechybnie. Ty mnie obecnie obwiniasz, że ci podałem ten środek, ale środek sam w sobie był dobry, a stał się zły dopiero wówczas, gdy na złe się obrócił. Wszakżeś słyszał od samego Aulusa, że zamierza z całą rodziną przenieść się do Sycylii. W ten sposób,

dziewczyna byłaby i tak daleko od ciebie. — Byłbym za nimi pojechał — odrzekł Viniciusz — a w każdym razie byłaby bezpieczna, teraz zaś, jeśli tamto dziecko umrze, Poppea i sama uwierzy, i wmówi w Cezara, że to z winy Lygii. — Tak jest. To mnie zaniepokoiło także. Ale ta mała kukła może jeszcze wyzdrowieć. Gdyby zaś miała umrzeć, znajdziemy i wówczas jakiś sposób. Tu Petroniusz zamyślił się na chwilę, poczem rzekł: — Poppea wyznaje jakoby religię Żydów i wierzy w złe duchy. Cezar jest przesądny... Jeśli rozpuścimy wieść, że Lygię porwały złe duchy, wieść znajdzie wiarę, zwłaszcza, że, gdy nie odbił jej ani Cezar, ani Aulus Plauciusz, zniknęła w sposób istotnie tajemniczy. Lyg, sam jeden, nie byłby tego dokazał. Musiałby mieć pomoc, a skądby niewolnik w ciągu jednego dnia mógł zebrać tylu ludzi? — Niewolnicy wspierają się wzajem w całym Rzymie. — Który krwawo to kiedykolwiek przypląci. Tak! wspierają się, ale nie jedni przeciw drugim, a tu wiadomo było, że na twoich spadnie odpowiedzialność i kara. Gdy poddasz swoim myśl o złych duchach, potwierdzą natychmiast, że je na własne oczy widzieli, bo to ich wobec ciebie odrazu uniewinni... Spytaj którego na próbę, czy nie widział, jak unosiły Lygię w powietrzu, a na egidę Zeusa zaprzysięgnie natychmiast, że tak było. Viniciusz, który był także przesądny, spojrział na Petroniusza z nagłym, ogromnym niepokojem. — Jeśli Ursus nie mógł mieć ludzi do pomocy i nie mógł sam jeden jej porwać, to kto ją porwał? Lecz Petroniusz począł się śmiać. — Widzisz — rzekł — uwierzą, skoro i ty już nawpół wierzysz. Taki jest nasz świat, który drwi z bogów. Uwierzą i nie będą jej szukali, a my tymczasem umieścimy ją gdzieś daleko od miasta, w jakiejś mojej lub twojej willi. — Jednakże, kto mógł jej pomódz? — Jej współwyznawcy — odpowiedział Petroniusz. — Jacy? jakież ona czci bóstwo? Powinienbym o tem wiedzieć lepiej od ciebie. — Każda niemal kobieta w Rzymie czci inne. Jest rzeczą niezawodną, że Pomponia wychowała ją w czci dla tego bóstwa, które sama wyznaje, jakie zaś wyznaje, nie wiem. Jedna jest rzecz pewna, że nikt nie widział jej, by w którejkolwiek z naszych świątyń ofiarowała naszym bogom. Oskarżano ją nawet, że jest chrześcijanką, ale to rzecz niepodobna. Sąd domowy oczyścił ją z tego zarzutu. O chrześcijanach mówią, że nie tylko czczą ośłą głowę, ale są nieprzyjaciółmi rodzaju ludzkiego i dopuszczają się najbezpieczniejszych zbrodni. Zatem Pomponia nie może być chrześcijanką, gdyż cnota jej jest znaną, a nieprzyjaciółka rodzaju ludzkiego, nie obchodziłaby się tak z niewolnikami, jak ona się obchodzi. — W żadnym domu nie obchodzą się z nimi tak, jak u Aulusów — przerwał Viniciusz. — Więc widzisz. Pomponia wspominała mi o jakimś bogu, który ma być jeden, wszechmocny i miłosierny. Gdzie pochowała wszystkich innych, to jej rzecz, dość, że ten jej Logos nie byłby chyba bardzo wszechmocny, a raczej musiałby być bardzo marnym bogiem, gdyby miał tylko dwie czcicielki, to jest: Pomponię i Lygię, z dodatkiem ich Ursusa. Musi ich być więcej, tych wyznawców i ci dali pomoc Lygii. — Ta wiara każe przebaczać — rzekł Viniciusz. — Spotkałem u Akte Pomponię, która powiedziała mi: „Niech ci bóg przebaczy krzywdę, jaką wyrządziłeś Lygii i nam“. — Widocznie ich bóg, to jakiś „curator“, bardzo dobrowolny. Ha! niechże ci przebaczy, a na znak przebaczenia niechaj ci wróci dziewczynę. — Ofiarowałbym mu jutro hekatombę. Nie chcę jadła, ni kąpieli, ni snu. Wezmę ciemną lacernę i pójdę włóczyć się po mieście. Może ją w przebraniu znajdę. Chory jestem! Petroniusz spojrział na niego z pewnem politowaniem. Istotnie oczy Viniciusza podsiniały, źrenice świeciły gorączką; nieogolony rano zarost powłókł ciemnym pasem jego silnie zarysowane szczęki, włosy miał w nieładzie i wyglądał naprawdę jak chory. Iras i złotowłosa Eunice patrzyły na niego także ze współczuciem, lecz on zdawał się ich nie widzieć i obaj z Petroniuszem tak nic nie zważali na obecność niewolnic, jakby nie zważali na kręcące się koło nich psy. — Gorączka cię trawi — rzekł Petroniusz. — Tak jest. — Więc posłuchaj mnie... Nie wiem, co by ci zapisał lekarz, ale wiem, jak jabym postąpił na twojem miejscu, ja. Oto, zanim się tamta odnajdzie, poszukałbym w innej tego, czego mi wraz z tamtą zbrakło. Widziałem w twojej willi ciała wyborne. Nie przecz mi... Wiem, co

jest miłość i wiem, że gdy się jednej pożąda, inna jej zastąpić nie może. Ale w pięknej niewolnicy można zawsze znaleźć chociaż chwilową rozrywkę... — Nie chcę! — odpowiedział Viniciusz. Lecz Petroniusz, który miał do niego rzeczywistą słabość i który pragnął istotnie złagodzić jego cierpienie, począł rozmyślać, jakby to uczynić. — Może twoje nie mają dla ciebie uroku nowości — rzekł po chwili — lecz (i tu jął patrzeć kolejno na Iras i na Eunice, a wreszcie położył dłoń na biodrze złotowłosej Greczynki) przypatrz się tej charytce. Kilka dni temu młodszy Fonteius Capiton dawał mi za nią troje cudnych pacholąt z Clazomene, albowiem piękniejszego ciała chyba i Scopas nie stworzył. Sam nie rozumiem, dlaczego dotąd pozostałem dla niej obojętny, nie wstrzymała mnie przecie myśl o Chryzotemis! Otóż daruję ci ją, weź ją sobie! A złotowłosa Eunice, usłyszawszy to, pobladła w jednej chwili, jak płótno i, patrząc przestraszonymi oczyma na Viniciusza, zdawała się, bez tchu w piersi, czekać na jego odpowiedź. Lecz on zerwał się nagle i, ścisnąwszy rękoma skronie, począł mówić prędko, jak człowiek, który trawiony chorobą, nie chce słyszeć o niczem: — Nie! nie!.. Nic mi po niej! Nic mi po innych... Dziękuję ci, ale nie chcę! i idę szukać tamtej po mieście. Każ mi dać galijską lacernę z kapturem. Pójdę za Tyber... Gdybym choć Ursusa mógł zobaczyć!.. I wyszedł śpiesznie. Petroniusz zaś, widząc, że istotnie nie może usiedzieć na miejscu, nie próbował go wstrzymać. Biorąc jednak odmowę Viniciusza za chwilową niechęć do każdej kobiety, która nie była Lygią, i nie chcąc, by wspaniałomyślność jego poszła na marne, zwróciwszy się do niewolnicy, rzekł: — Eunice, wykąpiesz się, namaścisz i przybierzesz, a potem pójdiesz do domu Viniciusza. Lecz ona padła przed nim na kolana i ze złożonymi rękoma poczęła go błagać, by jej nie oddalał z domu. Ona nie pójdzie do Viniciusza i woli tu nosić drwa do hypokaustum, niż tam być pierwszą ze sług. Nie chce! nie może! i błaga go, by zlitował się nad nią. Niechaj ją każe chłostać codziennie, byle jej nie wysyłał z domu. I, trzęsąc się jak liść, zarazem z bojaźni i uniesienia, wyciągała ku niemu ręce, on zaś słuchał jej ze zdumieniem. Niewolnica, która śmie się wypraszać od spełnienia rozkazu, która mówi: „nie chcę i nie mogę“, była czemś tak niesłychanym w Rzymie, że Petroniusz na razie nie chciał uszom uwierzyć. Wreszcie, zmarszczył brwi. Był on zbyt wykwinłym, by być okrutnym. Niewolnikom jego, zwłaszcza w zakresie rozpusty, więcej było wolno, niż innym, pod warunkiem, by wzorowo spełniali służbę i wolę pańską czcili na równi z bożą. W razie uchybienia tym dwom obowiązkom umiał jednak nie żałować kar, jakim wedle ogólnego obyczaju podlegali. A gdy, prócz tego, nie cierpiał i wszelkich przeciwności, i wszystkiego, co mu mieszało spokój, więc popatrzwszy chwilę na klęczącą, rzekł: — Przywołasz mi Teireziasza i powrócisz tu z nim razem. Eunice wstała drżąca, ze łzami w oczach i odeszła, po chwili zaś wróciła z przełożonym nad atrium Kreteńczykiem, Teireziaszem. — Weźmiesz Eunice — rzekł mu Petroniusz — i dasz jej dwadzieścia pięć plag, tak jednak, by nie popsuć skóry. To rzekłszy, przeszedł do biblioteki i, zasiadłszy przy stole z różowego marmuru, począł pracować nad swoją „Uczną Trymalchiona“. Ale ucieczka Lygii i choroba małej Augusty nadto rozrywały mu myśl, tak, że nie mógł długo pracować. Zwłaszcza choroba owa była ważnym wypadkiem. Petroniuszowi przyszło do głowy, że jeśli Cezar uwierzy, iż Lygia rzuciła czar na małą Augustę, to odpowiedzialność może spaść i na niego, albowiem na jego to prośbę sprowadzono dziewczynę do pałacu. Liczył jednak, że za pierwszym widzeniem się z Cezarem, potrafi w jakikolwiek sposób wytłómaczyć mu całą niedorzeczność podobnego przypuszczenia, a po trochu liczył i na pewną słabość, jaką czuła dla niego Poppea, ukrywając ją wprawdzie starannie, ale nie tak starannie, by nie miał jej odgadnąć. Po chwili też wzruszył ramionami na swe obawy i postanowił zejść do triklinium, by się posilić, a następnie kazać się zanieść jeszcze raz do pałacu, potem na pole Marsowe, a potem do Chryzotemis. Lecz po drodze do tryklinium, przy wejściu do kurytarza, przeznaczonego dla służby, dojrzał nagle stojącą pod ścianą, wśród innych niewolników, wysmukłą postać Eunice i, zapomniawszy, że nie wydał

Teireziaszowi innego rozkazu, jak aby ją wychłostał, zmarszczył znów brwi i począł się za nim oglądać. Nie dostrzegłszy go jednak między służbą, zwrócił się do Eunice: — Czy otrzymałaś chłostę? A ona po raz drugi rzuciła się do jego nóg, przycisnęła na chwilę do ust brzeg jego togi, poczem odrzekła: — O, tak, panie! Otrzymałam! o, tak, panie!.. W głosie jej brzmiała jakby radość i wdzięczność. Widocznem było, iż sądziła, że chłosta miała zastąpić oddanie jej z domu i że teraz może już pozostać. Petroniusza, który to zrozumiał, zadziwił ten namiętny opór niewolnicy, ale nadto był biegłym znawcą natury ludzkiej, by nie odgadnąć, że jedna chyba miłość mogła być takiego oporu powodem. — Masz-li kochanka w tym domu? — spytał. A ona podniosła na niego swoje niebieskie, łzawe oczy i odrzekła tak cicho, że ledwo można ją było usłyszeć: — Tak, panie!.. I z temi oczyma, z odrzuconym w tył złotym włosom, z obawą i nadzieją w twarzy, była tak piękna, patrzyła na niego tak błagalnie, że Petroniusz, który, jako filozof, sam głosił potęgę miłości, a jako esteta, czcił wszelką piękność, uczuł dla niej pewien rodzaj politowania. — Który z nich jest twoim kochankiem? — spytał, wskazując głową na służbę. Lecz na to nie było odpowiedzi, tylko Eunice schyliła twarz aż do jego stóp i pozostała nieruchoma. Petroniusz spojrział po niewolnikach, między którymi byli piękni i dorodni młodzieńcy, lecz z żadnego oblicza nie mógł nic wyczytać, a natomiast wszystkie miały jakieś dziwne uśmiechy; zaczem popatrzył chwilę jeszcze na leżącą u jego nóg Eunice i odszedł w milczeniu do triklinium. Po posiłku kazał się zanieść do pałacu, a potem do Chryzotemis, u której pozostał do późnej nocy. Lecz, wróciwszy, rozkazał wezwać do siebie Teireziasza. — Czy Eunice dostała chłostę? — spytał go. — Tak, panie. Nie pozwoliłeś jednak przecinać skóry. — Czym nie wydał co do niej innego rozkazu? — Nie, panie — odpowiedział z niepokojem „atriensis“. — To dobrze. Kto z niewolników jest jej kochankiem? — Nikt, panie. — Co o niej wiesz? Teireziasz począł mówić nieco niepewnym głosem: — Eunice nigdy nie opuszcza nocą cubikulum, w którym sypia ze starą Akryzyoną i Ifidą; nigdy po twej kąpieli, panie, nie zostaje w łaźni... Inne niewolnice śmieją się z niej i nazywają ją Dyanną. — Dosyc — rzekł Petroniusz. — Mój krewny, Viniciusz, któremu darowałem dziś rano Eunice, nie przyjął jej, więc pozostanie w domu. Możesz odejść. — Czy wolno mi jeszcze mówić o Eunice, panie? — Kazałem ci mówić wszystko, co wiesz. — Cała „familia“ mówi, panie, o ucieczce dziewicy, która miała zamieszkać w domu szlachetnego Viniciusza. Po twojem odejściu Eunice przyszła do mnie i powiedziała mi, iż zna człowieka, który potrafi ją odnaleść. — A! — rzekł Petroniusz. — Co to za człowiek? — Nie znam go, panie, myślałem jednak, że powinienem ci to oznajmić. — Dobrze. Niech ten człowiek czeka jutro w moim domu na przybycie trybuna, którego jutro poprosisz w moim imieniu, by rano mnie odwiedził. „Atriensis“ skłonił się i wyszedł. Petroniusz zaś począł mimowoli myśleć o Eunice. Z początku zdawało mu się rzeczą jasną, że młoda niewolnica pragnie, by Viniciusz odzyskał Lygię, dlatego tylko, by nie być zmuszoną do zastąpienia jej w jego domu. Lecz następnie przyszło mu do głowy, że ów człowiek, którego Eunice nastrocza, może być jej kochankiem, i ta myśl wydała mu się nagle przykrą. Był wprawdzie prosty sposób dowiedzenia się prawdy, wystarczało bowiem kazać zawołać Eunice, lecz godzina była późna, Petroniusz zaś czuł się strudzony po długich odwiedzinach u Chryzotemis i pilno mu było do snu. Jednakże, idąc do cubikulum, przypomniał sobie, niewiadomo dlaczego, że w kątach oczu Chryzotemis dostrzegł dziś zmarszczki. Pomyślał też, że jej piękność była bardziej rozgłosną w całym Rzymie, niż prawdziwą, i że Fonteius Capiton, który mu ofiarował trzy pacholęta z Clazomene za Eunice, chciał ją jednak kupić zbyt tanio.

ROZDZIAŁ XIII.

Nazajutrz Petroniusz kończył się zaledwie ubierać w unctorium, gdy nadszedł wezwany przez Teireziasza Viniciusz. Wiedział on już, że żadne nowiny od bram nie przyszły i wiadomość ta, zamiast go ucieszyć, jako dowód, że Lygia znajduje się w mieście, przygnębiła go jeszcze bardziej,

albowiem począł przypuszczać, że Ursus mógł ją wyprowadzić z miasta natychmiast po porwaniu, a więc przedtem, zanim niewolnicy Petroniusza poczęli przy bramach strażować. Wprawdzie jesienią, gdy dni stawały się krótsze, zamykano je dość wcześnie, ale też i otwierano je dla wyjeżdżających, których liczba bywała znaczna. Za mury można się też było wydostać i innymi sposobami, o których naprzykład niewolnicy, którzy chcieli zbiedz z miasta, wiedzieli dobrze. Viniciusz wysłał wprawdzie swych ludzi i na wszystkie drogi, wiodące na prowincję, do wigilów w pomniejszych miastach, z ogłoszeniami o zbiegłej parze niewolników, z dokładnym opisem Ursusa i Lygii i z oznajmieniem nagrody za ich schwytanie. Było jednak rzeczą wątpliwą, czy ten pościg może ich dosięgnąć, a gdyby nawet dosięgnął, czy władze miejscowe będą się czuły w prawie zatrzymać ich na prywatne żądanie Viniciusza, nie poświadczone przez pretora. Owóz na podobne poświadczenie nie było czasu. Ze swej strony Viniciusz przez cały wczorajszy dzień szukał Lygii w przebraniu niewolnika po wszystkich zaułkach miasta, nie zdołał jednak odnaleźć najmniejszego śladu, ni wskazówki. Widział wprawdzie ludzi Aulusowych, ale ci zdawali się także czegoś szukać, i to utwierdziło go tylko w mniemaniu, że nie Aulusowie ją odbili, i że nie wiedzą także, co się z nią stało. Gdy więc Teireziasz oświadczył mu, że jest człowiek, który podejmuje się jej odszukać, pośpieszył co tchu do domu Petroniusza i zaledwie się z nim powitawszy, począł o owego człowieka wypytywać. — Zaraz go zobaczymy — rzekł Petroniusz. — Jest to znajomy Eunice, która w tej chwili nadejdzie ułożyć fałdy mojej togi i która da nam o nim bliższą wiadomość. — Ta, którą wczoraj chciałeś mi darować? — Ta, którą wczoraj odrzuciłeś, za co ci zresztą jestem wdzięczny, jest to bowiem najlepsza vestiplica w całym mieście. Jakoż vestiplica nadeszła, prawie zanim skończył mówić, i wzięwszy togę, złożoną na krześle wykładanem kością słoniową, rozwinęła ją, by zarzucić na ramiona Petroniusza. Twarz miała jasną, cichą, a w oczach jej świeciła radość. Petroniusz spojrział na nią i wydała mu się bardzo piękna. Po chwili, gdy okręciwszy go w togę, poczęła ją układać, schylając się chwilami dla wydłużenia fałd, spostrzegł, że jej ramiona mają precudny kolor bladej róży, a pierś i barki przezrocze odlaski perłowca lub alabastru. — Eunice — rzekł — czy jest ten człowiek, o którym wspominałaś wczoraj Teireziaszowi? — Jest, panie. — Jak się zowie? — Chilon Chilonides, panie. — Kto on jest? — Lekarz, mędrzec i wróżbita, który umie czytać w losach ludzkich i przepowiadać przyszłość. — Czy przepowiedział przyszłość i tobie? Eunice oblała się rumieńcem, który zaróżowił nawet jej uszy i szyję. — Tak, panie. — Cóż ci wywróżył? — Że spotka mnie boleść i szczęście. — Boleść spotkała cię wczoraj z ręki Teireziasza, a więc powinno przyjść i szczęście. — Już przyszło, panie. — Jakie? A ona szepnęła cicho: — Zostałam. Petroniusz położył dłoń na jej złotej głowie. — Dobrześ ułożyła dziś fałdy i rad jestem z ciebie, Eunice. Jej zaś pod tem dotknięciem oczy w jednej chwili zaszyły mgłą szczęścia i pierś poczęła się szybko poruszać. Lecz Petroniusz z Viniciuszem przeszli do atrium, gdzie czekał na nich Chilon Chilonides, który ujrzawszy ich, oddał głęboki pokłon. Petroniuszowi na myśl o przypuszczeniu, które uczynił wczoraj, że może to być kochanek Eunice, uśmiech wybiegł na usta. Człowiek, który stał przed nim, nie mógł być niczym kochankiem. W tej dziwnej figurze było coś i plugawego i śmiesznego. Nie był stary: w jego niechlujnej brodzie i kręconej czuprynie ledwie gdzieniegdzie przeświecał włos siwy. Brzuch miał zapadły, plecy zgarbione, tak, że na pierwszy rzut oka wydawał się być garbatym, nad owym garbem zaś wznosiła się głowa wielka, o twarzy małpiej i zarazem lisiej, i przenikliwym wejrzeniu. Żółtawa jego cera popstrzona była pryszczami, a pokryty nimi całkowicie nos mógł wskazywać zbytnie zamiłowanie do butelki. Zaniedbany ubiór, składający się z ciemnej tuniki, utkanej z koziej wełny, i takiegoż dziurawego płaszcza, dowodził prawdziwej lub udanej nędzy. Petroniuszowi, na jego widok, przyszedł na myśl homerowy Terzites, więc też, odpowiedziawszy skinieniem ręki na jego ukłon, rzekł: — Witaj, boski Terzitiesie: Jak się miewają twoje guzy, których ci nabił pod Troją Ulisses i co

on sam porabia na polach Elizejskich? — Szlachetny panie — odpowiedział Chilon Chilonides — najmędrszy z umarłych, Ulisses, zasyła przeze mnie najmędrszemu z żyjących, Petroniuszowi, pozdrowienie i prośbę, by okrył nowym płaszczem moje guzy. — Na Hekate Triformis! — zawołał Petroniusz — odpowiedź warta płaszcza... Lecz dalszą rozmowę przerwał niecierpliwy Viniciusz, który spytał wręcz: — Czy wiesz dokładnie, czego się podejmujesz? — Gdy dwie „familie“, w dwóch wspaniałych domach, nie mówią o niczem innym, a za nimi powtarza wiadomość połowa Rzymu, nietrudno wiedzieć — odparł Chilon. — Wczorajszej nocy odbito dziewczę, wychowaną w domu Aula Plauciusza, imieniem Lygia, albo właściwie: Callina, którą twoi niewolnicy, o panie, przeprowadzali z pałacu Cezara do twojej „insuli“, ja zaś podejmuję się odnaleźć ją w mieście, lub jeśli co jest mało prawdopodobnem, opuściła miasto, wskazać ci, szlachetny trybunie, dokąd uciekła i gdzie się ukryła. — Dobrze — rzekł Viniciusz, któremu podobała się ścisłość odpowiedzi — jakie masz do tego środki? Chilo uśmiechnął się chytrze: — Środki ty posiadasz, panie: ja mam tylko rozum. Petroniusz uśmiechnął się także, albowiem był zupełnie zadowolony ze swego gościa. — Ten człowiek może odnaleźć dziewczynę — pomyślał. Tymczasem Viniciusz zmarszczył swe zrośnięte brwi i rzekł: — Nędzarzu, jeśli mnie zwodzisz dla zysku, każę cię zabić pod kijami. — Filozofem jestem, panie, a filozof nie może być chciwym na zysk, zwłaszcza na taki, jaki wspaniałomyślnie obiecujesz. — Ach, jesteś filozofem? — spytał Petroniusz. — Eunice mówiła mi, że jesteś lekarzem i wróżbitą. Skąd znasz Eunice? — Przychodziła do mnie po radę, gdyż sława moja obita się o jej uszy. — Jakiejże chciała rady? — Na miłość, panie. Chciała się wyleczyć z bezwzajemnej miłości. — I wyleczyłeś ją? — Uczyniłem więcej, panie, dałem jej bowiem amulet, który zapewnia wzajemność. W Pafos, na Cyprze, jest świątynia, o panie, w której chowają przepaskę Wenery. Dałem jej dwie nitki z tej przepaski, zamknięte w skorupie migdała. — I kazałeś sobie dobrze zapłacić? — Za wzajemność nigdy nie można dość zapłacić, ja zaś, nie mając dwóch palców u prawej ręki, zbieram na niewolnika-skrybę, któryby spisywał moje myśli i zachował moją naukę dla świata. — Do jakiejże szkoły należysz, boski mędrze? — Jestem cynikiem, panie, bo mam dziurawy płaszcz; jestem stoikiem, bo biedę znoszę cierpliwie, a jestem perypatetykiem, bo nie posiadając lektyki, chodzę piechotą od winiarza do winiarza i po drodze nauczam tych, którzy obiecują za dzban zapłacić. — Przy dzbanku zaś stajesz się retorem? — Heraklit powiedział: „wszystko płynie“, a czy możesz zaprzeczyć, panie, że wino jest płynem? — I głosi, że ogień jest bóstwem, bóstwo zaś to płonie na twym nosie. — A boski Dyogenes z Apollonii głosił, że istotą rzeczy jest powietrze, a im powietrze cieplejsze, tym doskonalsze tworzy istoty, a z najcieplejszego tworzą się dusze mędrców. Że zaś jesienią przychodzą chłody, ergo prawdziwy mędrzec powinien ogrzewać duszę winem... Bo również nie możesz zaprzeczyć, panie, by dzban, choćby cienkusz, z pod Kapuy lub Telezyi, nie roznosił ciepła po wszystkich kościach znikomego ludzkiego ciała. — Chilonie Chilonidesie, gdzie jest twoja ojczyzna? — Nad Pontem Euxinem. Pochodzę z Mesembryi. — Chilonie, jesteś wielki! — I zapoznany! — dodał melancholicznie mędrzec. Jednakże Viniciusz zniecierpliwiał się znowu. Wobec nadziei, jaka mu zabłysła, chciałby, by Chilo natychmiast wyruszył na wyprawę, i cała rozmowa wydała mu się tylko marną stratą czasu, o którą zły był na Petroniusza. — Kiedy rozpocznieś poszukiwania? — rzekł, zwracając się do Greka. — Już je rozpocząłem — odpowiedział Chilon. — I gdy tu jestem, gdy odpowiadam na twe uprzejme pytania, szukam także. Miej tylko ufność, cny trybunie, i wiedz, że gdyby ci zginęła zawiązka od obuwia, potrafiłbym odszukać zawiązkę, lub tego, który ją na ulicy podjął. — Czy byłeś już używany do podobnych posług? — spytał Petroniusz. Grek podniósł w górę oczy: — Zbyt nisko dziś cenią cnotę i mądrość, by nawet filozof nie był zmuszony szukać innych do życia sposobów. — Jakież są twoje? — Widzieć wszystko, i służyć nowinami tym, którzy ich pragną. — I którzy za nie płacą? — Ach, panie,

potrzebuję kupić pisarza. Inaczej moja mądrość umrze wraz ze mną. — Jeśliś nie zebrał dotąd nawet na cały płaszcz, zasługi twe nie muszą być znakomite. — Skromność przeszkadza mi je wynosić. Lecz pomyśl, panie, że niema dziś takich dobroczyńców, jakich było pełno dawniej, i którym obsypać złotem zasługę było tak miło, jak połknąć ostrygę z Puteoli. Nie zasługi moje są małe, lecz wdzięczność ludzka jest mała. Czasem, gdy ucieknie cenny niewolnik, kto go wynajdzie, jeśli nie jedyny syn mego ojca? Gdy na murach zjawią się napisy na boską Poppeę, kto wskaże sprawców? Kto wyszpera u księgarzy wiersz na Cezara? Kto doniesie, co mówią w domach senatorów i rycerzy? Kto nosi listy, których nie chcą powierzyć niewolnikom, kto nasłuchuje nowin przy drzwiach balwierzy, dla kogo nie mają tajemnic winiarze i piekarczycy, komu ufają niewolnicy, kto umie przejrzeć na wylot każdy dom od atrium do ogrodu? Kto zna wszystkie ulice, zaułki, kryjówki, kto wie, co mówią w termach, w cyrku, na targach, w szkołach lanistów, w szopach u handlarzy niewolników i nawet w arenariach?... — Na bogi! dosyć, szlachetny mędrco! — zawołał Petroniusz — bo utoniemy w twych zasługach, cnocie, mądrości i wymowie. Dosyć! chcieliśmy wiedzieć, kim jesteś i wiemy. Lecz Viniciusz rad był, pomyślał bowiem, że człowiek ten, podobnie jak pies gończy, raz puszczonego na trop, nie ustanie, póki nie odnajdzie kryjówki. — Dobrze — rzekł — czy potrzebujesz wskazówek? — Potrzebuję broni. — Jakiej? — spytał ze zdziwieniem Viniciusz. Grek nadstawił jedną dłoń, drugą zaś uczynił gest liczenia pieniędzmi. — Takie dziś czasy, panie — rzekł z westchnieniem. — Będziesz więc osłem — rzekł Petroniusz — który zdobywa fortecę zapomocą worków złota. — Jestem tylko biednym filozofem, panie — odrzekł z pokorą Chilon — złoto, macie wy. Viniciusz cisnął mu kieskę, którą Grek chwycił w powietrzu, jakkolwiek istotnie nie miał dwóch palców u prawej ręki. Poczem podniósł głowę i rzekł: — Panie, wiem już więcej, niż się spodziewasz. Nie przyszedłem tu z próżnymi rękoma. Wiem, że dziewicy nie porwali Aulusowie, gdyż mówiłem już z ich sługami. Wiem, że jej niema na Palatynie, gdzie wszyscy zajęci są chorą małą Augustą, i może nawet domyślam się, dlaczego wolicie szukać dziewicy z moją pomocą, niż z pomocą wigilów i żołnierzy Cezara. Wiem, że ułatwił jej ucieczkę sługa, pochodzący z tegoż samego, co i ona kraju. Nie mógł on znaleźć pomocy u niewolników, bo niewolnicy, którzy się wszyscy razem trzymają, nie pomogliby mu przeciw twoim. Mogli mu pomódz tylko współwyznawcy... — Słuchaj, Viniciuszu — przerwał Petroniusz — czym ci tego samego słowo w słowo nie mówił? — Honor to dla mnie — rzekł Chilo. — Dziewica, panie — mówił, zwracając się znów do Viniciusza — niechybnie czci jednakie bóstwo z tą najcnotliwszą z Rzymianek, z tą prawdziwą matroną stolatą, Pomponią. Słyszałem i to, że Pomponia była sądzona w domu za wyznawanie jakichś obcych bóstw, nie mogłem się jednak od jej sług dowiedzieć, jakie jest owo bóstwo i jak się zowią jego wyznawcy. Gdybym mógł o tem wiedzieć, udałbym się do nich, stałbym się najpobożniejszym między nimi, i zyskał ich ufność. Lecz ty, panie, który jak wiem także, spędziłeś kilkanaście dni w domu szlachetnego Aulusa, czy możesz dać mi jaką o tem wiadomość? — Nie mogę — rzekł Viniciusz. — Pytaliście mnie długo o różne rzeczy, szlachetni panowie i ja odpowiadałem na pytania, pozwólcie, bym je teraz zadawał. Czy nie widziałeś, cny trybunie, żadnych posążków, żadnych ofiar, żadnych oznak, żadnych amuletów na Pomponii lub na twej boskiej Lygii? Czy nie widziałeś, aby kreśliły między sobą jakieś znaki, rozumiały dla nich tylko? — Znaki?... Czeka!... Tak! Widziałem raz, jak Lygia nakreśliła na piasku rybę. — Rybę? Aa! Ooo! Czy uczyniła to raz, czy kilkakrotnie? — Raz jeden. — I jesteś, panie, pewien, że nakreśliła... Rybę? Oo!... — Tak jest! — odrzekł zaciekawiony Viniciusz. — Czy odgadujesz, co to znaczy? — Czy odgaduję! — zawołał Chilon. I skłoniwszy się na znak pożegnania, dodał: — Niechaj Fortuna rozsypuje na was porównie wszystkie dary, dostojni panowie. — Każ sobie dać płaszcz! — rzekł mu na drogę Petroniusz. — Ulisses składa ci dzięki za Terzitesa — odpowiedział Grek. I skłoniwszy się powtórnie, wyszedł. — Cóż powiesz o tym

szlachetnym mędrca? — spytał Viniciusza Petroniusz. — Powiem, że on odnajdzie Lygię! — zawołał z radością Viniciusz — ale powiem także, że gdyby istniało państwo łotrów, on mógłby być królem w tem państwie. — Niewątpliwie. Muszę z tym stoikiem zabrać bliższą znajomość, ale tymczasem każe wykadzić po nim atrium. A Chilon Chilonides, okręciwszy się swym nowym płaszczem, podrzucił na dłoni pod jego fałdami otrzymaną od Viniciusza kieskę i lubował się zarówno jej ciężarem, jak dźwiękiem. Idąc zwolna i oglądając się, czy z domu Petroniusza za nim nie patrzą, minął portyk Liwii i doszedłszy do rogu clivus Virbius, skręcił na Suburę. — Trzeba pójść do Sporusa — mówił sobie — i ułać trochę wina Fortunie. Znalazłem wreszcie, czegom oddawna szukał. Młody jest, zapalczywy, hojny, jak kopalnie Cypru i za tę lygijską makolągwę gotówby oddać pół mienia. Tak, takiego właśnie szukałem oddawna. Trzeba jednak być z nim ostrożnym, bo jego zmarszczenie brwi nie zapowiada nic dobrego. Ach! szczenięta wilcze panują dziś nad światem!... Mniejbym się bał tego Petroniusza. O bogowie! przecz stręczycielstwo lepiej dziś popłaca, niż cnota? Ha! nakreśliła ci rybę na piasku? Jeśli wiem, co to znaczy, niech się udławię kawałkiem koziego sera! Ale będę wiedział! Ponieważ jednak ryby żyją pod wodą, a poszukiwanie pod wodą trudniejsze jest, niż na lądzie, ergo: zapłaci mi za tę rybę osobno. Jeszcze jedna taka kieska, a mógłbym porzucić dziadowskie biesagi i kupić sobie niewolnika... Lecz co byś powiedział Chilonie, gdybym ci doradził kupić nie niewolnika, ale niewolnicę?... Znam cię! Wiem, że się zgodzisz!... Gdyby była piękna, jak naprzykład Eunice, sam byś przy niej odmłodniał, a zarazem miał byś z niej uczciwy i pewny dochód. Sprzedałem tej biednej Eunice dwie nitki z mego własnego starego płaszcza... Głupia jest, ale gdyby mi ją Petroniusz darował, to bym ją wziął... Tak, tak, Chilonie, synu Chilona... Straciłeś ojca i matkę!... Jesteś sierotą, więc kup sobie na pociechę choć niewolnicę. Musi ona wprawdzie gdzieś mieszkać, więc Viniciusz najmie jej mieszkanie, w którym i ty się przytulisz; musi się ubrać, więc Viniciusz zapłaci za jej ubiór, i musi jeść, więc będzie ją żywił. Och, jakie życie ciężkie! Gdzie te czasy, w których za obola można była dostać tyle bobu ze słoniną, ile można było w obie dłonie objąć, lub kawał koziej kiszki, nalanej krwią, tak długi, jak ramię dwunastoletniego pacholęcia!... Ale oto i ten złodziej, Sporus! W winiarni najłatwiej czegoś się dowiedzieć. Tak mówiąc wszedł do winiarni i kazał sobie podać dzbaniec „ciemnego“, widząc zaś nieufne spojrzenie gospodarza, wydłubał złoty pieniądz z kieski i położywszy go na stole, rzekł: — Sporusie, pracowałem dziś z Seneką od świtu do południa, i oto, czem mój przyjaciel obdarzył mnie na drogę. Okrągłe oczy Sporusa uczyniły się na ten widok jeszcze okrągłejsze i wino wnet znalazło się przed Chilonem, ten zaś, umoczywszy w niem palec, nakreślił rybę na stole i rzekł: — Wiesz, co to znaczy? — Ryba? No, ryba, to ryba! — Głupiś, choć dolewasz tyle wody do wina, że mogłaby się w niem znaleźć i ryba. To jest symbol, który w języku filozofów znaczy: Uśmiech Fortuny. Gdybyś go był odgadł, byłbyś i ty może zrobił fortunę. Szanuj filozofię, mówię ci, bo inaczej zmienię winiarnię, do czego mój osobisty przyjaciel, Petroniusz, oddawna mnie namawia.

ROZDZIAŁ XIV.

Przez kilka dni następnych Chilon nie pokazywał się nigdzie. Viniciusz, który od czasu, jak dowiedział się od Akte, że Lygia go kochała, stokroć jeszcze więcej pragnął ją odnaleźć, rozpoczął poszukiwania na własną rękę, nie chcąc, a zarazem i nie mogąc udać się o pomoc do Cezara, pogrążonego w trwodze z powodu zdrowia małej Augusty. Jakoż nie pomogły ofiary, składane w świątyniach, modły i wota, jak również sztuka lekarska i wszelkie czarodziejskie środki, jakich się w ostateczności chwytało. Po tygodniu dziecko umarło. Żałoba padła na dwór i na Rzym. Cezar, który przy urodzeniu dziecka szalał z radości, szalał teraz z rozpaczą i zamknąwszy się u siebie, przez dwa dni nie przyjmował pokarmu, a jakkolwiek pałac roił się tłumami senatorów i augustyanów, którzy śpieszyli z oznakami żalu i współczucia, nie chciał nikogo widzieć. Senat zebrał się na nadzwyczajne

posiedzenie, na którym zmarłe dziecko ogłoszone zostało boginią; uchwalono wznieść jej świątynię i ustanowić osobnego przy niej kapłana. Składano też w innych nowe na cześć zmarłej ofiary, odlewano jej posągi z drogocennych metali, a pogrzeb był jedną niezmierną uroczystością, na której lud podziwiał niepomiarkowane oznaki żalu, jakie dawał Cezar, płakał z nim razem, wyciągał ręce po podarki, i nadewszystko bawił się niezwykłym widowiskiem. Petroniusza zaniepokoiła ta śmierć. Wiadomem już było w całym Rzymie, że Poppea przypisuje ją czarom. Powtarzali to za nią i lekarze, którzy w ten sposób mogli usprawiedliwić bezskuteczność swych wysiłków, i kapłani, których ofiary okazały się bezsilne, i zamawiacze, którzy drżeli o swoje życie, i lud. Petroniusz rad był teraz, że Lygia uciekła; ponieważ jednak nie życzył źle Aulusom, a życzył dobrze i sobie, i Viniciuszowi, przeto gdy zdjęto cyprys, zatknięty na znak żałoby przed Palatynem, udał się na przyjęcie, zgotowane dla senatorów i augustyanów, by się przekonać, o ile Nero podał ucho wieści o czarach i zapobiedz następstwom, jakieby mogły z tego wyniknąć. Przypuszczał też, znając Nerona, że ten, choćby w czary nie uwierzył, będzie udawał, że wierzy, i dlatego, by oszukać własny ból, i dlatego, by się na kimkolwiek pomścić, i wreszcie, by zapobiedz przypuszczeniom, że bogowie poczynają go karać za zbrodnie. Petroniusz nie sądził, by Cezar mógł nawet własne dziecko kochać prawdziwie i głęboko, jakkolwiek kochał je zapalczywie, był jednak pewien, że będzie przesadzał w boleści. Jakoż nie omylił się. Nero słuchał pociech senatorów i rycerzy z kamienną twarzą, z oczyma utkwionemi w jeden punkt i widać było, że jeśli nawet cierpi istotnie, to zarazem myśli o tem, jakie wrażenie czyni jego ból na obecnych, zarazem pozuje na Niobe, i daje przedstawienie rodzicielskiego żalu, tak jakby je dawał komedyant na scenie. Nie umiał nawet przy tem wytrwać w milczącej i niby skamieniałej boleści, albowiem chwilami czynił gesta, jakgdyby posypywał głowę prochem ziemi, a chwilami jęczał głucho, ujrzawszy zaś Petroniusza, zerwał się i tragicznym głosem począł wołać, tak, aby go wszyscy mogli dosłyszeć: — Eheu!... I tyś winien jej śmierci! Za twoją to radą wszedł w te mury zły duch, który jednym spojrzeniem wyssał życie z jej piersi... Biada mi! i wolejby oczy moje nie patrzyły na światło Heliosa... Biada mi! eheu! eheu!.. I podnosząc coraz głos, przeszedł w krzyk rozpaczliwy, lecz Petroniusz w tejże samej chwili postanowił stawić wszystko na jeden rzut kości, zaczem, wyciągnąwszy rękę, zerwał szybko jedwabną chustkę, którą Nero zawsze nosił na szyi i położył mu ją na ustach. — Panie! — rzekł z powagą — spal Rzym i świat z boleści, lecz zachowaj nam swój głos! Zdumieli się obecni, zdumiał się na chwilę sam Nero, jeden tylko Petroniusz pozostał niewzruszony. Wiedział on nadto dobrze, co robi. Pamiętał przecie, że Terpnos i Diodor mieli wprost rozkaz zatykać usta Cezarowi, gdyby podnosząc zbyt głos, narażał go na szwank jakikolwiek. — Cezarze — mówił dalej z tą samą powagą i smutkiem — ponieśliśmy stratę niezmierną, niech nam choć ten skarb pociechy zostanie! Twarz Nerona zadrgała i po chwili z oczu puściły mu się łzy, nagle wsparł dłonie na ramionach Petroniusza i złożony głowę na jego piersiach jął powtarzać wśród łkań: — Tyś jeden ze wszystkich o tem pomyślał, ty jeden! Petroniuszu! ty jeden! Tigellinus pożółkł z zazdrości — Petroniusz zaś mówił: — Jedź do Antium! tam ona przyszła na świat, tam spłynęła na cię radość, tam spłynie ukojenie. Niech morskie powietrze odświeży twe boskie gardło; niechaj pierś twoja odetchnie słoną wilgocią. My, wierni, pójdziemy wszędy za tobą i gdy twój ból będziemy koili przyjaźnią, ty ukoisz nasz pieśnią. — Tak! — odrzekł żałośnie Nero — napiszę hymn na jej cześć i ułożę do niego muzykę. — A potem poszukasz ciepłego słońca w Baiae. — A potem, zapomnienia w Grecyi. — W ojczyźnie poezyi i pieśni! I kamienny, ponury nastrój mijał stopniowo, jak mijają chmury, pokrywające słońce, a natomiast poczęła się rozmowa, niby pełna jeszcze smutku, lecz pełna i układów na przyszłość, tyczących podróży, artystycznych występień, a nawet i przyjęć, jakich wymagało zapowiedziane przybycie Tirydata, króla Armenii. Tigellinus próbował wprowadzić jeszcze wspomnieć o czarach, lecz Petroniusz, pewny już wygranej, podjął wprost wyzwanie. —

Tigellinie — rzekł — czy sądzisz, że czary mogą szkodzić bogom? — Sam Cezar o nich mówił — odpowiedział dworak. — Boleść mówiła, nie Cezar, lecz ty co o tem mniemasz? — Bogowie zbyt są potężni, by mogli podlegać urokom. — Miałżebyś zaś odmawiać boskości Cezarowi i jego rodzinie? — Peractum est! — mruknął stojący obok Eprius Marcellus, powtarzając okrzyk, jaki wydawał lud, gdy gladyator w arenie ugodzony został odrazu tak, że nie potrzebował dobicia. Tigellinus zgryzł w sobie gniew. Między nim i Petroniuszem zdawna istniało współzawodnictwo wobec Nerona i Tigellinus miał tę wyższość, że Nero mniej, albo raczej wcale się wobec niego nie krępował, aż dotąd jednak Petroniusz, ilekroć się zetknęli, pokonywał go rozumem i dowcipem. Tak się stało i teraz. Tigellinus umilkł i tylko zapisywał sobie w pamięci tych senatorów i rycerzy, którzy w chwili, gdy Petroniusz cofnął się w głąb sali, otoczyli go zaraz, mniemając, że po tem co zaszło, on będzie stanowczo pierwszym ulubieńcem Cezara. Petroniusz zaś, wyszedłszy z pałacu, udał się do Viniciusza i opowiedziawszy mu zajście z Cezarem i Tigellinem, rzekł: — Nietylko odwróciłem niebezpieczeństwo od Aulusa Plauciusza i Pomponii, a zarazem od nas obydwóch, ale nawet od Lygii, której nie będą poszukiwali, choćby dlatego, że namówiłem tamtą miedzianobrodą małpę, by pojechała do Antium, a stamtąd do Neapolis lub Baiae. I pojedzie, w Rzymie bowiem nie śmiał dotąd wystąpić publicznie w teatrze, wiem zaś, że oddawna ma zamiar wystąpić w Neapolis. Potem marzy o Grecyi, gdzie chce mu się śpiewać we wszystkich znaczniejszych miastach, a potem wraz ze wszystkimi wieńcami, które mu ofiarują „Graeculi“, odprawić tryumfalny wjazd do Rzymu. Przez ten czas będziemy mogli szukać Lygii swobodnie i ukryć ją bezpiecznie. A cóż? Czy nasz szlachetny filozof nie był dotąd? — Twój szlachetny filozof jest oszust. Nie! nie był, nie pokazał się i nie pokaże się więcej! — A ja lepsze mam pojęcie, jeśli nie o jego uczciwości, to o rozumie. Upuścił już raz krwi twemu workowi i przyjdzie, choćby po to, żeby jej upuścić po raz drugi. — Niech się strzeże, bym ja mu krwi nie upuścił. — Nie czyń tego; miej z nim cierpliwość, póki się dowodnie o oszustwie nie przekonasz. Nie dawaj mu więcej pieniędzy, a natomiast obiecuj hojną nagrodę, jeśli ci przyniesie wiadomość pewną. Czy przedsięwzięsz coś także na własną rękę? — Dwaj moi wyzwoleńcy, Nymfidiusz i Demas, szukają jej na czele sześćdziesięciu ludzi. Ten z niewolników, który ją odnajdzie, ma obiecaną wolność. Wysłałem prócz tego umyślnych na wszystkie drogi, wiodące z Rzymu, by w gospodach wypytywali o Lyga i dziewicę. Sam przebiegam miasto dniem i nocą, licząc na traf szczęśliwy. — Cokolwiek będziesz wiedział, daj mi znać, bo ja muszę jechać do Antium. — Dobrze. — A jeśli któregokolwiek rana, obudziwszy się, powiesz sobie, że dla jednej dziewczyny niewarto się dręczyć i czynić dla niej tylu zabiegów, to przyjeżdżaj do Antium. Tam nie zbraknie ni kobiet, ni uciech. Viniciusz począł chodzić szybkimi krokami, Petroniusz zaś spoglądał czas jakiś za nim, wreszcie rzekł: — Powiedz mi szczerze — nie jak zapaleniec, który coś w siebie wmawia i sam się podnieca, ale jak człowiek rozsądny, który odpowiada przyjacielowi: czy tobie zawsze jednakowo chodzi o tę Lygię? Viniciusz zatrzymał się na chwilę i spojrzał tak na Petroniusza, jakgdyby go przedtem nie widział, poczem znów począł chodzić. Widocznem było, że hamuje w sobie wybuch. Wreszcie w oczach, z poczucia własnej bezsilności, z żalu, gniewu i niepokonanej tęsknoty, zebrały mu się dwie łzy, które przemówiły silniej do Petroniusza, niż najwymowniejsze słowa. Więc zamyśliwszy się przez chwilę rzekł: — Świat dźwiga na barkach nie Atlas, ale kobieta, i czasem igra nim, jak piłką. — Tak! — rzekł Viniciusz. I poczęli się żegnać. Lecz w tej chwili niewolnik dał znać, że Chilon Chilonides czeka w przedsionku i prosi, aby mógł być dopuszczony przed oblicze pana. Winicjusz kazał wpuścić go natychmiast, Petroniusz zaś rzekł: — Ha! nie mówiłem ci! Na Herkulesa! zachowaj tylko spokój; inaczej on tobą owładnie, nie ty nim. — Pozdrowienie i cześć szlachetnemu wojskowemu trybunowi i tobie, panie! — mówił, wchodząc, Chilon. — Niech szczęście wasze równe będzie waszej sławie, a sława niech obiegnie świat cały,

od słupów Herkulesa aż po granice Arsacidów. — Witaj, prawodawco cnoty i mądrości — odpowiedział Petroniusz. Lecz Viniciusz spytał z udanym spokojem: — Co przynosisz? — Za pierwszym razem przyniosłem ci, panie nadzieję, obecnie przynoszę pewność, że dziewica zostanie odnaleziona. — To znaczy, żeś jej nie odnalazł dotąd? — Tak, panie, alem odnalazł, co znaczy znak, który ci uczyniła: wiem, kto są ludzie, którzy ją odbili, i wiem, między jakiego bóstwa wyznawcami szukać jej należy. Viniciusz chciał się zerwać z krzesła, na którym siedział, lecz Petroniusz położył mu dłoń na ramieniu i zwracając się do Chilona rzekł: — Mów dalej! — Czy jesteś zupełnie pewny, panie, że dziewica nakreśliła ci rybę na piasku? — Tak jest — wybuchnął Viniciusz. — A zatem jest chrześcijanką i odbili ją chrześcijanie. Nastąpiła chwila milczenia. — Słuchaj, Chilonie — rzekł wreszcie Petroniusz. — Krewny mój przeznaczył ci za odszukanie dziewczyny znaczną ilość pieniędzy, ale niemniej znaczną ilość różeg, jeśli go zechcesz oszukiwać. W pierwszym razie kupisz nie jednego, ale trzech skrybów, w drugim filozofia wszystkich siedmiu mędrców, z dodatkiem twojej własnej, nie stanie ci za maść gojącą. — Dziewica jest chrześcijanką, panie! — zawołał Grek. — Zastanów się, Chilonie. Tyś człek niegłupi! Wiemy, że Junia Silana wraz z Kalwią Krispinillą oskarżyły Pomponię Graecinę o wyznawanie chrześcijańskiego zabobonu, ale wiemy także, że sąd domowy uwolnił ją od tego zarzutu. Czyżbyś ty chciał go teraz podnosić? Czy chciałbyś w nas wmówić, że Pomponia, a z nią razem i Lygia mogą należeć do nieprzyjaciół rodu ludzkiego, do zatruwaczy fontann i studzien, do czcicieli osłej głowy, do ludzi, którzy mordują dzieci i oddają się najplugawszej rozpuście? Pomyśl, Chilonie, czy ta teza, którą nam głosisz, nie odbije się, jako atiteza, na twoim grzbiecie. Chilon rozłożył ręce na znak, że to nie jego wina, poczem rzekł: — Panie! wymów po grecku następujące zdanie: Jezus Chrystus, Boga Syn, Zbawiciel: — Dobrze. Oto mówię!... Cóż z tego? — A teraz weź pierwsze litery każdego z tych wyrazów i złóż je tak, aby stworzyły jeden wyraz. — Ryba! — rzekł ze zdziwieniem Petroniusz. — Oto, dlaczego ryba stała się godłem chrześcijan — odpowiedział z dumą Chilon. Nastąpiła chwila milczenia. W wywodach Greka było jednak coś tak uderzającego, że obaj przyjaciele nie mogli się oprzeć zdumieniu. — Viniciuszu — spytał Petroniusz — czy się nie mylisz i czy istotnie Lygia nakreśliła ci rybę? — Na wszystkich bogów podziemnych, można oszaleć! — zawołał z uniesieniem młody człowiek — gdyby mi nakreśliła ptaka, powiedziałbym, że ptaka! — A więc jest chrześcijanką! — powtórzył Chilon. — To znaczy — rzekł Petroniusz — że Pomponia i Lygia zatruwają studnie, mordują schwytane na ulicy dzieci i oddają się rozpuście! Głupstwo!! Ty, Viniciuszu, byłeś dłużej w ich domu, ja byłem krótko, ale znam dość i Aulusa i Pomponię, dość nawet znam Lygię, żeby powiedzieć: potwarz i głupstwo!! Jeśli ryba jest godłem chrześcijan, czemu istotnie zaprzeczyć trudno i jeśli one są chrześcijankami, to na Prozerpinę! Widocznie chrześcijanie nie są tem, za co ich mamy. — Mówisz, jak Sokrates, panie — odpowiedział Chilon. — Kto kiedy badał chrześcijanina? Kto poznał ich naukę? Gdym wędrował przed trzema laty z Neapolis tu, do Rzymu (o, czemuż tam nie zostałem!), przyłączył się do mnie człowiek, lekarz, imieniem Glaukos, o którym mówiono, że był chrześcijaninem, a mimo tego, przekonałem się, że był to dobry i cnotliwy człowiek. — Czy nie od tego cnotliwego człowieka dowiedziałeś się teraz, co znaczy ryba? — Niestety, panie! Po drodze w jednej gospodzie pchnął ktoś pocziwego starca nożem, a żonę i dziecko jego uprowadzili handlarze niewolników, ja zaś w obronie ich straciłem te oto dwa palce. Ale, że między chrześcijanami nie brak, jak mówią, cudów, więc mam nadzieję, że mi odrosną. — Jakto? zali zostałeś chrześcijaninem? — Od wczoraj, panie! od wczoraj! Uczyniła mnie nim ta ryba. Patrz, jaka jednak w niej siła! I za kilka dni będę najgorliwszym z gorliwych, aby mnie przypuścili do wszystkich swych tajemnic, a gdy mnie przypuszczą do wszystkich tajemnic, będę wiedział, gdzie się ukrywa dziewica. Wówczas, może moje chrześcijaństwo lepiej mi się opłaci od mojej filozofii. Uczyniłem też Merkuremu ślub, że jeśli

mi pomoże do odszukania dziewicy, ofiaruję mu dwie jałówki jednych lat i jednakiej miary, którym każę pozłocić rogi. — Więc twoje wczorajsze chrześcijaństwo i twoja dawniejsza filozofia pozwalają ci wierzyć w Merkurego? — Wierzę zawsze w to, w co mi wierzyć potrzeba, i to jest moja filozofia, która zwłaszcza Merkuremu powinna przypaść do smaku. Na nieszczęście, wiecie, dostojni panowie, jaki to jest bóg podejrzliwy. Nie ufa on obietnicom nawet nieskazitelnych filozofów i wolałby może naprzód dostać jałówki, a tymczasem to jest wydatek ogromny. Nie każdy jest Seneką i mnie na to nie stać, gdyby jednak szlachetny Viniciusz chciał na rachunek tej sumy, którą mi obiecał... cośkolwiek... — Ani obola, Chilonie! — rzekł Petroniusz — ani obola! Hojność Viniciusza przewyższy twoje nadzieje, ale dopiero wówczas, gdy Lygia zostanie odnaleziona, to jest, gdy nam wskażesz jej kryjówkę. Merkury musi ci zakredytować dwie jałówki, chociaż nie dziwię mu się, że niema do tego ochoty, i poznaję w tem jego rozum. — Posłuchajcie mnie, dostojni panowie. Odkrycie, jakie uczyniłem, jest wielkie, albowiem, chociaż nie odnalazłem dotąd dziewicy, odnalazłem drogę, na której jej szukać należy. Oto rozesłaliście wyzwoleńców i niewolników na całe miasto i prowincję, a czyż który dał wam jakąś wskazówkę? Nie! Ja jeden dałem. I powiem wam więcej. Między waszymi niewolnikami mogą być chrześcijanie, o których nie wiecie, gdyż zabobon ten rozszerzył się już wszędzie, i ci, zamiast pomagać, będą was zdradzali. Źle nawet jest, że mnie tu widzą i dlatego ty, szlachetny Petroniuszu, nakaż milczenie Eunice, ty zaś, równie szlachetny Viniciuszu, rozgłoś, iż ci sprzedaję maść, która posmarowanym nią koniom zapewnia zwycięstwo w cyrku... Ja jeden będę szukał i ja jeden zbiegów odnajdę, wy zaś ufajcie mi i wiedzcie, że cokolwiekbym dostał naprzód, będzie to tylko dla mnie zachętą, gdyż zawsze będę się spodziewał więcej i tem większą miał pewność, że przyobiecana nagroda mnie nie minie. Ach, tak! Jako filozof, pogardzam pieniędzmi, chociaż nie pogardzają nimi ani Seneka, ani nawet Muzoniusz lub Kornutus, którzy jednak nie stracili palców w niczyjej obronie i którzy sami pisać i imiona swe potomności przekazać mogą. Ale, prócz niewolnika, którego kupić zamierzam, i prócz Merkurego, któremu obiecałem jałówki (a wiecie, jak by było podrożało), samo poszukiwanie pociąga mnóstwo wydatków. Posłuchajcie tylko cierpliwie. Oto, od tych kilku dni, na nogach poczyniły mi się rany od ciągłego chodzenia. Zachodziłem do winiarni, by gadać z ludźmi, do piekarzy, rzeźników, do sprzedających oliwę i do rybaków. Przebiegłem wszystkie ulice i zaułki; byłem w kryjówkach zbiegłych niewolników; przegrałem blisko sto asów w morę; byłem w pralniach, suszarniach i garkuchniach, widziałem mulników i rzeźbiarzy; widziałem ludzi, którzy leczą na pęcherz i wyrywają zęby, gadałem z przekupniami suszonych fig, byłem na cmentarzach, a wiecie po co? Oto, aby kreślić wszędzie rybę, patrzeć ludziom w oczy i słuchać, co na ów znak powiedzą. Długi czas nie mogłem dostrzedz nic, aż raz spostrzegłem starego niewolnika przy fontannie, który czerpał wiadrami wodę i płakał. Zbliżywszy się wówczas do niego, spytałem o przyczynę łez. Na to, gdyśmy siedli na stopniach fontanny, odrzekł mi, że zbierał całe życie sesterce do sesterce, by wykupić umiłowanego syna, ale pan jego, niejaki Pansa, gdy zoczył pieniądze, zabrał mu je, syna zaś zatrzymał nadal w niewoli. „I tak płaczę — mówił stary — bo choć powtarzam: dziej się wola Boska! nie mogę, biedny grzesznik, łez powstrzymać“. Wówczas, jakby tknięty przecuciem, umoczywszy palec w wiadrze, nakreśliłem mu rybę, on zaś odrzekł: „I moja nadzieja w Chrystusie“. A jam spytał: „Poznałeś mnie po znaku?“ On rzekł: „Tak jest i pokój niech będzie z tobą“. Wtedy począłem go ciągnąć za język i pocziwina wygadał wszystko. Jego pan, ów Pansa, sam jest wyzwolenцем wielkiego Pansy i dostawia kamienie Tybrem do Rzymu, które niewolnicy i ludzie najemni wyładowują z tratw i dźwigają do budujących się domów nocami, by we dnie nie tamować ruchu na ulicach. Pracuje między nimi wielu chrześcijan i jego syn, lecz że to robota nad siły, więc dlatego chciał go wykupić. Lecz Pansa wolał zatrzymać i pieniądze i niewolnika. Tak mówiąc, znów począł płakać, ja zaś

pomieszałem z jego łzami moje, co mi przyszło łatwo z powodu dobroci serca i strzykania w nogach, którego ze zbytniego chodzenia dostałem. Począłem też przytem narzekać, że przyszedłszy przed kilku dniami z Neapolis, nie znam nikogo z braci, nie wiem, gdzie się zbierają, by modlić się razem. On zdziwił się, że mi chrześcijanie z Neapolis nie dali listów do rzymskich braci, alem mu powiedział, że mi je ukradziono w drodze. Wówczas rzekł mi, bym przyszedł w nocy nad rzekę, a on mnie z braćmi pozna, ci zaś doprowadzą mnie do domów modlitwy i do starszych, którzy rządzą gminą chrześcijańską. Co usłyszawszy, ucieszyłem się tak, iż dałem mu sumę, potrzebną na wykupienie syna, w tej nadziei, że wspaniały Viniciusz w dwójnasób mi ją powróci... — Chilonie — przerwał Petroniusz — w twojem opowiadaniu kłamstwo pływa po powierzchni prawdy, jak oliwa po wodzie. Przyniosłeś wiadomości ważne, temu nie przeczę. Twierdzę nawet, że na drodze do odszukania Lygii wielki krok został uczyniony, lecz ty nie omaszczaj kłamstwem swych nowin. Jak się nazywa ów starzec, od którego dowiedziałeś się, że chrześcijanie poznają się zapomocą znaku ryby? — Euriciusz, panie. Biedny, nieszczęśliwy starzec! Przypomniał mi Glauka lekarza, którego broniłem od zbójców i tem mnie głównie wzruszył. — Wierzę, że go poznałeś i że potrafisz skorzystać z tej znajomości, aleś mu pieniędzy nie dał. Nie dałeś mu ani asa, rozumiesz mnie! Nie dałeś nic! — Alem mu pomógł dźwigać wiadra i o jego synu mówiłem z największym współczuciem. Tak, panie! cóż się może ukryć przed przenikliwością Petroniusza? A więc, nie dałem mu pieniędzy, a raczej dałem mu je, ale tylko w duszy, w umyśle, co gdyby był prawdziwym filozofem, powinno mu było wystarczyć... Dałem zaś dlatego, żem uznał taki postępek za niezbędny i pożyteczny, albowiem pomyśl, panie, jakby on mi zjednał odrazu wszystkich chrześcijan, jaki do nich przystęp otworzył i jaką wzbudził w nich ufność. — Prawda — rzekł Petroniusz — i powinienes to być uczynić. — Właśnie dlatego tu przychodzę, abym mógł to uczynić. Petroniusz zwrócił się do Viniciusza: — Każ mu wyliczyć pięć tysięcy sestercyi, ale w duszy, w umyśle... Lecz Viniciusz rzekł: — Dam ci pachołka, który poniesie sumę potrzebną, ty zaś powiesz Euriciuszowi, że pachołek jest twoim niewolnikiem i wyliczysz staremu przy nim pieniądze. Ponieważ jednak przyniosłeś wiadomość ważną, otrzymasz drugie tyle dla siebie. Przyjdź po pachołka i po pieniądze dziś wieczór. — Oto prawdziwy Cezar! — rzekł Chilo. — Pozwolisz, panie, że ci zadedykuję moje dzieło, ale pozwolisz także, że dziś wieczór przyjdę tylko po pieniądze, albowiem Euriciusz powiedział mi, że wyładowano już wszystkie tratwy, a nowe przyholują z Ostii dopiero za dni kilka. Pokój niech będzie z wami! Tak się żegnają chrześcijanie... Kupię sobie niewolnicę, to jest, chciałem powiedzieć: niewolnika. Ryby łapią się na wędkę, a chrześcijanie na rybę. Pax vobiscum! pax!... pax!... pax!...

ROZDZIAŁ XV.

Petroniusz do Viniciusza: „Przez zaufanego niewolnika posyłam ci z Antium ten list, na który, jakkolwiek ręka twa więcej do miecza i do włóczni, niż do pióra przywykła, mniemam, że przez tegoż samego posłańca, bez zbytniej zwłoki odpiszesz. Zostawiłem cię na dobrym śladzie i pełnego nadziei, tuszę więc, że alboś już słodkie żądze w objęciach Lygii ukoił, albo że ukoisz je, zanim prawdziwy zimowy wicher powieje na Kampanię ze szczytów Sorakte. O mój Viniciuszu! niechaj ci mistrzynią będzie złota bogini Cypru, ty zaś bądź mistrzem tej Lygijskiej jutrzenki, która ucieka przed słońcem miłości. A pomnij zawsze, że marmur sam w sobie, choćby najdroższy, jest niczem i że prawdziwej wartości nabiera wówczas dopiero, gdy go w arcydzieło przemieni ręka rzeźbiarza. Bądź takim rzeźbiarzem, ty, carissime! Kochać jest niedość, trzeba umieć kochać i trzeba umieć nauczyć miłości. Wszak rozkosz odczuwa i plebs i nawet zwierzęta, lecz prawdziwy człowiek tem się właśnie od nich odróżnia, że ją niejako w szlachetną sztukę zamienia, a lubując się nią, wie o tem, całą jej boską wartość w myśli uprzytomnia, a przez to nietylko ciało, ale i duszę nasyca. Nieraz, gdy tu pomyślę o czczości, niepewności i nudzie naszego życia, przychodzi mi do głowy, że ty może i

lepiej wybrałaś, i że nie dwór Cezara, ale wojna i miłość są dwiema jedynymi rzeczami, dla których się rodzić i żyć warto. W wojnie byłeś szczęśliwym, bądźże nim i w miłości, a jeśliś ciekaw, co dzieje się na dworze Cezara, ja ci o tem od czasu do czasu doniosę. Siedzimy tedy w Antium i pielęgnujemy nasz niebiański głos, czujemy zawsze jednak nienawiść do Rzymu, a na zimę zamierzamy się udać do Bajów, aby wystąpić publicznie w Neapolis, którego mieszkańcy, jako Grecy, lepiej potrafią nas ocenić, niż wilcze plemię, zamieszkujące pobrzeże Tybru. Zbiegną się ludzie z Bajów, Pompei, z Puteoli, z Kumae, ze Stabiów, oklasków ni wieńców nam nie zbraknie, i to będzie zachętą do zamierzonej wyprawy do Achai. A pamięć małej Augusty? Tak! Jeszcze ją oplakujemy. Śpiewamy hymny własnego układu tak cudnie, że syreny z zazdrości pochowały się w najgłębszych jaskiniach Amfitryty. Słuchałyby nas natomiast delfiny, gdyby im nie przeszkadzał szum morza. Boleść nasza nie uspokoiła się dotąd, pokazujemy więc ją ludziom we wszelkich postaciach, jakich naucza rzeźba, bacząc przytem pilnie, czy nam z nią pięknie i czy ludzie umieją się na tej piękności poznać. Ach, mój drogi! pomrzemy jako błazny i komedyanci. Są tu wszyscy augustyanie i wszystkie augustyanki, nie licząc pięciuset oślic, w których mleku kąpie się Poppea, i dziesięciu tysięcy sług. Czasem też bywa wesoło. Kalwia Krispinilla starzeje się; mówią, że uprosiła Poppei, by wolno jej było brać kąpiel zaraz po niej. Nigidii Lukan dał w twarz, posądzając ją o związek z gladyatorem. Sporus przegrał żonę w kości do Seneciona. Torquatus Silanus ofiarował mi za Eunice cztery kasztany, które w tym roku niewątpliwie wyścig wygrają. Nie chciałem! a tobie dzięki także, żeś jej nie przyjął. Co do Torquata Silana, ani domyśla się biedak, że jest już więcej cieniem, niż człowiekiem. Śmierć jego jest postanowiona. A czy wiesz, jaka jego wina? Oto jest prawnikiem boskiego Augusta. Nie ma dla niego ratunku. Taki jest nasz świat! Spodziewaliśmy się tu, jak ci wiadomo, Tirydata, tymczasem Vologeses napisał list obraźliwy. Ponieważ podbił Armenię, prosi, żeby mu ją zostawić dla Tirydata, bo jeśli nie, to i tak jej nie odda. Czyste drwiny! więc postanowiliśmy wojnę. Korbulon dostanie taką władzę, jaką za czasów wojny z rozbójnikami morskimi miał wielki Pompejusz. Była jednak chwila, że Nero wahał się: boi się widocznie sławy, jaką na wypadek zwycięstw może uzyskać Korbulon. Namysłano się nawet, czy naczelnego dowództwa nie ofiarować naszemu Aulusowi. Sprzeciwiała się Poppea, której cnota Pomponii jest widocznie solą w oku. Vatyniusz zapowiedział nam jakieś nadzwyczajne walki gladyatorów, które ma wyprawić w Benewencie. Patrz, do czego, wbrew zdaniu: ne sutor supra crepidam, dochodzą szewcy w naszych czasach! Viteliusz potomek szewca, a Vatiniusz syn rodzony! Może sam jeszcze ciągnął dratwę! Histrion Aliturus cudnie wczoraj przedstawiał Edypa. Pytałem go też, jako Żyda, czy chrześcijanie a Żydzi to jedno? Odpowiedział mi, że Żydzi mieli odwieczną religię, chrześcijanie zaś są nową sektą, która niedawno powstała w Judei. Ukrzyżowano tam za czasów Tyberiusza pewnego człowieka, którego wyznawcy mnożą się z dniem każdym, uważają go zaś za boga. Zdaje się, że żadnych innych bogów, a zwłaszcza naszych, znać nie chcą. Nie rozumiem, coby im to mogło szkodzić. Tigellinus okazuje mi już jawną nieprzyjaźń. Dotychczas nie może mi dać rady, ma wszelako nade mną jedną wyższość. Oto bardziej dba o życie i zarazem jest większym ode mnie łotrem, co go zbliża do Ahenobarba. Ci dwaj porozumieją się prędzej później, a wówczas przyjdzie moja kolej. Kiedy to nastąpi nie wiem, ale, że i tak kiedyś musi nastąpić, więc mniejsza o termin. Trzeba się tymczasem bawić. Życie samo w sobie byłoby niezłe, gdyby nie Miedzianobrody. Dzięki jemu, człowiek czasem brzydzi się samym sobą. Próżno uważać walkę o jego łaski za jakiś wyścig cyrkowy, za jakąś grę, za jakieś zapasy, w których zwycięstwo schlebia miłości własnej. Ja wprawdzie często sobie tak to tłómaczę, a jednak czasem wydaje mi się, że jestem takim Chilonem i niczem lepszym od niego. Gdy ci przestanie być potrzebny, przyślij mi go. Polubiłem jego budującą rozmowę. Pozdrów odemnie twą boską chrześcijankę, a raczej proś jej w moim imieniu, by nie była

dla ciebie rybą. Donieś mi o swem zdrowiu, donieś o miłości, umiej kochać, naucz kochać i żegnaj!“
M. C. Viniciusz do Petroniusza: „Lygii niema dotąd! Gdyby nie nadzieja, że ją wkrótce odnajdę, nie otrzymałbyś odpowiedzi, bo gdy życie się mierzi, to i pisać się nie chce. Chciałem sprawdzić, czy Chilon mnie nie oszukuje, i tej nocy, której przyszedł po pieniądze dla Euriciusza, okryłem się płaszczem wojskowym i poszedłem niepostrzeżenie za nim i za chłopcem, którego mu dodałem. Gdy przyszedli na miejsce, śledziłem ich zdaleka, ukryty za słupem portowym, i przekonałem się, że Euriciusz nie był zmyśloną postacią. W dole, przy rzece, kilkudziesięciu ludzi wyładowywało przy pochodniach, kamienie z wielkiej komiegi i układało je przy brzegu. Widziałem, jak Chilo zbliżył się ku nim i począł rozmawiać z jakimś starcem, który po chwili upadł mu do nóg. Inni otoczyli ich w koło, wydając okrzyki podziwu. W moich oczach pachołek oddał worek Euriciuszowi, który, chwyciwszy go, jał się modlić ze wzniesionymi w górę rękoma, a przy nim klęknął ktoś drugi, widocznie jego syn. Chilon mówił coś jeszcze, czego nie mogłem dosłyszeć, i błogosławił zarówno tych dwóch klęczących, jak i innych, czyniąc w powietrzu znaki nakształt krzyża, który oni czczą widocznie, bo wszyscy zginali kolana. Brała mnie ochota zejść między nich i obiecać trzy takie worki temu, któryby mi wydał Lygię, ale bałem się popsuć Chilonowi robotę i, po chwili zastanowienia, odszedłem. Działo się to w dni przynajmniej dwanaście od twego wyjazdu. Od tej pory był u mnie kilkakrotnie. Sam mi powiadał, że nabrał między chrześcijanami wielkiego znaczenia. Mówi, że jeśli Lygii dotąd nie znalazł, to dlatego, że ich jest już nieprzeliczone mnóstwo w samym Rzymie, więc nie wszyscy się znają i nie wszystko mogą wiedzieć, co się między nimi dzieje. Są też ostrożni i wogóle małowówni, on jednak zaręcza, że byle dotarł do starszych, których presbyterami zowią, potrafi od nich wszystkie tajemnice wydobyć. Kilku już poznał i próbował ich badać, ale ostrożnie, by przez pośpiech nie wzbudzić podejrzeń i nie utrudnić dzieła. I, chociaż czekać ciężko, chociaż nie staję cierpliwości, czuję, że ma słuszność, i czekam. Dowiedział się już także, że na modlitwy mają wspólne miejsca, często za bramami miasta, w pustych domach, a nawet w arenariach. Tamże czczą Chrystusa, śpiewają i uczują. Miejsc takich jest wiele. Chilon przypuszcza, iż Lygia chodzi umyślnie do innych, niż Pomponia, dlatego, by ta, w razie sądu i badania, śmiało mogła zaprzysiądz, że o jej schronieniu nie wie. Być może, że presbyterowie doradzili jej tę ostrożność. Gdy Chilon pozna już te miejsca, będę chodził z nim razem i, jeśli bogowie pozwolą mi ujrzeć Lygię, przysięgam ci na Jowisza, że tym razem nie ujdzie z rąk moich. Myślę ciągle o tych miejscach modlitwy. Chilon nie chce, bym z nim chodził. Boi się, ale ja nie mogę siedzieć w domu. Poznam ją odrazu, choćby w przebraniu lub za zasłoną. Oni się zbierają tam w nocy, ale ja ją poznam i w nocy. Poznałbym wszędzie jej głos i ruchy. Sam pójdę w przebraniu i będę uważał na każdego, kto wchodzi i wychodzi. Ciągle o niej myślę, więc ją poznam. Chilon powinien przyjść jutro, i pójdziemy. Wezmę ze sobą broń. Kilku moich niewolników, wysłanych na prowincję, wróciło z niczem. Ale teraz jestem pewny, że ona tu jest, w mieście, może nawet niedaleko. Zwiedziłem i sam dużo domów pod pozorem najmu. U mnie będzie jej stokroć lepiej, bo tam żyje całe mrowie ubóstwa. Ja przecie niczego jej nie pożałuję. Piszesz, że dobrze wybrał, wybrałem oto troski i zgryzotę. Pójdziemy naprzód do tych domów, które są w mieście, potem za bramy. Nadzieja czegoś od każdego jutra wygląda, inaczej nie możnaby żyć. Ty mówisz, że trzeba umieć kochać, i ja umiałem mówić z Lygią o miłości, ale teraz tylko tęsknię, tylko wyczekuję Chilona i w domu jest mi nieznośnie. Żegnaj“.

ROZDZIAŁ XVI.

Chilon nie pokazywał się jednak dość długo, tak, że Viniciusz nie wiedział w końcu, co o tem sądzić. Próżno powtarzał sobie, że poszukiwania, jeśli mają doprowadzić do wyników pomyślnych i pewnych, muszą być powolne. Zarówno jego krew, jak i porywcza natura, burzyły się przeciw głosowi rozsądku. Nie czynić nic, czekać, siedzieć z założonymi rękoma, było czemś tak przeciwnem

jego usposobieniu, że w żaden sposób nie umiał się z tem pogodzić. Przebieganie zaułków miasta w ciemnym, niewolniczym płaszczu, przez to samo, że było daremnem, wydało mu się tylko oszukiwaniem własnej beczynności i nie mogło go zaspokoić. Wyzwoleńcy jego, ludzie przebiegli, którym kazał czynić poszukiwania na własną rękę, okazywali się stokroć mniej zręcznymi od Chilona. Tymczasem, obok miłości, jaką czuł dla Lygii, rodziła się w nim jeszcze zawziętość gracza, który chce wygrać. Viniciusz takim był zawsze. Od najmłodszych lat przeprowadzał, co chciał, z namiętnością człowieka, który nie rozumie, że może się coś nie udać i że trzeba się czegoś wyrzec. Karność wojskowa ujęła wprawdzie na czas w karby jego samowolę, ale wszczepiła weń zarazem przekonanie, że każdy rozkaz, który wydawał niższym od siebie, musi być spełniony, dłuższy zaś pobyt na Wschodzie, wśród ludzi giętkich i do niewolniczego posłuchu przywykłych, utwierdził go tylko w wierze, że dla jego „chcę“ niema granic. Obecnie więc krwawiła ciężko i jego miłość własna. Było przytem w tych przeciwnościach, w tym oporze i w samej ucieczce Lygii coś dla niego niezrozumiałego, jakaś zagadka, nad której rozwiązaniem męczył śmiertelnie głowę. Czuł, że Akte powiedziała prawdę i że nie był dla Lygii obojętnym. Ale jeśli tak, to dlaczego przełożyła tułactwo i nędzę nad jego miłość, nad jego pieszczoty i nad pobyt w jego rozkoszonym domu? Na to pytanie nie umiał znaleźć odpowiedzi, a natomiast dochodził tylko do pewnego niejasnego poczucia, że między nim a Lygią i między ich pojęciami, i między światem jego i Petroniusza a światem Lygii i Pomponii Graeciny, istnieje jakaś różnica i jakieś nieporozumienie, głębokie jak przepaść, której nic nie zdoła zapełnić i wyrównać. Wówczas zdawało mu się, że musi Lygię stracić, i na tę myśl stracił tę resztę równowagi, którą chciał w nim utrzymać Petroniusz. Były chwile, w których sam nie wiedział, czy Lygię kocha, czy jej nienawidzi, rozumiał tylko, że musi ją znaleźć i że wolałby, żeby go ziemia pochłonęła, niż żeby nie miał jej zobaczyć i posiąść. Mocą wyobraźni widywał ją czasem tak dokładnie, jakby przed nim stała; przypominał sobie każde słowo, które do niej mówił i które od niej usłyszał. Czuł ją blisko; czuł ją na piersi, w ramionach, i wówczas żądza obejmowała go jak płomień. Kochał ją i wzywał jej. A gdy pomyślał, że był przez nią kochany i że mogła dobrowolnie spełnić wszystko, czego od niej żądał, chwycił go żal ciężki, nieprzebrany i jakaś wielka tkliwość zalewała mu serce nakształt niezmiernej fali. Lecz miewał i chwile, w których bladł z wściekłości i lubował się myślami o upokorzeniu i mękach, jakie Lygii zada, gdy ją odnajdzie. Chciał ją nietylko mieć, ale mieć zdeptaną niewolnicą, a jednocześnie czuł, że, gdyby mu zostawiono wybór: czy być jej niewolnikiem, czy nie widzieć jej więcej w życiu, to wolałby być jej niewolnikiem. Bywały dnie, w których myślał o znakach, jakie na jej różanem ciele zostawiłby batog, i zarazem chciałby całować te ślady. Przychodziło mu także do głowy, że byłby szczęśliwy, gdyby ją mógł zabić. W tej rozterce, w zmęczeniu, niepewności i zgryzocie, tracił zdrowie, a nawet i piękność. Stał się też panem niewyrozumiałym i okrutnym. Niewolnicy, a nawet wyzwoleńcy zbliżali się do niego ze drżeniem, a gdy kary spadały na nich bez żadnego powodu, zarówno niemiłosierne, jak niesłuszne, poczęli go skrycie nienawidzić. On zaś, czując to i czując swoje osamotnienie, mścił się na nich tembardziej. Hamował się teraz z jednym tylko Chilonem, z obawy, żeby nie zaprzestał poszukiwań, ów zaś, zmiarkowawszy to, począł go opanowywać i stawać się coraz bardziej wymagającym. Z początku, za każdą bytnością upewniał Viniciusza, że sprawa pójdzie łatwo i prędko, teraz jał sam wynajdywać trudności i, nie przestając wprawdzie zaręczać za niezawodny skutek poszukiwań, nie ukrywał jednak, że muszą one trwać jeszcze długo. Przyszedł wreszcie, po długich dniach oczekiwania, z twarzą tak posępną, że młody człowiek zbladł na jego widok i, skoczywszy ku niemu, zaledwie miał siłę zapytać: — Niema jej między chrześcijanami? — Owszem, panie — odpowiedział Chilon — ale znalazłem między nimi Glauka, lekarza. — O czem mówisz, i co to za jeden? — Zapomniałeś więc, panie, o starcu, z którym wędrowałem z Neapolis do Rzymu i w którego obronie straciłem te oto dwa

palce, których strata nie pozwala mi utrzymać pióra w dłoni. Rozbójnicy, którzy porwali jego żonę i dzieci, pchnęli go nożem. Zostawiłem go konającego w gospodzie pod Minturnae i opłakiwałem go długo! Niestety! przekonałem się, że żyje dotąd i należy do gminy chrześcijańskiej w Rzymie. Viniciusz, który nie mógł pojąć, o co chodzi, zrozumiał tylko, że ów Glaukus stanowi jakąś przeszkodę w odnalezieniu Lygii, więc potłumił gniew, który w nim wzbierał i rzekł: — Jeśliś go bronił, to powinien być ci wdzięcznym i pomagać. — Ach, dostojny trybunie! Nawet bogowie nie zawsze bywają wdzięczni, a cóż dopiero ludzie. Tak! powinien mi być wdzięczny. Na nieszczęście jednak jest to starzec słabego umysłu, przyćmionego przez wiek i zmartwienia, z którego to powodu, nietylko nie jest mi wdzięczny, ale jak dowiedziałem się właśnie od jego współwyznawców, oskarża mnie, że się zmówił z rozbójnikami i że to ja jestem powodem jego nieszczęść. Oto mi nagroda za dwa palce! — Jestem pewny, łotrze, że tak było, jak on mówi! — rzekł Viniciusz. — Tedy wiesz więcej od niego, panie — odpowiedział z godnością Chilo — on bowiem tylko przypuszcza, że tak było, co jednak nie przeszkadzałoby mu wezwać chrześcijan i pomścić się na mnie okrutnie. Uczyniłby to niechybnie, inni zaś również niechybnieby mu pomogli. Szczęściem, nie wie mego imienia, w domu zaś modlitwy, w którym spotkaliśmy się, nie dostrzegł mnie. Ja jednak poznałem go odrazu i w pierwszej chwili chciałem się mu rzucić na szyję. Wstrzymała mnie tylko roztropność i zwyczaj zastanawiania się nad każdym krokiem, który zamierzam uczynić. Począłem się więc po wyjściu z domu modlitwy o niego wypytywać i ci, którzy go znają, powiedzieli mi, iż jest to człowiek, którego zdradził towarzysz podróży z Neapolis... Inaczej nie wiedziałbym przecie, że on tak opowiada. — Co mnie to obchodzi! Mów, coś widział w domu modlitwy. — Ciebie nie obchodzi, panie, ale mnie obchodzi zupełnie tyle, ile własna moja skóra. Ponieważ zaś chcę, by nauka moja mnie przeżyła, wolę się wyrzec nagrody, jaką mi obiecałeś, niż narażać życie dla marnej mamony, bez której, jako prawdziwy filozof, żyć i szukać boskiej prawdy potrafię. Lecz Viniciusz zbliżył się ku niemu z twarzą złowrogą i począł mówić słumionym głosem: — A kto ci powiedział, że z ręki Glauka prędzej cię śmierć spotka, niż z mojej? Skąd wiesz, psie, czy cię zaraz nie zakopią w moim ogrodzie? Chilo, który był tchórzem, spojrział na Viniciusza i w mgnieniu oka zrozumiał, że jeszcze jedno niebaczone słowo, a zginie bez ratunku. — Będę jej szukał panie, i znajdę ją! — zawołał pośpiesznie. Nastąpiło milczenie, w czasie którego słyhać było tylko szybki oddech Viniciusza i odległy śpiew niewolników, którzy pracowali w ogrodzie. Po chwili dopiero Grek, spostrzegłszy, że młody patrycyusz uspokoił się już nieco, począł mówić: — Śmierć przeszła koło mnie, ale ja patrzyłem na nią z takim spokojem, jak Sokrates. Nie, panie! nie powiedziałem, że wyrzekam się szukania dziewicy, i chciałem ci tylko powiedzieć, że szukanie jej połączone jest teraz z wielkim dla mnie niebezpieczeństwem. Wątpiłeś w swoim czasie, czy jest na świecie jaki Euriciusz, a chociaż na własne oczy przekonałeś się, że syn mojego ojca mówił ci prawdę, posądzasz teraz, że ci wymyślił Glaukusa. Niestety! gdyby to on był tylko wymysłem, gdybym mógł z zupełnym bezpieczeństwem chodzić między chrześcijan, tak, jak chodziłem dawniej, odstąpiłbym za to tę biedną, starą niewolnicę, którą kupiłem trzy dni temu, aby miała pieczę nad moim wiekiem i kalectwem. Lecz Glaukus żyje panie, i gdyby mnie raz ujrzał, tybyś nie ujrzał mnie więcej, a w takim razie ktoby ci odnalazł dziewicę? Tu umilkł znów i począł obcierać łyzy, poczem mówił dalej: — Lecz póki Glaukus żyje, jakże mi jej szukać, gdy w każdej chwili mogę go napotkać, a gdy go napotkam, zginę i wraz ze mną przepadną moje poszukiwania. — Do czego zmierzasz? jaka jest rada? i co chcesz przedsięwziąć? — spytał Viniciusz. — Arystoteles uczy nas, panie, że mniejsze rzeczy trzeba poświęcać dla większych, a król Pryam mawiał często, że starość jest ciężkim brzemieniem. Owóż brzemień starości i nieszczęść przygniata Glauka oddawna i tak ciężko, że śmierć byłaby dla niego dobrodziejstwem. Czemże bowiem wedle Seneki jest śmierć, jeśli nie wyzwoleniem?.. —

Błaznij z Petroniuszem, nie ze mną i mów, czego chcesz? — Jeśli cnota jest błazeństwem, niech mi bogowie pozwolą zostać błaznem na zawsze. Chcę, panie, usunąć Glauka, albowiem póki on żyje, i życie moje, i poszukiwania w ciągłym są niebezpieczeństwie. — Najmij więc ludzi, którzy go zatłukają kijami, ja ich zapłacę. — Zedrą cię, panie, i będą później wyzyskiwali tajemnicę. Łotrów w Rzymie tylu jest, ile ziarn piasku w arenie, nie uwierzysz jednak, jak się drożą, gdy uczciwy człowiek potrzebuje wynająć ich łotrostwo. Nie! dostojny trybunie! A nużby wigilowie schwyтали zbójców na zabójstwie? ci niewątpliwie wyznaliby, kto ich najął, i miałbyś kłopot. Mnie zaś nie wskażą, bo im imienia swego nie powiem. Zle robisz, że mi nie ufasz, albowiem, pomijając nawet moją rzetelność, pomnij, że tu chodzi o dwie inne rzeczy: o moją własną skórę i o nagrodę, jaką mi przyrzekłeś. — Ile ci potrzeba? — Potrzeba mi tysiąc sestercyi, albowiem zwróc, panie, uwagę, że muszę znaleźć łotrów uczciwych, takich, którzyby, wzięwszy zadatek, nie zniknęli z nim razem bez wieści. Za dobrą robotę, dobra zapłata! Przydałoby się też coś i dla mnie na obtarcie łez, które wyleję z żalu nad Glaukiem. Bogów biorę na świadectwo, jakim go kochał. Jeśli dziś dostanę tysiąc sestercyi, za dwa dni dusza jego będzie w Hadesie i tam dopiero, jeśli dusze zachowują pamięć i dar myśli, pozna, jakim go kochał. Ludzi znajdę dziś jeszcze i zapowiem im, że od jutra wieczór, za każdy dzień życia Glauka strącam po sto sestercyi. Mam też pewien pomysł, który mi się wydaje niechybnym. Viniciusz raz jeszcze przyobiecał mu żadaną sumę, lecz zabronił mówić więcej o Glauku, a natomiast zapytał, jakie inne przynosi nowiny, gdzie przez ten czas był, co widział i co odkrył. Lecz Chilo niewiele nowego mógł mu powiedzieć. Był w dwóch jeszcze domach modlitwy i uważał pilnie na wszystkich, a zwłaszcza na kobiety, ale nie spostrzegł żadnej, która byłaby podobną do Lygii. Chrześcijanie jednak uważają go za swego, a od czasu, gdy dał na wykupno syna Euriciusza, czczą go, jako człowieka, który wstępuje w ślady „Chrestusa“. Dowiedział się też od nich, że jeden wielki prawodawca, niejaki Paweł z Tarsu, znajduje się w Rzymie, uwięziony skutkiem skargi, podanej przez Żydów i postanowił się z nim poznać. Ale najbardziej ucieszyła go inna wiadomość, mianowicie, że najwyższy kapłan całej sekty, który był uczniem Chrystusa i któremu tenże powierzył zarząd chrześcijan całego świata, ma także lada chwila przyjechać do Rzymu. Wszyscy chrześcijanie zechcą go oczywiście widzieć i słuchać jego nauk. Nastąpią jakieś wielkie zebrania, na których i on, Chilo, będzie obecny, a co więcej, ponieważ w tłumie ukryć się łatwo, więc wprowadzi na nie i Viniciusza. Wówczas odnajdą Lygię napewno. Gdy Glauka raz się usunie, nie będzie to połączone nawet z wielkim niebezpieczeństwem. Zemścić, zemściliby się oczywiście i chrześcijanie, ale wogóle są to ludzie spokojni. Tu Chilo począł opowiadać z pewnem zdziwieniem, że nie dostrzegł nigdy, by oddawali się rozpuście, zatrawali studnie i fontanny, by byli nieprzyjaciołmi rodzaju ludzkiego, czcili osła lub karmili się mięsem dzieci. Nie! Tego nie widział. Zapewne, że znajdzie między nimi i takich, którzy za pieniądze sprzątną Glauka, ale nauka ich, o ile mu wiadomo, do żadnych zbrodni nie zachęca, owszem, każe urazy przebaczać. Viniciusz zaś przypomniał sobie, co mu u Akte powiedziała Pomponia Graecina, i wogóle słów Chilona słuchał z radością. Jakkolwiek uczucie jego dla Lygii przybierało pozory nienawiści, doznawał ulgi, słysząc, że nauka, którą i ona, i Pomponia wyznawały, nie była ani zbrodniczą, ani plugawą. Powstawało w nim jednak jakieś niejasne poczucie, że to ona właśnie, że to ta nieznana mu i tajemnicza cześć dla Chrystusa stworzyła rozdział między nim i Lygią, więc począł zarazem bać się tej nauki i nienawidzić jej.

ROZDZIAŁ XVII.

Chilonowi zaś istotnie chodziło o usunięcie Glauka, który, jakkolwiek podeszły w lecjach, nie był wcale niedołęznym starcem. W tem, co Chilo opowiadał Viniciuszowi, była znaczna część prawdy. Znał on w swoim czasie Glauka, zdradził go, zaprzedał rozbójnikom, pozbawił rodziny, mienia i wydał na mord. Pamięć tych zdarzeń znosił jednak lekko, albowiem porzucił go konającego nie w

gospodzie, ale w polu pod Minturnae, i nie przewidział tej jednej tylko rzeczy, że Glaucus wyleczy się z ran i przybędzie do Rzymu. To też, gdy ujrzał go w domu modlitwy, przeraził się rzeczywiście i w pierwszej chwili chciał naprawdę zrzec się poszukiwania Lygii. Lecz z drugiej strony Viniciusz przeraził go jeszcze więcej. Zrozumiał, że musi wybrać między obawą Glauka a pościgiem i zemstą potężnego patrycyusza, któremu niechybnie przyszedłby w pomoc drugi, jeszcze większy, Petroniusz. Wobec tego Chilo przestał się wahać. Pomyślał, że lepiej jest mieć nieprzyjaciół małych, niż wielkich, i, jakkolwiek tchórzliwa jego natura wzdragała się nieco przed krwawymi sposobami, uznał jednak za konieczność zamordowanie Glauka zapomocą obcych rąk. Obecnie chodziło mu tylko o wybór ludzi, i do nich to właśnie odnosił się jego pomysł, o którym Viniciuszowi wspominał. Spędzając najczęściej noce w winiarniach i nocując w nich między ludźmi bez dachu, bez czci i wiary, łatwo mógł znaleźć takich, którzyby podjęli się każdej roboty, ale jeszcze łatwiej takich, którzy, zwietrzywszy u niego pieniądze, zaczęliby od niego robotę, lub, wzięwszy zadatek, wymusili z niego całą sumę postrachem wydania go w ręce wigilów. Zresztą od pewnego czasu, Chilo czuł wstręt do hołoty, do plugawych, a zarazem strasznych figur, które gnieździły się w podejrzanym domach na Suburze, lub na Zatybrzu. Mierząc wszystko własną miarą i nie zgłębiwszy dostatecznie chrześcijan, ani ich nauki, sądził, że i między nimi znajdzie powolne narzędzia, że zaś wydawali mu się rzetelniejsi od innych, do nich postanowił się udać i sprawę przedstawić w ten sposób, aby podjęli się jej nietylko dla pieniędzy, ale i przez gorliwość. W tym celu poszedł wieczorem do Euriciusza, o którym wiedział, że jest mu oddanym całą duszą i że uczyni wszystko, by mu pomódz. Będąc jednak z natury ostrożnym, ani myślał zwierzyć mu się ze swych prawdziwych zamiarów, które zresztą stałyby w jawnym przeciwieństwie z wiarą starca w jego cnotę i bogobożność. Chciał mieć gotowych na wszystko ludzi i z nimi dopiero ułożyć się o sprawę w ten sposób, by, ze względu na samych siebie, zachowali ją w wieczystej tajemnicy. Starzec Euriciusz, wykupiwszy syna, wynajął jeden z takich małych kramików, jakie mrowiły się przy Circus Maximus, aby sprzedawać w nim oliwki, bób, praśne ciasto i osłodzoną miodem wodę widzom, przybywającym na wyścigi. Chilo zastał go w domu, urządzającego kramik i, powitawszy w imię Chrystusa, począł mówić o sprawie, która go do niego przywiodła. Oto, oddawszy im usługę, liczył, że mu się wypłacą wdzięcznością. Potrzeba mu dwóch ub trzech ludzi, silnych i odważnych, dla odwrócenia niebezpieczeństwa, grożącego nietylko jemu, ale wszystkim chrześcijanom. Jest wprawdzie biedny, gdyż niemal wszystko, co miał oddał Euriciuszowi, jednakże ludziom takim zapłaciłby za ich usługi, pod warunkiem, aby mu ufali i spełnili wiernie, co im spełnić nakaze. Euriciusz i syn jego, Quartus, słuchali go, jako swego dobroczyńcy, niemal na kolanach. Obaj oświadczyli też, że sami gotowi są wykonać wszystko, czego od nich zażąda, wierząc, że mąż, tak święty, nie może żądać uczynków, któreby nie były zgodne z nauką Chrystusa. Chilo zapewnił ich, że tak jest i, podniósłszy oczy w górę, zdawał się modlić, w rzeczywistości zaś namyślał się, czy nie będzie dobrze przyjąć ich ofiary, która mogłaby zaoszczędzić mu tysiąc sestercyi. Lecz po chwili namysłu, odrzucił ją. Euriciusz był starcem, może nietylko przyciśniętym przez wiek, ile wycieńczonym przez troski i chorobę, Quartus liczył lat szesnaście, Chilonowi zaś trzeba było ludzi sprawnych, a przede wszystkim silnych. Co do tysiąca sestercyi, spodziewał się, że, dzięki pomysłowi, na jaki wpadł, potrafi w każdym razie znaczną ich część oszczędzić. Oni napierali się czas jakiś, lecz, gdy odmówił stanowczo, ustąpili. Quartus rzekł wówczas: — Znam piekarza Demasa, panie, u którego przy żarnach pracują niewolnicy i ludzie najemni. Jeden z tych najemników jest tak silny, że starczyłby nie za dwóch, ale za czterech, sam bowiem widziałem, jak podnosił kamienie, których czterech ludzi ruszyć z miejsca nie mogło. — Jeśli to jest człowiek bogobożny i zdolny poświęcić się za braci, poznaj mnie z nim — rzekł Chilo. — Jest chrześcijaninem, panie — odpowiedział Quartus — gdyż u Demasa pracują po większej

części chrześcijanie. Są tam robotnicy nocni i dzienni, ów zaś należy do nocnych. Gdybyśmy teraz poszli, trafilibyśmy na ich wieczerzę i mógłbyś się z nim swobodnie rozmówić. Demas mieszka koło Emporium. Chilo zgodził się najchętniej. Emporium leżało u stóp wzgórza Awentyńskiego, zatem niezbyt od Wielkiego cyrku daleko. Można było, nie obchodząc wzgórz, udać się wzdłuż rzeki, przez Porticus Aemilia, co jeszcze znacznie skracało drogę. — Stary jestem — rzekł Chilo, gdy weszli pod kolumnadę, i czasem miewam zaćmienia pamięci. Tak! wszakże nasz Chrystus wydany został przez jednego ze swoich uczniów! Ale imienia zdrajcy nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć... — Judasz, panie, który się powiesił — odpowiedział Quartus, dziwiąc się nieco w duszy, jak można było tego imienia nie pamiętać. — A tak! Judasz! Dziękuję ci — powiedział Chilo. I czas jakiś szli w milczeniu. Doszedłszy do Emporium, które było już zamknięte, minęli je i, obszedłszy śpichlerze, w których wydawano ludowi zboże, skręcili na lewo, ku domom, które ciągnęły się wzdłuż via Ostiensis, aż do wzgórka Testacius i Forum Pistorium. Tam zatrzymali się przed drewnianym budynkiem, z którego wnętrza dochodził huk żaren. Quartus wszedł do środka, Chilo zaś, który nie lubił pokazywać się wielkiej ilości ludzi i który w ciągłej był obawie, że jakieś fatum może go zetknąć z Glaukiem, lekarzem, powstał nazewnątrz. — Ciekawym tego Herkulesa, który służy za młynarczyka — mówił sobie, spoglądając na jasno świecący księżyc — jeśli to jest łotr i człowiek mądry, będzie mnie trochę kosztował, jeśli zaś cnotliwy chrześcijanin a głupi, zrobi zadarmo wszystko, czego od niego zażadam. Dalsze rozmyślenia przerwał mu powrót Quartusa, który wyszedł z budynku z drugim człowiekiem, przybranym tylko w tunikę, zwaną exomis, skrajaną w ten sposób, że prawe ramię i prawa pierś pozostawały nagie. Odzieży podobnej, jako pozostawiającej zupełną swobodę ruchów, używali szczególnie robotnicy. Chilo spojrzawszy na przybysza, odetchnął z zadowoleniem, w życiu bowiem nie widział dotąd takiego ramienia i takiej piersi. — Oto jest, panie — rzekł Quartus — brat, którego chciałeś widzieć. — Niech spokój Chrystusów będzie z tobą — ozwał się Chilo — ty zaś, Quartusie, powiedz temu bratu, czy zasługuję na wiarę i ufność, a potem wracaj w imię boże, albowiem nie trzeba, abyś sędziwego ojca zostawiał w samotności. — Jest to święty człowiek — rzekł Quartus — który oddał całe mienie, aby mnie, nieznanego sobie, wykupić z niewoli. Niechaj mu Pan nasz, Zbawiciel, zgotuje za to niebieską nagrodę. Olbrzymi robotnik, usłyszawszy to, schylił się i ucałował rękę Chilona. — Jak ci imię, bracie? — spytał Grek. — Na chrzcie świętym dano mi, ojcze, imię Urbana. — Urbanie, bracie mój, masz-li czas, aby pomówić ze mną swobodnie? — Robota nasza poczyna się o północy, a teraz gotują nam dopiero wieczerzę. — Czasu jest więc dość — pójdźmy nad rzekę, a tam wysłuchasz słów moich. Poszli i siedli na kamiennej brzeźnicy, w ciszy, przerywanej tylko przez odległy huk żaren i bełkotanie płynącej w dole fali. Tam Chilo wpatrzył się w twarz robotnika, która mimo nieco groźnego i smutnego wyrazu, jaki miewały zazwyczaj twarze barbarzyńców, zamieszkałych w Rzymie, wydała mu się jednak dobrotliwą i szczerą. — Tak jest! — rzekł sobie w duchu. — To jest człowiek dobry i głupi, który darmo zabije Glauka. Poczem spytał: — Urbanie, miłujesz ty Chrystusa? — Miłuję z duszy serca — odpowiedział robotnik. — A braci swoich? a siostry, a tych, którzy nauczyli cię prawdy i wiary w Chrystusa? — Miłuję ich także, ojcze. — Tedy niech pokój będzie z tobą. — I z tobą, ojcze. Nastąpiła znów cisza — tylko w oddaleniu huczały żarna, a w dole bełkotała rzeka. Chilo wpatrzył się w jasny blask miesięczny i wolnym, stłumionym głosem począł mówić o śmierci Chrystusa. Mówił jakby nie do Urbana, ale jakby sam dla siebie rozpamiętywał ową śmierć, lub jakby jej tajemnicę zwierzał temu uspionemu miastu. Było w tem coś wzruszającego i zarazem uroczystego. Robotnik płakał, a gdy Chilo począł jęczeć i ubolewać nad tem, że w chwili śmierci Zbawiciela nie było nikogo, kto by go bronił, jeśli nie od ukrzyżowania, to przynajmniej od zniewag żołnierzy i Żydów, olbrzymie pięści barbarzyńcy poczęły zaciskać się z żalu i tłumionej wściekłości. Śmierć wzruszała go tylko, lecz na

myśl o tej tłuszczy, szydzącej z przybitego na krzyżu Baranka, burzyła się w nim prostacza dusza i ogarniała go dzika chęć zemsty. A Chilo spytał nagle: — Urbanie, zali wiesz, kto był Judasz? — Wiem, wiem! ale on się powiesił! — zawołał robotnik. I w głosie jego był jakby żal, że zdrajca sam już wymierzył sobie karę i że nie może wpaść w jego ręce. A Chilo mówił dalej: — Gdyby się jednak nie był powiesił i gdyby który z chrześcijan spotkał go na łądzie lub na morzu, czyby nie powinien się pomścić za mękę, krew i śmierć Zbawiciela? — Ktoby się nie pomścił, ojcze! — Pokój z tobą, wierny sługo Baranka. Tak! Wolno swoje krzywdy odpuszczać, któż jednakże ma prawo odpuścić krzywdę Boga? Ale jako wąż płodzi węża, jako złość złość i jako zdrada zdradę, tak z jadu Judasza zrodził się drugi zdrajca, a jako tamten wydał Żydom i żołnierzom rzymskim Zbawiciela, tak ów, który żyje między nami, chce wydać wilkom owieczki jego i, jeśli nikt nie zapobieży zdradzie, jeśli nikt nie zetrze przed czasem głowy węża, wszystkim nas czeka zguba, a z nami razem zginie i cześć Baranka. Robotnik patrzył na niego z ogromnym niepokojem, jakby nie zdając sobie sprawy z tego, co słyszał, Grek zaś, okrywszy głowę rogiem płaszcza, począł powtarzać głosem, jakby z pod ziemi wychodzącym: — Biada wam, słudzy prawdziwego Boga, biada wam, chrześcijanie i chrześcijanki! I znów nastąpiło milczenie, znów było słychać tylko huk żaren, głuchy śpiew młynarczyków i szum rzeki. — Ojcze — spytał wreszcie robotnik — co to za zdrajca? Chilo opuścił głowę. Co to za zdrajca? Syn Judasza, syn jego jadu, który udaje chrześcijanina i chodzi do domów modlitwy dlatego tylko, by oskarżać braci przed Cezarem, że Cezara nie chcą uznawać za Boga, że zatruwają fontanny, mordują dzieci i chcą zniszczyć to miasto tak, żeby kamień na kamieniu nie został. Oto za kilka dni będzie wydany rozkaz pretorianom, by uwięzili starców, niewiasty i dzieci i powiedli ich na stracenie, tak jak posłano na śmierć niewolników Pedaniasza Sekunda. I wszystko to uczynił ów drugi Judasz. Ale jeśli pierwszego nikt nie skarał, jeśli nikt się nad nim nie pomścił, jeśli nikt nie bronił Chrystusa w godzinę męki, któż zechce tego ukarać, kto zetrze węża, zanim go Cezar wysłucha, kto go zgładzi, kto obroni przed zgubą braci i wiarę w Chrystusa? A Urban, który siedział dotąd na kamiennej cembrowinie, powstał nagle i rzekł: — Ja to uczynię, ojcze. Chilon powstał również, przez chwilę patrzył na twarz robotnika, oświeconą blaskiem księżyca, poczem, wyciągnąwszy ramię, położył zwolna dłoń na jego głowie. — Idź między chrześcijan — rzekł uroczyście — idź do domów modlitwy i pytaj braci o Glauka, lekarza, a gdy ci go wskażą, wówczas, w imię Chrystusa, zabij!.. — O Glauka?... — powtórzył robotnik, jakby chcąc utwierdzić sobie w pamięci to imię. — Znasz-li go? — Nie, nie znam. Chrześcijan jest tysiące w całym Rzymie i nie wszyscy się znają. Ale jutro w Ostrianum zbiorą się w nocy bracia i siostry, co do jednej duszy, albowiem przybył Wielki Apostoł Chrystusowy, który tam będzie nauczał, i tam bracia wskażą mi Glauka. — W Ostrianum? — spytał Chilo. — Wszak to za bramami miasta. Bracia i wszystkie siostry? w nocy? za bramami w Ostrianum? — Tak, ojcze. To jest nasz cmentarz, między Via Salaria a Nomentana. Zali ci niewiadomo, że tam będzie nauczał Wielki Apostoł? — Nie byłem dwa dni w domu, przeto nie odebrał jego listu, a nie wiedziałem, gdzie jest Ostrianum, ponieważ niedawno przybyłem tu z Koryntu, gdzie zarządzam gminą chrześcijańską... Ale tak jest! i skoro Chrystus tak cię natchnął, pójdiesz w nocy, mój synu, do Ostrianum, tam wynajdziesz między braćmi Glauka i zabijesz go w drodze powrotnej do miasta, za co będą ci odpuszczone wszystkie grzechy. A teraz pokój niech będzie z tobą... — Ojcze... — Słucham cię, sługo Baranka. Na twarzy robotnika odbiło się zakłopotanie. Oto niedawno zabił człowieka, a może i dwóch, a nauka Chrystusa zabrania zabijać. Nie zabił ich wszelako w swojej obronie, bo i tego niewolno! Nie zabił, Chryste uchowaj dla zysku... Biskup sam mu dał braci do pomocy, ale zabijać nie pozwolił, on zaś niechcący zabił, bo Bóg pokarał go siłą zbyt wielką... I teraz ciężko pokutuje... Inni śpiewają przy żarnach, a on nieszczęsny myśli o swoim grzechu, o obrazie Baranka... Ile się już namodlił, napłakał! ile Baranka

naprzepraszają! i czuje dotąd, że nie odpokutował dosyć... A teraz znów przyrzekł zabić zdrajcę... I dobrze! Własne tylko krzywdy wolno przebaczać, więc zabije go, choćby w oczach wszystkich braci i sióstr, które jutro będą w Ostrianum. Ale niech Glaukus będzie wprzód skazany przez starszych między bracią, przez biskupa albo przez Apostoła. Zabić niewielka rzecz, a zabić zdrajcę to nawet i miło, jak zabić wilka lub niedźwiedzia, ale nużby Glaukus zginął niewinnie? Jakże brać na sumienie nowe zabójstwo, nowy grzech i nową obrazę Baranka? — Na sąd niema czasu, mój synu — odrzekł Chilon, albowiem zdrajca prosto z Ostrianum podąży do Cezara, do Antium, lub schroni się w domu pewnego patrycyusza, na którego jest usługach, ale oto dam ci znak, który, gdy pokażesz po zabiciu Glaukusa, i biskup, i Wielki Apostoł pobłogosławią twój uczynek. To rzekłszy, wydobył pieniążek, poczem jął szukać za pasem noża, a znalazłszy go wyskrobał na sestercyi ostrzem znak krzyża i podał ją robotnikowi. — Oto wyrok na Glauka i znak dla ciebie. Gdy go, po zglądzeniu Glauka, pokażesz biskupowi, odpuści ci i tamto zabójstwo, któregoś się niechcący dopuścił. Robotnik wyciągnął mimowoli rękę po pieniąż, ale, mając właśnie zbyt świeżo w pamięci pierwsze zabójstwo, doznał jakby uczucia przestachu. — Ojczy — rzekł prawie błagalnym głosem — zali bierzesz na sumienie ten uczynek i zali sam słyszałeś Glaukusa zaprzędającego braci? Chilo zrozumiał, że trzeba dać jakieś dowody, wymienić jakieś nazwiska, albowiem inaczej w serce olbrzyma może się wkraść wątpliwość. I nagle szczęśliwa myśl zaświtała mu w głowie. — Słuchaj, Urbanie — rzekł — mieszkam w Koryncie, ale pochodzę z Kos i tu, w Rzymie, uczę nauki Chrystusa pewną służebną dziewczynę z mojego kraju, której imię jest Eunice. Służy ona, jako „vestiplica“, w domu przyjaciela Cezara, niejakiego Petroniusza. Otóż w tym domu słyszałem, jak Glaukus podejmował się wydać wszystkich chrześcijan, a oprócz tego obiecywał innemu zausznikowi cesarskiemu, Viniciuszowi, że odnajdzie mu między chrześcijanami dziewicę... Tu przerwał i spojrzął ze zdumieniem na robotnika, którego oczy zaświeciły nagle, jak oczy zwierza, a twarz przybrała wyraz dzikiego gniewu i groźby. — Co tobie jest? — zapytał prawie z przestachem. — Nic, ojczy. Zabiję jutro Glauka!.. Lecz Grek umilkł; po chwili, wzięwszy za ramiona robotnika, zwrócił go tak, aby światło księżyca padało wprost na jego twarz i począł mu się przypatrywać uważnie. Widocznem było, że w duszy wahał się, czy go pytać dalej i wydobyć wszystko na jaw, czy tu na razie poprzestać na tem, czego się dowiedział lub domyślił. W końcu jednak wrodzona mu ostrożność przemogła. Odetchnął głęboko raz i drugi, poczem, położywszy znów dłoń na głowie robotnika, spytał uroczystym, dobitnym głosem: — Wszakże na chrzcie świętym dano ci imię Urbana? — Tak jest, ojczy. — A zatem niech pokój będzie z tobą, Urbanie.

ROZDZIAŁ XVIII.

Petroniusz do Viniciusza: „Źle z tobą, carissime! Wenus widocznie pomieszała ci zmysły, odjęła rozum, pamięć i dar myślenia o czemkolwiek innem, jak miłość. Odczytaj kiedyś to, coś mi na mój list odpowiedział, a poznasz, jak twój umysł zubożył teraz na wszystko, co nie jest Lygią, jak nią się tylko zajmuje, do niej ustawicznie wraca i krąży nad nią, niby jastrząb nad upatrzonym łupem. Na Polluksa! znajdź-że ją prędzej; inaczej, o ile cię ogień w popiół nie obróci, zmienisz się w egipskiego Sfinksa, który zakochawszy się, jak mówią, w bladej Izys, stał się na wszystko głuchy, obojętny i czeka tylko nocy, aby mógł wpatrywać się w kochankę kamiennymi oczyma. Przebiegaj sobie wieczorami miasto w przebraniu, uczęszczaj nawet wraz z twoim filozofem do chrześcijańskich domów modlitwy. Wszystko, co budzi nadzieję i zabija czas, jest godnem pochwały. Ale, dla mojej przyjaźni, uczynź rzecz jedną: oto, ów Ursus, niewolnik Lygii, jest podobno człowiekiem siły niezwykłej, najmij więc sobie Krotona i przedsięwierzcie we trzech wyprawę. Tak będzie bezpieczniej i rozumniej. Chrześcijanie, skoro do nich należy Pomponia Graecina i Lygia, nie są zapewne takimi łotrami, za jakich mają ich powszechnie, dali jednak przy porwaniu Lygii dowód,

że gdy chodzi o jaką owieczkę z ich stada, umieją nie żartować. Gdy ujrzysz Lygię, wiem, że się wstrzymać nie zdołasz i zechcesz ją uprowadzić natychmiast, jakże zaś tego z samym Chilonidesem dokonasz? A Kroto da sobie rady, choćby jej dziesięciu takich, jak ów Ursus, Lygów bronilo. Nie daj się wyzyskiwać Chilonowi, lecz na Krotona pieniędzy nie żałuj. Ze wszystkich rad, jakie ci mogę przesłać, ta jest najlepszą. Tu już przestali mówić o małej Augustie i o tem, że z czarów umarła. Wspomina jeszcze czasem o nich Poppea, ale Cezara umysł zaprzątnięty jest czem innym; zresztą, jeśli prawda, że diva Augusta jest znów w stanie odmiennym, to i w niej pamięć tamtego dziecka rozwieje się bez śladu. Jesteśmy już od dni kilkunastu w Neapolis, a raczej w Baiae. Gdybyś był zdolny do myślenia o czemkolwiek, to echa naszego tu pobytu musiałyby się odbić o twe uszy, albowiem cały Rzym nie mówi zapewne o czem innym. Zajechaliśmy tedy wprost do Baiae, gdzie naprzód opadły nas wspomnienia matki i wyrzuty sumienia. Ale czy wiesz, do czego Ahenobarbus już doszedł? Oto, że nawet zabójstwo matki jest dla niego tylko tematem do wierszy i powodem do odegrywania błazeńsko-tragicznych scen. On czuł dawniej prawdziwe wyrzuty o tyle jedynie, o ile jest tchórzem. Teraz, gdy się przekonał, że świat jest, jak był, pod jego stopami, a żaden bóg nie pomścił się nad nim, udaje je tylko, aby wzruszać ludzi swym losem. Czasem zrywa się po nocach, twierdząc, że go ścigają Furye, budzi nas, spogląda za siebie, przybiera postawę komedyanta, grającego rolę Oresta, i to lichego komedyanta, deklamuje greckie wiersze i patrzy, czy go podziwiamy. A my, oczywiście, podziwiamy! i zamiast powiedzieć mu: idź spać, błaznie! nastrajamy się także na ton tragedyi i bronimy wielkiego artysty od Furyi. Na Kastora! musiało cię dojść przynajmniej to, że wystąpił już publicznie w Neapolis. Spędzono wszystkich greckich drapichrustów z Neapolis i miast okolicznych, którzy napełnili arenę tak nieprzyjemnymi wyziewami czosnku i potu, iż dziękowałem bogom, że zamiast siedzieć w pierwszych rzędach między augustianami, byłem z Ahenobarbem za sceną. I czy dasz wiarę, że się bał? Bał się naprawdę! Brał moją rękę i przykładął ją sobie do serca, które biło rzeczywiście przyspieszonym tętnem. Oddech miał krótki, a w chwili, gdy trzeba było wychodzić, pobladł, jak pergamin i czoło pokryło mu się kroplami potu. A przecie wiedział, że po wszystkich rzędach siedzą gotowi pretorianie, zbrojni w kije, którymi w razie potrzeby mieli podniecać zapal. Ale potrzeby nie było. Żadne stado małp z okolic Kartaginy nie potrafi tak wyć, jak wyła owa hołota. Mówię ci, że zapach czosnku dolatywał aż na scenę, Nero zaś klaniał się, przyciskał ręce do serca, posyłał od ust pocałunki i płakał. Potem wpadł między nas, którzyśmy czekali za sceną, jak spity, wołając: „czemże są wszystkie tryumfy wobec tego mego tryumfu?“ A tam hołota ciągle jeszcze wyła i klaskała, wiedząc, że wyklaskuje sobie łaskę, dary, biesiadę, bilety loteryjne i nowe widowisko z Cezara-błazna. Ja im się nawet nie dziwię, że klaskali, bo tego dotąd nie widziano. On zaś powtarzał co chwila: „Oto, co są Grecy! Oto, co są Grecy!“ I zdaje mi się, że od tej chwili jego nienawiść do Rzymu wzmogła się jeszcze. Swoją drogą, do Rzymu wysłani zostali umyślni gońce z doniesieniem o tryumfie i spodziewamy się w tych dniach dziękczynień senatu. Zaraz po pierwszym wystąpieniu Nerona zaszedł tu dziwny przypadek. Oto teatr zawalił się nagle, ale wówczas, gdy ludzie już byli wyszli. Byłem na miejscu wypadku i nie widziałem, by wydobyto choć jednego trupa z pod gruzów. Wielu, nawet między Grekami, patrzy na to, jak na gniew bogów za sponiewieranie cesarskiej władzy, ale on, przeciwnie, twierdzi, iż to jest łaska bogów, którzy mają w widocznej opiece jego śpiew i tych, którzy go słuchają. Stąd ofiary po wszystkich świątyniach i wielkie dziękczynienia, dla niego zaś nowa zachęta do podróży do Achai. Przed kilku dniami mówił mi jednak, że boi się, co na to powie lud rzymski i czy się nie wzburzy, tak z miłości dla niego, jak z obawy o rozdawnictwo zboża i igrzyska, któreby go mogły w razie dłuższej nieobecności Cezara ominąć. „Jedziemy jednak do Benewentu oglądać szewckie przepychy, z którymi się popisie Vatiniusz, a stamtąd, pod opieką boskich braci Heleny, do Grecyi. Co do mnie,

zauważyłem jedną rzecz, że gdy się jest między szalonymi, staje się także szalonym, a co więcej, znajduje się pewien urok w szaleństwach. Grecya i podróż w tysiąc cytr, jakiś tryumfalny pochód Baccha, wśród uwieńczonych w zieleń mirtową, w liście winogrodu i w wiciokrzew nimf i bachantek, wozy zaprzężone w tygrysy, kwiaty, tyrsy, wieńce, okrzyki: ewoe! muzyka, poezja i Hellada klaszcząca, wszystko dobrze, ale my tu żywimy jeszcze śmielsze zamysły. Chce nam się stworzyć jakieś wschodnie bajeczne imperium, państwo palm, słońca, poezyi i zmienionej w sen rzeczywistości i zmienionego w jedną rozkosz życia. Chce nam się zapomnieć o Rzymie, a wagę świata umieścić gdzieś między Grecyą, Azyą i Egiptem, żyć życiem nie ludzi, ale bogów, nie znać, co to powszedniość, błąkać się w złotych galerach pod cieniem purpurowych żagli po Archipelagu, być Apollinem, Ozyrysem i Baalem w jednej osobie, różowieć z zorzą, złocić się ze słońcem, srebrzyć z księżycem, władać, śpiewać, śnić... I czy uwierzysz, że ja, który mam jeszcze za sestercyę rozsądku, a za asa sądu, daję się jednak porywać tym fantazyom, a daję się porywać dlatego, że jeśli są niemożliwe, to są przynajmniej wielkie i niezwykle... Takie imperium bajeczne byłoby jednak czemś, co kiedyś, kiedyś, po długich wiekach, wydałoby się ludziom snem. O ile Wenus nie przybierze na się postaci takiej Lygii lub chociaż takiej niewolnicy, jak Eunice i o ile nie przyozdobi go sztuka, to życie samo jest czcze i częstokroć miewa twarz małpy. Ale Miedzianobrody nie urzeczywistni swych pomysłów, choćby dlatego, że w owem bajecznem królestwie poezyi i Wschodu nie powinno być miejsca na zdrady, podłości i śmierć, a w nim pod pozorami poety siedzi lichy komedyant, głupowaty furman i płaski tyran. Jakoż tymczasem dusimy ludzi, gdy nam w jakikolwiek sposób zawadzą. Biedny Torquatus Silanus jest już cieniem. Otworzył sobie żyły kilka dni temu. Lecanius i Licinius ze strachem przyjmują konsulat, stary Trazeasz nie ujdzie śmierci, albowiem śmie być uczciwym. Tigellinus nie może dotąd wyrobić dla mnie rozkazu, bym sobie żyły otworzył. Potrzebny jestem jeszcze, nietylko jako elegantiae arbiter, ale jako człowiek, bez którego rad i smaku wycieczka do Achai mogłaby się nie udać. Nieraz jednak myślę, że prędzej później musi się na tem skończyć i wiesz-li, o co mi wówczas chodzi: oto, aby Miedzianobrody nie dostał tej mojej czary myrreńskiej, którą znasz i podziwiasz. Jeśli w chwili mej śmierci będziesz przy mnie, to ci ją oddam, jeśli będziesz daleko, to ją rozbiję. Ale tymczasem mamy przed sobą jeszcze szewcki Benewent, olimpijską Grecyę i Fatum, które nieznaną i nieprzewidzianą wytyka każdemu drogę. Bądź zdrów i najmij Krotona, inaczej po raz drugi wydrą ci Lygię. Chilonidesa, gdy ci przestanie być potrzebny, przyślij mi, gdziekolwiek będę. Może uczynię z niego drugiego Vatiniusza i może konsularni męże i senatorowie będą jeszcze drżeli przed nim, jak drżą przed tamtym rycerzem Dratewką. Wartoby się doczekać takiego widowiska. Gdy odzyskasz Lygię, daj mi znać, abym ofiarował za was parę łabędzi i parę gołębi w tutejszej okrągłej świątyni Wenery. Widziałem kiedyś we śnie Lygię, na twoich kolanach, szukającą twych pocałunków. Postaraj się, by to był sen wróżebny. Niech na twem niebie nie będzie chmur, a jeśli będą, to niech mają kolor i zapach róży. Bądź zdrów i żegnaj!“

ROZDZIAŁ XIX.

Zaledwie Viniciusz skończył czytać, gdy do biblioteki wsunął się cicho niezapowiedziany przez nikogo Chilon, służba bowiem miała rozkaz puszczać go o każdej godzinie dnia i nocy. — Niech boska matka twego wielkodusznego przodka, Eneasza — rzekł — będzie na cię tak łaskawą, panie, jako na mnie był łaskawym boski syn Mai. — To się znaczy... — spytał Viniciusz, zrywając się od stołu, przy którym siedział. A Chilo podniósł głowę i rzekł: — Eureka! Młody patrycyusz wzruszył się tak, że przez dłuższy czas nie mógł słowa przemówić. — Widziałeś ją? — spytał nareszcie. — Widziałem Ursusa, panie i mówiłem z nim. — I wiesz, gdzie się skryli? — Nie, panie. Inny byłby przez samą miłość własną dał poznać Lygowi, że odgadł, kto on jest, inny starałby się wybadać go, gdzie mieszka i byłby albo otrzymał uderzenie pięścią, po którym wszystkie ziemskie sprawy stałyby

się mu obojętne, albo wzbudziłyby nieufność olbrzyma i sprawił to, że dla dziewicy poszukanoby może jeszcze tej nocy innej kryjówki. Jam tego nie uczynił, panie. Dość mi wiedzieć, że Ursus pracuje u młynarza koło Emporium, który zowie się Demas, tak jak twój wyzwoleniec, a dość mi, dlatego, że teraz pierwszy lepszy zaufany twój niewolnik może rano pójść jego śladem i wysledzić ich kryjówkę. Ja przynoszę ci tylko pewność, panie, że skoro Ursus się tu znajduje, to i boska Lygia jest w Rzymie i drugą wiadomość, że dzisiejszej nocy będzie niemal napewno w Ostrianum... — W Ostrianum? Gdzie to jest? — przerwał Viniciusz, chcąc widocznie biedz zaraz na wskazane miejsce. — Stare hypogeum między via Salaria a Nomentana. Ów pontifex maximus chrześcijan, o którym wspominałem ci panie, a którego spodziewano się znacznie później, przyjechał już i dziś w nocy będzie chrzczył i nauczał na tym cmentarzu. Oni kryją się ze swoją nauką, bo jakkolwiek niema dotąd żadnych edyktów, któreby jej wzbraniały, ludność ich nienawidzi, więc muszą być ostrożni. Sam Ursus mówił mi, że wszyscy, co do jednej duszy, zgromadzą się dziś w Ostrianum, każdy bowiem chce widzieć i słyszeć tego, który był pierwszym uczniem Chrystusa i którego oni zowią Wysłannikiem. Ze zaś u nich niewiasty narówni z mężami słuchają nauk, przeto z niewiast nie będzie może jedna Pomponia, ta bowiem nie mogłaby się usprawiedliwić przed Aulusem, czcicielem dawnych bogów, dlatego nocą opuszcza dom, Lygia jednak, o panie, która zostaje pod opieką Ursusa i starszych gminy, pójdzie wraz z innemi niewiastami niewątpliwie. Viniciusz, który żył dotąd jakby w gorączce, podtrzymywany jedynie nadzieją, teraz, gdy ta nadzieja zdawała się spełniać, uczuł nagle takie osłabienie, jakie odczuwa człowiek po podróży nad siły, u celu. Chilo zauważył to i postanowił z tego korzystać: — Bramy są wprawdzie strzeżone przez twoich ludzi, panie, i chrześcijanie muszą o tem wiedzieć. Ale oni nie potrzebują bram. Tyber także ich nie potrzebuje, a choć od rzeki do tamtych dróg daleko, warto nadłożyć drogi dla widzenia „Wielkiego apostoła“. Zresztą oni mieć mogą tysiączne sposoby wydostania się za mury i wiem, że je mają. W Ostrianum znajdziesz, panie, Lygię, a gdyby nawet, czego nie przypuszczam, jej nie było, będzie Ursus, albowiem ten przyrzekł mi zamordować Glauka. Sam mi mówił, że będzie i tam go zamorduje, słyszysz, szlachetny trybunie? Otóż, albo pójdiesz w ślad za nim i dowiesz się, gdzie Lygia mieszka, albo każesz go schwytać swoim ludzom, jako mordercę i mając go w ręku, wydobędziesz z niego wyznanie, gdzie ukrył Lygię. Ja swoje zrobiłem! Inny, o panie, powiedziałby ci, że wypił z Ursusem dziesięć kantarów najprzedniejszego wina, zanim tajemnicę z niego wydobył; inny powiedziałby ci, że przegrał do niego tysiąc sestercyi w scriptae duodecim, lub że za dwa tysiące kupił wiadomość... Wiem, że wróciłbyś mi to podwójnie, ale mimo tego, raz w życiu... to jest, chciałem powiedzieć: jak zawsze w życiu, będę uczciwym, tuszę bowiem, że jak mówił wielkoduszny Petroniusz, wszelkie moje wydatki i nadzieje, twoja wspaniałomyślność przewyższy. Lecz Viniciusz, który był żołnierzem i przywykł nie tylko radzić sobie wobec wszelkich zdarzeń, ale i działać, wnet opanował chwilową słabość i rzekł: — Nie zawiedziesz się na mojej wspaniałomyślności, pierwej jednak pójdiesz ze mną do Ostrianum. — Ja, do Ostrianum? — pytał Chilo, który nie miał najmniejszej chęci tam iść. Ja, szlachetny trybunie, obiecałem ci wskazać Lygię, ale nie przyrzekłem jej porwać... Pomyśl, panie, co by się ze mną stało, gdyby ten niedźwiedź lygijski, rozdarłszy Glauka, przekonał się jednocześnie, że nie całkiem słusznie go rozdarł? Czy nie poczytałby mnie (zresztą niesłusznie) za sprawcę spełnionego morderstwa? Pamiętaj, panie, że im kto większym jest filozofem, tem mu trudniej odpowiadać na głupie pytania prostaków, cóżbym mu więc odpowiedział, gdyby mnie spytał, dlaczego oskarżył Glauka, lekarza? Jeśli jednak posądzasz mnie, że cię zwodzę, tedy ci powiem: zapłać mi wówczas dopiero, gdy ci wskażę dom, w którym mieszka Lygia, dziś okaż mi zaś tylko cząstkę twojej szczodroblewości, abym, gdybyś i ty, o panie (czego niech wszystkie bogi bronią), miał uledz jakiemu wypadkowi, nie pozostał całkiem bez nagrody. Serce twoje nie zniosłoby tego nigdy.

Viniciusz poszedł do skrzyni, stojącej na marmurowym podnożu, zwanej „arca“ i wydobywszy z niej kieskę, cisnął ją Chilonowi. — To są „scrupula“ — rzekł — gdy Lygia będzie u mnie w domu, dostaniesz taką samą, napełnioną aureusami. — Jowiszu!! — zawołał Chilon. Lecz Viniciusz zmarszczył brwi. — Tu dostaniesz jeść, poczem możesz odpocząć. Do wieczora nie ruszysz się stąd, gdy zaś noc zapadnie, będziesz mi towarzyszył do Ostrianum. Na twarzy Greka odbiły się przez chwilę strach i wahanie, poczem jednak uspokoił się i rzekł: — Któż ci się oprze, panie! Przyjmij te słowa za dobrą wróżbę, tak jak przyjął podobne wielki nasz bohater w świątyni Ammona. Co do mnie, te „skrupuły“ (tu potrząsnął kieską) przeważały moje, nie mówiąc już o twym towarzystwie, które dla mnie jest szczęściem i rozkoszą... Lecz Viniciusz przerwał mu niecierpliwie i począł wypytywać o szczegóły rozmowy z Ursusem. Jedna rzecz wykazywała się z nich jasno: to jest, że albo schronienie Lygii zostanie jeszcze tej nocy wykrytem, albo ją samą można będzie porwać w czasie drogi powrotnej z Ostrianum. I na tę myśl Viniciusza porywała szalona radość. Teraz, gdy miał niemal pewność, że Lygię odzyska i gniew przeciw niej i uraza, jaką dla niej żywił, znikły. Za tę właśnie radość darowywał jej wszystkie winy. Myślał tylko o niej, jak o drogiej i pożądanej istocie, i miał takie wrażenie, jakby po długiej podróży miała wrócić. Brała go ochota zwołać niewolników i kazać im przybrać dom w girlandy. Nie miał w tej chwili żalu nawet do Ursusa. Gotów był wszystko wszystkim przebaczyć. Chilo, do którego dotychczas, mimo jego usług, czuł pewien wstręt, po raz pierwszy wydał mu się człowiekiem zabawnym i zarazem niepospolitym. Rozjaśnił mu się dom, rozjaśniły się oczy i rozjaśniła twarz. Począł nanowo czuć młodość i rozkosz życia. Dawniejsze ponure cierpienie nie dało mu jeszcze dostatecznej miary, jak Lygię pokochał. Zrozumiał to dopiero teraz, gdy spodziewał się ją mieć. Pragnienie jej budziło się w nim, jak na wiosnę budzi się ziemia, przygrzana słońcem, ale żądze jego były obecnie jakby mniej ślepe i dzikie, a więcej radosne i tkliwe. Czuł też w sobie energię bez granic i był przekonany, że gdy tylko zobaczy Lygię własnymi oczyma, wówczas nie odbiorą mu już jej wszyscy chrześcijanie całego świata, ani nawet sam Cezar. Chilon jednakże, ośmielony jego radością, zabrał głos i począł dawać rady: Według niego, należało sprawy nie uważać jeszcze za wygraną i zachować jak największą ostrożność, bez której całe dzieło może pójść na nic. Zaklinał też Viniciusza, by nie porywał Lygii z Ostrianum. Powinni tam pójść w kapturach na głowach, z twarzami przysłoniętymi i poprzestać na przypatrywaniu się z jakiego mrocznego kąta wszystkim obecnym. Dopiero gdy ujrzą Lygię, najbezpieczniej będzie pójść za nią zdaleka, obaczyć, do którego domu wchodzi, a nazajutrz, o świcie, otoczyć go wielką siłą niewolników i zabrać ją w biały dzień. Ponieważ jest ona zakładniczką i należy właściwie do Cezara, zatem można to uczynić bez obawy prawa. W razie, gdyby jej nie znaleźli w Ostrianum, pójdą za Ursusem i skutek będzie ten sam. Na cmentarz z wielką liczbą ludzi udawać się nie można, łatwo bowiem mogliby zwrócić na siebie uwagę, a wówczas chrześcijanie potrzebowaliby tylko pogasić wszystkie światła, tak, jak to uczynili przy pierwszym porwaniu, i rozproszyć się lub pochować w ciemnościach, w kryjówkach, im tylko znanych. Natomiast trzeba się uzbroić, a jeszcze lepiej wziąć ze sobą ze dwóch ludzi pewnych i silnych, aby w danym razie mieć w nich obronę. Viniciusz przyznawał mu słusność zupełną i wspomniawszy zarazem na rady Petroniusza, wydał rozkaz niewolnikom, aby sprowadzili do niego Krotona. Chilo, który wszystkich znał w Rzymie, uspokoił się znacznie, słysząc nazwisko znanego atlety, którego nadludzką siłą podziwiał niejednokrotnie na arenie i oświadczył, że do Ostrianum pójdzie. Kieska, napełniona wielkimi aureusami, wydawała mu się przy pomocy Krotona o wiele łatwiejszą do zdobycia. Zasiadł więc z dobrą myślą do stołu, do którego wezwał go po jakimś czasie przełożony nad atrium i w czasie jedzenia opowiadał niewolnikom, jako dostarczył ich panu cudownej maści, którą dość posmarować kopyta najlichszym koniom, aby pozostawiły daleko za sobą wszystkie inne. Nauczył go przyrządzać

tę maść pewien chrześcijanin, albowiem starsi chrześcijańscy daleko lepiej rozumieją się na czarach i cudach, niż nawet Tesalczycy, chociaż Tesalia słynie ze swoich czarownic. Chrześcijanie mają do niego ufność ogromną, dlatego zaś ją mają, domyśli się łatwo każdy, kto wie, co znaczy ryba. Tak rozmawiając, patrzył pilnie w twarze niewolników, w nadziei, że może odkryje między nimi chrześcijanina i doniesie o nim Viniciuszowi. Gdy jednak ta nadzieja go zawiodła, począł jeść i pić nadzwyczaj obficie, nie szczędząc pochwał kucharzowi i zapewniając, że postara się go od Viniciusza odkupić. Wesołość jego mąciła jedynie myśl, że nocą trzeba będzie pójść do Ostrianum, pocieszał się jednak, że to będzie w przebraniu, pociemku i w towarzystwie dwóch ludzi, z których jeden jest, jako siłacz, bożyszczem całego Rzymu, drugi patrycyuszem i wysokim urzędnikiem wojskowym. „Choćby Viniciusza i odkryli — mówił sobie — nie ośmielą się podnieść na niego ręki, co do mnie zaś, będą mądrzy, jeśli zobaczą choć koniec mego nosa“. Poczem jał sobie przypominać rozmowę z robotnikiem i rozpamiętywanie to nową napełniło go otuchą. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że ów robotnik był Ursusem. Wiedział z opowiadań Viniciusza i tych, którzy przeprowadzali Lygię z pałacu Cezara, o niezwykłej sile tego człowieka. Otóż, ponieważ u Euriciusza wypytywał o ludzi wyjątkowo silnych, nie było nic dziwnego, że wskazano mu Ursusa. Potem zmieszanie i wzburzenie robotnika na wzmiankę o Viniciuszu i Lygii nie pozwalało wątpić, że osoby te szczególnie go obchodzą; robotnik wspominał także o pokucie za zabicie człowieka, Ursus zaś zabił Attacina; nakoniec rysopis robotnika odpowiadał zupełnie temu, co Viniciusz opowiadał o Lygu. Jedno tylko zmienione imię mogło wzbudzać wątpliwość, lecz Chilo już wiedział, że chrześcijanie często przy chrzcie przyjmują nowe imiona. — Jeśli Ursus zabije Glauka — mówił sobie Chilo — to będzie jeszcze lepiej, jeśli zaś nie zabije, to także będzie dobry znak, pokaże się bowiem, z jaką trudnością przychodzi chrześcijanom zabójstwo. Przedstawiłem przecie tego Glauka, jako rodzzonego syna Judasza i zdrajcę wszystkich chrześcijan; byłem tak wymowny, że kamieńby się wzruszył i obiecałby spaść na głowę Glaukowi, a jednak ledwie nakłonił tego lygijskiego niedźwiedzia, by mi przyrzekł położyć na nim łapę... Wahał się, nie chciał, opowiadał o swoim żalu i pokucie. Widocznie między nimi to nie uchodzi... Swoje krzywdy trzeba przebaczać, za cudze niebardzo wolno się mścić, ergo, zastanów się, Chilonie, cóż ci może grozić? Glaukusowi niewolno się nad tobą pomścić... Ursus, jeśli nie zabije Glauka za tak wielką winę, jak zdrada wszystkich chrześcijan, to tembardziej nie zabije ciebie za tak małą, jak zdrada jednego chrześcijanina. Zresztą, gdy raz wskażę temu jurnemu grzywaczowi gniazdo tamtej turkawki, umywam ręce od wszystkiego i przenoszę się napowrót do Neapolis. Chrześcijanie mówią także o jakimś umywaniu rąk, jest to więc widocznie sposób, w który, jeśli się ma z nimi sprawę, można ją ostatecznie zakończyć. Jacys dobrzy ludzie, ci chrześcijanie, a tak źle o nich mówią! O bogowie! taka to sprawiedliwość na świecie. Lubię jednak tę naukę za to, że nie pozwala zabijać. Ale jeśli nie pozwala zabijać, to nie pozwala zapewne ani kraść, ani oszukiwać, ani fałszywie świadczyć, a zatem nie powiem, żeby była łatwą. Uczy ona widocznie nie tylko uczciwie umierać, jak uczą stoicy, ale i uczciwie żyć. Jeśli kiedy dojdę do majątku i będę miał taki dom, jak ten i tylu niewolników, to może zostanę chrześcijaninem na tak długo, jak mi to będzie na rękę. Bo bogaty może sobie na wszystko pozwolić, nawet na cnotę... Tak!! to jest religia dla bogatych i dlatego nie rozumiem, jakim sposobem jest między nimi tylu biednych. Co im z tego przyjdzie i dlaczego pozwalają cnotę zawiązywać sobie ręce? Muszę się kiedyś nad tem zastanowić. Tymczasem chwała ci, Hermesie, żeś mi pomógł odnaleźć tego borsuka... Ale jeśliś to uczynił dla dwóch jałówek, białych jednolatek z pozłocnymi rogami, to cię nie poznaję. Wstydz się, Argobójco! taki mądry bóg, żeby też z góry nie przewidział, że nic nie dostanie! Ofiaruję ci za to moją wdzięczność, a jeśli wolisz od mojej wdzięczności dwoje bydła, tedy sam jesteś trzecim i w najlepszym razie powinienes być pastuchem, nie bogiem. Strzeż się także,

żebym jako filozof, nie dowiódł ludziom, że cię niema, bo wówczas wszyscyby ci przestali składać ofiary. Z filozofami lepiej być dobrze. Tak rozmawiając ze sobą i z Hermesem, wyciągnął się na ławie, podłożył sobie płaszcz pod głowę i gdy niewolnicy sprzątnęli naczynia, zasnął. Zbudził się dopiero, a raczej zbudzono go, gdy nadszedł Kroto. Wówczas udał się do atrium i z przyjemnością począł przyglądać się potężnej postaci lanisty, eks-gladyatora, która swym ogromem zdawała się wypełniać całe atrium. Kroto już był się ułożył o cenę wyprawy i mówił właśnie Viniciuszowi: — Na Herkulesa! dobrze, panie, żeś się dziś do mnie zgłosił, albowiem jutro udaję się do Benewentu, dokąd wezwał mnie szlachetny Vatiniusz, abym się tam wobec Cezara próbował z niejakim Syphaksem, najsilniejszym Negrem, jakiego wydała kiedykolwiek Afryka. Czy wyobrażasz sobie, panie, jak jego kość pacierzowa chrupnie w moich ramionach, ale prócz tego strzaskam mu pięścią jego czarną szczękę. — Na Polluksa! — odpowiedział Viniciusz. — Jestem pewien, że tak uczynisz, Krotonie. — I wyśmienicie postąpisz — dodał Chilo. — Tak!.. Prócz tego, strzaskaj mu szczękę! To dobra myśl i godny ciebie czyn. Gotów jestem założyć się, że mu strzaskasz szczękę. Posmaruj jednak tymczasem członki oliwą, mój Herkulesie i przepasz się, albowiem wiedz o tem, iż z prawdziwym Kakusem możesz mieć sprawę. Człowiek, co strzeże tej dziewicy, o którą chodzi dostojnemu Viniciuszowi, posiada podobno wyjątkową siłę. Chilo mówił tak tylko dla podniecenia ambicy Krotona, lecz Viniciusz rzekł: — Tak jest, nie widziałem tego, ale mówiono mi o nim, że byka chwyciwszy za rogi, może go zawlec, dokąd chce. — Oj! — zawołał Chilo, który nie wyobrażał sobie, by Ursus był tak silnym. Lecz Kroto uśmiechnął się pogardliwie. — Podejmuję się, dostojny panie — rzekł — porwać tą oto ręką, kogo mi każesz, a tą drugą obronić się przeciw siedmiu takim Lygom i przynieść ci dziewicę do domu, choćby wszyscy chrześcijanie z Rzymu gonili za mną, jak kalabryjskie wilki. Jeśli tego nie dokażę, pozwolę sobie dać batogi na tem impluwium. — Nie pozwól mu na to, panie! — zawołał Chilo. — Poczną w nas godzić kamieniami, a wówczas co jego siła pomoże? Czyż nie lepiej zabrać dziewicę z domu i nie narażać ani jej, ani siebie na zgubę? — Tak ma być, Krotonie — rzekł Viniciusz. — Twoje pieniądze, twoja wola! Pamiętaj tylko, panie, że jutro jadę do Benewentu. — Mam pięciuset niewolników w samem mieście — odpowiedział Viniciusz. Poczem dał im znak, by odeszli, sam zaś udał się do biblioteki i siadłszy, napisał do Petroniusza następujące słowa: „Chilon odnalazł Lygię. Dziś wieczór udaję się z nim i z Krotonem do Ostrianum i porwę ją zaraz lub jutro z domu. Niech bogowie zleją na cię wszelkie pomyślności. Bądź zdrów, carissime, gdyż radość nie pozwala mi pisać dłużej“. I złożywszy trzcinę, począł przechadzać się szybkim krokiem, albowiem prócz radości, która zalewała mu duszę, trawiła go gorączka. Mówił sobie, że nazajutrz Lygia będzie w tym domu. Nie wiedział, jak z nią postąpi, czuł jednak, że jeśli go zechce kochać, to będzie jej sługą. Przypominał sobie upewnienia Akte, że był kochanym i wzruszał się do głębi. Więc będzie chodziło tylko o przewyciężenie jakiegoś dziewiczego wstydu i jakichś ślubów, które widocznie nauka chrześcijańska nakazuje? Ale jeśli tak, to, gdy Lygia raz będzie w jego domu i ulegnie namowie lub przemocy, wówczas musi powiedzieć sobie: „stało się!“ i następnie będzie już powolną i kochającą. Lecz wejście Chilona przerwało mu bieg tych błogich myśli. — Panie — rzekł Grek — oto co mi jeszcze przyszło do głowy: nuż chrześcijanie mają jakoweś znaki, jakoweś „tessery“, bez których nikt nie będzie dopuszczony do Ostrianum? Wiem, że w domach modlitwy tak bywa i że takową tesserę dostałem od Euriciusza; pozwól mi więc pójść do niego, panie, rozpytać dokładnie i zaopatrzyć się w owe znaki, jeśli okażą się konieczne. — Dobrze, szlachetny mędrce — odpowiedział wesoło Viniciusz — mówisz, jak człek przezorny i należy ci się za to pochwała. Pójdiesz więc do Euriciusza lub gdzie ci się podoba, ale dla pewności zostawisz na tym oto stole tę sakiewkę, którą dostałeś. Chilo, który zawsze niechętnie rozstawał się z pieniędzmi, skrzywił się, jednakże uczynił zadość rozkazowi i wyszedł. Z Karyn do Cyrku, przy którym leżał

sklepik Euriciusza, nie była zbyt daleko, dlatego też wrócił znacznie jeszcze przed wieczorem. — Oto są znaki, panie. Bez nich nie puszczonebys nas. Rozpytałem się też dobrze o drogę, a zarazem powiedziałem Euriciuszowi, że potrzebuję znaków tylko dla moich przyjaciół, sam zaś nie pójdę, bo to dla mnie starego zadaleko i wreszcie, że jutro zobaczę Wielkiego Apostoła, który mi powtórzy najpiękniejsze ustępy ze swego przemówienia. — Jaktó: nie będziesz? Musisz iść! — rzekł Viniciusz. — Wiem, że muszę, ale pójdę dobrze zakapturzony, i wam radzę toż samo uczynić, inaczej możemy spłoszyć ptaki. Jakoż niebawem poczęli się zbierać, albowiem mrok czynił się na świecie. Wzięli gallijskie płaszcze z kapturami, wzięli latarki; Viniciusz uzbroił nadto siebie i towarzyszków w krótkie zakrzywione noże, Chilo zaś wdział perukę, w którą się po drodze od Euriciusza zaopatrzył i wyszli, śpiesząc się, by do odległej bramy Nomentańskiej dojść przed jej zamknięciem.

ROZDZIAŁ XX.

Szli przez vicus Patricius, wzdłuż Wiminalu, do dawnej bramy Wiminalskiej, koło płaszczyzny, na której Dyoklecjan wznosił później wspaniałe łaźnie. Minęli resztki muru Serwiusza Tuliusza i przez bardziej już puste miejsca doszli do drogi Nomentańskiej, tam zaś, skręciwszy na lewo, ku Salaria, znaleźli się wśród wzgórz, pełnych kopalni piasku, a gdzieniegdzie i cementarzy. Ściemniło się tymczasem już zupełnie, że zaś księżyc jeszcze nie wszedł, więc drogę dość trudno przysłoby im znaleźć, gdyby nie to, że jak przewidział Chilo, wskazywali ją sami chrześcijanie. Jakoż na prawo, na lewo i na przodzie widać było ciemne postaci, zdążające ostrożnie ku piaszczystym wądom. Niektórzy z owych ludzi nieśli latarki, okrywając je jednak ile możności płaszcami, inni, znający lepiej drogę, szli po ciemku. Wprawne żołnierskie oczy Viniciusza odróżniały po ruchach młodszych mężczyzn od starców, wlokących się na kijach, i od kobiet, poobwijanych starannie w długie stole. Rzadcy przechodnie i wieśniacy, wyjeżdżający z miasta, brali widocznie tych nocnych wędrowców za robotników, zdążających do arenariów, lub za bractwa pogrzebowe, których członkowie wyprawiali sobie czasami obrzędowe agapy w nocy. W miarę jednak, jak młody patrycyusz i jego towarzysze posuwali się naprzód, naokół migało coraz więcej latarek i zwiększała się liczba osób. Niektóre z nich śpiewały przyciszonymi głosami pieśni, które Viniciuszowi wydawały się jakby pełne tęsknoty. Chwilami ucho jego chwytało urwane słowa lub zdania pieśni, jak naprzykład: „Wstań, który śpisz“ lub: „Powstań z martwych“, czasem znów imię Chrystusa powtarzało się w ustach mężczyzn i kobiet. Lecz Viniciusz mało zwracał uwagi na słowa, albowiem przez głowę przechodziło mu, że może która z owych ciemnych postaci jest Lygią. Niektóre, przechodząc blisko, mówiły: „Pokój z wami!“ lub: „Chwała Chrystusowi!“ jego zaś ogarniał niepokój i serce poczynało mu bić żywiej, albowiem wydawało mu się, że słyszy głos Lygii. Podobne kształty lub podobne ruchy zwozdiły go w ciemnościach co chwila i dopiero sprawdziwszy kilkakrotnie swą omyłkę, począł nie ufać oczom. Droga wydała mu się jednak długą. Okolicę znał dobrze, ale po ciemku nie umiał się w niej rozeznąć. Co chwila trafiały się to jakieś wązkie przejścia, to części murów, to jakieś budynki, których sobie koło miasta nie przypominał. Wreszcie brzeg księżycy ukazał się z ponad nagromadzonych chmur i oświecił okolicę lepiej od mdłych latarek. Coś zdala poczęło wreszcie błyszczeć, jakby ognisko lub płomień pochodni. Viniciusz pochylił się ku Chilonowi i spytał, czy to Ostrianum. Chilo, na którym noc, odległość od miasta i te postaci, do widm podobne, czyniły widocznie silne wrażenie, odrzekł nieco niepewnym głosem: — Nie wiem, panie, nie byłem nigdy w Ostrianum. Ale mogliby chwalić Chrystusa gdzieś bliżej miasta. Po chwili zaś, czując potrzebę rozmowy i pokrzepienia odwagi, dodał: — Schodzą się, jak zbójcy, a przecie niewolno im zabijać, chyba że mnie ów Lyg zwiódł niegodnie. Lecz Viniciusza, który myślał o Lygii, zdziwiła także ta ostrożność i tajemniczość, z jaką jej współwyznawcy zbierali się dla słuchania swego najwyższego kapłana, więc rzekł: — Jak wszystkie religie, tak i ta ma między nami swych zwolenników, ale

chrześcijanie, to sekta żydowska. Czemuż zbierają się tu, gdy na Zatybrzu stają świątynie żydowskie, w których w biały dzień Żydzi składają ofiary? — Nie, panie. Żydzi właśnie są ich najzaciętszymi nieprzyjaciółmi. Mówiono mi, że już przed dzisiejszym Cezarem przyszło niemal do wojny między Żydami a nimi. Cezara Klaudyusza zdurzyły tak te rozruchy, że wygnał wszystkich Żydów, dziś jednak edykt ten jest zniesiony. Lecz chrześcijanie kryją się przed Żydami i przed ludnością, która, jak ci wiadomo, posądza ich o zbrodnie i nienawidzi. Czas jakiś szli w milczeniu, poczem Chilo, którego strach zwiększał się w miarę odległości od bram, rzekł: — Wracając od Euriciusza, pożyczyłem od jednego balwierza peruki i w nozdrza wsadziłem sobie dwa ziarnka bobu. Nie powinni mnie poznać. Ale gdyby i poznali, to nie zabiją. To nieźli ludzie! to nawet bardzo uczciwi ludzie, których kocham i cenię. — Nie ujmuj ich sobie pochwałami przedwcześnie — odpowiedział Viniciusz. Weszli teraz w wązki wądół, zamknięty z boku jakby dwoma okopami, nad którymi przerzucił się w jednym miejscu akwedukt. Księżyc tymczasem wychylił się z za chmur i na końcu wąwozu ujrzeli mur, pokryty obficie srebrzącymi się w świetle miesięcznym bluszczami. Było to Ostrianum. Viniciuszowi zaczęło bić serce żywiej. Przy bramie dwaj fossorowie odbierali znaki. Po chwili Viniciusz i jego towarzysze znaleźli się w miejscu dość obszernem, zamkniętem ze wszystkich stron murem. Gdzieś tu stały osobne pomniki, w środku zaś widać było właściwe hypogeum, czyli kryptę, leżącą w niższej swej części pod powierzchnią gruntu, w której były grobowce; przed wejściem do krypty szumiała fontanna. Widocznem jednak było, że zbyt wielka liczba osób nie zdołałaby się w samem hypogeum pomieścić, Viniciusz więc domyślił się łatwo, że obrządek będzie się odbywał pod gołym niebem na dziedzińcu, na którym wkrótce zgromadził się tłum bardzo liczny. Jak okiem dojrzeć, latarka migotała przy latarce, wielu zaś z przybyłych nie miało wcale światła. Z wyjątkiem kilku głów, które się odkryły, wszyscy, z obawy zdrajców, czy też chłodu, pozostali zakapturzeni i młody patrycyusz z trwogą pomyślał, że jeśli tak pozostaną do końca, to w tym tłumie, przy mdłym świetle, niepodobna mu będzie Lygii rozeznąć. Lecz nagle przy krypcie zapalono kilka smolnych pochodni, które ułożono w mały stos. Stało się jaśniej. Tłum począł po chwili śpiewać, z początku cicho, potem coraz głośniej, jakiś dziwny hymn. Viniciusz nigdy w życiu nie słyszał podobnej pieśni. Ta sama tęsknota, która już uderzyła go w śpiewach, nuconych półgłosem przez pojedynczych ludzi w czasie drogi na cmentarz, odezwała się i teraz w tym hymnie, tylko daleko wyraźniej i silniej, a w końcu stała się tak przejmującą i ogromną, jakby wraz z ludźmi począł tęsknić cały ten cmentarz, wzgórza, wądoly i okolica. Zdawać się przytem mogło, iż jest w tem jakieś wołanie po nocy, jakaś pokorna prośba o ratunek w zabłąkaniu i ciemności. Głowy, podniesione ku górze, zdawały się widzieć kogoś, hen, wysoko, a ręce wzywać go, by zstąpił. Gdy pieśń cichła, następowała jakby chwila oczekiwania, tak przejmująca, że i Viniciusz, i jego towarzysze mimowoli spoglądali ku gwiazdom, jakby w obawie, że stanie się coś niezwykłego i że ktoś naprawdę zstąpi. Viniciusz w Azyi Mniejszej, w Egipcie i w samym Rzymie widział mnóstwo przeróżnych świątyń, poznał mnóstwo wyznań i słyszał mnóstwo pieśni, tu jednak dopiero po raz pierwszy ujrział ludzi, wzywających bóstwo pieśnią nie dlatego, że chcieli wypełnić jakiś ustalony rytuał, ale z pod serca, z takiej prawdziwej za niem tęsknoty, jaką mogą mieć dzieci za ojcem lub matką. Trzeba było być ślepym, by nie dostrzedz, że ci ludzie nietylko czcili swego Boga, ale go z całej duszy kochali, tego zaś Viniciusz nie widział dotąd w żadnej ziemi, w żadnych obrzędach, w żadnej świątyni, w Rzymie bowiem i w Grecyi ci, którzy jeszcze oddawali cześć bogom, czynili to dla zjednania sobie ich pomocy lub z bojaźni, ale nikomu nie przychodziło nawet do głowy, by ich kochać. Jakkolwiek też miał myśl zajętą Lygią, a uwagę wypatrywaniem jej wśród tłumów, nie mógł jednak nie widzieć tych rzeczy dziwnych i nadzwyczajnych, które się koło niego działy. Tymczasem dorzucono kilka pochodni na ognisko, które oblało czerwonem światłem cmentarz i przyćmiło blask latarek, w tej

samej zaś chwili z hypogeum wyszedł starzec, przybrany w płaszcz z kapturem, ale z odkrytą głową, i wstąpił na kamień, leżący w pobliżu stosu. Tłum zakołysał się na jego widok. Głosy obok Viniciusza poczęły szeptać: „Petrus! Petrus!...” Niektórzy poklękali, inni wyciągali ku niemu ręce. Nastąpiła cisza tak głęboka, że słyhać było każdy opadający z pochodni węgielek, oddalony turkot kół na Nomentańskiej drodze i szmer wiatru w kilku piniach, rosnących obok cmentarza. Chilo pochylił się ku Viniciuszowi i szepnął: — To ten! pierwszy uczeń Chrestusa, rybak! Starzec zaś wznosił do góry dłoń i znakiem krzyża przeżegnał zgromadzonych, którzy tym razem padli na kolana. Towarzysze Viniciusza i on sam, nie chcąc się zdradzić, poszli za przykładem innych. Młody człowiek nie umiał na razie pochwycić swych wrażeń, albowiem wydało mu się, że owa postać, którą przed sobą widział, jest i dość prostaczą i nadzwyczajną, a co więcej, że ta nadzwyczajność wypływa właśnie z jej prostoty. Starzec nie miał ani mitry na głowie, ani dębowego wieńca na skroniach, ani palmy w ręku, ani złotej tablicy na piersiach, ani szat, usianych w gwiazdy lub białych, słowem żadnych takich oznak, jakie nosili kapłani wschodni, egipczy, greccy lub flaminowie rzymscy. I znów uderzyła Viniciusza taż sama różnica, którą odczuł, słuchając pieśni chrześcijańskich, albowiem i ten „rybak“ wydał mu się nie jakimś arcykapłanem, biegłym w ceremoniach, ale jakby prostym, wiekowym i niezmiernie czcigodnym świadkiem, który przychodzi zdaleka, by opowiedzieć jakąś prawdę, którą widział, której dotykał, w którą uwierzył, jak wierzy się w oczywistość i ukochał właśnie dlatego, że uwierzył. Była też w jego twarzy taka siła przekonania, jaką posiada prawda sama. I Viniciusz, który będąc sceptykiem, nie chciał się poddać jego urokowi, poddał się jednakże jakiejś gorączkowej ciekawości, co też wypłynie z ust tego towarzysza tajemniczego „Chrestusa“ i jaką jest ta nauka, którą wyznają Lygia i Pomponia Graecina. Tymczasem Piotr począł mówić i mówił z początku, jak ojciec, który upomina dzieci i uczy je, jak mają żyć. Nakazywał im, by wyrzekli się zbytków i rozkoszy, miłowali zaś ubóstwo, czystość obyczajów, prawdę, by znosili cierpliwie krzywdy i prześladowania, słuchali przełożonych i władzy, wystrzegali się zdrady, obłudy i obmówiska, a w końcu żeby dawali przykład i jedni drugim między sobą i nawet poganom. Viniciusza, dla którego dobrem było to tylko, co mogło mu wrócić Lygię, a złem wszystko, co stawało między nimi jako przeszkoda, dotknęły i rozgniewały niektóre z tych rad, albowiem wydało mu się, że zalecając czystość i walkę z żądzami, starzec śmie tem samym nie tylko potępiać jego miłość, ale zraza Lygię do niego i utwierdza ją w oporze. Zrozumiał, że jeśli ona jest między zebranymi i słucha tych słów, a bierze je do serca, to w tej chwili musi myśleć o nim, jako o wrogu tej nauki i niegodziwcu. Na tę myśl porwała go złość: „Cóżem nowego usłyszał, mówił sobie. Toż ma być owa nieznana nauka? każdy to wie, każdy to słyszał. Wszak ubóstwo i ograniczenie potrzeb zalecają i cynicy, wszak cnotę polecał i Sokrates, jako rzecz starą, a dobrą; wszak pierwszy lepszy stoik, nawet taki Seneka, który ma pięćset stołów cytrynowych, sławi umiarkowanie, zaleca prawdę, cierpliwość w przeciwnościach, stałość w nieszczęściu i to wszystko jest jakoby zleżałe zboże, które myszy jedzą, ludzie zaś już jeść nie chcą, dlatego, że ze starości zatęchło“. I obok gniewu doznał jakby uczucia zawodu, spodziewał się bowiem odkrycia jakichś nieznanych, czarodziejskich tajemnic, a przynajmniej mniemał, że usłyszy jakiegoś zadziwiającego swą wymową retora, tymczasem słyszał jeno słowa ogromnie proste, pozbawione wszelkich ozdób. Dziwiła go tylko ta cisza i to skupienie, z jakim tłum słuchał. Lecz starzec mówił dalej do tych zasłuchanych ludzi, że mają być dobrzy, cisi, sprawiedliwi, ubodzy i czyści, nie dlatego, by za życia mieć spokój, ale by po śmierci żyć wiecznie w Chrystusie, w takim weselu, w takiej chwale, rozkwicie i radości, jakich nikt na ziemi nigdy nie dostąpił. I tu Viniciusz, jakkolwiek uprzedzony przed chwilą niechętnie, nie mógł nie zauważyć, że jednak jest różnica między nauką starca, a tem, co mówili cynicy, stoicy lub inni filozofowie, ci bowiem dobro i cnotę zalecali jako rzecz rozsądną i jedynie w życiu praktyczną, on zaś obiecywał za

nią nieśmiertelność i to nie jakąś lichą nieśmiertelność pod ziemią, w nudzie, czczości, pustkowiu, ale wspaniałą, równą niemal bytowi bogów. Mówił przytem o niej, jak o rzeczy zupełnie pewnej, więc wobec takiej wiary cnota nabierała ceny poprostu bez granic, a klęski życia stawały się czemś niesłychanie błahem, albowiem cierpieć chwilowo, dla nieprzebranego szczęścia, jest rzeczą zupełnie inną, niż cierpieć dlatego tylko, że taki jest porządek natury. Lecz starzec mówił dalej, że cnotę i prawdę należy miłować dla nich samych, albowiem najwyższym, przedwiecznym dobrem i przedwieczną cnotą jest Bóg, kto więc je miłuje, ten miłuje Boga i przez to sam staje się jego umiłowaniem dzieckiem. Viniciusz nie rozumiał tego dobrze, wiedział jednak już dawniej ze słów, które Pomponia Graecina powiedziała do Petroniusza, że ten Bóg jest wedle mniemania chrześcijan jeden i wszechmocny, gdy więc teraz usłyszał jeszcze, że jest on wszechdobrem i wszechprawdą, mimowoli pomyślał, że wobec takiego Demiurga Jowisz, Saturn, Apollo, Juno, Westa i Wenus wyglądałoby jak jakaś marna i hałaśliwa zgraja, w której broją wszyscy razem i każdy na swoją rękę. Ale największe zdumienie ogarnęło młodego człowieka, gdy starzec począł nauczać, że Bóg jest również wszechmiłością, kto więc kocha ludzi, ten spełnia najwyższe jego przykazanie. Lecz niedość jest kochać ludzi ze swego narodu, albowiem Bóg-człowiek za wszystkich krew przelał i między poganami znalazł już takich swoich wybranych, jak Korneliusz centurion, i niedość jest kochać tych, którzy nam dobrze czynią, albowiem Chrystus przebaczył i Żydom, którzy go wydali na śmierć, i żołnierzom rzymskim, którzy go do krzyża przybili, należy więc tym, którzy krzywdy nam czynią, nie tylko przebaczać, ale kochać ich i płacić im dobrem za złe; i niedość kochać dobrych, ale trzeba kochać i złych, gdyż tylko miłością można z nich złość wypłenić. Chilo przy tych słowach pomyślał sobie, że jego robota poszła na marne i że Ursus nigdy w świecie nie odważy się zabić Glauka, ani tej nocy, ani żadnej innej. Pocieszył się jednak natychmiast drugim wnioskiem, wyprowadzonym z nauki starca: mianowicie że i Glaukus nie zabije jego, choćby go odkrył i poznał. Viniciusz nie myślał już jednak, że w słowach starca nie masz niczego nowego, ale ze zdumieniem zadawał sobie pytanie: co to za Bóg? co to za nauka? i co to za lud? Wszystko, co słyszał, nie mieściło się wprost w jego głowie. Był to dla niego jakiś niesłychany nów pojęć. Czuł, że gdyby naprzykład chciał pójść za tą nauką, musiałby złożyć na stos swoje myślenie, zwyczaje, charakter, całą dotychczasową naturę i wszystko to spalić na popiół, a wypełnić się jakimś zgoła innym życiem i całkowicie nową duszą. Nauka, która mu nakazywała kochać Partów, Syryjczyków, Greków, Egipcyan, Gallów i Brytonów, przebaczać nieprzyjaciółom, płacić im dobrem za złe i kochać ich, wydała mu się szaloną, jednocześnie zaś miał poczucie, że jednak w samem jej szaleństwie jest coś potężniejszego, niż we wszelkich dotychczasowych filozofach. Mniemał, że z powodu jej szaleństwa jest niewykonalną, a z powodu niewykonalności, boską. Odrzucał ją w duszy, a czuł, że rozchodzi się od niej, jakby od łąki, pełnej kwiatów, jakaś woń upajająca, którą gdy ktoś raz odetchnął, musi, jako w kraju Lotofagów, zapomnieć o wszystkim innym i tylko do niej tęsknić. Zdawało mu się, że niema w niej nic rzeczywistego i zarazem, że rzeczywistość wobec niej jest czymś tak lichem, że niewarto zatrzymywać nad nią myśli. Otoczyły go jakieś przestwory, których się ani domyślał, jakieś ogromy, jakieś chmury. Ow cmentarz począł czynić na nim wrażenie zbiorowiska szaleńców, lecz także i miejsca tajemniczego i straszego, na którym, jakby na jakimś mistycznym łożu, rodzi się coś, czego nie było dotąd na świecie. Uprzytomniał sobie wszystko, co od pierwszej chwili starzec mówił o życiu, prawdzie, miłości, Bogu i myśli jego olśniewały od blasku, jak olśniewają oczy od błyskawic, nieustannie po sobie następujących. Jak zwykle ludzie, którym życie zmieniło się w jedną namiętność, myślał o tem wszystkim przez swoją miłość do Lygii, i przy świetle owych błyskawic ujrzał jasno jedną rzecz: że jeśli Lygia jest na cmentarzu, jeśli wyznaje tę naukę, słucha i czuje, to przenigdy nie zostanie jego kochanką. Po raz też pierwszy od czasu, jak ją u Aulusów poznał, Viniciusz poczuł, że

choćby ją teraz odzyskał, to i tak jej nie odzyska. Nic podobnego nie przyszło mu dotąd do głowy, a i obecnie nie umiał sobie z tego zdać sprawy, gdyż było to nietyle wyraźne zrozumienie, ile raczej mętne poczucie jakowejś niepowetowanej straty i jakowegoś nieszczęścia. Wstał w nim niepokój, który wnet zmienił się w burzę gniewu, przeciw chrześcijanom wogóle, a przeciw starcowi w szczególności. Ow rybak, którego na pierwszy rzut oka poczytał za prostaka, przejmował go teraz niemal bojaźnią i zdawał mu się być jakimś tajemniczym fatum, rozstrzygającym nieubłaganie, a zarazem tragicznie jego losy. Fossor przyłożył znów nieznacznie kilka pochodni na ogień, wiatr przestał szumieć w piniach, płomień wznosił się równo, wysmukłym ostrzem, ku skrzącym się na wypogodzonym niebie gwiazdom, starzec zaś, wspomniawszy o śmierci Chrystusa, począł już tylko o Nim mówić. Wszyscy zatrzymali dech w piersiach i cisza zrobiła się jeszcze większa, niż poprzednio, taka, że słyszeć można było niemal bicie serc. Ten człowiek widział! i opowiadał, jako ten, któremu każda chwila wyrwała się tak w pamięci, że gdy przymknie oczy, to jeszcze widzi. Mówił więc, jak wróciwszy od Krzyża, przesiedzieli z Janem dwa dni i dwie noce w wieczorniku, nie śpiąc, nie jedząc, w znekaniu, żalu, trwodze, w zwątpieniu, głowy trzymając w rękach i rozmyślając, że On umarł. Oj, ach! jak było ciężko! jak ciężko! Już wstał dzień trzeci i świt pobielił mury, a oni obaj z Janem siedzieli tak pod ścianą bez rady i nadziei. Co ich sen zmorzył (bo i noc przed męką spędzili bezsennie), to budzili się i poczynali biadać nanowo. Aż ledwo weszło słońce, wpadła Marya z Magdali, bez tchu, z rozwiązanym włosom i z krzykiem: „Wzięli Pana!“ Oni zaś, posłyszawszy, zerwali się i poczęli biedz na miejsce. Lecz Jan, człek młodszy, przybieżał pierwszy, obaczył grób pusty i nie śmiał wejść. Dopiero, gdy było ich troje u wejścia, on, który im to mówi, wszedł, ujrzał na kamieniu giezło i zawijacze, ale ciała nie znalazł. Więc spadł na nich strach, bo myśleli, że porwali Chrystusa kapłani i obaj wrócili do domu w większym jeszcze udręczeniu. Potem nadeszli inni uczniowie, i podnosili lament, to wszyscy razem, by ich usłyszał łącniej Pan Zastępów, to kolejno. Zamarł w nich duch, bo się spodziewali, że mistrz miał odkupić Izraela, a oto był trzeci dzień, jak umarł, więc nie rozumieli, dlaczego Ojciec opuścił Syna, i woleliby nie oglądać dnia i pomrzeć, tak ciężkie było to brzemie. Wspomnienie tych strasznych chwil jeszcze teraz wycisnęło dwie łzy z oczu starca, które widać było dobrze przy blasku ognia, ściekające po siwej brodzie. Stara, obnażona z włosów, głowa poczęła mu się trząść i głos zamarł mu w piersi. Viniciusz rzekł w duchu: „Ten człowiek mówi prawdę i płacze nad nią!“ a słuchaczów o prostych sercach żal chwycił także za gardła. Słyszeli już nieraz o męce Chrystusa i wiadomo im było, że radość nastąpi po smutku, ale, że to opowiadał apostoł, który widział, więc pod wrażeniem załamywali ręce, łkając, lub bili się po piersiach. Lecz zwolna uspokoili się, bo chęć dalszego słuchania przemogła. Starzec przymknął oczy, jakby chcąc widzieć lepiej w duszy rzeczy odległe i mówił dalej: „Gdy tak czynili lament, wpadła znów Marya z Magdali wołając, że widziała Pana. Nie mogąc go dla wielkiego blasku rozeznac, myślała, że ogrodnik, ale On rzekł: „Maryo!“ Wówczas krzyknęła: „Rabboni“ i padła mu do nóg, on zaś kazał jej iść do uczniów, a potem znikł. Ale oni, uczniowie, nie wierzyli jej, a gdy płakała od radości, jedni przyganiali jej, inni myśleli, że żal pomieszał jej zmysły, bo mówiła także, że w grobie widziała aniołów, oni zaś, przybieżawszy raz wtóry, widzieli grób pusty. Potem wieczorem przyszedł Kleofas, który chodził z innym do Emmaus i wrócili co żywo, mówiąc: „Prawdziwie zmartwychwstał Pan“. I poczęli się spierać przy drzwiach zamkniętych dla bojaźni Żydów. Wtem On stanął między nimi, choć nie skrzypiały drzwi, a gdy struchleli, rzekł im: „Pokój z wami“.

.....
„I widziałem Go, jako widzieli wszyscy, a On był jako światłość i jako szczęśliwość serc naszych, bośmy uwierzyli, że zmartwychwstał i że morza wyschną, góry się w proch obrócą, a Jego chwała

nie przeminie“.

.....

„A po ośmiu dniach Tomasz Dydimus wkładał palce w Jego rany i dotykał boku Jego, a potem padł Mu do nóg i wołał: „Pan mój i Bóg mój“. Który mu odpowiedział: „Iżes mnie ujrzał, uwierzyłeś. Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli“. I te słowa słyszeliśmy, i oczy nasze patrzyły na Niego, albowiem był między nami“. Viniciusz słuchał i działo się z nim coś dziwnego. Zapomniał na chwilę, gdzie jest, począł tracić czucie rzeczywistości, miarę, sąd. Stał wobec dwóch niepodobieństw. Nie mógł uwierzyć w to, co starzec mówił, a czuł, że trzeba by być chyba ślepym i zaprzecić się własnego rozumu, by przypuścić, że ów człowiek, który mówił: „Widziałem“, kłamał. Było coś w jego wzruszeniu, w jego łzach, w jego całej postaci i w szczegółach zdarzeń, które opowiadał, co czyniło niemożliwym wszelkie posądzenie. Viniciuszowi wydawało się chwilami, że śni. Lecz naokół widział uciszony tłum; kopeć latarek dolatywał do jego nozdrzy; opodal płonęły pochodnie, a obok na kamieniu stał człowiek stary, bliski grobu, z drżącą nieco głową, który, dając świadectwo, powtarzał: „Widziałem!“ I opowiedział im wszystko dalej, aż do Wniebowstąpienia. Chwilami wypoczywał, bo mówił bardzo szczegółowo, ale czuć było, że każdy najmniejszy szczegół tak wyrył się w jego pamięci, jak na kamieniu. Tych, którzy go słuchali, ogarnęło upojenie. Pozrzucali z głów kaptury, by słyszeć lepiej i by nie uronić żadnego z tych słów, które były dla nich bez ceny. Zdawało im się, że jakaś moc nadludzka przenosi ich do Galilei, że chodzą razem z uczniami po tamtejszych gajach i nad wodami, że ten cmentarz zmienia się w Tyberyadzkie jezioro, a na brzegu, w porannym tumanie, stoi Chrystus, tak, jak stał wówczas, gdy Jan, patrząc z łódki, rzekł: „Pan jest!“ a Piotr rzucił się w pław, by prędzej przypaść do nóg umiłowanych. W twarzach znać było zachwyt bez granic i zapomnienie życia i szczęście i niezmierną miłość. Widocznem było, że w czasie długiego opowiadania Piotra niektórzy mieli widzenia, gdy zaś począł mówić, jak w chwili Wniebowstąpienia obłoki zaczęły zasuwac się pod stopy Zbawiciela i przesłaniać Go i zakrywać przed oczyma apostołów, wszystkie głowy podniosły się mimowoli ku niebu i nastąpiła chwila jakby oczekiwania, jakby owi ludzie mieli nadzieję dojrzeć go jeszcze, lub jakby się spodziewali, że zstąpi znów z pól niebieskich, by zobaczyć, jak stary Apostoł pasie powierzone mu owce, i pobłogosławić jego i stado. I dla tych ludzi nie było w tej chwili Rzymu, nie było szalonego Cezara, nie było świątyń, bogów, pogan, był tylko Chrystus, który wypełniał ziemię, morze, niebo, świat. W odległych domach, porozrzucanych wzdłuż via Nomentana, koguty zaczęły pisać, oznajmując północ. W tej chwili Chilo pociągnął Viniciusza za róg płaszcza i szepnął: — Panie, tam, niedaleko starca, widzę Urbana, a przy nim jakąś dziewicę. Viniciusz otrząsnął się, jak ze snu i zwróciwszy się w kierunku, wskazywanym przez Greka, ujrzał Lygię.

ROZDZIAŁ XXI.

Każda kropla krwi zadrgała w młodym patrycyuszu na jej widok. Zapomniał o tłumach, o starcu, o własnym zdumieniu wobec tych niepojętych rzeczy, jakie słyszał, i widział przed sobą tylko ją jedną. Oto wreszcie po wszystkich wysiłkach, po długich dniach niepokoju, szarpania się, zmartwień, odnalazł ją! Po raz pierwszy w życiu doświadczył, że radość może się rzucić na piersi, jak dziki zwierz, i przygnieść je, aż do utraty oddechu. On, który dotąd sądził, że „Fortuna“ ma niejako obowiązek spełniać wszelkie jego życzenia, teraz zaledwie wierzył własnym oczom i własnemu szczęściu. Gdyby nie to niedowierzanie, jego zapalczywa natura mogła go była popchnąć do jakiego nierozważnego kroku, ale chciał się pierwiej przekonać, czy to nie dalszy ciąg tych cudów, którymi miał przepełnioną głowę, i czy nie śni. Ale nie było wątpliwości: widział Lygię i dzieliła go od niej odległość zaledwie kilkunastu kroków. Stała w pełnym świetle, więc mógł napawać się jej widokiem, ile sam chciał. Kaptur zesunął się jej z głowy i rozrzucił włosy; usta miała nieco otwarte,

oczy wzniesione ku apostołowi, twarz zasłuchaną i zachwyconą. W płaszczu z ciemnej wełny, ubrana była, jak dziewczyna z ludu, Viniciusz jednak nigdy nie widział jej piękniejszą i mimo całego zamętu, jaki w nim powstał, uderzyła go w przeciwstawieniu do tego niewolniczego niemal ubioru szlachetność tej cudnej patrycyuszowskiej głowy. Miłość przeleciała po nim, jak płomień, ogromna, pomieszana, z jakimś dziwnym uczuciem tęsknoty, uwielbienia, czci i żądy. Czuł rozkosz, jaką sprawia mu sam jej widok, i napawał się nią, jakby ożywczą wodą po długim pragnieniu. Stojąc przy olbrzymim Lygu wydawała mu się mniejszą, niż była przedtem, niemal dzieckiem; spostrzegł także, iż wyszczupiała. Płeć jej była prawie przezrocza; czyniła na nim wrażenie kwiatu i duszy. Ale tembardziej tylko pragnął posiadać tę istotę, tak odmienną od kobiet, które widział lub posiadał na Wschodzie i w Rzymie. Czuł, że oddałby za nią tamte wszystkie, a z niemi Rzym i świat w dodatku. Byłby się zapatrzył i zapamiętał zupełnie, gdyby nie Chilo, który ciągnął go za róg płaszcza, w strachu, aby nie uczynił czegoś, co mogło podać ich na niebezpieczeństwo. Chrześcijanie tymczasem zaczęli się modlić i śpiewać. Za chwilę zagrzmiało: „Maranatha“, a potem Wielki Apostoł począł chrzcić wodą z fontanny tych, których presbyterowie przedstawiali, jako do przyjęcia chrztu przygotowanych. Viniciuszowi zdawało się, że ta noc nigdy się nie skończy. Chciał teraz iść jak najprędzej za Lygią i pochwycić ją w drodze lub w jej mieszkaniu. Wreszcie niektórzy poczęli opuszczać cmentarz. Chilo wówczas szepnął: — Wyjdźmy, panie, przed bramę, albowiem nie zdjęliśmy kapturów i ludzie patrzą na nas. Tak było rzeczywiście. Gdy podczas słów apostoła wszyscy odrzucili kaptury, ażeby lepiej słyszeć, oni nie poszli za ogólnym przykładem. Rada Chilona wydała się też roztropną. Stojąc przy bramie, mogli uważać na wszystkich wychodzących, Ursusa zaś nietrudno było rozpoznać po wzroście i postawie. — Pójdziemy za nimi — rzekł Chilo — zobaczymy, do jakiego domu wchodzi, jutro zaś, a raczej dziś jeszcze, otoczysz, panie, wszystkie wejścia do domu niewolnikami i zabierzesz ją. — Nie! — rzekł Viniciusz. — Co chcesz uczynić, panie? — Wejdziemy za nią do domu i porwiemy ją natychmiast: wszak podjąłeś się tego, Krotonie? — Tak jest — rzekł lanista — i oddaję ci się, panie, jako niewolnik, jeśli nie złamię krzyża temu bawołowi, który jej strzeże. Lecz Chilo począł odradzać i zaklinać ich na wszystkich bogów, ażeby tego nie czynili. Przecie Kroto miał być wzięty tylko dla obrony, na wypadek, gdyby ich poznano, nie dla porwania dziewicy. Biorąc ją we dwóch tylko, sami narażają się na śmierć i, co więcej, mogą ją wypuścić z rąk, a wówczas ona skryje się w innem miejscu lub opuści Rzym. I co uczynią? Dlaczego nie działać napewno, po co narażać siebie na zgubę i całe przedsięwzięcie na los niepewny? Viniciusz, mimo, że z największym wysiłkiem wstrzymywał się, by zaraz na cmentarzu nie pochwycić Lygii w ramiona, czuł jednak, że Grek ma słuszość, i byłby może podał ucho jego radom, gdyby nie Kroto, któremu chodziło o nagrodę. — Każ, panie, milczeć temu staremu capowi — rzekł — albo pozwól mi spuścić pięść na jego głowę. Raz w Buxentum, dokąd mnie na igrzyska sprowadził Luciusz Saturninus, napadło na mnie w gospodzie siedmiu pijanych gladyatorów i żaden nie wyszedł z całemi żebrami. Nie mówię, żeby dziewicę porwać teraz, z pośród tłumu, bo mogliby nam rzucać pod nogi kamienie, ale gdy raz będzie w domu, porwę ci ją i zaniosę, dokąd chcesz. Viniciusz ucieszył się, słuchając tych słów, i odrzekł: — Tak się stanie, na Herkulesa! Jutro moglibyśmy jej nie znaleźć wypadkiem w domu, gdybyśmy zaś rzucili między nich popłoch, uprowadziliby ją niechybnie. — Ten Lyg wydaje mi się strasznie silny! — jęknął Chilo. — Nie tobie każą trzymać mu ręce — odpowiedział Kroto. Musieli jednak czekać jeszcze długo i kury poczęły pisać na przedświt, nim ujrzeli wychodzącego z bramy Ursusa, a z nim Lygię. Towarzyszyło im kilka innych osób. Chilonowi wydało się, że rozpoznaje między nimi Wielkiego Apostoła, obok niego szedł drugi starzec, znacznie niższy wzrostem, dwie niemłode niewiasty i pacholę, które świeciło latarnią. Za tą garstką szedł tłum, liczący ze dwieście osób. Viniciusz, Chilo i Kroto pomieszali się z owym tłumem.

— Tak, panie — rzekł Chilo. — Twoja dziewczina znajduje się pod mozną opieką. To on z nią jest, Wielki Aposto! bo patrz, jak ludzie klękają przed nim na przodzie. Ludzie rzeczywiście klękali, ale Viniciusz nie patrzył na nich. Nie tracąc ani na chwilę z oczu Lygii, myślał tylko o jej porwaniu i, przywyklszy w wojnach do wszelkiego rodzaju podstępów, układał sobie w głowie z żołnierską ścisłością cały plan porwania. Czuł, że krok, na który się ważył, był zuchwały, ale wiedział dobrze, że zuchwałe napady zwykle kończą się powodzeniem. Droga była jednak długa, więc chwilami myślał także o przepaściach, jakie wykopała między nim a Lygią ta dziwna nauka, którą ona wyznawała. Rozumiał teraz wszystko, co się w przeszłości stało i rozumiał, dlaczego się stało. Był na to dość przenikliwym. Oto on dotąd Lygii nie znał. Widział w niej cudną nad wszystkie dziewczynę, do której zapaliły się jego zmysły, teraz zaś poznał, że ta nauka czyniła z niej jakąś różną od innych kobiet istotę i że nadzieja, aby ją także pociągnęły zmysły, żądza, bogactwo, rozkosz, jest czczem złudzeniem. Pojął nareszcie to, czego obaj z Petroniuszem nie rozumieli, że owa nowa religia wszczepiała w duszę coś nieznanego temu światu, w którym żył i że Lygia, gdyby go nawet kochała, nic ze swych chrześcijańskich prawd dla niego nie poświęci; że jeśli istnieje dla niej rozkosz, to całkiem odmienna od tej, za jaką ubiegał się i on, i Petroniusz, i dwór Cezara i cały Rzym. Każda inna z kobiet, które znał, mogła zostać jego kochanką, ta chrześcijanka mogła być tylko ofiarą. I myśląc o tem, doznawał piekącego bólu i gniewu, czuł zaś zarazem, że ów gniew jest bezsilnym. Porwać Lygię wydawało mu się rzeczą możliwą i tego był prawie pewien, ale również pewien był, że wobec nauki on sam, jego męstwo, jego potęga są niczem i że z nią sobie nie poradzi. Ów rzymski trybun wojskowy, przekonany, że ta siła miecza i pięści, która zawładnęła światem, zawsze nim władać będzie, po raz pierwszy w życiu ujrzał, że po za nią może być jeszcze coś innego, więc ze zdumieniem zadawał sobie pytanie: co to jest? I nie umiał sobie jasno odpowiedzieć, przez głowę przelatywały mu tylko obrazy cmentarza, zebranego tłumu i Lygii, zasłuchanej całą duszą w słowa starca, opowiadającego o męce, śmierci i zmartwychwstaniu Boga-człowieka, który odkupił świat i obiecał mu szczęście po drugiej stronie Styksu. Gdy zaś o tem myślał, w głowie jego powstawał chaos. Lecz z owego zamętu wyprowadziły go narzekania Chilon, który począł biadać na swoje losy: był przecie zgodzony do odszukania Lygii, którą też z niebezpieczeństwem życia odszukał i wskazał ją. Ale czegoż od niego chcą więcej? Czy się podejmował ją porywać i kto mógł nawet wymagać czegoś podobnego od kaleki, pozbawionego dwóch palców, od człowieka starego, oddanego rozmyślaniom, nauce i cnotcie? Co się stanie, jeśli pan tak dostojny, jak Viniciusz, poniesie jakowy szwank przy porywaniu dziewczicy? Zapewne, że bogowie powinni czuwać nad wybranymi, ale czyż nie trafiają się nieraz takie rzeczy, jakby bogowie grywali w birki, zamiast patrzeć, co się na świecie dzieje? Fortuna, jak wiadomo, ma zawiązane oczy, więc nie widzi nawet we dnie, a cóż dopiero w nocy. Niechże się coś stanie, niechże ten niedźwiedź lygijski rzuci na szlachetnego Viniciusza kamieniem od żaren, beczką wina, albo co gorzej, wody, któż zaręczy, czy na biednego Chilon, zamiast nagrody nie spadnie odpowiedzialność? On, biedny mędrzec, przywiązał się też do szlachetnego Viniciusza, jak Arystoteles do Aleksandra Macedońskiego, i gdyby przynajmniej szlachetny Viniciusz oddał mu tę kieskę, którą w jego oczach zatknął za pas, wychodząc z domu, byłoby za co, w razie nieszczęścia, wezwać natychmiast pomocy lub przejednać samych chrześcijan. O! dlaczego nie chcą słuchać rad starca, które dyktuje roztropność i doświadczenie? Viniciusz usłyszawszy to, wydobyl kieskę z pasa i rzucił ją między palce Chilonowi. — Masz i milcz. Grek poczuł, że była niezwykle ciężka, i nabrał odwagi. — Cała moja nadzieja w tem — rzekł — że Herkules lub Tezeusz trudniejszych jeszcze dokonywali czynów, czemuż zaś jest mój osobisty, najbliższy przyjaciel, Kroto, jeśli nie Herkulesem? Ciebie zaś, dostojny panie, nie nazwę półbogiem, albowiem jesteś całym bogiem i nadal nie zapomnisz o słudze ubogim, a wiernym, którego potrzeby

trzeba od czasu do czasu opatrywać, albowiem sam on, gdy raz zagłębi się w księgi, nie dba o nic zupełnie... Jakież kilka staj ogrodu i domek, choćby z najmniejszym portykiem dla chłodu w lecie, byłoby czemś godnem takiego dawcy. Tymczasem będę podziwiał zdala wasze bohaterskie czyny, wzywał Jowisza, aby wam sprzyjał, w razie czego zaś narobię takiego hałasu, że pół Rzymu rozbudzi się i przyjdzie wam w pomoc. Co za zła i nierówna droga! Oliwa wypaliła się mi w latarce i gdyby Kroto, który równie jest szlachetny, jak silny, chciał mnie wziąć na ręce i donieść aż do bramy, naprzód poznałby, czy łatwo uniesie dziewicę, powtóre, postąpiłby, jak Eneasza, a w końcu zjednałby sobie wszystkich uczciwszych bogów w takim stopniu, że o wynik przedsięwzięcia byłbym zupełnie spokojny. — Wolałbym nieść padlinę owcy, zdechłej na krosty przed miesiącem — odparł lanista — ale jeśli oddasz mi tę kiesę, którą ci rzucił dostojny trybun, to poniosę cię aż do bramy. — Obyś wybił wielki palec u nogi — odpowiedział Grek — takżeś to skorzystał z nauk tego czcigodnego starca, który przedstawiał ubóstwo i litość, jako dwie najprzedniejsze cnoty?.. Czyż ci nie nakazał wyraźnie miłować mnie? Widzę, że nigdy nie zrobisz z ciebie nawet ladajakiego chrześcijanina i że łatwiej słońcu przeniknąć przez mury mamertyńskiego więzienia niż prawdzie przez twoją czaszkę hipopotama. Kroto zaś, który posiadał zwierzęcą siłę, ale natomiast nie posiadał żadnych ludzkich uczuć, rzekł: — Nie bój się! chrześcijaninem nie zostanę! nie chcę tracić kawałka chleba! — Tak, ale gdybyś miał choć początkowe wiadomości z filozofii, wiedziałbyś, że złoto jest marnością! — Pójdź do mnie z filozofią, a ja dam ci tylko jedno uderzenie głową w brzuch i zobaczymy, kto wygra. — To samo mógł powiedzieć wół do Arystotelesa — odparł Chilo. Na świecie szarzało. Brzask powłóczył bladą barwą zręby murów. Przydrożne drzewa, budynki i rozrzucone tu i owdzie pomniki grobowe poczęły się wychylać z cienia. Droga nie była już zupełnie pusta. Przekupnie jarzyn zdążali na otwarcie bram, prowadząc osły i muły, obładowane warzywem; gdzieniegdzie skrzypiały wozy, na których wieziono zwierzyne. Na drodze i po obu stronach leżała przy samej ziemi lekka mgła, zwiastująca pogodę. Ludzie, widziani z nieco większej odległości, wyglądali w tej mgle, jak duchy. Viniciusz wpatrywał się w wysmukłą postać Lygii, która, w miarę jak brzask się powiększał, czyniła się coraz bardziej srebrzystą. — Panie — rzekł Chilo — ubliżyłbym ci, gdybym przewidywał, że twoja hojność skończy się kiedykolwiek, lecz teraz, gdyś mi zapłacił, nie możesz mnie posądzać, abym przemawiał tylko dla mej korzyści. Otóż radzę ci raz jeszcze, abyś, dowiedziawszy się, w którym domu mieszka boska Lygia, wrócił do siebie po niewolników i lektykę i nie słuchał tej słoniowej trąby, Krotona, który dlatego tylko podejmuje się sam porwać dziewicę, aby wycisnąć twoją kapsę, jak worek twarogu. — Masz u mnie uderzenie pięścią między łopatki, to znaczy, że zginiesz — odezwał się Kroto. — Masz u mnie diotę kefalońskiego wina, to znaczy, że zdrów będę — odrzekł Grek. Viniciusz nie odpowiedział nic, albowiem zbliżyli się do bramy, przy której dziwny widok uderzył ich oczy. Oto dwóch żołnierzy klękło, gdy przechodził Apostoł, on zaś trzymał przez chwilę ręce na ich żelaznych szyszakach, a potem uczynił nad nimi znak krzyża. Młodemu patrycyuszowi nigdy nie przyszło dotąd na myśl, że już i między żołnierzami mogą być chrześcijanie i ze zdumieniem pomyślał, że jak w pałacem się mieście pożar ogarnia coraz nowe domy, tak ta nauka z każdym dniem obejmuje widocznie coraz nowe dusze i szerzy się nad wszelkie ludzkie pojęcie. Uderzyło go też to i ze względu na Lygię, przekonał się bowiem, że gdyby była chciała uciec z miasta, znaleźliby się strażnicy, którzy sami ułatwiliby jej potajemnie wyjście. Błogosławił też w tej chwili wszystkim bogom, że się tak nie stało. Przebywszy niezabudowane miejsca, znajdujące się za murem gromadki chrześcijan poczęły się rozpraszać. Trzeba było teraz iść za Lygią dalej i ostrożniej, by nie zwrócić na się uwagi. Chilo począł też narzekać na rany i strzykanie w nogach i pozostawał coraz bardziej w tyle, czemu Viniciusz nie sprzeciwiał się, sądząc, że obecnie tchórzliwy, a niedołączny Grek nie będzie mu już potrzebny. Byłby mu nawet pozwolił ruszyć, gdzieby chciał,

jednakże zacnego mędrca wstrzymywała przezorność, ale parła widocznie ciekawość, szedł bowiem ciągle za nimi, a nawet chwilami przybliżał się, powtarzając swoje poprzednie rady oraz czyniąc przypuszczenia, że starzec, towarzyszący Apostołowi, gdyby nie wzrost nieco zanizki, mógłby być Glaukiem. Szli jednak jeszcze długo aż na Zatybrze i słońce było już blizkie wschodu, gdy gromadka, w której była Lygia, rozdzieliła się. Apostoł, stara kobieta i pacholę udali się wzdłuż i w górę rzeki, starzec zaś niższego wzrostu, Ursus i Lygia wsunęli się w wązki vicus i, uszedłszy jeszcze ze sto kroków, weszli do sieni domu, w którym były dwa sklepy, jeden oliwny, drugi ptasznika. Chilo, który szedł o jakie pięćdziesiąt kroków za Viniciuszem i Krotonem, stanął zaraz, jak wryty, i, przycisnąwszy się do muru, począł na nich psykać, aby do niego wrócili. Oni zaś uczynili to, bo należało się naradzić. — Idź — rzekł mu Viniciusz — i obacz, czy ten dom nie wychodzi drugą stroną na inną ulicę. Chilon, mimo, iż poprzednio narzekał na rany w nogach, skoczył tak żywo, jakby przy kostkach miał skrzydełka Merkurego i za chwilę powrócił. — Nie — rzekł — wyjście jest jedno. Poczem złożył ręce: — Na Jowisza, Apollina, Westę, Kibellę, Izys i Ozyrysa, na Mitrę, Baala i wszystkie bogi ze Wschodu i Zachodu, zaklinam cię, panie, zaniechaj tego zamiaru... Posłuchaj mnie... Lecz nagle urwał, gdyż spostrzegł, że twarz Viniciusza pobladła ze wzruszenia, oczy zaś jego skrzyły się, jak źrenice wilka. Dość było na niego spojrzeć, by zrozumieć, iż nic w świecie nie powstrzyma go od przedsięwzięcia. Kroto począł nabierać oddechu w swą herkulesową pierś i kiwać swą nierozwiniętą czaszką w obie strony, jak czynią niedźwiedzie, zamknięte w klatce. Zresztą nie znać było na jego twarzy najmniejszego niepokoju. — Ja wejdę pierwszy! — rzekł. — Pójdiesz za mną — rzekł rozkazującym głosem Viniciusz. I po chwili zniknęli obaj w ciemnej sieni. Chilo skoczył do rogu najbliższej uliczki i jał wyczierać z za węgła, czekając, co się stanie.

ROZDZIAŁ XXII.

Viniciusz dopiero w sieni zrozumiał całą trudność przedsięwzięcia. Dom był duży, kilkopiętrowy, jeden z takich, jakich tysiące budowano w Rzymie w widokach zysku z najmu mieszkań, zwykle zaś budowano tak pośpiesznie i licho, że nie było niemal roku, aby kilka z nich nie zapadło się na głowy mieszkańców. Były to prawdziwe ule, zbyt wysokie i zbyt wązkie, pełne komórek i zakamarków, w których gnieździła się ludność uboga, a zarazem nader liczna. W mieście, w którym wiele ulic nie miało nazw, domy owe nie miały numerów; właściciele powierzali pobór komornego niewolnikom, ci jednak, nie obowiązani przez władzę miejską do podawania imion mieszkańców, częstokroć nie znali ich sami. Dopytać się o kogoś w takim domu, bywało nieraz niezmiernie trudno, zwłaszcza, gdy przy bramie nie było odźwiernego. Viniciusz z Krotonem przez długą, podobną do kurytarza sień dostali się na wązkie, zabudowane z czterech stron podwórko, stanowiące rodzaj wspólnego dla całego domu atrium, z fontanną w środku, której strumień spadał w kamienną misę, wmurowaną w ziemię. Przy wszystkich ścianach biegingy w górę zewnętrzne schody, częścią kamienne, częścią drewniane, prowadzące do galeryi, z których wchodziło się do mieszkań. Na dole były również mieszkania, niektóre zaopatrzone w drewniane drzwi, inne oddzielone od podwórza tylko za pomocą wełnianych, po większej części wystrzępionych i podartych lub połatanych zasłon. Godzina była wczesna i na podwórku żywej duszy. Widocznie w całym domu spali jeszcze wszyscy, z wyjątkiem tych, którzy wrócili z Ostrianum. — Co uczynimy, panie? — spytał Kroton, zatrzymując się. — Czekajmy tu; może się ktoś zjawi — odrzekł Viniciusz. — Nie trzeba, by nas widziano na podwórzu. Lecz zarazem myślał, że rada Chilona była praktyczną. Gdyby się miało kilkudziesięciu niewolników, możnaby obsadzić bramę, która zdawała się być jedynem wyjściem i przetrząsnąć wszystkie mieszkania, tak zaś należało odrazu trafić do mieszkania Lygii, inaczej bowiem chrześcijanie, których zapewne w tym domu nie brakło, mogli ją ostrzedz, że jej szukają. Z tego względu było niebezpiecznem i rozpytywanie się obcych osób. Viniciusz przez chwilę namyślał się, czy nie wrócić

się po niewolników, gdy wtem z pod jednej z zasłon, zamykających dalsze mieszkania, wyszedł człowiek z sitem w ręku i zbliżył się do fontanny. Młody człowiek na pierwszy rzut oka poznał Ursusa. — To Lyg! — szepnął Viniciusz. — Czy mam zaraz połamać mu kości? — Czekaj. Ursus nie dostrzegł ich, albowiem stali w mroku sieni, i począł spokojnie opłukiwać w wodzie jarzyny, napełniające sito. Widocznem było, że po całej nocy, spędzonej na cmentarzu, zamierzał przygotować z nich śniadanie. Po chwili, ukończywszy swą czynność, wziął mokre sito i zniknął z niem razem za zasłoną. Kroto i Viniciusz ruszyli za nim, sądząc, że wpadną wprost do mieszkania Lygii. Więc zdziwienie ich było niepomierne, gdy spostrzegli, że zasłona oddzielała od podwórza nie mieszkanie, ale drugi ciemny kurytarz, na końcu którego widać było ogródek, złożony z kilku cyprysów, kilku mirtowych krzaków i mały domek, przylepiony do ślepej tylnej ściany innej kamienicy. Obaj zrozumieli natychmiast, że jest to dla nich okoliczność pomyślna. Na podwórzu mogło powstać zbiegowisko wszystkich mieszkańców, ustronność zaś domku ułatwiała przedsięwzięcie. Prędko uwiną się z obrońcami, a raczej z Ursusem, poczem z porwaną Lygią równie prędko dostaną się na ulicę, a tam już dadzą sobie rady. Prawdopodobnie nikt ich nie zaczepi, gdyby ich zaczepiono, powiedzą, że chodzi o zbiegłą zakładniczkę Cezara, w ostatnim zaś razie Viniciusz da się poznać wigilom i wezwie ich pomocy. Ursus wchodził już prawie do domku, gdy szelest kroków zwrócił jego uwagę, więc przystanął, a ujrawszy dwóch ludzi, złożył sito na balustradzie i zawrócił ku nim. — A czego tu szukacie? — spytał. — Ciebie! — odparł Viniciusz. Poczem, zwróciwszy się do Krotona, zawołał prędkim, cichym głosem: — Zabij! Kroto rzucił się jak tygrys i w jednej chwili, zanim Lyg zdołał się opamiętać lub rozpoznać nieprzyjaciół, chwycił go w swoje stalowe ramiona. Lecz Viniciusz zbyt był pewien jego nadludzkiej siły, by czekać na koniec walki, więc, pominąwszy ich, skoczył ku drzwiom domku, pchnął je i znalazł się w ciemnej nieco izbie, rozświetlonej jednak przez ogień palący się na kominie. Blask tego płomienia padał wprost na twarz Lygii. Drugą osobą, siedzącą przy ognisku, był ów starzec, który towarzyszył dziewczynie i Ursusowi w drodze z Ostrianum. Viniciusz wpadł tak nagle, że, zanim Lygia mogła go rozpoznać, chwycił ją wpół i, uniósłszy w górę, rzucił się znów ku drzwiom. Starzec zdołał mu je wprawdzie zastąpić, lecz on, przycisnąwszy dziewczynę jednym ramieniem do piersi, odtrącił go drugą wolną ręką. Kaptur spadł mu z głowy i wówczas na widok tej znanej sobie, a straszliwej w tej chwili twarzy, krew ścięła się w Lygii z przerażenia, a głos zamarł jej w gardle. Chciała wołać o pomoc i nie mogła. Również napróżno chciała uchwycić za ramę drzwi, by dać opór. Palce jej zesunęły się po kamieniu i byłaby straciła przytomność, gdyby nie okropny obraz, który uderzył jej oczy, gdy Viniciusz wypadł z nią do ogrodu. Oto Ursus trzymał w ramionach jakiegoś człowieka, całkiem przegiętego w tył, z przechyloną głową i z ustami we krwi. Ujrawszy ich, raz jeszcze uderzył pięścią w tę głowę i w jednym mgnieniu oka skoczył, jak rozjuszony zwierz, ku Viniciuszowi. — Śmierć! — pomyślał młody patrycyusz. A potem usłyszał, jakby przez sen, okrzyk Lygii: „nie zabijaj!“ następnie uczuł, że coś, jakby piorun, rozwiązało jego ręce, którymi ją obejmował, wreszcie ziemia zakręciła się z nim i światło dnia zgasło w jego oczach.

.....

Chilo jednakże, ukryty za węglem narożnika, czekał, co się stanie, albowiem ciekawość walczyła w nim ze strachem. Myślał również, że jeśli im się uda porwać Lygię, to dobrze będzie być przy Viniciuszu. Urbana nie obawiał się już, był bowiem także pewny, że Kroto go zabije. Natomiast liczył, że w razie, gdyby na pustych dotąd ulicach zaczęło się tworzyć zbiegowisko, gdyby chrześcijanie lub jacykolwiek ludzie chcieli stawić opór Viniciuszowi, tedy on przemówi do nich jako przedstawiciel władzy, jako wykonawca woli Cezara, a w ostatnim razie wezwie wigilów na pomoc młodemu patrycyuszowi przeciw ulicznej hołocie i tem zaskarbi sobie nowe łaski. W duszy

sądził zawsze, że postępek Viniciusza jest nieroztropny, bacząc jednak na straszliwą siłę Krotona, przypuszczał, że może się udać. „Gdyby było z nimi źle, sam trybun będzie niósł dziewczynę, a Kroto utoruje mu drogę“. Czas jednakże dłużył mu się; niepokoila go cisza sieni, na którą zdaleka spoglądał: — Jeśli nie trafią do jej kryjówki, a naczynią hałasu, to ją spłoszą. I myśl o tem nie była mu zresztą przykrą, rozumiał bowiem, że w takim razie będzie znów potrzebny Viniciuszowi i znów potrafi z niego wycisnąć pokaźną ilość sestercyi. — Cokolwiek uczynią — mówił sobie — dla mnie uczynią, choć żaden się tego nie domyśla... Bogowie, bogowie, pozwólcie mi tylko... I nagle urwał, zdawało mu się bowiem, że coś wychyliło się z sieni, więc, przycisnąwszy się do muru, począł patrzeć, tamując dech w piersiach. I nie mylił się, z sieni bowiem wysunęła się do wpół jakaś głowa i poczęła się rozglądać dookoła. Po chwili jednak znikła. — To Viniciusz albo Kroto — pomyślał Chilo — ale jeśli porwali dziewczkę, dlaczego ona nie krzyczy i po co wyglądają na ulicę? Ludzi i tak muszą napotkać, bo, nim dojdą do Karynów, ruch się zrobi na mieście. Co to!? na wszystkich bogów nieśmiertelnych!.. I nagle resztki włosów zjeżyły mu się na głowie. We drzwiach pokazał się Ursus z przewieszonym przez ramię ciałem Krotona i, rozejrzawszy się raz jeszcze, począł z niem biedz pustą ulicą ku rzece. Chilo uczynił się przy murze tak płaski, jak kawał tynku. — Zginałem, jeśli mnie dojrzy! — pomyślał. Lecz Ursus przebiegł szybko koło narożnika i zniknął za następnym domem, Chilo zaś, nie czekając dłużej, począł biedz w głąb poprzecznej uliczki, dzwoniąc zębami z przerażenia i z hyżością, któraby nawet w młodzieńcu mogła dziwić. — Jeśli, wracając, dojrzy mnie zdaleka, to dogna i zabije — mówił sobie. — Ratuj mnie, Zeusie, ratuj Apollinie, ratuj Hermesie, ratuj Boże chrześcijan! Opuszczę Rzym, wrócę do Mesembryi, ale ocalcie mnie z rąk tego demona. I ten Lyg, który zabił Krotona, wydawał mu się w tej chwili rzeczywiście jakąś nadludzką istotą. Biegając, myślał, że to może być jaki bóg, który wziął na siebie postać barbarzyńcy. W tej chwili wierzył we wszystkich bogów świata i we wszystkie myty, z których drwił zwykłego czasu. Przelatywało mu także przez głowę, że Krotona mógł zabić Bóg chrześcijan i włosy zjeżały mu się znów na głowie na myśl, że zadarł z taką potęgą. Dopiero przebiegłszy kilka zaułków i spostrzegłszy jakichś robotników idących zdala naprzeciw, uspokoił się nieco. W piersiach brakło mu już tchu, siadł więc na progu domu i począł rogiem płaszcza obcierać pokryte potem czoło. — Stary jestem i potrzebuję spokoju — rzekł. Ludzie, idący naprzeciw, skęcili na jakąś boczną uliczkę i znów ogarnęła go pustka. Miasto spało jeszcze. Rankami ruch czynił się wcześniej właśnie w zamożniejszych dzielnicach, gdzie niewolnicy bogatych domów zmuszeni byli wstawać do dnia, w tych zaś, które zamieszkiwała ludność wolna, żywiona kosztem państwa, zatem próżniacza, budzono się, zwłaszcza w zimie, dość późno. Chilo, przesiedziawszy czas jakiś na progu, uczuł dojmujący chłód, więc powstał i, przekonawszy się, że nie zgubił kieski, którą dostał od Viniciusza, wolniejszym już krokiem skierował się ku rzece. — Może obaczę gdzie ciało Krotona — mówił sobie. — Bogowie! Ten Lyg, jeśli jest człowiekiem, mógłby w ciągu jednego roku zarobić miliony sestercyi, albowiem, jeśli Krotona udusił jak szczenię, to któż mu się oprze? Za każde wystąpienie na arenie, danoby mu złota tyle, ile sam waży. Lepiej on strzeże tej dziewczki, niż cerber piekła. Ale niech go też to piekło pochłonie! Nie chcę mieć z nim do czynienia. Zanadto jest kościsty. Co tu jednak począć? Stała się rzecz straszna. Jeśli on takiemu Krotonowi połamał kości, to pewno i dusza Viniciusza kwili tam nad tym przeklętym domem, czekając pogrzebu, Na Kastora! to przecie patrycyusz, przyjaciel Cezara, krewny Petroniusza, pan znany w całym Rzymie i trybun wojskowy. Śmierć jego nie ujdzie im na sucho... Gdybym też naprzykład udał się do obozu pretorianów, albo do wigilów?... Tu zamilkł i począł się namyślać, lecz po chwili rzekł: — Biada mi! Któż wprowadził go do tego domu, jeśli nie ja?... Jego wyzwoleńcy i niewolnicy wiedzą, żem do niego przychodził, a niektórzy wiedzą, w jakim celu. Co będzie, gdy posądzą mnie, żem umyślnie wskazał mu dom, w

którym spotkała go śmierć? Choćby pokazało się potem w sądzie, że jej nie chciał, i tak powiedzą, że ja jej przyczyną... A to przecie patrycyusz, więc w żadnym razie nie ujdzie mi to bezkarnie. Ale gdybym milczkiem opuścił Rzym i przeniósł się gdzieś daleko, to podałbym się w tem większe podejrzenie. I tak i tak było źle. Chodziło tylko o to, by wybrać złe mniejsze. Rzym był ogromnym miastem, a jednak Chilon uczył, że może mu być w niem zaciasno. Bo każdy inny mógłby pójść wprost do prefekta wigilów, opowiedzieć, co się stało i, choćby padło na niego jakoweś podejrzenie, czekać spokojnie na śledztwo. Ale cała przeszłość Chilona była tego rodzaju, że wszelka bliższa znajomość, bądź z prefektem miasta, bądź z prefektem wigilów, musiałyby nań sprowadzić nader poważne kłopoty, a zarazem uzasadnić wszelkie podejrzenia, jakieby przyjąć mogły do głowy urzędnikom. Z drugiej strony, uciec, było to utwierdzić Petroniusza w mniemaniu, że Viniciusz został zdradzony i zamordowany skutkiem zmywy. Owóż Petroniusz był człowiek potężny, który mógł mieć na rozkazy policję w całym państwie i który niechybnie postarałby się odnaleźć winowajców choćby na krańcach świata. Jednakże Chilonowi przyszło do głowy, czyby nie udać się wprost do niego i nie opowiedzieć mu, co się zdarzyło. Tak! Był to najlepszy sposób. Petroniusz był człowiekiem spokojnym i Chilo mógł być pewnym przynajmniej tego, że go wysłucha do końca. Petroniusz, który znał sprawę od początku, łatwiej też uwierzyłby w niewinność Chilona, niż prefekci. Żeby jednak udać się do niego, trzeba było wiedzieć napewno, co stało się z Viniciuszem, Chilo zaś tego nie wiedział. Widział wprawdzie Lyga, skradającego się do rzeki z ciałem Krotona, ale nic więcej. Viniciusz mógł być zabitym, ale mógł też być rannym lub schwytanym. Teraz dopiero przyszło Chilonowi do głowy, że chrześcijanie zapewne nie ośmieliliby się zabić człowieka tak potężnego, augustyanina i wysokiego urzędnika wojskowego, albowiem tego rodzaju postępek mógł ściągnąć na nich ogólne prześladowanie. Prawdopodobniejszem było, że zatrzymali go przemocą, aby dać czas Lygii do ponownego ukrycia się w innem miejscu. Myśl ta napełniła Chilona otuchą. — Jeśli ten lygijski smok nie rozdarł go w pierwszym zapędzie, tedy jest żywy, a jeśli jest żywy, tedy sam da świadectwo, że go nie zdradził, a wówczas nietylko nic mi nie grozi, ale (o Hermesie, licz znów na dwie jałówki!) otwiera się przede mną nowe pole... Mogę dać znać jednemu z wyzwolenców, gdzie ma szukać pana, a czy on uda się do prefekta, czy nie, to jego rzecz, bylebym ja się do niego nie udawał!.. Mogę także pójść do Petroniusza i liczyć na nagrodę... Szukałem Lygii, teraz będę szukał Viniciusza, a potem znów Lygii... Trzeba jednak naprzód wiedzieć, czy żyw, czy zabity. Tu przeszło mu przez głowę, że mógłby nocą udać się do piekarza Demasa i spytać o to Ursusa. Ale myśl tę porzucił natychmiast. Wolał nie mieć nic do czynienia z Ursusem. Mógł słusznie przypuszczać, że, jeśli Ursus nie zabił Glauka, to widocznie został przestrzeżony przez kogoś ze starszych chrześcijańskich, któremu wyznał swój zamiar, że to sprawa nieczysta i że chciał go do niej namówić jakiś zdrajca. Zresztą na samo wspomnienie Ursusa, Chilona przebiegał dreszcz po całym ciele. Natomiast pomyślał, że wieczorem wyśle Euriciusza po wieści do tego domu, w którym wypadek się zdarzył. Tymczasem potrzebował pożywić się, wykąpać i wypocząć. Niespana noc, droga do Ostrianum i ucieczka z Zatybrza strudziły go istotnie nad wszelką miarę. Jedną rzecz pocieszała go stale: oto, że miał przy sobie dwie kieski: tę, którą Viniciusz dał mu w domu, i tę, którą mu rzucił w powrotnej drodze z cmentarza. Ze względu też na tę szczęśliwą okoliczność, jak również ze względu na wszelkie wzruszenia, przez jakie przeszedł, postanowił zjeść obficie i napić się lepszego wina, niż zwykle. I, gdy wreszcie nadeszła godzina otwarcia winiarni, uczynił to w mierze tak znacznej, iż zapomniał o kąpieli. Chciało mu się przedewszystkiem spać i senność odjęła mu siły do tego stopnia, że wrócił zupełnie chwiejnym krokiem do swego mieszkania na Suburze, gdzie czekała go, zakupiona za Viniciuszowe pieniądze, niewolnica. Tam, wszedłszy do ciemnego, jak lisia jama, cubikulum, rzucił się na posłanie i zasnął w jednej chwili. Zbudził się dopiero wieczorem, a

raczej zbudziła go niewolnica, wzywając go, by wstawał, albowiem ktoś szuka go i chce się z nim widzieć w pilnej sprawie. Czujny Chilo oprzytomniał w jednej chwili, zarzucił naprędce płaszcz z kapturem i, kazawszy się niewolnicy usunąć na bok, wyrżał naprzód ostrożnie na zewnątrz. I zmartwia! albowiem przez drzwi cubikulum ujrzał olbrzymią postać Ursusa. Na ów widok uczuł, że nogi i głowa jego stają się zimne jak lód, serce przestaje bić w piersiach, po krzyżu chodzą roje mrówek... Czas jakiś nie mógł przemówić, następnie jednak, szczękając zębami, rzekł, a raczej wyjęczał: — Syro! niema mnie... nie znam... tego... dobrego człowieka... — Powiedziałam mu, że jesteś i że śpisz, panie — odrzekła dziewczyna — on zaś żądał, by cię rozbudzić... — O bogi!.. każę cię... Lecz Ursus, jakby zniecierpliwiony zwłoką, zbliżył się do drzwi cubikulum i, schyliwszy się, wsadził do wnętrza głowę. — Chilonie Chilonidesie! — rzekł. — Pax tecum! pax, pax! — odpowiedział Chilo. — O, najlepszy z chrześcijan! Tak! jestem Chilonem, ale to omyłka... Nie znam cię! — Chilonie Chilonidesie — powtórzył Ursus. — Pan twój, Viniciusz, wzywa cię, abyś się do niego udał wraz ze mną.

Viniciusza obudził dotkliwy ból. W pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, gdzie jest i co się z nim dzieje. W głowie czuł szum i oczy jego były zakryte jakby mgłą. Stopniowo jednak wracała mu przytomność i wreszcie przez ową mgłę dojrzał trzech schylonych nad sobą ludzi. Dwóch rozpoznał: jeden był Ursus, drugi — ten starzec, którego obalił, unosząc Lygię. Trzeci, zupełnie obcy, trzymał jego lewą rękę i, dotykając jej wzdłuż łokcia aż do ramienia i obojczyka, zadawał mu właśnie ból tak straszny, iż Viniciusz, sądząc, że to jest jakiś rodzaj dokonywanej nad nim zemsty, rzekł przez zaciśnięte zęby: — Zabijcie mnie. Lecz oni nie zdawali się uważać na jego słowa, jakby nie słyszeli ich lub jakby je poczytali za zwykły jęk cierpienia. Ursus ze swoją zatroskaną a zarazem groźną twarzą barbarzyńcy, trzymał pęki białych szmat, podartych na długie pasy, starzec zaś mówił do człowieka, który naciskał ramię Viniciusza: — Glauku, jest-żeś pewny, że ta rana w głowie nie jest śmiertelna? — Tak jest, cny Kryspie, — odpowiedział Glaukus — służąc, jako niewolnik, na flocie, a potem mieszkając w Neapolis, opatrywałem wiele ran i z zysków, jakie mi przynosiło to zajęcie, wykupiłem wreszcie siebie i swoich... Rana w głowie jest lekka. Gdy ten człowiek (tu wskazał głową na Ursusa) odebrał młodzieńcowi dziewczynę i pchnął go na mur, ów widocznie, padając, zasłonił się ręką, którą wybił i złamał, ale przez to ocalił głowę — i życie. — Niejednego już z braci miałeś w swej opiece — odpowiedział Kryspus — i słyniesz jako biegły lekarz... Dlatego to posłałem po ciebie Ursusa. — Który po drodze wyznał mi, iż jeszcze wczoraj gotów był mnie zabić. — Ale pierwej, niż tobie, wyznał swój zamiar mnie — ja zaś, który znam ciebie i twoją miłość dla Chrystusa, wytłómaczyłem mu, że nie ty jesteś zdrajcą, ale ów nieznajomy, który go do zabójstwa chciał namówić. — To był zły duch, ale ja wziąłem go za anioła — odrzekł z westchnieniem Ursus. — Kiedyindziej opowiesz mi to, — rzekł Glaukus — ale teraz musimy myśleć o rannym. I to rzekłszy, począł nastawiać ramię Viniciusza, który, mimo iż Kryspus skrapiał mu twarz wodą, mdlał ciągle z bólu. Była to zresztą szczęśliwa dla niego okoliczność, nie czuł bowiem nastawiania nogi, ani opasywania złamanego ramienia, które Glaukus ujął w dwie wklęsłe deseczki, a następnie obwiązał szybko i silnie, aby je unieruchomić. Lecz po dokonanej operacji rozbudził się znowu — i ujrzał nad sobą Lygię. Stała tuż przy jego łóżku, trzymając przed sobą miedziane wiaderko z wodą, w której Glaukus zanurzał od czasu do czasu gąbkę i zwilżał nią jego głowę. Viniciusz patrzył i oczom nie wierzył. Zdawało mu się, że to sen albo gorączka stawia przed nim drogie widmo — i po długiej dopiero chwili zdołał wyszeptać: — Lygio... Na jego głos wiaderko zadrżało w jej ręku, lecz zwróciła na niego oczy, pełne smutku. — Pokój z tobą! — odrzekła zcicha. I stała z wyciągniętymi przed się rękoma, z twarzą pełną litości i żalu. On zaś patrzył na nią, jakby chcąc napęłnić nią źrenice tak, aby po zamknięciu powiek obraz jej został mu pod niemi. Patrzył na jej twarz, bledszą i szczuplejszą niż dawniej, na skręty ciemnych włosów, na ubogi ubiór robotnicy; patrzył tak uporczywie, że aż pod wpływem jego wzroku jej śnieżne czoło poczęło różowieć — i naprzód pomyślał, że ją kocha zawsze, a powtóre, że ta jej bladość i to jej ubóstwo są jego dziełem, że on to wypędził ją z domu, gdzie ją kochano i gdzie ją otaczał dostatek i wygody, a wtrącił do tej mizernej izby i odział w ten nędzny płaszcz z ciemnej wełny. Ponieważ zaś pragnąłby ją odziać w najdroższe złotogłowy i we wszystkie klejnoty świata, więc zdjęło go zdumienie, trwoga, litość — i żal tak wielki, że byłby jej do nóg padł, gdyby mógł się poruszyć. — Lygio, — rzekł — nie pozwoliłaś mnie zabić. A ona odpowiedziała ze słodyczą: — Niech Bóg wróci ci zdrowie. Dla Viniciusza, który miał poczucie i tych krzywd, które jej dawniej wyrządził, i tej, którą chciał wyrządzić świeżo, był w słowach Ligii prawdziwy balsam. Zapomniał w tej chwili, że przez jej usta może mówić chrześcijańska nauka, a czuł tylko, że mówi umiłowana kobieta i że w odpowiedzi jej jest jakaś

osobista tliwość i wprost nadludzka dobroć, która wstrząsa nim do głębi duszy. Jak poprzednio z bólu, tak teraz osłabł ze wzruszenia. Ogarnęła go jakaś niemoc, zarazem ogromna i słodka. Doznał takiego wrażenia, jakby się zapadał gdzieś w otchłań, ale czuł przytem, że mu jest dobrze — i że jest szczęśliwy. Myślał też w tej chwili osłabienia, że stoi nad nim bóstwo. Tymczasem Glaukus skończył obmywać ranę w jego głowie i przyłożył do niej maść gojącą. Ursus zabrał miednik z rąk Lygii, ona zaś, wzięwszy przygotowaną na stole czarę z wodą, pomieszaną z winem, przyłożyła ją do ust rannego. Viniciusz wypił chciwie, poczem doznał ogromnej ulgi. Po dokonanym opatrunku ból prawie minął. Rany i stłuczenia poczęły tężeć. Wróciła mu zupełna przytomność. — Daj mi pić jeszcze — rzekł. Lygia odeszła z próżną czarą do drugiej izby, natomiast Kryspus, po krótkich słowach, zamienionych z Glaukiem, zbliżył się do łóżka i rzekł: — Viniciuszu, Bóg nie pozwolił ci popełnić złego uczynku, ale zachował cię przy życiu, byś opamiętał się w duszy. Ten, wobec którego człowiek jest tylko prochem — podał cię bezbronnego w ręce nasze, lecz Chrystus, w którego wierzymy, kazał nam miłować nawet nieprzyjaciół. Więc opatrzyliśmy twoje rany i jako rzekła Lygia, będziemy modlić się, aby Bóg wrócił ci zdrowie, ale dłużej nad tobą czuwać nie możemy. Zostań więc w spokoju i pomyśl, czyli godziłoby ci się prześladować dłużej Lygię, którą pozbawiłeś opiekunów, dachu — i nas, którzyśmy ci dobrem za złe wypłacili? — Chcecie mnie opuścić? — spytał Viniciusz. — Chcemy opuścić ten dom, w którym może nas dosięgnąć prześladowanie prefekta miasta. Towarzysz twój został zabity, ty zaś, który jesteś możliwym między swymi, leżysz ranny. Nie z naszej to winy się stało, ale na nas musiałby spaść gniew prawa... — Prześladowania się nie bójcie — rzeki Viniciusz. — Ja was osłonię. Kryspus nie chciał mu odpowiedzieć, że chodzi im nietylko o prefekta i policyę, ale że, nie mając zaufania i do niego także, chcą zabezpieczyć Lygię przed dalszym jego pościgiem. — Panie, — rzekł — prawa twoja ręka jest zdrowa — więc oto tabliczki i styl: napisz do sług, aby przyszli do ciebie dziś wieczór z lektyką i odnieśli cię do twego domu, w którym ci będzie wygodniej, niż wśród naszego ubóstwa. — My tu mieszkamy u biednej wdowy, która wkrótce nadejdzie z synem swoim — i owo pacholę odniesie twój list, my zaś musimy wszyscy szukać innego schronienia. Viniciusz pobladł, pojał bowiem, że chcą go rozłączyć z Lygią, i że gdy straci ją ponownie, to może nigdy w życiu jej nie ujrzeć... Rozumiał wprawdzie, że zaszyły między nią i nim rzeczy wielkie, na mocy których, chcąc ją osiąść, musi szukać jakichś nowych dróg, o których nie miał jeszcze czasu myśleć. Rozumiał również, że cokolwiekby powiedział tym ludziom — choćby im zaprzysiągł, że wróci Lygię Pomponii Graecinie, to mu mają prawo nie uwierzyć i nie uwierzą. Przecie mógł to uczynić już dawniej; przecie mógł, zamiast prześladować Lygię, udać się do Pomponii — i przysiądź jej, że się pościgu wyrzeka, a w takim razie sama Pomponia byłaby odszukała i zabrała napowrót dziewczynę. — Nie! czuł, że żadne tego rodzaju przyrzeczenia nie zdołają ich wstrzymać i żadna uroczysta przysięga nie zostanie przyjęta, tembardziej, że, nie będąc chrześcijaninem, mógłby im chyba przysiądź na bogów nieśmiertelnych, w których sam niebardzo wierzył, a których oni uważali za złe duchy. Pragnął jednak rozpaczliwie przejednać i Lygię, i tych jej opiekunów — jakimkolwiek sposobem, na to zaś potrzebował czasu. Chodziło mu także o to, by choć kilka dni patrzeć na nią. Jak tonącemu każdy odłam deski lub wiosła wydaje się zbawieniem, tak i jemu wydawało się, iż przez te kilka dni zdoła może powiedzieć coś takiego, co go do niej zbliży, że może coś obmyśli, że może coś zajdzie pomyślnego. Więc, zebrawszy myśli, rzekł: — Posłuchajcie mnie, chrześcijanie. Wczoraj byłem wraz z wami na Ostrianum i słuchałem waszej nauki, ale choćbym jej nie znał, wasze uczynki przekonałyby mnie, iż jesteście ludzie uczciwi i dobrzy. Powiedzcie owej wdowie, która zamieszkuje ten dom, aby została w nim, wy zostańcie także i mnie pozwólcie zostać. Niech ten człowiek (tu zwrócił zwrok na Glauka), który jest lekarzem lub przynajmniej zna się na opatrywaniu ran, powie, czy można mnie dziś przenosić. Jestem chory i mam

złamane ramię, które musi choć kilka dni zostać nieruchome — i dlatego oświadczam wam, iż nie ruszę się stąd, chyba mnie przemocą wyniesiecie. Tu przerwał, bo w rozbitej jego piersi zbrakło oddechu, Kryspus zaś rzekł: — Nikt, panie, nie użyje przeciw tobie przemocy, my tylko uniesiemy stąd nasze głowy. Na to nieprzywykły do oporu młody człowiek zmarszczył brwi i rzekł: — Pozwól mi odetchnąć. Po chwili zaś począł znów mówić: — O Krotona, którego zdusił Ursus, nikt nie zapyta; miał dziś jechać do Benewentu, dokąd wezwał go Vatinius, wszyscy więc będą myśleli, że wyjechał. Gdyśmy weszli z Krotonem do tego domu, nie widział nas nikt, prócz jednego Greka, który był z nami w Ostrianum. Powiem wam, gdzie mieszka, sprowadźcie mi go — ja zaś nakazę mu milczenie, albowiem jest to człowiek przeze mnie płatny. Do domu mego napiszę list, żem wyjechał także do Benewentu. Gdyby Grek już dał znać prefektowi, oświadczę mu, żem Krotona sam zabił i że on to złamał mi rękę. Tak uczynię, na cienie ojca i matki mojej! — a więc możecie tu pozostać bezpiecznie, gdyż włos nie spadnie z żadnej głowy. — Sprowadźcie mi prędko Greka, który zwie się Chilo Chilonides! — Więc Glaukus zostanie przy tobie, panie, — rzekł Kryspus — i wraz z wdową będzie miał pieczę nad tobą. Viniciusz zmarszczył brwi jeszcze silniej. — Uważ, stary człowieku, co powiem: — rzekł — winienem ci wdzięczność i wydajesz się dobrym i uczciwym człowiekiem, ale nie mówisz mi tego, co masz na dnie duszy. Ty się obawiasz, bym nie wezwał moich niewolników i nie kazał im zabrać Lygii? — Zali tak nie jest? — Tak jest! — odrzekł z pewną surowością Kryspus. — Tedy zważ, że z Chilonem będę rozmawiał przy was, i że przy was napiszę list do domu, iżem wyjechał — i że innych posłańców, jak wy, później nie znajdę... Rozważ to sam i nie drażnij mnie dłużej. Tu wzburzył się i twarz skurczyła mu się z gniewu, poczem jął mówić w uniesieniu: — Zaliś ty myślał, że ja się zaprę, iż chcę pozostać dlatego, by ją widzieć?... Głupiby odgadł, choćbym się zaparł. Ale przemocą nie będę jej więcej brał... Tobie zaś powiem co innego. Jeśli ona tu nie zostanie, to tą zdrową ręką pozrywam wiązania z ramienia, nie przyjmę jadła ni napoju — i niech śmierć moja spadnie na ciebie i na twoich braci. Czemuś mnie opatrywał, czemuś nie kazał mnie zabić? I pobladł z gniewu i osłabienia. Lecz Lygia, która z drugiej izby słyszała całą rozmowę i która była pewna, iż Viniciusz spełni to, co zapowiada, złąła się jego słów. Nic chciała za nic jego śmierci. Raniony i bezbronny, budził w niej tylko litość, nie strach. Od czasu ucieczki, żyjąc wśród ludzi, pogrążonych w ciągłym upojeniu religijnym, rozmyślających tylko o ofiarach, poświęceniach i miłosierdziu bez granic, sama upoiła się tem nowem tchnieniem do tego stopnia, że zastąpiło ono dla niej dom, rodzinę, stracone szczęście i zarazem uczyniło z niej jedną z takich dziewic-chrześcijanek, które zmieniły później starą duszę świata. Viniciusz zbyt zaważył w jej losach i zbyt się jej narzucił, by mogła o nim zapomnieć. Myślała o nim po całych dniach i nieraz prosiła Boga o taką chwilę, w której, idąc za tchnieniem nauki, mogłaby mu wypłacić się dobrem za złe, miłosierdziem za prześladowanie złamać go, zdobyć dla Chrystusa i zbawić. A teraz zdawało się jej właśnie, że taka chwila nadeszła i że modlitwy jej zostały wysłuchane. Zbliżyła się więc do Kryspusa z twarzą jakby natchnioną i poczęła mówić tak, jakby przez nią mówił głos jakiś inny: — Kryspie, niech on zostanie między nami i my pozostaniemy z nim, dopóki Chrystus go nie uzdrowi. A stary prezbiter, przywykły szukać we wszystkim tchnień Bożych, widząc jej egzaltację, pomyślał zaraz, że może mówi przez nią moc wyższa, i uląkłszy się w sercu, pochylił siwą głowę. — Niech się tak stanie, jak mówisz — rzekł. Na Viniciuszu, który przez cały czas nie spuszczał jej z oczu, to szybkie posłuszeństwo Kryspa uczyniło dziwne i przejmujące wrażenie. Wydało mu się, że Lygia jest między chrześcijanami jakąś Sybillą czy kapłanką, którą otacza cześć i posłuch. I mimowoli poddał się także tej czci. Do miłości, jaką czuł, przyłączyła się teraz jakby pewna obawa, wobec której miłość sama stawała się czemś niemal zuchwałem. Nie umiał przytem oswoić się z myślą, że stosunek ich został zmieniony, że teraz nie ona od jego, ale on zależy od jej woli, że leży oto chory, złamany, że przestał być siłą napastniczą

— zdobywcą, i że jest jakby bezbronem dzieckiem na jej opiece. Dla jego natury, dumnej i samowolnej, stosunek podobny względem każdej innej istoty byłby upokorzeniem — tym razem jednak nietylko nie odczuł upokorzenia, ale był jej wdzięczny, jak swojej pani. Były to poczucia w nim niesłychane, które dniem przedtem nie chciałyby mu się w głowie pomieścić i które zdumiewałyby go nawet w tej jeszcze chwili, gdyby umiał sobie jasno zdać z nich sprawę. Lecz on nie pytał teraz, dlaczego tak jest, jakby to było rzeczą zupełnie naturalną, czuł się tylko szczęśliwy, że zostaje. I chciał jej dziękować — z wdzięcznością i jeszcze z jakimś uczuciem, tak dalece mu nieznanem, że go nawet nazwać nie umiał, ponieważ było poprostu pokorą. Lecz poprzednie uniesienie wyczerpało go tak, że nie mógł mówić i dziękował jej tylko oczyma, w których świeciła radość, że zostaje przy niej i że będzie mógł na nią patrzeć jutro, pojutrze, może długo. Radość tę mieszała mu tylko obawa, by nie stracić tego, co zyskał, tak wielka, że, gdy Lygia podała mu znów po chwili wody i gdy chwyciła go przytem ochota, by objąć jej dłoń — bał się tego uczynić, bał się — on, ten sam Viniciusz, który na uczcie u Cezara całował przemocą jej usta, a po jej ucieczce obiecał sobie, że będzie ją za włosy włóczył do cubikulum lub każe ją smagać.

ROZDZIAŁ II.

Lecz począł się również obawiać, by jakaś niewczesna pomoc z zewnątrz nie zburzyła mu radości. Chilo mógł dać znać o jego zniknięciu prefektowi miasta lub wyzwolencom w domu — a w takim razie wtargnięcie wigilów było prawdopodobne. Przez głowę przeleciała mu wprawdzie myśl, że wówczas mógłby kazać pochwyć Lygię i zamknąć ją w swoim domu, lecz czuł, że tego uczynić nie powinien — i nie zdoła. Był człowiekiem samowolnym, zuchwałym i dość zepsutym, a w potrzebie nieubłaganym, nie był jednakże ni Tigellinem, ni Neronem. Życie wojskowe pozostawiło mu pewne poczucie sprawiedliwości, wiary i tyle sumienia, iż rozumiał, że taki postępek byłby czemś potwornie podłym. Byłby może wreszcie zdolny dopuścić się go w napadzie złości i w pełni sił, ale w tej chwili był zarazem rozczulony i chory, więc chodziło mu o to tylko, by nikt nie stanął między nim a Lygią. Zauważył zaś ze zdziwieniem, że od chwili, gdy Lygia stanęła po jego stronie, ani ona sama, ani Kryspus nie żądają od niego żadnych zapewnień, tak jak gdyby byli pewni, że w razie potrzeby obroni ich jakaś moc nadprzyrodzona. Viniciusz, w którego głowie — od czasu jak słyszał w Ostrianum naukę i opowiadanie Apostoła — poczęła się plątać i zacierać różnica między rzeczami możliwemi a niemożliwemi, nie był także zbyt daleki od przypuszczenia, że takby być mogło. Jednakże, biorąc rzeczy trzeźwiej, sam przypomniał im, co mówił o Greku, i znów zażądał, by sprowadzono mu Chilona. Kryspus zgodził się na to i postanowiono wysłać Ursusa. Viniciusz, który w ostatnich dniach przed Ostrianum często, lubo bez skutku, wysyłał był niewolników swych do Chilona, wskazał Lygowi dokładnie jego mieszkanie, poczem, skreśliwszy kilka słów na tabliczce, rzekł zwróciwszy się do Kryspa: — Daję tabliczkę, gdyż to jest człowiek podejrzliwy i chytry, który często, wzywany przeze mnie, kazał odpowiadać ludziom moim, że niema go w domu, czynił to zaś zawsze, gdy, nie mając dla mnie dobrych nowin, obawiał się mojego gniewu. — Bylem go znalazł, to go przyprowadzę, czy będzie chciał, czy nie — odpowiedział Ursus. Poczem, wzięwszy płaszcz, wyszedł śpiesznie. Odnaleść kogoś w Rzymie nie było łatwo, nawet przy najlepszych wskazówkach, ale Ursusowi pomagał w takich razach instynkt człowieka leśnego, a zarazem i wielka znajomość miasta, tak, że po niejakiem czasie znalazł się w mieszkaniu Chilona. Nie poznał go jednak. Poprzednio widział go tylko raz w życiu i do tego w nocy. Wreszcie tamten wyniosły i pewny siebie starzec, który go namawiał do zamordowania Glauka, tak był niepodobny do tego zgiętego we dwoje ze strachu Greka, że nikt nie mógł przypuścić, iż obaj stanowią jedną osobę. Chilo też, pomiarkowawszy, że Ursus patrzy na niego, jak na człowieka zupełnie obcego, ochłonął z pierwszego przerażenia. Widok tabliczki z pismem Viniciusza uspokoił go jeszcze bardziej. Nie groziło mu

przynajmniej podejrzenie, że wprowadził go umyślnie w zasadzkę. Pomyślał przytem, że chrześcijanie nie zabili Viniciusza widocznie dlatego, że nie ośmielili się podnieść ręki na osobę tak znakomitą. — A zatem Viniciusz osłoni i mnie w potrzebie, — rzekł sobie w duchu — albowiem nie wzywa mnie przecie po to, by mnie dać zabić. Nabrawszy więc nieco ducha, spytał: — Dobry człowieku, zali przyjaciel mój, szlachetny Viniciusz, nie przysłał po mnie lektyki? — nogi mam popuchnięte i iść tak daleko nie mogę. — Nie — odrzekł Ursus — pójdziemy piechotą. — A jeśli odmówię? — Nie czyń tego, gdyż pójść musisz. — I pójdę, ale z własnej chęci. Inaczej niktby mnie nie zmusił, albowiem jestem człowiekiem wolnym i przyjacielem prefekta miasta. Jako mędrzec, posiadam również sposoby na przemoc — i umiem zamieniać ludzi w drzewa i zwierzęta. Ale pójdę — pójdę! Wdzieję tylko płaszcz jeszcze nieco cieplejszy i kaptur, aby mnie nie poznali niewolnicy tej dzielnicy, — inaczej bowiem zatrzymywaliby nas ustawicznie, aby całować moje ręce. To rzekłszy, nawdział inny płaszcz, na głowę zaś spuścił gallicki obszerny kaptur, z obawy, by Ursus nie przypomniał sobie jego rysów, gdy wyjdą na większe światło. — Gdzie mnie prowadzisz? — spytał po drodze Ursusa. — Na Zatybrze. — Niedawno jestem w Rzymie i nigdy tam nie byłem, ale i tam żyją zapewne ludzie, którzy kochają cnotę. Ale Ursus, który był człowiekiem naiwnym i który słyszał Viniciusza, mówiącego, iż Grek był z nim na cmentarzu Ostrianum, a potem widział, gdy wchodzili z Krotonem do domu, w którym mieszkała Lygia, zatrzymał się na chwilę i rzekł: — Nie kłam, stary człowieku, albowiem dziś byłeś z Viniciuszem na Ostrianum i pod naszą bramą. — Ach — rzekł Chilo. — Więc to wasz dom stoi na Zatybrzu? Od niedawna jestem w Rzymie i nie wiem dobrze, jak się zwą różne dzielnice. Tak jest, przyjacielu! Byłem pod waszą bramą i zaklinałem pod nią w imię cnoty Viniciusza, by nie wchodził. Byłem i w Ostrianum, a wiesz dlaczego? Oto od pewnego czasu pracuję nad nawróceniem Viniciusza i chciałem, aby posłuchał najstarszego z apostołów. Niech światło przeniknie do jego duszy i do twojej! Wszakże jesteś chrześcijaninem i wszak pragniesz, aby prawda zapanowała nad fałszem? — Tak jest — odrzekł z pokorą Ursus. Chilonowi wróciła zupełnie odwaga. — Viniciusz jest to pan możny — rzekł — i przyjaciel Cezara. Często on jeszcze słucha podszeptów złego ducha, ale gdyby choć włos spadł z jego głowy, Cezar pomściłby się na wszystkich chrześcijanach. — Nas większa moc strzeże. — Słusznie! słusznie! ale co zamierzacie uczynić z Viniciuszem? — spytał z nowym niepokojem Chilon. — Nie wiem. Chrystus nakazuje miłosierdzie. — Toś wyśmienicie powiedział. Pamiętaj o tem zawsze, inaczej będziesz się skwarzył w piekle, jak kiszka na patelni. Ursus westchnął. Chilo zaś pomyślał, że z tym strasliwym w chwili pierwszego porywu człowiekiem zrobiłby zawsze, coby chciał. Więc pragnąc wiedzieć, jak rzeczy odbyły się przy porywaniu Lygii, pytał dalej głosem surowego sędziego: — Jak postąpiliście z Krotonem? Mów i nie zmyślaj. Ursus westchnął po raz drugi: — Powie ci to Viniciusz. — To się znaczy, że pchnąłeś go nożem lub zabiłeś pałką? — Byłem bezbronny. Grek nie mógł oprzeć się podziwowi nad nadludzką siłą barbarzyńcy. — Niech cię Pluto!.. To jest, chciałem powiedzieć: niech ci Chrystus przebaczy! Czas jakiś szli w milczeniu, poczem Chilo rzekł: — Nie ja cię zdradzę, ale strzeż się wigilów. — Ja boję się Chrystusa, nie wigilów. — I to słusznie. Niemasz cięższej winy nad zabójstwo. Będę się za ciebie modlił, ale nie wiem, czy nawet moja modlitwa co wskóra — chyba, że uczynisz ślub, iż nigdy w życiu nikogo nie tkniesz palcem. — Ja i tak nie zabijałem rozmyślnie — odpowiedział Ursus. Chilo jednak, który pragnął się na wszelki przypadek zabezpieczyć, nie przestawał obrzydzać w dalszym ciągu zabójstwa Ursusowi i zachęcać go do wykonania ślubu. Wypytywał też i o Viniciusza, lecz Lyg odpowiadał na jego pytania niechętnie, powtarzając, że z ust samego Viniciusza usłyszy to, co usłyszeć powinien. Rozmawiając w ten sposób, przebyli wreszcie daleką drogę, dzielącą mieszkanie Greka od Zatybrza, i znaleźli się przed domem. Serce Chilona poczęło znów bić niespokojnie. Ze strachu wydało mu się, że Ursus poczyną

spoglądać na niego jakimś łakomym wzrokiem. „Mała mi pociecha — mówił sobie — jeśli mnie zabije niechcący, i wołałbym w każdym razie, aby go ruszył paraliż — a razem z nim i wszystkich Lygów, co daj Zeusie, jeśli potrafisz“. Tak rozmyślając zatulał się coraz mocniej w swoją gallicką gunię, powtarzając, iż boi się chłodu. Wreszcie, gdy, przebywszy sień i pierwsze podwórze, znaleźli się w korytarzu, prowadzącym do ogródka domku, zatrzymał się nagle i rzekł: — Pozwól mi tchu nabrać, inaczej bowiem nie będę mógł rozmówić się z Viniciuszem i udzielić mu rad zbawiennych. To rzekłszy, stanął — gdyż, jakkolwiek powtarzał sobie, że żadne niebezpieczeństwo mu nie grozi, jednakże na myśl, że stanie wśród tych tajemniczych ludzi, których widział w Ostrianum, nogi trzęsły się nieco pod nim. Tymczasem z domku poczęły dochodzić uszu jego śpiewy. — Co to jest? — pytał. — Mówisz, żeś chrześcijaninem, a nie wiesz, że między nami jest zwyczaj po każdym posiłku wielbić Zbawiciela naszego śpiewaniem — odpowiedział Ursus. — Myriam z synem musiała już wrócić — a może i Apostoł jest z nimi, codziennie bowiem nawiedza wdowę i Kryspa. — Prowadź mnie wprost do Viniciusza. — Viniciusz jest w tej izbie, gdzie i wszyscy, bo ta jedna jest większa, a zresztą same ciemne cubikula, do których tylko spać chodzimy. Wejźmy już — tam odpoczniesz. I weszli. W izbie było ciemnawo, wieczór był chmurny, zimowy, a płomień kilku kaganków niezupełnie rozpraszał mrok. — Viniciusz raczej domyślił się, niż rozeznał, w zakapturzonym człowieku Chilona, ten zaś, ujrzawszy łożę w rogu izby i na niem Viniciusza, ruszył, nie patrząc na innych, wprost ku niemu — jakby w przekonaniu, że przy nim będzie mu najbezpieczniej. — O panie! czemuś nie słuchał moich rad! — zawołał, składając ręce. — Milcz — rzekł Viniciusz — i słuchaj! Tu począł patrzeć bystro w oczy Chilona i mówić zwolna, a dobitnie, jakby chciał, by każde jego słowo zrozumiane było jako rozkaz i zastało raz na zawsze w Chilonowej pamięci: — Kroto rzucił się na mnie, by mnie zamordować i ograbić — rozumiesz! Wówczas zabiłem go, ci zaś ludzie opatrzyli rany, jakie otrzymałem w walce z nim. Chilo odrazu zrozumiał, że, jeśli Viniciusz tak mówi, to chyba na mocy jakiegoś układu z chrześcijanami, a w takim razie chce, by mu wierzono. Poznał też to z jego twarzy, więc w jednej chwili, nie okazawszy ni powątpiewania, ni zdziwienia, podniósł oczy w górę i zawołał: — Łotr to był wierutny, panie! Wszakżem cię ostrzegał, byś mu nie ufał. Wszystkie moje nauki obijały się o jego głowę, jak groch o ścianę. W całym Hadesie niema dla niego mąk dostatecznych. Bo kto nie może być uczciwym człowiekiem, ten poniekąd musi być łotrem; komuż zaś trudniej zostać uczciwym, niż łotrowi? Ale żeby napadać na swego dobroczyńcę i pana tak wspaniałomyślnego... O bogowie!... Tu jednak wspomniał, że w czasie drogi przedstawiał się Ursusowi jako chrześcijanin — i umilkł. Viniciusz rzekł: — Gdyby nie „sica“, którą miałem ze sobą, byłby mnie zabił. — Błogosławię tę chwilę, w której doradziłem ci wziąć choć nóż. Lecz Viniciusz zwrócił na Greka badawcze spojrzenie i spytał: — Coś czynił dziś? — Jakto? Czym ci, panie, nie powiedział, żeś czynił śluby za twoje zdrowie? — I nic więcej? — I wybierałem się właśnie odwiedzić cię, gdy tamten dobry człowiek nadszedł i powiedział mi, że mnie wzywasz. — Oto jest tabliczka. Pójdiesz z nią do mego domu, odnajdziesz mego wyzwolenca i oddasz mu ją. Napisano jest na niej, żeś wyjechał do Benewentu. — Powiesz Demasowi od siebie, żeś to uczynił dziś rano, wezwany pilnym listem przez Petroniusza. Tu powtórzył z naciskiem: — Wyjechałem do Benewentu — rozumiesz! — Wyjechałeś, panie! Rano zegnałem cię przecie przy Porta Capena — i od czasu twego wyjazdu taka ogarnia mnie tęsknota, że jeśli twa wspaniałomyślność jej nie utuli, zakwilę się na śmierć, jak nieszczęsna żona Zethosa z żalu po Itylu. Viniciusz, lubo chory i nawykły do giętkości Greka, nie mógł jednak wstrzymać uśmiechu. Rad był przytem, że Chilo w lot go zrozumiał, więc rzekł: — Zatem dopiszę, by ci łzy obtarto. Daj mi kaganek. Chilo, uspokojony już zupełnie, wstał i, uczyniwszy kilka kroków w stronę kominka, zdjął jeden z palących się na murku kaganków. Lecz, gdy kaptur zesunął się przy tej czynności z jego głowy i światło padło wprost na jego twarz, Glaukus

zerwał się z ławy i, zbliżywszy się szybko, stanął przed nim. — Nie poznajesz mnie, Cephasie? — spytał. I w głosie jego było coś tak strasznego, że dreszcz przebiegł wszystkich obecnych. Chilo podniósł kaganek i upuścił go prawie w tej chwili na ziemię — poczem zgiął się we dwoje i począł jęczyć: — Nie jestem... nie jestem!.. litości! Glaukus zaś zwrócił się w stronę wieczerzających i rzekł: — Oto jest człowiek, który zaprzedał i zgubił mnie i rodzinę moją!.. Historia jego była znaną i wszystkim chrześcijanom, i Viniciuszowi, który dlatego tylko nie domyślił się, kim jest ów Glaukus, że, mdlejąc ustawicznie z bólu przy opatunku, nazwiska jego nie słyszał. Lecz dla Ursusa krótka ta chwila, w połączeniu ze słowami Glauka, była jakby błyskawicą w ciemności. Rozpoznawszy Chilona, jednym skokiem znalazł się przy nim, chwycił go za ramiona i, wygiąwszy je w tył, zawołał: — On to namówił mnie, bym zamordował Glauka! — Litości! — jęczał Chilo — oddam wam... Panie! — zawołał, zwracając głowę do Viniciusza — ratuj mnie! tobiem zaufałem, wstaw się za mną... Twój list... odniosę. Panie! panie!.. Lecz Viniciusz, który najobojętniej ze wszystkich patrzył na to, co zaszło, raz dlatego, że wszystkie sprawy Greka były mu znane, a powtóre, że serce jego nie znało, co to litość, rzekł: — Zakopcie go w ogrodzie: list poniesie kto inny. Chilonowi wydało się, że słowa te są ostatecznym wyrokiem. Kości jego poczęły trzeszczeć w strasznych rękach Ursusa, oczy zachodziły łzami z bólu. — Na waszego Boga! litości! — wołał — jestem chrześcijaninem!.. Pax vobiscum! jestem chrześcijaninem, a jeśli mi nie wierzycie, ochrzczycie mnie jeszcze raz, jeszcze dwa, jeszcze dziesięć razy! Glauku, to pomyłka! Pozwólcie mi mówić! uczyńcie mnie niewolnikiem... Nie zabijajcie mnie! litości!.. I głos jego, dławiony bólem, słabł coraz bardziej, gdy wtem za stołem podniósł się Apostoł Piotr; przez chwilę chwiał swą białą głową, zniżając ją ku piersiom, i oczy miał zamknięte, ale następnie otworzył je i rzekł wśród ciszy: — A oto powiedział nam Zbawiciel: „Jeśli by twój brat zgrzeszył przeciw tobie, strofuj go; a jeśli by żałował, odpuść mu. A jeśli by siedm kroć na dzień zgrzeszył przeciw tobie i siedm kroć nawrócił się k’tobie mówiąc: Żal ci mi! odpuść mu!“ Poczem zapadła cisza jeszcze większa. Glaukus stał długi czas z twarzą nakrytą dłońmi, wreszcie odłął je i rzekł: — Cephasie, niech ci tak Bóg odpuści krzywdy moje, jako ja ci je w imię Chrystusa odpuszczam. A Ursus, uwolniwszy ramiona Greka, dodał zaraz: — Niech mi tak Zbawiciel będzie miłościwy, jako i ja ci odpuszczam. Ow upadł na ziemię i, wsparty na niej rękoma, kręcił głową, jak zwierzę, schwytywane w sidła, rozglądając się naokół i czekając, skąd śmierć przyjdzie. Oczom i uszom jeszcze nie wierzył, i nie śmiał spodziewać się przebaczenia. Lecz z wolna wracała mu przytomność, tylko zsiniałe wargi trzęsły mu się jeszcze z przerażenia. Tymczasem Apostoł rzekł: — Odejdź w spokoju! Chilo powstał, lecz nie mógł jeszcze przemówić. Mimowoli zbliżył się do łoża Viniciusza, jakby jeszcze szukając u niego opieki, albowiem nie miał dotąd czasu pomyśleć, że ów, jakkolwiek korzystał z jego usług i był poniekąd jego współnikiem, potępił go, gdy tymczasem ci właśnie, przeciw którym służył, przebaczyli. Myśl ta miała mu przyjść później. Obecnie we wzroku jego widać było tylko zdumienie i niedowierzanie. Jakkolwiek zmiarkował już, że mu przebaczone, chciał jednak jak najprędzej wynieść głowę z pośród tych niepojętych ludzi, których dobroć przerażała go prawie równie, jak przerażałoby okrucieństwo. Zdawało mu się, że, gdyby dłużej został, zaszłoby znowu coś niespodzianego, więc, stanąwszy nad Viniciuszem, począł mówić przerywanym głosem: — Daj, panie, list! daj list! I, porwawszy tabliczkę, którą mu podał Viniciusz, wybił jeden pokłon chrześcijanom, drugi choremu i chyłkiem, sunąc przy samej ścianie, wypadł za drzwi. W ogródku, gdy ogarnęła go ciemność, strach jeżył mu znów włosy na głowie, był bowiem pewny, że Ursus wypadnie za nim i zabije go wśród nocy. Byłby uciekał ze wszystkich sił, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa, po chwili zaś uczyniły się zupełnie bezwładne, albowiem Ursus istotnie stanął przy nim. Chilo upadł twarzą na ziemię i począł jęczyć: — Urbanie... w imię Chrystusa... Lecz Urban rzekł: — Nie bój się. Apostoł kazał mi wywieść cię za bramę, abyś nie

zabłądził w ciemności, a jeśliś sił brak, to odprowadzę cię do domu. Chilo podniósł twarz. — Co mówisz? co?.. Nie zabijesz mnie? — Nie! nie zabiję cię, a jeśliś chwycił cię zbyt silnie i nadwyrężył ci kości, to mi odpuść. — Pomóż mi wstać — rzekł Grek. — Nie zabijesz mnie? co? Wyprowadź mnie na ulicę, dalej sam pójdę. Ursus podniósł go z ziemi, jak piórko, i postawił na nogach, potem zaś prowadził przez ciemne przejście na drugie podwórze, z którego wychodziło się do sieni i na ulicę. W korytarzu Chilo powtarzał znów w duszy: „już po mnie“, i dopiero gdy znaleźli się na ulicy, ochłonął i rzekł: — Dalej sam pójdę. — Pokój niech będzie z tobą. — I z tobą! i z tobą!.. Daj mi odetchnąć. I po odejściu Ursusa odetchnął całą pierś. Rękoma macnął się po pasie i biodrach, jakby chcąc się przekonać, że żyje, i ruszył śpiesznym krokiem przed siebie. Lecz, uszedłszy kilkadziesiąt kroków, stanął i rzekł: — Czemu jednak oni mnie nie zabili? I pomimo, iż już z Euriciuszem rozmawiał o nauce chrześcijańskiej, pomimo rozmowy nad rzeką z Urbanem i pomimo wszystkiego, co słyszał na Ostrianum, nie umiał znaleźć na to pytanie odpowiedzi.

ROZDZIAŁ III.

Viniciusz również nie umiał zdać sobie sprawy z tego, co zaszło, i na dnie duszy prawie niemniej zdumiony był od Chilona. Bo że z nim samym ludzie ci obeszli się tak, jak się obeszli, i zamiast pomścić się nad nim za napaść, opatrzyli troskliwie jego rany, przypisywał to w części nauce, którą wyznawali, bardziej Lygii, a potrochu i swemu wielkiemu znaczeniu. Ale postąpienie ich z Chilonem przechodziło wprost jego pojęcia o ludzkiej zdolności przebaczenia. I jemu mimowoli nasuwało się na myśl pytanie, dlaczego oni nie zabili Greka? Wszakże mogli to uczynić bezkarnie. Ursus byłby go zakopał w ogrodzie lub nocą wyniósł do Tybru, który w owych czasach nocnych rozbojów, dokonywanych przez samego Cezara, tak często wyrzucał rankami ciała ludzkie, iż nikt nawet nie dochodził, skąd się brały. Przytem, wedle Viniciusza, chrześcijanie nie tylko mogli, ale powinni byli zabić Chilona. Litość nie była wprawdzie całkiem obcą temu światu, do którego należał młody patrycyusz. Ateńczycy wzniesli przecie jej ołtarz i długi czas opierali się wprowadzeniu do Aten walk gladyatorów. Bywało, że i w Rzymie zwyciężeni otrzymywali przebaczenie, jak naprzykład Kalikratus, król Bretonów, który, wzięty w niewolę za Klaudyusza i opatrzony przez tegoż suto, mieszkał swobodnie w mieście. Ale zemsta za krzywdy osobiste wydawała się Viniciuszowi, tak jak i wszystkim, słuszną i usprawiedliwioną. Niechanie jej było zgoła przeciwne jego duszy. Słyszał wprawdzie i on w Ostrianum, że należy miłować nawet nieprzyjaciół, uważał to jednak za jakąś teorię, nie mającą w życiu znaczenia. I teraz jeszcze przechodziło mu przez głowę, że może nie zabito Chilona dlatego tylko, że była jakaś pora świąt lub jakaś kwadra księżyca, podczas której chrześcijanom nie godziło się zabijać. Słyszał, że bywają takie terminy, w których różnym narodom nie wolno nawet i wojny poczynać. Lecz dlaczego w takim razie nie oddano Greka w ręce sprawiedliwości, dlaczego Apostoł mówił, że gdyby ktoś siedemkroć zawinił, to siedemkroć należy mu przebaczyć, i dlaczego Glaukus powiedział Chilonowi: „Niech ci tak Bóg odpuści, jako ja ci odpuszczam“? A przecie Chilo wyrządził mu najstraszliwszą krzywdę, jaką człowiek człowiekowi może wyrządzić, i w Viniciuszu na samą myśl o tem, jakby postąpił z takim, ktoby naprzykład zabił Lygię, zawrzało serce, jak ukrop: nie byłoby takich mąk, któremiby jej nie pomścił! A tamten przebaczył! I Ursus przebaczył także, on, który w istocie rzeczy mógł zabić w Rzymie kogoby chciał, zupełnie bezkarnie, albowiem następnie potrzebował zabić tylko króla Nemoreńskiego gaju i zająć jego miejsce. Czyż człowiekowi, któremu nie oparł się Kroto, oparłby się piastujący tę godność gladyator, do której dochodziło się tylko przez zabójstwo poprzedniego „króla“? Jedną była tylko na te wszystkie pytania odpowiedź. Oto oni nie zabijali przez jakąś dobroć, tak wielką, że podobnej nie było dotąd na świecie, i przez miłość do ludzi bezgraniczną, która nakazywała zapominać o sobie, o swoich krzywdach, o swoim szczęściu i swej niedoli — i żyć dla innych. Jaką zapłatę mieli ludzie

ci za to odebrać, Viniciusz słyszał w Ostrianum, lecz nie mieściło mu się to w głowie. Czuł natomiast, że to życie ziemskie, połączone z obowiązkiem wyrzekania się wszystkiego, co jest dobrem i rozkoszą, na korzyść innych, musiałyby być nędzne. To też w tem, co o chrześcijanach w tej chwili myślał, obok największego zdumienia była i litość, i jakby odcień pogardy. Wydało mu się, że to są owce, które muszą prędzej czy później być zjedzone przez wilki, jego zaś rzymska natura nie była zdolną zdobyć się na uznanie dla tych, którzy pozwalają się zjadać. Uderzyła go wszelako jedna rzecz. Oto, po wyjściu Chilona, jakaś głęboka radość rozjaśniła wszystkie twarze. Apostoł zbliżył się do Glauka i, położywszy dłoń na jego głowie, rzekł: — Chrystus w tobie zwyciężył! Ów zaś wznosił oczy ku górze, tak ufne i pełne wesela, jakby zlało się na niego jakieś wielkie, niespodziane szczęście. Viniciusz, który byłby zrozumiał tylko radość z dokonanej zemsty, patrzył na niego rozszerzonymi przez gorączkę oczyma, trochę tak, jak patrzyłby na obłąkanego. Widział jednak i widział nie bez wewnętrznego oburzenia, jak następnie Lygia przycisnęła swoje usta królowny do ręki tego człowieka, który z pozoru wyglądał na niewolnika, i zdawało mu się, że porządek tego świata odwraca się zupełnie. Potem nadszedł Ursus i jął opowiadać, jak wyprowadził Chilona na ulicę i jak prosił go o przebaczenie za krzywdę, jaką mógł wyrządzić jego kościom, za co Apostoł pobłogosławił i jego, a Kryspus oświadczył, że to jest dzień wielkiego zwycięstwa. Posłyszawszy o tem zwycięstwie, Viniciusz stracił całkiem wątek myśli. Lecz, gdy Lygia podała mu znów po chwili napój chłodzący, zatrzymał na chwilę jej rękę i spytał: — To i ty mi przebaczyłaś? — My chrześcijanie. Nam niewolno chować w sercu gniewu. — Lygio — rzekł wówczas — kimkolwiek jest twój Bóg, uczczone go stuwołem, dlatego tylko, że jest twoim. Ona zaś odrzekła: — Uczcisz go w sercu, gdy go pokochasz. — Dlatego tylko, że jest twoim... — powtórzył słabszym głosem Viniciusz. I przyknął powieki, albowiem opanowało go znów osłabienie. Lygia odeszła, ale po chwili wróciła i, stanąwszy blisko, pochyliła się nad nim, by się przekonać, czy śpi. Viniciusz odczuł jej bliskość i, otworzywszy oczy, uśmiechnął się, ona zaś położyła mu na nich lekko rękę, jakby chcąc go do snu nakłonić. Wówczas ogarnęła go wielka słodycz, ale zarazem czuł się mocniej chorym. I tak było w istocie. Noc już zrobiła się zupełna, a wraz z nią przyszła i silniejsza gorączka. Z tego powodu nie mógł zasnąć i wodził za Lygią wzrokiem, gdziekolwiek się ruszyła. Chwilami jednak zapadał w jakiś pół-sen, w którym widział i słyszał wszystko, co się naokół niego działo, ale w którym rzeczywistość mieszała się z gorączkowymi widzeniami. Zdawało mu się więc, że na jakimś starym, opuszczonym cmentarzu wznosi się świątynia w kształcie wieży, w której Lygia jest kapłanką. I oto nie spuszczał z niej oczu, ale widział ją na szczycie wieży, z lutnią w ręku, całą w świetle, podobną do tych kapłanek, które nocami śpiewały hymny na cześć księżyca, a które widywał na Wschodzie. On sam wspinał się z wielkim wysileniem po wężowatych schodach, by ją porwać, za nim zaś pełził Chilon, szcękając zębami z przerażenia i powtarzając: „nie czyn tego, panie, bo to kapłanka, za którą On się pomści“... Viniciusz nie wiedział, kto był ów On, rozumiał jednakże, że idzie spełnić świętokradztwo i czuł także przestrach niezmierny. Ale gdy doszedł do balustrady, otaczającej szczyt wieży, przy Ligii stanął nagle Apostoł ze srebrną brodą i rzekł: „nie podnoś na nią ręki, albowiem ona należy do mnie“. I, rzekłszy to, począł z nią razem iść szlakiem księżycowego światła, jakby drogą ku niebu, on zaś, Viniciusz, wyciągnąwszy ku nim ręce, począł ich błagać, by zabrali go ze sobą. Tu rozbudził się, otrzeźwiał i począł patrzeć przed siebie. Ognisko na wysokim trzonie żarzyło się już słabiej, ale rzucało blask jeszcze dość żywy, oni zaś siedzieli wszyscy przed ogniem, grzejąc się, ponieważ noc była chłodna, a izba dość zimna. Viniciusz widział ich oddechy, wychodzące z ust w kształcie pary. W środku siedział Apostoł, u jego kolan na niskim podnóżku Lygia, dalej Glaukus, Kryspus, Myriam, a na krańcach z jednej strony Ursus, z drugiej Nazariusz, syn Myriam, młode pacholę o ślicznej twarzy i długich, czarnych włosach, które spadały mu aż na ramiona. Lygia słuchała, z oczyma

wzniesionemi ku Apostołowi, i wszystkie głowy były zwrócone ku niemu, on zaś mówił coś półgłosem. Viniciusz począł patrzeć na niego z pewną zabobonną bojaźnią, mało co mniejszą od tego strachu, jakiego doznawał w gorączkowym widzeniu. Przeszło mu przez myśl, iż w gorączce czuł prawdę i że ten sędziwy przychodzień z dalekich brzegów rzeczywiście zabiera mu Lygię i prowadzi ją gdzieś w nieznane drogi. Był też pewny, że starzec o nim mówi, a może radzi, jak rozłączyć go z nią, zdawało się bowiem Viniciuszowi rzeczą niepodobną, by ktoś mógł mówić o czym innym, więc, zebrawszy całą przytomność, począł nasłuchiwać słów Piotra. Lecz omylił się najzupełniej, Apostoł bowiem mówił znów o Chrystusie. — Oni tem imieniem tylko żyją! — pomyślał Viniciusz. Starzec zaś opowiadał o pochyceniu Chrystusa. Przyszła rota i słudzy kapłańscy, aby Go chwycili. Gdy Zbawiciel spytał ich, kogo szukają, odpowiedzieli: „Jezusa Nazareńskiego!“ Lecz gdy im rzekł: „Jam jest!“ — padli na ziemię i nie śmieli na Niego podnieść ręki, i aż dopiero po powtórnem pytaniu chwycili Go. Tu Apostoł przerwał i wyciągnąwszy ręce do ognia, rzekł: — Noc była chłodna, jak dziś, ale zawrzało we mnie serce, więc wydobyłem miecz, by Go bronić, i uciałem ucho sługi arcykapłana. I byłbym Go bronił, więcej niż żywota własnego, gdyby mi nie był rzekł: „Włóż twój miecz w pochwy. Zali kielicha, który mi dał Ojciec, pić nie będę?“... Wówczas Go pojмали i związali... To rzekłszy, przyłożył dłonie do czoła i umilkł, chcąc przed dalszem opowiadaniem moc wspomnień pokonać. Lecz Ursus, nie mogąc wytrzymać, zerwał się, żeleźcem poprawił ogień na trzonie, aż iskry sypnęły się złotym deszczem i płomień strzelił żywiej, poczem siadł i zawołał: — A niechby się stało, co chciało — hej!... Lecz urwał nagle, gdyż Lygia położyła palec na ustach. Oddychał tylko rozgłosnie i znać było, że burzy się w duszy i że choć zawsze gotów całować stopy Apostoła, przecie tego jednego postępuku uznać w duszy nie może, bo gdyby tak, ot, przy nim podniósł kto rękę na Zbawiciela, gdyby on był z Nim tej nocy, oj, poleciałyżby wióry i z żołnierzy i ze sług kapłańskich i ze służebników... I aż oczy zaszły mu łzami na samą myśl o tem, zarazem z żalu i z dusznej rozterki, bo z jednej strony pomyślał, że nie tylko samby Zbawiciela bronił, ale jeszcze skrzyknąłby mu w pomoc Lygów, chłopów na schwał, a z drugiej, że gdyby to uczynił, to okazałby nieposłuszeństwo Zbawicielowi i przeszkodził odkupieniu świata. Więc dlatego nie mógł powstrzymać łez. Po chwili Piotr, odjąwszy dłonie z czoła, począł opowiadać dalej, lecz Viniciusza opanował znów pół-sen gorączkowy. To, co teraz słyszał, pomieszało mu się z tem, co Apostoł opowiadał poprzedniej nocy w Ostrianum o owym dniu, w którym Chrystus ukazał się na brzegu Tyberyadzkiego morza. Widział więc szeroko rozlaną toń, na niej łódź rybaczą, a w łodzi Piotra i Lygię. On sam płynął ze wszystkich sił za nimi, lecz ból w złamanem ramieniu przeszkadzał mu ich doścignąć. Burza jęła mu rzucać fale w oczy i począł tonąć, wołając błagalnym głosem o ratunek. Wówczas Lygia uklękła przed Apostołem, on zaś zwrócił łódź i wyciągnął ku niemu wiosło, które on schwyciwszy, wy dostał się przy ich pomocy na łódź i upadł na jej dno. Lecz następnie zdawało mu się, że powstawszy, ujrzał mnóstwo ludzi, płynących za łodzią. Fale nakrywały pianą ich głowy; niektórym widać było już z odmętu tylko ręce, ale Piotr raz po raz ratował tonących i zabierał ich do łodzi, która rozszerzała się jakby cudem. Wkrótce wypełniły ją całe tłumy, tak wielkie, jak te, które były zebrane w Ostrianum, a potem jeszcze większe. Viniciusz zdziwił się, jak się mogły w niej pomieścić, i wziął go strach, że pójdą na dno. Lecz Lygia poczęła go uspokajać i pokazywała mu jakieś światło na dalekim brzegu, do którego płynęli. Tu marzenia Viniciusza pomieszały się znów z tem, co słyszał w Ostrianum z ust Apostoła, jako się Chrystus objawił raz nad jeziorem. Więc teraz widział w owem nadbrzeżnem świetle jakąś postać, ku której Piotr sterował. I w miarę, jak zbliżali się ku niej, pogoda czyniła się cichsza, toń gładsza, a światłość większa. Tłumy poczęły śpiewać hymn słodki, powietrze wypełniło się zapachem nardu; woda grała tęczą, jakby z dna przeglądały lilie i róże, a wreszcie łódź uderzyła łagodnie piersią o piasek. Wówczas Lygia wzięła go za rękę i

rzekła: „Pójdź, zaprowadzę cię!“ I wiodła go w światłość.

.....
Viniciusz rozbudził się znowu, lecz marzenia jego rozpraszały się z wolna i nieodrazu odzyskał poczucie rzeczywistości. Przez czas jakiś zdawało mu się jeszcze, że jest nad jeziorem i że otaczają go tłumy, wśród których, sam nie wiedząc dlaczego, począł szukać Petroniusza i zdziwił się, że go nie może odnaleźć. Żywe światło od komina, przy którym nie było już nikogo, otrzeźwiło go jednak zupełnie. Pieńki oliwne żarzyły się leniwie pod różowym popiołem, lecz za to szczapy pinii, których widocznie świeżo dorzucano na żarzewie, strzelały jasnym płomieniem i w blasku tym Viniciusz ujrzał Lygię, siedzącą nieopodal od jego łóżka. Widok jej wzruszył go do głębi duszy. Pamiętał, że zeszłą noc spędziła w Ostrianum a cały dzień krzątała się przy opatrunku, teraz zaś, gdy wszyscy udali się na spoczynek, ona jedna czuwała u jego łóżka. Łatwo było zgadnąć, że musi być jednak zmęczona, albowiem, siedząc nieruchomie, oczy miała zamknięte. Viniciusz nie wiedział, czy śpi, czy pogrążona jest w myślach. Patrzył na jej profil, na spuszczone rzęsy, na ręce złożone na kolanach i w pogańskiej głowie jego poczęło się z trudem wykluwać pojęcie, że obok nagiej, pewnej siebie i dumnej ze swych kształtów piękności greckiej i rzymskiej, jest na świecie jakaś inna, nowa, ogromnie czysta, w której tkwi dusza. Nie umiał zdobyć się na to, by ją nazwać chrześcijańską, myśląc jednak o Lygii, nie mógł już oddzielić jej od nauki, którą wyznawała. Pojmował nawet, że jeśli wszyscy inni udali się na spoczynek, a Lygia jedna, ona, którą pokrzywdził, czuwała nad nim, to właśnie dlatego, że ta nauka tak nakazuje. Lecz myśl ta, przejmująca go podziwem dla nauki, była mu zarazem i przykrą. Wolałby był, by Lygia czyniła tak z miłości dla niego, dla jego twarzy, oczu, dla posągowych kształtów, słowem, dla tych wszystkich powodów, dla których nieraz obwijały się naokół jego szyi śnieżne ramiona greckie i rzymskie. Nagle jednak poczuł, że gdyby ona była taka, jak inne kobiety, toby mu już w niej czegoś nie dostawało. Wówczas zdumiał się i sam nie wiedział, co się z nim dzieje, albowiem spostrzegł, że i w nim poczynają powstawać jakieś nowe uczucia i nowe upodobania, obce światu, w którym żył dotąd. Tymczasem ona otworzyła oczy i widząc, że Viniciusz na nią patrzy, zbliżyła się ku niemu i rzekła: — Jestem przy tobie. A on odpowiedział: — Widziałem we śnie twoją duszę.

ROZDZIAŁ IV.

Nazajutrz ocknął się osłabiony, ale z głową chłodną i bez gorączki. Zdawało mu się, iż rozbudził go szept rozmowy, ale gdy otworzył oczy, Lygii nie było przy nim, Ursus tylko, pochylony przed kominem, rozgrzebywał siwy popiół i szukał pod nim żaru, który znalazłszy począł rozdmuchywać węgle, tak, jakby czynił to nie ustami, ale miechem kowalskim. Viniciusz, przypomniawszy sobie, że człowiek ów zgniół wczoraj Krotona, przypatrywał się z zajęciem, godnem lubownika areny, jego olbrzymiemu grzbietowi, podobnemu do grzbietu cyklopa, i potężnym, jak kolumny, udom. — Dzięki Merkuremu, że mi karku nie skrzył — pomyślał w duszy. — Na Polluksa! jeśli inni Lygowie do niego podobni, legie danubijskie mogą mieć z nimi kiedyś ciężką robotę! Głośno zaś ozwał się: — Hej, niewolniku! Ursus usunął głowę z komina i uśmiechnąwszy się niemal przyjaźnie, rzekł: — Bóg ci daj, panie, dobry dzień i dobre zdrowie, ale ja człek wolny, nie niewolnik. Viniciuszowi, który miał ochotę rozpytać Ursusa o ojczysty kraj Lygii, słowa te sprawiły pewną przyjemność, albowiem rozmowa z człowiekiem wolnym, jakkolwiek prostym, mniejszą przynosiła ujmę jego rzymskiej i patrycyuszowskiej godności, niż rozmowa z niewolnikiem, w którym ni prawo, ni obyczaj nie uznawały ludzkiej istoty. — Toś ty nie Aulusów? — spytał. — Nie, panie. Ja służę Callinie, jako służyłem jej matce, ale po dobrej woli. Tu schował znów głowę w komin, by podmuchać na węgle, na które narzucił poprzednio drew, poczem wyjął ją i rzekł: — U nas niema niewolników. Lecz Viniciusz spytał: — Gdzie jest Lygia? — Dopiero co odeszła, a ja mam uwarzyć śniadanie dla

ciebie, panie. Czuwała nad tobą całą noc. — Czemuś jej nie wyręczył? — Bo tak chciała, a moja rzecz słuchać. Tu oczy zasępiły mu się i po chwili dodał: — Gdybym ja jej nie słuchał, to tybyś, panie, nie żył. — Zali żałujesz, żeś mnie nie zabił? — Nie, panie. Chrystus nie kazał zabijać. — A Atacinus? A Kroto? — Nie mogłem inaczej — mruknął Ursus. I począł patrzeć jakby z żalem na swe ręce, które widocznie zostały pogańskie, mimo iż dusza chrzest przyjęła. Następnie postawił garnek na trzonie i kucnąwszy przed kominem, utkwiał zamyślane oczy w płomień. — To twoja wina, panie, — rzekł wreszcie — pociąg podnosił rękę na nią, na córkę królewską? W Viniciuszu zawrzała w pierwszej chwili duma, że prostak i barbarzyńiec śmie nietylko przemawiać do niego tak poufale, ale jeszcze przyganiać mu. Do tych nadzwyczajnych i nieprawdopodobnych rzeczy, które spotkały go od onegdajszej nocy, przybyła jeszcze jedna. Lecz, będąc słabym i nie mając pod ręką swych niewolników, pohamował się, zwłaszcza, że i chęć dowiedzenia się jakichś szczegółów z życia Lygii przemogła. Więc, uspokoiwszy się, począł wypytywać o wojnę Lygów przeciw Vaniuszowi i Swewom. Ursus rad opowiadał, lecz nie mógł dodać wiele nowego do tego, co Viniciuszowi opowiadał w swoim czasie Aulus Plauciusz. Ursus w bitwie nie był, towarzyszył bowiem zakładniczkom do obozu Ateliusza Histra. Wiedział tylko, że Lygowie zbili Swewów i Jazygów, ale wódz ich i król poległ od strzały Jazyga. Zaraz potem odebrali wieści, że Semnonowie zapalili lasy na ich granicach i wrócili w lot, by pomścić krzywdę, a zakładniczki zostały u Ateliusza, który z początku kazał im oddawać honory królewskie. Później matka Lygii zmarła. Wódz rzymski nie wiedział, co robić z dzieckiem. Ursus chciał wracać z niem do kraju, ale droga to była niebezpieczna z powodu zwierza i dzikich plemion; gdy więc przyszła wieść, że jakieś poselstwo Lygów znajduje się u Pomponiusza, ofiarując mu pomoc przeciw Markomanom, Histr odesłał ich do Pomponiusza. Przybywszy do niego, dowiedzieli się jednak, że posłów żadnych nie było — i w ten sposób zostali w obozie, skąd Pomponiusz przywiózł ich do Rzymu, a po odbytych tryumfie oddał królewskie dziecko Pomponii Graecinie. Viniciusz, jakkolwiek w tem opowiadaniu drobne tylko szczegóły były mu nieznanne, słuchał z przyjemnością, albowiem niezmierną jego pychę rodową łechtało mile to, że naoczny świadek stwierdzał królewskie pochodzenie Lygii. Jako córka królewska, mogła być ona zając na dworze Cezara stanowisko, równe córkom najpierwszych rodów, tembardziej, że naród, którego władcą był jej ojciec, nigdy dotąd nie wojował z Rzymem, a jakkolwiek barbarzyński, mógł się okazać groźnym, gdyż, wedle świadectwa samego Ateliusza Histra, posiadał „niezliczoną moc“ wojowników. Ursus zresztą potwierdził w zupełności owo świadectwo, albowiem na pytanie Viniciusza o Lygów odrzekł: — My siedzimy w lasach, ale ziemi u nas tyle, że nikt nie wie, gdzie koniec puszczy i ludu w niej dużo. Są też w puszczy i grody drewniane, w których dostatek wielki, bo co Semnony, Markomany, Wandale i Kwady złupią po świecie, to my im odbieramy. Oni zaś nie śmią do nas iść, jeno gdy wiatr od nich, to palą nam lasy. I nie boimy się ni ich, ni rzymskiego Cezara. — Bogowie dali Rzymianom zwierzchnictwo nad ziemią — rzekł surowo Viniciusz. — Bogowie, to złe duchy — odpowiedział z prostotą Ursus — a gdzie nie ma Rzymian, tam niema i zwierzchnictwa. Tu poprawił ogień i mówił jakby sam do siebie: — Gdy Callinę wziął Cezar na dwór, a ja myślałem, że może ją spotkać krzywda, to chciałem iść aż hen do lasów i sprowadzić Lygów na pomoc królowi. I Lygowie ruszyliby ku Dunajowi, bo to lud dobry, choć pogański. Ot! zaniósłbym im „dobrą nowinę“. Ale ja i tak kiedy, jak Callina wróci do Pomponii, pokłonię się jej, by pozwoliła mi iść do nich, bo Chrystus narodził się daleko i oni nawet nie słyszeli o Nim... Wiedział On lepiej ode mnie, gdzie Mu się trzeba narodzić, ale gdyby tak u nas, w puszczy przyszedł na świat, pewniebyśmy Go nie umęczyli, ale hodowalibyśmy Dzieciątka i dbali, by Mu nigdy nie zbrakło ni zwierzyny, ni grzybów, ni skór bobrowych, ni bursztynu. A cobyśmy na Swewach albo Markomanach złupili, tobyśmy Mu oddali, by zaś miało dostatek i wygodę. Tak mówiąc, przystawił do ognia naczynie z polewką,

przeznaczoną dla Viniciusza, i umilkł. Myśl jego błądziła widocznie czas jakiś po puszcach lygijskich, aż dopiero gdy płyn począł syczeć, wylał go w płaską misę i ostudziwszy należycie, rzekł: — Glaukus radzi, byś jak najmniej poruszał, panie, nawet tą ręką, która została zdrowa, więc Callina rozkazała mi cię karmić. Lygia rozkazała! na to nie było odpowiedzi. Viniciuszowi nie przyszło nawet na myśl sprzeciwić się jej woli, jakby była córką Cezara lub boginią, nie odpowiedział przeto ani słowem, Ursus zaś, siadłszy koło jego łóżka, począł czerpać polewkę z misy małym kubkiem i podawać mu ją do ust. Czynił to tak troskliwie, z takim dobrym uśmiechem w swoich błękitnych oczach, iż Viniciusz oczom swoim nie wierzył, by to mógł być ten sam straszliwy tytan, który w dniu wczorajszym, zgniótłszy Krotona, rzucił się na niego samego, jak burza, i byłby go rozniósł, gdyby nie litość Lygii. Młody patrycyusz po raz pierwszy w życiu począł się zastanawiać nad tem, co też może dziać się w piersi prostaka, sługi i barbarzyńcy. Lecz Ursus okazał się niańką, o tyle niezgrabną, o ile troskliwą. Kubek ginął całkowicie w jego herkulesowych palcach, tak, że nie pozostawało nic miejsca dla ust Viniciusza. Po kilku nieudanych próbach olbrzym zatroskał się wielce i rzekł: — Ej, łatwiej żubra z ostępu wywieść... Viniciusza zabawiło zakłopotanie Lygi, lecz niemniej zajęła go jego uwaga. Widywał on w cyrkach straszliwe „ury“, sprowadzane z puszczy północnych, na które najdzielniejsi bestiarii polowali z obawą i które jednym tylko słoniom ustępowały w wielkości i sile. — Zaliś próbował brać takie bestye za rogi? — spytał ze zdumieniem. — Póki nie przeszło nade mną dwadzieścia zim, tom się bał — odrzekł Ursus — ale potem — bywało! I jął znów karmić Viniciusza, jeszcze niezgrabniej, niż przedtem. — Muszę poprosić Myriam lub Nazariusza — rzekł. Lecz tymczasem błada główka Lygii wychyliła się z poza zasłony. — Zaraz pomogę — rzekła. I wyszła po chwili z cubikulum, w którym gotowała się widocznie do snu, gdyż przybrana była tylko w obcisłą tunikę, zwaną u starożytnych capitium, zakrywającą szczelnie piersi, i włosy miała rozwiązane. Viniciusz, którego serce zabiło żywiej na jej widok, począł jej wymawiać, że dotąd nie pomyślała o śnie, lecz ona odrzekła wesoło: — Właśnie chciałam to uczynić, ale pierwej zastąpię Ursusa. I wzięwszy kubek, siadła na krawędzi łóżka i poczęła karmić Viniciusza, który czuł się zarazem upokorzony i szczęśliwy. Gdy pochylała się ku niemu, biło na niego ciepło jej ciała i rozwiązane jej włosy spływały mu na piersi, on zaś bladł z wrażenia, ale w zamęcie i porywie żądź odczuwał zarazem, że to jest nad wszystko droga i nad wszystko uwielbiona głowa, wobec której świat cały jest niczem. Pierwej pożądał jej, teraz poczynił ją kochać pełną piersią. Dawniej, jak wogóle w życiu, tak i w uczuciu, był, jak wszyscy ówcześni ludzie, ślepym, bezwzględny egoistą, któremu chodziło tylko o siebie, obecnie poczęło mu chodzić i o nią. Po chwili też odmówił dalszego posiłku i, choć w patrzeniu na nią i w jej obecności znajdował nieprzebraną rozkosz, rzekł: — Dosyć. Idź spocząć, boska moja. — Nie nazywaj mnie tak — odpowiedziała — mnie się tego słuchać nie godzi. Jednakże uśmiechała się do niego, a następnie rzekła mu, że sen ją odbiegł, że trudu nie czuje i że nie uda się na spoczynek, póki nie przyjdzie Glaukus. On słuchał jej słów jak muzyki, a zarazem serce wzbierało mu coraz większem wzruszeniem, coraz większym zachwytem, coraz większą wdzięcznością, a myśl bledziła się, jakby jej tę wdzięczność okazać. — Lygio — rzekł po chwili milczenia. — Jam cię poprzednio nie znał. Ale teraz wiem, że chciałem dobiec do ciebie błędną drogą, więc ci powiadam: wróć do Pomponii Graeciny i bądź pewna, że odtąd nikt nie podniesie na ciebie ręki. A jej twarz posmutniała nagle. — Byłabym szczęśliwa — odrzekła — gdybym ją choć z daleka mogła zobaczyć, ale wrócić do niej już nie mogę. — Dlaczego? — zapytał ze zdziwieniem Viniciusz. — My, chrześcijanie, wiemy przez Akte, co się na Palatynie dzieje. Zaliś nie słyszał, że Cezar wkrótce po mojej ucieczce, a przed swym wyjazdem do Neapolis, wezwał Aulusa i Pomponię — i, mniemając, że mi pomogli, groził im swym gniewem. Szczęściem, Aulus mógł mu odrzec: „Wiesz, panie, że nigdy kłamstwo nie przeszło mi

przez usta; otóż przysięgam ci, żeśmy jej nie pomogli do ucieczki i że równie, jak ty, nie wiemy, co się z nią stało“. I Cezar uwierzył, a potem zapomniał — ja zaś z porady starszych nigdy nie pisałam do matki, gdzie jestem, by zawsze śmiało mogła zaprzysiąc, że nic o mnie nie wie. Ty może tego nie pojmiesz, Viniciuszu, ale nam kłamać nie wolno, nawet gdyby o życie chodziło. Taka jest nasza nauka, do której chcemy stosować serca, więc nie widziałam Pomponii od czasu, gdym opuściła jej dom, ją zaś zaledwie od czasu do czasu dolatywały dalekie echa, że żyję i że jestem bezpieczna. Tu porwała ją tęsknota, bo oczy jej zrosiły się łzami, lecz wkrótce uspokoiła się i rzekła: — Wiem, że i Pomponia tęskni za mną, my jednak mamy nasze pociechy, których nie mają inni. — Tak — odrzekł Viniciusz — waszą pociechą Chrystus, ale ja tego nie rozumiem. — Patrz na nas: niema dla nas rozłączeń, niema boleści i cierpień, a jeśli przyjdą, to zmieniają się w radość. I śmierć sama, która dla was jest końcem życia, dla nas jest tylko jego początkiem i zmianą gorszego szczęścia na lepsze, mniej spokojnego na spokojniejsze i wieczyste. Zważ, jaką musi być nauka, która nakazuje nam miłosierdzie nawet względem nieprzyjaciół, broni kłamstwa, oczyszcza dusze nasze od złości, i obiecuje po śmierci szczęście nieprzebrane. — Słyszałem to w Ostrianum i widziałem, jak postąpiliście ze mną i z Chilonem, a gdy o tem myślę, dotychczas zdaje mi się, że to sen i że ni uszom, ni oczom nie powinienem wierzyć. Lecz ty mi odpowiedz na inne pytanie: jest-żeś szczęśliwa? — Tak! — odrzekła Lygia. — Wyznając Chrystusa, nie mogę być nieszczęśliwą. Viniciusz spojrział na nią, jakgdyby to, co mówiła, przechodziło całkiem miarę ludzkiego rozumowania. — I nie chciałabyś wrócić do Pomponii? — Chciałabym z całej duszy i wrócę, jeśli taka będzie wola Boga. — Więc ci mówię: wróć, a ja ci przysięgnę na moje lary, że nie podniosę na ciebie ręki. Lygia zamyśliła się przez chwilę, poczem odrzekła: — Nie. Nie mogę blizkich moich podać na niebezpieczeństwo. Cezar nie kocha rodu Plauciuszów. Gdybym wróciła — ty wiesz, jak przez niewolników rozchodzi się każda wiadomość po Rzymie — więc i mój powrót stałby się rozgłosny w mieście i Nero dowiedziałby się o nim przez swoich niewolników niewątpliwie. Wówczas skarałby Aulusów, a co najmniej odebrałby mnie im znowu. — Tak — rzekł marszcząc brwi Viniciusz — toby być mogło. Uczyniłby to, choćby dlatego, by okazać, że woli jego musi się stać zadosyć. Prawda jest, że on tylko zapomniał o tobie lub nie chciał myśleć, mniemając, że nie jemu, ale mnie stała się ujmą. Lecz może... odjąwszy cię Aulusom... oddałby mnie, a ja, wróciłbym cię Pomponii. Lecz ona zapytała ze smutkiem: — Viniciuszu, czy chciałbyś mnie widzieć znów na Palatynie? On zaś zacisnął zęby i odrzekł: — Nie. Masz słuszość. Mówiłem jak głupiec! Nie! I nagle ujrzał przed sobą jakby przepaść bez dna. Był patrycyuszem, był trybunem wojskowym, był człowiekiem potężnym, ale nad wszystkimi potęgami tego świata, do którego należał, stał przecie szalencie, którego ni woli, ni złośliwości niepodobna było przewidzieć. Nie liczyć się z nim, nie bać się go, mogli chyba tacy ludzie, jak chrześcijanie, dla których cały ten świat, jego rozłąki, cierpienia i śmierć sama była niczem. Wszyscy inni musieli drzeć przed nim. Groza czasów, w których żyli, ukazała się Viniciuszowi w całej swej potwornej rozciągłości. Nie mógł oto oddać Lygii Aulusom, z obawy, by potwór nie przypomniał sobie jej, i nie zwrócił na nią swego gniewu; z tego samego powodu, gdyby ją teraz wziął za żonę, mógł narazić ją, siebie i Aulusów. Chwila złego humoru wystarczała, by zgubić wszystkich. Viniciusz po raz pierwszy w życiu poczuł, że albo świat musi się zmienić i przerodzić, albo życie stanie się zgoła niemożliwe. Zrozumiał również to, co przed chwilą jeszcze było dla niego ciemne, że w takich czasach jedni tylko chrześcijanie mogli być szczęśliwi. Lecz przedewszystkiem chwycił go żal, gdyż zrozumiał i to, że to on sam tak poplątał życie sobie i Lygii, iż z tej plątaniny nie było prawie wyjścia. I pod wpływem tego żalu począł mówić: — Czy ty wiesz, żeś ty szczęśliwsza ode mnie? Ty w ubóstwie i w tej jednej izbie wśród prostaków miałaś swoją naukę i swego Chrystusa, ja zaś mam tylko ciebie, i gdy mi cię zbrakło, byłem jak nędzarz, który niema ni

dachu nad sobą, ni chleba. Tyś mi droższa, niż cały świat. Szukałem cię, bom nie mógł żyć bez ciebie. Nie chciałem ni uczt, ni snu. Gdyby nie nadzieja, że cię znajdę, byłbym się rzucił na miecz. Ale boję się śmierci, bo nie mógłbym na ciebie patrzeć. Mówię ci szczerą prawdę, iż nie potrafię bez ciebie żyć i dotąd żyłem tylko nadzieją, że cię znajdę i zobaczę. Czy pamiętasz nasze rozmowy u Aulusów? Raz nakreśliłaś mi rybę na piasku, a jam nie rozumiał, co to znaczy. Pamiętasz, jak bawiliśmy się w piłkę? Kochałem cię już wówczas nad życie, a i ty już poczęłaś się domyślać, że cię kocham... Nadszedł Aulus, straszyl nas Libitiną i przerwał nam rozmowę. Pomponia powiedziała na pożegnanie Petroniuszowi, że Bóg jest jeden, wszechmocny i miłosierny, ale nam ani do głowy nie przyszło, że waszym Bogiem jest Chrystus. Niech mi odda ciebie, a pokocham go, choć wydaje mi się Bogiem niewolników, cudzoziemców i nędzarzy. Ty siedzisz przy mnie i myślisz o nim tylko. Myśl i o mnie, bo inaczej go znieńwidzę. Dla mnie tyś jedna bóstwem. Błogosławiony ojciec twój i matka, błogosławiona ziemia, która cię wydała. Chciałbym objąć twoje nogi i modlić się do ciebie, tobie składać cześć, tobie ofiary, tobie pokłony — ty trzykroć boska!! Ty nie wiesz, ty nie możesz wiedzieć jak ja cię kocham... Tak mówiąc, pociągnął ręką po pobladłem czole i przymknął oczy. Natura jego nie znała nigdy tamy, tak w gniewie, jak i w miłości. Mówił z uniesieniem, jak człowiek, który, przestawszy nad sobą panować, nie chce liczyć się z żadną miarą ni w słowach, ni w czci. Lecz mówił z głębi duszy i szczerze. Czuć było, że ból, zachwyty, żądza i uwielbienie, nagromadziwszy się w jego piersi, buchnęły wreszcie niepowstrzymanym potokiem słów. Lygii słowa jego wydały się bluźniercze, a jednak serce jej poczęło bić, jakby chciało rozerwać krępującą piersi tunikę. Nie mogła oprzeć się litości nad nim i nad jego męką. Wzruszyła ją cześć, z jaką do niej mówił. Czuła się kochaną i ubóstwioną bez granic, czuła, że ten nieugięty i niebezpieczny człowiek należy teraz do niej duszą i ciałem, jak niewolnik, i to poczucie jego pokory, własnej potęgi napełniło ją szczęściem. Wspomnienia jej ożyły w jednej chwili. Był to dla niej znów ten przepyszny i piękny, jak pogański bóg, Viniciusz, który w domu Aulusów mówił jej o miłości i budził, jak ze snu, jej półdziecinne naówczas serce; ten sam, którego pocałunki czuła jeszcze na ustach i z którego objęć wyrwał ją na Palatynie Ursus, jakby ją wyrwał z płomienia. Tylko obecnie, z zachwytem, a zarazem z bólem w swojej orlej twarzy, z pobladłem czołem i błagalnym wyrazem oczu, ranny, złamany miłością, kochający, pełen ubóstwienia i pokory, wydał się jej takim, jakim go chciała mieć wówczas i jakiego byłaby pokochała całą duszą, a więc droższym, niż kiedykolwiek. I nagle zrozumiała, że może przyjść chwila, w której jego miłość ogarnie i porwie ją, jak wichry, a poczuwszy to, doznała takiego samego wrażenia, jakiego przed chwilą doznał on: mianowicie, że stoi nad brzegiem przepaści. Na toż porzuciła dom Aulusów? na toż ratowała się ucieczką? na toż kryła się tyle czasu w nędznych dzielnicach miasta? Kto był ów Viniciusz? Augustianin, żołnierz i dworzanin Nerona! Wszakże brał udział w jego rozpuszczeniu i szaleństwach, jak świadczyła o tem ta uczta, której Lygia nie mogła zapomnieć; wszakże chodził razem z innymi do świątyń i składał ofiary bezecnym bogom, w których może i nie wierzył, ale oddawał im jednak cześć urzędową. Wszakże ją ściagał po to, by z niej uczynić swoją niewolnicę i kochankę, a zarazem wtrącić ją w ów straszny świat zbytku, rozkoszy, zbrodni i bezecności, wołających o gniew i pomstę Bożą. Wydawał się wprawdzie zmieniony, ale przecie dopiero co sam jej rzekł, że, jeśli będzie więcej myślała o Chrystusie niż o nim, to gotów Go znieńwidzieć. Lygii wydało się, że sama myśl o jakiegokolwiek innej miłości, niż miłość do Chrystusa, jest już grzechem przeciw Niemu i przeciw nauce, gdy więc spostrzegła, że na dnie jej duszy mogą się zbudzić inne uczucia i pragnienia, chwyciła ją trwoga przed własną przyszłością i własnym sercem. Na tę chwilę wewnętrznej rozterki trafił Glaukus, który przyszedł opatrzeć chorego i zbadać jego zdrowie. Na twarzy Viniciusza w mgnieniu oka odbił się gniew i zniecierpliwienie. Zły był, iż mu przerwano rozmowę z Lygią, i, gdy Glaukus począł

zadawać mu pytania, odpowiadał niemal z pogardą. Wprawdzie pomiarkował się wkrótce, lecz, jeśli Lygia miała jakiegokolwiek złudzenia, że to, co słyszał na Ostrianum, mogło podziałać na jego nieużytą naturę, to złudzenia owe musiały pierzchnąć. Zmienił się tylko dla niej, lecz po za tem jednym uczuciem pozostało mu w piersi dawne surowe i samolubne, prawdziwie rzymskie i zarazem wilcze serce, niezdolne, nietylko do odczucia słodkiej nauki chrześcijańskiej, ale nawet i wdzięczności. Odeszła wreszcie, pełna wewnętrznej troski i niepokoju. Niegdyś w modlitwie ofiarowała Chrystusowi serce pogodne i istotnie czyste, jak łza. Teraz pogoda ta była zmacona. Do wnętrza kwiatu dostał się jadowity owad i począł w nim huczyć. Nawet sen, mimo nieprzespanych dwóch nocy, nie przyniósł jej ukojenia. Śniło jej się, że na Ostrianum Nero na czele orszaku augustianów, bachantek, korybantów i gladyatorów tratuje uwieńczonych w róże wozem tłumy chrześcijan, a Viniciusz chwyta ją w ramiona, wciąga na kwadrygę i, cisnąc ją do piersi, szepcze: „Pójdź z nami!”

ROZDZIAŁ V.

Od tej chwili rzadziej pokazywała się we wspólnej izbie i rzadziej zbliżała się do jego łóżka. Lecz spokój jej nie wracał. Widziała, że Viniciusz wodzi za nią błagalnym wzrokiem, że czeka na każde jej słowo, jak na łaskę, że cierpi i nie śmie się skarżyć, by jej do siebie nie zrazić, że ona jedna jest mu zdrowiem i radością, i wówczas serce wzbierało w niej politowaniem. Wkrótce też spostrzegła, że im bardziej stara się go unikać, tem większy jej go żal, a tem samem tem tkliwsze rodzą się w niej dla niego uczucia. Opuściła ją spokojność. Czasem mówiła sobie, że właśnie powinna być ciągle przy nim, raz dlatego, że Boska nauka nakazuje dobrem za złe płacić, a powtóre, że, rozmawiając z nim, mogłaby go do tej nauki pociągnąć. Lecz zaraz sumienie mówiło jej, że oszukuje sama siebie, i że ciągnie ją ku niemu nie co innego, tylko jego miłość i jego urok. W ten sposób żyła w ciągłej rozterce, która powiększała się z dniem każdym. Chwilami wydawało jej się, że ją otacza jakaś sieć, ona zaś, chcąc ją przebić, wikła się w niej coraz bardziej. Musiała też wyznać przed sobą, że widok jego codzien staje się jej potrzebniejszym, głos jego miłszym, i że potrzeba jej całą siłą walczyć z chęcią przesiadywania przy jego łożu. Gdy zbliżała się do niego, a on rozpromieniał się, radość zalewała i jej serce. Pewnego dnia dostrzegła ślady łez na jego rzesach, i po raz pierwszy w życiu przysła jej myśl, że mogłaby je osuszyć pocałunkami. Przestraszona tą myślą i pełna pogardy dla siebie, przepłakała noc następną. On zaś był cierpliwy, jakby sobie cierpliwość poprzysiągł. Gdy chwilami zaświeciły mu oczy zniecierpliwieniem, samowolą i gniewem, wnet hamował te błyski, a potem patrzył na nią z niepokojem, jakby chcąc ją przeprosić, ją zaś ujmowało to jeszcze bardziej. Nigdy nie miała poczucia, że jest tak bardzo kochana, i gdy myślała o tem, czuła się zarazem winną i szczęśliwą. Viniciusz też zmieniał się istotnie. W rozmowach jego z Glaukiem mniej było dumy. Często przychodziło mu do głowy, że i ten biedny lekarz niewolnik, i cudzoziemka, stara Myriam, która otaczała go troskliwością, i Kryspus, którego widywał pogrążonego ciągle w modlitwie, to jednak są ludzie. Dziwił się podobnym myślom — jednakże je miewał. Ursusa polubił z czasem, i rozmawiał z nim teraz całymi dniami, albowiem mógł z nim mówić o Lygii, olbrzym zaś był niewyczerpany w opowiadaniach i spełniając przy chorym najprostsze usługi, począł mu również okazywać pewien rodzaj przywiązania. Lygia była zawsze dla Viniciusza istotą, jakby do innego gatunku należąca, wyższą stokrotnie od tych, którzy ją otaczali; niemniej jednak począł przypatrywać się ludziom prostym i ubogim, czego nie czynił nigdy w życiu, i począł odkrywać w nich różne godne uwagi strony, których istnienie nigdy przedtem nie przychodziło mu do głowy. Nazaryusza tylko nie mógł ścierpieć, albowiem zdawało mu się, że młody chłopak ośmiela kochać się w Lygii. Długi czas wstrzymywał się wprawdzie z okazywaniem mu niechęci, lecz raz, gdy ten przyniósł dziewczynie dwie przepiórki, które zakupił na targu za własne zarobione pieniądze, w Viniciuszu odezwał się potomek Kwiryków, dla którego przybłąda z obcego narodu mniej znaczył, niż robak najlichszy.

Słyszając podziękowanie Lygii, pobladł straszliwie i gdy Nazaryusz wyszedł po wodę dla ptaków, rzekł: — Lygio, zali możesz ścierpieć, by on składał ci dary? zali nie wiesz, że ludzi jego narodu Grecy psami żydowskimi nazywają? — Nie wiem, jak ich nazywają Grecy, — odpowiedziała — ale wiem, że Nazaryusz jest chrześcijaninem i bratem moim. To rzekłszy, spojrzała na niego ze zdziwieniem i żalem, bo już ją był odzwyczaił od podobnych wybuchów, on zaś zacisnął zęby, by jej nie powiedzieć, że takiego jej brata kazałby na śmierć zasmagać batami, lub zesłałby go na wieś, by jako compeditus kopał ziemię w jego sycylijskich Winnicach... Pohamował się jednak, zdusił w sobie gniew i dopiero po chwili rzekł: — Wybacz mi, Lygio. Tyś dla mnie córką królewską i przybranem dzieckiem Plauciuszów. I przemógł się do tego stopnia, że gdy Nazaryusz pokazał się znów w izbie, obiecał mu, iż po powrocie do swej willi podaruje mu parę pawi lub parę flamingów, których miał pełne ogrody. Lygia rozumiała, ile go muszą kosztować podobne zwycięstwa nad samym sobą. Lecz im częściej je odnosił, tem bardziej jej serce szło ku niemu. Zasługa jego względem Nazaryusza była jednak mniejsza, niż przypuszczała. Viniciusz mógł przez chwilę oburzyć się na niego, ale nie mógł być o niego zazdrosnym. Syn Myriamy istotnie niewiele więcej znaczył w jego oczach od psa, a prócz tego był jeszcze dzieckiem, które jeśli kochało Lygię, to kochało ją zarazem bezwiednie i służebniczo. Większe walki musiał ze sobą staczać młody trybun, by poddać się, choćby w milczeniu, tej czci, jaką wśród tych ludzi było otoczone imię Chrystusa i Jego nauka. Pod tym względem działały się w Viniciuszu rzeczy dziwne: Była to, bądź co bądź, nauka, w którą wierzyła Lygia, więc dlatego samego gotów był ją uznać. Następnie, im bardziej przychodził do zdrowia, im lepiej przypominał sobie cały szereg zdarzeń, które zaszły od owej nocy na Ostrianum, i cały szereg pojęć, które napłynęły od tego czasu do jego głowy, tem bardziej zdumiewał się nad nadludzką siłą tej nauki, która przeradzała tak do gruntu dusze ludzkie. Rozumiał, że jest w niej coś nadzwyczajnego, coś, czego nie było dotąd na świecie, i czuł, że gdyby ona ogarnęła świat cały, gdyby wszczepiła weń swoją miłość i swoje miłosierdzie, to chyba nastalaby jakaś epoka, przypominająca ową, w której jeszcze nie Jowisz, ale Saturn rządził światem. Nie śmiał też wątpić ani o nadprzyrodzonym pochodzeniu Chrystusa, ani o jego Zmartwychwstaniu, ani o innych cudach. Naoczni świadkowie, którzy o tem mówili, zbyt byli wiarogodni i zbyt brzydzyli się kłamstwem, by mógł przypościć, że opowiadają rzeczy niebywałe. Wreszcie sceptycyzm rzymski, pozwalając sobie na niewiarę w bogów, ale wierzył w cuda. Viniciusz stał wobec jakiejś dziwnej zagadki, której nie umiał rozplątać. Z drugiej strony jednak cała ta nauka wydawała mu się tak przeciwną istniejącemu porządkowi rzeczy, tak niepodobną do przeprowadzania w praktyce i tak szaloną, jak żadna inna. Według niego, ludzie i w Rzymie i na całym świecie mogli być źli, ale porządek rzeczy był dobry. Gdyby Cezar był na przykład uczciwym człowiekiem, gdyby senat składał się, nie ze znikczemniałych rozpustników, ale z ludzi takich, jakim był Trazeasz, czegożby więcej można sobie życzyć? Wszak pokój rzymski i zwierzchność rzymska, były rzeczą dobrą, rozdział między ludźmi słusznym i sprawiedliwym. A tymczasem ta nauka, wedle rozumienia Viniciusza, musiałaby zburzyć wszelki porządek, wszelką zwierzchność, i znieść wszelkie różnice. I co wówczas stałoby się choćby z władztwem i państwem rzymskiem? Zali Rzymianie mogli przestać panować, lub uznać całą trzodę podbitych narodów za równą sobie? To już nie mieściło się w głowie patrycyusza. A przytem osobiście nauka ta była przeciwną wszelkim jego wyobrażeniom, przyzwyczajeniom, charakterowi i pojęciom o życiu. Nie mógł sobie zgoła wyobrazić, jakby mógł istnieć, gdyby ją na przykład przyjął. Obawiał się jej i podziwiał ją, ale przed przyjęciem jej wzdrygała się poprostu jego natura. Rozumiał nakoniec, że nic innego, tylko ona rozdzieliła go z Lygią, i gdy o tem myślał nienawidził jej ze wszystkich sił duszy. Jednakże zdawał sobie już sprawę, że to ona ubrała Lygię w tę jakąś wyjątkową, niewysłowioną piękność, która w jego sercu zrodziła prócz miłości, cześć, prócz żądzy uwielbienie, i z samej Lygii

uczyniła drogą mu nad wszystko w świecie istotę. A wówczas chciało mu się znów kochać Chrystusa. I pojmował jasno, że albo Go musi pokochać, albo zniechęcić, obojętnym zaś zostać nie może. Tymczasem parły go jakby dwie przeciwne fale, wahał się w myślach, wahał się w uczuciach, nie umiał wybrać, skłaniał jednak głowę i okazywał milczącą cześć temu niepojętemu dla siebie Bogu, dlatego tylko, że był to Bóg Lygii. Lygia zaś widziała co się w nim działo, jak się przełamywał, jak natura jego odrzucała tę naukę, i jeśli z jednej strony, martwiło ją to śmiertelnie, z drugiej strony, żal, litość i wdzięczność za owo milczące poszanowanie, jakie dla Chrystusa okazywał, skłaniały ku niemu z nieprzepartą siłą jej serce. Przypomniała sobie Pomponię Graecinę i Aulusa. Dla Pomponii źródłem nieustannego smutku i nigdy nie osychających łez, była myśl, że za grobem nie odnajdzie Aulusa. Lygia poczęła teraz lepiej rozumieć tę gorycz i ten ból. I ona znalazła drogą istotę, z którą groził jej wiekuisty rozdział. Czasem łudziła się wprawdzie, że jego dusza otworzy się jeszcze na Chrystusowe prawdy, ale złudzenia te nie mogły się ostać. Znała i rozumiała go już zbyt dobrze. Viniciusz — chrześcijaninem! Te dwa pojęcia, nawet w jej niedoświadczonej głowie, nie mogły się obok siebie pomieścić. Jeśli rozważny i pełen stateczności Aulus nie został nim pod wpływem mądrej i doskonałej Pompinii, jakże mógł nim zostać Viniciusz? Na to nie było odpowiedzi, a raczej istniała tylko jedna: że nie masz dla niego ni nadziei, ni ratunku. Lecz Lygia spostrzegła z przestachem, że ten wyrok zatury, który nad nim wisi, zamiast ją zrażać do niego, przez samo politowanie czyni go jej jeszcze droższym. Chwilami brała ją ochota mówić z nim szczerze o jego ciemnej przyszłości, lecz gdy raz siadłszy przy nim rzekła mu, że poza nauką chrześcijańską niema życia, on, będąc już silniejszym, przypodniósł się na swem zdrowem ramieniu i nagle złożył jej głowę na kolanach, mówiąc: „tyś jest życie!“ A wówczas oddech zamarł jej w piersi, przytomność opuściła ją, jakiś dreszcz rozkoszy przebiegł ją od stóp do głowy. Chwyciwszy dłońmi jego skronie, usiłowała go podnieść, lecz sama pochyliła się przytem ku niemu, tak, że ustami dotknęła jego włosów i przez chwilę zmagali się tak w upojeniu, ze sobą i z miłością, która pchała jedno ku drugiemu. Lygia podniosła się wreszcie i uciekła, czując płomień w żyłach i zawrót w głowie. Lecz to była kropla, która przelała ostatecznie pełny już kielich. Viniciusz nie domyślił się, jak drogo przyjdzie mu opłacić szczęsną chwilę, lecz Lygia zrozumiała, że teraz ona sama potrzebuje ratunku. Noc po owym wieczorze spędziła bezsennie, we łzach i na modlitwie, z poczuciem, że nie godna jest się modlić i że nie może być wysłuchaną. Nazajutrz wyszła wczesnie z cubikulum i wywoławszy Kryspa do ogrodowego letnika, pokrytego bluszczem i zwiędłymi powojami, otworzyła mu całą duszę, błagając go zarazem, by pozwolił jej porzucić dom Myriam, albowiem nie ufa już sobie i nie może przemódz w sercu miłości dla Viniciusza. Kryspus, który był człowiekiem starym, surowym i pogrążonym w ciągłym uniesieniu, zgodził się na zamiar opuszczenia domu Myriam, lecz nie znalazł słów przebaczenia dla grzesznej, wedle jego pojęć, miłości. Serce wezbrało mu oburzeniem na samą myśl, że owa Lygia, którą opiekował się od chwili ucieczki, którą pokochał, utwierdził w wierze i na którą patrzył dotychczas, jakby na białą lilię, wyrosłą na gruncie nauki chrześcijańskiej i nieskażoną żadnem tchnieniem ziemskim, mogła znaleźć w duszy miejsce na inną miłość, niż niebieską. Wierzył dotąd, że nigdzie, w całym świecie nie biło czystsze serce na chwałę Chrystusa. Chciał ją Mu ofiarować, jak perłę, jak klejnot i drogie dzieło rąk własnych, więc doznany zawód napęłnił go i zdumieniem i goryczą. — Idź i błagaj Boga, by ci przebaczył winy — rzekł jej posępnie. — Uciekaj, póki zły duch, który cię oplątał, nie przywiedzie cię do zupełnego upadku i póki nie zaprzesz się Zbawiciela. Bóg umarł dla cię na krzyżu, by krwią własną odkupić twą duszę, lecz ty wolałaś umiłowac tego, który chciał cię uczynić swoją nałożnicą. Bóg cudem ocalił cię z rąk jego, lecz ty otworzyłaś serce żądzy nieczystej i pokochałaś syna ciemności. Któż on jest? — Przyjaciół i sługa Antychrysta, współnik rozpusty i zbrodni. Gdzież on cię zawiedzie, jeśli nie do tej

otchłani i do tej Sodomy, w której sam żyje, a którą Bóg zniszczy płomieniem swego gniewu? A ja ci mówię: bogdajbyś była umarła, bogdajby ściany tego domu były zawaliły się na głowę twoją pierwej, niż ów wąż wpełznął do twojej piersi i poślinił ją jadem swej nieprawości. I unosił się coraz bardziej, albowiem wina Lygii napełniła go nietylko gniewem, ale obrzydzeniem i pogardą dla natury ludzkiej wogóle, w szczególności zaś dla kobiecej, której nawet nauka chrześcijańska nie uchroniła od słabości Ewy. Niczem dla niego było, że dziewczyna pozostała jeszcze czystą, że chciała uciekać od tej miłości i że wyznawała ją z żalem i skruchą. Kryspus chciał ją był zmienić w anioła i wynieść na wysokości, na których istniała tylko miłość dla Chrystusa, a ona pokochała oto augustianina! Sama myśl o tem napełniała jego serce zgrozą, spotęgowaną uczuciem rozczarowania i zawodu. Nie! nie mógł jej tego przebaczyć! Słowa zgrozy paliły mu wargi nakształt gorejących węgli; walczył jeszcze ze sobą, by ich nie wymówić, lecz trząśł swemi wychudłemi rękoma nad przerażoną dziewczyną. Lygia czuła się winną, lecz nie do tego stopnia winną. Sądziła nawet, że oddalenie się z domu Myriam będzie jej zwycięstwem nad pokusą i złagodzeniem winy. Kryspus starł ją w proch; ukazał jej całą lichotę i nikczemność jej duszy, o jaką nie podejrzewała się dotąd. Ona sądziła nawet, że stary prezbiter, który od chwili jej ucieczki z Palatynu był dla niej jakby ojcem, okaże trochę litości, że ją pocieszy, doda otuchy, umocni. — Bogu ofiaruję mój zawód i moją boleść, — mówił — aleś ty zawiodła i Zbawiciela, boś zesła jakoby na bagno, którego wyziewy zatruiły ci duszę. Mogłaś ofiarować ją Chrystusowi, jako naczynie kosztowne, i rzec Mu: „Wypełnij je, Panie, łaską!“ a wolałaś ofiarować słudze złego ducha. Niechaj ci Bóg przebaczy i niechaj zmiłuje się nad tobą, gdyż ja, póki nie wyrzucisz węża... ja, który miałem cię za wybraną... I nagle przestał mówić, albowiem spostrzegł, że nie byli sami. Przez zwiędłe powoje i przez bluszcze, zieleniące się jednako latem i zimą, ujrzał dwóch ludzi, z których jeden był Piotr Apostoł. Drugiego nie mógł zrazu rozpoznać, albowiem płaszcz z grubej włosianej tkaniny, zwanej cilicium, zasłaniał mu część twarzy. Kryspowi wydawało się przez chwile, iż to był Chilon. Oni zaś, usłyszawszy podniesiony głos Kryspa, weszli do letnika i siedli na kamiennej ławce. Towarzysz Piotra odsłonił wówczas twarz chudą, z łysiejącą czaszką, pokrytą po bokach kędzierzawym włosiem, z zaczerwienionemi powiekami i z zakrzywionym nosem — brzydką i zarazem natchnioną, w której Kryspus rozpoznał rysy Pawła z Tarsu. Lecz Lygia, rzuciwszy się na kolana, objęła ramionami jakby z rozpaczą nogi Piotra i przytuliwszy swą znękaną główkę do fałd jego płaszcza, pozostała tak w milczeniu. A Piotr rzekł: — Pokój duszom waszym. I widząc dziecko u swych nóg, zapytał, co się stało. Wówczas Kryspus począł opowiadać wszystko, co mu wyznała Lygia, jej grzeszną miłość, jej chęć ucieczki z domu Myriam i swój żal, że dusza, którą chciał ofiarować Chrystusowi czystą, jak łza, zbrudziła się ziemskim uczuciem dla uczestnika wszystkich zbrodni, w których grzęznął świat pogański i które wołały o pomstę Bożą. Lygia w czasie jego słów obejmowała coraz silniej nogi Apostoła, jakoby chcąc przy nich szukać ucieczki i wyżebrać choć trochę litości. Apostoł zaś, wysłuchawszy do końca, pochylił się i położył zgrzybiałą rękę na jej głowie, poczem podniósł oczy na starego kapłana i rzekł: — Kryspie, zaliś nie słyszał, że Mistrz nasz ukochany był w Kanie na godach i błogosławił miłości między niewiastą i mężem? Kryspowi opadły ręce i spojrzał ze zdumieniem na mówiącego, nie mogąc słowa przemówić. A ów, pomilczawszy chwilę, spytał znowu: — Kryspie, zaliś mniemasz, że Chrystus, który dopuszczał Maryi z Magdali leżeć u nóg swoich i który przebaczył jawnogrzesznicy, odwróciłby się od tego dziecka, czystego jak lilie polne? Lygia ze łkaniem przytuliła się jeszcze silniej do nóg Piotrowych, zrozumiawszy, że niepróżno szukała przy nich ucieczki. Apostoł, podniósłszy jej łzami zalaną twarz, mówił do niej: — Póki oczy tego, którego miłujesz, nie otworzą się na światło prawdy, póty unikaj go, aby nie przywiódł cię do grzechu, lecz módl się za niego i wiedz, że nie masz winy w miłości twojej. A iż chcesz się chronić pokusy, przeto ta zasługa policzona ci będzie. Nie martw się i nie

placz, albowiem powiadam ci, że łaska Zbawiciela nie opuściła cię i że modlitwy twoje zostaną wysłuchane, po smutkach zaś poczną się dni wesela. To rzekłszy, położył obie dłonie na jej włosach, i wzniosłszy w górę oczy, błogosławił jej. Z twarzy świeciła mu nadziejska dobroć. Lecz skruszony Kryspus począł się z pokorą usprawiedliwiać: — Zgrzeszyłem przeciw miłosierdziu, — rzekł — alem mniemał, że dopuszczając do serca miłość ziemską, zaparła się Chrystusa... Piotr zaś odpowiedział: — Po trzykroć się Go zaparłem, a jednak przebaczył mi i kazał paść baranki swoje. — ...I dlatego, — kończył Kryspus — że Viniciusz jest augustianinem... — Chrystus kruszył twardsze jeszcze serca — odrzekł Piotr. Na to Paweł z Tarsu, który milczał dotąd, przyłożył palce do swej piersi i wskazując na siebie, rzekł: — Jam jest, którym prześladował i porywał na śmierć sługi Chrystusa. Jam podczas kamienowania Szczepana pilnował szat tych, którzy go kamienowali; jam chciał wypłenić prawdę po wszystkiej ziemi, którą zamieszkują ludzie, a jednak — mnie to przeznaczył Pan, abym ją po wszystkiej ziemi opowiadał. I opowiadałem ją w Judei, w Grecyi, na wyspach i w tem bezbożnem mieście, gdym po raz pierwszy, jako więzień, w niem mieszkał. A teraz, gdy mnie wezwał Piotr, mój zwierzchnik, wstąpię do domu tego, aby ugiąć tę dumną głowę do nóg Chrystusowych i rzucić ziarno w tę kamienistą rolę, którą użyżni Pan, aby wydała plon obfity. I powstał — Kryspowi zaś ten mały, zgarbiony człowiek wydał się w tej chwili tem, czem był w istocie, to jest olbrzymem, który wzruszy świat z posad i zagarnie ludy i ziemię.

ROZDZIAŁ VI.

Petroniusz do Viniciusza: „Zmiłuj się, Carissime, nie naśladowuj w listach swych ani Lacedemończyków, ani Juliusza Cezara. Gdybyś przynajmniej, tak jak on, mógł napisać: veni, vidi, vici! — rozumiałbym jeszcze lakonizm. Ale twój list znaczy ostatecznie: veni, vidi, fugi; że zaś takie zakończenie sprawy jest wprost przeciwne twej naturze, że byłeś ranny i że nakoniec działały się z tobą rzeczy nadzwyczajne, więc list swój potrzebuje objaśnień. Oczom nie wierzyłem, gdym wyczytał, że ów Lyg zadusił tak łatwo Krotona, jak pies kaledoński dusi wilka w wąwozach Hibernii. Ten człowiek wart tyle złota, ile sam waży i od niego tylko zależałoby zostać ulubieńcem Cezara. Gdy wrócę do miasta, muszę z nim zabrać bliższą znajomość i każe go sobie odlać z bronzu. Miedzianobrody pęknie z ciekawości, gdy mu powiem, że to z natury. Prawdziwie atletyczne ciała coraz są rzadsze i w Italii i w Grecyi; o Wschodzie niema co i mówić, Germanowie zaś, jakkolwiek rośli, mają mięśnie pokryte tłuszczem i więcej ogromu, niż siły. Dowiedz się od Lyga, czy stanowi wyjątek, czy też w jego kraju znajduje się więcej ludzi do niego podobnych. Nuż tobie lub mnie wypadnie kiedy z urzędu wyprawiać igrzyska, dobrzeby było wiedzieć, gdzie szukać ciał najlepszych. Ale chwała bogom wschodnim i zachodnim, żeś wyszedł z duszą z rąk podobnych. Ocalałeś zapewne dlatego, żeś patrycyuszem i synem konsularnego męża, ale wszystko, co cię spotkało, zdumiewa mnie w najwyższym stopniu: i ten cmentarz, na którym znalazłeś się wśród chrześcijan, i oni sami, i ich postępowanie z tobą, i następna ucieczka Lygii i wreszcie ten jakiś smutek i niepokój, który wieje z twego krótkiego listu. Objasnij mnie, albowiem wielu rzeczy nie rozumiem, a jeśli chcesz prawdy, powiem otwarcie, że nie rozumiem: ani chrześcijan, ani ciebie, ani Lygii. I nie dziw się, że ja, którego poza moją własną osobą mało rzeczy obchodzi na świecie, dopytuję się o to wszystko tak skwapliwie. Jam przyczynił się do tego wszystkiego, co zaszło, więc jest to poniekąd moja sprawa. Pisz śpiesznie, albowiem nie umiem dokładnie przewidzieć, kiedy się zobaczymy. W głowie Miedzianobrodego zamiary zmieniają się, jak wiatry wiosenne. Obecnie, siedząc w Benewencie, ma chęć jechać wprost do Grecyi i nie wracać do Rzymu. Tigellinus jednak radzi mu, by wrócił choć na czas pewien, albowiem lud, zbyt stęskniony do jego osoby (czytaj: do igrzysk i chleba), może się wzburzyć. Otóż nie wiem, jak będzie. Jeśli Achaja przeważy, to może zachce nam się Egiptu. Nalegałbym najmocniej, byś tu przyjechał, gdyż uważam, że w tym stanie

duszy podróż i nasze rozrywki byłyby lekarstwem, ale mógłbyś nas nie zastać. Pomyśl jednak, czy w takim razie nie wolałbyś wypocząć w twoich ziemiach w Sycylii, niż siedzieć w Rzymie. Pisz mi obszernie o sobie — i żegnaj. Życzeń żadnych, prócz zdrowia, tym razem nie załączam, bo, na Polluksa! nie wiem, czego ci życzyć“. Viniciusz, odebrawszy ów list, nie czuł początkowo żadnej chęci do odpowiadania. Miał jakieś poczucie, że odpowiadać niewarto, że to na nic nikomu nie posłuży, nic nie wyjaśni i niczego nie rozwiąże. Ogarnęło go zniechęcenie i poczucie marności życia. Zdawało mu się przytem, że Petroniusz w żadnym razie go nie zrozumie i że zaszło coś takiego, co ich wzajem od siebie oddaliło. Nie mógł przyjść do ładu nawet i sam ze sobą. Wróciwszy z Zatybrza do swej rozkosznej insuli na Karynach, był jeszcze osłabiony, wyczerpany i przez pierwsze dni doznawał pewnego zadowolenia z wypoczynku, wygod i dostatku, jaki go otaczał. Lecz zadowolenie to trwało krótko. Wkrótce uczuł, że żyje w próżni, że to wszystko, co stanowiło dla niego dotychczas interes życia, albo zupełnie dla niego nie istnieje, albo zmniejszyło się do zaledwie dostrzegalnych rozmiarów. Miał takie uczucie, jakoby podcięto w jego duszy te struny, które dotychczas łączyły go z życiem, a nie nawiązano żadnych nowych. Na myśl, że mógłby pojechać do Benewentu, a następnie do Achai i zanurzyć się w życiu rozkoszy i szalonych wybryków, doznał uczucia czczości. „Po co? co mi z tego przyjdzie?“ Oto były pierwsze pytania, które przesunęły mu się przez głowę. Również po raz pierwszy w życiu pomyślał, że gdyby pojechał, to rozmowa Petroniusza, jego dowcip, błyskotliwość, jego wykwintne określanie myśli i dobieranie trafnych słów dla każdej idei, mogłyby go obecnie nużyć. Z drugiej strony jednak poczęła go nużyć także i samotność. Wszyscy jego znajomi bawili z Cezarem w Benewencie, musiał więc siedzieć w domu sam, z głową pełną myśli i sercem pełnem poczuć, z których nie umiał sobie zdać sprawy. Miewał jednak chwile, w których sądził, że gdyby mógł z kim porozmawiać o tem wszystkim, co się w nim dzieje, to może sam zdołałby to wszystko jakoś uchwycić, uporządkować i rozpoznać lepiej. Pod wpływem tej nadziei, po kilku dniach wahania, postanowił jednak odpowiedzieć Petroniuszowi, i lubo nie był pewien, czy mu owa odpowiedź wyśle, skreślił ją jednak w następnych słowach: „Chcesz, bym pisał obszerniej, więc zgoda; czy potrafię jaśniej, nie wiem, albowiem i sam nie umiem wielu węzłów rozwiązać. Doniosłem ci o moim pobycie wśród chrześcijan, o ich postępkach z nieprzyjaciółmi, do których mieli prawo liczyć i mnie i Chiloną, wreszcie o dobroci, z jaką byłem pielęgnowany, i o zniknięciu Lygii. Nie, drogi: nie dlatego mnie oszczędzono, że jestem synem konsularnego męża. Takie względy dla nich nie istnieją, bo przecie przebaczyli i Chilonowi, choć sam zachęcałem ich, by go zakopali w ogrodzie. To są ludzie, jakich dotąd świat nie widział, i nauka, o jakiej dotąd świat nie słyszał. Nic ci innego powiedzieć nie mogę i ktokolwiek ich zechce mierzyć naszą miarą — chybi. Powiem ci natomiast, że gdybym leżał ze złamaną ręką we własnym domu i gdyby mnie doglądali ludzie moi lub nawet moja rodzina, miałbym zapewne większe wygody, ale nie doznałbym ani w połowie takiej troskliwości, jakiej doznałem między nimi. Wiedz też o tem, że i Lygia jest taką, jak inni. Gdyby była moją siostrą lub moją małżonką, nie mogłaby mnie pielęgnować tkliwiej. Nieraz radość zalewała mi serce, sądziłem bowiem, że tylko miłość może podobną tkliwością natchnąć. Nieraz czytałem ją w jej twarzy i spojrzeniu, a wówczas, czy uwierzysz, że wśród tych prostaków, w ubogiej izbie, która zastępowała im zarazem kuchnię i tryklinium, czułem się szczęśliwszy, niż kiedykolwiek? Nie! nie byłem jej obojętny i dziś jeszcze wydaje mi się niepodobieństwem myśleć inaczej. A jednak taż sama Lygia opuściła potajemnie przede mną mieszkanie Myriam. Przesiaduję teraz oto całymi dniami z głową opartą na rękach i rozmyślam, czemu ona to uczyniła? Czym ci pisałem, że sam ofiarowałem się jej wrócić ją Aulusom? Wprawdzie odrzekła mi, że to jest już niemożliwe i ze względu na to, że Aulusowie wyjechali do Sycylii, i ze względu na wieści, jakie, przechodząc przez niewolników z domu do domu, dostają się na Palatyn. Cezar mógłby ją znów odebrać Aulusom. Prawda! Ona jednak

wiedziała, że dłużej już nastawać na nią nie będę, że porzucam drogę przemocy, a nie mogąc ni przestać jej kochać, ni żyć bez niej, wprowadzę ją do domu mego przez uwieńczone drzwi i posadzę na uświęconej skórze przy ognisku... A jednak uciekła! Dlaczego? Nic jej już nie groziło. Jeśli mnie nie kochała, mogła mnie odrzucić. Na dzień przedtem poznałem dziwnego człowieka, niejakiemu Pawła z Tarsu, który rozmawiał ze mną o Chrystusie i Jego nauce i rozmawiał tak potężnie, że mi się wydało, iż każde jego słowo, mimo jego woli, obraca w perzynę wszystkie podstawy naszego świata. Ten sam człowiek odwiedzał mnie po jej ucieczce i rzekł mi: „Gdy Bóg otworzy oczy twoje na światło i zdejmie z nich bielmo, jak zdjął z moich, wówczas odczujesz, że postąpiła słusznie, i wówczas może ją odnajdziesz“. I oto łamię głowę nad temi słowy, jakbym je usłyszał z ust Pytyi w Delfach. Chwilami zdaje mi się, że już coś rozumiem. Oni, kochając ludzi, są nieprzyjaciółmi naszego życia, naszych bogów i... naszych zbrodni, więc ona uciekła ode mnie, jako od człowieka, który do tego świata należy i z którym musiałaby podzielić życie, uważane przez chrześcijan za występne. Powiesz, że skoro mogła mnie odrzucić, więc nie potrzebowała się oddalać. A jeśli i ona mnie kocha? W takim razie chciała uciec przed miłością. Na samą myśl o tem chce mi się wysłać niewolników we wszystkie zaułki Rzymu i nakazać im, aby krzyczeli po domach: „wróć Lygio!“ Ale przestaję rozumieć, dlaczego ona to uczyniła. Jaby jej przecie nie bronił wierzyć w jej Chrystusa i sam wznosiłbym mu ołtarz w atrium. Co jeden nowy Bóg więcej mógłby mi szkodzić i dlaczego nie miałbym w Niego uwierzyć, ja, który niebardzo wierzę w starych? Wiem z wszelką pewnością, że chrześcijanie nigdy nie kłamią, a mówią, że zmartwychwstał. Człowiek przecie tego zrobić nie mógł. Ów Paweł z Tarsu, który jest obywatelem rzymskim, ale który, jako Żyd, zna stare księgi hebrajskie, mówił mi, iż przyście Chrystusa było zapowiadane od całych tysięcy lat przez proroków. Wszystko to są rzeczy nadzwyczajne, ale czyż nadzwyczajność nie otacza nas ze wszystkich stron? Nie przestano jeszcze przecie mówić i o Apoloniuszu z Tyany. To, co twierdził Paweł, że niemasz całej gromady bogów, ale jest jeden, wydaje mi się rozsądnem. Podobno i Seneka jest tego zdania, a przed nim było wielu innych. Chrystus był, dał się ukrzyżować dla zbawienia świata i zmartwychwstał. Wszystko to jest zupełnie pewne, nie widzę zatem powodu, dlaczegobym miał się upierać w zdaniu przeciwnem lub dlaczego nie miałbym Mu wznieść ołtarza, skoro gotów byłbym wznieść go naprzykład Serapisowi. Nie trudnoby mi nawet przyszło wyrzec się innych bogów, bo wszakże żaden rozumniejszy umysł i tak w nich nie wierzy. Ale zdaje się, że to wszystko chrześcijanom jeszcze nie wystarcza. Niedosć uczcić Chrystusa, trzeba jeszcze żyć wedle jego nauki; i tu dopiero stajesz jakby nad brzegiem morza, które ci każą przebrnąć piechotą. Gdybym to im obiecał, sami czuliby, że to jest pusty dźwięk słów w moich ustach. Paweł powiedział mi to otwarcie. Ty wiesz, jak kocham Lygię, i wiesz, że niema nic takiego, czegobym dla niej nie uczynił. Ale nie mógłbym przecie, nawet na jej żądanie, podnieść na ramionach Sorakte lub Wezuwiusza, ani pomieścić w dłoni Trasimeńskiego jeziora, ani zmienić oczu moich z czarnych na niebieskie, jakie mają Lygowie. Gdyby żądała, chciałbym, ale to nie leży w mojej mocy. Jam nie filozof, ale też nie jestem i taki głupi, jak ci się może nieraz wydawałem. Otóż powiem ci tak: nie wiem, jak chrześcijanie radzą sobie, by żyć, wiem natomiast, że gdzie się zaczyna ich nauka, tam się kończy władztwo rzymskie, kończy się Rzym, kończy się życie, różnica między zwyciężonym i zwycięzcą, moźnym i biednym, panem i niewolnikiem, kończy się urząd, kończy się Cezar, prawo i cały porządek świata, a zamiast tego wszystkiego przychodzi Chrystus i jakieś miłosierdzie, którego dotąd nie bywało, i jakaś dobrotliwość, przeciwna ludzkim i naszym rzymskim instynktom. Mnie wprawdzie Lygia obchodzi więcej, niż cały Rzym i jego panowanie, i niechby się lepiej świat zapadł, bylem ją mógł mieć w swoim domu. Ale to inna rzecz. Dla nich, dla chrześcijan, niedosć się zgodzić w słowach, trzeba jeszcze czuć, że tak jest dobrze i nie mieć w duszy niczego innego. A ja, bogowie mi świadkami! —

nie mogę. Czy rozumiesz, co to znaczy? Jest coś w mojej naturze, co się wzdryga na tę naukę, i choćby usta moje ją sławiły, choćbym się do jej przepisów stosował, rozum i dusza mówiłyby mi, że to czynię dla miłości, dla Lygii, i że gdyby nie ona, to nic w świecie nie byłoby dla mnie przeciwniejszego. I rzecz dziwna, że taki Paweł z Tarsu to rozumie, i że rozumie, mimo całej swej prostoty i niskiego pochodzenia, ów stary theurgus, największy między nimi, Piotr, który był uczniem Chrystusa. I czy wiesz, co czynią? oto modlą się za mnie i proszą dla mnie o coś, co nazywają łaską, a na mnie zstępuje tylko niepokój i coraz większa tęsknota za Lygią. „Wszakem ci pisałem, że ona odeszła tajemnie, ale, odchodząc, zostawiła mi krzyż, który sama powięzła z gałązek bukszpanu. Zbudziwszy się, znalazłem go przy łóżku. Mam go teraz w lararium i sam nie umiem zdać sobie sprawy, dlaczego zbliżam się jednak do niego tak, jakby w nim było coś boskiego, to jest ze czcią i obawą. Kocham go, bo jej ręce go wiązały, a nienawidzę, bo on nas dzieli. Czasem mi się zdaje, że są w tem wszystkim jakieś czary i że theurgus Piotr, choć się powiada być prostym rybakiem, jest większy i od Apoloniusza, i od wszystkich, jacy przed nim byli, i że on to opętał ich tam wszystkich, Lygię, Pomponię i mnie samego. „Ty piszesz, że w liście mym poprzednim znać niepokój i smutek. Smutek musi być, bom ją znowu utracił, a niepokój jest dlatego, że coś się jednak zmieniło we mnie. Szczerze ci mówię, że nic przeciwniejszego mej naturze, jak ta nauka, a jednak od czasu, jakem się z nią zetknął, nie mogę się poznać. Czary, czy miłość?.. Kirka zmieniała dotknięciem ciała ludzkie, a mnie zmieniono duszę. Chyba Lygia jedna mogła to uczynić, albo raczej Lygia przez tę dziwną naukę, którą wyznaje. Gdym od nich wrócił do siebie, nikt się mnie nie spodziewał. Mniemano, że jestem w Benewencie i że nie prędko wrócę, więc w domu zastałem nieład, pijanych niewolników i ucztę, którą sobie wydawali w mojem tryklinium. Śmierci raczej spodziewali się, niż mnie, i mniejby się jej przerazili. Ty wiesz, jak silną ręką trzymam mój dom, wszystko więc, co żyło, rzuciło się na kolana, a niektórzy poomdlewali ze strachu. A ja, wiesz, jak postąpiłem? Oto w pierwszej chwili chciałem wołać o różgi i rozpalone żelazo, ale zaraz potem chwycił mnie jakiś wstyd i, dasz wiarę? — jakiś żal tych nędzników; są między nimi i starzy niewolnicy, których jeszcze mój dziad, M. Viniciusz, przywiódł za czasów Augusta z nad Renu. Zamknąłem się samotny w bibliotece i tam przysły mi jeszcze dziwniejsze myśli do głowy, mianowicie, że po tem co słyszałem i widziałem między chrześcijanami, nie godzi mi się postępować z niewolnikami tak, jak postępowałem dotąd, i że to są także ludzie. Oni przez kilka dni chodzili w trwodze śmiertelnej, sądząc, że zwłóczę dlatego, by tem okrutniejszą karę obmyślić, a ja nie karałem i nie ukarałem, bo, nie mogłem! Zwoławszy ich trzeciego dnia, rzekłem: przebaczam wam, wy zaś pilną służbą starajcie się winy naprawić! Na to padli na kolana, zalewając się łzami, wyciągając z jękiem ręce i zowiąc mnie panem i ojcem, ja zaś — ze wstydem ci to mówię — byłem również wzruszony. Wydało mi się, że w tej chwili widzę słodką twarz Lygii i jej oczy zalane łzami, dziękujące mi za ten postępek. I, proh pudor! czułem, że i mnie zwilgotniały źrenice... Wiesz, co ci wyznam: oto, że nie mogę sobie dać rady bez niej, że mi źle jest samemu, że jest poprostu nieszczęśliwy i że mój smutek większy jest, niż przypuszczasz... Lecz co do moich niewolników, zastanowiła mnie jedna rzecz. Przebaczenie, jakie otrzymali, nietylko nie rozzuchwaliło ich, nietylko nie rozluźniło karności, ale nigdy strach nie pobudzał ich do tak skwapliwej służby, do jakiej pobudziła wdzięczność. Nietylko służą, ale zdają się na wyścigi zgadywać moje myśli, ja zaś wspominam ci o tem dlatego, że, gdym na dzień przed opuszczeniem chrześcijan powiedział Pawłowi, że świat rozleciałby się na skutek jego nauki, jak beczka bez obręczy, ów odrzekł mi: „Silniejszą obręczą jest miłość niż groza“. A teraz widzę, że w pewnych wypadkach zdanie to może być słuszne. Sprawdziłem je również i w stosunku do klientów, którzy, zwiedziawszy się o moim powrocie, zbiegli się, by mnie przywitać. Wiesz, że nie byłem nigdy dla nich zbyt skąpy, ale jeszcze ojciec mój postępował z zasady z nimi wyniośle, i mnie do podobnego

postępowania przyuczył. Otóż teraz, widząc te wytarte płaszcze i wyglądnięte twarze, znów doznałem jakby uczucia litości. Kazałem im dać jeść, a nadto mówiłem z nimi; nazwałem kilku po imieniu, kilku spytałem o ich żony i dzieci, i znów widziałem łzy w oczach, a nadto znów wydało mi się, że Lygia to widzi, że cieszy się i pochwała... Czy mój umysł poczyna się błąkać, czy miłość miesza mi zmysły, nie wiem, wiem jednak, iż mam ciągle uczucie, że ona na mnie zdala patrzy, i boję się uczynić coś takiego, coby ją mogło zasmucić i obrazić. Tak, Kaju! zmieniono mi jednak duszę, i czasem dobrze mi z tem, czasem znów dręczę się tą myślą, albowiem obawiam się, że zabrano mi dawne męstwo, dawną energię i że może niezdatny już jestem nietylko do rady, sądu, uczt, ale nawet i do wojny. To są niechybnie czary! I tak dalece mnie zmieniono, że powiem ci i to, co mi przychodziło do głowy jeszcze wówczas, gdy leżałem chory: że gdyby Lygia była podobną do Nigidyi, do Poppei, do Kryspinilli i do innych naszych rozwódek, gdyby była równie plugawą, równie niemiłosierną i równie łatwą, jak one, tobym jej nie kochał tak, jak kocham. Ale, gdy kocham ją za to, co nas dzieli, domyślisz się, jaki chaos rodzi się w mej duszy, w jakich żyję ciemnościach, jak nie widzę przed sobą dróg pewnych i jak dalece nie wiem, co mam począć. Jeśli życie może być porównaniem do źródła, w mojem źródle, zamiast wody, płynie niepokój. Żyję nadzieją, że ją może ujrzę, i czasem zdaje mi się, że to musi nastąpić... Ale co będzie ze mną za rok lub dwa, nie wiem i nie mogę odgadnąć. Z Rzymu nie wyjadę. Nie mógłbym znieść towarzystwa augustyanów, a przytem jedyną ulgą w moim smutku i niepokoju jest mi myśl, że jestem blisko Lygii, że przez Glauka lekarza, który obiecał mnie odwiedzić, albo przez Pawła z Tarsu może się czasem czegoś o niej dowiem. Nie! nie opuściłbym Rzymu, choćbyście mi ofiarowali zarząd Egiptu. Wiedz także, że kazałem rzeźbiarzowi obrobić kamień grobowy dla Gula, którego zabiłem w gniewie. Zapóźno przyszło mi na myśl, że on jednak na ręku mnie nosił i pierwszy uczył, jak strzałę na łuk nakładać. Nie wiem, dlaczego zbudziła się teraz we mnie pamięć o nim, podobna do żalu i do wyrzutu... Jeśli cię zdziwi to, co piszę, odpowiem ci, że mnie to niemniej dziwi, ale piszę ci szczerą prawdę. Żegnaj“.

ROZDZIAŁ VII.

Na list ten Viniciusz nie miał już odpowiedzi, gdyż Petroniusz nie odpisywał, spodziewając się widocznie, że Cezar lada dzień nakaże powrót do Rzymu. Jakoż wieść o tem rozeszła się w mieście i wzbudziła radość wielką w sercach tłuszczy, tęskniącej do igrzysk i rozdawnictwa zboża i oliwy, których wielkie zapasy nagromadzone były w Ostyi. Helius, wyzwoleniec Nerona, zapowiedział wreszcie jego powrót w senacie. Lecz Nero wsiadłszy wraz z dworem na statki u przylądka Misenum, wracał zwolna, wstępując do miast nadbrzeżnych dla wypoczynku, lub dla występów w teatrach. W Minturnae, gdzie znów śpiewał publicznie, zabawił dni kilkanaście, a nawet znów się namyślał, czy nie wrócić do Neapolu i nie czekać tam na nadejście wiosny, która zresztą czyniła się wcześniejsza, niż zwykle, i ciepła. Przez cały ten czas Viniciusz żył zamknięty w swym domu, z myślą o Lygii i o tych wszystkich nowych rzeczach, które zajmowały mu duszę i wносиły do niej obce jej dotąd pojęcia i uczucia. Widywał tylko od czasu do czasu Glauka lekarza, którego każde odwiedziny napełniały go wewnętrzną radością, albowiem mógł z nim rozmawiać o Lygii. Glaukus nie wiedział wprawdzie, gdzie znalazła schronienie, zapewniał go jednak, że starsi otoczyli ją troskliwą opieką. Raz też, wzruszony smutkiem Viniciusza, powiedział mu, że Piotr Apostoł zganił Kryspa za to, iż wyrzucał Lygii jej ziemską miłość. Młody patrycyusz, usłyszawszy to, pobladł ze wzruszenia. I jemu zdawało się niejednokrotnie, że nie jest obojętnym dla Lygii, ale również często wpadał w zwątpienie i niepewność, teraz zaś po raz pierwszy usłyszał potwierdzenie swoich pragnień i nadziei z ust obcych, a do tego chrześcijańskich. W pierwszej chwili wdzięczności chciał biec do Piotra, dowiedziawszy się zaś, że niemasz go w mieście i że naucza w okolicy, zaklinał Glauka, by go do niego przyprowadził, obiecując obdarzyć za to hojnie ubogich gminy. Zdawało mu

się też, że, jeśli Lygia go kocha, to tem samem wszystkie przeszkody są usunięte, gdyż gotów był w każdej chwili uczcić Chrystusa. Lecz Glaukus, jakkolwiek namawiał go usilnie do przyjęcia chrztu, nie śmiał mu ręczyć, czy zyszcze przez to odrazu Lygię, i mówił mu, że chrztu należy żądać dla chrztu samego i dla miłości Chrystusa, nie zaś dla innych celów. „Trzeba mieć i duszę chrześcijańską“ — rzekł mu — a Viniciusz, lubo każda przeszkoda wzburzała go, poczynął już rozumieć, że Glaukus, jako chrześcijanin, mówi to, co mówić powinien. Sam on nie zdawał sobie dokładnie sprawy, że jedną z najgłębszych zmian w jego naturze stanowiło to, iż dawniej mierzył ludzi i rzeczy tylko przez własny egoizm, obecnie zaś z wolna przyuczał się do myśli, że inne oczy mogą inaczej patrzeć, inne serce inaczej czuć, i że słusność nie zawsze toż samo znaczy, co osobista korzyść. Brała go też często chęć zobaczenia Pawła z Tarsu, którego słowa rozciekawiały go i niepokoiły. Układał sobie w duszy dowody, którymi będzie zwalczał jego naukę, opierał mu się w myśli, chciał go jednakże widzieć i słyszeć. Lecz Paweł wyjechał do Arycyi, gdy zaś i odwiedziny Glauka stawały się coraz rzadsze, Viniciusza otoczyła zupełna samotność. Wówczas począł znów przebiegać zaułki, przyległe do Subury, i wązkie uliczki Zatybrza, w nadziei, że choć z daleka ujrzy Lygię, lecz gdy i ta nadzieja go zawiodła, w sercu poczęła mu wzbierać nuda i zniecierpliwienie. Przyszedł nakoniec czas, że dawna natura odezwała się w nim raz jeszcze z taką siłą, z jaką fala w chwili przypływu wraca na brzeg, z którego ustąpiła. Wydało mu się, że był głupcem, że niepotrzebnie zaprzętał sobie głowę rzeczami, które doprowadziły go do smutku, i że powinien brać z życia, co się da. Postanowił zapomnieć o Lygii, a przynajmniej szukać rozkoszy i użycia po za nią. Czuł jednak, że to jest ostatnia próba, rzucił się więc w wir życia z całą ślepą, właściwą mu energią i zapalczywością. Życie zaś samo zdawało się go do tego zachęcać. Obumarłe i wyludnione przez zimę miasto poczęło się ożywiać nadzieją blizkiego przyjazdu Cezara. Gotowano mu uroczyste przyjęcie. Przytem szła wiosna: śniegi znikły pod tchnieniem afrykańskich wiatrów ze szczytów gór Albańskich. Trawniki w ogrodach pokryły się fiołkami. Fora i pole Marsowe zaroily się ludźmi, których przygrzewało coraz gorętsze słońce. Na via Appia, która była zwykłym miejscem zamiejskich przejazdów, zapanował ruch bogato zdobnych wozów. Czyniono już wycieczki do gór Albańskich. Młode kobiety, pod pozorem uczczenia Junony w Lanuvium lub Dyany w Arycyi, wymykały się z domów, aby za miastem szukać wrażeń, towarzystwa, spotkań i rozkoszy. Tu Viniciusz wśród wspaniałych rydwanów spostrzegł pewnego dnia przepyszną, poprzedzaną przez dwa molosy, korrukę petroniuszowej Chryzotemis, otoczoną przez całe grono młodzieży i starych senatorów, których urząd zatrzymał w mieście. Chryzotemis, powożąc sama czterema korsykańskimi kucami, rozdawała naokół uśmiechy i lekkie uderzenia złotym biczem, lecz, spostrzegłszy Viniciusza, wstrzymała konie i zabrała go do karruki, a następnie na ucztę do domu, która trwała przez całą noc. Viniciusz spił się tak na owej uczcie, iż nie pamiętał nawet, kiedy odwieziono go do domu, przypomniał sobie jednak, że, gdy Chryzotemis spytała go o Lygię, obraził się i, będąc już pijanym, wylał jej na głowę puhar falernu. Rozmyślając o tem po trzeźwemu, odczuwał jeszcze gniew. Lecz w dzień później Chryzotemis, zapomniawszy widocznie o obeldze, odwiedziła go w jego domu i zabrała go znów na drogę Appijską, poczem była u niego na wieczerzy, na której wyznała, że nie tylko Petroniusz, ale i jego lutnista znudził ją już oddawna i że serce jej jest wolne. Przez tydzień ukazywali się razem, lecz stosunek nie obiecywał być trwałym. Jakkolwiek od wypadku z falernem imię Lygii nie było nigdy wspomniane, Viniciusz nie mógł się jednak pozbyć myśli o niej. Miał ciągle uczucie, że oczy jej patrzą na niego, i uczucie to przejmowało go jakby obawą. Zżymał się sam na siebie, nie mogąc wszelako pozbyć się ani myśli, że Lygię zasmuca, ani żalu, który się z tej myśli rodził. Po pierwszej scenie zazdrości, jaką Chryzotemis uczyniła mu z powodu dwóch dziewcząt syryjskich, które nabył, przepędził ją w sposób grubiański. Nie przestał wprawdzie odrazu nurzać się w rozkoszy i

rozpuście, owszem, czynił to jakby na złość Lygii, ale w końcu spostrzegł, że myśl o niej nie opuszcza go ani na chwilę, że ona wyłącznie jest powodem jego tak złych, jak dobrych czynności, i że naprawdę nic go w świecie nie obchodzi po za nią. Wówczas opanował go niesmak i zmęczenie. Rozkosz mu zbrzydła i zostawiła tylko wyrzuty. Zdawało mu się, że jest nędznikiem, i to ostatnie uczucie napełniło go niezmiernem zdumieniem, dawniej bowiem uznawał za dobre wszystko, co mu dogadzało. Wreszcie stracił swobodę, pewność siebie i wpadł w zupełne odrętwienie, z którego nie mogła go rozbudzić nawet wieść o powrocie Cezara. Nic go już teraz nie obchodziło i nawet do Petroniusza nie wybrał się dopóty, dopóki ten nie przysłał mu wezwania i swojej własnej lektyki. Ujrzawszy go, lubo powitany radośnie, odpowiadał na jego pytania niechętnie, lecz wreszcie długo tłumione uczucia i myśli wybuchły i popłynęły mu z ust obfitym potokiem słów. Raz jeszcze opowiedział szczegółowo historię swych poszukiwań za Lygią i pobytu między chrześcijanami, wszystko, co tam widział i słyszał, wszystko, co mu przechodziło przez głowę i serce, i wreszcie począł narzekać, że wpadł w chaos, w którym stracił spokojność, dar rozróżniania rzeczy i sąd o nich. Nic go oto nie nęci, nic mu nie smakuje, nie wie, czego się trzymać i jak postępować. Gotów jest czcić Chrystusa i prześladować Go, rozumie wzniosłość Jego nauki i zarazem czuje do niej wstręt nieprzewyciężony. Rozumie, że, choćby posiadał Lygię, to jej nie posiadać zupełnie, bo się musi nią dzielić z Chrystusem. Nakoniec żyje, jakby nie żył: bez nadziei, bez jutra, bez wiary w szczęście, a naokół otacza go ciemność, z której szuka po omacku wyjścia i nie może znaleźć. Petroniusz patrzył w czasie opowiadania na jego zmienioną twarz, na ręce, które, mówiąc, wyciągał w dziwny sposób przed siebie, jakby rzeczywiście szukał drogi w ciemności, i rozmyślał. Nagle wstał i, zbliżywszy się do Viniciusza, począł rozgarniać palcami jego włosy nad uchem. — Czy ty wiesz — spytał — że masz kilka siwych włosów na skroni? — Może być — odpowiedział Viniciusz — nie zdziwię się, jeśli wkrótce wszystkie mi zbieleją. Poczem nastąpiło milczenie. Petroniusz był człowiekiem rozumnym i nieraz zastanawiał się nad duszą ludzką i nad życiem. Lecz wogóle życie to, w tym świecie, w którym obaj żyli, mogło być zewnątrz szczęśliwe lub nieszczęśliwe, ale wewnątrz bywało spokojne. Równie jak piorun lub trzęsienie ziemi mogło obalić świątynię, tak nieszczęście mogło zburzyć życie, samo w sobie jednak składało się ono z prostych i harmonijnych linii, wolnych od wszelkich zawikłań. Tymczasem co innego było w słowach Viniciusza i Petroniusz po raz pierwszy stanął wobec szeregu duchowych węzłów, których nikt dotąd nie rozplątywał. Był o tyle rozumny, że czuł ich wagę, ale przy całej swej bystrości nie umiał nic na zadane pytania odpowiedzieć — i wreszcie po długiej chwili milczenia rzekł: — To są chyba czary. — I ja tak sądziłem — odpowiedział Viniciusz — nieraz wydawało mi się, że oczarowano nas oboje. — A gdybyś — rzekł Petroniusz — udał się na przykład do kapłanów Serapisa. Bezwątpienia jest między nimi, jak wogóle między kapłanami, wielu oszustów, są jednak tacy, którzy zgłębili dziwne tajemnice. Lecz mówił to bez wiary i głosem niepewnym, sam bowiem czuł, jak w ustach jego ta rada może wydawać się marną, a nawet i śmieszną. Viniciusz zaś począł trzeć czoło — i mówił: — Czary!.. Widziałem czarowników, którzy podziemnych, nieznanych sił używali dla zysku, widziałem i takich, którzy używali ich na szkodę swych nieprzyjaciół. Lecz chrześcijanie żyją w ubóstwie, nieprzyjaciołom przebaczą, głoszą pokorę, cnotę i miłosierdzie, co im tedy może przyjść z czarów, i dlaczego mieliby je rzucać?.. Petroniusza poczęło gniewać, iż rozum jego nie może znaleźć na nic odpowiedzi, nie chcąc się jednak do tego przyznać, odpowiedział, byle dać jakąkolwiek odpowiedź: — To nowa sekta... Po chwili zaś rzekł: — Na boską mieszkankę Pafijskich gajów! jak to wszystko psuje życie! Ty podziwiasz dobroć i cnotę tych ludzi, a ja ci powiadam, że są źli, gdyż są nieprzyjaciółmi życia, jak choroby i jak śmierć sama. Dostyc ich mamy i tak! niepotrzeba nam jeszcze chrześcijan. Policz tylko: choroby, Cezar, Tigellinus, wiersze Cezara, szewcy, którzy rządzą

potomkami dawnych Kwiryków, wyzwolenicy, którzy zasiadają w senacie, na Kastora! dość tego. To jest zgubna i obrzydła sekta! Próbował-żeś otrząsnąć się z tych smutków, i użyć trochę życia? — Próbowałem — odpowiedział Viniciusz. A Petroniusz rozśmiał się i rzekł: — Ach, zdrajco! Przez niewolników prędko rozchodzą się wiadomości: uwiodłeś mi Chryzotemis! Viniciusz kiwnął z niesmakiem ręką. — W każdym razie dziękuję ci — mówił Petroniusz — pošlę jej parę trzewików, naszywanych perłami; w moim języku miłosnym znaczy to: „odejdz”. Winienem ci podwójną wdzięczność: raz za to, że nie przyjąłeś Eunice, drugi raz, żeś mnie uwolnił od Chryzotemis. Posłuchaj mnie: widzisz przed sobą człowieka, który wstawał rano, kąpał się, ucztował, posiadał Chryzotemis, pisywał satyry, a nawet czasem prozę przeplatał wierszami, ale który nudził się, jak Cezar, i często nie umiał opędzić się posępnym myślom. A czy wiesz, dlaczego tak było? Oto dlatego, że szukał daleko tego, co było blisko... Kobieta piękna warta jest zawsze tyle złota, ile waży, ale kobieta, która przytem kocha, niema wprost ceny. Tego nie kupisz za wszystkie skarby Werresa. Teraz mówię sobie oto, co następuje: napełniam życie szczęściem, jak puhar najprzedniejszym winem, jakie wydała ziemia, i piję, póki nie zmartwieje mi ręka i nie pobledną usta. Co będzie dalej, nie dbam, i oto jest moja najnowsza filozofia. — Wyznawałeś ją zawsze. Nic w niej nowego! — Jest w niej treść, której brakło. To rzekłszy, zawołał Eunice, która weszła, ubrana w białą draperyę, złotowłosa, już nie dawna niewolnica, ale jakby bogini miłości i szczęścia. On zaś otworzył jej ramiona i rzekł: — Pójdź! Na to przybiegła ku niemu i, siadłszy na jego kolanach, oplótła mu ramionami szyję, głowę zaś złożyła na jego piersiach. Viniciusz widział, jak zwolna policzki jej poczęły się pokrywać odblaskiem purpury, jak oczy zatapiały się stopniowo we mgle. Razem tworzyli cudną grupę miłosną i szczęśliwą. Petroniusz sięgnął ręką do płaskiej wazy, stojącej obok na stole, i, wydobywszy z niej pełną garść fiołków, począł obsypywać nimi głowę, piersi i stolę Eunice, następnie obsunął tunikę z jej ramion i rzekł: — Szczęśliwy, kto, jak ja, znalazł miłość w takim zamkniętą kształcie... Czasem wydaje mi się, że jesteśmy dwojgiem bogów... Patrz sam: czy Praksyteles, czy Miron, czy Skopas lub Lyziasz stworzyli kiedy cudniejsze linie? Czy na Paros lub w Pentelikonie istnieje podobny marmur, ciepły, różowy i rozkochany? Są ludzie, którzy wyczałowywują brzegi waz, lecz ja wolę szukać rozkoszy tam, gdzie ją prawdziwie znaleźć można. To rzekłszy, począł wodzić ustami po jej ramionach i szyi, ją zaś przejmowało drżenie i oczy jej to zamykały się, to otwierały z wyrazem niewysłowionej rozkoszy. Petroniusz podniósł po chwili swą wykwintną głowę i, zwróciwszy się do Viniciusza, rzekł: — A teraz pomyśl, czem są wobec tego twoi posępni chrześcijanie? i jeśli nie zrozumiesz różnicy, to idź sobie do nich... Ale ten widok cię uleczy. Viniciusz rozdał nozdrza, przez które wchodziła woń fiołków, napełniająca cały pokój, i pobladł, pomyślał bowiem, że, gdyby mógł tak wodzić ustami po ramionach Ligii, to byłaby jakaś świętokradzka rozkosz, tak wielka, że potem niechby się zapadł świat. Lecz przywykłszy już do prędkiego uświadamiania tego, co się w nim dzieje, spostrzegł, że i w tej chwili myśli o Lygii, tylko o niej. Petroniusz zaś rzekł: — Eunice, kaź nam, boska, przygotować wieńce na głowę i śniadanie. Potem, gdy odeszła, zwrócił się do Viniciusza: — Chciałem ją wyzwolić, ona zaś, wiesz, co mi odpowiedziała: „Wolałabym być twoją niewolnicą, niż żoną Cezara”. I nie chciała się zgodzić. Wówczas wyzwoliłem ją mimo jej wiedzy. Pretor zrobił to dla mnie, że nie wymagał jej obecności. Ale ona nie wie o tem, jak również nie wie, że ten dom i wszystkie moje klejnoty, z wyjątkiem gemm, do niej będą należały na wypadek mojej śmierci. To rzekłszy, wstał, przeszedł się po pokoju i rzekł: — Miłość zmienia jednych więcej, drugich mniej, ale zmieniła i mnie. Niegdyś lubiłem zapach werweny, lecz, ponieważ Eunice woli fiołki, więc i ja polubiłem je teraz nad wszystko, i od czasu, jak wiosna nadeszła, oddychamy tylko fiołkami. Tu zatrzymał się przed Viniciuszem i zapytał: — A ty? zawsze trzymasz się nardu? — Daj mi pokój! — odpowiedział młody człowiek. — Ja chciałem,

byś się przypatrzył Eunice, i mówię ci o niej dlatego, że może i ty szukasz daleko tego, co jest bliskie. Może i dla ciebie bije gdzieś w twoich niewolniczych cubikulach serce wierne i proste. Przyłóż taki balsam na twe rany. Mówisz, że Lygia cię kocha? Być może! Ale co to jest za miłość, która się wyrzeka? Czy to nie znaczy, że jest coś od niej silniejszego? Nie, drogi: Lygia, to nie Eunice. Na to Viniciusz odrzekł: — Wszystko jest tylko jednym udręczeniem. Widziałem cię całującego ramiona Eunice i pomyślałem wówczas, że, gdyby mi tak Lygia odkryła swoje, to niechby potem ziemia otworzyła się pod nami! Ale na samą myśl o tem chwycił mnie jakiś lęk, jakgdybym porwał się na westalkę lub zamierzał pohańbić bóstwo... Lygia, to nie Eunice, tylko że ja inaczej rozumiem tę różnicę, niż ty. Tobie miłość zmieniła nozdrza, więc wolisz fiołki od werweny, a mnie zmieniła duszę, więc mimo mojej nędzy i żądy, wolę, że Lygia jest taką, jak jest, niż żeby była podobna do innych. Petroniusz wzruszył ramionami: — W takim razie nie dzieje ci się krzywda. Ale ja tego nie rozumiem. A Viniciusz odpowiedział gorączkowo: — Tak! tak!.. My się już nie możemy zrozumieć! Nastąpiła znów chwila milczenia, poczem Petroniusz rzekł: — Niech Hades pochłonie twoich chrześcijan! Napełnili cię niepokojem i zniszczyli zmysł życia. Niech ich Hades pochłonie! Mylisz się, mniemając, że to jest nauka dobroczynna, bo dobroczynnem jest to, co ludziom daje szczęście, to jest piękność, miłość i moc, oni zaś nazywają to marnością. Mylisz się, że są sprawiedliwi, bo jeśli za złe będziemy płacili dobrem, to czemu będziemy płacili za dobro? A przytem jeśli za to i za to jednaka zapłata, to pocóż ludzie mają być dobrzy? — Nie: zapłata nie jest jednaka, ale się zaczyna, wedle ich nauki, w życiu przyszłem, które nie jest doczesne. — W to się nie wdaję, bo to dopiero zobaczymy, jeśli coś można zobaczyć... bez oczu. Tymczasem są to poprostu niedołęgi. Ursus zadusił Krotona, bo ma członki ze spiżu, ale to są mazgaje, przyszłość zaś nie może do mazgajów należeć. — Życie dla nich zaczyna się wraz ze śmiercią. — To jakby ktoś powiedział: dzień zaczyna się razem z nocą. Czy ty masz zamiar porwać Ligię? — Nie. Nie mogę jej złem za dobre płacić i przysiągłem, że tego nie uczynię. — Czy masz zamiar przyjąć naukę Chrystusa? — Chcę, ale moja natura jej nie znosi. — A potrafisz zapomnieć o Lygii? — Nie. — To podróżuj. Niewolnicy dali w tej chwili znać, że śniadanie gotowe, lecz Petroniusz, któremu zdawało się, że wpadł na dobrą myśl, mówił dalej w drodze do tryklinium. — Zjeździłeś kawał świata, ale tylko jako żołnierz, który śpieszy na miejsce przeznaczenia i nie zatrzymuje się po drodze. Wybierz się z nami do Achai. Cezar nie zarzucił dotąd zamiaru podróży. Będzie się zatrzymywał wszędzie po drodze, śpiewał, zbierał wieńce, łupił świątynie i wreszcie wróci, jako tryumfator, do Italii. Będzie to coś, jakby pochód Bachusa i Apollina w jednej osobie. Augustianie, augustianki, tysiące cytr — na Kastora! Warto to widzieć, bo świat nie widział dotąd niczego podobnego. Tu położył się na ławce przed stołem, obok Eunice, a gdy niewolnik kładł mu na głowę wieniec z anemonów, mówił dalej: — Coś ty widział w służbie Korbulona? Nic! Czyś zwiedzał porządnie świątynie greckie, tak jak ja, który przeszło dwa lata przechodziłem z rąk jednego przewodnika do rąk drugiego? Czyś był na Rodos oglądać miejsce, gdzie stał kolos? Czyś widział w Panopie, w Focydzie, glinę, z której Prometeusz lepił ludzi, albo w Sparcie jaje, które niosła Leda, albo w Atenach sławny pancerz sarmacki, zrobiony z kopyt końskich, albo na Eubei okręt Agamemnona, albo czaszę, dla której za formę służyła lewa pierś Heleny? Czyś widział Aleksandryę, Memfis, Piramidy, włos Izydy, który sobie wyrwała z żalu za Ozyrysem? Czyś słyszał jęk Memnona? Świat jest szeroki i nie wszystko się kończy na Zatybrzu! Ja będę towarzyszył Cezarowi, a potem, gdy będzie wracał, opuszczę go i pojedę na Cypr, bo ta złotowłosa moja boginka życzy sobie, byśmy razem ofiarowali w Pafos Cyprydzie gołębie, a trzeba ci wiedzieć, że czego ona sobie życzy, to się staje. — Niewolnicą twoją jestem — rzekła Eunice. On zaś wsparł uwieńczoną głowę na jej łonie i rzekł z uśmiechem: — Więc jestem niewolnikiem niewolnicy. Podziwiam cię, boska, od stóp do głów. Poczem do Viniciusza: —

Jedź z nami na Cypr. Przedtem jednak pamiętaj, że musisz widzieć się z Cezarem. Żle, żeś dotąd u niego nie był; Tigellinus gotów wyzyskać to na twoją niekorzyść. Niema on wprawdzie do ciebie osobistej nienawiści, jednakże nie może cię kochać choćby dlatego, że jesteś moim siostrzeńcem... Powiemy, że byłeś chory. Musimy się namyśleć, co masz mu odpowiedzieć, jeśli spyta cię o Lygię. Najlepiej machnij ręką i powiedz mu, że była, póki ci się nie znudziła. On to zrozumie. Powiedz mu również, że choroba zatrzymała cię w domu, że gorączkę powiększyło zmartwienie, iż nie mogłeś być w Neapolu i słuchać jego śpiewu, a do zdrowia pomogła ci jedynie nadzieja, że go usłyszysz. Nie lękaj się przesadzić. Tigellinus zapowiada, że wymyśli dla Cezara coś nietylko wielkiego, ale i grubego... Boję się jednak, by mnie nie podkopał. Boję się także twego usposobienia... — Czy wiesz, — rzekł Viniciusz — że są ludzie, którzy się Cezara nie boją i żyją tak spokojnie, jakby go na świecie nie było? — Wiem, kogo wymienisz: chrześcijan. — Tak. Oni jedni... Nasze zaś życie czemże jest, jeśli nie ciągłym strachem? — Daj mi pokój z twoimi chrześcijanami. Nie boją się Cezara, bo on może o nich i nie słyszał, a w każdym razie nic o nich nie wie i tyle go oni obchodzą, ile zwiędłe liście. A ja ci powiadam, że to są niedołęgi, że sam to czujesz, i że jeśli twoja natura otrząsa się na ich naukę, to właśnie dlatego, że czujesz ich niedołość. Tyś człowiek z innej gliny i dlatego daj sobie i mnie z nimi spokój. Potrafimy żyć i umrzeć, a co oni potrafią, to niewiadomo. Viniciusza uderzyły te słowa i wróciwszy do siebie, począł rozmyślać, że może w istocie owa dobroć i miłosierdzie chrześcijan dowodzi niedołości ich dusz. Zdawało mu się, że ludzie, mający tęgość i hart, nie umieliby tak przebaczać. Przyszło mu do głowy, że istotnie to może być powodem wstrętu, jaki jego rzymska dusza odczuwa do tej nauki. „Potrafimy żyć i umrzeć!“ — mówił Petroniusz. A oni? Oni umieją tylko przebaczać, ale nie rozumieją ni prawdziwej miłości, ni prawdziwej nienawiści.

ROZDZIAŁ VIII.

Cezar, wróciwszy do Rzymu, zły był, że wrócił, i po kilku dniach już zapłonął na nowo chęcią wyjazdu do Achai. Wydał nawet edykt, w którym oświadczał, że nieobecność jego nie potrwa długo i że rzeczy publiczne na żadną szkodę z tego powodu nie będą narażone. Zaczem, w towarzystwie augustianów, między którymi znajdował się i Viniciusz, udał się na Kapitol, by złożyć bogom ofiary za pomyślną podróż. Lecz na drugi dzień, gdy z kolei odwiedził przybytek Westy, zaszedł wypadek, który wpłynął na zmianę wszystkich zamiarów. Nero nie wierzył w bogów, ale bał się ich, zwłaszcza zaś tajemnicza Westa taką przejmowała go obawą, że na widok bóstwa i świętego ognia włosy podniosły mu się nagle z przerażenia, zwały się zęby, drżenie przebiegło po wszystkich członkach i osunął się na ręce Viniciusza, który wypadkiem znajdował się tuż za nim. Wyniesiono go natychmiast ze świątyni i przeprowadzono na Palatyn, gdzie, lubo niebawem przyszedł zupełnie do siebie, nie opuszczał jednak łoża przez cały dzień. Oświadczył też, ku wielkiemu zdziwieniu obecnych, że zamiar wyjazdu odkłada stanowczo do czasów późniejszych, gdyż bóstwo ostrzegło go tajemnie przed pośpiechem. W godzinę później głośzono już publicznie ludowi po całym Rzymie, że Cezar, widząc zasmucone twarze obywateli, powodowany miłością ku nim, jako ojciec ku dzieciom, zostaje z nimi, by dzielić ich uciechy i dołę. Lud, uradowany z postanowienia, a zarazem pewien, że nie chybią igrzyska i rozdawnictwo zboża, zebrał się tłumnie przed bramą Palatyńską, wydając okrzyki na cześć boskiego Cezara, ów zaś przerwał grę w kości, w którą się zabawiał z augustianami, i rzekł: — Tak! trzeba było odłożyć; Egipt i władztwo nad Wschodem, wedle przepowiedni, nie może mnie minąć, więc i Achaja mi nie przepadnie. Każę przekopać istm koryncki, a w Egipcie wzniesiem takie pomniki, przy których piramidy wydadzą się igraszką dziecinną. Każę zbudować sfinksa, większego siedem razy od tego, który koło Memfis patrzy w pustynię, ale każę mu dać twarz moją. Wieki potomne będą mówiły tylko o tym pomniku i o mnie. — Zbudowałeś sobie już pomnik swymi

wierszami, większy nie siedem, ale trzy razy po siedem od piramidy Cheopsa — rzekł Petroniusz. — A śpiewem? — spytał Nero. — Niestety! gdyby to umiano zbudować ci taki posąg, jak posąg Memnona, któryby odzywał się twoim głosem o wschodzie słońca! Morza przyległe Egiptowi rołyby się po wiek wieków od okrętów, na których tłumy z trzech części świata wsłuchiwałyby się w pieśń twoją. — Niestety, któż to potrafi? — rzekł Nero. — Ale możesz kazać wyciąć z bazaltu siebie, powożąc go kwadrygą. — Prawda! uczynię to! — Uczynisz podarek ludzkości. — W Egipcie zaślubię też Lunę, która jest wdową, i będę naprawdę bogiem. — A nam dasz na żony gwiazdy, my zaś utworzymy nową konstelację, która będzie się zwała konstelacją Nerona. Viteliusza jednak ożeń z Nilem, aby płodził hipopotamy. Tigellinowi podaruj pustynię, będzie wówczas królem szakalów... — A mnie co przeznaczasz? — spytał Vatyniusz. — Niech cię Apis błogosławi! Wyprawiłeś nam tak wspaniałe igrzyska w Benewencie, że nie mogę ci źle życzyć: zrób parę butów Sfinksowi, któremu łapy drętwieją w czasie ros nocnych, a potem będziesz robił obuwie dla kolosów, tworzących aleje przed świątyniami. Każdy tam znajdzie odpowiednie zajęcie. Domiciusz Afer na przykład zostanie skarbnikiem, jako znany z uczciwości. Lubię, Cezarze, gdy marzysz o Egipcie i smuci mnie to, żeś odłożył zamiar wyjazdu. Nero zaś rzekł: — Wasze śmiertelne oczy nic nie widziały, bo bóstwo czyni się niewidzialnym, dla kogo zechce. Wiedźcie, że gdym był w świątyni Westy, ona sama stanęła koło mnie i rzekła mi w samo ucho: „Odłóż wyjazd“. Stało się to tak niespodziewanie, żeś się przeraził, choć za taką widoczną opiekę bogów nade mną powinienem im być wdzięczny. — Wszyscyśmy się przerazili — rzekł Tigellinus — a westalka Rubria zemdlała. — Rubria! — rzekł Nero — jaką ona ma śnieżną szyję. — Lecz się rumieni na twój widok, boski Cezarze... — Tak! Zauważyłem to i ja. To dziwne! Westalka! Jest coś boskiego w każdej westalce, a Rubria jest bardzo piękna. Tu zamyślił się przez chwilę, poczem zapytał: — Powiedzcie mi, dlaczego Westy ludzie się więcej boją, niż innych bogów? Co w tem jest? Ot mnie samego lęk ogarnął, chociaż jestem najwyższym kapłanem. Pamiętam tylko, że padłem na wznak i byłbym runął na ziemię, gdyby mnie ktoś nie podtrzymał. Kto mnie podtrzymał? — Ja — odrzekł Viniciusz. — Ach, ty „srogi Aresie?“ Czemu nie byłeś w Benewencie? Mówiono mi, żeś chory, i istotnie twarz masz zmienioną. Ale! słyszałem, że Kroto chciał cię zamordować? Czy to prawda? — Tak jest — i złamał mi ramię, ale się obroniłem. — Złamanem ramieniem? — Pomógł mi pewien barbarzyńca, który był od Krotona silniejszy. Nero spojrział na niego ze zdziwieniem. — Silniejszy od Krotona? Chyba żartujesz? Kroto był najsilniejszy z ludzi, a teraz jest Syfaks z Etyopii. — Mówię ci, Cezarze, com widział na własne oczy. — Gdzież jest ta perła? Czy nie został królem Nemoreńskim? — Nie wiem, Cezarze. Straciłem go z oczu. — Nie wiesz nawet, z jakiego narodu? — Miałem złamaną rękę, więc nie mogłem się o nic go wypytać. — Poszukaj mi go i znaleź. Na to Tigellinus rzekł: — Ja się tem zajmę. Lecz Nero mówił dalej do Viniciusza: — Dziękuję ci, żeś mnie podtrzymał. Mogłem, padłszy, rozbić głowę. Niegdyś dobry był z ciebie towarzysz, ale od czasu wojny i służby pod Korbulonem, zdziczałeś jakoś i rzadko cię widuję. Poczem, pomilczawszy chwilę, rzekł: — Jak się ma owa dziewczyna... zawązka w biodrach... w której się kochałeś i którą odebrałem Aulusom dla ciebie?... Viniciusz zmieszał się, lecz Petroniusz w tej chwili przyszedł mu z pomocą: — Założę się, panie, — rzekł — że zapomniiał. Czy widzisz jego zmieszanie? Pytaj go o to, ile ich było od tego czasu, a nie ręczę, czy i na to potrafi odpowiedzieć. Z Viniciuszów dobrzy żołnierze, ale lepsze jeszcze koguty. Trzeba im stada. Ukarz go za to, panie, i nie zaproś go na ucztę, jaką nam Tigellinus obiecuje wyprawić na twoją cześć na stawie Agryppy. — Nie, nie uczynię tego. Ufam Tigellinowi, że tam właśnie stada nie zbraknie. — Miałożby braknąć charytek tam, gdzie będzie Amor? — odpowiedział Tigellin. Lecz Nero rzekł: — Nuda mnie dręczy! Zostałem z woli bogini w Rzymie, ale go nie mogę znosić. Wyjadę do Antium. Duszę się w tych ciasnych ulicach, wśród tych walących się domów, wśród tych plugawych zaułków.

Smrodliwe powietrze zalatuje aż tu, do mego domu i do moich ogrodów. Ach, gdyby trzęsienie ziemi zniszczyło Rzym, gdyby jaki rozgniewany bóg zrównał go z ziemią, dopiero pokazałbym wam, jak powinno się budować miasto, które jest głową świata i moją stolicą. — Cezarze — odpowiedział Tigellinus — mówisz: „gdyby jaki rozgniewany bóg zniszczył miasto“ — czy tak? — Tak! Więc cóż? — Alboż nie jesteś bogiem? Nero machnął ręką z wyrazem znużenia, poczem rzekł: — Zobaczymy, co nam urządzisz na stawach Agryppy. Potem wyjadę do Antium. Wy wszyscy jesteście mali, więc nie rozumiecie, że mi potrzeba rzeczy wielkich. To powiedziawszy, przymknął oczy, dając w ten sposób znać, że potrzebuje spoczynku. Jakoż augustianie poczęli się rozchodzić. Petroniusz wyszedł z Viniciuszem i rzekł mu: — Jesteś więc wezwany do udziału w zabawie. Miedzianobrody wyrzekł się podróży, ale natomiast będzie szalał więcej, niż kiedykolwiek, i rozpościerał się w mieście, jak we własnym domu. Staraj się i ty znaleźć w szaleństwach rozrywkę i zapomnienie. U licha! podbiliśmy przecie świat i mamy prawo się bawić. Ty, Marku, jesteś bardzo pięknym chłopcem i temu w części przypisuję słabość, jaką mam do ciebie. Na Dyanę efebka! gdybyś ty mógł widzieć swoje zrosnięte brwi i swoją twarz, w której znać starą krew Kwiryków. Tamci wyglądają przy tobie jak wyzwoleńcy. Tak jest! Gdyby nie ta dzika nauka, Lygia byłaby dziś w domu twoim. Próbujże mi jeszcze dowodzić, że to nie są nieprzyjaciele życia i ludzi... Obeszli się z tobą dobrze, więc możesz być im wdzięczny, ale na twojem miejscu zniechęciłbym tę naukę, a szukał rozkoszy tam, gdzie ją znaleźć można. Jesteś pięknym chłopcem, powtarzam ci, a Rzym roi się od rozwódek. — Dziwię się tylko, że cię to wszystko jeszcze nie męczy? — odpowiedział Viniciusz. — Kto ci to powiedział? Mnie męczy to oddawna, ale ja nie mam twoich lat. Ja resztą mam inne zamiłowania, których tobie brak. Lubię książki, których ty nie lubisz, lubię poezję, która cię nudzi, lubię naczynia, gemmy i mnóstwo rzeczy, na które ty nie patrzysz, mam bóle w krzyżu, których ty nie miewasz i wreszcie znalazłem Eunice, ty zaś nic podobnego nie znalazłeś... Mnie dobrze w domu, wśród arcydzieł, z ciebie zaś nigdy nie zrobię estety. Ja wiem, że w życiu nic już więcej nie znajdę nad to, com znalazł, ty sam nie wiesz, że ciągle jeszcze spodziewasz się i szukasz. Gdyby na ciebie śmierć przyszła, przy całej twej odwadze i wszystkich smutkach umarłbyś ze zdziwieniem, że już trzeba świat opuścić, ja zaś przyjąłbym ją jako konieczność, z tem przeświadczeniem, że niema na całym świecie takich jagód, którychbym nie spróbował. Nie śpieszę się, ale też nie będę się ociągał, postaram się tylko, by mi było do ostatka wesoło. Są na świecie weseli sceptycy. Stoicy są dla mnie głupcami, ale stoicyzm przynajmniej hartuje, twoi zaś chrześcijanie wprowadzają na świat smutek, który jest tem w życiu, czym deszcz w naturze. Czy wiesz, czegom się dowiedział? — oto, że w czasie uroczystości, które wyprawi Tigellin, na brzegach stawu Agryppy staną lupanaria, a w nich zebrane będą kobiety z najpierwszych domów w Rzymie. Czyż nie znajdzie się choć jedna dość piękna, by mogła cię pocieszyć? Będą i dziewice, które po raz pierwszy na świat wystąpią... jako nimfy. Takie nasze cesarstwo rzymskie... Ciepło już! południowy wiatr ogrzeje wody i nie spryszczy nagich ciał. A ty, Narcyzie, wiedz o tem, że nie znajdzie się ani jedna, któraby ci się oparła, ani jedna — choćby była westalką. Viniciusz począł się uderzać w głowę dłonią, jak człowiek, zajęty wiecznie jedną myślą. — Trzebaż szczęścia, żeby na taką jedyną trafił... — A któż to sprawił, jeśli nie chrześcijanie!... Ale ludzie, których godłem jest Krzyż, nie mogą być inni. Słuchaj mnie: Grecya była piękna i stworzyła mądrość świata, my stworzyliśmy siłę, a co, jak myślisz, może stworzyć ta nauka? Jeśli wiesz, to objaśnij mnie, bo, na Polluksa! nie mogę się domyśleć. Viniciusz wzruszył ramionami. — Zdawałoby się, iż boisz się, abym nie został chrześcijaninem. — Boję się, byś sobie życia nie popsuł. Jeśli nie potrafisz być Grecyą, bądź Rzymem: władać i używać! Szaleństwa nasze mają dlatego pewien sens, że w nich tkwi taka właśnie myśl. Miedzianobrodym pogardzam, bo jest błaznem-Grekiem. Gdyby się miał za Rzymianina, przyznałbym mu, że ma słusność, pozwalając

sobie na szaleństwa. Przynajmniej mi, że jeśli teraz, wróciwszy do domu, zastaniesz jakiego chrześcijanina, pokażesz mu język. Jeśli to będzie Glaukus-lekarsz, to się nawet nie zdziwi. Do widzenia na stawie Agryppy.

ROZDZIAŁ IX.

Pretorianie okrążali gaje, rosnące po brzegach stawu Agryppy, aby zbyt wielkie tłumy widzów nie przeszkadzały Cezarowi i jego gościom, gdyż i tak mówiono, że co tylko było w Rzymie odznaczającego się bogactwem, umysłem lub pięknnością, stawiało się na ową ucztę, która nie miała równej sobie w dziejach miasta. Tigellinus chciał wynagrodzić Cezarowi odłożoną podróż do Achai, a zarazem przewyższyć wszystkich, którzy kiedykolwiek podejmowali Nerona, i dowieść mu, że nikt go tak zabawić nie potrafi. W tym celu jeszcze, bawiąc przy Cezarze w Neapolis, a potem w Benewencie, czynił przygotowania i wysyłał rozkazy, by z najodleglejszych krańców świata sprowadzano zwierzęta, ptaki, rzadkie ryby i rośliny, nie pomijając naczyń i tkanin, które miały ucztę uświetnić. Dochody z całych prowincyi szły na zaspokojenie szalonych pomysłów, lecz na to potężny faworyt nie potrzebował się oglądać. Wpływ jego wzrastał z dniem każdym. Tigellinus może nie był jeszcze Neronowi miłszy od innych, ale stawał się coraz niezbędniejszym. Petroniusz przewyższał go nieskończeniem polorem, umysłem, dowcipem i w rozmowach lepiej umiał bawić Cezara, ale na swoje nieszczęście przewyższał w tem i Cezara, wskutek czego budził jego zazdrość. Nie umiał też być posłusznym we wszystkiem narzędziem i Cezar bał się jego zdania, gdy chodziło o rzeczy smaku; z Tigellinem zaś nie czuł się nigdy skrępowanym. Sama nazwa: arbiter elegantiarum, jaką nadawano Petroniuszowi, drażniła miłość własną Nerona, któż bowiem, jeśli nie on sam, powinien był ją nosić? Tigellinus miał jednak tyle rozumu, iż zdawał sobie sprawę ze swych braków, a widząc, że nie może iść w zawody ani z Petroniuszem, ani z Lukanem, ani z innymi, których wyróżniało czy to urodzenie, czy talenta, czy nauka — postanowił zgasić ich podatnością swych służb, a przedewszystkiem zbyt takim, żeby i wyobraźnia Nerona została nim uderzona. Ucztę więc kazał zastawić na olbrzymiej tratwie, zbudowanej z pozłoczonych belek. Brzegi jej przybrane były w przepyszne konchy, poławiane w morzu Czerwonym i w oceanie Indyjskim, grające kolorami pereł i tęczy. Boki były pokryte kępami palm, gaikami lotosów i róż rozkwitłych, wśród których ukryto fontanny, tryskające wonnościami, posągi bogów i złote lub srebrne klatki, napelnione różnokolorowem ptactwem. W środku wznosił się olbrzymi namiot, albo raczej, dla niezastłania widoku, tylko wierzch namiotu z syryjskiej purpury, wsparty na srebrnych słupkach, pod nim zaś błyszcząły jak słońca stoły, przygotowane dla biesiadników, obciążone szkłem aleksandryjskiem, kryształem i naczyniami wprost bez ceny, złupionemi w Italii, Grecyi i Azji Mniejszej. Tratwa, mająca z powodu nagromadzonych na niej roślin pozór wyspy i ogrodu, połączona była sznurami ze złota i purpury z łodziami w kształcie ryb, łabędzi, mew i flamingów, w których przy kolorowych wiosłach siedzieli nadzy wiosłarze i wiosłarki, o kształtach i rysach cudnej piękności, z włosami utrefionymi na sposób wschodni, lub ujętymi w złote siatki. Gdy Nero, przybywszy z Poppeą i augustianami, przybił do głównej tratwy i zasiadł pod purpurowym namiotem, łodzie owe poruszyły się, wiosła poczęły uderzać wodę, wyprężyły się złote sznury i tratwa wraz z ucztą i gośćmi poczęła się poruszać i opisywać kręgi po stawie. Otoczyły ją też inne łodzie i inne mniejsze tratwy, pełne cytrzystek i harfiarek, których różowe ciała, na tle błękitu nieba i wody i w odbłaskach od złotych instrumentów, zdawały się wsiąkać w siebie owe błękity i odbłaski, mienić się i kwitnąć, jak kwiaty. Z gajów pobrzeżnych, z dziwacznych budynków, powznoszonych umyślnie i poukrywanych wśród gęstwy, ozwały się także odgłosy muzyki i śpiewu. Zabrzmiała okolica, zabrzmiały gaje, echa rozniosły dźwięk rogów i trąb. Sam Cezar, mając po jednej stronie Poppeę, po drugiej Pitagorasa, podziwiał, i, zwłaszcza gdy między łodziami pojawiły się młode niewolnicze dziewczęta,

poprzebierane za syreny, pokryte zieloną siatką, naśladowującą łuskę, nie szczędził pochwał Tigellinowi. Z przyzwyczajenia spoglądał jednak na Petroniusza, chcąc poznać zdanie „arbitra“, lecz ów zachowywał się przez długi czas obojętnie i dopiero wręcz zapytany, odrzekł: — Ja sędzę, panie, że dziesięć tysięcy obnażonych dziewic czyni mniejsze wrażenie, niż jedna. Cezarowi podobała się jednak „pływająca uczta“, albowiem była czemś nowem. Podawano zresztą, jak zwykle, tak wyszukane potrawy, że i wyobraźnia Apicyusza omdlałaby na ich widok, i wina w tylu gatunkach, że Othon, który podawał ich osiemdziesiąt, skryłby się pod wodę ze wstydu, gdyby mógł widzieć ów przepych. Do stołu, prócz kobiet, zasiedli sami augustianie, wśród których Viniciusz gasił wszystkich pięknnością. Niegdyś postać i twarz jego zbyt znamionowały żołnierza z zawodu, teraz troski wewnętrzne i ból fizyczny, przez który przeszedł, wyrzeźbiły tak jego rysy, jakby przeszła po nich delikatna ręka mistrza-rzeźbiarza. Płeć jego straciła dawną śniadość, lecz zostały jej złotawe połyski numidyjskiego marmuru. Oczy stały się większe, smutniejsze. Tylko tors jego zachował dawne potężne formy, jakby stworzone do pancerza, lecz nad tym torsems legionisty widniała głowa greckiego boga, albo przynajmniej wyrafinowanego patrycyusza, zarazem subtelna i przepyszna. Petroniusz mówiąc mu, że żadna z augustianek i nie potrafi i nie zechce mu się oprzeć, mówił jak człowiek doświadczony. Patrzący na niego teraz wszystkie, nie wyjmując Poppei, ani westalki Rubryi, którą Cezar życzył sobie mieć na uczcie. Wina, mrożone w śniegach z gór, wkrótce rozgrzały serca i głowy biesiadników. Z gęstwiny pobrzeżnej wysuwały się coraz nowe łódki o kształtach koników polnych i łątek. Błękitna szyba stawu wyglądała jakby ją kto przyrzucił płatkami kwiatów, lub jakby ją poobsiadały motyle. Nad łodziami unosiły się tu i owdzie poprzywiązywane na srebrnych i niebieskich niciach lub sznurkach gołębie i inne ptaki z Indyi i Afryki. Słońce przebiegło już większą część nieba, ale dzień, lubo uczta odbywała się w początkach maja, był ciepły, a nawet upalny. Staw kołysał się od uderzeń wiosła, które biły toń w takt muzyki, lecz w powietrzu nie było najmniejszego tchnienia wiatru i gaje stały nieruchome, jakby zasłuchane i zapatrzone w to, co działo się na wodzie. Tratwa krążyła wciąż po stawie, wioząc coraz bardziej pijanych i wrzaskliwych biesiadników. Jeszcze uczta nie dobiegła do połowy, gdy nie pilnowano już porządku, w jakim wszyscy zasiedli przy stole. Sam Cezar dał przykład, wstawszy bowiem, kazał ustąpić Viniciuszowi, który spoczywał przy Rubryi westalce, i zajmąwszy jego triklinium, począł jej szeptać coś do ucha. Viniciusz znalazł się przy Poppei, która po chwili wyciągnęła doń ramię prosząc, by zapiął jej rozluźniony naramiennik, a gdy uczynił to trochę drżącemi rękoma, rzuciła mu z pod swoich długich rzes spojrzenie jakby zawstydzone i potrząsnęła swą złotą głową, niby czemuś przecząc. Tymczasem słońce stało się większe, czerwiejsze i zwolna staczało się za szczyty gajów; goście byli po większej części zupełnie pijani. Tratwa krążyła teraz blisko brzegów, na których, wśród kęp drzew i kwiatów, widać było grupy ludzi, poprzebieranych za faunów lub za satyrów, grających na fletniach, multankach i bębenkach, oraz grupy dziewcząt, przedstawiających nimfy, dryady i hamadryady. Mrok zapadł wreszcie wśród pijanych okrzyków na cześć Luni, dochodzących z pod namiotu: wówczas gaje zaświeciły tysiącem lamp. Z lupanariów, stojących po brzegach, popłynęły roje światła: na tarasach ukazały się nowe grupy, również obnażone, składające się z żon i córek pierwszych domów rzymskich. Te głosem i wyuzdanymi ruchami poczęły przyzywać biesiadników. Tratwa przybiła wreszcie do brzegu, Cezar i augustianie wypadli do gajów, rozproszyli się w lupanariach, w namiotach, ukrytych wśród gęstwy, w grotach, sztucznie urządzonej wśród źródeł i fontann. Szał ogarnął wszystkich; nikt nie wiedział, gdzie podział się Cezar, kto jest senatorem, kto rycerzem, kto skoczkiem lub muzykiem. Satyry i fauny poczęły gonić z krzykiem za nimfami. Bito tyrsami w lampy, by je pogasić. Niektóre części gajów ogarnęła ciemność. Wszędzie jednak słychać było to głośnie krzyki, to śmiechy, to szept, to zdyszany oddech ludzkich piersi. Rzym istotnie nie widział dotąd nic

podobnego. Viniciusz nie był pijany, jak na owej uczcie w pałacu Cezara, na której była Lygia, ale i jego olśnił i upoił widok wszystkiego, co się działo, a wreszcie ogarnęła go gorączka rozkoszy. Wypadłszy do lasu, biegł razem z innymi, upatrując, która z dryad wyda mu się najpiękniejszą. Co chwila przelatywały koło niego ze śpiewem i okrzykami coraz nowe ich stada, gonione przez faunów, satyrów, senatorów, rycerzy i przez odgłosy muzyki. Ujrawszy nareszcie orszak dziewic, prowadzony przez jedną, przybraną za Dyane, skoczył ku niemu, chcąc bliżej spojrzeć na boginię, i nagle serce zamarło mu w piersiach. Oto zdawało mu się, że w bogini z księżycem na głowie poznaje Lygię. One zaś otoczyły go szalonym korowodem, a po chwili, chcąc go widocznie skłonić do pościgu, pierzchły, jak stado sarn. Lecz on został na miejscu, z bijącym sercem, bez oddechu, bo jakkolwiek rozpoznał, że Dyana nie była Lygią i zblizka nie była nawet do niej podobna, zbyt silne wrażenie pozbawiło go sił. Nagle ogarnęła go tęsknota za Lygią, tak niezmierna, jakiej nigdy w życiu nie doświadczał i miłość do niej napłynęła mu nową ogromną falą do piersi. Nigdy nie wydała mu się droższą, czystsza i bardziej umiłowaną, jak w tym lesie szału i dzikiej rozpusty. Przed chwilą sam chciał pić z tego kielicha i wziąć udział w owym rozpętaniu zmysłów i bezwstydu, teraz przejął go wstręt i obrzydzenie. Poczuł, że dusi go ohyda, że piersiom jego potrzeba powietrza a oczom gwiazd, nie zaćmionych przez gęstwę tego straszego gaju, i postanowił uciekać. Lecz zaledwie ruszył, stanęła przed nim jakaś postać, z głową owiniętą w zasłonę, i wsparłszy się dłońmi na jego ramionach, poczęła szeptać, oblewając mu gorącym tchnieniem twarz: — Kocham cię!... Pójdź! Nikt nas nie ujrzy: śpiesz się! Viniciusz obudził się, jakby ze snu: — Ktoś ty? Lecz ona wsparła się na nim piersią i poczęła nalegać: — Śpiesz się! Patrz, jak tu pusto, a ja cię kocham! Pójdź! — Ktoś ty? — powtórzył Viniciusz. — Zgadnij!... To rzekłszy, przycisnęła przez zasłonę usta do jego ust, ciągnąc jednocześnie ku sobie jego głowę, aż wreszcie, gdy jej zbrakło oddechu, oderwała od niego twarz. — Noc miłości!... noc zapamiętania! — mówiła, chwytając szybko powietrze. — Dziś wolno!... Masz mnie! Lecz Viniciusza sparzył ów pocałunek i napełnił go nowym obrzydzeniem. Dusza i serce jego były gdzieindziej i na całym świecie nie istniało dla niego nic, prócz Lygii. Więc, odsunawszy ręką zakwefioną postać, rzekł: — Ktokolwiek jesteś, kocham inną i nie chcę cię. A ona zniżyła ku niemu głowę: — Uchyl zasłony. Lecz w tej chwili zaszleściły liście pobliskich mirtów; postać znikła, jak senne widziadło, tylko zdaleka rozległ się jej śmiech jakiś dziwny i złowrogi. Petroniusz stanął przed Viniciuszem. — Słyszałem i widziałem — rzekł. Viniciusz zaś odpowiedział: — Pójdźmy stąd!... I poszli. Minęli gorejące światłem lupanaria, gaj, łańcuch konnych pretorianów i odnaleźli lektyki. — Wstąpię do ciebie — rzekł Petroniusz. I wsiedli razem. Lecz przez drogę milczeli obaj. Dopiero gdy znaleźli się w atrium Viniciuszowego domu, Petroniusz rzekł: — Czy wiesz, kto to był? — Rubria? — spytał Viniciusz, wstrząsnawszy się na samą myśl, że Rubria była westalką. — Nie. — Więc kto? Petroniusz zniżył głos: — Ogień Westy został splugawiony, bo Rubria była z Cezarem. Z tobą zaś mówiła... Tu dokończył jeszcze ciszej: — Diva Augusta. Nastąpiła chwila milczenia. — Cezar — rzekł Petroniusz — nie umiał ukryć przy niej swej żądzy do Rubryi, więc może chciała się zemścić, a ja przeszkodziłem wam dlatego, że gdybyś, poznawszy Augustę, odmówił jej, to byłbyś zgubiony bez ratunku: ty, Lygia, a może i ja. Lecz Viniciusz wybuchnął: — Mam dosyć Rzymu, Cezara, uczt, Augusty, Tigellina i was wszystkich! Duszę się! nie mogę tak żyć! nie mogę! Rozumiesz mnie! — Tracisz głowę, sąd, miarę!... Viniciuszu! — Kocham ją jedną w świecie! — Więc co? — Więc nie chcę innej miłości, nie chcę waszego życia, waszych uczt, waszego bezwstydu i waszych zbrodni! — Co się z tobą dzieje? Czyś ty chrześcijanin? A młody człowiek objął rękoma głowę i począł powtarzać, jakby z rozpaczą: — Jeszcze nie! jeszcze nie!

ROZDZIAŁ X.

Petroniusz odszedł do domu, wzruszając ramionami i niezadowolony mocno. Spozstrzegł teraz i on, że

przestali się z Viniciuszem rozumieć i że dusze ich rozbiegły się zupełnie. Niegdyś Petroniusz miał nad młodym żołnierzem ogromny wpływ. Był mu we wszystkim wzorem i często kilka ironicznych słów z jego strony wystarczało, by Viniciusza od czegoś powstrzymać lub do czegoś popchnąć. Obecnie nie zostało z tego nic, tak dalece, że Petroniusz nie próbował nawet dawnych sposobów, czując, że jego dowcip i ironia ześlizną się bez żadnego skutku po nowych pokładach, jakie na duszę Viniciusza nałożyła miłość i zetknięcie się z niepojętym światem chrześcijańskim. Doświadczony sceptyk rozumiał, że stracił klucz do tej duszy. Przejmowało go też to niezadowoleniem, a nawet i obawą, którą spotęgowały jeszcze wypadki tej nocy. „Jeśli to ze strony Augusty nie przemijające zachcenie, trwalsza żądza — myślał Peroniusz — to będzie jedno z dwojga: albo Viniciusz jej się nie oprze, i może być przez lada wypadek zgubiony, albo, co dziś do niego podobne, oprze się i w takim razie będzie zgubiony napewno, a z nim mogę być i ja, choćby dlatego, że jestem jego krewnym, i że Augusta, objąwszy niechęcią całą rodzinę, przerzuci wagę swego wpływu na stronę Tigellina...“ I tak, i tak było źle. Petroniusz był człowiekiem odważnym i śmierci się nie bał, ale, nie spodziewając się od niej niczego, nie chciał jej wywoływać. Po długim namyśle postanowił wreszcie, że najlepiej i najbezpieczniej będzie wyprawić Viniciusza z Rzymu w podróż. Ach! gdyby mógł dać mu w dodatku na drogę Lygię, byłby to z radością uczynił. Lecz i tak spodziewał się, że nie będzie mu go zbyt trudno namówić. Wówczas rozpuściłby na Palatynie wieść o chorobie Viniciusza, i odsunąłby niebezpieczeństwo zarówno od niego, jak i od siebie. Augusta ostatecznie nie wiedziała, czy była przez Viniciusza poznana; mogła przypuszczać, że nie, więc jej miłość własna dotychczas niezbyt ucierpiała. Inaczej mogło być jednak w przyszłości i należało temu zapobiedz. Petroniusz chciał przede wszystkim wygrać na czasie, rozumiał bowiem, że, skoro raz Cezar ruszy do Achai, wówczas Tigellinus, który się na niczem z zakresu sztuki nie rozumiał, zejdzie na drugi plan i straci swój wpływ. W Grecyi Petroniusz pewien był zwycięstwa nad wszystkimi współzawodnikami. Tymczasem postanowił czuwać nad Viniciuszem i zachęcać go do podróży. Przez kilkanaście dni rozmyślał nawet nad tem, że, gdyby wyrobił u Cezara edykt, wypędzający chrześcijan z Rzymu, to Lygia opuściłaby go razem z innymi wyznawcami Chrystusa, a za nią i Viniciusz. Wówczas nie potrzebaby go namawiać. Sama zaś rzecz była możliwa. Wszakże nie tak dawno jeszcze, gdy Żydzi wszczęli rozruchy z nienawiści do chrześcijan, Klaudyusz Cezar, nie umiając odróżnić jednych od drugich, wypędził Żydów. Czemuby zatem Nero nie miał wypędzić chrześcijan? W Rzymie byłoby przestronniej. Petroniusz po owej „pływającej uczcie“ widywał codziennie Nerona i na Palatynie i w innych domach. Podsunąć mu podobną myśl było łatwo, bo Cezar nie opierał się nigdy namowom, przynoszącym komuś zgubę lub szkodę. Po dojrzałem zastanowieniu, Petroniusz ułożył sobie cały plan. Oto wyprawi u siebie ucztę i na niej skłoni Cezara do wydania edyktu. Miał nawet niepłonną nadzieję, że Cezar jemu powierzy wykonanie. Wówczas wyprawiłby Lygię, ze wszelkimi należnymi kochance Viniciusza względami, naprzykład do Bajów, i niechby się tam kochali i bawili w chrześcijaństwo, ileby im się podobało. Tymczasem odwiedzał Viniciusza często, raz dlatego, że, przy całym swym rzymskim egoizmie, nie mógł się pozbyć przywiązania do niego, a powtóre, by namawiać go do podróży. Viniciusz udawał chorego i nie pokazywał się na Palatynie, gdzie codzien powstawały inne zamiary. Pewnego dnia wreszcie Petroniusz usłyszał z własnych ust Cezara, że wybiera się stanowczo za trzy dni do Antium, i zaraz nazajutrz poszedł zawiadomić o tem Viniciusza. Lecz ów pokazał mu listę osób, zaproszonych do Antium, którą rano przyniósł mu wyzwoleniec Cezara. — Jest na niej moje nazwisko — rzekł — jest i twoje. Wróciwszy, zastaniesz taką samą u siebie. — Gdyby mnie nie było między zaproszonymi — odpowiedział Petroniusz — toby znaczyło, że trzeba umrzeć, nie spodziewam się zaś, by to nastąpiło przed podróżą do Achai. Będę tam Neronowi zbyt potrzebny. Poczem, przejrawszy listę, rzekł: — Ledwośmy przybyli do Rzymu,

trzeba znów opuścić dom i wlec się do Antium. Ale trzeba! bo to nietylko zaproszenie, to zarazem rozkaz. — A gdyby kto nie posłuchał? — Dostałby innego rodzaju wezwanie: by się wybrał w znacznie dłuższą podróż, w taką, z której się nie wraca. Co za szkoda, żeś nie posłuchał mojej rady i nie wyjechał, póki był czas. Teraz, musisz do Antium. — Teraz muszę do Antium... Patrz-że, w jakich my czasach żyjemy i jakimi podłymi jesteśmy niewolnikami? — Czyś to dziś dopiero spostrzegł? — Nie. Ale widzisz, tyś mi dowodził, że nauka chrześcijańska jest nieprzyjaciółką życia, bo nakłada na nie więzy. A czyż mogą być twardsze, niż te, które nosimy? Tyś mówił: Grecya stworzyła mądrość i piękność, a Rzym moc. Gdzież nasza moc? — Zawołaj sobie Chilona. Nie mam dziś żadnej ochoty do filozofowania. Na Herkulesa! nie ja stworzyłem te czasy i nie ja za nie odpowiadam. Mówmy o Antium. Wiedz, że czeka cię tam wielkie niebezpieczeństwo i że lepiejby może było dla ciebie zmierzyć się z tym Ursusem, który zdławił Krotona, niż tam jechać, a jednak nie możesz nie jechać. Viniciusz skinął niedbale dłonią i rzekł: — Niebezpieczeństwo! My wszyscy brodzimy w mroku śmierci i co chwila jakaś głowa zanurza się w ów mrok. — Czy mam ci wyliczać wszystkich, którzy mieli trochę rozumu i dlatego mimo czasów Tyberyusza, Kaliguli, Klaudyusza i Nerona dożyli ośmdziesięciu lub dziewięćdziesięciu lat? Niech ci za przykład posłuży choćby tylko taki Domicjusz Afer. Ten zestarzał się spokojnie, choć całe życie był złodziejem i łotrem. — Może dlatego! może właśnie dlatego! — odpowiedział Viniciusz. Poczem jął przeglądać listę i rzekł: — Tigellinus, Vatinius, Sekstus Afrykanus, Aquilinus Regulus, Suiliusz Nerulinus, Eprius Marcellus, i tak dalej! co za zbiór hołoty i łotrów!.. I powiedzieć, że to rządzi światem!.. Czy nie lepiejby im przystało obwozić jakieś egipskie, albo syryjskie bóstwo po miasteczkach, brząkać w sistry i zarabiać na chleb wróżbiarstwem, albo skokami?.. — Lub pokazywać uczone małpy, rachujące psy, albo osła dmuchającego we flet — dodał Petroniusz — wszystko to prawda, ale mówmy o czemś ważniejszym. Zbierz uwagę i słuchaj mnie: opowiadałem na Palatynie, żeś chory, i nie możesz opuszczać domu, tymczasem nazwisko twoje znajduje się jednak na liście, co dowodzi, że ktoś nie uwierzył moim opowiadaniom i postarał się o to umyślnie. Neronowi nic na tem nie zależało, albowiem jesteś dla niego żołnierzem, z którym co najwyżej można gadać o gonitwach w cyrku, i który o poezyi i muzyce niema pojęcia. Otóż o umieszczenie twego nazwiska postarała się chyba Poppea, a to znaczy, że jej żądza ku tobie nie była przemijającym zachceniem, i że pragnie cię zdobyć. — Odważna z niej Augusta! — Odważna zaiste, bo może się zgubić bez ratunku. A niechby Wenus natchnęła ją jak najprędzej inną miłością, ale póki chce jej się ciebie, musisz zachować jak największe ostrożności. Miedzianobrodemu ona już poczyna powszednieć, woli już dziś Rubrię lub Pitagorasa, lecz przez samą miłość własną wywarłby na was najstraszniejszą zemstę. — W gaju nie wiedziałem, że to ona do mnie mówiła, ale przecieżeś podsłuchiwał i wiesz, co jej odpowiedziałem: że kocham inną i że jej nie chcę. — A ja cię zaklinam na wszystkich bogów podziemnych, nie trać tej resztki rozumu, którą ci jeszcze chrześcijanie zostawili. Jak można się wahać, mając wybór między zgubą prawdopodobną a pewną? Zali nie mówiłem ci już, że, gdybyś zranił miłość własną Augusty, nie byłoby dla ciebie ratunku? Na Hades! jeśli ci życie zbrzydło, to lepiej sobie zaraz żyły otwórz lub rzuć się na miecz, bo gdy obrazisz Poppeę, może cię spotkać śmierć mniej lekka. Niegdyś przyjemniej było z tobą mówić! O co właściwie ci chodzi? Czy cię ubędzie? czy ci to przeszkodzi kochać swoją Lygię? Pamiętaj przytem, że Poppea widziała ją w Palatynie i że nietrudno jej się będzie domyśleć, dla kogo odrzucasz tak wysokie łaski. A wówczas wydobędzie ją, choćby z pod ziemi. Zgubisz nietylko siebie, ale i Lygię, rozumiesz? Viniciusz słuchał, jakby myśląc o czem innym, i wreszcie rzekł: — Ja muszę ją widzieć. — Kogo? Lygię? — Lygię. — Wiesz, gdzie ona jest? — Nie. — Więc zaczniesz znów szukać jej po starych cmentarzach i na Zatybrzu? — Nie wiem, ale muszę ją widzieć. — Dobrze. Jakkolwiek jest chrześcijanką, może się okazać, iż jest rozsądniejsza od

ciebie, a okaże się to z pewnością, jeśli nie chce twojej zguby. Viniciusz ruszył ramionami. — Wyratowała mnie z rąk Ursusa. — W takim razie śpiesz się, bo Miedzianobrody nie będzie zwlekał z wyjazdem. Wyroki śmierci może wydawać i z Antium. Lecz Viniciusz nie słuchał. Zajmowała go tylko jedna myśl: zobaczenia się z Lygią, więc począł rozmyślać nad sposobami. Tymczasem zdarzyła się okoliczność, która mogła usunąć wszystkie trudności. Oto nazajutrz przyszedł niespodzianie do niego Chilo. Przyszedł nędzny i obdarty, z oznakami głodu w twarzy i w podartym łachmanie, służba jednak, która miała dawniej rozkaz puszczania go o każdej porze dnia i nocy, nie śmiała go wstrzymywać, tak że wszedł prosto do atrium i, stanąwszy przed Viniciuszem, rzekł: — Niech ci bogowie dadzą nieśmiertelność i podzielą się z tobą władzą nad światem. Viniciusz w pierwszej chwili miał ochotę kazać wyrzucić go za drzwi. Lecz przysłała mu myśl, że może Grek wie coś o Lygii, i ciekawość przemogła obrzydzenie. — To ty? — spytał. — Co się z tobą dzieje? — Żle, synu Jowisza — odpowiedział Chilon. — Prawdziwa cnota, to towar, o który nikt dziś nie zapyta, i prawdziwy mędrzec musi być rad i z tego, jeśli raz na pięć dni ma za co kupić baranią głowę u rzeźnika, którą ogryza na poddaszu, popijając łzami. Ach, panie! Wszystko, coś mi dał, wydałem na księgi u Atractusa, a potem okradziono mnie, zniszczono; niewolnica, która miała spisywać moją naukę, uciekła, zabrawszy resztę tego, czem twoja wspaniałomyślność mnie obdarzyła. Nędzarz jestem, ale pomyślałem sobie: do kogóż mam się udać, jeśli nie do ciebie, Serapisie, którego kocham, ubóstwiam i za którego narażałem życie moje! — Po coś przyszedł i co przynosisz? — Po pomoc, Baalu, a przynoszę ci moją nędzę, moje łzy, moją miłość i wreszcie wiadomości, które przez miłość dla ciebie zebrałem. Pamiętasz, panie, com ci w swoim czasie mówił, że odstąpiłem niewolnicy boskiego Petroniusza jedną nitkę z przepaski Wenery w Pafos?.. Dowiadywałem się teraz, czy jej to pomogło, i ty, synu Słońca, który wiesz, co się w tamtym domu dzieje, wiesz także, czem jest tam Eunice. Mam jeszcze taką jedną nitkę. Zachowałem ją dla ciebie, panie. Tu przerwał spostrzegłszy gniew, zbierający się w brwiach Viniciusza, i, chcąc uprzedzić wybuch, rzekł prędko: — Wiem, gdzie mieszka boska Lygia, wskażę ci, panie, dom i zaułek... Viniciusz potłumił wzruszenie, jakim przejęła go ta wiadomość, i rzekł: — Gdzie ona jest? — U Linnusa, starszego kapłana chrześcijan. Ona tam jest wraz z Ursusem, a ten po dawnemu chodzi do młynarza, który zwie się tak, jak twój dyspensator, panie. Demas... Tak, Demas!.. Ursus pracuje nocami, więc, otoczywszy dom w nocy, nie znajdzie się go... Linnus jest stary... a w domu, prócz niego, są tylko jeszcze starsze dwie niewiasty. — Skąd to wszystko wiesz? — Pamiętasz, panie, że chrześcijanie mieli mnie w swym ręku i oszczędzili. Glaukus myli się wprawdzie, mniemając, że ja przyczyną jego nieszczęść, ale uwierzył w to nieborak i wierzy dodad, a jednak, oszczędzili mnie! Więc nie dziw się, panie, że wdzięczność napęłniła mi serce. Jam człowiek z dawnych, lepszych czasów. Zatem myślałem: mamże zaniechać moich przyjaciół i dobroczyńców? Zali nie byłoby zatwardziałością nie zapytać o nich, nie wywiedzieć się, co się z nimi dzieje, jak im służy zdrowie i gdzie mieszkają? Na Pessinuncką Cybelę! Nie ja jestem do tego zdolny. Wstrzymywała mnie z początku obawa, żeby źle nie zrozumieli moich zamiarów. Ale miłość, jaką do nich miałem, okazała się większą od obawy, a zwłaszcza dodała mi otuchy ta łatwość, z jaką oni przebaczą wszelkie krzywdy. Przedewszystkiem jednak myślałem o tobie, panie. Ostatnia nasza wyprawa zakończyła się porażką, a czyż taki syn Fortuny może pogodzić się z tą myślą? Więc przygotowałem ci zwycięstwo. Dom stoi osobno. Możesz go kazać otoczyć niewolnikom tak, że i mysz się nie wyśliźnie. O panie, panie! od ciebie zależy tylko, by jeszcze dzisiejszej nocy ta wielkoduszna królowna znalazła się w domu twoim. Ale jeśli się to stanie, pomyśl, że przyczynił się do tego bardzo biedny i zgłodniały syn mojego ojca. Viniciuszowi krew napłynęła do głowy. Pokusa raz jeszcze wstrząsnęła całym jego jestestwem. Tak jest! to był sposób, i tym razem sposób pewny. Gdy raz będzie miał Lygię u siebie, któż zdoła mu ją odjąć? Gdy raz uczyni

Lygię swoją kochanką, cóż jej pozostanie innego, jak zostać nią nazawsze? I niech zginą wszelkie nauki. Co dla niego będą znaczyli wówczas chrześcijanie, razem z ich miłosierdziem i posępną wiarą? Zali nie czas otrząsnąć się z tego wszystkiego? Zali nie czas rozpocząć życia, jak wszyscy żyją? Co następnie uczyni Lygia, jak pogodzi swój los z nauką, którą wyznaje, to również rzecz mniejsza. To są rzeczy bez wagi! Przedewszystkiem będzie jego, i to dziś jeszcze. A i to pytanie, czy się w jej duszy ostoja owa nauka, wobec tego nowego dla niej świata, wobec rozkoszy i uniesień, którym musi się poddać? A stać się to może jeszcze dziś. Dość zatrzymać Chilona i wydać o zmroku rozkazy. I potem radość bez końca! „Czem było moje życie? — myślał Viniciusz — cierpieniem, niezaspokojoną żądzą i zadawaniem sobie ciągłych pytań bez odpowiedzi“. W ten sposób przetnie i skończy się wszystko. Przypomniał sobie wprawdzie, że przyrzekł jej, iż nie wzniesie na nią ręki. Ale na cóż przysięgał? Nie na bogów, bo w nich już nie wierzył, nie na Chrystusa, bo w niego jeszcze nie wierzył. Zresztą, jeśli będzie się czuła pokrzywdzona, zaślubi ją i w ten sposób wynagrodzi jej krzywdę. Tak! do tego czuje się zobowiązanym, bo przecież zawdzięcza jej życie. Tu przypomniał mu się ów dzień, w którym wraz z Krotonem wpadł do jej schronienia; przypomniał sobie wzniesioną nad sobą pięść Ursusa i wszystko, co nastąpiło potem. Ujrzał ją znów schyloną nad jego łóżem, przebraną w strój niewolnicy, piękną, jak bóstwo, dobroczynną i uwielbioną. Oczy jego mimowoli przeniosły się na lararium i na ów krzyżyk, który zostawiła mu, odchodząc. Zali jej za to wszystko zapłacą nowym zamachem? Zali będzie ją ciągał za włosy do cubikulum, jak niewolnicę? I jakże potrafi to uczynić, skoro nietylko jej pożąda, ale ją kocha, a kocha za to właśnie, że jest taką, jak jest? I nagle uczuł, że niedość mu ją mieć w domu, niedość chwycić przemocą w ramiona, i że jego miłość chce już czegoś więcej, to jest: jej zgody, jej kochania i jej duszy. Błogosławiony ten dach, jeśli ona wejdzie pod niego dobrowolnie, błogosławiona chwila, błogosławiony dzień, błogosławione życie. Wówczas szczęście obojga będzie jako morze nieprzebrane, i jako słońce. Ale porwać ją przemocą, byłoby to zabić na wieki takie szczęście, a zarazem zniszczyć, splugawić i zohydzić to, co jest najdroższe i jedynie ukochane w życiu. Zgroza przejęła go teraz na samą myśl o tem. Spojrzał na Chilona, który, wpatrując się w niego, zasunął rękę pod łachman i drapał się niespokojnie, poczem przejęło go niewypowiedziane obrzydzenie i chęć zdeptania tego dawnego pomocnika, tak, jak depce się plugawe robactwo lub jadowitego węża. Po chwili wiedział już, co ma uczynić. Lecz, nie znając w niczem miary, a idąc za popędem swej srogiej rzymskiej natury, zwrócił się do Chilona i rzekł: — Nie uczynię tego, co mi radzisz, byś jednak nie odszedł bez nagrody, na jaką zasługujesz, każę ci dać trzysta różeg w domowym ergastulum. Chilo zbladł. W pięknej twarzy Viniciusza tyle było zimnej zawziętości, iż ani chwili nie mógł się łudzić nadzieją, by obiecana zapłata była tylko okrutnym żartem. Więc rzucił się w jednej chwili na kolana i zgiąwszy się, począł jęczyć przerywanym głosem: — Jakto, królu perski? za co?.. Piramido łaski! kolosie miłosierdzia! za co?.. Jam stary, głodny, nędzny... Służyłem ci... Tak-że się odwdzięczasz?.. — Jak ty chrześcijanom — odparł Viniciusz. I zawołał dyspensatora. Lecz Chilo skoczył do jego nóg i, objąwszy je konwulsyjnie, wołał jeszcze, z twarzą pokrytą śmiertelną bladością: — Panie, panie!.. Jam stary! pięćdziesiąt, nie trzysta... Pięćdziesiąt dosyć!.. Sto, nie trzysta!.. Litości! litości! Viniciusz odtrącił go nogą i wydał rozkaz. W mgnieniu oka za dyspensatorem wbiegło dwóch silnych Kwadów, którzy, porwawszy Chilona za resztki włosów, okręcili mu głowę jego własnym łachmanem i powlekli go do ergastulum. — W imię Chrystusa!.. — zawołał Grek we drzwiach do korytarza. Viniciusz został sam. Wydany rozkaz podniecił go i ożywił. Tymczasem starał się zebrać rozpierzchłe myśli, i przyprowadzić je do ładu. Czuł wielką ulgę i zwycięstwo, jakie nad sobą odniósł, napełniało go otuchą. Zdawało mu się, że uczynił jakiś wielki krok ku Lygii, i że powinna go spotkać za to jakaś nagroda. W pierwszej chwili nie przyszło mu nawet na myśl, jak ciężkiej dopuścił się

niesprawiedliwości względem Chilona, i że kazał go smagać za to samo, za co przedtem nagradzał. Nadto był jeszcze Rzymianinem, by go miał boleć cudzy ból i by miał zaprzętać swą uwagę jednym nędznym Grekiem. Gdyby nawet był pomyślał o tem, sądziłby, iż postąpił słusznie, rozkazawszy ukarać nikczemnika. Lecz on myślał o Lygii i mówił jej: nie zapłacę ci złem za dobre, a gdy się kiedyś dowiesz, jak postąpiłem z tym, który chciał mnie namówić do podniesienia na ciebie ręki, będziesz mi za to wdzięczna. Tu jednak zastanowił się, czy Lygia pochwaliłaby jego postępek z Chilonem? Wszakże nauka, którą ona wyznaje, każe przebaczać; wszak chrześcijanie przebaczyli nędznikowi, chociaż większe mieli do zemsty powody. Wówczas dopiero ozwał mu się w duszy krzyk: „w imię Chrystusa!“ Przypomniawszy sobie, że podobnym okrzykiem Chilo wykupił się z rąk Lygia, i postanowił darować mu resztę kary. W tym celu miał właśnie zawołać dyspensatora, gdy ten sam stanął przed nim i rzekł: — Panie, ów starzec omdlał, a może i umarł. Czy mam kazać go ćwiczyć dalej? — Ocucić go i stawić przede mną. Rządca atrium znikł za zasłoną, lecz cucenie nie musiało iść łatwo, albowiem Viniciusz czekał jeszcze czas długi, i poczynął się już niecierpliwić, gdy wreszcie niewolnicy wprowadzili Chilona i na znak dany sami cofnęli się natychmiast. Chilo błydy był, jak płótno, i wzdłuż nóg jego spływały na mozaikę atrium nitki krwi. Był jednak przytomny i, padłszy na kolana, począł mówić z wyciągniętymi rękoma: — Dzięki ci, panie! Jesteś miłosierny i wielki. — Psie — rzekł Viniciusz — wiedz, że ci przebaczył dla tego Chrystusa, któremu i sam życie zawdzięczam. — Będę służył, panie, Jemu i tobie. — Milcz i słuchaj. Wstań! Pójdiesz ze mną i pokażesz mi dom, w którym mieszka Lygia. Chilo zerwał się, lecz zaledwie stanął na nogach, pobladł jeszcze śmiertelniej i rzekł mdlejącym głosem: — Panie, jam naprawdę głodny... Pójdę, panie, pójdę! lecz nie mam sił... Każ mi dać choć resztki z misy twego psa, a pójdę!.. Viniciusz kazał mu dać jeść, sztukę złota i płaszcz. Lecz Chilo, którego osłabiły razy i głód, nie mógł iść nawet po posiłku, choć strach podnosił mu włosy na głowie, by Viniciusz nie wziął jego osłabienia za opór i nie kazał go smagać na nowo. — Niech jeno wino mnie rozgrzeje — powtarzał, szcękając zębami — będę mógł iść zaraz, choćby do Wielkiej Grecji. Jakoż po pewnym czasie odzyskał trochę sił i wyszli. Droga była długa, Linnus bowiem mieszkał, jak większa część chrześcijan, na Zatybrzu, niedaleko od domu Myriam. Chilo pokazał wreszcie Viniciuszowi osobny mały domek, otoczony murem, pokrytym całkiem przez bluszcze, i rzekł: — To tu, panie. — Dobrze — rzekł Viniciusz — idź teraz precz, ale pierwej posłuchaj, co ci powiem: zapomnij, żeś mi służył; zapomnij, gdzie mieszka Myriam, Piotr i Glaukus; zapomnij również o tym domu i o wszystkich chrześcijanach. Przyjdiesz każdego miesiąca do mego domu, gdzie Demas wyzwoleniec będzie ci wypłacał po dwie sztuki złota. Lecz gdybyś dalej szpiegował chrześcijan, każę ci zaćwiczyć lub oddam w ręce prefekta miasta. Chilo skłonił się i rzekł: — Zapomnę. Lecz gdy Viniciusz znikł na zakręcie uliczki, wyciągnął za nim ręce i, grożąc pięściami, zawołał: — Na Ate i na Furye! nie zapomnę! Poczem znów osłabł.

ROZDZIAŁ XI.

Viniciusz udał się wprost do domu, w którym zamieszkiwała Myriam. Przed bramą spotkał Nazaryusza, który zmieszał się na jego widok, ale on pozdrowił go uprzejmie i kazał się prowadzić do mieszkania matki. W mieszkaniu, prócz Myriamy, zastał Piotra, Glauka, Kryspa, a nadto i Pawła z Tarsu, który świeżo był wrócił z Fregellae. Na widok młodego trybuna, zdziwienie odbiło się na wszystkich twarzach, on zaś rzekł: — Pozdrawiam was w imię Chrystusa, którego czcicie. — Niech imię Jego będzie wysławiane na wieki. — Widziałem waszą cnotę i doświadczyłem dobroci, więc przychodzę jako przyjaciel. — I pozdrawiamy cię, jako przyjaciela — odpowiedział Piotr. — Siądź, panie, i podziel z nami posiłek, jako gość nasz. — Siądę i podzielę z wami posiłek, jeno pierwej wysłuchajcie mnie: ty Piotrze i ty Pawle z Tarsu, abyście poznali szczerą moją. Wiem, gdzie jest

Lygia; wracam z przed domu Linnusa, który leży blisko tego mieszkania. Mam prawo do niej, dane mi przez Cezara, mam w mieście, w domach moich, blisko pięćset niewolników; mógłbym otoczyć jej schronienie i pochwycić ją, a jednak nie uczyniłem tego i nie uczynię. — Przeto błogosławieństwo Pana będzie nad tobą i będzie oczyszczone serce twoje — rzekł Piotr. — Dziękuję ci, ale posłuchajcie mnie jeszcze: nie uczyniłem tego, choć żyję w męce i tęsknocie. Przedtem, nim byłem z wami, byłbym niechybnie wziął ją i zatrzymał przemocą, ale wasza cnota i wasza nauka, chociaż jej nie wyznawam, zmieniła coś i w mojej duszy, tak, że nie ważę się już na przemoc. Sam nie wiem, dlaczego się tak stało, ale tak jest! Zaczem przychodzę do was, bo wy Lygii zastępujecie ojca i matkę, i mówię wam: dajcie mi ją za żonę, a ja przysięgnę wam, że nietylko jej nie wzbronię wyznawać Chrystusa, ale i sam pocznę się uczyć Jego nauki. Mówił z podniesioną głową, głosem stanowczym, ale był jednak wzruszony i nogi drżały mu pod pasiastym płaszczem, gdy zaś po słowach jego nastąpiło milczenie, począł mówić dalej, jakby chcąc uprzedzić niepomyślną odpowiedź: — Wiem, jakie są przeszkody, ale miłuję ją, jak oczy własne, i chociaż nie jestem jeszcze chrześcijaninem, nie jestem nieprzyjacielem ni waszym, ni Chrystusa. Chcę przed wami być w prawdzie, abyście mogli mi ufać. Idzie w tej chwili o życie moje, a jednak mówię wam prawdę. Inny rzekłby wam może: ochrzczycie mnie! — ja mówię: oświećcie mnie. Wierzę, że Chrystus zmartwychwstał, bo to prawią ludzie prawdą żyjący, którzy Go widzieli po śmierci. Wierzę, bom sam widział, że wasza nauka płodzi cnotę, sprawiedliwość i miłosierdzie, nie zaś zbrodnie, o które was posądzają. Niewielem jej dotąd poznał. Tyle, co od was, z waszych uczynków, tyle, co od Lygii, tyle, co z rozmów z wami. A przecie, powtarzam wam, że i we mnie coś się już przez nią zmieniło. Trzymałem dawniej żelazną ręką sługi moje, teraz — nie mogę. Nie znałem litości, teraz znam. Kochałem się w rozkoszy, teraz uciekłem ze stawu Agryppy, bo mi tchu od obrzydzenia nie stało. Dawniej wierzyłem w przemoc, dziś się jej wyrzekłem. Wiedźcie, że sam siebie nie poznaję, ale zbrzydły mi uczyty, zbrzydło wino, śpiewanie, cytry i wieńce, zbrzydł dwór Cezara i nagie ciała i wszystkie zbrodnie. A gdy myślę, że Lygia jest jako śnieg w górach, to miłuję ją tembardziej; a gdy pomyślę, że jest taka przez waszą naukę, to miłuję i tę naukę i chcę jej! Ale że jej nie rozumię, że nie wiem, czy w niej żyć potrafię i czy zniesie ją natura moja, przeto żyję w niepewności i męce, jakobym żył w ciemnicy. Tu brwi na czole zbiegły mu się w bolesną fałdę i rumieniec wystąpił na policzki, poczem znów mówił coraz śpieszniej i z coraz większem wzruszeniem: — Widzicie! męczę się i z miłości i od mroku. Mówili mi, że w waszej nauce nie ostoi się ni życie, ni radość ludzka, ni szczęście, ni prawo, ni porządek, ni zwierzchność, ni władztwo rzymskie. Zali tak jest? Mówili mi, żeście ludzie szaleni; powiedzcie, co przynosicie? Czy grzech miłować? czy grzech czuć radość? czy grzech chcieć szczęścia? czy wyście nieprzyjaciółmi życia? Czy trzeba chrześcijaninowi być nędzarzem? czy miałbym się wyrzec Lygii? Jaka jest wasza prawda? Wasze uczynki i wasze słowa są jako woda przejrzysta, ale jakie dno tej wody? Widzicie, żem szczery. Rozproszcie ciemności. Bo mnie powiedzieli jeszcze i to: Grecya stworzyła mądrość i piękność, Rzym moc, a oni co przynoszą? Więc powiedzcie, co przynosicie? Jeśli za drzwiami waszemi jest jasność, to mi otwórzcie! — Przynosim miłość — rzekł Piotr. A Paweł z Tarsu dodał: — Gdybym mówił językami ludzkimi i anielskimi, a miłością bym nie miał, byłbym jako miedź brząkająca... Lecz serce starego Apostoła wzruszyło się tą duszą w męce, która jak ptak zamknięty w klatce rwała się do powietrza i słońca, więc wyciągnął ku Winiciuszowi ręce i rzekł: — Kto puka, będzie mu otworzono i łaska Pana jest nad tobą, przeto błogosławię tobie, twojej duszy i twojej miłości w imię Zbawiciela świata. Winiciusz, który i tak mówił w uniesieniu, usłyszawszy błogosławieństwo, skoczył ku Piotrowi i wówczas stała się rzecz nadzwyczajna. Oto ten potomek Kwiryków, który do niedawna nie uznawał w obcym człowieka, chwycił ręce starego Galilejczyka i począł je z wdzięcznością do ust

przyciskać. A Piotr ucieszył się, albowiem rozumiał, że siejba znów padła na jedną więcej rolę i że jego sieć rybacza ogarnęła jedną więcej duszę. Obecni zaś, niemniej ucieszeni tym jawnym znakiem czci dla Bożego Apostoła, zawołali jednym głosem: — Chwała na wysokościach Panu! Viniciusz powstał z rozjaśnioną twarzą i począł mówić: — Widzę, że szczęście może między wami mieszkać, bo czuję się szczęśliwy i mniemam, że tak samo w innych mnie przekonacie rzeczach. Ale to wam jeszcze powiem, że nie stanie się to w Rzymie; Cezar jedzie do Antium, a ja z nim muszę, gdyż mam rozkaz. Wiecie, że nie posłuchać, to śmierć. Ale jeśli znalazł łaskę w waszych oczach, jedźcie ze mną, abyście mnie nauczali prawdy waszej. Bezpieczniej wam tam będzie, niż mnie samemu, w tym wielkim natłoku ludzi będziecie mogli opowiadać waszą prawdę na samym dworze Cezara. Mówią, że Akte jest chrześcijanką, a i między pretorianami są chrześcijanie, bom sam widział, jak żołnierze klękali przed tobą, Piotrze, u bramy Nomentańskiej. W Antium mam willę, w której zbierać się będziemy, aby pod boki Nerona słuchać nauk waszych. Mówił mi Glaukus, że wy dla jednej duszy gotowicie na krańce świata wędrować, więc uczynicie to dla mnie, coście uczynili dla tych, dla których przyszłście tu aż z Judei, uczynicie i nie opuszczajcie duszy mojej! Oni, usłyszawszy to, poczęli się naradzać, myśląc z radością o zwycięstwie swej nauki i o znaczeniu, jakie dla pogańskiego świata mieć będzie nawrócenie się augustianina i potomka jednego z najstarszych rodów rzymskich. Gotowi byli istotnie wędrować na krańce świata dla jednej duszy ludzkiej i od śmierci Mistrza nic przecie innego nie czynili, więc odpowiedź odmowna nie przeszła im nawet przez myśl. Ale Piotr był w tej chwili pasterzem całej rzeszy, więc jechać nie mógł, natomiast Paweł z Tarsu, który niedawno był w Arycyi i we Fregellae, a wybierał się znów w długą podróż na Wschód, aby odwiedzić tamtejsze kościoły i ożywić je nowym duchem gorliwości, zgodził się towarzyszyć młodemu trybunowi do Antium, łatwo mu bowiem było znaleźć tam statek, idący na morza greckie. Viniciusz, jakkolwiek zasmucił się, że Piotr, któremu był tyle obowiązany, nie będzie mu towarzyszył, podziękował jednak z wdzięcznością, a następnie zwrócił się do starego Apostoła z ostatnią prośbą. — Wiedząc mieszkanie Lygii, — rzekł — mógłbym sam pójść do niej i spytać, jako jest rzecz słuszną, czyli zechce mnie za męża, jeśli dusza moja stanie się chrześcijańską, ale wolę cię prosić, Apostole: pozwól mi ją widzieć, albo wprowadź mnie sam do niej. Nie wiem, jak długo przyjdzie mi zabawić w Antium, i pamiętajcie, że przy Cezarze nikt nie jest pewny swego jutra. Już mi mówił i Petroniusz, że nie całkiem mi tam będzie bezpiecznie. Niechże ją ujrzę przedtem, niech nasyce nią oczy i niech ją zapytam, czy mi złe zapomni i czy dobre ze mną podzieli. A Piotr Apostoł uśmiechnął się dobrotliwie i rzekł: — A któżby ci słusznej radości miał odmawiać, synu mój. Viniciusz znów pochylił się do jego rąk, albowiem całkiem już nie mógł wezbranego serca pohamować, Apostoł zaś wziął go za skronie i rzekł: — Ale ty się Cezara nie bój, bo to ci powiadam, że włos nie spadnie ci z głowy. Poczem wysłał Myriam po Lygię, przykazując, by nie mówiła jej, kogo między nimi znajdzie, by i dziewczynie tem większą sprawić radość. Było niedaleko, więc po krótkim czasie zgromadzeni w izbie ujrzeni wśród mirtów ogródka Myriam, prowadzącą za rękę Lygię. Viniciusz chciał biedz naprzeciw, lecz na widok tej umiłowanej postaci szczęście odjęło mu siły — i stał z bijącym sercem, bez tchu, zaledwie mogąc się utrzymać na nogach, stokroć więcej wzruszony, niż wówczas, kiedy po raz pierwszy w życiu usłyszał strzały Partów, warczące koło swej głowy. Ona wbiegła, nie spodziewając się niczego, i na jego widok, stanęła również, jak wryta. Twarz jej zaczerwieniła się i wraz pobladła bardzo, poczem jęła spoglądać zdumionemi a zarazem przelękłemi oczyma na obecnych. Lecz naokół widziała jasne, pełne dobroci spojrzenia, Apostoł zaś Piotr zbliżył się do niej i rzekł: — Lygio, miłujesz-że ty go zawsze? Nastąpiła chwila milczenia. Usta poczęły jej drżeć, jak u dziecka, któremu zbiera się na płacz i które, czując się winnem, widzi jednak, że trzeba przyznać się do winy. — Odpowiedz — rzekł

Apostoł. Wówczas z pokorą i lękiem w głosie wyszeptała, obsuwając się do kolan Piotra: — Tak jest... Lecz Viniciusz w jednej chwili klęknął przy niej, Piotr zaś położył ręce na ich głowach i rzekł: — Miłujcie się w Panu i na chwałę Jego, albowiem niemasz grzechu w miłości waszej.

ROZDZIAŁ XII.

Chodząc po ogródku, Viniciusz opowiadał jej w krótkich, wyrwanych z głębi serca słowach to, co przed chwilą wyznał Apostołom: więc niepokój swej duszy, zmiany, jakie w nim zaszły, i wreszcie tę niezmierną tęsknotę, która przesłoniła mu życie od czasu, jak opuścił mieszkanie Myriam. Przyznał się Lygii, że chciał o niej zapomnieć, ale nie mógł. Myślał o niej po całych dniach i nocach. Przypominał mu ją ów krzyżyk, związany z gałązek bukszpanu, który mu zostawiła, a który umieścił w lararium i mimowoli czcił, jak coś boskiego. I tęsknił coraz mocniej, bo kochanie było od niego silniejsze i już u Aulusów objęło całkiem jego duszę... Innym przedą nic życia Parki, a jemu przedła ją miłość, tęsknota i smutek. Złe były jego postęпки, ale płynęły z miłości. Kochał ją u Aulusów i na Palatynie, i gdy ją widział na Ostrianum, słuchającą słów Piotra, i gdy szedł ją porwać z Krotonem, i gdy czuwała przy jego łożu, i gdy go opuściła. Przyszedł oto Chilo, który odkrył jej mieszkanie i radził ją porwać, ale on wolał ukarać Chilona i pójść do Apostołów prosić o prawdę i o nią... I niech będzie błogosławiona ta chwila, w której taka myśl przyszła mu do głowy, bo oto jest przy niej, a wszakże już ona nie będzie więcej uciekała przed nim, tak jak ostatnim razem uciekła z mieszkania Myriam? — Ja nie przed tobą uciekałam — rzekła Lygia. — Więc czemuś to uczyniła? A ona podniosła na niego swe oczy koloru irysów, poczem, schyliwszy zawstydzoną głowę, odrzekła: — Ty wiesz... Viniciusz umilkł na chwilę z nadmiaru szczęścia, poczem znów ją mówił, jak powoli otwierały mu się oczy, że ona jest całkiem różna od Rzymianek i chyba do jednej Pomponii podobna. Nie umiał jej zresztą dobrze wypowiedzieć, albowiem sam nie zdawał sobie sprawy z tego, co czuł, że w niej przychodzi na świat jakaś zupełnie inna piękność, której dotąd na świecie nie bywało, a która nietylko jest posągiem, ale i duszą. Powiedział jej natomiast to, co napełniło ją radością, że ją pokochał nawet za to, iż uciekała przed nim i że będzie mu świętą przy ognisku. Poczem, chwyciwszy jej rękę, nie mógł więcej mówić, patrzył tylko na nią z zachwytem, jak na odzyskane szczęście życia i powtarzał jej imię, jakby chcąc się upewnić, że ją odnalazł i że jest przy niej: — O Lygio! o Lygio!... Wreszcie ją rozpytywać, co się działo w jej duszy, a ona przyznała mu się, że go pokochała jeszcze w domu Aulusów, i że gdyby ją był odprowadził do nich z Palatynu, byłaby wyznała im swoją miłość i starała się przebłagać ich gniew na niego. — Ja ci przysięgam, — rzekł Viniciusz — że mnie w myśli nawet nie powstało odbierać cię Aulusom. Petroniusz powie ci kiedyś, że już wówczas mówił mi, że cię kocham i że pragnę cię zaślubić. Powiedziałem mu: niech omaści drzwi moje wilczym tłuszczem i niech zasiądzie przy mojem ognisku! Ale on mnie wyśmiał i podał Cezarowi myśl, by cię zażądał jako zakładniczki i oddał mnie. Ileż razy przeklinałem go w moim żalu, ale może to pomyślny los tak zrządził, bo inaczejbym nie poznał chrześcijan i nie zrozumiał ciebie... — Wierz mi, Marku, — odrzekła Lygia — że to Chrystus umyślnie prowadził cię ku sobie. Viniciusz podniósł głowę z pewnem zdziwieniem. — Prawda! — odpowiedział z żywością — wszystko składało się tak dziwnie, że, szukając ciebie, spotkał się z chrześcijanami... W Ostrianum ze zdumieniem słuchałem Apostoła, bom takich rzeczy nigdy nie słyszał. To tyś modliła się za mnie. — Tak! — odpowiedziała Lygia. Przeszli koło letnika, pokrytego gęstwą bluszczu, i zbliżyli się do miejsca, w którym Ursus, zdławiwszy Krotona, rzucił się na Viniciusza. — Tu, — rzekł młody człowiek — gdyby nie ty, byłbym zginął. — Nie przypominaj! — odpowiedziała Lygia — i nie pamiętaj tego Ursusowi. — Mógłżebyś mścić się nad nim za to, że cię bronił? Gdyby był niewolnikiem, zaraz darowałbym mu wolność. — Gdyby był niewolnikiem, Aulusowie dawnoby go wyzwolili. — Pamiętasz, — rzekł Viniciusz — że cię chciałem wrócić Aulusom? aleś ty mi odrzekła,

że Cezar mógłby się o tem dowiedzieć i mścić się nad nimi. Patrz-że: teraz będziesz ich mogła widywać, ilekroć zechcesz. — Dlaczego, Marku? — Mówię: „teraz“, a myślę, że będziesz ich mogła widywać bezpiecznie wówczas, gdy będziesz moja. Tak!... Bo gdyby Cezar, dowiedziawszy się o tem, zapytał, com uczynił z zakładniczką, którą mi powierzył, rzeknę: zaślubiłem ją i do Aulusów chodzi z mojej woli. On długo w Antium nie zabawi, bo mu się chce do Achai, a choćby i zabawił, nie potrzebuję widywać go codziennie. Gdy Paweł z Tarsu nauczy mnie waszej Prawdy, zaraz chrzest przyjmę i wrócę tu, odzyskam przyjaźń Aulusów, którzy w tych dniach wracają do miasta, i nie będzie już przeszkod, a wówczas zabiorę cię i posadzę przy mojem ognisku. O carissima! carissima! To rzekłszy, wyciągnął ręce, jakby niebo biorąc na świadka swej miłości, a Lygia, podniósłszy na niego świetliste oczy, rzekła: — I wówczas powiem: „gdzie ty Kajus, tam i ja Kaja“. — Nie, Lygio! — zawołał Viniciusz — przysięgam ci, że nigdy żadna kobieta nie była tak czczona w domu męża, jak ty będziesz w moim. Przez chwilę szli w milczeniu, nie mogąc objąć piersiami szczęścia, rozkochani w sobie, podobni do dwojga bóstw i tak piękni, jakby ich wraz z kwiatami wydała na świat wiosna. Stanęli wreszcie pod cyprysem, rosnącym blisko wejścia do izby. Lygia oparła się o jego pień, Viniciusz zaś znów począł prosić drgającym głosem: — Każ Ursusowi pójść do domu Aulusów, zabrać twoje sprzęty i zabawki dziecinne i przenieść do mnie. A ona, spłonawszy jak róża lub jak jutrzienka, odrzekła: — Zwyczaj każe inaczej... — Ja wiem. Znosi je zwykle pronuba dopiero za oblubienicą, ale uczyn to dla mnie. Ja zabiorę je do mojej willi w Antium i będą mi cię przypominały. Tu złożył ręce i jął powtarzać, jak dziecko, które prosi: — Pomponia wróci w tych dniach, więc uczyn to, diva, uczyn, carissima moja! — Niech Pomponia robi, jak zechce — odrzekła Lygia, płonąc na wspomnienie „pronuby“ jeszcze silniej. I znów umilkli, gdyż miłość poczęła im tamować dech w piersiach. Lygia stała oparta plecami o cyprys, z twarzą bielejącą w cieniu nakształt kwiatu, ze spuszczonei oczyma i falującą żywiej piersią, a Viniciusz mienił się na twarzy i bladł. W ciszy południowej słyszeli bicie własnych serc i w upojeniu wzajemnym ów cyprys, krzewy mirtowe i bluszcze letnika zmieniały im się w ogród miłości. Lecz Myriam ukazała się we drzwiach i zaprosiła ich na południowy posiłek. Zasiedli wówczas wśród Apostołów, ci zaś patrzyli na nich z uciechą, jako na młode pokolenie, które po ich śmierci miało zachować i siać dalej ziarno nowej nauki. Piotr łamał i błogosławił chleb; na wszystkich twarzach był spokój i jakieś ogromne szczęście zdawało się przepełniać całą tę izbę. — Patrz-że, — rzekł wreszcie Paweł, zwracając się do Viniciusza — zaliśmy nieprzyjaciółmi życia i radości? Ów zaś odpowiedział: — Wiem, jako jest, bom nigdy nie był tak szczęśliwy, jak między wami.

ROZDZIAŁ XIII.

Wieczorem dnia tego Viniciusz, przechodząc przez Forum do domu, spostrzegł przy wejściu na vicus Tuscus złoconą lektykę Petroniusza, niesioną przez ośmiu Bityńczyków, i zatrzymawszy ich znakiem ręki, zbliżył się do firanek. — Obyś miał sen przyjemny i błogi! — zawołał, śmiejąc się, na widok uśpionego Petroniusza. — Ach, to ty! — rzekł, ocknąwszy się, Petroniusz. — Tak! zdrzemnąłem się, bom noc spędził na Palatynie. Teraz wybrałem się, by sobie kupić coś do czytania do Antium... Co słyszać? — Chodzisz po księgarniach? — spytał Viniciusz. — Tak. Nie chcę wprowadzić nieładu w bibliotece, więc na drogę czynię osobne zapasy. Podobno wyszły nowe rzeczy Musoniusza i Seneki. Szukam także Persiusza i pewnego wydania eklog Vergilego, którego nie mam. Och, jakiż jestem zmęczony i jak ręce mnie bolą od zdejmowania zwojów z kołków... Bo gdy się jest raz w księgarni, ciekawość bierze to i owo zobaczyć. Byłem u Awiruna, u Atraktusa na Argiletum, a przedtem jeszcze u Soziuszów na vicus Sandalarius. Na Kastora! jak mi się spać chce!... — Byłeś na Palatynie, więc ja ciebie spytam, co słyszać? Albo wiesz co? odeślij lektykę i puszki z książkami, a pójdz do mnie. Pomówimy o Antium i o czemś jeszcze. — Dobrze — odrzekł Petroniusz, wysuwając się z lektyki.

— Musisz przecie wiedzieć, że pojutrze wybieramy się do Antium. — Skądżebyś miał wiedzieć? — Na jakim ty świecie żyjesz? A więc ja pierwszy zwiastuję ci nowinę? Tak! Bądź gotów na pojutrze rano. Groch na oliwie nie pomógł, chustka na grubym karku nie pomogła i Miedzianobrody ochrypl. Wobec tego niema mowy o zwłoce. Przeklina Rzym i jego powietrze, na czym świat stoi, radby go z ziemią zrównać, albo zniszczyć ogniem, i chce mu się morza jak najprędzej. Powiada, że te zapachy, które wiatr niesie z wązkich uliczek, wtrąca go do grobu. Dziś czyniono wielkie ofiary we wszystkich świątyniach, by mu wrócił głos — i biada Rzymowi, a zwłaszcza senatowi, jeśli prędko nie wróci. — Nie byłoby po co jechać wówczas do Achai. — Alboż nasz boski Cezar ten jeden tylko talent posiada? — odrzekł, śmiejąc się, Petroniusz — wystąpiłby na igrzyskach olimpijskich jako poeta, ze swoim pożarem Troi, jako woźnica, jako muzyk, jako atleta, ba, nawet jako tancerz, i zabrałby w każdym razie wszystkie korony przeznaczone dla zwycięzców. Czy wiesz, dlaczego ta mała ochrypla? Oto wczoraj zachciało mu się dorównać w tańcu naszemu Parysowi i tańczył nam przygodę Ledy, przyczem spotniał i zaziębił się. Cały był mokry i klejki, jak węgorz świeżo wyjęty z wody. Zmieniał maski jedna po drugiej, kręcił się jak wrzeciono, machał rękami jak spity majtek, i aż obrzydliwość brała patrzeć na ten wielki brzuch i na te cienkie nogi. Parys uczył go od dwóch tygodni, ale wyobraź sobie Ahenobarba jako Ledę, albo jako boga-łabędzia. To łabędź! niema co mówić! Ale on chce publicznie wystąpić z tą pantomina, naprzód w Antium, a potem w Rzymie. — Gorszono się już tem, że śpiewał publicznie, ale pomyśleć sobie, że Cezar rzymski wystąpi jako mima, nie! tego chyba Rzym nie zniesie! — Mój drogi! Rzym wszystko zniesie, a senat uchwali dziękczynienie „ojcu ojczyzny“. Po chwili zaś dodał: — A gawiedź dumna jeszcze z tego, że Cezar jest jej błaznem. — Powiedz sam, czy można było więcej spodlec? Petroniusz ruszył ramionami. — Ty sobie żyjesz w domu i w swoich rozmyślaniach to o Lygii, to o chrześcijanach, więc chyba nie wiesz co się stało przed paru dniami. Przecie Nero zaślubił publicznie Pitagorasa. Występował jako panna młoda. Zdawałoby się, że to już miara szaleństwa przebrana, nie prawda? I cóż powiesz: przyszli wezwani flaminowie i dali mu uroczyste ślub. Byłem przy tem! I ja dużo mogę znieść, a jednak wyznaję, iżem pomyślał, że bogowie, jeśli są, to powinni dać jaki znak... Ale Cezar nie wierzy w bogów i ma rację. — Jest zatem w jednej osobie najwyższym kapłanem, bogiem i ateistą — rzekł Viniciusz. Petroniusz począł się śmiać: — Prawda! Nie przyszło mi to do głowy, a to jest połączenie, jakiego świat dotąd nie widział. Poczem, przystanąwszy, rzekł: — Bo trzeba jeszcze dodać, że ten najwyższy kapłan, który nie wierzy w bogów i ten bóg, który z nich drwi, boi się ich jako ateista. — Dowodem to, co zaszło w świątyni Westy. — Co za świat! — Jaki świat, taki Cezar! — Ale to długo nie potrwa. Tak rozmawiając, weszli do domu Viniciusza, który wesoło zawołał o wieczerzę, a następnie zwrócił się do Petroniusza i rzekł: — Nie, mój drogi, świat musi się odrodzić. — My go nie odrodzimy — odpowiedział Petroniusz — choćby dlatego, że w czasach Nerona człowiek jest jako motyl: żyje w słońcu łaski, a przy pierwszym chłodnym powiewie, ginie... choćby nie chciał! Na syna Mai: nieraz zadaję sobie pytanie, jakim cudem taki Luciusz Saturninus mógł dożyć dziewięćdziesięciu trzech lat, przeżyć Tyberyusza, Kaligulę, Klaudyusza?.. Ale mniejsza z tem. Czy pozwolisz mi posłać twoją lektykę po Eunice? Przeszła mi jakoś ochota do snu i chciałbym się weselić. Każ na wieczerzę przyjść cytarzyscie, a potem pogadamy o Antium. Trzeba o tem pomyśleć, a zwłaszcza tobie. Viniciusz wydał rozkaz, by posłano po Eunice, ale oświadczył, że nad pobytem w Antium nie myśli sobie łamać głowy. Niech ją łamią ci, którzy nie umieją żyć inaczej, jak w promieniach łaski Cezara. Świat nie kończy się na Palatynie, zwłaszcza dla tych, którzy co innego mają w sercu i w duszy. I mówił to tak niedbale, z takim ożywieniem i tak wesoło, że wszystko to uderzyło Petroniusza, więc popatrzawszy na niego przez chwilę, rzekł: — Co się z tobą dzieje? Tyś dziś taki, jak byłeś wówczas, gdyś jeszcze nosił złotą bullę na szyi. — Jestem szczęśliwy — odrzekł

Viniciusz. — Zaprosiłem cię do siebie umyślnie, by ci to powiedzieć. — Co ci się zdarzyło? — Coś takiego, czegobym nie odstąpił za imperium rzymskie. To rzekłszy, siadł, wsparł ramię na poręczy krzesła, głowę na ramieniu i począł mówić z twarzą pełną uśmiechów i z jaśniejącym wzrokiem: — Czy pamiętasz, jak byliśmy razem u Aulusa Plauciusza i tam po raz pierwszy widziałeś boską dziewczynę, którą sam nazwał jutrzenką i wiosną? Pamiętasz tę Psyche, tę nieporównaną, tę najpiękniejszą z dziewic i z waszych bogiń? Petroniusz patrzył na niego z takim zdziwieniem, jakby chciał sprawdzić, czy głowa jego jest w porządku. — Po jakiemu ty mówisz? — rzekł wreszcie. — Oczywiście, że pamiętam Lygię. A Viniciusz rzekł: — Jestem jej narzeczonym. — Co?.. Lecz Viniciusz zerwał się i zawołał dyspensatora. — Niech niewolnicy staną tu przede mną co do jednej duszy! żywo! — Jesteś jej narzeczonym? — powtórzył Petroniusz. Lecz nim ochłonął ze zdziwienia, ogromne atrium Viniciuszowego domu zaroilo się od ludzi. Biegli zadyszani starcy, mężczyźni w sile wieku, kobiety, chłopięta i dziewczyny. Z każdą chwilą atrium napełniało się co raz szczelniej; na korytarzach, zwanych fauces, słyhać było głosy nawołujące się w rozmaitych językach. Wreszcie ustawili się wszyscy murem pod ścianami i wśród kolumn, Viniciusz zaś, stanąwszy koło impluvium, zwrócił się do Demasa, wyzwoleńca, i rzekł: — Którzy wysłużyli w domu lat dwadzieścia, mają się stawić jutro u pretora, gdzie otrzymają wolność; którzy nie wysłużyli, otrzymają po trzy sztuki złota i podwójną porcyę przez tydzień. Do ergastulów wiejskich posłać rozkaz, by odpuszczono kary, zdjęto kajdany z nóg ludziom i karmiono ich dostatnio. Wiedźcie, że nastał dla mnie szczęśliwy dzień i chcę, by radość była w domu. Oni przez chwilę stali w milczeniu, jakby uszom własnym nie wierząc, poczem wszystkie ręce podniosły się naraz do góry i wszystkie usta zawołały: — Aa! panie! aaa!.. Viniciusz odprawił ich znakiem ręki, więc choć mieli ochotę dziękować i padać mu do nóg, odeszli śpiesznie, napełniając dom szczęściem od podziemi do dachu. — Jutro — rzekł Viniciusz — każę im jeszcze zejść się w ogrodzie i kreślić przed sobą znaki, jakie chcą. Tych, którzy nakreślą rybę, wyzwoli Lygia. Lecz Petroniusz, który nie dziwił się nigdy długo niczemu, ochłódl już i zapytał: — Rybę? Aha! pamiętam, co mówił Chilo: to znak chrześcijan. Poczem wyciągnął rękę do Viniciusza i rzekł: — Szczęście jest zawsze tam, gdzie je człowiek widzi. Niech Flora sypie wam kwiaty pod nogi przez długie lata. Życzę ci wszystkiego, czego sam sobie życzysz. — To ci dziękuję, bom myślał, że będziesz odradzał, a to, widzisz, byłby stracony czas. — Ja, odradzać? Bynajmniej. Owszem, mówię ci, że dobrze robisz. — Ha, zmienniku! — odrzekł wesoło Viniciusz — zaliś zapomniał, coś mi niegdyś mówił, gdyśmy wychodzili z domu Graeciny? Lecz Petroniusz odpowiedział z zimną krwią: — Nie! ale zmieniłem zdanie. Po chwili zaś dodał: — Mój kochany! w Rzymie wszystko się zmienia. Mężowie zmieniają żony, żony zmieniają mężów, dlaczegóż jabym nie miał zmienić zdania? Niewiele brakło, a Nero byłby zaślubił Akte, którą umyślnie dla niego wywiedli z królewskiego rodu. I cóż! Miałby uczciwą żonę, a my uczciwą Augustę. Na Proteusza i jego morskie pustkowia! zawsze będę zmieniał zdanie, ilekroć uznam to za stosowne lub wygodne. Co do Lygii, jej królewskie pochodzenie pewniejsze jest, niż pergamscy przodkowie Akte. Ale ty się strzeż w Antium Poppei, która jest mściwa. — Ani myślę! Włos mi nie spadnie z głowy w Antium. — Jeśli sądzisz, że mnie jeszcze raz zadziwisz, to się mylisz, ale skąd masz tę pewność? — Powiedział mi to Piotr Apostoł. — A! powiedział ci to Piotr Apostoł! Na to nie ma argumentu, pozwól jednak, bym ja przedsięwziął pewne środki ostrożności, choćby dlatego, by Piotr nie okazał się fałszywym prorokiem, bo gdyby Piotr Apostoł wypadkiem się omylił, mógłby stracić twoją ufność, która i nadal zapewne Piotrowi Apostołowi się przyda. — Czyń co chcesz, ale ja mu wierzę. I jeśli myślisz, że mnie do niego zrazisz, powtarzając z przekąsem w kółko jego imię, to się mylisz. — Więc jeszcze jedno pytanie: czyś został już chrześcijaninem? — Dotąd nie, ale Paweł z Tarsu jedzie ze mną, aby mi tłómaczyć naukę Chrystusa, a potem przyjmę chrzest, bo to, coś mówił, że oni są nieprzyjaciółmi życia i radości, to

nieprawda! — To tem lepiej dla ciebie i dla Lygii — odpowiedział Petroniusz. Poczem wzruszywszy ramionami, rzekł jakby sam do siebie: — Zadziwiająca jednak rzecz, jak ci ludzie umieją zdobywać wyznawców i jak ta sekta się szerzy. A Viniciusz odpowiedział z takim zapałem, jakby i sam był ochrzczony: — Tak! tysiące i dziesiątki tysięcy są w Rzymie, w miastach Italii, w Grecyi i Azji. Są chrześcijanie wśród legii i wśród pretorianów, są w samym pałacu Cezara. Wyznają tę naukę niewolnicy i obywatele, ubodzy i bogaci, plebs i patrycyat. Zali wiesz, że niektórzy Korneliusze są chrześcijanami, że jest chrześcijanką Pomponia Graecina, że była nią podobno Oktawia, a jest Akte? Tak, ta nauka ogarnia świat i ona jedna może go odrodzić. Nie wzruszaj ramionami, bo kto wie, czy za miesiąc lub za rok sam jej nie przyjmiesz. — Ja? — rzekł Petroniusz. — Nie, na syna Lety! ja jej nie przyjmę, choćby w niej tkwiła prawda i mądrość zarówno ludzka, jak boska... To wymagałoby trudu, a ja się nie lubię trudzić... To wymagałoby zrzeczeń się, a ja się nie lubię niczego w życiu zrzekać. Z twoją naturą, podobną do ognia i ukropu, zawsze mogło się coś podobnego przytrafić, ale ja? ja mam swoje gemmy, swoje kamee, swoje wazy i swoją Eunice. W Olimp nie wierzę, ale go sobie urządzam na ziemi i będę kwitnął, póki mnie nie przeszyją strzały boskiego łucznika, lub póki mi Cezar nie każe otworzyć sobie żył. Ja nadto lubię woń fiołków i wygodne tryklinium. Lubię nawet naszych bogów... jako figury retoryczne i Achaję, do której wybieram się z naszym otyłym, cienkonogim, nieporównanym, boskim Cezarem, Augustem, Periodonicesem... Herkulesem, Neronem!.. To rzekłszy rozweselił się na samo przypuszczenie, że mógłby przyjąć naukę rybaków galilejskich, i począł półgłosem śpiewać:

W zieleń mirtową owinę jasny miecz mój,

W ślad Harmodiosa i Aristogitona...

Lecz przerwał, gdyż wywoływacz dał znać, że przybyła Eunice. Wraz też po jej przybyciu podano i wieczerzę, w czasie której, po kilku pieśniach odśpiewanych przez cytrzystę, Viniciusz opowiadał Petroniuszowi o odwiedzinach Chilona i o tem, jak te odwiedziny podały mu myśl udania się wprost do Apostołów, która przyszła mu właśnie podczas chłosty Chilona. Na to Petroniusz, którego znów poczęła ogarniać senność, przyłożył rękę do czoła i rzekł: — Myśl była dobra, skoro skutek dobry. A co do Chilona, ja kazałbym mu dać pięć sztuk złota, ale skoro kazałeś go ćwiczyć, to już lepiej było i zaćwiczyć, bo kto wie, czy z czasem nie będą mu się jeszcze senatorowie kłaniali, jak dziś kłaniają się naszemu rycerzowi-Dratewce-Watyniuszowi. Dobranoc. I zdjawszy wieńce, poczęli się razem z Eunice zbierać do domu, a gdy wyszli, Viniciusz udał się do biblioteki i pisał do Lygii, co następuje: „Chcę, aby, gdy otworzysz twoje śliczne oczy, o boska! list ten powiedział ci: dzień dobry! Dlatego dziś piszę, choć jutro cię zobaczę. Cezar pojutrze wyjeżdża do Antium i ja, eheu! muszę mu towarzyszyć. Wszak ci już powiedziałem, że nie posłuchać, byłoby to narazić życie, a ja teraz nie miałbym odwagi umierać. Lecz jeśli ty nie chcesz, odpisz mi jedno słowo, a zostanę, a już Petroniusza rzeczą będzie odwrócić ode mnie niebezpieczeństwo. Dziś, w dniu radości, rozdałem nagrody wszystkim niewolnikom, a tych, którzy przesłużyli w domu lat dwadzieścia, zawiodę jutro do pretora, by ich wyzwolić. Ty, droga, powinnaś mi to pochwalić, gdyż mi się zdaje, że to będzie zgodne z tą słodką nauką, którą wyznajesz, a powtóre, uczyniłem to dla ciebie. Powiem im jutro, że tobie zawdzięczają wolność, aby ci byli wdzięczni i sławili imię twoje. Sam zato oddaję się w niewolę szczęściu i tobie, i bogdajem nigdy nie zaznał wyzwolenia. Przekłęte niech będzie Antium i podróże Ahenobarba. Trzykroć, czterokroć szczęśliwym, że nie tak mądry jak Petroniusz, bo może musiałbym jechać do Achai. Tymczasem chwile rozstania osłodzi mi pamięć o tobie. Ilekroć będę się mógł wyrwać, siądę na konia i popędzę do Rzymu, by oczy twoim widokiem, uszy twym słodkim głosem ucieszyć. Ilekroć nie zdołam, wyślę niewolnika z listem i zapytaniem o ciebie. Pozdrawiam cię, boska, i obejmuję nogi twoje. Nie gniewaj się, że cię zwę boską. Jeśli zakażesz, usłucham, ale dziś jeszcze nie umiem inaczej. Pozdrawiam cię z przyszłego twego domu — duszą całą“.

ROZDZIAŁ XIV.

Wiadomo było w Rzymie, że Cezar chce odwiedzić po drodze Ostyę, a raczej największy statek na świecie, który świeżo przywiózł był zboże z Aleksandryi, stamtąd zaś drogą Pobrzeżną uda się do Antium. Rozkazy były wydane już kilka dni temu, dlatego od rana przy Porta Ostiensis zbierały się tłumy, złożone z miejscowej gawiedzi i wszystkich narodów świata, by oczy nasycić widokiem orszaku cesarskiego, któremu plebs rzymski nigdy nie mógł się dostatecznie napatrzeć. Do Antium droga nie była trudna, ni daleka, w samym zaś mieście, złożonem z urządzonych wspaniale pałaców i willi, można było znaleźć wszystko, czego wymagała wygoda, a nawet najwyszukańszy ówczesny zbytek. Jednakże Cezar miał zwyczaj zabierać ze sobą w drogę wszelkie przedmioty, w których miał upodobanie, poczynawszy od narzędzi muzycznych i sprzętów domowych, skończywszy na posągach i mozaikach, które układano nawet wówczas, gdy chciał na krótką tylko chwilę zatrzymać się w drodze, czy to dla odpoczynku, czy to dla posiłku. Z tego powodu towarzyszyły mu w każdej wycieczce całe zastępy sług, nie licząc oddziałów pretoriańskich i augustianów, z których każdy miał osobny orszak niewolników. Wczesnym rankiem dnia tego pastuchy z Kampanii, przyodziani w kozłę skóry na nogach i z twarzami spieczonemi przez słońce, przepędzili naprzód przez bramę pięćset oślic, aby Poppea nazajutrz po przybyciu do Antium mogła mieć swą zwyczajną kąpiel w ich mleku. Gawieź ze śmiechem i zadowoleniem patrzyła na kołyszące się wśród kłębów kurzu długie uszy stada i z radością słuchała świstu biczów, oraz dzikich okrzyków pastuchów. Po przejściu oślic, roje pachółków rzuciły się na drogę i oczyściwszy ją starannie, poczęły posypywać kwiatami i

igliwiem pinii. W tłumach powtarzano sobie z pewnym uczuciem dumy, że cała droga aż do Antium miała być tak przytrząśnięta kwieciami, które zebrano z ogrodów prywatnych z okolicy, a nawet zakupiono za drogie pieniądze od przekupek przy Porta Mugionis. W miarę, jak upływały godziny poranku, ciżba zwiększała się z każdą chwilą. Niektórzy poprzyprawiali całe rodziny, by zaś czas nie wydał się im zbyt długi, rozkładali zapasy żywności na kamieniach, przeznaczonych pod nową świątynię Cerery, i jedli „prandium“ pod gołym niebem. Gdzieniedzie potworzyły się gromady, w których rej wodzili bywalcy. Rozprawiano z powodu wyjazdu cesarskiego, o jego przyszłych podróżach i o podróżach wogóle, przyczem majtkowie i wysłużeni żołnierze opowiadali dziwy o krajach, o których zasłyszeli w czasie dalekich wypraw, a w których nie powstała dotąd noga rzymska. Mieszczuchowie, którzy nie byli nigdy w życiu dalej, jak na via Appia, słuchali ze zdumieniem o cudach Indyi i Arabii, o archipelagach, otaczających Brytanię, gdzie na pewnej wysepce Briarius więził uśpionego Saturna i gdzie mieszkały duchy, o krainach Hyperborejskich, o stężalych morzach, o syczeniu i ryku, jaki wydawały wody Oceanu w chwili, gdy zachodzące słońce zanurzało się w topieli. Łatwo znajdowały wiarę wśród hałastry podobne wieści, w które wierzyli tacy nawet ludzie jak Pliniusz i Tacyt. Mówiono również o owym okręcie, który miał zwiedzić Cezar, iż wiezie na dwa lata pszenicy, nie licząc czterystu podróżnych, tyleż załogi i mnóstwa dzikich zwierząt, które miały być użyte w czasie letnich igrzysk. Jednało to ogólną przychylność dla Cezara, który nie tylko karmił, ale bawił lud. Gotowano się też na pełne zapału powitanie. Tymczasem ukazał się oddział numidyjskich jeźdźców, należących do wojsk pretoriańskich. Przybrani byli w żółte szaty, czerwone przepaski i wielkie zausznicze, rzucające złoty blask na ich czarne twarze. Ostrza ich bambusowych dzid świeciły w słońcu jak płomyki. Po przejściu ich, rozpoczął się pochód, podobny do procesji. Tłumy cisnęły się, by bliżej przypatrzeć się przejściu, lecz nadeszły oddziały pieszych pretorianów i ustawivszy się wzdłuż po jednej i drugiej stronie bramy, broniły przystępu do drogi. Szły naprzód wozy, wiozące namioty z purpury, czerwone i fioletowe, i namioty z białego jak śnieg byssu, przetykanego złotymi nićmi, i kobierce wschodnie, i stoły citrusowe, i kawałki mozaik, i sprzęty kuchenne, i klatki z ptakami ze Wschodu, Południa i Zachodu, których mózgi lub języki miały iść na stół cesarski, i amfory z winem, i kosze z owocami. Lecz przedmioty, których nie chciano narażać na pogięcie lub potłuczenie na wozach, nieśli piesi niewolnicy. Widziano więc całe setki ludzi, niosących naczynia i posążki z miedzi korynckiej; widziano osobnych do waz etruskich, osobnych do greckich, osobnych do naczyń złotych, srebrnych lub wyrobionych ze szkła Aleksandryjskiego. Przegradzały ich małe oddziały pretorianów pieszych i konnych, nad każdym zaś niewolniczym zastępem czuwali dozorca, uzbrojeni w bicz, zakończone kawałkami ołowiu i żelaza, zamiast trzaskawek. Pochód, złożony z ludzi niosących z uwagą i skupieniem rozmaite przedmioty, wyglądał jak jakaś uroczysta procesja religijna, a podobieństwo stawało się jeszcze wyraźniejsze, gdy zaczęły iść narzędzia muzyczne Cezara i dworu. Widać tam było harfy, lutnie greckie, lutnie hebrajskie i egipskie, liry, formingi, cytry, piszczałki, długie powyginane buciny i cymbały. Patrząc na to morze instrumentów, połyskujących w słońcu złotem, brązem, drogimi kamieniami i perłowcem, możnaby sądzić, że Apollo lub Bachus wybrali się w podróż po świecie. Zaczem pojawiły się wspaniałe karruki, pełne skoczków, tancerzy, tancerek, malowniczo zgrupowanych, z tyrsami w rękę. Za nimi jechali niewolnicy, przeznaczeni nie do posług, lecz do zbytku: więc pacholeta i małe dziewczątka, wybrane w całej Grecji i Azji Mniejszej, długowłose lub z wijącymi się puklami, ujętymi w złote siatki, podobne do amatorów, o twarzach cudnych, ale całkiem pokrytych grubą warstwą kosmetyku, z obawy, by delikatnej ich płci nie opalił wiatr Kampanii. I znów następował pretoriański oddział olbrzymich Sikambrów, brodatych, jasno i rudowłosych, a błękitnookich. Przed nimi chorążowie, zwani imaginarii, nieśli orły rzymskie, tablice z napisami, posążki bogów germańskich i rzymskich, a

wreszcie posążki i popiersia Cezara. Z pod skór i pancerzy żołnierskich wyglądały ramiona ogorzałe i silne, jak maszyny wojenne, zdolne władać ciężką bronią, w którą zbrojne były tego rodzaju straż. Ziemia zdawała się ugiąć pod ich równym, ciężkim krokiem, oni zaś, jakby świadomi swej siły, której mogli użyć przeciw samym Cesarom, spoglądali wyniosłe na czerń uliczną, widocznie zapominając, że wielu z nich przyszło do tego miasta w łańcuchach. Lecz była ich garść nieznaczna, główne bowiem pretoriańskie siły pozostawały w obozach na miejscu, by czuwać nad miastem i trzymać je w ryzach. Gdy przeszli, wiedziono pociągowe tygrysy i lwy Nerona, aby, jeśli mu przyjdzie chęć naśladować Dyonizyosa, było co zaprzężyć do pochodowych wozów. Prowadzili je Hindusi i Arabowie na stalowych łańcuchach z pętlą, ale owiniętych tak w kwiaty, że zdawały się z samych kwiatów uwite. Przyniesione przez biegłych bestiariów zwierzęta, patrzyły na tłumy swemi zielonemi, jakby sennemi oczyma, czasem zaś, wznosząc olbrzymie głowy, wciągały chrapliwie w nozdrza wyziewy ludzkie, oblizując kolczastymi językami paszcze. Szły jeszcze wozy cesarskie i lektyki, większe i mniejsze, złote lub purpurowe, wykładane kością słoniową, perłami, lub grające blaskiem klejnotów; za nimi znów mały oddział pretorianów w rzymskich zbrojach, złożony z samych italskich żołnierzy-ochotników; znów tłumy wykwintnej służby niewolniczej i chłopiąt, a wreszcie jechał sam Cezar, którego zbliżanie się zwiastował zdaleka okrzyk tłumów. W ciżbie znajdował się i Piotr Apostoł, który raz w życiu chciał ujrzeć Cezara. Towarzyszyła mu Lygia, mając twarz ukrytą pod gęstą zasłoną, i Ursus, którego siła stanowiła najpewniejszą dla dziewczyny opiekę pośród niesfornych i rozpasanych tłumów. Lyg wziął w ręce jeden z głazów przeznaczonych pod budowę świątyni, i przyniósł go Apostołowi, aby ten, wstąpiwszy na niego, mógł lepiej widzieć od innych. Ciżba poczęła z początku szemrać, gdyż Ursus rozsuwał ją, jak statek rozsuwa fale, gdy jednak sam jeden podniósł kamień, którego czterech najtęższych z ludu mocarzy nie zdołałoby poruszyć, szemranie zmieniło się w podziw i okrzyki: macte! odezwały się naokoło. Lecz tymczasem nadjechał Cezar. Siedział na wozie, mającym kształt namiotu, ciągnionym przez sześć białych idumejskich ogierów, podkutych złotem. Wóz miał kształt namiotu z otwartymi umyślnie bokami, tak, aby tłumy mogły Cezara widzieć. Mogło się tam pomieścić kilka osób, lecz Nero, chcąc by uwaga skupiała się wyłącznie na nim, jechał przez miasto sam, mając u nóg tylko dwóch karzełków-wyrodków. Przybrany był w białą tunikę i w ametystową togę, która rzucała sinawy blask na jego oblicze. Na głowie miał laurowy wieniec. Od czasu wyjazdu do Neapolis utył znacznie. Twarz mu się rozlała; pod dolną szczęką zwieszał się podwójny podbródek, przez co usta jego, zawsze zbyt blisko nosa położone, teraz zdawały się być wycięte tuż pod nozdrzami. Grubą szyję osłaniał, jak zwykle, chustką jedwabną, którą poprawiał co chwila ręką białą i tłustą, porośniętą na przegubie rudawym włosem, tworzącym jakby krwawe plamy, którego nie pozwolił wyrywać sobie epilatorom, gdyż mu powiedziano, że sprowadza to drżenie palców i przeszkadza w grze na lutni. Bezdenna próżność malowała się, jak zawsze, na jego twarzy, w połączeniu ze zmęczeniem i nudą. Wogóle była to twarz zarazem straszna i błazeńska. Jadąc, obracał głowę na obie strony, przymrużając chwilami oczy i nasłuchując bacznie, jak go witają. Witła go burza oklasków i okrzyki: „witaj boski! Cezarze, imperatorze, witaj zwycięski! witaj niezrównany — synu Apollina, Apollinie!“ Słuchając tych słów uśmiechał się, lecz chwilami przelatywała mu po twarzy jakby chmura, tłum bowiem rzymski był szydery i, zaufany w liczbę, pozwalał sobie na drwiące docinki nawet względem wielkich tryumfatorów, takich, których istotnie kochał i szanował. Wszakże wiadomo było, że niegdyś krzyczano przy wjeździe Juliusza Cezara do Rzymu: „obywatele, pochowajcie żony, bo wjeżdża urwis z łysiną!“ Lecz potworna miłość własna Nerona nie znosiła najmniejszych przygan, ni docinków, tymczasem w tłumie wśród okrzyków pochwalnych odzywały się wołania: „Miedzianobrody!... Miedzianobrody! Dokąd wiesz swą płomienną brodę? Czy boisz się, by

Rzym od niej nie spłonął?“ I ci, którzy tak wołali, nie wiedzieli, że żart ich kryje w sobie straszliwe proroctwo. Cezara niezbyt zresztą gniewały podobne głosy, tembardziej, że brody nie nosił, albowiem dawniej jeszcze ofiarował ją w złotej puszcze Jowiszowi Kapitolińskiemu. Lecz inni, ukryci za stosami głazów i przy zrębie świątyni, krzyczeli: „Matricida! Nero! Orestes! Alcmoeon!“ a inni: „Gdzie Oktawia!“ „Oddaj purpurę!“ — na jadącą zaś tuż za nim Poppeę wołano: „flava coma!“ — którą to nazwą oznaczano ulicznice. Muzykalne ucho Nerona chwyciło i takie okrzyki, a wówczas podnosił palcami do oka swój wypolerowany szmaragd, jakby chcąc zobaczyć i zapamiętać tych, którzy je wydawali. W ten sposób wzrok jego zatrzymał się na stojącym na kamieniu Apostole. Przez chwilę dwaj ci ludzie patrzyli na siebie, nikomu zaś ni z tego świetnego orszaku, ni z tych nieprzeliczonych tłumów nie przyszło na myśl, że spoglądają na siebie w tej minucie dwaj władcy ziemi, z których jeden minie wkrótce, jak krwawy sen, drugi zaś, ów starzec, przybrany w prostaczą lacerne, obejmie w wieczyste posiadanie świat i miasto. Tymczasem Cezar przejechał, a tuż za nim ośmiu afrów przeniosło wspaniałą lektykę, w której siedziała znieawidzona przez lud Poppea. Przybrana, jak i Nero, w szatę ametystowej barwy, z grubym pokładem kosmetyków na twarzy, nieruchoma, zamyślona i obojętna, wyglądała, jak jakieś bóstwo, zarazem piękne i złe, które niesiono jak na procesyi. Ciągnął w jej ślady znów cały dwór męskiej i żeńskiej służby, oraz szeregi wozów z przyborami do wygod i stroju. Słońce dobrze już schodziło z południa, gdy zaczął się przejazd augustianów — korowód świetny, migotliwy, mieniący się jak wąż i nieskończony. Leniwy Petroniusz, życzliwie witany przez tłumy, kazał się wraz z swoją, do bogini podobną, niewolnicą nieść w lektyce; Tigellinus jechał w karruce, ciągniętej przez małe koniki, przybrane w białe i purpurowe pióra. Widziano go, jak wstawał z wozu i wyciągając szyję wypatrywał, rychło mu li Cezar da znak, żeby się do niego przesiadł. Z pośród innych tłumy witały oklaskami Licinianusa Pisona, śmiechem Viteliusza, gwizdaniem Vatyniusza. Względem Liciniusza i Lekaniusza, konsulów, zachowywano się obojętnie, lecz Tuliusz Senecio, którego lubiono, niewiadomo za co, równie jak i Vestinus, zyskali poklask tłuszczy. Dwór był nieprzeliczony. Zdawało się, że wszystko, co jest bogatsze i świetniejsze lub znakomite w Rzymie, emigruje do Antium. Nero nigdy nie podróżował inaczej, jak w tysiąc wozów, zastęp zaś towarzyszących mu prawie zawsze przynosił liczbę żołnierzy w legii. Pokazywano więc sobie i Domiciusza Afra i zgrzybiałego Luciusza Saturnina; widziano Vespazyana, który nie był jeszcze wyciągnął na swą wyprawę do Judei, z której wrócił dopiero po koronę cesarską, i jego synów, i młodego Nerwę, i Lukana, i Anniusa Gallona, i Quintianusa i mnóstwo kobiet, znanych z bogactw, piękności, zbytku i rozpusty. Oczy tłuszczy przynosiły się ze znajomych twarzy na uprząże, wozy, konie, dziwaczne stroje służby, złożonej ze wszystkich narodów świata. W tej powodzi przepychu i wielkości niewiadomo było, na co patrzeć, i nietylko oczy, ale i myśl olśniewała od tych blasków złotych, od tych barw purpury i fioletu, od migotania drogich kamieni, od połysków bisiorów, perłowca, kości słoniowej. Zdawało się, że same promienie słoneczne rozpraszają się w tej świetnej topieli. A choć wśród tłuszczy nie brakło nędzarzy z zakłęśniętymi brzuchami i głodem w oczach, przecie widok ów zapalał ich nietylko chęcią użycia i zazdrością, ale napełniał zarazem rozkoszą i dumą, dając poczucie tej mocy i niepożytości Rzymu, na którą się składał i przed którą klęczał świat. Jakoż w świecie całym nie było nikogo, kto by śmiał mniemać, że ta potęga nie przetrwa wszystkich wieków, nie przeżyje wszystkich narodów, i że coś może jej na ziemi się oprzeć. Viniciusz, jadąc na końcu orszaku, na widok Apostoła i Lygii, której nie spodziewał się widzieć, wyskoczył z wozu i powitawszy ich z rozpromienioną twarzą, począł mówić przyśpieszonym głosem, jak człowiek, który nie ma czasu do stracenia: — Przyszłaś? Nie wiem, jak ci mam dziękować, o Lygio!... Bóg nie mógł mi zesłać lepszej wróżby. Pozdrawiam cię jeszcze, żegnając, ale nie żegnam na długo. Po drodze rozstawię konie partyjskie i w każdy dzień wolny będę

przy tobie, póki powrotu sobie nie wyproszę. Bądź zdrowa! — Bądź zdrow, Marku, — odrzekła Lygia i potem dodała ciszej: — Niech cię Chrystus prowadzi i otworzy ci duszę na słowa Pawła. On zaś ucieszył się w sercu, iż chodzi jej o to, by prędko został chrześcijaninem, więc odpowiedział: — Ocelle mi! niech się tak stanie, jak mówisz. Paweł woli jechać między mymi ludźmi, ale jest ze mną i będzie mi mistrzem i towarzyszem... Uchył zasłony, radości moja, abym cię jeszcze ujrzał przed drogą. Czemu się tak zakryłaś? Ona podniosła ręką zasłonę i ukazała mu swą jasną twarz i cudne śmiejące się oczy, pytając: — To źle? I uśmiech jej miał w sobie trochę dziewczęcej przekory, lecz Viniciusz, patrząc na nią z uniesieniem, odpowiedział: — Źle dla oczu moich, które niechby do śmierci patrzyły na ciebie jedną. Poczem zwrócił się do Ursusa i rzekł: — Ursusie, pilnuj jej, jak żrenicy oka, bo to nie tylko twoja, lecz i moja — domina! To powiedziawszy, chwycił jej rękę i przycisnął do niej usta, ku wielkiemu zdumieniu gawiedzi, która nie mogła zrozumieć oznaki takiej czci ze strony świętego augustianina dla dziewczyny, przybranej w proste, niemal niewolnicze szaty. — Bądź zdrowa... Poczem oddalił się prędko, gdyż cały orszak cezaryański posunął się był znacznie naprzód. Apostoł Piotr przeżegnał go nieznacznym znakiem krzyża, zaś dobry Ursus począł go zaraz wysławiać, rad, że młoda pani słucha chciwie i patrzy na niego z wdzięcznością. Orszak oddalał się i przesłaniał kłębam złotej kurzawy, lecz oni patrzyli jeszcze długo w ślad za nim, póki nie zbliżył się do nich Demas, młynarz, ten sam, u którego pracował nocami Ursus. Ów, ucałowawszy rękę Apostoła, począł go prosić, by wstąpili do niego na posiłek, mówiąc, że dom jego jest blisko Emporium, oni zaś muszą być głodni i zmęczeni, spędziwszy większą część dnia przy bramie. Poszli więc razem i odpocząwszy i posiliwszy się w jego domu, pod wieczór dopiero wracali na Zatybrze. Mając zamiar przejść rzekę przez most Emiliusza, szli przez clivus Publicus, idący środkiem wzgórza Awentyńskiego między świątyniami Dyany i Merkurego. Apostoł Piotr patrzył z wyżyny na otaczające go i na dalsze, ginące w oddaleniu gmachy, i pogrążywszy się w milczeniu, rozmyślał nad ogromem i władzą tego miasta, do którego przyszedł opowiadać słowo Boże. Dotychczas widywał on panowanie rzymskie i legiony w różnych krajach, po których wędrował, lecz były to jakby pojedyncze członki tej siły, której uosobienie w postaci Cezara ujrzał dziś po raz pierwszy. To miasto niezmierne, drapieżne i chciwe a zarazem wyuzdane, zgniłe do szpiku kości a zarazem niewzruszone w swej nadludzkiej mocy, ten Cezar, bratobójca, matkobójca i żonobójca, za którym włókł się niemniejszy od jego dworu orszak krwawych mar; ten rozpustnik i błazen a zarazem pan trzydziestu legii a przez nie ziemi całej; ci dworzanie, pokryci złotem i szkarłatem, niepewni jutra a zarazem władniejsi od królów — wszystko to razem wzięte wydało mu się jakimś piekielnym królestwem zła i nieprawości. I zadziwił się w sercu prostaczem, jak Bóg może dawać tak niepojętą wszechmoc szatanowi i jak może oddawać mu ziemię, by ją miesił, przewracał, deptał, wyciskał łyzy i krew, wichrzył jak wichur, burzył jak burza, palił jak płomień. A od tych myśli zatrwożyło się jego apostołskie serce i począł mówić w duchu do Mistrza: „Panie, co pocznę wobec tego miasta, do którego mnie posłałeś? Jego są morza i lądy, jego zwierz na ziemi i twór wodny, jego są inne królestwa i grody i trzydzieści legii, które ich strzegą, a jam, Panie, rybak z jeziora! Co pocznę? i jakoż jego złość przewyciężę?“ Tak mówiąc, wznosił swą siwą, drżącą głowę ku niebu, modląc się i wołając z głębi serca do swego Boskiego Mistrza, pełen smutku i trwogi. A wtem modlitwę przerwał mu głos Lygii, która rzekła: — Miasto całe, jak w ogniu... Rzeczywiście słońce zachodziło dnia tego dziwnie. Ogromna jego tarcza zasunęła się już do połowy za Janikulskie wzgórze, cały zaś przestwór nieba napełnił się czerwonym blaskiem. Z miejsca, na którym stali, wzrok ich obejmował znaczne przestrzenie. Nieco na prawo widzieli wydłużone mury circus Maximus, nad nim piętrzące się pałace Palatynu, a wprost przed sobą, za Forum Boarium i Velabrum szczyt Kapitolu ze świątynią Jowisza. Ale mury, kolumny i szczyty świątyń były jakby zanurzone w ów blask złoty i purpurowy.

Widne zdala części rzeki płynęły jakby krwią i w miarę, jak słońce zasuwało się coraz bardziej za wzgórze, blask czynił się coraz czerwiejszy, coraz do łuny pożaru podobniejszy, i wzmagał się, rozszerzał, aż wreszcie objął siedem wzgórz, z których zdawał się spływać na całą okolicę. — Miasto całe, jak w ogniu — powtórzyła Lygia. A Piotr przysłonił oczy ręką i rzekł: — Gniew Boży jest nad niem.

ROZDZIAŁ XV.

Viniciusz do Lygii: „Niewolnik Flegon, przez którego posyłam ci ten list, jest chrześcijaninem, będzie zatem jednym z tych, którzy otrzymają wolność z rąk twoich, najdroższa moja. Stary to sługa naszego domu, mogę więc pisać przez niego z całą ufnością i bez obawy, aby list wpadł w inne ręce, niż twoje. Piszę z Laurentum, gdzie zatrzymaliśmy się z powodu upału. Otto posiadał tu wspaniałą willę, którą swego czasu darował Poppei, a ta, lubo rozwiedziona z nim, uznała za stosowne zatrzymać piękny podarek... Gdy myślę o tych kobietach, które mnie teraz otaczają, i o tobie, wydaje mi się, że z kamieni Deukaliona musiały powstać różne, zgoła do siebie niepodobne gatunki ludzi, i że ty należysz do tego, który się zrodził z kryształu. Podziwiam cię i kocham z całej duszy, tak, że chciałbym ci mówić tylko o tobie i trzeba mi się zmuszać, bym ci pisał o podróży, o tem, co ze mną się dzieje, i o nowinach dworskich. Cezar był więc gościem Poppei, która w tajemnicy przygotowała wspaniałe przyjęcie. Niewielu zresztą zaprosiła augustianów, ale i ja, i Petroniusz dostaliśmy wezwanie. Po prandium pływaliśmy złotymi łodziami po morzu, które było tak ciche, jakby spało, a tak niebieskie, jak twoje oczy, o boska. Wiosłowaliśmy sami, albowiem pochlebiało to widocznie Augustie, że ją wiozą konsularni mężowie, albo ich synowie. Cezar, stojąc u rudla w purpurowej todze, śpiewał hymn na cześć morza, który ułożył poprzedniej nocy i do którego dorobił muzykę wraz z Diodorem. Na innych łodziach wtórowali niewolnicy z Indyi, którzy umieją grać na konchach morskich, a wkoło ukazywały się liczne delfiny, jakby istotnie wywabione z głębin Amfitrydy muzyką. A ja, czy wiesz, com czynił? Otom myślał o tobie i tęskniłem za tobą, i chciałem zabrać to morze, i tę pogodę, i tę muzykę i oddać wszystko tobie. Czy chcesz, byśmy kiedyś zamieszkali nad brzegiem morskim, Augusto moja, zdala od Rzymu? Mam w Sycylii ziemię, gdzie jest las migdałów, które wiosną kwitną różowo, a schodzą tak blisko do morza, że końce gałęzi prawie dotykają się wody. Tam będę kochał ciebie i wielbił tę naukę, której mnie Paweł nauczył, bo to już wiem, że ona nie przeciwi się miłości i szczęściu. Czy chcesz?.. Lecz nim odpowiedź z twoich kochanych ust usłyszę, piszę ci dalej, co się zdarzyło na łodzi. Skoro brzeg został już daleko za nami, ujrzeliśmy żagiel w dali przed sobą i wnet powstała sprzeczka, czy to zwyczajna łódź rybacka, czy wielki statek z Ostyi. Rozpoznałem go pierwszy, a wówczas Augusta rzekła, że dla moich oczu niema widocznie nic skrytego, i, spuściwszy nagle na twarz zasłonę, spytała, czy i takbym nawet ją rozpoznał? Petroniusz odpowiedział zaraz, że za chmurą nawet i słońca dostrzedz nie można, lecz ona, niby się śmiejąc, mówiła, iż tak bystry wzrok chyba jedna miłość mogłaby oślepić, i, wymieniając różne augustianki, poczęła pytać i zgadywać, w której się kocham. Odpowiadałem spokojnie, lecz ona w końcu wymieniła i twoje imię. Mówiąc o tobie, odkryła znów twarz i poczęła patrzeć na mnie złemi i zarazem badawczemi oczyma. Prawdziwą wdzięczność czuję dla Petroniusza, który pochylił w tej chwili łódź, przez co uwaga powszechna odwróciła się ode mnie, gdybym był bowiem usłyszał o tobie niechętnie lub szyderskie słowa, byłbym nie umiał ukryć gniewu i musiałbym walczyć z chęcią rozbicia wiosłem głowy tej przewrotnej i złej kobiecie... Wszak pamiętasz, com ci w wigilię wyjazdu opowiadał w domu Linnusa o zajściu na stawie Agryppy? Petroniusz boi się o mnie i jeszcze dziś zaklinał mnie, bym nie drażnił miłości własnej Augusty. Ale Petroniusz już mnie nie rozumie i nie wie, że po za tobą niemasz dla mnie ni rozkoszy, ni piękności, ni kochania, i że dla Poppei mam tylko wstręt i pogardę. Tyś już bardzo zmieniła duszę moją, i tak dalece, że do dawnego

życia jużbym nawet wrócić nie umiał. Lecz nie obawiaj się, aby mnie tu mogło spotkać coś złego. Poppea nie kocha mnie, bo ona nikogo kochać niezdolna, i jej zachcianki płyną tylko z gniewu na Cezara, który jest jeszcze pod jej wpływem i który może nawet ją jeszcze miłuje, wszelako już jej nie szczeni i nie ukrywa przed nią swego bezwstydu i swych występków. Powiem ci zresztą i inną rzecz, która cię uspoić powinna: oto Piotr rzekł mi na wyjeździe, abym się nie obawiał Cezara, gdyż włos nie spadnie z głowy mojej, i ja mu wierzę. Jakiś głos mówi mi w duszy, że każde słowo jego musi się spełnić, że zaś on pobłogosławił miłość naszą, więc ani Cezar, ani wszystkie potęgi Hadesu, ani samo nawet Przeznaczenie nie zdoła mi cię odebrać, o Lygio! Gdy o tem myślę, jestem szczęśliwy, jakgdybym był Niebem, które samo jedno jest szczęśliwe i spokojne. Lecz ciebie, chrześcijankę może uraża to, co mówię o Niebie i Przeznaczeniu? W takim razie przebac mi, bo grzeszę niechcący. Chrzest jeszcze nie obmył mnie, ale serce moje jest jako czara próżna, którą Paweł z Tarsu ma napełnić słodką nauką waszą, tem słodsza dla mnie, że jest twoją. Ty, boska, policz mi za zasługę choć to, że z tej czary wylał płyn, który ją napełniał poprzednio, i że nie cofam jej, ale ją wyciągam, jak człowiek spragniony, który stanął u czystego źródła. Niech znajdę łaskę w twych oczach. W Antium dni i noce będą mi schodziły na słuchaniu Pawła, który wśród moich ludzi w pierwszym już dniu podróży pozyskał wpływ taki, że otaczają go bezustanku, widząc w nim nie tylko teumaturga, ale nadprzyrodzoną niemal istotę. Wczoraj widziałem radość na jego twarzy, a gdy go spytałem, co czyni, odrzekł mi: „Sieję“. Petroniusz wie, iż on znajduje się między moimi ludźmi i pragnie go widzieć, jak również Seneka, który słyszał o nim od Gallona. Ale już gwiazdy bledną, o Lygio, a poranny „lucifer“ świeci coraz mocniej. Wkrótce jutrzienka zaróżowi morze — i śpi wszystko naokół, tylko ja myślę o tobie i kocham cię. Bądź pozdrowiona wraz z zorzą ranną, sponsa mea!“

ROZDZIAŁ XVI.

Viniciusz do Lygii: „Czyś ty, droga, była kiedy z Aulusami w Antium? Jeśli nie, będę szczęśliwy, gdy ci je z czasem pokażę. Już od Laurentum ciągną się na pobrzeżu wille jedna za drugą, a samo Antium, to nieskończony szereg pałaców i portyków, których kolumny przeglądają się czasu pogody w wodzie. Mam i ja tu siedzibę, tuż nad wodą, z oliwnikiem i lasem cyprysów za willą, i gdy pomyślę, że ta siedziba stanie się kiedyś twoją, bielsze wydają mi się jej marmury, cieniście ogrody i lazurskie morze. O Lygio, jak dobrze jest żyć i kochać! Stary Menikles, który zarządza tu willą, posadził na łąkach pod myrtami całe kępy irysów i na ich widok przyszedł mi na myśl dom Aulusów, wasze impluvium i wasz ogród, w którym siadywałem przy tobie. I tobie te irysy będą przypominały dom rodzinny, dlatego jestem pewien, że polubisz Antium i tę willę. Zaraz po przybyciu długo rozmawialiśmy z Pawłem przy prandium. Mówiliśmy o tobie a potem on począł nauczać, ja zaś słuchałem długo i to ci powiem tylko, że gdybym nawet tak umiał pisać, jak Petroniusz, jeszczebym nie potrafił wypowiedzieć ci wszystkiego, co przeszło mi przez myśl i duszę. Jam się nie spodziewał, że może być na świecie jeszcze takie szczęście, piękność i spokój, o których ludzie dotąd nie wiedzą. Lecz to wszystko chowam na rozmowę z tobą, gdy z pierwszą wolną chwilą przybędę do Rzymu. Powiedz mi, jak ziemia może pomieścić razem takich ludzi, jak Piotr Apostoł, jak Paweł z Tarsu i Cezar. Pytam dlatego, że wczoraj, po nauce Pawła, spędziłem u Nerona, i czy wiesz, com tam słyszał? Oto naprzód on sam czytał swój poemat o zburzeniu Troi, i począł narzekać, że nigdy nie widział płonącego miasta. Zazdrościł Pryamowi i zwał go szczęśliwym człowiekiem, dlatego właśnie, iż mógł oglądać pożogę i zgubę ojczystego grodu. Na to Tigellinus rzekł: „Powiedz słowo, boski, a wezmę pochodnię i, nim noc upłynie, ujrzysz płonące Antium“. Lecz Cezar nazwał go głupcem. „Gdzież, mówi, przyjeżdżałbym oddychać morskim powietrzem i ochraniać ten głos, którym obdarzyli mnie bogowie i o który, jak mówią, dla dobra ludzi dbać powinienem? zali nie Rzym mi

szkodzi, zali nie duszne wyziewy z Subury i Eskwilinu nabawiają mnie chrypki, i czyż pałacy się Rzym nie przedstawiałby stokroć wspanialszego i tragiczniejszego widoku od Antium?“ Tu wszyscy poczęli mówić, jaką tragedją niesłychaną byłby obraz takiego miasta, które podbiło świat, zmienionego w kupę siwych popiołów. Cezar zapowiedział, że wówczas poemat jego przeszedłby pieśni Homera, a potem jął mówić, jak odbudowałby miasto i jakby potomne wieki musiały podziwiać jego dzieło, wobec którego zmałyby wszystkie inne dzieła ludzkie. Wówczas pijani biesiadnicy poczęli wołać: „Uczyń to! uczyń!“ on zaś rzekł: „Musiałbym mieć wierniejszych i bardziej oddanych mi przyjaciół“. Ja, wyznaję, słuchając tego, zaniepokoiłem się zrazu, bo w Rzymie ty jesteś, carissima. Sam śmieję się teraz z tej obawy i myślę, że Cezar i augustianie, jakkolwiek szaleni, nie odważyliby się podobnego szaleństwa dopuścić, a jednak, patrz, jak człowiek boi się o swoje kochanie, jednak wolałbym by dom Linnusa nie stał na wązkim zatybrzańskim zaułku i w dzielnicy, zamieszkałej przez obcą ludność, na którą mniejby w danym razie zważano. Dla mnie same pałace palatyńskie nie byłyby mieszkaniem godnem ciebie, więc chciałbym także, by ci nie brakło niczego z tych ozdób i wygod, do których z dzieciństwa przywykłaś. Przenieś się do domu Aulusów, Lygio moja. Ja dużo tu o tem myślałem. Gdyby Cezar był w Rzymie, wieść o twym powrocie mogłaby istotnie dojść przez niewolników na Palatyn, zwrócić na ciebie uwagę i ściągnąć prześladowanie za to, żeś się ośmieliła postąpić wbrew woli Cezara. Ale on długo zostanie tu w Antium, a nim wróci, dawno i niewolnicy przestaną o tem mówić. Linnus i Ursus mogą zamieszkać z tobą. Zresztą żyję nadzieją, że, zanim Palatyn ujrzy Cezara, ty, moja boska, będziesz już mieszkała we własnym domu na Karynach. Błogosławiony dzień, godzina i chwila, w której przestąpisz mój próg, i jeśli Chrystus, którego uczę się wyznawać, to sprawi, niech będzie błogosławione i Jego imię. Będę Mu służył i oddam za Niego życie i krew. Źle mówię: będziemy Mu służyli oboje, póki starczy nam przedży życia. Kocham cię i pozdrawiam duszą całą“.

ROZDZIAŁ XVII.

Ursus czerpał wodę w cysternie i, ciągnąc sznurem podwójne amfory, śpiewał półgłosem dziwną pieśń lygijską, a zarazem spoglądał rozradowanemi oczyma na Lygię i Viniciusza, którzy wśród cyprysów w ogródku Linnusa, bielili się jak dwa posągi. Najmniejszy wiatr nie poruszał ich odzieży. Na świecie zapadał zmrok złoty i liliowy, oni zaś, wśród spokoju wieczora, rozmawiali, trzymając się za ręce. — Czy nic złego spotkać cię nie może, Marku, za to, że opuściłeś Antium bez wiedzy Cezara? — pytała Lygia. — Nie, droga moja — odpowiedział Viniciusz — Cezar zapowiedział, że zamknie się na dwa dni z Terpnosem i będzie układał nowe pieśni. Często on tak czyni i wówczas o niczem innem nie wie i nie pamięta. Zresztą, co mi Cezar, gdy jestem przy tobie i patrzę na ciebie. Zbyt już tęskniłem, a w ostatnich nocach opuścił mnie sen. Nieraz, gdym zdrzemnął ze znużenia, budziłem się nagle z uczuciem, że nad tobą wisi niebezpieczeństwo; czasem śniłem, że zrabowano mi rozstawne konie, które miały mnie przynieść z Antium do Rzymu i na których przebiegłem tę drogę tak szybko, jak nigdy żaden goniec cesarski. I dłużej już bez ciebie wytrzymać nie mogłem. Zbyt cię kocham, droga, najdroższa moja! — Wiedziałam, że przyjedziesz. Dwa razy Ursus wybiegał na moją prośbę na Karyny i pytał o ciebie w twoim domu. Linnus śmiał się ze mnie i Ursus także. Rzeczywiście znać było, że się go spodziewała, gdyż, zamiast zwykłej ciemnej odzieży, miała na sobie miękką białą stolę, z której ślicznych fałd jej ramiona i głowa wychylały się, jak rozkwitłe pierwiosnki ze śniegu. Kilka różowych anemonów zdobiło jej włosy. Viniciusz przycisnął usta do jej ręki, poczem siedli na kamiennej ławce wśród dzikiego wina i, wsparłszy się o siebie ramionami, milczeli, poglądając ku zorzom, których ostatnie blaski odbijały się w ich oczach. Urok cichego wieczora opanowywał ich zwolna. — Jak tu cicho i jaki świat śliczny — rzekł zniżonym głosem Viniciusz. — Noc idzie ogromnie pogodna. Czuję się tak szczęśliwy, jak nigdy w życiu nie byłem.

Powiedz mi, Lygio, co to jest? Jam nigdy nie przypuszczał, żeby mogła być taka miłość. Myślałem, że to jest tylko ogień we krwi i żądza, a teraz dopiero widzę, że można kochać każdą kroplą krwi i każdym tchnieniem, a zarazem czuć taki spokój słodki i niezmierny, jakby już ukończyły duszę, Sen i Śmierć. To dla mnie coś nowego. Patrząc na ten spokój drzew i zdaje mi się, że on jest we mnie. Teraz dopiero rozumiem, że może być szczęście, o jakim ludzie dotąd nie wiedzieli. Teraz dopiero rozumiem, dlaczego i ty, i Pomponia Graecina jesteście takie pogodne... Tak!.. To daje Chrystus... A ona w tej chwili położyła swą śliczną twarz na jego ramieniu i rzekła: — Mój Marku drogi... I nie mogła mówić więcej. Radość, wdzięczność i poczucie, że teraz dopiero wolno jej kochać, odjęły jej głos, a natomiast napęłniły oczy łzami wzruszenia. Viniciusz, objawszy ramieniem jej drobne ciało, tulił ją przez chwilę do siebie, poczem rzekł: — Lygio! niech będzie błogosławiona chwila, w której pierwszy raz usłyszałem Jego imię. Ona zaś odpowiedziała cicho: — Kocham cię, Marku. Poczem umilkli znów oboje, nie mogąc słów dobyć z wezbranych piersi. Na cyprysach zgasły ostatnie liliowe odblaski i ogród począł się srebrzyć od księżycowego sierpa. Po chwili Viniciusz począł mówić: — Ja wiem... Ledwie tu wszedł, ledwie ucałował twoje drogie ręce, wyczytałem w twoich oczach pytanie, czym pojął tę Boską naukę, którą ty wyznajesz, i czym został ochrzczony? Nie! ochrzczony jeszcze nie jestem, ale czy wiesz, kwiecie, dlaczego? Oto Paweł mi rzekł: „Jam cię przekonał, że Bóg przyszedł na świat i dał się ukrzyżować dla zbawienia świata, ale niech w źródłu łaski obmyje cię Piotr, który pierwszy wyciągnął nad tobą ręce i pierwszy cię błogosławił“. A i ja także chciałem, byś ty, najdroższa, patrzyła na mój chrzest, i by mi matką była Pomponia. Więc dlatego nie jestem dotąd ochrzczony, choć wierzę w Zbawiciela i w Jego słodką naukę. Paweł mnie przekonał, nawrócił, i zali mogło być inaczej? Jakżebym mógł nie uwierzyć, że Chrystus przyszedł na świat, skoro tak mówi Piotr, który był Jego uczniem, i Paweł, któremu się objawił? Jakże mógłbym nie wierzyć, że był Bogiem, skoro zmartwychwstał? Widzieli Go przecie i w mieście, i nad jeziorem, i na górze, i widzieli ludzie, których usta kłamstwa nie zaznały. Jam już w to wierzył od czasu, gdy słyszałem Piotra w Ostrianum, bom sobie już wówczas powiedział: na całym świecie prędzejby każdy inny człowiek mógł skłamać, niż ten, który powiada: „Widziałem!“ Ale nauki waszej się bałem. Zdawało mi się, że ona odbiera mi ciebie. Mniemałem, że nie masz w niej ani mądrości, ani piękności, ani szczęścia. Dziś jednak, gdy ją poznałem, cóżbym był za człowiek, gdybym nie chciał, by na świecie panowała prawda, a nie kłamstwo, miłość, a nie nienawiść, dobro, nie zbrodnia, wierność, nie zaś niewierność, litość, nie zemsta? Któżby taki był, któryby tego nie wolał i nie chciał? A przecie tego uczy wasza nauka. Inne chcą także sprawiedliwości, ale ta czyni serce ludzkie sprawiedliwym. I prócz tego czyni je czystym, jak twoje i Pomponii, i czyni je wiernym, jak twoje i Pomponii. Ślepym bym był, gdybym tego nie widział. A jeśli przytem Chrystus Bóg obiecał życie wieczne i szczęście tak nieprzebrane, jakie tylko wszechmoc Boska dać może, to czegoż człowiek może chcieć więcej? Gdybym spytał Seneki, z jakich powodów zaleca cnotę, skoro przewrotność więcej szczęścia przynosi, nie umiałby mi naprawdę nic rozsądnego odpowiedzieć. Ale ja wiem teraz, dlaczego mam być cnotliwy. Oto dlatego, że dobro i miłość płynie z Chrystusa, i dlatego, aby, gdy śmierć mi zamknie oczy, odnaleźć życie, odnaleźć szczęście, odnaleźć siebie samego i ciebie, najdroższa moja... Jakże nie pokochać i nie przyjąć nauki, która zarazem mówi prawdę i znosi śmierć? Ktoby nie przełożył dobra nad zło? Ja myślałem, że ta nauka przeciwi się szczęściu, a tymczasem Paweł przekonał mnie, że ona nietylko nic nie odbiera, ale jeszcze dodaje. Wszystko to za ledwie mi się w głowie chce pomieścić, ale czuję, że tak jest, bom nigdy nie był równie szczęśliwy i nie mogłem być, choćbym cię był zabrał przemocą i miał w domu swoim. Otoś mi powiedziała przed chwilą: „kocham cię“, a tych wyrazów nie byłbym z ciebie wydobył za całą potęgę Rzymu. O Lygio! Rozum mówi, że ta nauka jest Boska i najlepsza, serce to czuje, a takim

dwom potęgom któż się oprze? Lygia słuchała go, utkwivszy w niego swe niebieskie oczy, podobne przy blasku księżyca do kwiatów mistycznych, i równie zroszone, jak kwiaty. — Tak, Marku! Prawda! — rzekła, przytulając silniej głowę do jego ramienia. I w tej chwili czuli się oboje ogromnie szczęśliwi, albowiem rozumieli, że, prócz miłości, łączy ich jeszcze jakaś inna siła, zarazem słodka i nieprzeparta, przez którą sama miłość staje się czemś niepożytem, niepodległym zmianom, zawodom, zdradzie i nawet śmierci. Serca ich przepełniła zupełna pewność, że cokolwiekby się mogło zdarzyć, oni nie przestaną się kochać i należeć do siebie. I z tego powodu spływał w ich dusze niewypowiedziany spokój. Viniciusz czuł przytem, że to jest miłość nie tylko czysta i głęboka, ale całkiem nowa, taka, jakiej świat dotąd nie znał i dać nie mógł. Składało się na nią w jego sercu wszystko: i Lygia, i nauka Chrystusa, i światło księżyca, śpiące cicho na cyprysach, i pogodna noc, tak, że cały wszechstwór wydał mu się nią jedną przepełniony. Po chwili znów mówić począł głosem przyciszonym i drgającym: — Ty będziesz duszą mojej duszy i będziesz mi w świecie najdroższą. Razem nam będą biły serca, jedna będzie modlitwa i jedna będzie wdzięczność Chrystusowi. O moja droga! Żyć razem, czcić razem słodkiego Boga i wiedzieć, że, gdy nadejdzie śmierć, oczy nasze otworzą się znów, jak po śnie błogim, na nowe światło, cóż można lepszego pomyśleć! Więc dziwię się tylko, że tego pierwej nie zrozumiał. I wiesz, co mi się teraz zdaje? oto, że tej nauce nie oprze się nikt. Za dwieście lub trzysta lat, przyjmie ją cały świat; ludzie zapomną o Jowiszu, i nie będzie innych bogów, tylko Chrystus, i innych świątyń, jak chrześcijańskie. Któżby nie chciał własnego szczęścia? Ach! słyszałem przecie rozmowę Pawła z Petroniuszem, i czy wiesz, co Petroniusz rzekł w końcu? „To nie dla mnie“, ale nic więcej odpowiedzieć nie umiał. — Powtórz mi słowa Pawła — rzekła Lygia. — Było to u mnie, wieczorem. Petroniusz począł lekko mówić i żartować, jak on czyni zwykle, a wówczas Paweł rzekł mu: „Jak możesz, mądry Petroniuszu, przeczyć, że Chrystus istniał i zmartwychwstał, gdyś nie był wówczas na świecie, Piotr zaś i Jan widzieli Go, i ja widziałem w drodze do Damaszku? Pierwej zatem niech twoja mądrość wykaże, iż jesteście kłamcami, a potem dopiero zaprzeczy naszym świadectwom“. Lecz Petroniusz odpowiedział, że przeczyć nie myśli, gdyż wie, iż dzieje się wiele rzeczy niepojętych, które jednak wiarogodni ludzie stwierdzają. Ale mówił, że inną jest rzeczą odkrycie jakiegoś nowego cudzoziemskiego Boga, a inną przyjęcie Jego nauki. „Nie chcę — rzekł — wiedzieć o niczem, co mogłoby mi popsuć życie i zniweczyć jego piękność. Mniejsza, czy nasi bogowie są prawdziwi, ale są piękni, jest nam przy nich wesoło, i możemy żyć bez troski“. Wówczas Paweł tak odpowiedział: „Odrzucasz naukę miłości, sprawiedliwości i miłosierdzia z obawy przed troskami życia, lecz pomyśl, Petroniuszu, czy życie wasze istotnie jest od trosk wolne? Oto i ty, panie, i nikt z pomiędzy najbogatszych i najmożniejszych nie wie, czy, zasypiając wieczorem, nie zbudzi się z wyrokiem śmierci. Lecz powiedz: gdyby Cezar wyznawał tę naukę, która nakazuje miłość i sprawiedliwość, zali twoje szczęście nie byłoby pewniejsze? Boisz się o swoje radości, lecz czy życie nie byłoby wówczas weselsze? A co do ozdoby życia i piękności, jeśliście nabudowali tyle pięknych świątyń i posągów na cześć bóstw złych, mściwych, cudzołożnych i fałszywych, czegożbyście nie dokonali dla czci jedyne Boga miłości i prawdy? Chwalisz sobie swój los, gdyż jesteś możnym i żyjesz w rozkoszy, lecz zarówno mogłeś być biednym i opuszczonym, chociaż z wielkiego domu pochodzisz, a wówczas lepiejby ci było zaiste na świecie, gdyby ludzie Chrystusa wyznawali. W mieście waszem możni nawet rodzice, nie chcąc się trudzić wychowaniem dzieci, wyrzucają je częstokroć z domu, które to dzieci zowią alumnami. I ty, panie, mogłeś być takim alumnem. Ale, gdyby rodzice twoi żyli wedle nauki naszej, tedy nie mogłoby ci się to przygodzić. Gdybyś, doszedłszy męskich lat, zaślubił umiłowaną niewiastę, wolałbyś, by ci została wierną do śmierci. A tymczasem patrz, co się u was dzieje, ile jest sromoty, ile hańby, frymarku wiarą małżeńską! Wszakże już sami dziwicie się, gdy się

zdarzy niewiasta, którą zowiecie univira. Ale ja ci mówię, że te, które Chrystusa w sercu nosić będą, nie złamią wiary mężom, równie jak i chrześcijańscy mężowie dochowają jej żonom. Ale wyście niepewni ni waszych władców, ni waszych ojców, ni żon, ni dzieci, ni sług. Przed wami drży świat cały, a wy drżycie przed własnymi niewolnikami, wiecie bowiem, że każdej godziny mogą podnieść przeciw waszemu ciemństwu wojnę straszliwą, jaką już nieraz podnosili. Bogatym jesteś, lecz nie wiesz, czy jutro nie każą ci porzucić bogactw; młodym jesteś, lecz jutro może ci trzeba będzie umrzeć. Miłujesz, lecz czyha na ciebie zdrada; kochasz się w willach i posągach, lecz jutro możesz być wypędzon na pustkowie Pandataryi; masz tysiące sług, lecz jutro ci słudzy mogą wytoczyć z ciebie krew. A jeśli tak jest, to jakże możecie być spokojni, szczęśliwi i żyć w radości? Lecz oto ja głoszę miłość, i głoszę naukę, która nakazuje władcom kochać poddanych, panom niewolników, niewolnikom służyć z miłości, czynić sprawiedliwość i miłosierdzie, a w końcu obiecuje szczęśliwość jako morze nieprzebrane bez końca. Jakże więc, Petroniuszu, możesz mówić, że ta nauka psuje życie, skoro ona je naprawia i skoro sam byłbyś stokroć szczęśliwszym i pewniejszym, gdyby ona ogarnęła tak świat, jak ogarnęło go wasze władztwo rzymskie“. — Tak mówił Paweł, o Lygio, a wówczas Petroniusz rzekł: „to nie dla mnie“, i udając śpiącego, wyszedł, a na odchodnym rzekł jeszcze: „Wolę moją Eunice, niż twoją naukę, Judejczyku, ale nie chciałbym walczyć z tobą z mownicy“. Lecz ja słuchałem słów jego całą duszą, a gdy mówił o niewiastach naszych, całym sercem wielbiłem tę naukę, z której wyrosłaś, jako na wiosnę wyrastają lilie z bujnej roli. I myślałem wówczas: oto Poppea porzuciła dwóch mężów dla Nerona, oto Kalwia Krispinilla, oto Nigidia, oto wszystkie niemal, które znam, prócz jednej Pomponii, kupczyły wiarą i przysięgami, i tylko ta jedna, i tylko ta moja, nie odstąpi, nie zwiedzie i nie przygasi ogniska, choćby mnie zawiodło i odstąpiło wszystko, w czym położyłem ufność. Więc mówiłem do ciebie w duszy: czemu ci się odwdzięczę, jeśli nie miłością i czcią? Czyś ty czuła, żem tam w Antium przemawiał do ciebie i rozmawiałem ciągle, bezustanku, jak gdybyś była przy mnie. Stokroć cię więcej kocham za to, żeś uciekła przede mną z domu Cezara. Nie chcę go już i ja. Nie chcę jego rozkoszy i muzyki, tylko ciebie jednej. Powiedz słowo, a opuścimy Rzym, by osiąść gdzieś daleko. Ona zaś, nie odrywając głowy od jego ramienia, podniosła oczy, jakby w zamyśleniu, na osrebrzone wierzchołki cyprysów i odrzekła: — Dobrze, Marku. Tyś pisał mi o Sycylii, gdzie i Aulusowie chcą osiąść na stare lata... A Viniciusz przerwał z radością: — Tak, droga moja! Ziemię naszą znajdują się w pobliżu. Cudny to brzeg, gdzie klimat jeszcze słodszy, a noce jeszcze pogodniejsze od rzymskich, wonne i widne... Tam życie i szczęście, to prawie jedno i to samo. Poczem zaczął marzyć o przyszłości. — Tam można zapomnieć o troskach. W gajach, wśród oliwników, będziemy chodzili i spoczywali w cieniu. O Lygio! co za życie kochać się, koić, razem spoglądać na morze, razem na niebo, razem czcić słodkiego Boga, czynić wokoło dobro i sprawiedliwość w spokoju. Umilkli oboje, patrząc w przyszłość; on tylko tulił ją coraz silniej do siebie, przyczem w blaskach księżycy migotał na jego rękę rycerski złoty pierścień. W dzielnicy, zamieszkałej przez ubogą ludność roboczą, spało już wszystko i żaden szmer nie mącił ciszy. — Pozwolisz mi widywać Pomponię? — spytała Lygia. — Tak, droga. Będziemy ich zapraszali w dom nasz lub sami jeździli do nich. Czy chcesz, byśmy zabrali ze sobą Piotra Apostoła? On przyciśnięty wiekiem i pracą. Paweł będzie nas także odwiedzał, nawróci Aulusa Plauciusza i jako żołnierze zakładają kolonie w odległych krajach, tak my założymy kolonię chrześcijan. Lygia podniosła rękę i wzięwszy dłoń Viniciusza, chciała przycisnąć do niej usta, lecz on począł mówić, szepcząc, jakby się bał spłoszyć szczęście: — Nie, Lygio! nie! to ja czczę cię i uwielbiam, daj mi ty rękę. — Kocham cię. Lecz on przycisnął już usta do jej białych, jak jaśmin, dłoni i przez chwilę słyszeli tylko bicie własnych serc. W powietrzu nie było najmniejszego powiewu i cyprysy stały tak nieruchome, jakby również zatrzymały dech w piersiach... Nagle ciszę przerwał grzmot

niespodziany, głęboki i jakby wychodzący z pod ziemi. Dreszcz przebiegł przez ciało Lygii, Viniciusz zaś powstawszy, rzekł: — To lwy ryczą w wiwariach... I poczęli oboje nasłuchiwać. Tymczasem pierwszemu grzmotowi odpowiedział drugi, trzeci, dziesiąty, ze wszystkich stron i dzielnic. W mieście bywało czasem po kilka tysięcy lwów, pomieszczonych przy różnych arenach, i nieraz nocami, zbliżając się do krat i opierając o nie olbrzymie głowy, głośiły w ten sposób swą tęsknotę za wolnością i pustynią. Tak poczęły tęsknić i teraz, i podając jeden drugiemu głos w ciszy nocnej, napełniły rykiem całe miasto. Było w tem coś niewypowiedziane groźnego i posepnego, to też Lygia, której owe głosy spłoszyły jasne i spokojne widzenia przyszłości, słuchała ich z sercem ściśniętem jakąś dziwną trwogą i smutkiem. Lecz Viniciusz otoczył ją ramieniem i rzekł: — Nie bój się, droga. Igrzyska blisko, więc wszystkie wiwaria przepełnione. Poczem weszli oboje do domku Linnusa, przeprowadzeni coraz potężniejszym grzmotem lwich głosów.

ROZDZIAŁ XVIII.

W Antium tymczasem Petroniusz odnosił niemal każdego dnia nowe zwycięstwa nad augustianami, współubiegającymi się z nim o łaskę Cezara. Wpływ Tigellina upadł zupełnie. W Rzymie, gdy trzeba było usuwać ludzi, którzy wydawali się niebezpieczni, łupić ich mienie, załatwiać sprawy polityczne, dawać widowiska, zdumiewające przepychem i złym smakiem, a wreszcie zaspakajać potworne zachcenia Cezara, Tigellinus, zarówno przebiegły, jak gotów na wszystko, okazywał się niezbędnym. Ale w Antium, wśród pałaców przeglądających się w lazurach morza, Cezar żył życiem helleńskim. Od rana do wieczora czytano wiersze, rozprawiano nad ich budową i doskonałością, zachwycano się szczęśliwymi zwrotami, zajmowano się muzyką, teatrem, słowem wyłącznie tem, co wynalazł i czem przyozdobił życie geniusz grecki. Lecz w takich warunkach niezrównanie więcej wykształcony od Tigellina i innych augustianów, Petroniusz, dowcipny, wymowny, pełen subtelnych poczuć i smaku, musiał uzyskać przewagę. Cezar szukał jego towarzystwa, zasięgał jego zdania, pytał o radę, gdy sam tworzył, i okazywał przyjaźń żywszą niż kiedykolwiek. Otaczającym wydawało się, że wpływ jego odniósł wreszcie ostateczne zwycięstwo, że przyjaźń między nim i Cezarem weszła już w okres stały i że przetrwa lata. Ci nawet, którzy dawniej okazywali niechęć wykwintnemu epikurejczykowi, poczęli go teraz otaczać i ubiegać się o jego łaski. Nie jeden rad był nawet szczerze w duszy, że przewagę uzyskał człowiek, który wiedział wprawdzie co o kim ma myśleć i przyjmował ze sceptycznym uśmiechem pochlebstwa wczorajszych wrogów, lecz czy to przez lenistwo, czy przez wytworność, nie był mściwym i potęgi swej nie używał na cudzą zgubę lub szkodę. Bywały chwile, że mógł zgubić nawet i Tigellina, ale on wołał go wyśmiewać i wyprowadzać na jaw jego brak wykształcenia i pospolitość. Senat w Rzymie odetchnął, gdyż od półtora miesiąca żaden wyrok śmierci nie został wydany. I w Antium i w mieście opowiadano wprawdzie dziwy o wyrafinowaniu, do jakiego doszła rozpusta Cezara i jego faworyta, każdy jednak wołał czuć nad sobą Cezara wyrafinowanego, niż zezwierzęconego w rękach Tigellina. Sam Tigellinus tracił głowę i wahał się, czy nie dać za wygraną, albowiem Cezar wielokrotnie odzywał się, że w całym Rzymie i na całym dworze są tylko dwie dusze zdolne się zrozumieć, i dwóch prawdziwych Hellenów: on i Petroniusz. Zdumiewająca zręczność tego ostatniego, utwierdziła ludzi w przekonaniu, iż jego wpływ przetrwa wszystkie inne. Nie zdawano już sobie sprawy, jakby Cezar zdołał się bez niego obejść, z kimby mógł rozmawiać o poezji, muzyce, wyścigach i w czyje oczy by patrzył, chcąc sprawdzić, czy to, co tworzy, jest naprawdę doskonałem. Petroniusz zaś, ze zwykłą sobie niedbałością, zdawał się nie przywiązywać żadnej wagi do swego stanowiska. Bywał, jak zwykle, opieszły, leniwy, dowcipny i sceptyczny. Często czynił na ludzi wrażenie człowieka, który drwi z nich, z siebie, z Cezara i z całego świata. Chwilami ośmielał się przyganiać w oczy Cezarowi, i gdy inni sądzili, iż posuwa się zadaleko lub wprost gotuje sobie zgubę, on umiał przyganę przyprawić nagle w taki sposób, że

wychodziła na jego korzyść, w obecnych zaś budziła podziw i przekonanie, że niemasz położenia, z którego nie wyszedłby z tryumfem. Raz, mniej więcej w tydzień po powrocie Viniciusza z Rzymu, Cezar czytał w małym kółku ustęp ze swej Troiki, gdy zaś skończył i gdy przebrzmiały okrzyki zachwytu, Petroniusz, zapytywany wzrokiem przez Cezara, rzekł: — Niegodziwe wiersze, godne rzucenia w ogień. Obecny serca przestały bić z przerażenia, Nero bowiem od dzieciennych lat nie usłyszał nigdy z niczyich ust podobnego wyroku; tylko twarz Tigellina zaświeciła radością. Viniciusz natomiast pobladł, sądząc, że Petroniusz, który nie upijał się nigdy, upił się tym razem. A Nero począł pytać miódowym głosem, w którym drgała wszelako głęboko zraniona miłość własna: — Co znajdujesz w nich niedobrego? Petroniusz zaś napadł na niego. — Nie wierz im — rzekł, wskazując ręką na obecnych — oni się na niczem nie znają. Pytasz, co niedobrego w twych wierszach? Jeśli chcesz prawdy, to ci powiem: Dobre są dla Wergiliusza, dobre dla Owidyusza, dobre nawet dla Homera, ale nie dla ciebie. Tobie nie wolno takich pisać. Ten pożar, który opisujesz, nie dość płonie, twój ogień nie dość parzy. Nie słuchaj pochlebstw Lukana. Jemu za takie same wiersze przyznałbym geniusz, ale nie tobie. A wiesz dlaczego? Boś większy od nich. Komu bogowie dali tyle, co tobie, od tego więcej można wymagać. Ale ty się lenisz. Wolisz sypiać po prandium, niż przysiedzieć fałdów. Ty możesz stworzyć dzieło, o jakim świat dotąd nie słyszał, i dlatego w oczy ci powiadam: napisz lepsze! I mówił to od niechcienia, jakby drwiąc, a zarazem zrzędząc, lecz oczy Cezara zaszyły mgłą rozkoszy i rzekł: — Bogowie dali mi trochę talentu, ale dali prócz tego więcej, bo prawdziwego znawcę i przyjaciela, który jeden umie mówić prawdę w oczy. To rzekłszy, wyciągnął swą tłustą, pokrytą rdzawym włosem rękę do złotego kandelabru, złupionego w Delfach, by spalić wiersze. Lecz Petroniusz odebrał mu je, nim płomień dotknął papirusu. — Nie, nie! — rzekł — nawet tak niegodziwe należą do ludzkości. Zostaw mi je. — Pozwól mi w takim razie odesłać ci je w puszcze mego pomysłu — odpowiedział, ściskając go Nero. I po chwili mówić począł: — Tak jest. Masz słuszość. Mój pożar Troi nie dość świeci, mój ogień nie dość parzy. Myślałem jednak, że gdy wyrównam Homerowi, to wystarczy. Pewna nieśmiałość i małe rozumienie o sobie przeszkadzały mi zawsze. Tyś mi otworzył oczy. Ale czy wiesz dlaczego jest tak jak mówisz? Oto, gdy rzeźbiarz chce stworzyć postać boga, szuka sobie wzoru, jam zaś nie miał wzoru. Nie widziałem nigdy płonącego miasta i dlatego w opisie moim brak prawdy. — Więc ci powiem, że trzeba jednak być wielkim artystą, by to rozumieć. Nero zamyślił się, po chwili zaś rzekł: — Odpowiedz mi, Petroniuszu, na jedno pytanie: czy ty żałujesz, że Troja się spaliła? — Czy żałuję?.. Na chromego małżonka Wenery, bynajmniej! I powiem ci, dlaczego! Oto Troja nie spaliłaby się, gdyby Prometeusz nie podarował ludziom ognia i gdyby Grecy nie wypowiedzieli Pryamowi wojny; gdyby zaś nie było ognia, Eschilos nie napisałby swego Prometeusza, równie jak bez wojny, Homer nie napisałby Iliady, a ja wolę, że istnieje Prometeusz i Iliada, niż żeby zachowała się mięscina, prawdopodobnie licha i brudna, w którejby teraz co najmniej siedział jakiś zakazany prokurator i nudził cię zatargami z miejscowym areopagiem. — Oto co się nazywa mówić rozumnie — odpowiedział Cezar. — Dla poezji i sztuki wolno i należy wszystko poświęcić. Szczęśliwi Achaje, którzy dostarczyli Homerowi treści do Iliady i szczęśliwy Pryam, który oglądał zgubę ojczyzny. A ja? ja nie widziałem płonącego miasta. Nastąpiła chwila milczenia, którą przerwał wreszcie Tigellinus. — Wszakżem ci już mówił, Cezarze — rzekł — rozkaż, a spalę Antium. Albo wiesz co? Jeśli ci żal tych willi i pałaców, każę spalić okręty w Ostyi lub zbuduję ci na podgórzu albańskim drewniane miasto, w które sam rzucisz płomień. Czy chcesz? Lecz Nero rzucił mu spojrzenie pełne pogardy. — Ja mam patrzeć na płonące drewniane budy? Twój umysł zupełnie wyjałowiał, Tigellinie! I widzę przytem, że nie bardzo cenisz mój talent i moją Troikę, skoro sądzisz, że jakaś inna ofiara byłaby dla niej zawiadka. Tigellinus zmieszał się. Nero zaś po chwili, jakby chcąc zmienić rozmowę, dodał: — Lato

idzie... O, jak ten Rzym musi teraz cuchnąć!.. A jednak na letnie igrzyska trzeba tam będzie wrócić. Wtem Tigellinus rzekł: — Gdy odprawisz augustianów, Cezarze, pozwól mi na chwilę zostać ze sobą... W godzinę później Viniciusz, wracając z Petroniuszem z cesarskiej willi, mówił: — Miałem przez ciebie chwilę trwogi. Sądziłem, żeś się po pijanemu zgubił bez ratunku. Pamiętaj, że igrasz ze śmiercią. — To jest moja arena — odrzekł niedbale Petroniusz — i bawi mnie poczucie, że jestem na niej najlepszym z gladyatorów. Patrząc, jak się skończyło. Wpływ mój urósł jeszcze tego wieczoru. Odeśle mi swoje wiersze w puszcze, która (chcesz się założyć?) będzie ogromnie bogata i ogromnie w złym smaku. Każę memu lekarzowi trzymać w niej środki czyszczące. Ja uczyniłem to i dlatego jeszcze, że Tigellinus widząc, jak takie rzeczy się udają, zechce mnie niechybnie naśladować, i wyobrażam sobie, co się stanie, skoro ruszy konceptem. To będzie jak gdyby pirenejski niedźwiedź chciał chodzić po linie. Będę się śmiał jak Demokryt. Gdybym koniecznie chciał, potrafiłbym może zgubić Tigellina i zostać na jego miejscu prefektem pretorianów. Wówczas miałbym w ręku samego Ahenobarba. Ale się lenię. Wolę od biedy takie życie, jakie prowadzę, i nawet wiersze Cezara. — Co za zrzeczność, która nawet z nagany potrafi zrobić pochlebstwo! Ale czy istotnie te wiersze są tak złe? Ja się na tem nie znam. — Nie są gorsze od innych. Lukan ma w jednym palcu więcej talentu, ale i w Miedzianobrodym coś jest. Jest przedewszystkiem niezmiernie zamiłowanie do poezji i muzyki. Za dwa dni mamy być u niego, by wysłuchać muzyki do hymnu na cześć Afrodyty, który dziś lub jutro skończy. Będziemy w małym kółku. Tylko ja, ty, Tulliusz Senecio i młody Nerwa. A co do wierszy, to com ci mówił, że używam ich po uczcie, tak jak Witeliusz używa pióra flaminga, to nieprawda!.. Bywają czasem wymowne. Słowa Hekuby są wzruszające... Skarzy się ona na męki porodu i Nero umiał znaleźć szczęśliwe wyrażenia może dlatego, że sam rodzi w męce każdy wiersz... Czasem mi go żal. Na Polluksa! co to za dziwna mieszanina! Kaliguli brakło piątej klepki, ale nie był jednak takim dziwotworem. — Kto przewidzi, dokąd może zajść szaleństwo Ahenobarba? — rzekł Viniciusz. — Nikt zgoła. Mogą się jeszcze zdarzyć rzeczy takie, że ludziom przez wieki całe będą na myśl o nich powstawały włosy na głowie. Ale to właśnie jest ciekawe, jest zajmujące, i chociaż nudzę się nieraz jak Jowisz Ammoński na pustyni, myślę, że pod innym Cezarem nudziłbym się jeszcze setniej. Twój Judejczyk Paweł jest wymowny, to mu przyznaję, i jeśli podobni ludzie będą opowiadali tę naukę, nasi bogowie muszą się strzedz nie żartem, by z czasem nie pójść na strych. Prawda, że gdyby naprzykład Cezar był chrześcijaninem, wszyscy czulibyśmy się bezpieczniejsi. Ale twój prorok z Tarsu, stosując swoje dowody do mnie, nie pomyślał, widzisz, że dla mnie ta niepewność stanowi ponętę życia. Kto nie gra w kości, nie przegra mienia, a jednak ludzie w kości grywają. Jest w tem jakaś rokosz i jakieś zapomnienie. Znałem synów rycerzy i senatorów, którzy dobrowolnie zostali gladyatorami. Ja, mówisz, igram z życiem, i tak jest, ale czynię to, bo mnie to bawi, zaś wasze cnoty chrześcijańskie znudziłyby mnie, jak rozprawy Seneki, w jeden dzień. Dlatego wymowa Pawła poszła na marne. On powinien rozumieć, że tacy ludzie jak ja, nie przyjmą tej nauki nigdy. Ty, co innego! Z twojem usposobieniem mogłeś albo nienawidzieć imienia chrześcijanina, jak zarazy, albo nim zostać. Ja przyznaję im słusność, ziewając. Szalejem, dążym do przepaści, coś nieznanego idzie ku nam z przyszłości, coś się załamuje pod nami, coś mrze obok nas, zgoda! ale umrzeć potrafimy, a tymczasem nie chce się nam obarczać życia i służyć śmierci, wpierw nim nas zabierze. Życie istnieje dla siebie samego, nie dla niej. — A mnie ciebie żal, Petroniuszu. — Nie żałuj mnie więcej niż ja sam siebie. Dawniej było ci między nami niezłe i wojując w Armenii, tęskniłeś za Rzymem. — I teraz tęsknię za Rzymem. — Tak! boś pokochał chrześcijańską westalkę, która siedzi na Zatybrzu. Ani się temu dziwię, ani ci to naganiam. Dziwię się więcej temu, że mimo tej nauki, o której mówisz, iż jest morzem szczęścia, i mimo tej miłości, która ma być wkrótce uwieńczoną, smutek nie schodzi z twojej twarzy. Pomponia Graecina jest wiecznie smutna, ty od

czasu, jak zostałeś chrześcijaninem, przestałeś się uśmiechać. Nie wmawiajże we mnie, że to jest wesoła nauka! Z Rzymu wróciłeś jeszcze smutniejszy. Jeśli wy się tak po chrześcijańsku kochacie, na jasne kędziory Baccha! nie pójdę waszym śladem. — To jest co innego — odpowiedział Viniciusz. — ja ci przysięgam nie na kędziory Baccha, ale na duszę ojca mego, że nigdy za dawnych czasów nie doznałem nawet przedsmaku takiego szczęścia, jakim oddycham dzisiaj. Ale tęsknię niezmiernie, i co dziwniejsza, gdy jestem od Lygii daleko, zdaje mi się, że wisi nad nią jakieś niebezpieczeństwo. Nie wiem jakie i nie wiem skądby przyjść mogło, ale przeczuwam je tak, jak się przeczuwa burzę. — Za dwa dni podejmuję się wyrobić dla ciebie pozwolenie opuszczenia Antium na tak długo, jak zechcesz. Poppea jakaś spokojniejsza, i o ile wiem, nic od niej nie grozi ni tobie, ni Lygii. — Dziś jeszcze pytała mnie, com czynił w Rzymie, choć wyjazd mój był tajemnicą. — Być może, że kazała cię szpiegować. Teraz jednak i ona musi się ze mną liczyć. Viniciusz zatrzymał się i rzekł: — Paweł mówił, że Bóg czasem przestrzega, ale we wróżby wierzyć nie dozwala, więc bronię się przeciw tej wierze i nie mogę się obronić. Powiem ci, co się zdarzyło, by zrzucić ciężar z serca. Siedzieliśmy z Lygią obok siebie w noc tak pogodną jak dzisiejsza i układaliśmy sobie przyszłe życie. Nie umiem ci powiedzieć, jak byliśmy szczęśliwi i spokojni. A wtem poczęły ryczeć lwycy. Rzecz to w Rzymie zwykła, a jednak od tej chwili nie mam spokoju. Wydaje mi się, że była w tem jakby groźba, jakby zapowiedź nieszczęścia... Wiesz, że trwoga nie chwyta mnie łatwo, ale wówczas zrobiło się coś takiego, że trwoga napełniła całą ciemność nocy. Tak to przyszło dziwnie i niespodzianie, że teraz ciągle mam w uszach te odgłosy i ciągły niepokój w sercu, jakby Lygia potrzebowała mojej obrony od czegoś strasznego... choćby od tych samych lwów. I męczę się. Uzyskajże dla mnie pozwolenie wyjazdu, bo inaczej wyjadę bez pozwolenia. Nie mogę tu siedzieć, powtarzam ci, nie mogę! Petroniusz począł się śmiać. — Jeszcze też do tego nie przyszło — rzekł — by synowie mężów konsularnych lub ich żony były oddawane lwom na arenach. Może was spotkać każda inna śmierć, ale nie taka. Kto wie zresztą, czy to były lwycy, bo tury germańskie wcale nie gorzej od nich ryczą. Co do mnie, drwię z wróżb i losów. Wczoraj noc była ciepła i widziałem gwiazdy spadające jak deszcz. Niejednemu czyni się niemiło na taki widok, ale ja pomyślałem sobie: jeśli między niemi jest i moja, to mi przynajmniej towarzystwa nie zbraknie!.. Poczem umilkł na chwilę i pomyślawszy, rzekł: — Zresztą, widzisz, jeśli wasz Chrystus zmartwychwstał, to może i was oboje obronić od śmierci. — Może — odpowiedział Viniciusz, spoglądając na nabite gwiazdami niebo.

ROZDZIAŁ XIX.

Nero grał i śpiewał hymn na cześć „Pani Cypru“, do którego sam ułożył wiersze i muzykę. Był tego dnia przy głosie i czuł, że muzyka jego naprawdę porrywa obecnych, a poczucie to tyle dodało siły dźwiękom, które z siebie wydobywał, i tak rozkołysało jego własną duszę, że wydawał się być natchniony. W końcu pobladł sam ze szczerzego wzruszenia. Pierwszy też zapewne raz w życiu nie chciał słuchać pochwał obecnych. Przez chwilę siedział z rękoma wspartymi na cytrze i z pochyloną głową, poczem powstał nagle i rzekł: — Zmęczony jestem i potrzeba mi powietrza. Nastrójcie tymczasem cytry. To powiedziawszy, obwinął gardło jedwabną chustką. — Wy pójdźcie za mną — rzekł, zwracając się do Petroniusza i Viniciusza, siedzących w kącie sali. — Ty, Viniciuszu, podaj mi rękę, bo mi sił brak, Petroniusz zaś będzie mi mówił o muzyce. Poczem wyszli razem na wyłożony alabastrem i posypany szafranem taras pałacowy. — Tu się oddycha swobodniej — rzekł Nero. — Duszę mam wzruszoną i smutną, choć widzę, że z tem, co wam na próbę zaśpiewałem, mogę wystąpić publicznie i że to będzie tryumf, jakiego nigdy jeszcze żaden Rzymianin nie odniósł. — Możesz wystąpić tu, w Rzymie i w Achai. Podziwiałem cię całym sercem i umysłem, boski! — odpowiedział Petroniusz. — Wiem. Jesteś zbyt leniwy, byś się miał zmuszać do pochwał. I szczerzy jesteś, jak Tulliusz Senecio, ale się lepiej znasz od niego. Powiedz mi, co ty sądzisz o muzyce? — Gdy słucham

poezyi, gdy patrzę na kwadrygę, którą powozisz w cyrku, na piękny posąg, piękną świątynię lub obraz, czuję, że ogarniam to, co widzę, w całości, i że w moim zachwycie mieści się wszystko, co te rzeczy dać mogą. Ale gdy słucham muzyki, zwłaszcza twojej, otwierają się przede mną coraz nowe piękności i rozkosze. Biegnę za nimi, chwytam je, lecz zanim przyjmę je w siebie, napływają znów nowe i nowe, zupełnie fale morskie, które idą z nieskończoności. Więc oto powiem ci, że muzyka jest jak morze. Stoimy na jednym brzegu i widzimy dal, ale drugiego brzegu dojrzeć niepodobna. — Ach, jakim ty jesteś głębokim znawcą! — rzekł Nero. I przez chwilę chodzili w milczeniu, tylko szafran szeleścił cicho pod ich stopami. — Wypowiedziałeś moją myśl — rzekł wreszcie Nero — i dlatego powiadam zawsze, że w całym Rzymie ty jeden potrafisz mnie zrozumieć. Tak jest. To samo i ja sądzę o muzyce. Gdy gram i śpiewam, widzę takie rzeczy, o których nie wiedziałem, że istnieją w państwie mojem lub na świecie. Oto jestem Cezarem i świat należy do mnie, mogę wszystko. A jednak muzyka odkrywa mi nowe królestwa, nowe góry i morza i nowe rozkosze, których nie znałem dotąd. Najczęściej nie umiem ich nazwać, ni pojąć umysłem — czuję je tylko. Czuję bogów, widzę Olimp. Jakiś wiatr zaziemski wieje na mnie; spostrzegam, jak we mgle, jakieś wielkości niezmiernie a spokojne i tak jasne, jak wschód słońca... Sferos cały gra wokół mnie i powiem ci... (tu głos Nerona zadrgał rzeczywistym zdziwieniem), że ja, Cezar i bóg, czuję się wówczas małym, jak proch. Dasz temu wiarę? — Tak. Tylko wielcy artyści mogą się czuć wobec sztuki małymi... — Dziś jest noc szczerości, więc otwieram przed tobą duszę, jak przed przyjacielem, i powiem ci więcej... Czy sądzisz, że jestem ślepy lub pozbawiony rozumu? Czy myślisz, że nie wiem, iż w Rzymie wypisują na murach obelgi na mnie, że zwą mnie matkobójcą i żonobójcą... że mają mnie za potwora i okrutnika, dlatego, że Tigellinus uzyskał ode mnie kilka wyroków śmierci na moich nieprzyjaciół... Tak, drogi, mają mię za potwora i ja wiem o tem... Wmówili we mnie okrucieństwo do tego stopnia, iż ja sam zadaję sobie czasem pytanie, czy nie jestem okrutnikiem... Ale oni nie rozumieją tego, że czyny człowieka mogą być czasem okrutne, a człowiek może nie być okrutnikiem. Ach, nikt nie uwierzy, a może i ty, mój drogi, nie uwierzysz, że chwilami, gdy muzyka kołysze moją duszę, ja czuję się tak dobry, jak dziecię w kolebce. Przysięgam ci na te gwiazdy, które nad nami świecą, że mówię szczerą prawdę: ludzie nie wiedzą, ile dobrego leży w tem sercu i jakie ja sam spostrzegam w niem skarby, gdy muzyka drzwi do nich otworzy. Petroniusz, który nie miał najmniejszej wątpliwości, że Nero mówi w tej chwili szczerze i że muzyka istotnie może wydobywać na jaw różne szlachetniejsze skłonności jego duszy, zawałone górami egoizmu, rozpusty i zbrodni, rzekł: — Ciebie trzeba znać tak blisko, jak ja. Rzym nie umiał cię nigdy ocenić. Cezar zaś wsparł się silniej na ramieniu Viniciusza, jakby się ugiął pod brzemieniem niesprawiedliwości, i odpowiedział: — Tigellin mówił mi, iż w senacie szepczą sobie do uszu, że Diodor i Terpnos lepiej grają ode mnie na cytrach. Odmawiają mi nawet i tego! Ale ty, który mówisz zawsze prawdę, powiedz mi szczerze: czy oni grają lepiej ode mnie, albo równie dobrze, jak ja? — Bynajmniej. Ty masz słodsze dotknięcie, a zarazem więcej siły. W tobie znać artystę, w nich — biegłych rzemieślników. Owszem! słysząc poprzednio ich muzykę, lepiej się rozumie, czem ty jesteś. — Jeśli tak, to niech sobie żyją. Nie domyślą się nigdy, jaką im oddałeś w tej chwili usługę. Zresztą, gdybym ich skazał, musiałbym wziąć na ich miejsce innych. — I ludzie mówiliby w dodatku, że z miłości dla muzyki tępisz w państwie muzykę. Nie zabijaj nigdy sztuki dla sztuki, boski. — Jakiś ty różny od Tigellina — odpowiedział Nero. — Ale widzisz, ja właśnie jestem we wszystkim artystą i ponieważ muzyka otwiera przede mną przestwory, których nie domyślałem się istnienia, krainy, któremi nie władam, rozkosz i szczęście, których nie zaznałem, więc ja nie mogę żyć życiem zwyczajnem. Ona mi mówi, że nadzwyczajność istnieje, przeto jej szukam całą potęgą władzy, którą bogowie złożyli w moje ręce. Czasem wydaje mi się, że aby się dostać do tych olimpijskich światów, trzeba zrobić coś

takiego, czego żaden człowiek dotąd nigdy nie uczynił, trzeba przewyższyć ludzkie pogłowie w dobrem lub w złem. Wiem także, że ludzie posądzają mnie, iż szaleję. Ale ja nie szaleję, tylko szukam! a jeśli szaleję, to z nudy i niecierpliwości, że znaleźć nie mogę. Ja szukam! rozumiesz mnie, i dlatego chcę być większym, niż człowiek, bo tylko w ten sposób mogę być największy, jako artysta. Tu zniżył głos, tak aby Viniciusz nie mógł go słyszeć, i przyłożywszy usta do ucha Petroniusza, począł szeptać: — Czy wiesz, że ja głównie dlatego skazałem na śmierć matkę i żonę? U bram nieznanego świata chciałem złożyć największą ofiarę, jaką człowiek mógł złożyć. Mniemałem, że się potem coś stanie i że jakieś drzwi się otworzą, za którymi dojrzą coś nieznanego. Niechby to było cudniejsze lub straszliwsze nad ludzkie pojęcie, byle było niezwykajne i wielkie... Ale tej ofiary nie było dość. Dla otwarcia empirejskich drzwi potrzeba widocznie większej — i niech się tak stanie, jak chcą wyroki. — Co zamierzasz uczynić? — Zobaczysz, zobaczysz prędzej, niż myślisz. Tymczasem wiedz, że jest dwóch Neronów: jeden taki, jakim go ludzie znają, drugi artysta, którego znasz tylko ty jeden i który, jeśli zabija jak śmierć, lub szaleje jak Bachus, to właśnie dlatego, że go dławi płaskość i lichota zwykłego życia i chciałby je wyplenić, choćby przyszło użyć ognia lub żelaza... O! jaki ten świat będzie płaski, gdy mnie nie stanie!... Nikt się jeszcze nie domyśla, nawet ty, drogi, jakim ja jestem artystą. Ale właśnie dlatego cierpię i szczerze ci mówię, że dusza bywa we mnie czasami tak smutna, jak te cyprysy, które tam czernią się przed nami. Ciężko człowiekowi dźwigać naraz brzemię najwyższej władzy i największego talentu... — Współczuję ci, Cezarze, z całego serca, a ze mną ziemia i morze, nie licząc Viniciusza, który cię w duszy ubóstwia. — Był mi też i on zawsze miłym — rzekł Nero — choć służy Marsowi nie muzom. — On przedewszystkiem służy Afrodycie — odrzekł Petroniusz. I nagle postanowił za jednym zamachem załatwić sprawę siostrzeńca, a zarazem usunąć wszelkie niebezpieczeństwa, jakie mogły mu grozić. — On jest zakochany, jak Troilus w Kressydzie — rzekł. — Pozwól mu, panie, odjechać do Rzymu, bo mi uschnie. Czy wiesz, że owa zakładniczka lygijska, którą mu podarowałaś, odnalazła się i Viniciusz, wyjeżdżając do Antium, zostawił ją pod opieką niejakiego Linnusa? Nie wspominałem ci o tem, gdyż układałaś swój hymn, a to jest rzecz ważniejsza od wszystkiego. Viniciusz chciał z niej mieć kochankę, lecz gdy okazała się cnotliwą, jak Lukrecya, rozkochał się w jej cnocie i teraz pragnie ją poślubić. Jest to królewska córka, więc ujmij mu nie przyniesie, ale on, to prawdziwy żołnierz: wzdycha, schnie, jęczy, lecz czeka na pozwolenie swego imperatora. — Imperator nie wybiera żon żołnierzom. Po co mu moje pozwolenie? — Mówiłem ci, panie, że on cię ubóstwia. — Tem bardziej może być pewny pozwolenia. To ładna dziewczyna, ale zawązka w biodrach. Augusta Poppea skarżyła się na nią przede mną, że urzekła nasze dziecko w ogrodach Palatynu... — Ale ja powiedziałem Tigellinowi, że bóstwa nie podlegają złym urokom. Pamiętasz, boski, jak się zmieszał i jak sam krzyczałeś: habet! — Pamiętam. Tu zwrócił się do Viniciusza: — Kochasz-że ją tak, jak mówi Petroniusz? — Kocham ją, panie! — odpowiedział Viniciusz. — A więc rozkazuję ci jechać zaraz jutro do Rzymu, zaślubić ją i nie pokazywać mi się na oczy bez ślubnego pierścienia. — Dzięki ci, panie, z serca i duszy. — O, jak miło jest uszczęśliwiać ludzi — rzekł Cezar. — Chciałbym nic innego przez całe życie nie czynić. — Uczyni nam jeszcze jedną łaskę, boski, — rzekł Petroniusz — i oświadczyć tę swoją wolę wobec Augusty. Viniciusz nie ośmieliłby się nigdy zaślubić istoty, do której Augusta żywi niechęć, ale ty, panie, rozproszysz jednym słowem jej uprzedzenia, oznajmiając, żeś sam tak rozkazał. — Dobrze — rzekł Cezar — tobie i Viniciuszowi nie umiałbym niczego odmówić. I zwrócił do willi, a oni poszli z nim razem, pełni w sercach radości ze zwycięstwa. Viniciusz musiał się powstrzymywać, by nie rzucić się na szyję Petroniusza, teraz bowiem wszelkie niebezpieczeństwa i przeszkody zdawały się być usunięte. W atrium willi młody Nerwa i Tulliusz Senecio zabawiali Augustę rozmową, Terpnos zaś i Diodor stroili cytry. Nero, wszedłszy, siadł na wykładanym sztyldkrem

krześle i szepnąwszy coś do ucha przybocznemu greckiemu pacholęciu, czekał. Pacholę wróciło niebawem ze złotą skrzynką — Nero otworzył ją i wybrawszy naszyjnik z wielkich opalów, rzekł: — Oto są klejnoty, godne dzisiejszego wieczora. — Mieni się na nich jutrzienka — odpowiedziała Poppea, w przekonaniu, że naszyjnik dla niej jest przeznaczony. Cezar przez chwilę to podnosił, to zniżał różowe kamienie i wreszcie rzekł: — Viniciuszu, podarujesz ode mnie ten naszyjnik młodej królownie lygijskiej, którą nakazuję ci zaślubić. Pełen gniewu i nagłego zdziwienia wzrok Poppei począł przenosić się z Cezara na Viniciusza, w końcu zaś spoczął na Petroniuszu. Lecz ów, przechylony niedbale przez poręcz krzesła, wodził ręką po gryfie harfy, jakby chcąc dokładnie kształt jego zapamiętać. Tymczasem Viniciusz, złożywszy dzięki za podarek, zbliżył się do Petroniusza i rzekł: — Czem ja ci się odwdzięczę za to, coś dziś dla mnie uczynił? — Ofiaruj Euterpie parę łabędzi, — odpowiedział Petroniusz — chwal pieśni Cezara i śmiej się z wróżb. Spodziewam się, że ryk lwów nie będzie odtąd przerywał snu ani tobie, ani twojej lilii lygijskiej. — Nie, — rzekł Viniciusz — teraz jestem zupełnie spokojny. — Niechże fortuna będzie wam łaskawą. Ale teraz uważaj, bo Cezar bierze znów formingę. Zatrzymaj oddech, słuchaj i roń łzy. Jakoż Cezar wziął rzeczywiście formingę do ręki i podniósł oczy w górę. W sali ustały rozmowy i ludzie siedzieli nieruchomie, jakby skamienieli. Tylko Terpnos i Diodor, którzy mieli akompaniować Cezarowi, spoglądali, kręcąc głowami, to na siebie, to na jego usta, w oczekiwaniu pierwszych tonów pieśni. Wtem w przedsiönku wszczął się ruch i hałas, a po chwili z za zasłony wychylił się naprzód wyzwoleniec cesarski, Faon, a tuż za nim konsul Lekaniusz. Nero zmarszczył brwi. — Wybacz, boski imperatorze — rzekł zdyszonym głosem Faon — w Rzymie pożar! większa część miasta w płomieniach!... Na tę wiadomość wszyscy zerwali się z miejsc, Nero złożył formingę i rzekł: — Bogowie!... Ujrzę płonące miasto i skończę Troikę. Poczem zwrócił się do konsula: — Czy, wyjechawszy natychmiast, zdążę jeszcze zobaczyć pożar? — Panie! — odpowiedział błądzący jak ściana konsul — nad miastem jedno morze płomieni: dym dusi mieszkańców i ludzie mdleją lub z szaleństwa rzucają się w ogień... Rzym ginie, panie! Nastąpiła chwila ciszy, którą przerwał okrzyk Viniciusza: — Vae misero mihi!... I młody człowiek, zrzuciwszy togę, w samej tunice wybiegł z pałacu. Nero zaś podniósł ręce ku niebu i zawołał: — Biada ci, święty grodzie Pryama!...

ROZDZIAŁ XX.

Viniciusz zaledwie miał czas rozkazać kilku niewolnikom, by jechali za nim, poczem wskoczywszy na konia popędził wśród głębokiej nocy przez puste ulice Antium, w kierunku Laurentum. Wpadłszy pod wpływem straszliwej wieści w stan jakby szału i umysłowego zdziwienia, chwilami nie zdawał sobie dokładnie sprawy, co się z nim dzieje, miał tylko poczucie, że na tym samym koniu siedzi za jego plecami nieszczęście i krzycząc mu do uszu: „Rzym się pali!“ — smaga jego samego, konia i pędzi ich w ten ogień. Położywszy swą odkrytą głowę na karku końskim, biegł w samej tunice, na oślepie, nie patrząc przed siebie i nie zważając na przeszkody, o które mógł się roztrzaskać. Wśród ciszy i wśród nocy, spokojnej i gwiaździstej, jeździec i koń, oblani blaskiem księżyca, czynili wrażenie sennych widziadeł. Idumejski ogier, stuliwszy uszy i wyciągnąwszy szyję, mknął jak strzała, mijając nieruchome cyprysy i białe, pochowane wśród nich, wille. Tentent kopyt o płyty kamienne budził tu i owdzie psy, które szczekaniem przeprowadzały dziwne zjawisko, potem zaś, zaniepokojone jego nagłością, poczynały wyc, podnosząc paszcze do księżyca. Niewolnicy, biegnący za Viniciuszem, mając konie o wiele gorsze, wkrótce pozostali w tyle. On sam, przebiegłszy jak burza śpiące Laurentum, zawrócił ku Ardei, w której również jak w Arycyi, w Bowili i Ustrinum, trzymał od czasu przyjazdu do Antium rozstawne konie, aby mózdz w jak najkrótszym czasie przebiegać przestrzeń, dzielącą go od Rzymu. Pamiętając o tem, wydobywał ostatki sił z konia. Za Ardeą wydało mu się, że niebo w północno-wschodniej stronie powleka się różowym odblaskiem.

Mogła to być i zorza ranna, gdyż godzina była późna, dzień zaś czynił się wcześniej w lipcu. Lecz Viniciusz nie mógł powstrzymać okrzyku rozpacz i wściekłości, wydało mu się bowiem, że to jest luna pożogi. Przypomniały mu się słowa Lekaniusza: „miasto całe jednym morzem płomieni“ — i przez chwilę czuł, że grozi mu naprawdę szaleństwo, stracił bowiem całkowicie nadzieję, by mógł uratować Lygię, a nawet dobieść, zanim miasto nie zmieni się w jeden stos popiołu. Myśli jego stały się teraz jeszcze szybsze, niż pęd konia, i gnały przed nim, jako stado czarnego ptactwa — rozpaczliwe i potworne. Nie wiedział wprawdzie, która część miasta zaczęła płonąć, przypuszczał jednak, że dzielnica zatybrzańską, pełną skupionych domów, składów drzewa i drewnianych bud, w których sprzedawano niewolników, pierwsza mogła stać się pastwą płomienia. W Rzymie pożary zdarzały się dość często, przy których równie często przychodziło do gwałtów i rabunków, zwłaszcza w dzielnicach, zamieszkałych przez ludność ubogą i nawpół barbarzyńską — cóż więc mogło dziać się na takim Zatybrzu, które było gniazdem hałasty, pochodzącej ze wszystkich stron świata? Tu Ursus ze swą nadludzką siłą mignął się w głowie Viniciusza, lecz cóż mógł poradzić choćby nie człowiek, ale tytan, przeciw niszczącej sile ognia? Obawa buntu niewolników była również zmorą, która dusiła Rzym od lat całych. Mówiono, iż setki tysięcy tych ludzi marzy o czasach Spartakusa i czeka tylko na sposobną chwilę, by chwycić za broń przeciw ciemności i miastu. A oto chwila nadeszła! Być może, że tam w mieście obok pożogi, wre rzeź i wojna. Może nawet pretorianie rzucili się na miasto i mordują z rozkazu Cezara. I włosy powstały nagle z przerażenia na głowie Viniciusza. Przypomnił sobie wszystkie rozmowy o pożarach miast, które od pewnego czasu z dziwną uporczywością prowadzono na dworze Cezara, przypomniał sobie jego skargi, że musi opisywać płonące miasto, nie widząc nigdy prawdziwego pożaru, jego pogardliwą odpowiedź Tigellinowi, który podejmował się podpalić Antium lub sztuczne drewniane miasto, wreszcie jego narzekania na Rzym i smrodliwe zaułki Subury. Tak! to Cezar kazał spalić miasto! On jeden mógł się na to ważyć, tak jak jeden Tigellinus mógł się podjąć wykonania podobnego rozkazu. A jeśli Rzym płonie z rozkazu Cezara, to któż może zaręczyć, że i ludność nie zostanie z jego rozkazu wymordowana? Potwór był zdolnym i do takiego czynu. Więc pożar, bunt niewolników i rzeź! jakiś straszliwy chaos! jakieś rozpętanie niszczących żywiołów i wściekłości ludzkiej, a w tem wszystkim Lygia. Jęki Viniciusza pomieszały się z chrapaniem i jękami konia, który, biegnąc drogą, wznosząc się ciągle do Arycyi w górę, pędził już ostatkiem tchu. Kto ją wyrwie z płonącego miasta i kto może ją ocalić? Tu Viniciusz, położywszy się całkiem na koniu, wpił palce we włosy, gotów z bólu kasać kark koński. Lecz w tej chwili jakiś jeździec, pędzący również, jak wichler, ale ze strony przeciwnej, do Antium, krzyknął, przebiegając koło niego: „Roma ginie!“ i popędził dalej. Do uszu Viniciusza doszedł tylko jeszcze wyraz: „bogowie“, resztę zgłuszył tentent kopyt. Lecz ów wyraz wytrzeźwił go. Bogowie!.. Viniciusz podniósł nagle głowę i, wyciągnąwszy ramiona ku niebu, nabitemu gwiazdami, począł się modlić: „Nie was wzywam, których świątynie płoną, ale Ciebie!.. Tyś sam cierpiał, Tyś jeden miłosierny! Tyś jeden rozumiał ludzki ból! Tyś przyszedł na świat, by ludzi nauczyć litości, więc ją teraz okaż. Jeśliś jest taki, jak mówią Piotr i Paweł, to mi uratuj Lygię. Weź ją na ręce i wynieś z płomieni. Ty to możesz! Oddaj mi ją, a ja Ci oddam krew. A jeśli dla mnie nie zechcesz tego uczynić, to uczyn dla niej. Ona Cię kocha i ufa Ci. Obiecujesz życie po śmierci i szczęście, ale szczęście po śmierci nie minie, a ona nie chce jeszcze umierać. Daj jej żyć. Weź ją na ręce i wynieś z Rzymu. Ty możesz, chybabyś nie chciał...“ I przerwał, czuł bowiem, że dalsza modlitwa mogła się zmienić w groźbę, bał się obrazić Bóstwo w chwili, gdy najbardziej potrzebował Jego litości i łaski. Zląkł się na samą myśl o tem i, by nie dopuścić do głowy ani cienia groźby, począł znów smagać konia, tembardziej, że białe mury Arycyi, która leżała na połowie drogi do Rzymu, zaświeciły już przed nim w blasku księżyca. Po pewnym czasie przebiegł w całym pędzie koło świątyni Merkurego, która

leżała w gaju przed miastem. Wiedziano już tu widocznie o nieszczęściu, albowiem przed świątynią panował ruch niezwykły. Viniciusz dojrzał w przelocie na schodach i między kolumnami roje ludzi, świecących sobie pochodniami, którzy cisnęli się pod opiekę bóstwa. Droga nie była też już ani tak pusta, ani tak wolna, jak za Ardeą. Tłumy dążyły wprawdzie do gaju bocznymi ścieżkami, ale i na głównym gościńcu stały gromadki, które usuwały się pośpiesznie przed pędzącym jeźdźcem. Z miasta dochodził gwar głosów. Viniciusz wpadł w nie, jak wichler, przewróciwszy i stratowawszy kilku ludzi po drodze. Naokół teraz otoczyły go okrzyki: „Rzym płonie! miasto w ogniu! Bogowie, ratujcie Rzym!“ Koń potknął się i ściągnięty silną ręką, osiadł na zadzie przed gospodą, w której Viniciusz trzymał innego do zmiany. Niewolnicy, jakby spodziewając się przybycia pana, stali przed gospodą i na jego rozkaz ruszyli na wyścigi, by przyprowadzić nowego konia, Viniciusz zaś, widząc oddział, złożony z dziesięciu konnych pretorianów, którzy widocznie jechali z wieścią z miasta do Antium, skoczył ku nim i począł pytać: — Która część miasta w ogniu? — Ktoś jest? — spytał dziesiętnik. — Viniciusz, trybun wojskowy i augustianin! Odpowiadaj, na głowę twoją! — Pożar, panie, wybuchł w kramach przy Wielkim cyrku. Gdy nas wysłano, środek miasta był w ogniu. — A Zatybrze? — Płomień tam dotychczas nie doszedł, lecz z niepowstrzymaną siłą ogarnia coraz nowe dzielnice. Ludzie giną od żaru i dymu i wszelki ratunek niemożliwy. W tej chwili podano Viniciuszowi nowego konia. Młody trybun skoczył na niego i popędził dalej. Jechał teraz ku Albanum, pozostawiając na prawo Albalongę i jej wspaniałe jezioro. Gościniec do Arycyi szedł pod górę, która zasłaniała całkowicie widnokrąg i leżące po drugiej jej stronie Albanum. Viniciusz jednakże wiedział, że wydostawszy się na szczyt, obaczy nie tylko Bowilę i Ustrinum, w których czekały na niego nowe konie, ale i Rzym, za Albanum bowiem ciągnęła się po obu bokach Appijskiej drogi równa, niska Kampania, po której biegły ku miastu tylko arkady akweduktów i nic już nie zasłaniało widoku. — Ze szczytu zobaczę płomień — mówił sobie. I poczynał znów smagać konia. Lecz, zanim dobiegł do szczytu góry, uczył na twarzy powiew wiatru i wraz z nim zapach dymu doszedł do jego nozdrzy. A wtem i wierzchołek wzgórza zaczął się złocić. — Luna! — pomyślał Viniciusz. Noc jednak bladła już od dawna, brzask przechodził w świt i na wszystkich pobliskich wzgórzach świeciły również złote i różowe blaski, mogące pochodzić zarazem od pożogi i od jutrzni. Viniciusz dobiegł do szczytu i wówczas straszliwy widok uderzył jego oczy. Cała nizina pokryta była dymami, tworzącymi jakby jedną olbrzymią, leżącą tuż przy ziemi chmurę, w której znikły miasta, akwedukty, wille, drzewa, na końcu zaś tej szarej, okropnej płaszczyzny gorzało na wzgórzach miasto. Pożar jednakże nie miał kształtu ognistego słupa, jak bywa wówczas, gdy się pali pojedynczy, choćby największy budynek. Była to raczej długa, podobna do zorzy, wstęga. Nad tą wstęgą unosił się wał dymu, miejscami zupełnie czarny, miejscami mieniący się różowo i krwawo, zbity w sobie, wydęty, gęsty i kłębiący się, jak wąż, który się kurczy i wydłuża. Potworny ów wał chwilami zdawał się przykrywać nawet wstęgę ognistą, tak, iż czyniła się wążka jak taśma, lecz chwilami ona rozświecała go od dołu, zmieniając jego dolne kłęby w fale płomienne. Oboje ciągnęły się od krańca do krańca widnokregu, zamykając go tak, jak czasem zamyka go pasmo leśne. Gór Sabińskich nie było wcale widać. Viniciuszowi na pierwszy rzut oka wydało się, że to nie tylko płonie miasto, ale świat cały, i że żadna żywa istota nie może się uratować z tego oceanu ognia i dymów. Wiatr wiał coraz silniejszy od strony pożaru, niosąc zapach spalenizny i sreżogę, która poczynała przesłaniać nawet bliższe przedmioty. Dzień uczynił się zupełny i słońce oświeciło szczyty, otaczające jezioro Albańskie. Lecz jasno-złote poranne promienie wydawały się przez sreżogę jakby rude i chore. Viniciusz, spuszczać się ku Albanum, wjeżdżał w dymy coraz gęstsze i coraz mniej przenikliwe. Samo miasteczko było zupełnie w nich pograżone. Zaniepokojeni mieszkańcy wylegli na ulice i strach było pomyśleć, co się musi dziać w Rzymie, gdyż tu już trudno było oddychać. Rozpacz ogarnęła znów Viniciusza i

przerażenie poczęło mu podnosić włosy na głowie. Lecz próbował się pokrzepiać, jak mógł.

„Niepodobna, myślał, by całe miasto poczęło naraz płonąć. Wiatr wieje z północy i zwiewa dymy w tę tylko stronę. Po drugiej stronie niema ich. Zatybrze, przedzielone rzeką, może całkiem ocalało, a w każdym razie dość będzie Ursusowi przedostać się wraz z Lygią przez bramę Janikulską, by uchronić się od niebezpieczeństwa. Również niepodobna, by zginęła cała ludność i by miasto, które włada światem, starte było wraz z mieszkańcami z powierzchni ziemi. Nawet w zdobywanych miastach, gdy rzeź i ogień srożą się naraz, pewna liczba ludzi zostaje zawsze przy życiu, dlaczego więc miałyby koniecznie zginąć Lygia? Wszak czuwa nad nią Bóg, który sam zwyciężył śmierć?” Tak rozumując, począł znów modlić się i, wedle obyczaju, do którego przywykł, czynić Chrystusowi wielkie śluby, wraz z obietnicami darów i ofiar. Przebiegłszy Albanum, którego cała niemal ludność siedziała na dachach i drzewach, by spoglądać na Rzym, uspokoił się cokolwiek i odzyskał zimną krew. Pomyślał też, że Lygią opiekuje się nietylko Ursus i Linnus, ale i Piotr Apostoł. Na samo wspomnienie o tem nowa otucha wstąpiła mu do serca. Piotr był zawsze dla niego istotą niepojętą, niemal nadludzką. Od chwili, gdy słyszał go w Ostrianum, zostało mu dziwne wrażenie, o którym na początku pobytu w Antium pisał do Lygii: że każde słowo tego starca jest prawdą, lub musi się stać prawdą. Bliższa znajomość, jaką zawarł z Apostołem w czasie choroby, wzmogła jeszcze to wrażenie, które następnie zmieniło się w niezachwianą wiarę. Więc skoro Piotr błogosławił jego miłości i przyobiegał mu Lygię, to Lygia nie mogła zginąć w płomieniach. Miasto może sobie spłonać, lecz żadna iskra pożaru nie padnie na jej odzież. Pod wpływem bezsennej nocy, szalonej jazdy i wzruszeń, Viniciusza poczęła ogarniać teraz dziwna egzaltacja, w której wszystko wydało mu się możliwem: Piotr przeżegna płomienie, otworzy je jednym słowem i przejdą bezpiecznie wśród alei z ognia. Piotr wiedział przytem rzeczy przyszłe, więc niechybnie przewidział i klęskę pożaru, a w takim razie jakżeby mógł nie ostrzedz i nie wyprowadzić z miasta chrześcijan, a między nimi i Lygii, którą kochał jak dziecko własne. I coraz silniejsza nadzieja poczęła wstępować w serce Viniciusza. Pomyślał, że jeśli oni uciekają z miasta, to może ich znaleźć w Bowili lub napotkać w drodze. Może oto lada chwila kochana twarz wychyli się z tych domów, rozpościerających się coraz szerzej po całej Kampanii. Wydało mu się to tem prawdopodobniejszem, że na drodze począł napotykać coraz więcej ludzi, którzy, opuściwszy miasto, jechali do gór Albańskich, by, ocaliwszy się od ognia, wydostać się następnie i poza granice dymów. Nie dojechawszy do Ustrinum, musiał zwolnić z powodu zatłoczenia drogi. Obok pieszych, z manatkami na plecach, napotykał objuczone konie, muły, wozy naładowane dobytkiem, a wreszcie i lektyki, w których niewolnicy nieśli zamożniejszych mieszkańców. Ustrinum tak już było nabite zbiegami z Rzymu, że przez tłum trudno się było przecisnąć. Na rynku, pod kolumnami świątyń i na ulicach roiło się od zbiegów. Tu i owdzie poczęto rozbijać już namioty, pod którymi miały szukać schronienia całe rodziny. Inni obozowali pod gołym niebem, krzyżąc, wzywając bogów, lub przeklinając losy. W powszechnem przerażeniu trudno się było o coś dopytać. Ludzie, do których zwracał się Viniciusz, albo nie odpowiadali mu wcale, lub podnosili na niego wpół obłąkane z przerażenia oczy, odpowiadając, że ginie miasto i świat. Od strony Rzymu napływały z każdą chwilą nowe tłumy, złożone z mężczyzn, kobiet i dzieci, które wznęcały zamieszanie i lament. Niektórzy, pogubiwszy się w ścisłości, szukali rozpaczliwie zaginionych. Inni bili się o obozowiska. Gromady nawpół dzikich pasterzy z Kampanii przyciągnęły do miasteczka, szukając nowin lub zysków z kradzieży, którą ułatwiało zamieszanie. Tu i owdzie tłum, złożony z niewolników wszelkiej narodowości i z gladyatorów, począł grabić domy i wille w mieście i bić się z żołnierzami, występującymi w obronie mieszkańców. Senator Junius, którego Viniciusz spostrzegł przy gospodzie, otoczonego zastępem batawskich niewolników, pierwszy dał mu nieco dokładniejszą wiadomość o pożarze. Ogień wszczął się rzeczywiście przy Wielkim cyrku, w

miejscu, które dotyka Palatynu i wzgórze Caelius, lecz rozszerzył się z niepojętą szybkością, tak, iż ogarnął cały środek miasta. Nigdy jeszcze od czasów Brennusa nie spotkała miasta tak straszna klęska. „Cyrk zgorzał cały, również jak otaczające go kramy i domy — mówił Junius — Awentyn i Caelius w ogniu. Płomień, otoczywszy Palatyn, dostał się na Karyny“ ... Tu Junius, który na Karynach posiadał wspaniałą insulę, pełną dzieł sztuki, w których się kochał, porwał garść brudnego pyłu i posypawszy nim głowę, począł przez chwilę jęczyć rozpaczliwie. Lecz Viniciusz potrząsnął go za ramiona. — I mój dom na Karynach, — rzekł — lecz, gdy wszystko ginie, niech i on ginie. Poczem, przypomniawszy sobie, że Lygia, idąc za jego radą, mogła się przenieść do domu Aulusów, spytał: — A Viscus Patricius? — W ogniu! — odpowiedział Junius. — A Zatybrze? Junius spojrział na niego ze zdziwieniem. — Mniejsza o Zatybrze — rzekł, ściskając dłońmi zbolełe skronie. — Mnie więcej chodzi o Zatybrze, niż o cały Rzym — zawołał gwałtownie Viniciusz. — To się tam dostaniesz chyba przez via Portuensis, bo obok Awentynu żar cię udusi... Zatybrze?... Nie wiem. Ogień nie mógł tam chyba jeszcze dojść, lecz czy już w tej chwili nie doszedł, jedni bogowie wiedzą... Tu Junius zawahał się przez chwilę, następnie rzekł zniżonym głosem: — Wiem, że mnie nie zdradzisz, więc ci powiem, że to nie jest zwykły pożar. Cyrku nie dawano ratować... Sam słyszałem... Gdy domy poczęły wkoło płonąć, tysiące głosów wołało: „Śmierć ratującym!“ Jacyś ludzie przebiegają miasto i ciskają w domy płonące pochodnie... Z drugiej strony lud się burzy i woła, że miasto płonie z rozkazu. Nic więcej nie powiem. Biada miastu, biada nam wszystkim i mnie. Co się tam dzieje, tego ludzki język nie wyrazi. Ludność ginie w ogniu, lub morduje się wzajemnie w ścisku... To koniec Rzymu!... I znów począł powtarzać: „Biada! Biada miastu i nam!“ — lecz Viniciusz wskoczył na konia i ruszył przed siebie dalej drogą Appijską. Lecz było to obecnie raczej przepychanie się wśród rzeki ludzi i wozów, która płynęła z miasta. — Miasto leżało teraz przed Viniciuszem, jak na dłoni, objęte potwornym pożarem... Od morza ognia i dymu bił żar straszliwy, a wrzaski ludzkie nie mogły stłumić syczenia i huku płomieni.

ROZDZIAŁ XXI.

W miarę jak Viniciusz zbliżał się do murów, okazywało się, że łatwiej było przyjechać do Rzymu, niż dostać się do środka miasta. Przez drogę Appijską trudno było się przecisnąć z powodu natłoku ludzi. Domy, pola, cmentarze, ogrody i świątynie, leżące po obu jej stronach, zmienione były w obozowiska. W świątyni Marsa, leżącej tuż koło Porta Appia, tłum odbił drzwi, aby w jej wnętrzu znaleźć przytułek na noc. Na cmentarzach brano w posiadanie większe grobowce i toczono o nie walki, które dochodziły do rozlewu krwi. Ustrinum ze swoim nieładem dawało zaledwie lekki przedsmak tego, co działo się pod murami samego miasta. Ustał wszelki wzgląd na powagę prawa, na urząd, na węzły rodzinne, na różnice stanu. Widziano niewolników okładających kijami obywateli. Gladyatorowie pijani winem złupionem w Emporium, połączywszy się w duże gromady, przebiegali z dzikimi okrzykami place przydrożne, rozpędzając ludzi, tratując, łupiąc. Mnóstwo barbarzyńców, wystawionych na sprzedaż w mieście, puciekowało z bud sprzedażnych. Pożar i zaguba miasta były dla nich zarazem końcem niewoli i godziną pomsty, to też gdy osiadła ludność, która w ogniu traciła całe mienie, wyciągała z rozpaczą ręce do bogów, wołając o ratunek, oni z wyciem radości rozbijali tłumy, ściągając ludziom odzież z ramion i porywając młodsze niewiasty. Łączyli się z nimi niewolnicy zdawna już służący w Rzymie, nędzarze niemający nic na ciele, prócz wełnianej opaski na biodrach, straszne postacie z zaułków, których po dniu nie widywało się niemal nigdy na ulicach i których istnienia w Rzymie trudno się było domyśleć. Tłum ten złożony z Azyatów, Afrykanów, Greków, Traków, Germanów i Brytonów, wrzeszczący wszystkimi językami ziemi, dziki i rozpasany, szalał, sądząc, iż nadeszła chwila, w której wolno mu sobie wynagrodzić za lata cierpień i nędzy. Wśród tej rozkołysanej ciżby ludzkiej, w blasku dnia i pożogi migotały hełmy pretorianów, pod

których opiekę chroniła się ludność spokojniejsza i którzy w wielu miejscach wstępny bojem musieli uderzać na rozbestwioną tłuszcę. Viniciusz widział w życiu swoim zdobywane miasta, lecz nigdy oczy jego nie patrzyły na widowisko, w którymby rozpacz, łzy, ból, jęki, dzika radość, szaleństwo, wściekłość i rozpasanie zmieszały się razem w taki niezmierny chaos. Nad tą zaś falującą, obłąkaną ciżbą ludzką huczał pożar, płonęło na wzgórzach największe w świecie miasto, śląc w zamieszanie swój ognisty oddech i przykrywając je dymami, nad którymi nie było już widać błękitu nieba. Młody trybun z największym wysileniem narażając co chwila życie, dotarł wreszcie do bramy Appijskiej, lecz tu spostrzegł, że przez dzielnicę Porta Capena nie będzie mógł dostać się do miasta nietylko z powodu ciżby, lecz i dla straszliwego żaru, od którego tuż za bramą drżało całe powietrze. Przytem most przy Porta Trigenia, naprzeciw świątyni Bonae Deae, jeszcze nie istniał, chcąc więc dostać się za Tyber, trzeba było przedrzeć się aż do mostu Subliciusza, to jest przejechać koło Awentynu, przez część miasta zalaną jednym morzem płomieni. Było to zupełnym niepodobieństwem. Viniciusz zrozumiał, że musi wrócić w kierunku Ustrinum, tam skrócić z drogi Appijskiej, przejechać rzekę poniżej miasta i dostać się na via Portuensis, która wiodła wprost na Zatybrze. Nie było i to rzeczą łatwą z powodu coraz większego zamętu, panującego na drodze Appijskiej. Trzeba tam było torować sobie drogę chyba mieczem, Viniciusz zaś nie miał broni, wyjechał bowiem z Antium tak, jak wieść o pożarze zastała go w willi Cezara. Lecz przy Źródle Merkurego ujrzał znajomego centuriona pretorianów, który na czele kilkudziesięciu ludzi bronił przystępu do obrębu świątyni, i kazał mu jechać za sobą, ten zaś poznawszy trybuna i augustianina, nie śmiał się rozkazowi sprzeciwić. Viniciusz sam objął dowództwo oddziału i przepomniawszy na tę chwilę nauk Pawła o miłości bliźniego, parł i rozcinał przed sobą tłum z pośpiechem, zgubnym dla wielu, którzy na czas nie potrafili się usunąć. Ścigały ich przekleństwa i grad kamieni, lecz on nie zważał na to, pragnąc prędzej wydostać się na miejsca wolniejsze. Jednakże można się było posuwać naprzód tylko z największym wysileniem. Ludzie, którzy rozłożyli się już obozem, nie chcieli żołnierzom ustępować z drogi, klnąc na głos Cezara i pretorianów. W niektórych miejscach tłum przybierał groźną postawę. Do uszu Viniciusza dochodziły głosy oskarżające Nerona o podpalenie miasta. Grożono otwarciem śmiercią i jemu i Poppei. Okrzyki: „sannio“, „histrio“ (błazen, aktor), „matkobójca!“ rozlegały się dookoła. Niektórzy wołali, by go powlec do Tybru, inni, że dość Rzym okazał cierpliwości. Widocznym było, że groźby owe mogą się zmienić w bunt otwarty, który byle się znalazł przywódca, może lada chwila wybuchnąć. Tymczasem wściekłość i rozpacz tłumy zwracała się przeciw pretorianom, którzy i dlatego jeszcze nie mogli się z ciżby wydobyć, że drogę zagradzały całe stosy rzeczy wyniesionych naprędce z pożaru: skrzynie i beczki z żywnością, kosztowniejsze sprzęty, naczynia, kolebki dziecinne, pościel, wozy i nosze ręczne. Tu i owdzie przyszło do starć, lecz pretorianie prędko radzili sobie z bezbronną tłuszcą. Przejechawszy z trudem w poprzek drogę Łacińską, Numicyjską, Ardejską, Luwinijską i Ostyjską, okrążając wille, ogrody, cmentarze i świątynie, Viniciusz dotarł w końcu do miasteczka, zwanego Vicus Alexandri, za którym przeprawił się przez Tyber. Było tam już luźniej i mniej dymu. Od zbiegów, których jednak i tu nie brakło, dowiedział się, że tylko niektóre zaułki Zatybrza zostały objęte pożarem, ale że zapewne nic się nie ostoi przed potęgą ognia, ponieważ są ludzie, którzy podkładają go umyślnie i nie pozwalają ratować, krzycząc, iż czynią to z rozkazu. Młody trybun nie miał już teraz najmniejszej wątpliwości, że to Cezar kazał istotnie podpalić Rzym, i pomsta, o jaką wołały tłumy, wydała mu się rzeczą słuszną i sprawiedliwą. Cóż więcej mógł być uczynić Mitrydat lub którykolwiek z najzawziętszych nieprzyjaciół Rzymu? Miara była przebrana, szaleństwo stało się zbyt potwornem, a życie ludzkie zbyt wobec niego niemożliwem. Viniciusz wierzył też, że godzina Nerona wybiła, że te gruzy, w które rozpada się miasto, powinny i muszą przywalić potwornego błazna, razem z jego wszystkimi

zbrodniami. Gdyby znalazł się mąż dość śmiały, by stanąć na czele zrozpaczonej ludności, stać się to mogło w przeciągu kilku godzin. Tu śmiałe i mściwe myśli poczęły przelatywać przez głowę Viniciusza. A gdyby to uczynił on? Dom Viniciuszów, który aż do ostatnich czasów liczył całe szeregi konsulów, znany był w całym Rzymie. Tłumy potrzebowałyby tylko nazwiska. Przecie już raz z powodu skazania na śmierć czterystu niewolników prefekta Pedaniusza Sekunda, o mało nie przyszło do buntu i wojny domowej, cóżby więc stało się dziś, wobec straszliwej klęski, przewyższającej niemal wszystkie, jakich Rzym w przeciągu ośmiu wieków doznał. Kto wezwie do broni Kwiryków (myślał Viniciusz), ten niewątpliwie obali Nerona i sam przyoblecze się w purpurę. A więc czemu by on nie miał tego uczynić? Był tęższym, dzielniejszym i młodszym od innych augustianów... Nero rozkazywał wprawdzie trzydziestu legiom, stojącym na krańcach państwa, ale czyż i te legie, i ich przywódcy nie wzburzą się na wieść o spaleniu Rzymu i jego świątyni?.. A w takim razie on, Viniciusz, mógłby zostać Cezarem. Wszakże szeptano między augustianami, że jakiś wieszczek przepowiedział purpurę Othonowi. W czymże on gorszy? Może i Chrystus dopomógłby mu swą Boską potęgą, może to Jego natchnienie? „Oby tak było!“ wołał w duchu Viniciusz. Pomściłby się wówczas na Neronie za niebezpieczeństwo Lygii i za swój niepokój, zaprowadziłby panowanie sprawiedliwości i prawdy, rozszerzyłby naukę Chrystusa od Eufratu aż do mglistych brzegów Brytanii, a zarazem przyodziałby w purpurę Lygię i uczynił ją panią ziemi. Lecz myśli te wybuchnąwszy z jego głowy jak snop iskier z płonącego domu, zagasły jak iskry. Przedewszystkiem należało Lygię ratować. Patrzył teraz na klęskę zbliżka, więc lęk zdjął go nanowo, a wobec tego morza ognia i dymu, wobec zetknięcia się ze straszliwą rzeczywistością, owa ufność, z jaką wierzył, iż Piotr Apostoł uratuje Lygię, zamarła zupełnie w jego sercu. Rozpacz chwyciła go po raz drugi, więc wydostawszy się na via Portuensis, wiodącą wprost na Zatybrze, nie opamiętał się aż w bramie, przy której powtórzono mu to, co poprzednio mówili zbiegowie, że większa część tej dzielnicy nie była jeszcze objęta pożarem, lubo ogień w kilku miejscach przerzucił się już za rzekę. Zatybrze jednak pełne było także dymu i uciekających tłumów, przez które trudniej było się w głąb przedostać dlatego, że ludzie mając więcej czasu, wynosili i ratowali więcej rzeczy. Sama główna droga Portowa była w wielu miejscach zupełnie niemi zawalona, a koło Naumachii Augusta wznosiły się ich całe stosy. Ciasniejsze zaułki, w których nagromadziły się gęściej dymy, były wprost nieprzystępne. Mieszkańcy uciekali z nich tysiącami. Viniciusz widział po drodze przerażające obrazy. Nieraz dwie rzeki ludzkie, płynące ze stron przeciwnych, spotkawszy się w ciasnym przejściu, parły się wzajem i walczyły ze sobą na zabój. Ludzie bili się i tratowali jedni po drugich. Rodziny gubiły się w zamieszaniu, matki nawoływały rozpaczliwie dzieci. Viniciuszowi włosy powstawały na myśl, co musiało się dziać bliżej ognia. Wśród wrzasków i zgiełku trudno było się o coś rozpytać lub zrozumieć wołania. Chwilami z za rzeki przytaczały się nowe bałwany dymów czarnych i tak ciężkich, iż toczyły się tuż przy ziemi, zakrywając tak domy, ludzi i wszystkie przedmioty, jak je zakrywa noc. Lecz wiatr spowodowany pożarem, rozwiewał je i wówczas Viniciusz mógł posuwać się dalej ku zaułkowi, na którym stał dom Linnusa. Upał lipcowego dnia, zwiększony żarem, bijącym od płonących dzielnic, stał się nieznośnym. Dym gryzł w oczy, piersiom brakło tchu. Nawet i ci mieszkańcy, którzy w nadziei, że płomień nie przekroczy rzeki, zostali dotąd w domach, poczęli je opuszczać i ciżba zwiększała się z każdą godziną. Pretorianie towarzyszący Viniciuszowi, pozostali wtyle. W tłoku zranił ktoś młotem jego konia, który począł rzucać zakrwawionym łbem, wspinać się i odmawiać posłuszeństwa jeźdźcowi. Poznano też po bogatej tunice augustianina i natychmiast rozległy się wokół okrzyki: „Śmierć Neronowi i jego podpalaczom!“ Nadeszła chwila groźnego niebezpieczeństwa, albowiem setki rąk wyciągnęły się ku Viniciuszowi, lecz spłoszony koń uniósł go, tratując ludzi, a zarazem nadpłynęła nowa fala czarnego

dymu i pogrążyła w mroku ulicę. Viniciusz widząc, że nie przejedzie, zeskoczył wreszcie na ziemię i począł biedz piechotą, prześlizgując się koło murów, a czasami czekając, by uciekający tłum minął go. W duszy mówił sobie, że to są próżne wysilenia. Lygia mogła nie być już w mieście, mogła w tej chwili ratować się ucieczką: łatwiej było odnaleźć szpilkę nad brzegiem morza, niż ją w tym natłoku i chaosie. Chciał jednak choćby za cenę życia dotrzeć do domu Linnusa. Chwilami zatrzymywał się i tarł oczy. Urwawszy brzeg tuniki, zasłonił nią nos i usta i biegł dalej. W miarę, jak zbliżał się do rzeki, upał powiększał się straszliwie. Viniciusz, wiedząc, że pożar wszczął się przy Wielkim cyrku, sądził z początku, że żar ów bije od jego zgłiszcz, oraz od Forum Boarium i od Velabrum, które leżąc w pobliżu, musiały być również ogarnięte płomieniem. Lecz gorąco stawało się nie do zniesienia. Ktoś uciekający, ostatni, jakiego Viniciusz spostrzegł, starzec o kulach, krzyknął: „Nie zbliżaj się do mostu Cestiusza! cała wyspa w ogniu“. Jakoż nie można się było dłużej łudzić. Na zakręcie ku Vicus Judeorum, na którym stał dom Linnusa, młody trybun dojrzał wśród chmury dymów płomień: paliła się nie tylko wyspa, ale i Zatybrze, a przynajmniej drugi koniec uliczki, na której mieszkała Lygia. Viniciusz jednak pamiętał, że dom Linnusa otoczony był ogrodem, za którym od strony Tybru było niezbyt rozległe, niezabudowane pole. Ta myśl dodała mu otuchy. Ogień mógł zatrzymać się na pustym miejscu. W tej nadziei biegł dalej, jakkolwiek każdy powiew przynosił już nie tylko dymy, ale tysiące iskieł, które mogły wzniecić pożar z drugiego końca zaułka i przeciąć odwrót. Nakoniec ujrzał jednak przez dymną zasłonę cyprisy w ogrodzie Linnusa. Domy, leżące za niezabudowanym polem, paliły się już, jak stosy drzewa, ale mała „insula“ linnusowa stała jeszcze nietknięta. Viniciusz spojrział z wdzięcznością w niebo i skoczył ku niej, jakkolwiek samo powietrze poczęło go parzyć. Drzwi były przymknięte, lecz on pchnął je i wpadł do środka. W ogródku nie było żywej duszy i dom zdawał się być również zupełnie pusty. — Może pomdleli od dymu i żarów — pomyślał Viniciusz. I począł wołać: — Lygio! Lygio! Odpowiedziało mu milczenie. W ciszy słychać było tylko huk dalekiego ognia. — Lygio! Nagle do uszu jego doszedł ów posepny głos, który słyszał już raz w tym ogródku. Na pobliskiej wyspie zapaliło się widocznie wiwarium, leżące niedaleko świątyni Eskulapa, w którym wszelkiego rodzaju zwierzęta, a między niemi lwy, poczęły ryczyć z przerażenia. Viniciusza dreszcz przebiegł od stóp do głowy. Oto drugi już raz, w chwili, gdy cała jego istota była skupiona w myśli o Lygii, te straszliwe głosy odzywały się, jak zapowiedź nieszczęścia, jak dziwna wróżba złowrogiej przyszłości. Było to jednak krótkie, chwilowe wrażenie, albowiem jeszcze straszliwszy od ryku dzikich zwierząt huk pożaru nakazywał myśleć o czem innem. Lygia nie odpowiedziała wprawdzie na wołanie, lecz mogła znajdować się w tym zagrożonym budynku zemdlona lub zduszona dymem. Viniciusz skoczył do środka domu. W małym atrium było pusto i ciemno od dymu. Szukając rękoma drzwi, prowadzących do cubikulów, spostrzegł migocący płomyk lampki i, zbliżywszy się, ujrzał lararium, w którym zamiast larów był krzyż. Pod krzyżem tym płonął kaganek. Przez głowę młodego katechumena przebiegła z błyskawiczną szybkością myśl, że ów krzyż zsyła mu to światółko, przy którym może odnaleźć Lygię, wziął więc kaganek i począł szukać cubikulów. Znalazłszy jedno, odsunął zasłonę i, świecąc kagankiem, począł patrzeć. Lecz i tu nie było nikogo. Viniciusz pewien był jednak, że trafił do cubikulum Lygii, albowiem na gwoździach, nabitych w ścianę, wisiała jej odzież, na łóżku zaś leżało „capitium“, to jest obcisła szata, którą kobiety nosiły bezpośrednio na ciele. Viniciusz porwał ją, przycisnął do ust i, przewiesiwszy ją przez ramię ruszył na dalsze poszukiwania. Domek był mały, więc w krótkim przeciągu czasu zwiedził wszystkie izby, a nawet i piwnice. Lecz nigdzie nie znalazł żywej duszy. Było rzeczą aż nadto widoczną, że Lygia, Linnus i Ursus musieli wraz z innymi mieszkańcami dzielnicy szukać w ucieczce ocalenia przed pożarem. „Trzeba ich szukać między tłumem, za bramami miasta“ — pomyślał Viniciusz. Nie zdziwiło go też zbytnio, że nie napotkał ich na via Portuensis, mogli bowiem

wybiec z Zatybrza ze strony przeciwnej, w kierunku wzgórza Watykańskiego. W każdym razie ocalili, przynajmniej od ognia. Viniciuszowi kamień spadł z piersi. Widział wprawdzie z jak strasznymi niebezpieczeństwami była połączona ucieczka, ale myśl o nadludzkiej sile Ursusa dodawała mu otuchy. „Trzeba mi teraz (mówił sobie) uciekać stąd i przez ogrody Domicyi przedostać się do ogrodów Agrypiny. Tam ich znajdę. Dymy tam nie straszne, bo wiatr wieje od gór Sabińskich“. Przyszedł jednak najwyższy czas, w którym musiał myśleć o własnym ocaleniu, albowiem fala ognia napływała coraz bliżej od strony wyspy i kłęby dymu przysłoniły niemal zupełnie zaułek. Kaganek, którym świecił sobie w domu, zgasł od przeciągu powietrza. Viniciusz, wypadłszy na ulicę, biegł teraz całym pędem ku via Portuensis, w tę samą stronę, z której przyszedł, a pożar zdawał się go gonić swym ognistym oddechem, to otaczając go coraz nowymi chmurami dymu, to obsypując skrami, które padały mu na włosy, na szyję i odzież. Tunika poczęła się na nim tlić w kilku miejscach, lecz on nie zważał na to i biegł dalej, w obawie, że dym może go zadusić. Jakoż w ustach miał smak spalenizny i sadzy, gardło i płuca paliły go, jak ogień. Krew napływała mu do głowy, tak, iż chwilami widział wszystko czerwono i same dymy wydawały mu się również czerwone. Wówczas mówił sobie w duszy: „To żywy ogień! lepiej mi rzucić się na ziemię i zginąć“. Bieg męczył go coraz bardziej. Głowa, szyja i plecy oblewały mu się potem, a ów pot parzył go, jak ukrop. Gdyby nie imię Lygii, które powtarzał w myśli, i gdyby nie jej „capitium“, którym obwinał sobie usta, byłby padł. W kilka chwil później poczył już jednak nie rozeznawać zaułka, którym biegł. Stopniowo opuszczała go świadomość, pamiętał tylko, że musi uciekać, albowiem na otwartym polu czeka go Lygia, którą przyobiecał mu Piotr Apostoł. I nagle ogarnęła go jakaś dziwna, nawpół już gorączkowa, podobna do przedśmiertnego widzenia pewność, że ją musi zobaczyć, zaślubić, a potem zaraz umrze. Biegł już jednak, jak pijany, tacząc się od jednej strony ulicy do drugiej. A wtem zmieniło się coś w potwornym ognisku, ogarniającem olbrzymie miasto. Wszystko, co dotychczas jeszcze się tylko tliło, wybuchnęło widocznie jednym morzem płomieni, albowiem wiatr przestał przynosić dymy, te zaś, które się nagromadziły w zaułkach, zwał szalony pęd rozpalonego powietrza. Pęd ów gnał teraz miliony skier, tak że Viniciusz biegł jakby w ognistej chmurze. Natomiast mógł lepiej widzieć przed sobą, i w chwili prawie, gdy już miał padać, ujrzał koniec zaułka. Widok ten dodał mu znowu sił. Ominąwszy narożnik, znalazł się w ulicy, która wiodła ku via Portuensis i polu Kodetańskiemu. Skry przestały go gonić. Zrozumiał, że, jeśli zdoła dobiec do Portowej drogi, to ocaleje, choćby mu nawet przyszło na niej zemdleć. Na końcu ulicy dojrzał znów jakby chmurę, która przesłaniała wyjście. „Jeśli to są dymy — pomyślał — to już nie przejdę“. Biegł resztą sił. Po drodze zrzucił z siebie tunikę, która zatłona od iskier poczęła go palić, jak koszula Nessusa, i leciał nagi, mając tylko na głowie i na ustach „capitium“ Lygii. Dobiegłszy bliżej, rozpoznał, że to, co brał za dym, było kurzawą, z której nadmiar dochodziły głosy i krzyki ludzkie. — Tłuszcza rabuje domy — rzekł sobie. Lecz biegł w kierunku głosów. Zawsze byli tam ludzie, którzy mogli mu dać pomoc. W tej nadziei, zanim jeszcze dobiegł, poczył krzyczeć całą siłą głosu o ratunek. Lecz było to jego ostatnie wysilenie: w oczach poczerwieniało mu jeszcze bardziej, w płucach zbrakło oddechu, w kościach siły i padł. Dosłyszano go jednak, a raczej spostrzeżono, i dwóch ludzi ruszyło mu na pomoc, z gurdami pełnymi wody. Viniciusz, który padł z wyczerpania, ale nie stracił przytomności, chwycił obu rękoma naczynie i wychylił je do połowy. — Dzięki — rzekł — postawcie mnie na nogi, dalej sam pójdę! Drugi robotnik oblał mu głowę wodą, obaj zaś nie tylko postawili go na nogi, ale podjęli z ziemi i ponieśli do gromady innych, którzy otoczyli go wkoło, badając troskliwie, czy nie poniósł zbytniego szwanku. Troskliwość ta zdziwiła Viniciusza. — Ludzie — zapytał — coście za jedni? — Burzimy domy, aby pożar nie mógł dojść do drogi Portowej — odpowiedział jeden z robotników. — Przyszliście mi na pomoc, gdym już padł. Dzięki wam. — Nam niewolno odmówić pomocy —

ozwało się kilka głosów. Wówczas Viniciusz, który poprzednio od rana patrzył na rozbestwione tłumy, na bójkę i grabież, spojrzawszy uważniej na otaczające go twarze i rzekł: — Niech wam wynagrodzi... Chrystus. — Chwała imieniowi Jego! — zawołał cały chór głosów. — Linnus?... — spytał Viniciusz. Lecz nie mógł pytać dłużej i nie dosłyszał odpowiedzi, gdyż ze wzruszenia i przebytych wysiłków, zemdlął. Obudził się dopiero na polu Kodetańskim, w ogrodzie, otoczony przez kilka kobiet i mężczyzn, i pierwsze słowa, na jakie znowu się zdobył, były: — Gdzie Linnus? Przez chwilę nie było odpowiedzi, poczem jakiś znajomy Viniciuszowi głos rzekł nagle: — Za bramą Nomentańską; wyszedł do Ostrianum... od dwóch dni... Pokój ci, królu perski! Viniciusz podniósł się, i siadł, ujrzawszy niespodzianie nad sobą Chilona. Grek zaś mówił: — Dom twój, panie, zapewne spłonął, bo Karyny w płomieniu, ale ty zawsze będziesz bogaty, jak Midas. O, co za nieszczęście! Chrześcijanie, synu Serapisa, przepowiadali od dawna, że ogień zniszczy to miasto... A Linnus wraz z córką Jowisza jest na Ostrianum... O! co za nieszczęście na to miasto!.. Viniciuszowi znów uczyniło się słabo. — Widziałeś ich? — spytał. — Widziałem, panie!.. Niech będą dzięki Chrystusowi i wszystkim bogom, że ci mógł dobrą wieścią odpłacić za twoje dobrodziejstwa. Ale ja ci, Ozyrysie, jeszcze odpłacę, przysięgam na ten pałac się Rzym. Na dworze czynił się wieczór, ale w ogrodzie widno było, jak w dzień, gdyż pożar wzmógł się jeszcze. Zdawało się, że płoną już nie pojedyncze dzielnice, ale całe miasto, jak długie i szerokie. Niebo było czerwone, jak okiem sięgnąć, i na świecie czyniła się noc czerwona.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

ROZDZIAŁ I.

Łuna od palącego się miasta zalała niebo tak szeroko, jak wzrok ludzki mógł sięgnąć. Z za wzgórz wytoczył się księżyc wielki i pełny, który rozgorzał wnet od odblasku i, przybrawszy barwę rozpalonej miedzi, zdawał się ze zdumieniem spoglądać na ginący gród światowładny. W zaróżowionych przepaściach nieba świeciły również różowe gwiazdy, lecz, w przeciwieństwie do zwykłych nocy, ziemia jaśniejsza była od niebios. Rzym oświecał nakształt olbrzymiego stosu całą Kampanię. Przy krwawym blasku widać było dalsze wzgórza, miasta, wille, świątynie, pomniki i akwedukty, biegnące ze wszystkich okolicznych gór ku miastu, na akweduktach zaś roje ludzi, którzy schronili się tam dla bezpieczeństwa lub dla przypatrywania się pożarowi. Tymczasem straszny żywioł obejmował coraz nowe dzielnice. Nie można było wątpić, że jakieś zbrodnicze ręce podpalają miasto, gdy coraz nowe pożary wybuchały w miejscach, od głównego ogniska odległych. Ze wzgórz, na których Rzym był zbudowany, płomienie spływały nakształt fal morskich na doliny, szczelnie zabudowane domami, liczącymi po pięć i sześć pięter, pełne bud, kramów, drewnianych ruchomych amfiteatrów, zbudowanych przygodnie na rozmaite widowiska, i wreszcie składów drzewa, oliwy, zboża, orzechów, szyszek pinii, których ziarnem żywiła się uboga ludność, i odzieży, którą czasem z łaski Cezarów rozdawano hałastrze, gnieźdzącej się po ciasnych zaułkach. Tam pożar, znajdując dostatek palnych materiałów, zmieniał się niemal w szereg wybuchów i z niesłychaną szybkością ogarniał całe ulice. Ludzie, obozujący za miastem lub stojący na wodociągach, odgadywali z barwy płomienia, co się pali. Szalony pęd powietrza wynosił chwilami z ognistej toni tysiące i miliony rozżarzonych skorup od orzechów i migdałów, które wzbijały się nagle w górę, jak nieprzeliczone stada jaśniejących motyli, — i pękały z trzaskiem w powietrzu lub, gnane wiatrem, spadały na nowe dzielnice, na wodociągi i na pola, otaczające miasto. Wszelka myśl o ratunku wydawała się niedorzeczną, zamieszanie zaś wzrastało coraz bardziej, gdy bowiem z jednej strony ludność miejska uciekała wszystkimi bramami za mury, z drugiej pożar przywabił tysiące ludzi z okolicy, tak mieszkańców małych miast, jak chłopstwa i nawpół dzikich pasterzy z Kampanii, których znęciła także nadzieja rabunku. Okrzyk: „Rzym ginie!“ nie schodził z ust tłumu, zguba zaś miasta

wydawała się w owych czasach zarazem końcem władztwa i rozwiązaniem wszelkich węzłów, które aż dotąd łączyły ludzkość w jedną całość. Tłuszcza też, w której większości ludzi, złożonej z niewolników i przybyszów, nie zależało nic na panowaniu Rzymu, a którą przewrót mógł tylko uwolnić od pęt, przybierała tu i owdzie groźną postawę. Szerzyła się przemoc i grabież. — Zdawało się, że jedynie samo widowisko ginącego grodu przykuwa uwagę ludzką i powstrzymuje jeszcze wybuch rzezi, która rozpocznie się natychmiast, jak tylko miasto zmieni się w zgliszcza. Setki tysięcy niewolników zapominając, że Rzym, prócz świątyń i murów, posiada jeszcze kilkadziesiąt legii we wszystkich stronach świata, — zdawały się tylko czekać hasła i wodza. — Poczęto wspominać imię Spartakusa, — lecz Spartakusa nie było, — natomiast obywatele jęli się skupiać i zbroić, czem kto mógł. Najpotworniejsze wieści krążyły po wszystkich bramach. Niektórzy twierdzili, że to Wulkan z rozkazu Jowisza niszczy miasto ogniem, wydobywającym się z pod ziemi; inni, że to jest zemsta Westy za westalkę Rubię. Ludzie, tak przekonani, nie chcieli nic ratować, natomiast, oblegając świątynie, prosili o zmiłowanie się bogów. Lecz najpowszechniej powtarzano, iż Cezar kazał spalić Rzym dlatego, by się uwolnić od zapachów, zalatujących od Subury, i by wybudować nowe miasto pod nazwiskiem Neronii. Na tę myśl wściekłość ogarniała ludzi, i gdyby, jak to myślał Viniciusz, znalazł się przywódca, któryby chciał skorzystać z tego wybuchu nienawiści, godzina Nerona byłaby wybiła o całe lata wcześniej. Mówiono również, że Cezar oszalał, że każe pretorianom i gladyatorom uderzyć na lud i sprawić rzeź ogólną. Niektórzy przysięgali na bogi, że zwierzęta ze wszystkich wiwariów zostały z polecenia Miedzianobrodego wypuszczone. Widziano na ulicy lwy z płonącymi grzywami, i rozszalałe słonie, i tury, tratujące gromadami ludzi. Była w tem nawet część prawdy, gdyż w kilku miejscach słonie, na widok zbliżającego się pożaru, rozwały wiwaria i, wydostawszy się na wolność, gnały w dzikim popłochu w stronę od ognia przeciwną, niszcząc wszystko przed sobą, jak burza. Wieść publiczna podawała na dziesiątki tysięcy liczbę osób, które zginęły w ogniu. Jakoż zginęło mnóstwo. Byli tacy, którzy, straciwszy całe mienie lub najdroższe sercu istoty, dobrowolnie rzucali się z rozpaczą w płomienie. Innych udusiły dymy. W środku miasta, między Kapitołem z jednej, a Kwirynałem, Viminalem i Eskwiliem z drugiej strony, jak również między Palatynem a wzgórzem Caelius, gdzie były najgęściej zabudowane ulice, pożar wszczynął się w tak wielu miejscach naraz, że całe gromady ludzi, uciekając w jedną stronę, trafiały najniespodzianie na nową ścianę płomienia ze strony przeciwnej i ginęły straszną śmiercią wśród ognistego zalewiska. W przestroni, zamęcie i obłąkaniu nie wiedziano wreszcie, gdzie uciekać. Drogi były zawałone rzeczami, a w wielu ciasnych miejscach wprost zamknięte. Ci, którzy chronili się na rynki i place, w miejscu, gdzie później stanął Amfiteatr Flawiański, koło świątyni Ziemi, koło portyku Liwii i wyżej koło świątyń Junony i Lucyny, oraz między Clivus Vibrius a starą bramą Eskwilińską, otoczeni naokół morzem ognia, poginęli od żaru. W miejscach, do których płomień nie doszedł, poznajdowano później setki ciał, spieczonych na węgiel, choć tu i owdzie nieszczęśliwi wrywali płyty kamienne i dla ochrony przed żarem zagrzebywali się do połowy w ziemię. Żadna prawie z rodzin, zamieszkujących środek miasta, nie ocalała w zupełności, dlatego wzdłuż murów, i u wszystkich bram, i na wszystkich drogach słyhać było wycia rozpaczliwe kobiet, wywołujących drogie imiona zaginionych w tłoku lub w ogniu. I tak, gdy jedni żebrali u bogów miłosierdzia, drudzy bluźnili im wobec tej straszliwej klęski. Widziano starców, zwróconych w stronę świątyni Jowisza Liberatora, którzy, wyciągając ręce, wołali: „Jesteś wybawcą, wybaw twój ołtarz i miasto!“ Rozpacz jednakże zwracała się głównie przeciw starym rzymskim bogom, którzy, w pojęciu ludności, obowiązani byli czuwać troskliwiej od innych nad grodem. Okazali się bezsilni, więc urągano im. Natomiast zdarzyło się, że, gdy na via Asinaria ukazał się zastęp kapłanów egipskich, przeprowadzający posąg Izydy, który uratowano z świątyni, leżącej w okolicy Porta Caelimontana, tłum rzucił się między orszak,

przyprzągnął się do wozu, przyciągnął go aż do bramy Appijskiej i, porwawszy posąg, umieścił go w świątyni Marsa, poturbowawszy zarazem kapłanów tegoż bóstwa, którzy ośmielili się stawiać opór. W innych miejscach wzywano Serapisa, Baala lub Jehowę, którego wyznawcy, wyroiwszy się z zaułków w okolicach Subury i z Zatybrza, napełniali wrzaskiem i wołaniem pola, leżące pod murami. W krzykach ich brzmiały jednakże tony jakby tryumfu, dlatego też, gdy jedni z mieszkańców przyłączali się do chóru, sławiąc „Pana świata“, drudzy, oburzając się tym radosnym zgiełkiem, usiłowali go potłumić przemocą. Gdziekolwiek słyszano śpiewane przez mężczyzn w sile wieku, starców, kobiety i dzieci, pieśni dziwne i uroczyste, których znaczenia nie umiano pojąć, ale w których powtarzały się co chwila słowa: „Oto nadchodzi sędzia w dniu gniewu i klęski“. Tak to ruchliwa i bezsenna fala ludzka otaczała nakształt wzburzonego morza płonące miasto. Lecz nic nie pomagała ni rozpacz, ni bluźnierstwa, ni pieśni. Klęska zdawała się być nieprzepartą, zupełną i nieubłaganą, jak Przeznaczenie. Koło Amfiteatru Pompejusza zapaliły się składy konopi i lin, których potrzebowano mnóstwa do cyrków, aren i do wszelkiego rodzaju machin, używanych przy igrzyskach, a zarazem przyległe budynki, zawierające beczki smoły, którą smarowano liny. Przez kilka godzin cała ta część miasta, za którą leżało pole Marsowe, świeciła tak jasno-żółtym płomieniem, że nawpół przytomnym z przerażenia widzom wydawało się przez czas jakiś, iż przy powszechnej zagubie porządek dnia i nocy został również pomieszany i że widzą blask słoneczny. Lecz potem krwawy jednolity blask pokonał wszystkie inne barwy płomieni. Z morza ognia strzelały ku rozgorzałemu niebu jakby olbrzymie fontanny i słupy płomienia, rozwiewając się w górze w ogniste kiście i pióra, wiatr zaś porywał je, zmieniał w złote nici i włosy skier i niósł, hen, nad Kampanią, aż ku górcom Albańskim. Noc stawała się coraz widniejsza; samo powietrze zdawało się być przesiąknięte nie tylko blaskiem, ale i płomieniem. Tyber płynął żywym ogniem. Nieszczęsne miasto zmieniło się w jedno piekło. Pożar ogarniał coraz większe przestrzenie, brał szturmem wzgórze, rozlewał się po równinach, zatapiał doliny, szalał, huczał, grzmiał.

ROZDZIAŁ II.

Makrynus, tkacz, do którego domu przyniesiono Viniciusza, obmył go, zaopatrzył w odzież i posilił, poczem młody trybun, odzyskawszy zupełnie siły, oświadczył, że tejsze jeszcze nocy rozpocznie dalsze poszukiwania za Linnusem. Makryn, który był chrześcijaninem, potwierdził słowa Chilona, że Linnus, wraz ze starszym kapłanem, Klemensem, udali się do Ostrianum, gdzie Piotr miał chrzcic całe gromady zwolenników nowej nauki. W dzielnicy wiadomo było chrześcijanom, że Linnus pieczę nad domem swym powierzył od dwóch dni niejakiemu Gajusowi. Dla Viniciusza stanowiło to dowód, że ani Lygia, ani Ursus nie pozostali w domu i że musieli udać się również do Ostrianum. Myśl ta sprawiła mu wielką ulgę. Linnus był człowiek stary, któremu trudno było chodzić codziennie z Zatybrza aż za odległą bramę Nomentańską i wracać znów stamtąd na Zatybrze, prawdopodobnie więc zamieszkał na te kilka dni u którego ze współwyznawców za murami, a wraz z nim i Lygia i Ursus. W ten sposób uniknęli pożaru, który wogóle nie przedostał się na drugi stok Eskwilinu. Viniciusz widział w tem wszystkim zrządzenie Chrystusa; poczuł nad sobą Jego opiekę i z sercem wezbranem większą, niż kiedykolwiek, miłością poprzysięgał Mu w duszy wypłacić się całym życiem za te widome znaki łaski. Tembardziej jednak śpieszno mu było do Ostrianum. Odnajdzie Lygię, odnajdzie Linnusa, Piotra i zabierze ich gdzie daleko, do którejkolwiek ze swoich ziem, choćby aż do Sycylii. Rzym oto płonie i za kilka dni zostanie po nim tylko kupa zgliszczy, po co więc mają tu zostawać wobec klęski i rozhułkanej ludności? Tam otoczą ich zastępy karnych niewolników, otoczy ich cisza wsi i będą żyli spokojnie, pod skrzydłami Chrystusa, pobłogosławieni przez Piotra. Byle ich tylko teraz odnaleźć! Nie było to zaś rzeczą łatwą. Viniciusz pamiętał, z jakim trudem przedostał się z via Appia na Zatybrze i jak musiał kołować, aby dotrzeć do drogi Portowej,

postanowił więc teraz obejść miasto ze strony przeciwnej. Idąc drogą Tryumfalną, można było dotrzeć, posuwając się wzdłuż rzeki, aż do mostu Emiliusza, stamtąd zaś, pomijając Pincius, wzdłuż pola Marsowego, obok ogrodów Pompejusza, Lukulla i Sallustiusza, przedrzeć się na via Nomentana. Była to droga najkrótsza, lecz i Makrynus, i Chilon nie radzili się na nią zapuszczać. Ogień nie objął wprawdzie dotychczas tej części miasta, lecz wszystkie rynki i ulice mogły być zupełnie zatłoczone ludźmi i ich rzeczami. Chilo radził udać się przez Ager Vaticanus aż do Porta Flaminia, tam przejść rzekę i posuwać się dalej nazewnątrz murów, za ogrodami Aciliusza, ku Porta Salaria. Viniciusz, po chwili wahania, zgodził się na tę radę. Makryn musiał pozostać na straży domu, lecz wystarał się o dwa muły, które mogły posłużyć i do dalszej podróży dla Lygii. Chciał również dodać niewolnika, lecz Viniciusz odmówił, sądząc, że jak to już zdarzyło się poprzednio, pierwszy lepszy oddział pretorianów, napotkany w drodze, podda się pod jego rozkazy. I po chwili obaj z Chilonem ruszyli przez Pagus Janiculensis ku drodze Tryumfalnej. Na otwartych miejscach były i tu obozowiska, przeciskali się jednak przez nie z mniejszym trudem, albowiem większa część mieszkańców uciekała ku morzu drogą Portową. Za bramą Septimiańską jechali między rzeką a wspaniałymi ogrodami Domicyi, których potężne cyprysy świeciły czerwono od pożaru, jakby od zorzy zachodniej. Droga stawała się wolniejsza, czasem tylko przychodziło im walczyć z prądem napływającego wieśniactwa. Viniciusz popędzał, o ile mógł, muła, Chilo zaś, jadąc tuż za nim, rozmawiał przez całą drogę sam ze sobą: — Oto pożar został za nami i teraz grzeje nas w plecy. Nigdy jeszcze na tej drodze nie było tak widno w nocy. O Zeusie! jeśli nie spuścisz ulewy na ten pożar, to znać, że nie kochasz Rzymu. Moc ludzka nie zagasi tego ognia. Takie miasto, któremu służyła Grecya i cały świat! A teraz pierwszy lepszy Grek będzie mógł prażyć swój bób w jego popiołach! Ktoby się tego spodziewał!... I nie będzie już Rzymu, ni panów rzymskich... A kto zechce chodzić po zgliszczach, gdy wystygną, i świstać, ten będzie świstał bezpiecznie. O bogowie! świstać nad takim światowładnym miastem! Ktoby z Greków albo nawet z barbarzyńców mógł się tego spodziewać?... A jednak można świstać, bo kupa popiołu, czy zostanie po ognisku pastuchów, czy po spalonym grodzie, jest tylko kupą popiołów, którą prędzej czy później wiatr rozwieje. Tak mówiąc, obracał się chwilami w stronę pożaru i patrzył na fale ognia z twarzą zarazem złą i radosną. Poczem mówił dalej: — Ginie! ginie! i nie będzie go już więcej na ziemi. Gdzie teraz świat będzie wysyłał swoje zboże, swoją oliwę i swoje pieniądze? Kto mu będzie wyciskał złoto i łyż? Marmur nie pali się, ale kruszeje w ogniu. Kapitol pójdzie w gruzy i Palatyn w gruzy. O Zeusie! Rzym był jako pasterz, a inne ludy jako owce. Gdy pasterz był głodny, zarzynał jedną z owiec, zjadał mięso, a tobie, ojcie bogów, ofiarował skórę. Kto, o Chmurowładny, będzie teraz zarzynał i w czyje ręce złożysz bicz pasterski? Bo Rzym gorzeje, ojcie, tak dobrze, jakbyś go sam zapalił piorunem. — Śpiesz się! — naglił Viniciusz, — co tam robisz? — Płaczę nad Rzymem, panie — odpowiedział Chilo. — Takie jowiszowe miasto!... I czas jakiś jechali w milczeniu, wsłuchując się w huk pożogi i w szum skrzydeł ptasich. Gołębie, których mnóstwo gnieździło się przy willach i po miasteczkach Kampanii, a zarazem i wszelkiego rodzaju polne ptaki z nad morza i z gór okolicznych, biorąc widocznie blask pożaru za światło słoneczne, leciały całemi stadami na oślep w ogień. Viniciusz pierwszy przerwał milczenie: — Gdzie byłeś, gdy pożar wybuchnął? — Szedłem do mego przyjaciela, Euriciusza, panie, który trzymał kram przy Wielkim cyrku, i rozmyślałem właśnie nad nauką Chrystusa, gdy poczęto wołać: „Ogień!“ Ludzie gromadzili się koło cyrku dla ratunku i przez ciekawość, ale, gdy płomienie ogarnęły cały cyrki, a prócz tego poczęły się ukazywać naraz i w innych miejscach, trzeba było myśleć o własnym ocaleniu. — Czy widziałeś ludzi, rzucających pochodnie do domów? — Czego ja nie widziałem, wnuku Eneasza! Widziałem ludzi, torujących sobie w tłoku drogę mieczami; widziałem bitwy i rozdeptane na bruku wnętrzności ludzkie. Ach, panie, gdybyś na to patrzył,

sądziłbyś, że barbarzyńcy zdobyli miasto i wyprawiają rzeź. Ludzie naokół wołali, że nadszedł koniec świata. Niektórzy stracili zupełnie głowy i, zaniechawszy ucieczki, czekali bezmyślnie, póki ich nie ogarną płomienie. Inni wpadli w obłęd, inni wyli z rozpacz, ale widziałem i takich, którzy wyli z radości, albowiem, o panie, dużo jest na świecie złych ludzi, którzy nie umieją ocenić dobrodziejstw waszego łagodnego panowania i tych słuszych praw, na mocy których odbieracie wszystkim to, co mają, i przywłaszczacie sobie. Ludzie nie umieją się pogodzić z wolą bogów! Viniciusz zbyt był zajęty własnymi myślami, by zauważyć ironię, drgającą w słowach Chilona. Dreszcz przerażenia chwycił go na samą myśl, że Lygia mogła się znaleźć wśród tego zamętu, na tych strasznych ulicach, na których rozdeptywano wnętrzności ludzkie. Więc, jakkolwiek mało dziesięć razy wypytywał już Chilona o wszystko, co ten mógł wiedzieć, zwrócił się do niego raz jeszcze: — A ich widziałeś na Ostrianum własnymi oczyma? — Widziałem, synu Wenery, widziałem dziewicę, dobrego Lyga, świętego Linnusa i Piotra Apostoła. — Przed pożarem? — Przed pożarem, Mitro! Lecz w duszy Viniciusza zrodziła się wątpliwość, czy Chilo nie kłamie, więc, powstrzymawszy muła, spojrzał groźnie na starego Greka i spytał: — Coś ty tam robił? Chilo zmieszał się. Wprawdzie, jak wielu ludziom, tak i jemu wydawało się, że razem z zagubą Rzymu nadchodzi kres i rzymskiego władztwa, ale tymczasem był sam na sam z Viniciuszem, przypomniał zaś sobie, że tenże zakazał mu pod straszliwą groźbą podpatrywać chrześcijan, a zwłaszcza Linnusa i Lygię. — Panie — rzekł — czemu mi nie wierzysz, że ich miłuję? Tak jest! byłem na Ostrianum, albowiem jestem nawpół chrześcijaninem. Pyrrhon nauczył mnie cenić więcej cnotę od filozofii, więc coraz bardziej lgnę do ludzi cnotliwych. A przytem, o panie, jestem ubogim, i gdy ty, Jowiszu, bawiłeś w Antium, często przymierałem głodem nad księgami, więc siadałem przy murze Ostrianum, albowiem chrześcijanie, jakkolwiek sami ubodzy, więcej rozdają jałmużn, niż wszyscy inni, razem wzięci, mieszkańcy Rzymu. Powód ten wydał się Viniciuszowi wystarczającym, więc zapytał mniej groźnie: — I nie wiesz, gdzie na ten czas zamieszkał Linnus? — Ukaraleś mnie raz za ciekawość, panie, okrutnie, — odpowiedział Grek. Viniciusz umilkł i jechali dalej. — Panie — rzekł po chwili Chilo — nie odnalazłbyś dziewicy, gdyby nie ja, ale jeśli ją odnajdziemy, nie zapomnisz o ubogim mędrцу? — Dostaniesz dom z winnicą pod Ameriolą — odpowiedział Viniciusz. — Dzięki ci, Herkulesie! Z winnicą?... Dzięki ci! O, tak! z winnicą! Mijali teraz wzgórze Watykanu, które świeciły czerwono od pożaru, lecz za Naumachią skęcili w prawo, by po przebyciu pola Watykańskiego zbliżyć się do rzeki i, przeprawiwszy się przez nią, dotrzeć do Porta Flaminia. Nagle Chilo powstrzymał muła i rzekł: — Panie! — Przyszła mi do głowy dobra myśl. — Mów — odpowiedział Viniciusz. — Między wzgórzem Janikulskiem a Watykanem, za ogrodami Agryppiny, są podziemia, z których wybierano kamienie i piasek pod budowę cyrku Nerona. Posłuchaj mnie, panie! W ostatnich czasach Żydzi, których, jak wiesz, mnóstwo jest na Zatybrzu, poczęli okrutnie prześladować chrześcijan. Pamiętasz, że już za boskiego Klaudyusza takie tam były rozruchy, iż Cezar zmuszony był wygnać ich z Rzymu. Dziś, gdy wrócili i gdy, dzięki opiece Augusty, czują się bezpieczni, tem zuchwalej pomiatają chrześcijanami. Ja to wiem! jam widział. Żaden edykt przeciw chrześcijanom nie został wydany, ale Żydzi oskarżają ich przed prefektem miasta, iż mordują dzieci, czczą osła i opowiadają naukę, nie uznaną przez senat, a sami biją ich i napadają na domy modlitwy tak zawzięcie, że chrześcijanie kryć się przed nimi muszą. — Co więc chcesz powiedzieć? — spytał Viniciusz. — To, panie, że synagogi istnieją otwarcie na Zatybrzu, ale chrześcijanie, chcąc uniknąć prześladowań, muszą się modlić w ukryciu i zbierają się w opustoszałych szopach za miastem lub w arenariach. Ci, którzy mieszkają na Zatybrzu, wybrali sobie to właśnie, które powstało z przyczyny budowy cyrku i różnych domów wzdłuż Tybru. Teraz, gdy ginie miasto, niechybnie wyznawcy Chrystusa modlą się. Znajdziemy ich nieprzeliczone mnóstwo w podziemiach, dlatego radzę ci, panie, abyśmy tam wstąpili po drodze. —

Wszakżeś mówił, że Linnus udał się do Ostrianum! — zawołał niecierpliwie Viniciusz. — A ty mi przyrzekłeś dom z winnicą pod Ameriolą — odpowiedział Chilo — więc chcę szukać dziewicy wszędzie, gdzie mam nadzieję ją znaleźć. Po wybuchu pożaru mogli powrócić na Zatybrze... Mogli okrążyć miasto, tak jak my okrążamy je w tej chwili. Linnus ma dom, może chciał być bliżej domu, by obaczyć, czy pożar nie ogarnie i tej dzielnicy. Jeśli wrócili, tedy przysięgam ci, panie, na Persefonę, że znajdziemy ich na modlitwie w podziemiu, a w najgorszym razie zasięgniemy o nich wiadomości. — Masz słuszość, a zatem prowadź! — rzekł trybun. Chilo bez namysłu skręcił na lewo, ku wzgórzu. Na chwilę zbocze owego wzgórza przesłoniło im pożar tak, że, jakkolwiek poblizkie wzniesienia były w świetle, oni sami znaleźli się w cieniu. Minawszy cyrk, skręcili jeszcze na lewo i weszli w rodzaj wąwozu, w którym było zupełnie ciemno. Ale w ciemnościach owych Viniciusz dojrzał roje migających latarek. — Oto oni! — rzekł Chilo. — Będzie ich dziś więcej, niż kiedykolwiek, bo inne domy modlitwy spłonęły lub pełne są dymu, jak całe Zatybrze. — Tak! słyszę śpiewy — rzekł Viniciusz. Jakoż z ciemnego otworu w górze dochodziły śpiewające głosy ludzkie, latarki zaś ginęły w nim jedna za drugą. Lecz z bocznych wąwozów wysuwały się coraz nowe postacie, tak, że po niejakiem czasie Viniciusz i Chilo znaleźli się wśród całej gromady ludzi. Chilo zsunął się z muła i, skinąwszy na wyrostka, który szedł obok, rzekł mu: — Jestem kapłanem Chrystusa i biskupem. Potrzymaj nam muły, a dostaniesz moje błogosławieństwo i odpuszczenie grzechów. Potem, nie czekając odpowiedzi, wsunął mu w rękę cugle, sam zaś przyłączył się wraz z Viniciuszem do idącej gromady. Po chwili weszli do podziemia i posuwali się przy mdłym blasku latarek ciemnym korytarzem, póki nie dotarli do obszernej jaskini, z której widocznie wybierano poprzednio kamień, albowiem ściany utworzone były z świeżych jego odłamów. Było tam widniej, niż w korytarzu, gdyż prócz kaganków i latarek płonęły pochodnie. Przy ich świetle ujrzał Viniciusz cały tłum ludzi klęczących, z rękoma wyciągniętymi do góry. Lygii, Piotra Apostoła, ni Linnusa nie mógł nigdzie dojrzeć, natomiast naokół otaczały go twarze uroczyste i wzruszone. W niektórych widoczne było oczekiwanie, trwoga, nadzieja. Blask odbijał się w białkach wzniesionych oczu, pot spływał po bladych, jak kreda, czołach; niektórzy śpiewali pieśni, inni powtarzali gorączkowo imię Jezus, niektórzy bili się w piersi. Po wszystkich znać było, iż lada chwila oczekują czegoś nadzwyczajnego. Wtem pieśni umilkły i nad zgromadzeniem, we framudze, powstałej po wyjęciu ogromnego głazu, ukazał się znajomy Viniciuszowi Kryspus, z twarzą jakby nawpół przytomną, bladą, fanatyczną i surową. Oczy zwróciły się ku niemu, jakby w oczekiwaniu słów pokrzepienia i nadziei, on zaś, przeżegnawszy zgromadzenie, począł mówić głosem śpiesznym i prawie do krzyku zbliżonym: — Żałujcie za grzechy wasze, albowiem chwila nadeszła. Oto na miasto zbrodni i rozpusty, oto na nowy Babilon Pan spuścił płomień niszczący. Wybiła godzina sądu, gniewu i klęski... Pan zapowiedział przyście i wraz ujrzycie Go! Ale nie przyjdzie już jako Baranek, który ofiarował krew za grzechy wasze, jeno jako sędzia straszliwy, który w sprawiedliwości swej pogrzywa w otchłań grzesznych i niewiernych... Biada światu i biada grzesznym, albowiem nie będzie już dla nich miłosierdzia... Widzę Cię, Chryste! Gwiazdy spadają deszczem na ziemię! słońce się zaćmiewa, ziemia otwiera się w przepaści i zmarli powstają, a Ty idziesz wśród dźwięku trąb i zastępów aniołów, wśród gromów i grzmotów. Widzę i słyszę cię, o Chryste! Tu umilkł i, podniósłszy twarz, zdawał się wpatrywać w coś dalekiego i straszego. A wtem w podziemiu ozwał się głuchy grzmot, jeden, drugi i dziesiąty. To w płonącym mieście całe ulice przepalonych domów jęły się walić z łoskotem. Lecz większość chrześcijan wzięła owe odgłosy za widomą oznakę, iż straszliwa godzina nastaje, albowiem wiara w rychłe powtórne przyście Chrystusa i w koniec świata była i tak między nimi rozpowszechniona, teraz zaś wzmocnił ją jeszcze pożar miasta. To też trwoga Boża ogarnęła zgromadzenie. Liczne głosy poczęły powtarzać: „Dzień sądu!... Oto idzie!“ Niektórzy zakrywali dłońmi twarze, w przekonaniu,

że wnet ziemia zatrząśnie się w posadach i z jej czeluści wyjdą bestye piekielne, by rzucić się na grzesznych. Inni wołali: „Chryste, zmiłuj się! Odkupicielu, bądź miłościw!...” — inni wyznawali głośno grzechy, inni nakoniec rzucali się sobie w objęcia, by w przerażającej chwili mieć jakieś blizkie serca przy sobie. Lecz byli i tacy, których twarze, jakby wniebowzięte, pełne nadziemskich uśmiechów, nie okazywały trwogi. W kilku miejscach rozległa się glossa: to ludzie w uniesieniu religijnem poczęli wykrzykiwać niezrozumiałe słowa w niezrozumiałych językach. Ktoś z ciemnego kąta pieczary zawołał: „Zbudź się, który śpisz!” Nad wszystkim górował krzyk Kryspa: „Czuwajcie! czuwajcie!” Chwilami jednak zapadało milczenie, jak gdyby wszyscy, zatrzymując dech w piersiach, czekali na to, co się stanie. A wówczas słyhać było daleki grzmot zapadających się w gruzy dzielnic, po którym odzywały się znów jęki, modlitwy, glossy i wołania: „Odkupicielu, zmiłuj się!” Chwilami Kryspus zabierał głos i krzyczał: „Wyrzeczcie się dobra ziemskiego, albowiem wkrótce nie stanie wam ziemi pod nogami! wyrzeczcie się ziemskich miłości, albowiem Pan zatraci tych, którzy więcej, niż Jego, miłowali żony i dzieci. Biada temu, kto umiłował stworzenie więcej, niż Stworzyciela! biada możnym! biada zbytkownikom! biada rozpustnym! biada mężowi, niewieście i dziecku!...” Nagle silniejszy od poprzednich huk wstrząsnął kamieniołomem. Wszyscy padli na ziemię, wyciągając ramiona w krzyż, aby kształtem tym bronić się od złych duchów. Nastąpiła cisza, w której słyhać było tylko przyspieszone oddechy, pełne przerażenia szepty: „Jezus, Jezus, Jezus!” i gdzieś płacz dzieci. A wtem ponad tą leżącą czernią ludzką jakiś spokojny głos rzekł: — Pokój z wami! Był to głos Piotra Apostoła, który przed chwilą wszedł do pieczary. Na dźwięk jego słów strach przeszedł w jednej chwili, jak przechodzi strach trzody, między którą zjawił się pasterz. Ludzie popodnosili się z ziemi, bliźsi poczęli garnąć się do jego kolan, jakby szukając pod jego skrzydłami opieki, on zaś wyciągnął nad nimi ręce i mówił: — Czemu trwożycie się w sercach? Kto z was odgadnie, co go może spotkać, zanim godzina nadejdzie? Pan pokarał ogniem Babilon, ale nad wami, których obmył chrzest i których grzechy odkupiła krew Baranka, będzie miłosierdzie Jego i pomrzecie z imieniem Jego na ustach waszych. Pokój z wami! Po groźnych i niemiłosiernych słowach Kryspa słowa Piotrowie spadły, jak balsam, na obecnych. Zamiast trwogi Bożej, owładnęła dusze miłość Boża. Ludzie ci odnaleźli takiego Chrystusa, jakiego pokochali z opowiadań apostoelskich, a zatem nie bezlitosnego sędziego, ale słodkiego i cierpliwego Baranka, którego miłosierdzie stokroć przewyższało złość ludzką. Uczucie ulgi ogarnęło całe zgromadzenie i otucha w połączeniu z wdzięcznością dla Apostoła przepełniła serca. Głosy z różnych stron poczęły wołać: „My owce twoje, paś nas!” Bliźsi zaś mówili: „Nie opuszczaj nas w dniu klęski”. I klękali u jego kolan, co widząc Viniciusz, zbliżył się, chwycił kraj jego płaszcza i, pochyliwszy głowę, rzekł: — Panie, poratuj mnie! Szukałem jej w dymie pożaru i w tłoku ludzkim, a nigdzie znaleźć nie mogłem, ale wierzę, że ty możesz mi ją wrócić. Piotr zaś położył mu rękę na głowie. — Ufaj — rzekł — i pójdź ze mną.

ROZDZIAŁ III.

Miasto płonęło ciągle. Wielki cyrk zapadł w gruzy, potem zaś w dzielnicach, które pierwsze zaczęły płonąć, zapadały całe zaułki i ulice. Po każdym takim upadku, słupy płomienia wzbijały się przez chwilę aż pod niebo. Wiatr zmienił się i wiał teraz z niezmierną siłą od strony morza, niosąc na Caelius, na Esquilinus i na Viminalis fale ognia, głowni i węgli. Pomyślano już jednak o ratunku. Z rozkazu Tigellina, który trzeciego dnia nadbiegł z Antium, poczęto burzyć domy na Esquilinie, aby ogień trafiwszy na puste miejsca, zgasł sam przez się. Był to jednak czczy ratunek, przedsięwzięty dla ocalenia resztek miasta, albowiem o ocaleniu tego, co już płonęło, nie było co i myśleć. Należało przytem zapobiegać i dalszym następstwom klęski. Wraz z Rzymem ginęły niezmierne bogactwa, ginęło całe mienie jego mieszkańców, tak, że wokół murów koczowały teraz setki tysięcy samych

nędzarzy. Drugiego już dnia głód począł doskwierać tej ciżbie ludzkiej, niezmiernie bowiem zapasy żywności, nagromadzone w mieście, gorzały z niem razem, w powszechnym zaś zamęcie i rozprężeniu urzędów, nikt dotąd nie pomyślał, aby sprowadzić nowe. Dopiero po przybyciu Tigellina, poszły do Ostyi odpowiednie rozkazy, ale tymczasem ludność poczęła przybierać coraz groźniejszą postawę. Dom przy Aqua Appia, w którym tymczasowo zamieszkał Tigellinus, otaczały tłumy kobiet, krzycząc od rana do późnej nocy: „chleba i dachu!“ Próżno pretorianie, sprowadzeni z wielkiego obozu, leżącego między via Salaria a Nomentana, usiłowali utrzymać jaki taki ład. Tu i owdzie stawiano im otwarcie zbrojny opór; gdzieindziej bezbronne gromady, wskazując na palące się miasto, wołały: „mordujcie nas wobec tego ognia!“ Złorzeczono Cezarowi, augustianom, pretoriańskim żołnierzom i wzburzenie rosło z każdą godziną tak, że Tigellinus spoglądając nocą na tysiące ognisk, rozłożonych naokół miasta, mówił sobie, że to są ogniska nieprzyjacielskich obozów. Z rozkazu jego sprowadzono prócz mąki, jak największą ilość gotowych chlebów, które ściągnięto nietylko z Ostyi, ale ze wszystkich miast i wsi okolicznych, lecz gdy pierwsze przesyłki nadeszły nocą do Emporium, lud odbił główną bramę od strony Awentynu i rozerwał w mgnieniu oka zapasy, powodując straszliwe zamieszanie. Przy blasku łuny walczono o bochenki, których mnóstwo wdeptano w ziemię. Mąka z porozrywanych worów pokryła jakby śniegiem całą przestrzeń, od śpichrzów aż do łuku Druzusa i Germanika, i rozruch trwał dopóty, dopóki żołnierze nie obsadzili wszystkich budynków i nie poczęli odpędzać tłumów zapomocą strzał i pocisków. Nigdy od czasu najścia Gallów pod Brennusem, nie spotkała Rzymu podobna klęska. Porównywano też z rozpaczą oba te pożary. Ale wówczas ostał się przynajmniej Kapitol. Obecnie i Kapitol otoczony był straszliwym wieńcem ognia. Marmury nie paliły się wprawdzie płomieniem, ale nocami, gdy wiatr na chwilę rozchyłał płomienie, widać było szeregi kolumn górnej świątyni Jowisza rozpalone i świecące różowo, naksztalt żarzących się węgli. Wreszcie za czasów Brennusa, Rzym posiadał ludność karną, jednolitą, przywiązaną do miasta i ołtarzy, obecnie zaś naokół murów płonącego grodu, koczowały tłumy różnojęzyczne, złożone w większej części z niewolników i wyzwolenców, rozhukane, niesforne i gotowe pod naciskiem nędzy zwrócić się przeciw władzy i miastu. Lecz sam ogrom pożaru, napełniając serca przerażeniem, ubezwładniał do pewnego stopnia tłuszcę. Za klęską ognia, mogła przyjść klęska głodu i chorób, albowiem nadmiar nieszczęścia, nastąpiły straszne lipcowe upały. Powietrzem, rozpalonem od ognia i słońca, niepodobna było oddychać. Noc nietylko nie przynosiła ulgi, ale stawała się piekłem. W dzień odkrywał się przerażający i złowrogi widok. W środku olbrzymie miasto na wzgórzach, zmienione w huczący wulkan, naokół zaś, aż do gór Albańskich, jedno nieprzejrzone koczowisko, złożone z bud, namiotów, szałasów, wozów, taczek, noszy, kramów, ognisk, przesłonięte dymem, kurzawą, oświecone rudymi promieniami słońca, przechodzącego przez pożogę, pełne gwaru, krzyków, gróźb, nienawiści i strachu, potworny wyraz mężczyzn, kobiet i dzieci. Wśród Kwirytów Grecy, kudłate jasnookie ludy Północy, Afrowie i Azyaci; wśród obywateli niewolnicy, wyzwolenci, gladyatorowie, kupcy, rzemieślnicy, chłopci i żołnierze, prawdziwe morze ludzkie, oblewające wyspę ognia. Rozmaite wieści poruszały tem morzem, jak wiatr prawdziwą falą. Były pomyślne i niepomyślne. Opowiadano o niezmiernych zapasach zboża i odzieży, które miały nadejść do Emporium i być rozdawane darmo. Mówiono również, że z rozkazu Cezara, prowincye w Azji i Afryce zostaną złupione ze wszystkich bogactw, skarb zaś, zebrany tym sposobem, będzie rozdzielony między mieszkańców Rzymu, tak, aby każdy mógł sobie wybudować dom własny. Lecz jednocześnie puszczano i takie nowiny, że wody zostały w wodociągach zatrute i że Nero chce zniszczyć miasto i wygubić co do nogi mieszkańców, aby przenieść się do Grecyi lub Egiptu i stamtąd władać światem. Każda wieść rozbiegała się z szybkością błyskawicy i każda znajdowała wiarę wśród tłuszczy, powodując wybuchy albo nadziei,

gniewu, strachu lub wściekłości. Wreszcie jakaś gorączka opanowała te tysiące koczowników. Wiara chrześcijan, iż koniec świata przez ogień jest bliski, szerzyła się i między wyznawcami bogów, z każdym dniem coraz bardziej. Ludzie wpadali w odrętwienie lub szaleństwo. Wśród obłoków, oświeconych przez łunę, widziano bogów, przypatrujących się zagubie ziemi, i wyciągano do nich ręce o litość lub przeklinano ich. Tymczasem żołnierze, wspomagani przez pewną liczbę mieszkańców, burzyli wciąż domy na Eskwilinie, na Caelius, a także i na Zatybrzu, które wskutek tego w znacznej części ocalało. Lecz w samym mieście płonęły nieprzebrane skarby, nagromadzone przez wieki zwycięstw, bezcenne dzieła sztuki, wspaniałe świątynie i najdroższe pamiątki rzymskiej przeszłości i rzymskiej sławy. Przewidywano, że z całego miasta ocaleje zaledwie kilka położonych na krańcach dzielnic i że setki tysięcy ludzi pozostanie bez dachu. Inni rozszerzali jednakże wieść, że żołnierze burzą domy nie dla zatamowania ognia, ale dlatego, aby nic nie zostało z miasta. Tigellin błagał w każdym liście, by Cezar przyjechał i obecnością swą uspokoił zrozpaczony lud. Lecz Nero ruszył się dopiero wówczas, gdy płomienie ogarnęły „domus transitoria“, i śpieszył się, aby nie stracić chwili, w której pożoga doszła do najwyższej potęgi.

ROZDZIAŁ IV.

Ogień tymczasem dosięgnął do via Nomentana, a od niej wraz ze zmianą wiatru, zwrócił się ku via Lata i ku Tybrowi, okrążył Kapitol, rozlał się po Forum Boarium i niszcząc wszystko, co w pierwszym pędzie pominął, zbliżył się znów do Palatynu. Tigellinus, zebrawszy wszystkie siły pretorianów, słał gońca za gońcem do zbliżającego się Cezara z oznajmieniem, że nic nie straci ze wspaniałości widowiska, albowiem pożoga wzmogła się jeszcze. Lecz Nero chciał przybyć w nocy, aby tem lepiej nasycać się obrazem ginącego miasta. W tym celu zatrzymał się w okolicach Aqua Albana i wezwawszy do namiotu tragika Alitursa, układał z pomocą jego postawę, twarz, wejrzenie i uczył się odpowiednich ruchów, spierając się z nim zawzięcie, czy przy słowach: „o święty grodzie, któryś się wydawał trwalszym od Idy“, ma podnieść do góry obie ręce, czy też, trzymając w jednej forminę, opuścić ją wzdłuż ciała, a podnieść tylko drugą. I pytanie to wydawało mu się w tej chwili ważniejszym od wszystkich innych. Wyruszywszy wreszcie o zmierzchu, zasięgał jeszcze rady Petroniusza, czyby w wierszu, poświęconym klęsce, nie umieścić kilku wspaniałych bluźnierstw przeciw bogom i czyby takowe, biorąc ze stanowiska sztuki, nie musiały same przez się wyrwać się z ust w podobnem położeniu człowiekowi, tracącemu ojczyznę. Koło północy zbliżył się wreszcie do murów, wraz ze swym potężnym dworem, złożonym z całych zastępów dworzan, senatorów, rycerzy, wyzwolenców, niewolników, kobiet i dzieci. Szesnaście tysięcy pretorianów, ustawionych w szyku bojowym po drodze, czuwało nad spokojem i bezpieczeństwem jego wjazdu, utrzymując zarazem w odpowiedniej odległości wzburzony lud. Lud przeklinał wprawdzie, krzyczał i gwizdał na widok orszaku, ale nie śmiał na niego uderzyć. W wielu miejscach ozwały się jednak i oklaski, dawane przez hałastrę, która, nie posiadając nic, nic też nie utraciła w pożarze, a spodziewała się hojniejszego, niż zwykle, rozdawnictwa zboża, oliwy, odzieży i pieniędzy. Wreszcie zarówno okrzyki i gwizdania, jak i oklaski, zgłuszył odgłos trąb i rogów, w które kazał dąć Tigellin. Nero, po przebyciu bramy Ostyjskiej, zatrzymał się na chwilę i rzekł: „bezdomny władca bezdomnego ludu, gdzież złożę na noc nieszczęsną swą głowę!“ poczem, przeszedłszy clivus Dalphini, wstąpił po przygotowanych dla siebie schodach na wodociąg Appijski, a za nim augustianie i chór śpiewaków, niosących cytry, lutnie i inne narzędzia muzyczne. I wszyscy zatrzymali dech w piersiach, czekając, czy nie wypowie jakich wielkich słów, które dla własnego bezpieczeństwa należało zapamiętać. Lecz on stał uroczysty, niemy, przybrany w purpurowy płaszcz i wieniec ze złotych laurów, wpatrując się w rozszalałą potęgę płomieni. Gdy Terpnos podał mu złotą lutnię, wzniosł oczy ku oblanemu łuną niebu, jakby czekając natchnienia. Lud wskazywał go zdala rękoma, oblanego

krwawym blaskiem. W oddali syczały węże płomieni i płonęły odwieczne, najświętsze zabytki: płonęła świątynia Herkulesa, którą wznosił Ewander, i świątynia Jowisza Statora, i świątynia Luni, zbudowana jeszcze przez Serwiusza Tulliusza, i dom Numy Pompiliusza, i przybytek Westy z penatami ludu rzymskiego, w grzywach płomieni ukazywał się czasem Kapitol, płonęła przeszłość i dusza Rzymu, on zaś, Cezar, stał z lutnią w ręku, z twarzą tragicznego aktora i z myślą nie o ginącej ojczyźnie, ale o postawie i patetycznych słowach, któremi by najlepiej wielkość klęski mógł oddać, obudzić największy podziw i najgorętsze zyskać oklaski. Nienawidził tego miasta, nienawidził jego mieszkańców, kochał tylko swe pieśni i wiersze, więc radował się w sercu, że wreszcie ujrzał tragedię, podobną do tej, którą opisywał. Wierszorób czuł się szczęśliwy, deklamator czuł się natchniony, poszukiwacz wzruszeń poił się straszliwym widowiskiem i z rozkoszą myślał, że nawet zagłada Troi niczem była w porównaniu z zagładą tego olbrzymiego grodu. Czegóż mógł jeszcze żądać? Oto Rzym, Rzym światowładny, płonie, a on stoi na łukach wodociągu, ze złotą lutnią w ręku, widny, purpurowy, podziwiany, wspaniały i poetyczny. Gdzieś tam, poniżej, w mroku, szemrze i burzy się lud! Ale niech szemrze. Wieki upłyną, tysiące lat przejdą, a ludzie będą pamiętali i sławili tego poetę, który w taką noc śpiewał upadek i pożar Troi. Czemże wobec niego Homer? czem sam Apollo ze swoją drażoną formingą. Tu podniósł ręce i uderzywszy w struny, ozwał się słowy Pryama: — O gniazdo ojców moich, o kolebko droga!.. Głos jego na otwartym powietrzu, przy huku pożaru i przy dalekim gwarze tysięcznych tłumów, wydawał się dziwnie nikły, drżący i słaby, a dźwięk wtóru brzmiał, jak brzęczenie muchy. Lecz senatorowie, urzędnicy i augustianie, zebrani na wodociągu, pochylili głowy, słuchając w milczącym zachwycie. On zaś śpiewał długo i nastrajał się coraz żałośniej. W chwilach, gdy przestawał dla nabrania tchu, chór śpiewaków powtarzał ostatnie wiersze, poczem znów Nero zrzucił wyuczonym od Alitursa ruchem z ramienia tragiczną „syrnę“, uderzał w struny i śpiewał dalej. Skończywszy wreszcie ułożoną poprzednio pieśń, począł improwizować, szukając wielkich porównań w widoku, który się przed nim roztaczał. I twarz poczęła mu się mienić. Nie wzruszyła go wprawdzie zagłada ojczyźnego miasta, ale upoił się i wzruszył patosem własnych słów do tego stopnia, że nagle upuścił z brzękiem lutnię pod stopy i owinąwszy się w „syrnę“, pozostał jak skamieniały, podobny do jednego z tych posągów Niobidów, które zdobiły dziedziniec Pałatynu. Po krótkiej chwili milczenia, zawrzała burza oklasków. Lecz z oddali odpowiedziało mu wycie tłumów. Teraz nikt już tam nie wątpił, że to Cezar rozkazał spalić miasto, by sobie wyprawić widowisko i śpiewać przy niem pieśni. Nero, usłyszawszy ów krzyk setek tysięcy głosów, zwrócił się do augustianów ze smutnym, pełnym rezygnacji uśmiechem człowieka, którego krzywdzą, i rzekł: — Oto, jak Kwiryści umieją cenić mnie i poezję. — Łotry! — odpowiedział Watyniusz — każ, panie, uderzyć na nich pretorianom. Nero zwrócił się do Tigellina: — Czy mogę liczyć na wierność żołnierzy? — Tak, boski! — odpowiedział prefekt. Lecz Petroniusz wzruszył ramionami. — Na ich wierność, lecz nie na ich liczbę — rzekł. — Zostań tymczasem tu, gdzie jesteś, bo tu najbezpieczniej, a ten lud trzeba uspokoić. Tego zdania był i Seneka, i konsul Licyniusz. Tymczasem w dole wzburzenie rosło. Lud zbroił się w kamienie, w drągi od namiotów, w deski z wozów i taczek i w rozmaite żelaziwo. Po jakimś czasie kilku z przywódców kohort przyszło z oznajmieniem, że pretorianie, napierani przez tłumy, zachowują z największym wysileniem linię bojową i nie mając rozkazu uderzenia, nie wiedzą, co czynić. — Bogowie! — rzekł Nero — co za noc! Z jednej strony pożar, z drugiej rozhukane morze ludu. I począł szukać dalej wyrażań, któreby najwspanialej mogły określić niebezpieczeństwo chwili, lecz widząc naokół twarze blade i niespokojne spojrzenia, zląkł się także. — Dajcie mi ciemny płaszcz z kapturem! — zawołał — czyby naprawdę miało przyjść do bitwy? — Panie — odpowiedział niepewnym głosem Tigellin — ja zrobiłem wszystko, co mogłem, ale niebezpieczeństwo jest groźne... Przemów, panie, do ludu i

poczyń mu obietnice. — Cezar miałby przemawiać do tłuszczy? Niech to uczyni inny w moim imieniu. Kto się tego podejmie? — Ja! — odrzekł spokojnie Petroniusz. — Idź, przyjacielu! tyś mi najwierniejszy w każdej potrzebie... Idź i nie szcędź obietnic. Petroniusz zwrócił się do orszaku z twarzą niedbałą i szyderczą. — Senatorowie tu obecni — rzekł — a prócz nich Piso, Nerwa i Senecio pojedą za mną. Poczem zszedł zwolna z wodociągu, owi zaś, których wezwał, szli za nim, nie bez wahania, ale z pewną otuchą, którą napełniał ich jego spokój. Petroniusz, stanąwszy u stóp arkad, kazał sobie podać białego konia i siadłszy na niego, pojechał na czele towarzyszy przez głębokie szeregi pretoriańskie, ku czarnej, wyjącej tłuszczy, bezbronny, mając w ręku cienką laskę z kości słoniowej, którą się zwykle podpierał. I przyjechawszy tuż, wparł konia w tłumy. Naokół, przy świetle pożogi, widać było wzniesione ręce, zbrojne we wszelakiego rodzaju broń, rozpalone oczy, spotniałe twarze i ryczące, zapienione wargi. Rozszalała fala wnet otoczyła jego i orszak, za nią widać było istotnie jakby morze głów, ruchome, kotłujące się, straszne. Wrzaski wzmożyły się jeszcze i zmieniły się w nieludzki ryk; drągi, widły, a nawet i miecze chwiały się nad głową Petroniusza, drapieżne ręce wyciągały się ku cugłom jego konia i ku niemu, lecz on wjeżdżał coraz głębiej, zimny, obojętny, pogardliwy. Chwilami uderzał laską po głowach najzuchwalszych, tak jakby torował sobie drogę w zwykłym ścisku i ta jego pewność, ten spokój zdumiewały jednakże rozhukaną tłuszcze. Poznano go wreszcie i liczne głosy poczęły wołać: — Petroniusz! Arbiter elegantiarum! Petroniusz!... — Petroniusz! — zabrzmiało ze wszystkich stron. I w miarę, jak powtarzano to imię, twarze naokół stawały się mniej groźne, a wrzaski mniej wściekłe, albowiem ów wykwintny patrycyusz, jakkolwiek nigdy nie zabiegał o łaski ludu, był jednak jego ulubieńcem. Uchodził za człowieka ludzkiego i hojnego, a popularność jego wzrosła, zwłaszcza od czasu sprawy Pedaniusza Sekunda, w której przemawiał za złagodzeniem okrutnego wyroku, skazującego na śmierć wszystkich niewolników prefekta. Szczególniej tłumy niewolników kochały go odtąd taką niepohamowaną miłością, jaką ludzie pognębieni i nieszczęśni zwykli miłować tych, którzy okazują im choć trochę współczucia. Prócz tego w chwili obecnej dołączyła się i ciekawość, co powie wysłannik Cezara, nikt bowiem nie wątpił, że Cezar wysłał go umyślnie. On zaś, zdjawszy z siebie swą białą, obramowaną szkarłatnym szlakiem togę, podniósł ją w górę i począł nią wywijać nad głową na znak, że chce przemówić. — Milczeć! milczeć! — wołano ze wszystkich stron. Po chwili uciszyło się istotnie. Wówczas wyprostował się na koniu i począł mówić donośnym, spokojnym głosem: — Obywatele! niech ci, którzy mnie usłyszą, powtórzą słowa moje tym, którzy stoją dalej, wszyscy zaś niechaj się zachowają, jak ludzie, nie jak zwierzęta w arenach. — Słuchamy! słuchamy!... — Zatem słuchajcie. Miasto zostanie odbudowane. Ogrody Lukulla, Mecenasa, Cezara i Agrypiny będą dla was otwarte! Od jutra rozpocznie się rozdawnictwo zboża, wina i oliwy, tak aby każdy mógł napełnić brzuch aż do gardła! Potem Cezar wyprawi wam igrzyska, jakich świat nie widział dotąd, przy których czekają was uczyty i dary. Bogatsi będziecie po pożarze, niż przed pożarem!! Odpowiedział mu pomruk, który rozchodził się tak od środka na wszystkie strony, jak rozchodzą się fale na wodzie, w którą rzucił ktoś kamień: to bliżsi powtarzali dalszym jego słowa. Potem tu i owdzie ozwały się okrzyki, gniewne lub potakujące, które zmieniły się wreszcie w jeden powszechny olbrzymi wrzask: — Panem et circenses!!!... Petroniusz owinał się w togę i przez czas jakiś słuchał nieruchomy, podobny w swej białej odzieży do marmurowego posągu. Wrzask wzrastał, głużył odgłosy pożaru, odzywał się ze wszystkich stron i z coraz większych głębin, lecz wysłannik widocznie miał jeszcze coś do powiedzenia, albowiem czekał. I wreszcie, nakazawszy znów wzniesioną ręką milczenie, zawołał: — Obiecuję wam panem et circenses, a teraz wydajcie okrzyk na cześć Cezara, który was karmi, odziewa, poczem idź spać, hołoto, albowiem niedługo świtać zacznie. To rzekłszy, zwrócił konia i uderzając zlekka laską po głowach i twarzach tych, którzy mu stali na drodze, odjechał zwolna do

pretoriańskich szeregów. Po chwili był pod wodociągiem. Na górze zastał niemal popłoch. Nie zrozumiano tam okrzyku: panem et circenses, i sądzono, że to jest nowy wybuch wściekłości. Nie spodziewano się nawet, by Petroniusz mógł się uratować, to też Nero, ujrawszy go przybiegł aż do schodów i z twarzą, pobladłą ze wzruszenia, począł pytać: — I cóż? co się tam dzieje? Czy już bitwa? Petroniusz nabrał powietrza w płuca, odetchnął głęboko i odrzekł: — Na Polluksa! poca się i cuchną! Niech mi kto poda „epilimnę“, bo zemdleję. Poczem zwrócił się do Cezara. — Obiecałem im — rzekł — zboże, oliwę, otwarcie ogrodów i igrzyska. Ubóstwiają cię znowu i wrzeszczą spierzchłemi wargami na twoją cześć. Bogowie, jaki ten plebs ma nieprzyjemny zapach! — Pretorianów miałem gotowych — zawołał Tigellin i gdybyś ich nie uspokoił, krzykacze umilkliby na wieki. Szkoda, Cezarze, iż mi nie pozwoliłeś użyć siły. Petroniusz popatrzył na mówiącego, wzruszył ramionami i rzekł: — To jeszcze nie stracone. Może będziesz jej musiał użyć jutro. — Nie, nie! — rzekł Cezar. — Każę im otworzyć ogrody i rozdawać zboże. Dzięki ci, Petroniuszu! Igrzyska wyprawię, a tę pieśń, którą wam śpiewałem dzisiaj, odśpiewam publicznie. To rzekłszy, położył rękę na ramieniu Petroniusza, chwilę milczał, a nakoniec, ochłonawszy, zapytał: — Powiedz szczerze: jak ci się wydałem, gdym śpiewał? — Byłeś godnym widoku, jak widok był godnym ciebie — odpowiedział Petroniusz. Poczem zwrócił się do pożaru. — Ale przypatrzmy się jeszcze — rzekł — i pożegnajmy się ze starym Rzymem.

ROZDZIAŁ V.

Słowa Apostoła wlały ufność w dusze chrześcijan. Koniec świata wydawał im się zawsze blizkim, poczęli jednak wierzyć, że straszliwy sąd nie nastąpi natychmiast i że przedtem jeszcze zobaczą może koniec panowania Nerona, które uważali za panowanie Antychrysta i karę Boską na wołające o pomstę jego zbrodnie. Pokrzepieni więc w sercach, poczęli rozchodzić się po ukończeniu modłów z podziemia i wracać do swoich tymczasowych schronisk, a nawet i na Zatybrze, gdyż przyszły wieści, że ogień, podłożony w kilkunastu miejscach, zwrócił się wraz ze zmianą wiatru znów ku rzece i strawiwszy tu i owdzie, co mógł strawić, przestał się szerzyć. Apostoł, w towarzystwie Viniciusza i idącego za nimi Chilona, opuścił również podziemie. Młody trybun nie śmiał przerywać mu modlitwy, więc czas jakiś szedł w milczeniu, oczyma tylko błagając litości i drżąc z niepokoju. Lecz wiele osób przychodziło jeszcze całować ręce i kraj odzieży Apostoła, matki wyciągały ku niemu dzieci, inni klękali w ciemnym, długim przejściu i podnosząc w górę kaganki, prosili o błogosławieństwo, inni wreszcie, idąc wpobok, śpiewali, tak, że nie było chwili sposobnej ni na zapytanie, ni na odpowiedź. Tak było i w wąwozie. Dopiero gdy wyszli na wolniejszą przestrzeń, z której widać już było płonące miasto, Apostoł, przeżegnawszy je trzykrotnie, zwrócił się do Viniciusza i rzekł: — Nie trwoż się. Blisko stąd jest chata fossora, w której znajdziemy Lygię z Linnusem i z wiernym jej sługą. Chrystus, który ci ją przeznaczył, zachował ją dla ciebie. A Viniciusz zachwiał się i wsparł ręką o skałę. Droga z Antium, wypadki pod murami, poszukiwanie Lygii wśród gorących dymów, bezsenność i straszny niepokój o nią wyczerpały jego siły, a reszty ich pozbawiła go wiadomość, że ta najdroższa mu w świecie głowa jest blizko i że za chwilę ją ujrzy. Ogarnęło go nagle osłabienie tak wielkie, że osunął się do nóg Apostoła i objąwszy jego kolana, pozostał tak, nie mogąc słowa przemówić. Apostoł zaś, broniąc się od podzięki i czci, rzekł: — Nie mnie, nie mnie, lecz Chrystusowi! — Co za walne bóstwo!! — ozwał się z tyłu głos Chilona — ale nie wiem, co mam czynić z mułami, które tu czekają opodal. — Wstań i pójdz ze mną — rzekł Piotr, biorąc za rękę młodego człowieka. Viniciusz wstał. Przy świetle łuny widać było łzy, ściekające mu po pobladłej ze wzruszenia twarzy. Usta trzęsły mu się, jakby się modlił. — Pójdzmy — rzekł. Lecz Chilo znów powtórzył: — Panie, co mam robić z mułami, które czekają? Możeby ten godny prorok wołał jechać, niż iść. Viniciusz sam nie wiedział, co odpowiedzieć, lecz usłyszawszy od Piotra, że chata kopacza

leży tuż, odrzekł: — Odprowadź muły do Makryna. — Wybacz, panie, że ci przypomnę dom w Amerioli. Wobec tego okropnego pożaru, łatwo zapomnieć o rzeczy tak drobnej. — Dostaniesz go. — O! wnuku Numy Pompiliusza, byłem zawsze pewny, ale teraz, gdy obietnicę usłyszał i ten wielkoduszny Apostoł, nie przypominam ci nawet tego, że przyrzekłeś mi i winnicę. Pax vobiscum. Ja cię odnajdę, panie. Pax vobiscum. Oni zaś odpowiedzieli: — I z tobą. Poczem zawrócili obaj na prawo ku wzgórzom. Po drodze Viniciusz rzekł: — Panie! obmyj mnie wodą chrztu, abym mógł się nazwać prawdziwym wyznawcą Chrystusa, gdyż miłuję Go ze wszystkich sił duszy mojej. Obmyj mnie prędko, bom w sercu już gotów. I co mi przykaże, to uczynię, ale ty mi powiedz, cobym mógł nadto uczynić. — Miłuj ludzi, jak braci swoich — odpowiedział Apostoł — bo tylko miłością możesz Mu służyć. — Tak! Ja to już rozumiem i czuję. Dzieckiem będąc, wierzyłem w bogów rzymskich, alem ich nie kochał, a tego Jedynego kocham tak, że oddałbym za Niego z radością życie. I począł patrzeć w niebo, powtarzając z uniesieniem: — Bo On jeden jest! bo On jeden dobry i miłosierny! więc niechby nietylko ginęło to miasto, ale świat cały, Jemu jednemu będę świadczył i jego wyznawał! — A On będzie błogosławił tobie i twemu domowi — zakończył Apostoł. Tymczasem skręcili w inny wąwóz, na którego końcu widać było mdłe światelko. Piotr ukazał na nie ręką i rzekł: — Oto chata kopacza, który dał nam schronienie, gdy wróciwszy z chorym Linnusem z Ostrianum, nie mogliśmy się przedostać na Zatybrze. Po chwili doszli. Chata była raczej jaskinią, wydrążoną w załomie góry, którą od zewnątrz zamknięto ścianą, ulepioną z gliny i trzcin. Drzwi były zamknięte, ale przez otwór, który zastępował okno, widać było oświecone ogniskiem wewnątrz. Jakaś ciemna olbrzymia postać podniosła się na spotkanie przybyłych i poczęła pytać: — Kto jesteście? — Słudzy Chrystusa — odrzekł Piotr. — Pokój z tobą, Ursusie. Ursus pochylił się do nóg Apostoła, poczem, poznavszy Viniciusza, chwycił w kostce jego rękę i podniósł ją do ust. — I ty, panie? — rzekł. — Błogosławione niech będzie imię Baranka za radość, jaką sprawisz Callinie. To rzekłszy, otworzył drzwi i weszli. Chory Linnus leżał na pęku słomy z twarzą wychudłą i żółtem, jak kość słoniowa, czołem. Obok ogniska siedziała Lygia, trzymając w ręku pęczek małych ryb, nanizanych na sznurek i przeznaczonych widocznie na wieczerzę. Zajęta zdejmowaniem ryb ze sznurka i w przekonaniu, że to wchodzi Ursus, nie podniosła wcale oczu. Lecz Viniciusz zbliżył się i wymówiwszy jej imię, wyciągnął ku niej rękę. Wówczas podniosła się szybko: błyskawica zdumienia i radości przemknęła po jej twarzy i bez słowa, jak dziecko, które po dniach trwogi i klęski odzyskuje ojca lub matkę, rzuciła się w jego otwarte ramiona. On zaś objął ją i czas jakiś przyciskał do piersi, również z takim uniesieniem, jakby cudownie uratowaną. Więc następnie, rozplotłszy ramiona, wziął w ręce jej skronie, całował czoło, oczy i znów ją obejmował, powtarzał jej imię, potem schylał się do jej kolan i do dłoni, witał ją, wielbił, czcił. Radość jego nie miała wprost granic, jak jego miłość i szczęście. Wreszcie począł jej opowiadać, jak przyleciał z Antium, jak szukał jej pod murami i wśród dymów, w domu Linnusa, ile się namartwił i natrwożył i ile wycierpiał, zanim Apostoł wskazał mu jej schronienie. — Lecz teraz — mówił — gdym cię odnalazł, ja cię tu nie zostawię wobec tego ognia i rozszalałych tłumów. Ludzie tu mordują się pod murami, burzą się i łupią niewolnicy, Bóg jeden wie, jakie jeszcze klęski mogą spaść na Rzym. Ale ja ocale ciebie i was wszystkich. O droga moja!... Czy chcecie jechać ze mną do Antium? Tam siądziemy na statek i popłyniemy do Sycylii. Ziemia moja, to wasze ziemie, domy moje, to wasze domy. Słuchaj mnie! W Sycylii odnajdziem Aulusów, wrócę cię Pomponii i wezmę cię potem z jej rąk. Wszak ty, o carissima, nie lękasz się już mnie więcej. Chrzt jeszcze mnie nie obmył, ale oto zapytaj Piotra, czym mu przed chwilą, idąc tu do ciebie, nie rzekł, że chcę być prawdziwym wyznawcą Chrystusa i czym go nie prosił, by mnie ochrzcił, choćby w tej chacie fossora. Zaufaj mi i zaufajcie mi wszyscy. Ligia słuchała z rozjaśnioną twarzą tych słów. Wszyscy tu, przedtem z powodu prześladowań ze

strony Żydów, a obecnie z powodu pożaru i zamętu, wywołanego przez klęskę, żyli istotnie w ciągłej niepewności i trwodze. Wyjazd do spokojnej Sycylii położyłby koniec wszystkim niepokojom, a zarazem otworzył nową epokę szczęścia w ich życiu. Gdyby Viniciusz chciał przytem zabrać tylko samą Lygię, zapewne oparłaby się pokusie, nie chcąc porzucić Piotra Apostoła i Linnusa, ale Viniciusz mówił przecie im: „Jedźcie ze mną! ziemie moje, to wasze ziemie, domy moje, to wasze domy!“ Więc, pochyliwszy się do jego ręki, by ją ucałować na znak posłuszeństwa, rzekła: — Twoje ognisko, mojem. Poczem, zawstydzona, że wymówiła słowa, które wedle rzymskiego zwyczaju powtarzały tylko oblubienice przy ślubie, oblała się rumieńcem i stała w blasku ognia, ze spuszczoną głową, niepewna, czy jej nie wezmą ich za złe. Lecz we wzroku Viniciusza malowało się tylko bezgraniczne uwielbienie. Zwrócił się następnie do Piotra i począł znów mówić: — Rzym płonie z rozkazu Cezara. Już w Antium skarżył się, że nie widział nigdy wielkiej pożogi. Ale jeśli nie cofnął się przed taką zbrodnią, pomyślcie, co się jeszcze stać może. Kto wie, czy ściągnąwszy wojska, nie każe wymordować mieszkańców. Kto wie, jakie nastąpią proskrypcye, kto wie, czy po klęsce pożaru nie nastąpi klęska wojny domowej, mordów i głodu? Chrońcie się więc i chrońmy Lygię. Tam przeczekacie burzę w spokoju, a gdy przeminie, wróćcie znowu siać ziarno wasze. Na zewnątrz, od strony ager Vaticanus, jakby na potwierdzenie obaw Viniciusza, ozwały się jakieś odległe krzyki, pełne wściekłości i przerażenia. W tej chwili nadszedł także kamieniarz, właściciel chaty i zamknąwszy pośpiesznie drzwi, zawołał: — Ludzie mordują się koło cyrku Nerona. Niewolnicy i gladyatorowie uderzyli na obywateli. — Słyszycie? — rzekł Viniciusz. — Dopełnia się miara — rzekł Apostoł — i klęski będą, jako morze nieprzebrane. Poczem zwrócił się do Viniciusza i wskazując na Lygię, rzekł: — Weź tę dziewczeczkę, którą ci Bóg przeznaczył, i ocal ją, a Linnus, który jest chory i Ursus niechaj odjadą z wami. Lecz Viniciusz, który pokochał Apostoła całą siłą swej niepohamowanej duszy, zawołał: — Przysięgam ci, nauczycielu, iż cię tu nie zostawię na zgubę. — I pobłogosławi cię Pan za twoją chęć — odrzekł Apostoł — ale zali nie słyszałeś, że Chrystus trzykroć powtórzył mi nad jeziorem: „Paś baranki moje!“ Viniciusz umilkł. — Więc jeśli ty, któremu nikt nie powierzył pieczy nade mną, mówisz, że mnie tu nie zostawisz na zgubę, jakże chcesz, abym ja odbiegał trzody mojej w dniu klęski? Gdy była burza na jeziorze i gdyśmy się trwożyli w sercach, On nie opuścił nas, jakoż więc ja, sługa, nie mam iść za przykładem Pana mojego? Wtem Linnus podniósł swą wychudłą twarz i zapytał: — A jakoż ja, namiestniku Pański, nie mam iść za przykładem twoim? Viniciusz począł wodzić ręką po głowie, jakby walczył ze sobą lub bił się z myślami, poczem chwyciwszy Lygię za rękę, rzekł głosem, w którym drgała energia rzymskiego żołnierza: — Słuchajcie mnie, Piotrze, Linnusie i ty, Lygio! Mówiłem, co mi nakazał mój ludzki rozum, ale wy macie inny, który nie własnego bezpieczeństwa patrzy, jeno przykazań Zbawiciela. Tak! Jam tego nie zrozumiał i zbłądziłem, bo z oczu moich nie zdjęte jeszcze bielmo i dawna natura odzywa się we mnie. Ale że miłuję Chrystusa i chcę być Jego sługą, przeto, choć mi tu o coś więcej, niż o własną głowę chodzi, klękam oto przed wami i przysięgam, że i ja spełnię przykazanie miłości i nie opuszczę braci moich w dniu klęski. To rzekłszy, klęknął i nagle ogarnęło go uniesienie: oczy i ręce wznosił w górę i począł wołać: — Zali rozumiem Cię już, o Chryste? zalicz Cię godzinę? Ręce drżały mu, oczy rozbłysły łzami, ciałem wstrząsał dreszcz wiary i miłości, Piotr zaś Apostoł wziął glinianą amforę z wodą i zbliżywszy się do niego, rzekł uroczyście: — Oto cię chrzczę, w imię Ojca i Syna i Ducha, amen! Wówczas uniesienie religijne ogarnęło wszystkich obecnych. Zdało im się, że izba napełnia się jakimś światłem nadziemskim, że słyszą jakąś nadziemską muzykę, że skała jaskini otwiera się nad ich głowami, że z nieba spływają roje aniołów, a hen, w górze, widać krzyż i przebite ręce błogosławiące. Tymczasem zewnątrz rozlegały się krzyki walczących ludzi i huk płomieni gorzącego miasta.

ROZDZIAŁ VI.

Obozowiska ludzkie rozłożyły się we wspaniałych ogrodach Cezara, dawnych Domicyi i Agrypiny, na polu Marsowem, w ogrodach Pompejusza, Sallustiusza i Mecenasa. Pozajmowano portyki, budynki przeznaczone na grę w piłkę, rozkoszne domy letnie i szopy, zbudowane dla zwierząt. Pawie, flamingi, łabędzie i strusie, gazelle i antylopy z Afryki, jelenie i sarny, służące za ozdobę ogrodów, poszły pod nóż tłuszczy. Żywność poczęto sprowadzać z Ostyi tak obficie, że po tratwach i różnorodnych statkach można było przechodzić z jednej strony Tybru na drugą, jak po moście. Rozdawano zboże po niesłychanie niskiej cenie trzech sestercyi, a uboższym całkiem darmo. Ściągnięto niezmiernie zapasy wina, oliwy i kasztanów; z gór przypędzano codziennie stada wołów i owiec. Nędzarze, kryjący się przed pożarem w zaułkach Subury i przymierający w zwykłych czasach głodem, żyli obecnie lepiej, niż poprzednio. Groźba głodu została stanowczo usunięta, natomiast trudniej było zapobiedz rozbojom, grabieży i nadużyciom. Koczujące życie zapewniało bezkarność rzezimieszkom, tembardziej, że głosili się wielbicielami Cezara i nie żalowali mu oklasków, gdziekolwiek się ukazał. Gdy przytem urzędy siłą rzeczy były zawieszane, a zarazem brakło na miejscu i dostatecznej siły zbrojnej, która mogłaby swawoli zapobiegać, w mieście, zamieszkałem przez męty całego ówczesnego świata, działy się rzeczy, przechodzące wyobraźnię ludzką. Co noc zdarzały się bitwy, morderstwa, porywania kobiet i pacholąt. Przy porta Mugionis, gdzie był postój dla przypędzanych z Kampanii stad, przychodziło do walk, w których ginęły setki ludzi. Co rano brzegi Tybru roiły się od utopionych ciał, których nikt nie grzebał, a które, gnijąc szybko wskutek upałów, zwiększonych jeszcze pożarem, napełniały powietrze smrodliwymi wyziewami. W obozowiskach wszczęły się choroby i lękliwsi przewidywali wielką zarazę. A miasto płonęło ciągle. Szóstego dopiero dnia pożar, trafiwszy na puste przestrzenie Eskwilinu, na których zburzono umyślnie ogromną ilość domów, począł słabnąć. Lecz stopy gorejącego węgla świeciły jeszcze tak mocno, że lud nie chciał wierzyć, by to był już koniec klęski. Jakoż, siódmej nocy pożar wybuchnął z nową siłą w budynkach Tigellina, dla braku jednak strawy trwał już krótko. Tylko przepalone domy zapadały się jeszcze tu i owdzie, wyrzucając w górę węże płomieni i słupy skier. Lecz zwolna żarzące się w głębi zgliszcza poczęły czernieć po wierzchu. Niebo, po zachodzie słońca, przestało świecić krwawą łuną i tylko podczas nocy na rozległym czarnym pustkowiu skakały błękitne języki, wydobywające się ze stosów węgla. Z czternastu dzielnic Rzymu pozostały zaledwie cztery, licząc w to i Zatybrze. Resztę pożarły płomienie. Gdy wreszcie spopielwały stopy węgla, widać było, począwszy od Tybru aż do Eskwilinu, ogromną przestrzeń siwą, smutną, umarłą, na której sterczały szeregi kominów nakształt kolumn grobowych na cmentarzu. Między temi kolumnami snuły się we dnie posępne gromady ludzi, poszukujących to drogich rzeczy, to kości drogich osób. Nocami psy wyły na popieliskach i zgliszczach dawnych domów. Cała hojność i pomoc, jaką Cezar okazał ludowi, nie powstrzymała złorzeczeń i wzburzenia. Zadowolony był tylko tłum rzezimieszków, złodziei i bezdomnych nędzarzy, który mógł dowoli jeść, pić i rabować. Ale ludzie, którzy potracili najbliższe istoty i mienie, nie dali się zjednać ni otwarciem ogrodów, ni rozdawnictwem zboża, ni obietnicą igrzysk i darów. Nieszczęście było zbyt wielkie i zbyt niesłychane. Innych, w których tliła się jeszcze jakaś iskra miłości do miasta — ojczyzny, przywodziła do rozpaczki wieść, że stara nazwa „Roma“ ma zniknąć z powierzchni ziemi i że Cezar ma zamiar wznieść z popiołów nowe miasto pod nazwą Neropolis. Fala niechęci wzbierała i rosła z dniem każdym i mimo pochlebstw augustianów, mimo kłamstw Tigellina, Nero wrażliwy, jak żaden z poprzednich cesarów, na łaskę tłumów, z trwogą rozmyślał, że w głuchej walce na śmierć i życie, jaką prowadził z patrycyuszami i senatem, może mu zbraknąć podpory. Sami augustianie niemniej byli zaniepokojeni, gdyż każde jutro mogło im przynieść zagładę. Tigellin zamyślał o sprowadzeniu kilku legii z Azyi Mniejszej. Vatyniusz, który

śmiał się nawet wówczas, gdy go policzkowano, stracił humor; Viteliusz stracił apetyt. Inni naradzali się między sobą, jak odwrócić niebezpieczeństwo, nikomu bowiem nie było tajem, że gdyby jaki wybuch zmiotł Cezara, to za wyjątkiem może Petroniusza, ani jeden z augustianów nie uszedłby z życiem. Ich to przecie wpływom przypisywano szaleństwa Nerona, ich podszeptom wszystkie zbrodnie, jakie spełnił. Nienawiść przeciw nim była niemal silniejsza, niż przeciw niemu. Poczęli więc wysilać głowy, jakby zrzucić z siebie odpowiedzialność za spalenie miasta. Ale chcąc ją zrzucić z siebie, należało oczyścić od posądzeń i Cezara, inaczej bowiem niktby nie uwierzył, że nie byli sprawcami klęski. Tigellin naradzał się w tym celu z Dominicyuszem Afrem, a nawet i z Seneką, chociaż go nienawdził. Poppea, rozumiejąc również, że zguba Nerona byłaby wyrokiem i na nią, zasięgała zdania swych powierników i kapłanów hebrajskich, przypuszczano bowiem powszechnie, że od lat kilku wyznawała wiarę w Jehowę. Nero wynajdował sposoby na swoją rękę, często straszne, częściej jeszcze błazeńskie i naprzemian to wpadał w strach, to bawił się, jak dziecko, przedewszystkiem jednak wyrzekał. Pewnego razu, w ocalonym z pożaru domu Tyberysza, trwała długa i bezskuteczna narada. Petroniusz był zdania, żeby poniechawszy kłopotów, jechać do Grecji, a następnie do Egiptu i Azyi Mniejszej. Podróż była przecie zamierzona oddawna, po co więc ją odkładać, gdy w Rzymie i smutno i niebezpiecznie. Cezar przyjął radę z zapalem, lecz Seneka pomyślawszy chwilę, rzekł: — Pojechać łatwo, ale wrócić byłoby potem trudniej. — Na Herakla! — odpowiedział Petroniusz — wrócić możnaby na czele legii azyatyckich. — Tak uczynię! — zawołał Nero. Ale Tigellinus począł się sprzeciwiać. Nie umiał sam nic wynaleźć i gdyby pomysł Petroniusza przyszedł mu do głowy, ogłosiłby go niewątpliwie jako zbawczy, chodziło mu jednak o to, by Petroniusz nie okazał się powtórnie jedynym człowiekiem, który w ciężkich chwilach potrafi wszystko i wszystkich ocalić. — Słuchaj mnie, boski! — rzekł — rada jest zgubna! Zanim dojedziesz do Ostyi, rozpocznie się wojna domowa, kto wie, czy kto z żyjących jeszcze pobocznych potomków boskiego Augusta nie ogłosi się Cezarem, a wówczas co uczynimy, jeśli legie staną po jego stronie? — Uczynimy to — odrzekł Nero — iż przedtem postaramy się, aby zbrakło potomków Augusta. Niewielu już ich jest, więc uwolnić się od nich łatwo. — Uczynić to można, ale czy tylko o nich chodzi? Ludzie moi, nie dawniej, jak wczoraj, słyszeli w tłumie, że Cezarem powinien być taki mąż, jak Trazeasz. Nero przygryzł wargi. Po chwili jednak wznosił oczy w górę i rzekł: — Nienasyceni i niewdzięczni. Mają dość zboża i węgla, na których mogą piec placki, czegoż chcą więcej? Na to Tigellinus rzekł: — Zemsty. Nastąpiło milczenie. Nagle Cezar wstał, podniósł rękę do góry i począł deklamować:

„Serca zemsty wołają, a zemsta ofiary“.

Poczem, zapomniawszy o wszystkim, zawołał z rozjaśnioną twarzą: — Niech mi podadzą tabliczki i styl, abym ten wiersz zapisał. Nigdy Lukan nie ułożył podobnego. Czyście uważali, że znalazł go w gnieniu oka? — O, niezrównany! — ozwało się kilka głosów. Nero zapisał wiersz i rzekł: — Tak! zemsta chce ofiary. Poczem powiódł wzrokiem po otaczających: — A gdyby puścić wieść, że to Watyniusz kazał podpalić miasto i poświęcić go gniewowi ludu? — O boski! Kimże ja jestem? — zawołał Watyniusz. — Prawda! Trzeba kogoś większego od ciebie... Witeliusza?... Witeliusz pobladł, lecz począł się śmiać. — Mój tłuszcz — odrzekł — mógłby chyba nanowo rozniecić pożar. Ale Nero miał co innego na myśli, szukał bowiem w duszy ofiary, któraby naprawdę mogła zaspokoić gniew ludu i znalazł ją. — Tigellinie — rzekł po chwili — ty spaliłeś Rzym! Po zgromadzonych przebiegł dreszcz. Zrozumieli, że Cezar tym razem przestał żartować i że nadchodzi chwila brzemienna w wypadki. A twarz Tigellina skurczyła się, jak paszcza psa, gotowego kąsać. — Spaliłem Rzym, z twego rozkazu — rzekł. I poczęli patrzeć na siebie, jak dwa demony. Nastąpiła taka cisza, że słyszeć było brzęk much, przelatujących przez atrium. — Tigellinie — ozwał się Nero — czy ty mnie kochasz? — Ty wiesz, panie. — Poświęć się dla mnie! — Boski Cezarze — odrzekł Tigellinus — czemu mi podajesz słodki napój, którego mi niewolno do ust podnieść? Lud szemrze i burzy się, czy chcesz, by poczęli burzyć się i pretorianie? Poczucie grozy ścisnęło serca obecnych. Tigellinus był prefektem pretoryi i słowa jego miały wprost znaczenie groźby. Sam Nero zrozumiał to i twarz jego oblekła się bladością. Wtem wszedł Epafrodyt, wyzwolenc Cezara, z oznajmieniem, że boska Augusta życzy sobie widzieć Tigellina, albowiem ma u siebie ludzi, których prefekt powinien wysłuchać. Tigellin skłonił się Cezarowi i wyszedł z twarzą spokojną i pogardliwą. Oto, gdy chciano go uderzyć, pokazał zęby; dał do zrozumienia, kim jest i znając tchórzostwo Nerona, był pewien, że ów władca świata nigdy nie poważy się podnieść przeciw niemu ręki. Nero zaś siedział przez chwilę w milczeniu, lecz widząc, że obecni oczekują od niego jakiegoś słowa, rzekł: — Wyhodowałem węża na łonie. Petroniusz wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że takiemu wężowi nietrudno urwać głowę. — Co powiesz? mów, radź! — zawołał Nero, ujrzawszy jego ruch — tobie jednemu ufam, bo ty masz więcej rozumu od nich wszystkich i kochasz mnie! Petroniusz miał już na ustach: „Mianuj mnie prefektem pretoryi, a ja wydam ludowi Tigellina i uspokoję w jednym dniu miasto“. Lecz wrodzone mu lenistwo przemogło. Być prefektem, znaczyło właściwie dźwigać na barkach osobę Cezara i tysiące spraw publicznych. I po co mu ten trud? Zali nie lepiej czytywać w rozkosznej bibliotece wiersze, oglądać wazy i posągi, lub trzymając na łonie boskie ciało Eunice, przebierać palcami w jej złotych włosach i schylać usta do jej koralowych ust. Więc rzekł: — Ja radzę jechać do Achai. — Ach — odpowiedział Nero — czekałem od ciebie czegoś więcej. Senat mnie nienawidzi. Gdy wyjadę, któż mi zaręczy, czy nie zbuntują się przeciw mnie i nie ogłoszą kogo innego Cezarem? Lud był mi dawniej wierny, ale dziś pójdzie za nimi... Na Hades! gdyby ten senat i ten lud miał jedną głowę!... — Pozwól powiedzieć sobie, o boski, że chcąc zachować Rzym, trzeba zachować choć kilku Rzymian — rzekł z uśmiechem Petroniusz. Lecz Nero począł narzekać: — Co mi po Rzymie i Rzymianach! Słuchanoby mnie w Achai. Tu otacza mnie tylko zdrada. Wszyscy mnie opuszczają! i wy gotowicie mnie zdradzić! Wiem to, wiem!... Wy ani pomyślicie, co powiedzą o was potomne wieki, gdy opuścicie takiego artystę, jak ja. Tu nagle uderzył się w czoło i zawołał: — Prawda!... Wśród tych trosk zapominam i ja, kim jestem. To rzekłszy, zwrócił się do Petroniusza z twarzą całkiem już rozjaśnioną. — Petroniuszu — rzekł — lud szemrze, ale gdybym wziął lutnię i wyszedł z nią na pole Marsowe, gdybym zaśpiewał mu tę pieśń, którą śpiewałem wam w czasie pożaru, czy sądzisz, że nie wzruszyłbym go moim śpiewem, jak niegdyś Orfeusz wzruszał dzikie zwierzęta? Na to Tulliusz Senecio, któremu pilno było wrócić do swoich niewolnic, przywiezionych z

Antium i który niecierpliwił się oddawna, rzekł: — Bezwątpienia, Cezarze, gdyby ci pozwolili rozpocząć. — Jedźmy do Hellady! — zawołał z niechęcią Nero. Lecz w tej chwili weszła Poppea, a za nią Tigellinus. Oczy obecnych zwróciły się mimowoli ku niemu, nigdy bowiem żaden tryumfator nie wjeżdżał z taką dumą na Kapitol, z jaką on stanął przed Cezarem. Poczem ją mówić z wolna i dobitnie, głosem, w którym był jakby zgrzyt żelaza: — Wysłuchaj mnie, Cezarze, albowiem mogę ci powiedzieć: znalazłem! Ludowi potrzeba zemsty i ofiary, ale nie jednej, lecz setek i tysięcy. Zaliś ty kiedy słyszał, panie, kto był Chrestos, ten przez Ponciusza Piłata ukrzyżowan? i czy wiesz, kto są chrześcijanie? Zalim ci nie mówił o ich zbrodniach i bezecnych obrzędach, o przepowiedniach, iż ogień przyniesie koniec świata? Lud nienawidzi ich i podejrzewa. Nikt ich nie widział w świątyniach, albowiem bogów naszych poczytują za złe duchy; nie masz ich w Stadium, bo pogardzają gonitwami. Nigdy dłonie żadnego chrześcijanina nie uczciły cię oklaskiem. Nigdy żaden nie uznał cię za boga. Nieprzyjaciółmi są rodu ludzkiego, nieprzyjaciółmi miasta i twymi. Lud szemrze przeciw tobie, ale nie tyś mi, Cezarze, kazał spalić Rzym i nie ja go spaliłem... Lud pragnie zemsty, niech ją ma. Lud pragnie krwi i igrzysk, niech je ma. Lud podejrzewa ciebie, niech jego podejrzenia zwróca się w inną stronę. Nero słuchał z początku ze zdumieniem. Lecz w miarę słów Tigellina, aktorska twarz jego poczęła się zmieniać i przybierać naprzemian wyraz gniewu, żalu, współczucia, oburzenia. Nagle powstał i zrzuciwszy z siebie togę, która spłynęła mu do stóp, wyciągnął obie ręce w górę i przez chwilę pozostał tak w milczeniu. Wreszcie ozwał się głosem tragika: — Zeusie, Apollinie, Hero, Atene, Persefona i wy wszyscy nieśmiertelni bogowie, czemuście nie przyszli nam w pomoc? Co to nieszczęsne miasto uczyniło tym okrutnikom, że je tak niehumanie spalili? — Nieprzyjaciółmi są rodu ludzkiego i twymi — rzekła Poppea. A inni poczęli wołać: — Uczyni sprawiedliwość. Ukarz podpalaczy! Sami bogowie chcą pomsty. On zaś siadł, spuścił głowę na piersi i znów milczał, jakby niegodziwość, o której usłyszał, ogłuszyła go. Lecz po chwili potrząsnął rękoma i ozwał się: — Jakież kary i jakież męki godne są takiej zbrodni?... Ale bogi mnie natchną i z pomocą potęg Tartaru dam biednemu ludowi memu takie widowisko, że przez wieki będzie mnie wspominał z wdzięcznością. Czoło Petroniusza pokryło się nagle chmurą. Pomyślał o niebezpieczeństwie, jakie zawiśnie nad Lygią, nad Viniciuszem, którego kochał i nad wszystkimi tymi ludźmi, których naukę odrzucał, ale o których niewinności był przekonany. Pomyślał również, że rozpocznie się jedna z takich krwawych orgii, jakich nie znosiły jego oczy estety: Lecz przedewszystkiem mówił sobie: „Muszę ratować Viniciusza, który oszaleje, jeśli tamta dziewczyna zginie“ i ten wzgląd przeważał wszystkie inne, Petroniusz rozumiał bowiem dobrze, że poczyna grę tak niebezpieczną, jak nigdy w życiu. Począł wszelako mówić swobodnie i niedbale, jak mówił zwykle, gdy krytykował lub wyśmiewał niedość estetyczne pomysły Cezara i augustianów: — A więc znaleźliście ofiary! Dobrze! Możecie je posłać na areny lub przybrać w „bolesne tuniki“. Również dobrze! Ale posłuchajcie mnie: Macie władzę, macie pretorianów, macie siłę, bądźcie zatem szczerzy, przynajmniej wówczas, gdy nikt was nie słyszy. Oszukujcie lud, ale nie siebie samych. Wydajcie ludowi chrześcijan, skażcie ich na jakie chcecie męki, miejcie jednak odwagę powiedzieć sobie, że nie oni spalili Rzym!... Phy!! Nazywacie mnie arbitrem elegancyi, więc oświadczam wam, że nie znoszę nędznych komedyi. Phy! Ach, jak to wszystko przypomina mi budy teatralne koło porta Asinaria, w których aktorowie grają dla uciechy przedmiejskiej gawiedzi bogów i królów, a po przedstawieniu popijają cebulę kwaśnem winem lub dostają baty. Bądźcie naprawdę bogami i królami, bo mówię wam, że możecie sobie na to pozwolić. Co do ciebie, Cezarze, groziłeś nam sądem wieków potomnych, ale pomyśl, że one wydadzą wyrok i o tobie. Na boską Klio! Nero władca świata, Nero bóg, spalił Rzym, bo był tak potężnym na ziemi, jak Zeus w Olimpie. Nero poeta, kochał tak poezję, że poświęcił dla niej ojczyznę! Od początku świata nikt nic podobnego nie

uczynił, na nic podobnego się nie ważył. Zaklinam cię w imię dziewięciu Libetid, nie wyrzekaj się takiej sławy, bo oto pieśni o tobie będą brzmiały do skończenia wieków. Czemże przy tobie będzie Pryam? czem Agamemnon? czem Achilles? czem sami bogowie? Mniejsza, czy spalenie Rzymu jest rzeczą dobrą, ale jest wielką i niezwykłą! A przytem mówię ci, że lud nie podniesie na ciebie dłoni! To nieprawda! Miej odwagę! strzeż się postępków niegodnych ciebie, bo tobie grozi tylko to, że potomne wieki mogą powiedzieć: „Nero spalił Rzym, ale jako małoduszny Cezar i małoduszny poeta, wyparł się wielkiego czynu ze strachu i zrzucił winę na niewinnych!“ Słowa Petroniusza czyniły zwykle silne na Neronie wrażenie, lecz tym razem sam Petroniusz nie łudził się, rozumiał bowiem, iż to, co mówi, jest środkiem ostatecznym, który może wprawdzie w szczęśliwym wypadku uratować chrześcijan, ale jeszcze łacniej może zgubić jego samego. Nie zawahał się jednak, gdyż szło mu zarazem o Viniciusza, którego kochał i o hazard, którym się bawił. „Kości są rzucone, mówił sobie, i zobaczymy, o ile w małpie strach o własną skórę przeważy nad miłością dla sławy“. I w duszy nie wątpił, że jednak przeważy strach. Tymczasem po słowach jego zapadło milczenie. Poppea i wszyscy obecni patrzyli, jak w tęczę, w oczy Nerona, ów zaś począł podnosić wargi w górę, zbliżając je do samych nozdrzy, jak zwykł był czynić, gdy nie wiedział, co począć, wreszcie zakłopotanie i niechęć odbiły się widocznie na jego twarzy. — Panie — zawołał, widząc to, Tigellinus — pozwól mi odejść, bo gdy chcą wystawić na zgubę twą osobę, a przytem zwać cię małoduszny Cezarem, małoduszny poeta, podpalaczem i komedyantem, uszy moje nie mogą znieść takich słów. — Przegrałem — pomyślał Petroniusz. Lecz, zwróciwszy się do Tigellina, zmierzył go wzrokiem, w którym była pogarda wielkiego pana i wykwintnego człowieka dla nędznika, poczem rzekł: — Tigellinie, ciebie to nazwałem komedyantem, albowiem jesteś nim nawet i teraz. — Czy dlatego, że nie chcę słuchać twych obelg? — Dlatego, że udajesz miłość bez granic dla Cezara, a przed chwilą groziłeś mu pretorianami, co zrozumieliśmy my wszyscy i on także. Tigellinus, który nie spodziewał się, aby Petroniusz ośmielił się rzucić na stół podobne kości, pobladł, stracił głowę i oniemiał. Ale było to ostatnie zwycięstwo arbitra elegancyi nad współzawodnikiem, gdyż w tej chwili Poppea rzekła: — Panie, jak możesz pozwolić, by nawet myśl taka przeszła przez czyjąś głowę, a tembardziej, by ktoś ośmielił się wypowiedzieć ją głośno wobec ciebie. — Ukarz zuchwalca! — zawołał Witeliusz. Nero podniósł znów wargi do nozdrzy i zwróciwszy na Petroniusza swe szkliste oczy krótkowidza, rzekł: — Tak-że to wypłacasz mi się za przyjaźń, którą dla ciebie miałem? — Jeśli się mylę, dowiedz mi tego — odpowiedział Petroniusz — lecz wiedz, że mówię to, co mi nakazuje miłość do ciebie. — Ukarz zuchwalca! — powtórzył Witeliusz. — Uczynź to! — ozwało się kilka głosów. W atrium zrobił się szmer i ruch, albowiem ludzie poczęli się odsuwać od Petroniusza. Odsunął się nawet Tulliusz Senecio, jego stały towarzysz przy dworze i młody Nerwa, który okazywał mu dotychczas najżywszą przyjaźń. Po chwili Petroniusz został sam po lewej stronie atrium i z uśmiechem na ustach, rozgarniając dłonią fałdy togi, czekał jeszcze, co powie lub pocznie Cezar. Cezar zaś rzekł: — Chcecie, bym go ukarał, lecz to mój towarzysz i przyjaciel, więc chociaż zranił mi serce, niech wie, że to serce ma dla przyjaciół tylko... przebaczenie. — Przegrałem i zginąłem — pomyślał Petroniusz. Tymczasem Cezar wstał, narada była skończona.

ROZDZIAŁ VII.

Petroniusz udał się do siebie, Nero zaś z Tigellinem przeszli do atrium Poppei, gdzie czekali na nich ludzie, z którymi prefekt poprzednio rozmawiał. Było tam dwóch „rabbich“ z Zatybrza, przybranych w długie uroczyste szaty, z mitrami na głowach, młody pisarz, ich pomocnik, oraz Chilo. Na widok Cezara, kapłani pobledli ze wzruszenia i podniósłszy na wysokość ramion ręce, pochylili głowy aż do dłoni. — Witaj, monarcho monarchów i królu królów — rzekł starszy — witaj władco ziemi, opiekunie ludu wybranego i Cezarze, lwie między ludźmi, którego panowanie jest jako światłość

słoneczna i jako cedr libański i jako źródło i jako palma i jako balsam jerychoński!... — Nie nazywacie mnie bogiem? — spytał Cezar. Kapłani pobledli jeszcze mocniej; starszy znów zabrał głos: — Słowa twoje, panie, są słodkie, jako grono winnej macicy i jako figa dojrzała, albowiem Jehowa nappełnił dobrocią serce twoje. Lecz poprzednik ojca twego, cesar Caius, był okrutnikiem, a jednak wysłańcy nasi nie nazywali go bogiem, przekładając śmierć samą nad obrazę Zakonu. — I Kaligula kazał ich rzucić lwom? — Nie, panie. Cezar Caius uląkł się gniewu Jehowy. I podnieśli głowy, albowiem imię potężnego Jehowy dodało im odwagi. Ufni w moc jego, śmielej już patrzyli w oczy Nerona. — Oskarżacie chrześcijan o spalenie Rzymu? — spytał Cezar. — My, panie, oskarżamy ich tylko, że są nieprzyjaciółmi Zakonu, nieprzyjaciółmi rodu ludzkiego, nieprzyjaciółmi Rzymu i twymi i że oddawna grozili miastu i światu ogniem. Resztę dopowie ci ten człowiek, którego usta nie skalają się kłamstwem, albowiem w żyłach jego matki płynęła krew wybranego narodu. Nero zwrócił się do Chilona: — Kto jesteś? — Twój czciciel, Ozyrysie, a przytem ubogi stoik... — Nienawidzę stoików — rzekł Nero — nienawidzę Trazeasza, nienawidzę Musoniusza i Kornuta. Wstrętna mi jest ich mowa, ich pogarda sztuki, ich dobrowolna nędza i niechlujstwo. — Panie, twój mistrz Seneka ma tysiąc stołów cytrusowych. Zechciej tylko, a będę ich miał dwakroć więcej. Jestem stoikiem z potrzeby. Przybierz, o Promienisty, mój stoicyzm w wieniec z róż i postaw przed nim dzban wina, a będzie śpiewał Anakreonta tak, że zgłuszy wszystkich epikurejczyków. Nero, któremu przypadł do smaku przydomek: „Promienisty“, uśmiechnął się i rzekł: — Podobasz mi się! — Ten człowiek wart tyle złota, ile sam waży — zawołał Tigellinus. Chilo zaś odpowiedział: — Dopełnij, panie, mojej wagi twoją hojnością, gdyż inaczej wiatr uniesie zapłatę. — Zaiste, nie przeważylbyś Witeliusza — wtrącił Cezar. — Eheu, Srebrnołuki, mój dowcip nie jest z ołowiu. — Widzę, że twój Zakon nie zabrania ci zwać mnie bogiem? — O, nieśmiertelny! mój Zakon jest w tobie: chrześcijanie bluźnili przeciw temu zakonowi i dlatego ich znieawidził. — Co wiesz o chrześcijanach? — Czy pozwolisz mi płakać, boski? — Nie — rzekł Nero — to mnie nudzi. — I potrzykroć masz słuszność, albowiem oczy, które cię widziały, powinny raz na zawsze oschnąć z łez. Panie, broń mnie od moich nieprzyjaciół. — Mów o chrześcijanach — rzekła Poppea z odcieniem niecierpliwości. — Będzie, jak ty każesz, Izydo — odpowiedział Chilo. — Oto od młodości poświęciłem się filozofii i szukałem prawdy. Szukałem jej i u dawnych boskich mędrców i w Akademii w Atenach i w Serapeum Aleksandryjskim. Posłyszawszy o chrześcijanach, sądziłem, że to jest jakaś nowa szkoła, w której będę mógł znaleźć kilka ziarn prawdy i poznałem się z nimi, na moje nieszczęście!! Pierwszym chrześcijaninem, do którego mnie zły los zbliżył, był Glaukos, lekarz w Neapolu. Od niego to dowiedziałem się z czasem, że oni oddają cześć niejakiemu Chrestosowi, który im obiecał wytepić wszystkich ludzi i zniszczyć wszystkie miasta na ziemi, ich zaś zostawić, jeżeli mu pomogą w wytepieniu deukalionowych dzieci. Dlatego to, o panie, oni nienawidzą ludzi, dlatego zatruwają fontanny, dlatego na zebraniach swych miotają przekleństwa na Rzym i na wszystkie świątynie, w których cześć bywa oddawana naszym bogom. Chrestos był ukrzyżowany, ale obiecał im, że gdy Rzym będzie zniszczony ogniem, wówczas po raz drugi przyjdzie na świat — i odda im panowanie nad ziemią... — Teraz lud zrozumie, dlaczego Rzym został spalony — przerwał Tigellinus. — Wielu już rozumie, panie — odpowiedział Chilo — albowiem chodzę po ogrodach, po polu Marsowem i nauczam. Lecz, jeśli mnie zechcecie wysłuchać do końca, zrozumiecie, jakie mam do zemsty powody. Glaukos-lekarz nie zdradzał się z początku przede mną, że ich nauka nakazuje nienawiść do ludzi. Owszem! mówił mi, że Chrestos jest dobrem bóstwem i że podstawą jego nauki jest miłość. Tkliwe moje serce nie mogło się oprzeć takim prawdom, więc pokochałem Glaukosa i zaufałem mu. Dzieliłem się z nim każdym kawałkiem chleba, każdym groszem i czy wiesz, panie, jak mi się wypłacił? Oto w drodze z Neapolu do Rzymu pchnął mnie nożem, moją zaś żonę, moją piękną i

młodą Berenikę zaprzedał handlarzom niewolników. Gdyby Sofokles znał moje dzieje... ale, co mówię! słucha mnie ktoś lepszy, niż Sofokles. — Biedny człowiek! — rzekła Poppea. — Kto ujrzał oblicze Afrodyty, nie jest biednym, pani, a ja widzę je w tej chwili. Lecz wówczas szukałem pociechy w filozofii. Przybywszy do Rzymu, starałem się trafić do starszych chrześcijańskich, aby uzyskać sprawiedliwość na Glauku. Myślałem, że go zmuszą do oddania mi żony... Poznałem ich arcykapłana, poznałem drugiego, imieniem Paweł, który był tu uwięzion, ale potem został uwolniony, poznałem syna Zebedeusza, poznałem Lina i Kleta i wielu innych. Wiem, gdzie mieszkali przed pożarem, wiem, gdzie się schodzą, mogę wskazać jedno podziemie we wzgórzu Watykańskim i jeden cmentarz za bramą Nomentańską, na którym odprawują swoje bezecne obrzędy. Widziałem tam Piotra Apostoła, widziałem Glauka, jak mordował dzieci, aby Apostoł miał czem skrapiać głowy obecnych i widziałem Lygię, wychowankę Pomponii Graeciny, która chępiła się, że nie mogąc przynieść krwi dziecięcej, przynosi jednak śmierć dziecka, albowiem urzekła małą Augustę, córkę twoją, o Ozyrysie! i twoją, o Izydo! — Słyszysz, Cezarze! — rzekła Poppea. — Być-że to może? — zawołał Nero. — Mogłem odpuścić krzywdy własne — mówił dalej Chilo — lecz usłyszawszy o waszych, chciałem ją nożem pchnąć. Niestety, przeszkodził mi szlachetny Viniciusz, który ją miłuje. — Viniciusz? wszakże ona od niego uciekła? — Ona uciekła, ale on jej szukał, gdyż nie mógł bez niej żyć. Za nędzną zapłatę pomagałem mu jej szukać i ja to wskazałem mu dom, w którym mieszkała wśród chrześcijan na Zatybrzu. Udaliśmy się tam razem, a z nami i twój zapaśnik, Kroto, którego szlachetny Viniciusz najął dla bezpieczeństwa. Lecz Ursus, niewolnik Lygii, zdusił Krotona. Człowiek to strasznej siły, o panie, który bykom skręca głowy tak łatwo, jakby inny skręcał makówki. Aulus i Pomponia miłowali go za to. — Na Herkulesa — rzekł Nero. — Śmiertelnik, który zdusił Krotona, godzien jest mieć posąg na Forum. Ale mylisz się lub zmyślasz, starcze, albowiem Krotona zabił nożem Viniciusz. — Tak to ludzie okłamują bogów. O panie, ja sam widziałem, jak żebra Krotona łamały się w rękach Ursusa, który następnie powalił i Viniciusza. Byłby go zabił, gdyby nie Lygia. Viniciusz długo potem chorował, lecz oni pielęgowali go, mając nadzieję, że z miłości stanie się chrześcijaninem. Jakoż stał się chrześcijaninem. — Viniciusz? — Tak jest. — A może i Petroniusz? — spytał skwapliwie Tigellin. Chilo począł więc się, trzeć ręce i rzekł: — Podziwiam twą przenikliwość, panie! O!... być może! bardzo być może! — Teraz rozumiem, dlaczego tak bronił chrześcijan. Lecz Nero począł się śmiać. — Petroniusz chrześcijaninem!... Petroniusz nieprzyjacielem życia i rozkoszy. Nie bądźcie głupcami i nie chcecie, abym w to wierzył, gdyż gotówem w nic nie uwierzyć. — Lecz szlachetny Viniciusz został chrześcijaninem, panie. Przysięgam na ten blask, jaki od ciebie bije, że mówię prawdę i że nic nie przejmuję mnie takim obrzydzeniem, jak kłamstwo. Pomponia jest chrześcijanką, mały Aulus jest chrześcijaninem i Lygia i Viniciusz. Służyłem mu wiernie, on zaś w nagrodę na żądanie Glauka-lekarza kazał mnie schłostać, choć jestem stary, a byłem chory i głodny. I przysięgłem na Hades, że mu to zapamiętam. O panie, pomścij na nich moje krzywdy, a ja wam wydam Piotra Apostoła i Linnusa i Kleta i Glauka i Kryspa, samych starszych i Lygię i Ursusa, wskażę wam ich setki, tysiące, wskażę domy modlitwy, cmentarze, wszystkie wasze więzienia nie obejmą ich!... Beze mnie nie potrafilibyście ich znaleźć! Dotychczas w biedach moich szukałem pociechy tylko w filozofii, niechaj ją teraz znajdę w łaskach, jakie na mnie spłyną... Stary jestem, a nie zaznałem życia, niech odpocznę!... — Chcesz być stoikiem przed pełną misą — rzekł Nero. — Kto oddaje przysługę tobie, tem samem ją napelnia. — Nie mylisz się, filozofie. Ale Poppea nie traciła z myśli swych nieprzyjaciół. Upodobanie jej do Viniciusza było wprawdzie raczej chwilowem zachcieniem, powstałem pod wpływem zazdrości, gniewu i obrażonej miłości własnej. A jednak chłód młodego patrycyusza dotknął ją głęboko i nappełnił jej serce zawziętą urazą. Już to samo, że śmiał przenieść nad nią inną, zdawało jej się występkiem, wołającym

o pomstę. Co do Lygii, zienawidziła ją od pierwszej chwili, w której zaniepokoiła ją piękność tej północnej lilii. Petroniusz, który mówił o zbyt wązkich biodrach dziewczyny, mógł wmówić, co chciał w Cezara, ale nie w Augustę. Znawczyni Poppea od jednego rzutu oka zrozumiała, że w całym Rzymie jedna Lygia może z nią współzawodniczyć, a nawet ją zwyciężyć. I od tej chwili zaprzysięgła jej zgubę. — Panie — rzekła — pomścij nasze dziecko! — Śpieszcie się! — zawołał Chilo — śpieszcie się! inaczej Viniciusz ją ukryje. Ja wskażę dom, do którego znów wrócili po pożarze. — Dam ci dziesięciu ludzi i idź natychmiast — rzekł Tigellinus. — Panie! tyś nie widział Krotona w rękach Ursusa: jeśli dasz pięćdziesięciu, pokażę tylko zdaleka dom. Ale jeśli nie uwierzycie i Viniciusza, zginąłem. Tigellin spojrział na Nerona. — Czyby nie było dobrze, o boski, załatwić się zarazem z wujem i siostrzeńcem? Nero pomyślał chwilę i odrzekł: — Nie! nie teraz!... Ludzie nie uwierzyliby, gdyby chciano w nich wmówić, że Petroniusz, Viniciusz lub Pomponia Graecina podpalili Rzym. Zbyt piękne mieli domy... Dziś trzeba innych ofiar, a tamtych kolej przyjdzie później. — Więc daj mi, panie, żołnierzy, by mnie strzegli — rzekł Chilo. — Tigellin pomyśli o tem. — Zamieszkasz tymczasem u mnie — rzekł prefekt. Radość poczęła bić od twarzy Chilona. — Wydam wszystkich! tylko się śpieszcie! Śpieszcie się! — wołał ochrypłym głosem.

ROZDZIAŁ VIII.

Petroniusz, wyszedłszy od Cezara, kazał się nieść do swego domu na Karynach, który, otoczony z trzech stron ogrodem i mając z przodu małe forum Cecyliów, wyjątkowo ocalał w czasie pożaru. Z tego powodu inni augustianie, którzy potracili domy, a w nich mnóstwo bogactw i dzieł sztuki, nazywali Petroniusza szczęśliwym. Mówiono zresztą o nim oddawna, że jest pierworodnym synem Fortuny, a coraz żywsza przyjaźń, jaką mu w ostatnich czasach okazywał Cezar, zdawała się potwierdzać słuszność tego mniemania. Lecz ów pierworodny syn Fortuny mógł rozmyślać teraz chyba nad zmiennością tej matki, a raczej nad podobieństwem jej z Chronosem, pożerającym własne dzieci. — Gdyby mój dom był się spalił — mówił sobie — a z nim razem moje gemmy, moje naczynia etruskie i szkło aleksandryjskie, i miedź koryncka, to może Nero naprawdę zapomniałby urazy. Na Polluksa! I pomyśleć, że ode mnie tylko zależało, by w obecnej chwili być prefektem pretorianów. Byłbym Tigellina ogłosił za podpalacza, którym zresztą jest, byłbym go ubrał w bolesną tunikę, wydał ludowi, ochronił chrześcijan i odbudował Rzym. Kto wie nawet, czy uczciwym ludziom nie poczęłoby się dźiać lepiej. Powinienem był to zrobić, choćby ze względu na Viniciusza. W razie zbytnej roboty, jemu ustąpiłbym urząd prefekta — i Nero nie próbowałby się nawet opierać... Niechby sobie Viniciusz ochrzcił potem wszystkich pretorianów i samego nawet Cezara, co mi to mogło szkodzić! Nero pobożny, Nero cnotliwy i miłosierny, pociesznyby nawet przedstawiał widok. I jego niekłopotliwość była tak wielka, że począł się uśmiechać. Lecz po chwili myśl jego zwróciła się w inną stronę. Zdawało mu się, że jest w Antium i że Paweł z Tarsu mówi do niego: „Nazywacie nas nieprzyjaciółmi życia, ale odpowiedz mi, Petroniuszu: gdyby Cezar był chrześcijaninem i postępował wedle naszej nauki, czy życie wasze nie byłoby pewniejsze i bezpieczniejsze?“ I, wspomniawszy te słowa, mówił sobie dalej: — Na Kastora! Ilu tu chrześcijan pomordują, tylu Paweł znajdzie nowych, bo, jeśli świat nie może stać na łotrostwie, to on ma słuszność... Ale kto wie, czy nie może, skoro stoi. Ja sam, który nauczyłem się niemało, nie nauczyłem się, jak być dość wielkim łotrem i dlatego przyjdzie sobie żyły otworzyć... Ale przecie na tem musiałyby się skończyć, a gdyby nawet nie skończyło się tak, to skończyłoby się inaczej. Szkoda mi Eunice i mojej wazy myrreńskiej, ale Eunice jest wolną a waza pójdzie ze mną. Ahenobarbus nie dostanie jej w żadnym razie! Szkoda mi również Viniciusza. Zresztą, jakkolwiek mniej nudziłem się w ostatnich czasach, niż dawniej, jestem gotów. Na świecie rzeczy są piękne, ale ludzie w większej części tak plugawi, że życia nie warto żałować. Kto umiał żyć, ten powinien umieć umrzeć.

Jakkolwiek należałem do augustianów, byłem człowiekiem więcej wolnym, niż oni tam przypuszczają. Tu wzruszył ramionami: — Oni tam może myślą, że w tej chwili drżą mi kolana i strach podnosi mi włosy na głowie, a ja, wróciwszy do domu, wezmę kąpiel w fijołkowej wodzie, poczem moja złotowłosa sama mnie namaści i po posiłku każemy sobie śpiewać na głosy ten hymn do Apollina, który ułożył Anthemios. Sam kiedyś powiedziałem: o śmierci nie warto myśleć, bo ona bez naszej pomocy o nas myśli. Byłoby jednak rzeczą godną podziwu, gdyby naprawdę istniały jakie pola Elizejskie, a na nich cienie... Eunice przyszlaby z czasem do mnie i błędzilibyśmy razem po łąkach, porośłych asfodelem. Znalazłbym też towarzystwo lepsze, niż tu... Co za błazny! co za kuglarze, co za gmin plugawy bez smaku i poloru! Dziesięciu arbirów elegancyi nie przerobiłoby tych Trymalchionów na przyzwoitych ludzi. Na Persefonę! mam ich dosyć! I spostrzegł ze zdziwieniem, że już coś rozdzieliło go od tych ludzi. Znał ich przecie dobrze i wiedział przedtem, co o nich sądzić, a jednak wydali mu się teraz jacyś dalsi i godniejsi pogardy, niż zwykle. Naprawdę miał ich dosyć. Lecz następnie począł zastanawiać się nad położeniem. Dzięki swej przenikliwości, zrozumiał, że zguba nie grozi mu natychmiast. Nero skorzystał przecie z odpowiedniej chwili, aby wypowiedzieć kilka pięknych, podniosłych słów o przyjaźni, o przebaczeniu i poniekąd związał się niemi. Będzie teraz musiał szukać pozorów, a nim je znajdzie, może upłynąć sporo czasu. Przedewszystkiem wyprawi igrzysko z chrześcijan — mówił sobie Petroniusz — potem dopiero pomyśli o mnie, a jeśli tak, to nie warto się tem kłopotać, ni zmieniać trybu życia. Bliższe niebezpieczeństwo grozi Viniciuszowi!.. I odtąd myślał już tylko o Viniciuszu, którego postanowił ratować. Niewolnicy nieśli szybko lektykę wśród ruin popielisk i kominów, jakimi były jeszcze zapełnione Karyny, lecz on rozkazał im biedz pędem, by jak najprędzej stanąć u siebie. Viniciusz, którego „insula“ spłonęła, mieszkał u niego i na szczęście był w domu. — Widziałeś dziś Lygię? — spytał go na wstępie Petroniusz. — Od niej wracam. — Słuchajże, co ci powiem, i nie trać czasu na pytania. Postanowiono dziś u Cezara złożyć na chrześcijan winę za podpalenie Rzymu. Grozi im prześladowanie i męki. Pościg rozpocznie się lada chwila. Bierz Lygię i uciekajcie natychmiast, choćby za Alpy lub do Afryki. I śpiesz się, bo z Palatynu bliżej na Zatybrze, niż stąd! Viniciusz był istotnie nadto żołnierzem, by tracić czas na zbyteczne pytania. Słuchał z namarszczoną brwią, z twarzą skupioną i groźną, ale bez przerażenia. Widocznie pierwszym uczuciem, jakie budziło się w tej naturze wobec niebezpieczeństwa, była chęć walki i obrony. — Idę — rzekł. — Słowo jeszcze: weź „capsę“ ze złotem, weź broń i garść twoich ludzi chrześcijan. W razie potrzeby, odbij! Viniciusz był już we drzwiach atrium. — Przyślij mi wiadomość przez niewolnika — zawołał za odchodzącym Petroniusz. I, pozostawszy sam, począł chodzić wzdłuż kolumn, zdobiących atrium, rozmyślając nad tem, co się stanie. Wiedział, że Lygia i Linnus wrócili po pożarze do dawnego domu, który, jak większa część Zatybrza, ocalał, i to była okoliczność niepomyślna, inaczej bowiem niełatwo byłoby ich odnaleźć wśród tłumów. Spodziewał się jednak, że i tak nikt w Palatynie nie wie, gdzie mieszkają, a więc, że w każdym razie Viniciusz uprzedzi pretorianów. Przyszło mu również na myśl, iż Tigellin, chcąc wyłowić za jednym zamachem jak największą ilość chrześcijan, musi się rozciągnąć na cały Rzym, to jest podzielić pretorianów na małe oddziały. Jeśli przyślą po nią nie więcej, jak dziesięciu ludzi — myślał — to sam olbrzym lygijski połamie im kości, a cóż dopiero, gdy w pomoc przyjdzie mu Viniciusz. I myśląc o tem, nabrał otuchy. Wprawdzie postawić zbrojny opór pretorianom, było to niemal toż samo, co rozpocząć wojnę z Cezarem. Petroniusz wiedział także, że jeżeli Viniciusz uchroni się przed zemstą Nerona, to zemsta ta może spaść na niego, ale niewiele o to dbał. Owszem, myśl pomieszania szyków Neronowi i Tigellinowi rozweseliła go. Postanowił nie pożałować na to ni pieniędzy, ni ludzi, że zaś Paweł z Tarsu nawrócił jeszcze w Antium większą część jego niewolników, przeto mógł być pewny, że w sprawie obrony chrześcijanki

może liczyć na ich gotowość i poświęcenie. Wejście Eunice przerwało mu rozmyślenia. Na jej widok wszystkie jego kłopoty i troski pierzchyły bez śladu. Zapomniał o Cezarze, o niełasce, w jaką popadł, o znikczemiałych augustianach, o pościgu, grożącym chrześcijanom, o Viniciuszu i Lygii, a patrzył tylko na nią oczyma estety, rozmiłowanego w cudnych kształtach, i kochanka, dla którego z tych kształtów tchnie miłość. Ona, przybrana w przezroczą fioletową szatę, zwaną Coa vestis, przez którą przeglądało jej różane ciało, była istotnie piękna, jak bóstwo. Czując się przytem podziwianą i kochając go całą duszą, zawsze spragniona jego pieśczoć, poczęła płonąć się z radości, jak gdyby była nie nałożnicą, ale niewinnem dziewczęciem. — Co mi powiesz, Charyto? — rzekł Petroniusz, wyciągając do niej rękę. Ona zaś, chyląc ku nim swą złotą głowę, odrzekła: — Panie, przyszedł Anthemios ze śpiewakami i pyta, czy go zechcesz słuchać dzisiaj? — Niechaj zaczeka. Zaśpiewa nam przy obiedzie hymn do Apollina. Wokół jeszcze zgłiszczą i popioły, a my będziemy słuchali hymnu do Apollina! Na gaje Pafijskie! gdy cię widzę w tej Coa vestis, zdaje mi się, że Afrodyta przesłoniła się rąbkiem nieba i stoi przede mną. — O panie! — rzekła Eunice. — Pójdź tu, Eunice, obejmij mnie ramionami — i daj mi usta twoje... Kochasz ty mnie? — Nie kochałabym więcej Zeusa. To rzekłszy, przycisnęła usta do jego ust, drżąc mu w ramionach ze szczęścia. Lecz po chwili Petroniusz rzekł: — A gdyby przyszło nam się rozłączyć?.. Eunice spojrzała mu z przestrachem w oczy: — Jakto, panie?.. — Nie lękaj się!.. Bo widzisz, kto wie, czy nie będę musiał wybrać się w daleką podróż. — Weź mnie ze sobą... Lecz Petroniusz zmienił nagle przedmiot rozmowy i zapytał: — Powiedz mi, czy na trawnikach w ogrodzie są asfodele? — W ogrodzie cyprysy i trawniki pożółkły od pożaru, z mirtów opadły liście i cały ogród wygląda jak umarły. — Cały Rzym wygląda jak umarły, a wkrótce będzie prawdziwym cmentarzem. Czy wiesz, że wyjdzie edykt przeciw chrześcijanom i rozpocznie się prześladowanie, w czasie którego zginą tysiące ludzi? — Za co będą ich karali, panie? To ludzie dobrzy i cisi. — Właśnie za to. — Więc jedźmy nad morze. Twoje boskie oczy nie lubią patrzeć na krew. — Dobrze, ale tymczasem muszę się wykapać. Przyjdź do elaeothesium namaścić mi ramiona. Na pas Kipydy! Nigdy nie wydałaś mi się jeszcze tak piękna. Każę ci zrobić wannę w kształcie konchy, a ty będziesz w niej, jak kosztowna perła... Przyjdź Złotowłosa. I odszedł, a w godzinę później oboje w wieńcach róż i z zamglonemi oczyma spoczęli przed stołem, zastawionym złotymi naczyniami. Usługiwały im pacholęta, przebrane za amatorów, oni zaś, popijając wino z bluszczowych kruży, słuchali hymnu do Apollina, śpiewanego przy dźwięku harf pod wodzą Anthemia. Co ich mogło obchodzić, że naokół willi sterczały ze zgłiszcz kominy domów i że powiewy wiatru roznosiły popioły spalonego Rzymu. Czuli się szczęśliwi i myśleli tylko o miłości, która im życie zmieniała jakby w boski sen. Lecz, zanim hymn był skończony, wszedł do sali niewolnik, przełożony nad atrium. — Panie — rzekł głosem, w którym drgał niepokój — centurion z oddziałem pretorianów stoi przed bramą i z rozkazu Cezara pragnie widzieć się z tobą. Śpiew i dźwięki harf ustały. Niepokój udzielił się wszystkim obecnym, albowiem Cezar w stosunkach z przyjaciółmi nie posługiwał się zwykle pretorianami i przybycie ich nie wróżyło w owych czasach nic dobrego. Jeden tylko Petroniusz nie okazał najmniejszego wzruszenia i rzekł, jakby mówił człowiek, którego nudzą ciągłe wezwania: — Mogliby też dać mi spokojnie zjeść obiad. Poczem, zwróciwszy się do przełożonego nad atrium: — Wpuść. Niewolnik zniknął za kotarą; w chwilę później dały się słyszeć ciężkie kroki i do sali wszedł znajomy Petroniuszowi setnik Aper, cały w zbroi i w żelaznym hełmie na głowie. — Szlachetny panie — rzekł — oto pismo od Cezara. Petroniusz wyciągnął leniwie swą białą rękę, wziął tabliczki i, rzuciwszy na nie okiem, oddał je z całym spokojem Eunice. — Będzie czytał wieczór nową pieśń z Troiki — rzekł — i wzywa mnie, bym przyszedł. — Mam tylko rozkaz oddać pismo — ozwał się setnik. — Tak. Nie będzie odpowiedzi. Ale możebyś setniku, spoczął nieco przy nas i wychylił krater wina? — Dzięki ci, szlachetny panie. Krater wina wypiję chętnie za twoje

zdrowie, ale spocząć nie mogę, gdyż jestem na służbie. — Czemu to tobie oddano pismo, zamiast wysłać je przez niewolnika? — Nie wiem, panie. Może dlatego, że wysłano mnie w tę stronę w innej sprawie. — Wiem — rzekł Petroniusz — przeciw chrześcijanom. — Tak jest, panie. — Czy pościg dawno rozpoczęty? — Niektóre oddziały wysłano na Zatybrze jeszcze przed południem. To rzekłszy, setnik strząsnął z czaszy nieco wina na cześć Marsa, następnie wychylił ją i rzekł: — Niechaj bogowie dadzą ci, panie, czego zapragniesz. — Weź i ten krater — rzekł Petroniusz. Poczem dał znak Anthemiosowi, by kończył hymn do Apollina. — Miedzianobrody poczyna igrać ze mną i z Viniciuszem — mówił sobie, gdy harfy ozwały się nanowo. Odgaduję zamiar! Chciał mnie przerazić, przysyłając wezwanie przez centuriona. Będą się wieczór wypytywali setnika, w jaki sposób go przyjąłem. Nie, nie! Nie ucieszysz się zbyt, złośliwa i okrutna kukło. Wiem, że urazy nie zapomnisz, wiem, że zguba mnie nie minie, ale jeśli myślisz, że będę ci patrzył błagalnie w oczy, że zobaczysz na mojej twarzy strach i pokorę, to się mylisz. — Cezar pisze, panie: „Przyjdźcie, jeśli macie ochotę“ — rzekła Eunice — czy pójdziesz? — Jestem w wysmienitem usposobieniu i mogę słuchać nawet jego wierszy — odpowiedział Petroniusz — więc pójdę tembardziej, że Viniciusz pójść nie może. Jakoż po skończonym obiedzie i po zwykłej przechadzce oddał się w ręce niewolnic, trefiących włosy, i niewolnic, układających fałdy, a w godzinę później, piękny, jak bożek, kazał się zanieść na Palatyn. Godzina była późna, wieczór cichy, ciepły, księżyc świecił tak mocno, że „lampadarii“, idący przed lektyką, pogasili pochodnie. Po ulicach i wśród rumowisk snuły się podpiłe winem gromady ludzi, przybrane w bluszcze i wiciokrzew, niosące w rękach gałązki myrtu i lauru, których dostarczyły ogrody Cezara. Obfitość zboża i nadzieja wielkich igrzysk napełniała wesołością serca ludzi. Gdzieniegdzie śpiewano pieśni, wielbiące „boską noc“ i miłość; gdzieniegdzie tańczono przy świetle księżyca: kilkakrotnie niewolnicy musieli wołać o miejsce dla lektyki „szlachetnego Petroniusza“ i wówczas tłum rozsuwał się, wydając okrzyki na cześć swego ulubieńca. On zaś rozmyślał o Viniciuszu i dziwił się, że niema od niego żadnej wieści. Był epikurejczykiem i egoistą, ale przestając, to z Pawłem z Tarsu, to z Viniciuszem i słysząc codziennie o chrześcijanach, zmienił się nieco, choć sam o tem nie wiedział. Powiał na niego od nich jakiś wiatr, który rzucił w jego duszę nieznanne ziarnka. Po za własną osobą poczęli go zajmować inni ludzie, do Viniciusza był zresztą zawsze przywiązany, gdyż w dzieciństwie kochał mocno jego matkę, a swoją siostrę, obecnie zaś, wzięwszy udział w jego sprawach, patrzył na nie jeszcze z takim zajęciem, jakby patrzył na jakąś tragedję. Nie tracił nadziei, że Viniciusz uprzedził pretorianów i uciekł z Lygią, lub w ostateczności, że ją odbił. Lecz wolałby być mieć pewność, gdyż przewidywał, że może przyjdzie odpowiadać mu na rozmaite pytania, na które lepiej było być przygotowanym. Stanąwszy przed domem Tyberyusza, wysiadł z lektyki i po chwili wszedł do atrium, napełnionego już augustianami. Wczorajsi przyjaciele, jakkolwiek dziwiło ich, że został zaproszony, odsuwali się jeszcze od niego, lecz on posuwał się wśród nich, piękny, swobodny, niedbały i tak pewny siebie, jakby sam mógł łaski rozdawać. Niektórzy też, widząc go, zaniepokoiłi się w duszy, czy niezawczasie było okazywać mu obojętność. Cezar udawał jednak, że go nie widzi, i nie odpowiedział na jego ukłon, udając zajętego rozmową. Natomiast Tigellin zbliżył się i rzekł: — Dobry wieczór, arbitrze elegancyi. Czy zawsze jeszcze twierdzisz, że nie chrześcijanie Rzym spalili? A Petroniusz wzruszył ramionami i, klepiąc go po łopatce, jak wyzwoleńca, odpowiedział: — Ty wiesz tak dobrze, jak ja, co o tem mniemać. — Nie śmiem porównać się z twoją mądrością. — I poniekąd masz słuszość, bo w takim razie, gdy oto Cezar przeczyta nam nową pieśń z Troiki, musiałbyś, zamiast krzycheć, jak paw, wypowiedzieć jakieś zdanie nedorzeczne. Tigellin zagryzł wargi. Nie był on zbyt rad, iż Cezar postanowił wygłosić dziś nową pieśń, albowiem otwierało to pole, na którem nie mógł współzawodniczyć z Petroniuszem. Jakoż, w czasie wygłaszania, Nero

mimowoli, skutkiem dawnego przyzwyczajenia, zwracał oczy na Petroniusza, pilnie bacząc, co w jego twarzy wyczyta. Ów zaś słuchał, podnosząc w górę brwi, miejscami potakując, miejscami natężając uwagę, jakby chciał sprawdzić, czy dobrze słyszał. I następnie to chwalił, to przyganiał, wymagając poprawek lub wypolerowania niektórych wierszy. Sam Nero czuł, że innym w wygórowanych pochwałach chodzi tylko o własne osoby, ten jeden zaś tylko zajmuje się poezją dla samej poezji, jeden się zna i jeśli coś pochwali, to można być pewnym, że wiersze są godne pochwały. Powoli też począł z nim rozprawiać, spierać się, a gdy wreszcie Petroniusz podał w wątpliwość trafność pewnego wyrażenia, rzekł mu: — Zobacysz w ostatniej pieśni, dlaczegom go użył. — Ach! — pomyślał Petroniusz. — więc doczekam ostatniej pieśni. Niejeden zaś, słysząc to, mówił sobie w duchu: — Biada mi! Petroniusz, mając przed sobą czas, może wrócić do łask i obalić nawet Tigellina. I poczęto znów zbliżać się do niego. Lecz koniec wieczoru mniej był szczęśliwy, Cezar bowiem, w chwili, gdy Petroniusz go żegnał, zapytał nagle ze zmrużonemi oczyma i twarzą zarazem złośliwą i uradowaną: — A Viniciusz czemu nie przyszedł? Gdyby Petroniusz był pewien, że Viniciusz z Lygią są już za bramami miasta, byłby odrzekł: „Ożenił się z twego pozwolenia i wyjechał“. Lecz, widząc dziwny uśmiech Nerona, odrzekł: — Twoje wezwanie, boski, nie znalazło go w domu. — Powiedz mu, że rad go ujrzę — odpowiedział Nero — i powiedz mu ode mnie, by nie opuszczał igrzysk, na których wystąpią chrześcijanie. Petroniusza zaniepokoiły te słowa, wydało mu się bowiem, że odnoszą się wprost do Lygii. Siadłszy w lektykę, kazał się nieść do domu jeszcze prędzej, niż rano. Nie było to jednak rzeczą łatwą. Przed domem Tyberyusza stał tłum gęsty i zgiełkliwy, pijany, jak poprzednio, lecz nie rozśpiewany i nie tańczący, ale jakby wzburzony. Zdała dochodziły jakieś okrzyki, których Petroniusz nie umiał odrazu zrozumieć, ale które potężniały, rosły, aż wreszcie zmieniły się w jeden dziki wrzask: — Chrześcijanie dla lwów!! Świetne lektyki dworaków posuwały się wśród wyjącej tłuszczy. Z głębi spalonych ulic nadbiegały coraz nowe gromady, które zasłyszawszy okrzyk, poczynają go powtarzać. Podawano sobie z ust do ust wieść, że pościg trwa już od południa, że schwytano już mnóstwo podpalaczy, i wkrótce po nowo wytkniętych i starych ulicach, po zaułkach, leżących w gruzach, naokół Palatynu, po wszystkich wzgórzach i ogrodach, rozlegały się, jak długi i szeroki Rzym, coraz wścieklejsze wrzaski: — Chrześcijanie dla lwów! — Trzoda! — powtarzał z pogardą Petroniusz — lud godny Cezara! I począł myśleć, że taki świat, oparty na przemocy, na okrucieństwie, o którym nawet barbarzyńcy nie mieli żadnego pojęcia, na zbrodniach i szalonej rozpuście, nie może się jednak ostać. Rzym był panem świata, ale i wrzodem świata. Wiało od niego trupią wonią. Na zgniłe życie padał cień śmierci. Nieraz mówiono o tem nawet między augustianami, ale Petroniuszowi nigdy nie stała wyraźniej przed oczyma ta prawda, że ów uwieńczony wóz, na którym w postaci tryumfatora stoi Rzym, wlokąc za sobą spętaną trzodę narodów, idzie do przepaści. Życie światowładnego grodu wydało mu się jakimś błazeńskim korowodem i jakąś orgią, która jednak musi się skończyć. Rozumiał teraz, że jedni tylko chrześcijanie mają jakieś nowe podstawy życia, ale sądził, że wkrótce nie pozostanie z chrześcijan ślad żaden. A wówczas co? Błazeński korowód pójdzie dalej pod wodzą Nerona, a jeśli Nero minie, znajdzie się drugi, taki sam lub gorszy, bo wobec takiego ludu i takich patrycyuszów niema żadnego powodu, by znalazł się ktoś lepszy. Będzie nowa orgia, a w dodatku coraz plugawsza i szpetniejsza. Orgia zaś nie może trwać wiecznie i trzeba po niej pójść spać, choćby z samego wyczerpania. Myśląc o tem, Petroniusz sam czuł się ogromnie zmęczony. Czy warto żyć i to żyć w niepewności jutra po to tylko, by patrzeć na podobny porządek świata? Geniusz śmierci nie jest przecie mniej piękny, niż geniusz snu, i ma także skrzydła u ramion. Lektyka zatrzymała się przed drzwiami domu, które czujny odzwierny w tej samej chwili otworzył. — Czy szlachetny Viniciusz powrócił? — zapytał go Petroniusz. — Przed chwilą, panie — odpowiedział niewolnik. — A zatem jej nie odbił! —

pomyślał Petroniusz. I, zrzuciwszy togę, wbiegł do atrium. Viniciusz siedział na trójnogu, z głową pochyloną niemal do kolan i z rękami na głowie, lecz na odgłos kroków podniósł swą skamieniałą twarz, w której tylko oczy świeciły gorączkowo. — Przybyłeś zapóźno? — spytał Petroniusz. — Tak jest. Uwięziono ją przed południem. Nastąpiła chwila milczenia. — Widziałeś ją? — Tak. — Gdzie jest? — W więzieniu Mamertyńskim. Petroniusz wzdrygnął się i począł patrzeć na Viniciusza pytającym wzrokiem. Ten zaś zrozumiał. — Nie! — rzekł. — Nie wtrącono jej do Tulianum, ani nawet do środkowego więzienia. Przeplaciłem stróża, aby odstąpił jej swą izbę. Ursus położył się w progu i czuwa nad nią. — Czemu Ursus jej nie obronił? — Przysłano pięćdziesięciu pretorianów. Zresztą Linnus mu zabronił. — A Linnus? — Linnus umiera. Dlatego nie wzięto go. — Co zamierzasz? — Uratować ją lub umrzeć z nią razem. I ja wierzę w Chrystusa. Viniciusz mówił niby spokojnie, ale w jego głosie było coś tak rozdzierającego, że serce Petroniusza zadrgało szczerą litością. — Ja cię pojmuje — rzekł — ale jak ją chcesz ratować? — Przeplaciłem stróżów, naprzód dlatego, by ratować ją od zniewag, a powtóre, by nie przeszkadzali jej w ucieczce. — Kiedy to ma nastąpić? — Odpowiedzieli, że nie mogą wydać mi jej natychmiast, albowiem boją się odpowiedzialności. Gdy więzienia napelniają się mnóstwem ludzi i gdy straci się rachunek więźniów, wówczas mi ją oddadzą. Ale to ostateczność!! Pierwej ty ratuj ją i mnie! Jesteś przyjacielem Cezara. On sam mi ją oddał. Idź do niego i ratuj mnie! Petroniusz, zamiast odpowiedzieć, zawołał niewolnika i, rozkazawszy mu przynieść dwa ciemne płaszcze i dwa miecze, zwrócił się do Viniciusza. — Po drodze ci odpowiem — rzekł. — Tymczasem weź płaszcz, weź broń i pójdźmy do więzienia. Tam daj stróżom sto tysięcy sestercyi, daj dwakroć i pięćkroć więcej, byle wypuścili Lygię natychmiast. Inaczej będzie zapóźno. — Pójdźmy — rzekł Viniciusz. I po chwili obaj znaleźli się na ulicy. — A teraz słuchaj mnie — rzekł Petroniusz. — Nie chciałem tracić czasu. Jestem od dziś w niełasce. Moje własne życie wisi na włosku i dlatego nie mogę nic wskórać u Cezara. Gorzej! mam pewność, że postąpi wbrew mojej prośbie. Gdyby nie to, czyż byłbym ci radził, byś uciekał z Lygią lub odbił ją? Przecie, gdybyś ty zdołał ujsć, gniew Cezara zwróciłby się na mnie. Ale on prędzejby dziś uczynił coś na twoją prośbę niż na moją. Nie licz jednak na to. Wydobądź ją z więzienia i uciekaj! Nic więcej ci nie pozostaje. Gdy się to nie uda, wówczas będzie czas na inne sposoby. Tymczasem wiedz, że Lygię uwięziono nietylko za wiarę w Chrystusa. Ją i ciebie ściga gniew Poppei. Czy ty pamiętasz, żeś obraził Augustę, żeś ją odrzucił? Ona zaś wie, żeś ją odrzucił dla Lygii, którą i tak znienawidziła od pierwszego rzutu oka. Wszakże już i poprzednio usiłowała ją zgubić, przypisując jej czarom śmierć swego dziecka. W tem, co się stało, jest ręka Poppei! Czemże wytłómaczysz, że Lygia została pierwsza uwięziona? Kto mógł wskazać dom Linnusa? A ja ci mówię, że szpiegowano ją oddawna! Wiem, że ci rozdieram duszę i odejmuję resztę nadziei, ale mówię ci to umyślnie dlatego, że, jeśli jej nie uwolnisz, zanim nie wpadną na myśl, iż będziesz próbował, to zginiecie oboje. — Tak jest! rozumiem! — odrzekł głucho Viniciusz. Ulice z powodu późnej godziny były puste, jednak dalszą rozmowę przerwał im idący z przeciwka spity gladiator, który zatoczył się na Petroniusza, tak iż wsparł się dłonią na jego ramieniu, oblewając mu twarz przesiąkniętym winem oddechem i wrzeszcząc ochryplym głosem: — Chrześcijanie dla lwów! — Mirmilonie — ozwał się spokojnie Petroniusz — posłuchaj dobrej rady i ruszaj w swoją drogę. Wtem pijany schwycił go i drugą ręką za ramię: — Krzycz wraz ze mną, inaczej skręcę ci kark: chrześcijanie dla lwów! Lecz nerwy Petroniusza miały już dosyć tych wrzasków. Od chwili wyjścia z Palatynu dusiły go one, jak zmora i rozdierały mu uszy, więc, gdy ujrzał przytem wzniesioną nad sobą pięść olbrzyma, wyczerpała się miara jego cierpliwości. — Przyjacielu — rzekł — cuchniesz winem i zawadzasz mi. I tak mówiąc, wbił mu w pierś aż po rękojeść krótki mieczyk, w który uzbroił się, wychodząc z domu, poczem, wzięwszy pod rękę Viniciusza, mówił dalej, jak gdyby nic nie zaszło: — Cezar rzekł

mi dziś: „Powiedz ode mnie Viniciuszowi, żeby był na igrzyskach, na których wystąpią chrześcijanie“. Czy rozumiesz, co to znaczy? Oto chcą sobie wyprawić widowisko z twego bólu. To rzecz ułożona. Może dlatego nie uwięziono dotąd ciebie i mnie. Jeśli jej nie zdołasz natychmiast wydobyć, wówczas... nie wiem!... Może Akte wstawi się za tobą, lecz czy co wskóra?... Twoje ziemie sycylijskie mogłyby także skusić Tigellina. Próbuje. — Oddam mu wszystko, co posiadam — odpowiedział Viniciusz. Z Karyn na Forum nie było zbyt daleko, wkrótce więc doszli. Noc już poczęła blednąć i mury zamku wychylały się wyraźnie z cienia. Nagle, gdy skręcili ku Mamertyńskiemu więzieniu, Petroniusz stanął i rzekł: — Pretorianie!.. Zapóźno! Jakoż więzienie otaczał podwójny szereg żołnierzy. Brzask srebrzył żelazne ich hełmy i ostrza włóczni. Twarz Viniciusza stała się blada, jak marmur. — Pójdźmy — rzekł. Po chwili stanęli przed szeregiem. Petroniusz, który, obdarzony niezwykłą pamięcią, znał nie tylko starszyznę, ale wszystkich niemal żołnierzy pretoryi, wnet ujrzał znajomego sobie dowódcę kohorty i skinął na niego. — A co to, Nigrze? — rzekł — kazano wam pilnować więzienia? — Tak jest, szlachetny Petroniuszu. Prefekt obawiał się, by nie próbowano odbić podpalaczy. — Czy macie rozkaz nie wpuszczać nikogo? — spytał Viniciusz. — Nie, panie. Znajomi będą odwiedzali uwięzionych i w ten sposób wyłapiemy więcej chrześcijan. — Zatem mnie wpuść — rzekł Viniciusz. I, ścisnąwszy dłoń Petroniusza, rzekł mu: — Zobacz Akte, a ja przyjdę dowiedzieć się, jaką ci dała odpowiedź... — Przyjdź — odpowiedział Petroniusz. W tej chwili pod ziemią i za grubymi murami ozwało się śpiewanie. Pieśń, zrazu głucha i stłumiona, rosła coraz bardziej. Głosy męskie, kobiece i dziecinne łączyły się w jeden zgodny chór. Całe więzienie poczęło w ciszy świtania śpiewać, jak harfa. Lecz nie były to głosy żalości, ni rozpacz. Owszem, brzmiała w nich radość i tryumf. Żołnierze spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Na niebie zjawiły się pierwsze złote i różowe blaski jutrzni.

ROZDZIAŁ IX.

Okrzyk: „Chrześcijanie dla lwów!“ rozlegał się ciągle we wszystkich dzielnicach miasta. W pierwszej chwili nie tylko nikt nie wątpił, że oni byli prawdziwymi sprawcami klęski, ale nikt nie chciał wątpić, albowiem kara ich miała być zarazem wspaniałą zabawą dla ludu. Lecz rozszerzyło się mniemanie, że klęska nie przybrałaby tak straszliwych rozmiarów, gdyby nie gniew bogów, nakazano więc w świątyniach „piacula“, czyli ofiary oczyszczalne. Z porady ksiąg Sybilijskich senat urządził uroczystości i publiczne modły do Wulkanu, do Cerery i do Prozerpiny. Matrony składały ofiary Junonie; cała ich procesja udała się aż na brzeg morza, by zaczerpnąć wody i skropić nią posąg bogini. Zamężne niewiasty przygotowywały uczyty bogom i nocne czuwania. Cały Rzym oczyszczał się z grzechów, składał ofiary i przejednywał Nieśmiertelnych. A tymczasem wśród zgłiszcz wytykano nowe szerokie ulice. Tu i owdzie pozakładano już fundamenta wspaniałych domów, pałaców i świątyń. Przedewszystkiem jednak budowano z niesłychanym pośpiechem ogromne drewniane amfiteatra, w których mieli konać chrześcijanie. Zaraz po naradzie w domu Tyberiusza poszły rozkazy do prokonsulów, aby dostarczyli dzikich zwierząt. Tigellinus opustoszył wiewaria wszystkich miast italskich, nie wyłączając pomniejszych. W Afryce urządzono z jego polecenia olbrzymie łowy, w których cała miejscowa ludność musiała brać udział. Sprowadzono słonie i tygrysy z Azji, krokodyle i hipopotamy z Nilu, lwy z Atlasu, wilki i niedźwiedzie z Pirenejów, zaciekle psy z Hibernii, psy molosy z Epiru, bawoły i olbrzymie srogie tury z Germanii. Z powodu ilości uwięzionych igrzyska miały przejść ogromem wszystko, co dotychczas widziano. Cezar zapragnął zatopić wspomnienia pożaru w krwi i upoić nią Rzym, więc nigdy rozlew jej nie zapowiadał się wspanialej. Rozochocony lud pomagał „wigilom“ i pretorianom w pościgu chrześcijan. Nie było to rzeczą trudną, gdyż całe ich gromady, obozując jeszcze wraz z inną ludnością wśród ogrodów — wyznawały głośno swą wiarę. Gdy ich otaczano, klękali i, śpiewając pieśni,

pozwalali się porywać bez oporu. Lecz cierpliwość ich zwiększała tylko gniew ludu, który, nie rozumiejąc jej źródła, poczytywał ją za zaciekłość i zatwardziałość w zbrodni. Szał ogarnął prześladowców. Zdarzało się, że czerń wyrywała chrześcijan z rąk pretorianów i rozszarpała ich rękoma; kobiety ciągnięto za włosy do więzień, dzieciom rozbijano głowy o kamienie. Tysiące ludzi dniem i nocą przebiegało z wyciem ulice. Szukano ofiar wśród zgłiszcz, w kominach i w piwnicach. Przed więzieniami wyprawiano przy ogniskach, naokół beczek z winem, bachiczne uczyty i tańce. Wieczorami słuchano z upojeniem podobnych do grzmotu ryków, którymi rozbrzmiewało całe miasto. Więzienia przepelnione były tysiącami ludzi, codzien zaś czerń i pretorianie przypędzali nowe ofiary. Litość zgasła. Zdawało się, że ludzie zapomnieli mówić i w dzikim obłąkaniu zapamiętali tylko jeden okrzyk: „Chrześcijanie dla lwów!“ Przyszły dziwnie znojne dni i noce tak duszne, jakich nigdy przedtem nie bywało: samo powietrze było jakby nasiąknięte szalem, krwią, zbrodnią. A owej przebranej mierze okrucieństw odpowiadała również przebrana miara żądy męczeństwa. Wyznawcy Chrystusa szli dobrowolnie na śmierć lub nawet szukali jej, póki ich nie powstrzymały surowe rozkazy zwierzchników. Z polecenia ich poczęto zbierać się już tylko za miastem, w podziemiach na drodze Appijskiej i w winnicach podmiejskich, należących do patrycyuszów-chrześcijan, z pośród których nie uwięziono dotąd nikogo. Na Palatynie wiedziano doskonale, że do wyznawców Chrystusa należą: i Flawiusz, i Domitylla, i Pomponia Graecina, i Korneliusz Pudens, i Viniciusz; sam Cezar obawiał się jednak, że czerń nie da wmówić w siebie, by tacy ludzie podpalili Rzym, że zaś chodziło przede wszystkim o przekonanie ludu, więc karę i zemstę odłożono na dni dalsze. Inni mniemali, że owych patrycyuszów ocalił wpływ Akte. Mniemanie było błędne. Petroniusz, po rozstaniu się z Viniciuszem, udał się wprawdzie do Akte o pomoc dla Lygii, lecz ona mogła mu ofiarować jeno łzy, żyła bowiem w zapomnieniu i w bólu, o tyle tylko cierpiana, o ile kryła się przed Poppeą i Cezarem. Odwiedziła jednak Lygię w więzieniu, przyniosła jej odzież i żywność, a nadewszystko ochroniła ją tembardziej od zniewag ze strony i tak już przekupionych stróżów więziennych. Wszelako Petroniusz, nie mogąc zapomnieć, że, gdyby nie on i nie jego pomysły odebrania Lygii z domu Aulusów, to prawdopodobnie nie byłaby obecnie w więzieniu, a prócz tego, pragnąc wygrać grę z Tigellinem, nie szczędził czasu, ni zabiegów. W ciągu kilku dni widział się z Seneką, z Domiciuszem Afrem, z Krispinillą, przez którą chciał trafić do Poppei, z Terpnosem, z Diodorem, z pięknym Pytagorasem, a nakoniec z Aliturem i Parysem, którym zazwyczaj nie odmawiał Cezar niczego. Za pomocą Chryzotemis, która była obecnie kochanką Vatiniusza, starał sobie zjednać nawet i jego pomoc, nie szczędząc i jemu i innym zarówno obietnic, jak pieniędzy. Lecz wszystkie te usiłowania pozostały bez skutku. Seneka, niepewny własnego jutra, począł mu przekładać, że chrześcijanie, jeśli nawet istotnie nie spalili Rzymu, powinni być wytępieni dla jego dobra, słowem: usprawiedliwiał przyszłą rzeź racyą stanu. Terpnos i Diodor wzięli pieniądze i nie uczynili w zamian nic. Vatiniusz doniósł Cezarowi, że usiłowano go przekupić, jeden tylko Aliturus, który z początku wrogo usposobiony dla chrześcijan, żałował ich obecnie, ośmielił się wspomnieć Cezarowi o uwięzionej dziewczynie i prosić za nią, lecz nie otrzymał nic, prócz odpowiedzi: — Zali mniemasz, że mniejszą mam duszę, niż Brutus, który dla dobra Rzymu nie oszczędził własnych synów? I gdy powtórzył tę odpowiedź Petroniuszowi, ten rzekł: — Skoro znalazł porównanie z Brutusem, to niema już ratunku. Żal mu jednak było Viniciusza i brał go strach, czy on nie targnie się na własne życie. „Teraz — mówił sobie — podtrzymują go jeszcze zabiegi, które czyni dla jej ratunku, jej widok i sama męka, lecz gdy wszystkie sposoby zawiodą i zgaśnie ostatnia iskra nadziei, na Kastora! on jej nie przeżyje i rzuci się na miecz“. Petroniusz pojmował nawet lepiej, że można tak skończyć, niż, że można tak pokochać i tak cierpieć. Tymczasem Viniciusz czynił jeszcze wszystko, na co mógł zdobyć się jego umysł, by uratować Lygię. Odwiedzał augustianów, i on, tak niegdyś dumny, zebrał teraz ich pomocy. Przez

Vitelliusza ofiarował Tigellinowi swoje ziemie sycylijskie i wszystko, czegoby zażądał, Tigellinus jednak, nie chcąc zapewne narazić się Augustcie, odmówił. Pójść do samego Cezara, objąć mu kolana i błagać, nie prowadziło do niczego. Viniciusz chciał wprawdzie i to uczynić, lecz Petroniusz, usłyszawszy o zamiarze, zapytał: — A jeśli ci odmówi, jeśli odpowie żartem lub groźbą bezecną, co uczynisz? Na to rysy Viniciusza ściągnęły się bólem i wściekłością, a ze zwartych szczęk począł się wydobywać zgrzyt. — Tak! — rzekł Petroniusz — dlatego ci odradzam. Zamkniesz wszystkie drogi ocalenia! Lecz Viniciusz pohamował się, i wodząc dłonią po czole, pokrytem zimnym potem, rzekł: — Nie! nie! Jestem chrześcijaninem!.. — I zapomnisz o tem, jak zapomniałeś przed chwilą. Masz prawo zgubić siebie, ale nie ją. Pamiętaj, przez co przeszła przed śmiercią córka Sejana. I tak mówiąc, nie był zupełnie szczerym, chodziło mu bowiem więcej o Viniciusza niż o Lygię. Ale wiedział, że niczem nie powstrzyma go tak od niebezpiecznego kroku, jak przedstawiając mu, że mógłby on przynieść nieodwołalną zgubę Lygii. Zresztą, miał służność, gdyż na Palatynie przewidywano przyjście młodego trybuna i przedsięwzięto odpowiednie środki ostrożności. Jednakże męka Viniciusza przeszła wszystko, co siły ludzkie znieść mogą. Od chwili, gdy Lygia była uwięziona i gdy padł na nią blask przyszłego męczeństwa, nietylko pokochał ją stokroć więcej, ale poprostu począł jej oddawać w duszy cześć niemal religijną, jakby nadziemskiej istocie. A teraz na myśl, że tę istotę i ukochaną i zarazem świętą, musi stracić i że prócz śmierci spaść mogą na nią męczarnie od samej śmierci straszniejsze, krew stygła mu w żyłach, dusza zmieniała się w jeden jęk, mieszały się zmysły. Chwilami zdawało mu się, że czaszkę wypełnia mu żywy ogień, który ją spali lub rozsądzi. Przestał rozumieć, co się dzieje? przestał rozumieć, dlaczego Chrystus, ów miłosierny! ów Bóg! nie przychodzi w pomoc swym wyznawcom, dlaczego okopcone mury Palatynu nie zapadają się pod ziemię, a z nimi razem Nero, augustianie, obóz pretorianów i całe to miasto zbrodni. Mniemał, że nie może i nie powinno być inaczej i że to wszystko, na co patrzą jego oczy, od czego łamie się dusza i skowyczy serce, to sen. Lecz ryk zwierząt mówił mu, że to rzeczywistość; huk siekier, z pod których wyrastały areny, mówił mu, że to rzeczywistość, a potwierdzały ją wycie ludu i przepełnione więzienia. Wówczas przerażała się w nim wiara w Chrystusa i to przerażenie było nową męką, może ze wszystkich najstraszniejszą. A tymczasem Petroniusz mówił mu: — Pamiętaj, przez co przed śmiercią przeszła córka Sejana.

ROZDZIAŁ X.

I wszystko zawiodło. Viniciusz zniżył się do tego stopnia, że szukał poparcia u wyzwolenców i niewolnic, tak Cezara jak i Poppei, przepłacał ich czcze obietnice, zjednywał sobie bogatymi podarkami ich względy. Odnalazł pierwszego męża Augusty, Rufiusa Krispinusa i uzyskał od niego list; podarował wille w Antium synowi jej z pierwszego małżeństwa, Rufiusowi, lecz rozgniewał tem tylko Cezara, który pasierba nienawidził. Przez umyślnego gońca pisał do drugiego męża Poppei, Othona, do Hiszpanii, ofiarował całe swe mienie i siebie samego, aż wreszcie spostrzegł, że był tylko igraszką ludzi, i że, gdyby był udawał, iż więzienie Lygii mało go obchodzi, byłby ją prędzej uwolnił. Toż samo spostrzegł i Petroniusz. Tymczasem płynął dzień za dniem. Amfiteatra były skończone. Rozdawana już „tessery“, to jest znaki wejścia na „ludus matutinus“. Lecz tym razem igrzysko „poranne“ z powodu niesłychanej ilości ofiar, miało się rozciągnąć na dnię, tygodnie i miesiące. Nie wiedziano już gdzie mieścić chrześcijan. Więzienia były natłoczone i srożyła się w nich gorączka. „Puticuli“, to jest wspólne doły, w których chowano niewolników, poczęły się przepełniać. Powstała obawa, by choroby nie rozszerzyły się na całe miasto, więc postanowiono się śpieszyć. A wszystkie owe wieści obijały się o uszy Viniciusza, gasząc w nim ostatnie przebłyski nadziei. Póki był czas, mógł się łudzić, że coś jeszcze wskóra, ale teraz nie było już i czasu. Widowiska miały się rozpocząć. Lygia lada dzień mogła się znaleźć w „cuniculum“ cyrkowem, skąd

wyjscie było już tylko na arenę. Viniciusz nie wiedząc, gdzie rzuci ją los i okrucieństwo przemocy, począł obchodzić wszystkie cyrki, przekupywać stróżów i „bestiariów“, stawiając im żądania, których nie mogli spełnić! Czasem spostrzegał się, że już pracuje tylko nad tem, by jej uczynić śmierć mniej straszną i wówczas to właśnie czuł, że zamiast mózgu, ma rozżarzone węgle pod czaszką. Nie myślał zresztą jej przeżyć i postanowił zginąć z nią razem. Lecz sądził, że ból może wypali w nim życie, zanim straszliwy termin nadejdzie. Jego przyjaciele i Petroniusz mieli również, iż lada dzień otworzy się przed nim królestwo cieniów. Twarz Viniciusza zczerniała i stała się podobną do owych woskowych masek, które trzymano w „larariach“. W rysach zastygło mu zdumienie, jak gdyby nie rozumiał, co się stało i co się stać może. Gdy ktoś do niego mówił, podnosił mechanicznym ruchem rękę do głowy i ściskając dłońmi skronie, patrzył na mówiącego wzrokiem przerażonym i pytającym. Noce spędzał wraz z Ursusem pod drzwiami Lygii, w więzieniu, jeśli zaś kazała mu odejść i spocząć, wracał do Petroniusza i przechadzał się do rana po atrium. Niewolnicy znajdowali go też często klęczącego, ze wzniesionymi rękoma, lub leżącego twarzą do ziemi. Modlił się do Chrystusa, gdyż to była ostatnia nadzieja. Wszystko zawiodło. Lygię mógł ocalić tylko cud, więc Viniciusz bił czołem w kamienne płyty i prosił o cud. Lecz pozostało mu jeszcze tyle świadomości, że rozumiał, iż modlitwa Piotra więcej znaczy niż jego. Piotr mu przyobiecał Lygię, Piotr go chrzczył, Piotr sam czynił cuda, niechże mu da ratunek i wspomnienie. I pewnej nocy poszedł go szukać. Chrześcijanie, których niewiele już zostało, ukrywali go teraz starannie nawet jedni przed drugimi, aby ktoś ze słabszych duchem nie zdradził go mimowolnie lub umyślnie. Viniciusz wśród ogólnego zamieszania i pogromu, zajęty przytem całkiem zabiegami o wydobywanie Lygii z więzienia, stracił Apostoła z oczu, tak, iż od czasu swego chrztu, spotkał go zaledwie raz jeden, jeszcze przed rozpoczęciem pościgu. Lecz udawszy się do owego fossora, w którego chacie został ochrzczony, dowiedział się od niego, że w winnicy leżącej za porta Salaria, należącej do Korneliusza Pudensa, odbędzie się zebranie chrześcijan. Fossor podejmował się wprowadzić na nie Viniciusza, upewniając go, że znajdą na nim Piotra. Jakoż o zmroku wyszli i przedostawszy się za mury, a następnie idąc wśród wądołów zarosłych trzcina, dostali się do winnicy, położonej dziko i ustronnie. Zgromadzenie odbywało się w szopie, w której zwykle wytłaczano wino. Do uszu Viniciusza doszedł na wstępie szmer modlitwy, wszedłszy zaś, ujrzał przy mdłym świetle latarek kilkadziesiąt postaci klęczących i pogrążonych w modlitwie. Odmawiały one rodzaj litanii, chór głosów, zarówno męskich jak kobiecych, powtarzał co chwila: „Chryste zmiłuj się“. Drgał w tych głosach głęboki, rozdzierający smutek i żal. Piotr był obecny. Klęczał na przodzie, przed drewnianym krzyżem, przybitym do ściany szopy i modlił się. Viniciusz rozpoznał zdala jego białe włosy i wzniesione ręce. Pierwszą myślą młodego patrycyusza było przejść przez gromadę, rzucić się do nóg apostoła i krzyknąć: „ratuj!“ lecz czy to uroczystość modlitwy, czy osłabienie ugięło pod nim kolana, więc klękawszy u wejścia, począł powtarzać z jękiem i z zaciśnionymi dłońmi: „Chryste zmiłuj się!“ Gdyby był przytomny, byłby zrozumiał, że nie tylko w jego prośbie brzmiał jęk i że nie on tylko przyniósł tu swój ból, swój żal i swoją trwożę. Nie było w tem zebraniu jednej duszy ludzkiej, któraby nie straciła drogich sercu istot, a gdy najgorliwsi i najpełniejsi odwagi z wyznawców byli już uwięzieni, gdy z każdą chwilą rozchodziły się nowe wieści o zniewagach i mękach, jakie zadawano im w więzieniach, gdy ogrom klęski przerósł wszelkie przypuszczenia, gdy została już ta garść tylko, nie było wśród niej jednego serca, któreby nie przeraziło się w wierze i nie pytało w zwątpieniu: gdzie Chrystus? i czemu zezwala, by zło stało się potężniejsze od Boga? Lecz tymczasem błagali Go jeszcze z rozpaczą o miłosierdzie, bo w każdej duszy tliła się dotąd iskra nadziei, że przyjdzie, zetrze zło, strąci w przepaść Nerona i zapanuje nad światem... Jeszcze patrzyli w niebo, jeszcze nasłuchiwali, jeszcze modlili się ze drżeniem. Viniciusza również, w miarę jak powtarzał:

„Chryste, zmiłuj się!“ poczęło ogarniać uniesienie, takie, jak niegdyś w chacie fossora. Oto wołają Go z głębi bólu, z otchłani, oto woła Go Piotr, więc lada chwila rozedrze się niebo, ziemia zadrży w posadach i zstąpi On, w blasku niezmiernym, z gwiazdami u stóp, miłosierny, lecz i groźny, którego wywyższy swych wiernych i każe przepaściom pozrzeć prześladowców. Viniciusz zakrył twarz rękoma i przypadł do ziemi. Naraz otoczyła go cisza, jak gdyby bojaźń uwięziła dalsze wołanie w ustach wszystkich obecnych. I zdawało mu się, że musi się koniecznie coś stać, że nastąpi chwila cudu. Był pewien, że gdy się podniesie i otworzy oczy, ujrzy światło, od którego ślepną śmiertelne źrenice, i usłyszy głos, od którego mdleją serca. Lecz cisza trwała ciągle. Przerwało ją nakoniec łkanie kobiece. Viniciusz podniósł się i począł patrzeć osłupiałym wzrokiem przed siebie. W szopie, zamiast blasków zaziemskich, migotały nikłe płomyki latarek, i promienie księżyca, wchodzące przez otwór w dachu, napełniały ją srebrnym światłem. Ludzie, klęczący obok Viniciusza, wznosili w milczeniu zalane łzami oczy ku krzyżowi; tu i owdzie ozwały się inne łkania, a z zewnątrz dochodziło ostrożne pogwizdywanie strażników. Wtem Piotr wstał i zwróciwszy się do gromady rzekł: — Dzieci, podnieście serca ku Zbawicielowi naszemu i ofiarujcie mu wasze łzy. I umilkł. Nagle wśród zgromadzonych ozwał się głos kobiecy, pełen żalostnej skargi i bólu bez granic: — Ja, wdowa, jednego syna miałam, który mnie żywił... Wróć mi go, panie! Nastąpiła powtórnie chwila ciszy. Piotr stał przed klęczącą gromadą, stary, stroškany i wydawał się im w tej chwili jakby uosobieniem zgrzybiałości i niemocy. Wtem począł się skarżyć drugi głos: — Kaci znieważyli córki moje i Chrystus na to pozwolił! Poczem trzeci: — Zostałam sama z dziećmi, a gdy mnie porwą, kto da im chleba i wody? Poczem czwarty: — Linnusa, którego zaniechali, wzięli znowu i położyli na męki, panie! Poczem piąty: — Gdy wrócimy do domów, pochwycą nas pretorianie. Nie wiemy, gdzie się ukryć. — Biada nam! Kto nas osłoni? I tak w ciszy nocnej brzmiała skarga za skargą. Stary rybak przymknął oczy i trząsł swą białą głową nad tym ludzkim bólem i trwogą. Zapadło znów milczenie, tylko strażnicy poświstywali zcicha za szopą. Viniciusz zerwał się znowu, by przedrzeć się przez gromadę do Apostoła i zażądać od niego ratunku, lecz nagle ujrzał przed sobą jakby przepaść, której widok obezwładnił jego nogi. Co będzie, jeśli Apostoł wyzna swoją niemoc, jeśli stwierdzi, że Cezar rzymski potężniejszy jest, niż Chrystus Nazareński? I na tę myśl przerażenie podjęło mu włosy na głowie, gdyż uczuł, że wówczas w tę przepaść wpadnie nietylko reszta jego nadziei, ale i on sam, i jego Lygia, i jego miłość do Chrystusa, i jego wiara, i wszystko, czem żył, a pozostanie tylko śmierć i noc, jako morze, bezbrzeżna. A tymczasem Piotr począł mówić głosem z początku tak cichym, że ledwie można go było dosłyszeć: — Dzieci moje! Na Golgocie widziałem, jak Boga przybijali do krzyża. Słyszałem młoty i widziałem, jak podnieśli krzyż do góry, aby rzesze patrzyły na śmierć Syna człowieczego...

.....
...I widziałem, jak mu otworzyli bok i jak umarł. A wówczas, wracając od krzyża, wołałem w boleści, jako wy wołacie: „Biada! biada! Panie! Tyś Bóg! czemużeś na to pozwolił, czemuś umarł i czemuś utrafił nam serca, którzyśmy wierzyli, że przyjdzie królestwo Twoje?... ..A on, Pan nasz i Bóg nasz, trzeciego dnia zmartwychwstał i był między nami, póki w wielkiej światłości nie wstąpił do królestwa swego... A my, poznavszy małą wiarę naszą, umocniliśmy się w sercach i odtąd siejemy ziarno Jego...

.....
Tu zwróciwszy się w stronę, skąd wyszła pierwsza skarga, począł mówić silniejszym już głosem: — Czemu się skarżycie?... Bóg sam poddał się męce i śmierci, a wy chcecie, by was przed nią osłonił? Ludzie małej wiary! zaliście pojęli Jego naukę, zali On wam to jedno życie obiecał? Oto przychodzi do was i mówi wam: „Pójdźcie drogą moją“, oto podnosi was ku sobie, a wy czepiacie się ziemi

rękoma, wołając: „Panie, ratuj!“ Ja, proch przed Bogiem, lecz wobec was Apostoł Boży i namiestnik, mówię wam w imię Chrystusa: Nie śmierć przed wami, lecz życie, nie męki, lecz nieprzebrane rozkosze, nie łzy i jęki, lecz śpiewanie, nie niewola, lecz królowanie! Ja, Apostoł Boży, mówię tobie, wdowo: syn twój nie umrze, jeno narodzi się w chwale na życie wieczne i połączysz się z nim! Tobie, ojczy, któremu kaci splamili córki niewinne, obiecuję, że odnajdziesz je bielsze od lilii Hobronu! Wam, matki, które porwą od sierót, wam, którzy straciecie ojców, wam, którzy się skarżycie, wam, którzy będziecie patrzeć na śmierć umiłowanych, wam, stroskani, nieszczęśliwi, trwożni, i wam, mający umrzeć, w imię Chrystusa, powiadam, iż zbudzicie się jako ze snu na szczęśne czuwanie i jako z nocy na świt boży. W imię Chrystusa, niech spadnie bielmo z oczu waszych i rozgoreją serca! To rzekłszy podniósł dłoń, jak gdyby rozkazywał, a oni uczuli nową krew w żyłach i zarazem dreszcz w kościach, bo stał już przed nimi nie starzec zgrzybiały i strapiony, ale mocarz, który brał ich dusze i dźwigał je z prochu i trwogi. — Amen! — zawołało kilka głosów. Jemu zaś z oczu bił blask coraz większy i szła od niego siła, szedł majestat, szła świętość. Głowy chyliły się przed nim, a on, gdy umilkło „amen!“ mówił dalej: — Siejcie w płakaniu, abyście zbierali w weselu. Czemu lękacie się mocy złego? Nad ziemią, nad Rzymem, nad murami miast jest Pan, który zamieszka w was. Kamienie zwilgną od łez, piasek przesiąknie krwią, pełne będą doły ciał waszych, a ja wam powiadam: wyście zwycięzcy! Pan idzie na podbój tego miasta zbrodni, ciemństwa i pychy, a wyście legia Jego! I jako sam odkupił męką i krwią grzechy świata, tak chce, abyście wy odkupili męką i krwią to gniazdo nieprawości!.. To wam oznajmia przez wargi moje! I rozłożył ręce, a oczy utkwiał w górze, im zaś serca przestały prawie bić w piersi, albowiem uczuli, że wzrok jego widzi coś, czego nie mogą dojrzeć ich śmiertelne źrenice. Jakoż twarz mu się zmieniła i oblała się jasnością, i patrzył czas jakiś w milczeniu, jakby oniemiał z zachwytu, lecz po chwili usłyszano jego głos: — Jesteś, Panie, i ukazujesz mi drogi swoje!.. Jakto, o Chryste!... Nie w Jeruzalem, ale w tym grodzie szatana chcesz założyć stolicę Twoją? Tu, z tych łez i z tej krwi chcesz zbudować Kościół Twój? Tu, gdzie dziś włada Neron, ma stanąć wieczyste królestwo Twoje? O, Panie, Panie! I każesz tym trwożnym, aby z kości swych zbudowali fundament pod Syon świata, a duchowi memu, każesz objąć rząd nad nim i nad ludami ziemi?... I oto zlewasz źródło mocy na słabych, aby się stali silni, i oto każesz mi paść stąd baranki Twoje, aż do spełnienia wieków... O, bądźże pochwalony w wyrokach Twoich, który każesz zwyciężać. Hosanna! Hosanna!.. Ci, którzy byli trwożni, powstali, w tych, którzy zwątpili, wpłynęły strumienie wiary. Jedne głosy zawołały naraz: „Hosanna!“ inne: „pro Christo!“ poczem zapadła cisza. Jasne letnie błyskawice rozświecały wewnątrz szopy i twarze poblądłe ze wzruszenia. Piotr, zapatrzony w widzenie, modlił się jeszcze długo, lecz nakoniec zbudził się, zwrócił do gromady swą natchnioną, pełną światła głowę i rzekł: — Oto, jako Pan zwyciężył w was zwątpienie, tak i wy idźcie zwyciężać w imię Jego! I chociaż wiedział już, że zwyciężą, choć wiedział, co wyrosnie z ich łez i krwi, jednak głos zadrgał mu wzruszeniem, gdy począł żegnać ich krzyżem i mówił: — A teraz błogosławię was, dzieci moje, na mękę, na śmierć, na wieczność! Lecz oni opadli go, wołając: „My już gotowi, ale ty święta głowo chroń się, albowiem tyś jest namiestnik, który sprawuje rząd Chrystusów!“ I tak mówiąc, czepiali się jego szat, on zaś kładł ręce na ich głowach i żegnał każdego z osobna, równie jak ojciec żegna dzieci, które wysyła w podróż daleką. I zaraz poczęli wychodzić z szopy, albowiem pilno już im było do domów, a z nich do więzień i na areny. Umysły ich oderwały się od ziemi, dusze wzięły lot ku wieczności i szli, jakby w śnie lub w zachwyceniu, przeciwstawiać tę siłę, która w nich była, sile i okrucieństwu „bestyi“. Apostoła zaś wziął Nereusz, sługa Pudensa, i wiódł go ukrytą w winnicy ścieżką do swego domu. Lecz wśród jasnej nocy, postępował za nimi Viniciusz i gdy wreszcie doszli do nereuszowej chaty, rzucił się nagle do nóg Apostoła. Ów zaś, poznawszy go, zapytał: — Czego żadasz, synu? Ale

Viniciusz, po tem, co słyszał w szopie, nie śmiał go już o nic błagać, tylko objawszy obiema rękami jego stopy, przyciskał do nich ze łkaniem czoło, wzywając w ten niemy sposób litości. Ów zaś rzekł: — Wiem. Wzięlić dziewczeczkę, którą umiłowaleś. Módl się za nią. — Panie! — jęknął Viniciusz, obejmując jeszcze silniej stopy Apostoła. — Panie! jam robak lichy, aleś ty znał Chrystusa, ty Go błagaj, ty wstaw się za nią. I drżał z bólu, jak liść i bił czołem w ziemię, albowiem poznawszy moc Apostoła, wiedział, iż on jeden może mu ją powrócić. A Piotr wzruszył się tą boleścią. Przypomniął sobie, jak niegdyś i Lygia, zgromiona przez Kryspusa, leżała tak samo u jego nóg, zebrząc litości. Przypomniął sobie, że ją podniósł i pocieszył, więc teraz podniósł Viniciusza. — Synaczku — rzekł — będę się modlił za nią, lecz ty pomnij, com mówił tamtym wątpiącym: że sam Bóg przeszedł przez mękę krzyżową i pomnij, że po tem życiu zaczyna się inne, wieczyste. — Ja wiem!.. jam słyszał — odparł Viniciusz, łowiąc w poblądłe usta powietrze, ale, widzisz, Panie... nie mogę! Jeśli potrzeba krwi, proś Chrystusa, aby wziął moją... Jam żołnierz. Niech mi podwoi, niech potroi mękę dla niej przeznaczoną, wytrzymam! ale niech ją ocali! To jeszcze dziecko, Panie! a On mocniejszy od Cezara, wierzę! mocniejszy!.. Tyś ją sam miłował. Tyś nam błogosławił! To jeszcze dziecko niewinne!.. Tu znów pochylił się i przyłożywszy twarz do kolan Piotra, począł powtarzać: — Tyś znał Chrystusa, panie! tyś znał, On ciebie wysłucha! Wstaw się za nią! A Piotr przymknął powieki i modlił się żarliwie. Letnie błyskawice poczęły znów rozświecać niebo. Viniciusz wpatrywał się przy ich blasku w usta Apostoła, czekając z nich wyroku życia lub śmierci. W ciszy słychać było przepiórki nawołujące się po winnicach i głuchy, daleki odgłos deptaków, leżących przy via Salaria. — Viniciuszu — zapytał wreszcie Apostoł — wierzysz-li ty? — Panie, czyżbym inaczej tu przyszedł? — odpowiedział Viniciusz. — Tedy wierz do końca, albowiem wiara góry porusza. Więc choćbyś widział onę dziewczeczkę pod mieczem kata, albo w paszczęce lwa, wierz jeszcze, że Chrystus może ją zbawić. Wierz i módl się do Niego, a ja będę się modlił wraz z tobą. Poczem, podniósłszy twarz ku niebu, mówił głośno: — Chryste miłosierny, spójrz na ono serce zbolale i pociesz je! Chryste miłosierny, pomiarkuj wiatr do wełny jagnięcia! Chryste miłosierny, któryś prosił Ojca, aby odwrócił kielich goryczy od ust twoich, odwróć go od ust tego sługi Twego! Amen! A Viniciusz, wyciągając ręce ku gwiazdom, mówił jęcząc: — O Chryste! jam twój! Weź mnie za nią! Na wschodzie niebo poczęło bieleć.

ROZDZIAŁ XI.

Viniciusz, opuściwszy Apostoła, szedł do więzienia z odrodzonym przez nadzieję sercem. Gdzieś, w głębi duszy, krzyczała mu jeszcze rozpacz i przerażenie, lecz on tłumił w sobie te głosy. Wydało mu się niepodobieństwem, by wstawiennictwo Bożego namiestnika i potęga jego modlitwy miały pozostać bez skutku. Bał się nie mieć nadziei, bał się wątpić. „Będę wierzył w miłosierdzie Jego (mówił do siebie), choćbym ją ujrzał w paszczy lwa“. I na tę myśl, choć drżała w nim dusza i pot zimny oblewał mu skronie, wierzył. Każde uderzenie jego serca było teraz modlitwą. Poczynał rozumieć, że wiara góry porusza, albowiem poczuł w sobie jakąś dziwną siłę, której nie odczuwał przedtem. Zdawało mu się, że potrafi nią dokonać takich rzeczy, które jeszcze wczoraj nie były w jego mocy. Chwilami miał wrażenie, jakby złe już minęło. Gdy rozpacz odzywała się jeszcze jękiem w jego duszy, przypominał sobie tę noc i tę świętą sędziwą twarz, wzniesioną ku niebu w modlitwie. „Nie! Chrystus nie odmówi pierwszemu uczniowi swemu i pasterzowi trzody! Chrystus mu nie odmówi, a ja nie zwątpię“. I biegł do więzienia, jak zwiastun dobrej nowiny. Lecz tu czekała go rzecz niespodziewana. Straże pretoriańskie, zmieniające się przy Mamertyńskim więzieniu, znały go już wszystkie i zwykle nie czyniono mu najmniejszych trudności, lecz tym razem łańcuch się nie otworzył, a natomiast setnik zbliżył się ku niemu i rzekł: — Wybacz, szlachetny trybunie, mamy dziś rozkaz nie wpuszczać nikogo. — Rozkaz? — powtórzył, blednąc, Viniciusz. Żołnierz spojrzął na

niego ze współczuciem i odrzekł: — Tak, panie. Rozkaz Cezara. W więzieniu dużo jest chorych i być może, iż obawiają się, aby przychodnie nie roznieśli zarazy po mieście. — Lecz mówiłeś, że rozkaz na dziś tylko? — W południe zmieniają się straż. Viniciusz zamilkł i odkrył głowę, albowiem zdawało mu się, że „pileolus“, który miał na niej, jest z ołowiu. Wtem żołnierz zbliżył się i rzekł przyciszonym głosem: — Uspokój się, panie. Stróże i Ursus czuwają nad nią. To rzekłszy, pochylił się i w mgnieniu oka nakreślił na kamiennej płycie swym długim gallijskim mieczem kształt ryby. Viniciusz spojrział na niego bystro. — ...I jesteś pretorianinem?... — Póki nie będę tam — odrzekł żołnierz, wskazując na więzienie. — I ja czczę Chrystusa. — Niech będzie pochwalone imię Jego! Wiem, panie. Nie mogę cię wpuścić do więzienia, lecz jeśli napiszesz list, oddam go stróżom. — Dzięki ci, bracie!... I, ścisnąwszy rękę żołnierza odszedł. „Pileolus“ przestał mu ciążyć ołowiem. Słońce ranne podniosło się nad mury więzienia, a razem z jego jasnością poczęła znów wstępować otucha w serce Viniciusza. Ten żołnierz, chrześcijanin, był dla niego jakby nowym świadectwem potęgi Chrystusa. Po chwili zatrzymał się i, utkwivszy wzrok w różowych obłokach, zwieszonych nad Kapitołem i świątynią Statora, rzekł: — Nie widziałem jej dziś, Panie, ale wierzę w Twoje miłosierdzie. W domu czekał na niego Petroniusz, który, jak zwykle, „z nocy dzień czyniąc“, niedawno był powrócił. Zdażył jednakże wziąć już kąpiel i namaścić się do snu. — Mam dla ciebie nowiny — rzekł. — Byłem dziś u Tulusza Senecia, u którego był i Cezar. Nie wiem, skąd Augustie przyszło na myśl przyprowadzić ze sobą małego Rufiusa... Może dlatego, by swą urodą zmiękczył serce Cezara. Na nieszczęście, dziecko, zmorzone snem, usnęło w czasie czytania, jak niegdyś Wespazyan, co widząc Ahenobarbus, cisnął w nie puharem i skaleczył je ciężko. Poppea zemdląła, wszyscy zaś słyszeli, jak Cezar rzekł: „Dość mam tego przyplódka!“ a to wiesz: tyle znaczy, co śmierć! — Nad Augustą zawisła kara Boża — odpowiedział Viniciusz — ale czemu mi to mówisz? — Mówię dlatego, że ciebie i Lygię ścigał gniew Poppei, teraz zaś ona, zajęta własnym nieszczęściem, może poniecha zemsty i łatwiej da się przejednać. Zobaczę ją dziś wieczór i będę z nią mówił. — Dzięki ci. Zwiastujesz mi dobrą nowinę. — A ty się wykąp i spocznij. Usta masz sine i cień z ciebie pozostał. Lecz Viniciusz spytał: — Zali nie mówiono, kiedy odbędzie się pierwszy ludus matutinus? — Za dziesięć dni. Ale wezmą pierwiej inne więzienia. Im więcej zostanie nam czasu, tem lepiej. Nie wszystko jeszcze stracone. I tak mówiąc, mówił to, w co sam już nie wierzył, wiedział albowiem doskonale, że, skoro Cezar, w odpowiedzi na prośbę Alitursa, znalazł wspaniale brzmiącą odpowiedź, w której porównał się z Brutusem, to dla Lygii niema już ratunku. Ukrył też przez litość, co słyszał u Senecia, że Cezar i Tigellin postanowili wybrać dla siebie i dla przyjaciół najpiękniejsze dziewice chrześcijańskie i pohańbić je przed męką, reszta zaś miała być wydana w sam dzień igrzyska pretorianom i bestiariuszom. Wiedząc, że Viniciusz w żadnym razie nie zechce przeżyć Lygii, umyślnie krzepił tymczasem nadzieję w jego sercu, naprzód przez współczucie dla niego, a powtóre, że temu estecie chodziło także i o to, aby Viniciusz, jeśli ma umrzeć, umarł pięknym, nie zaś z twarzą wyniszczoną i zczerniałą od bólu i bezsenności. — Powiem dziś Augustie — rzekł — mniej więcej tak: uratuj Lygię dla Viniciusza, a ja uratuję dla ciebie Rufiusa. I będę o tem myślał naprawdę. Z Ahenobarbem jedno słowo, powiedziane w stosownej chwili, może kogoś uratować lub zgubić. W najgorszym razie, zyskamy na czasie. — Dzięki ci — powtórzył Viniciusz. — Najlepiej mi podziękujesz, gdy się pożywisz i spocznesz. Na Atenę! Odysej w największym nieszczęściu myślał o śnie i jadle. Całą noc spędziłeś pewno w więzieniu. — Nie — odpowiedział Viniciusz. — Chciałem pójść do więzienia teraz, ale jest rozkaz, aby nikogo nie dopuszczano. Dowiedz ty się, Petroniuszu, czy rozkaz jest na dziś tylko, czy aż do dnia igrzysk. — Dowiem się dziś w nocy i jutro rano powiem ci, na jak długo i dlaczego rozkaz został wydany. A teraz, choćby Helios miał ze zmartwienia zejść do Kimeryjskich krajów, idę spać, ty zaś naśladuj mnie. I rozeszli się, lecz

Viniciusz udał się do biblioteki i począł pisać list do Lygii. Gdy skończył, odniósł go sam i wręczył chrześcijańskiemu setnikowi, który natychmiast poszedł z nim do więzienia. Po chwili wrócił z pozdrowieniem od Lygii i z obietnicą, że dziś jeszcze odniesie jej odpowiedź. Viniciusz nie chciał jednak wracać i, siadłszy na głazie, czekał na list Lygii. Słońce wzbilo się już wysoko na niebo i przez Clivus Argentarius napływały na Forum, jak zwykle, tłumy ludzi. Przekupnie wywoływali swoje towary; wróżbici polecali przechodniom swe usługi; obywatele ciągnęli poważnym krokiem ku rostrom, by słuchać przygodnych mówców, lub rozpowiadać sobie wzajemnie najświeższe nowiny. W miarę, jak upał dogrzewał coraz silniej, gromady próżniaków chroniły się pod portyki świątyni, z pod których wylatywały co chwila z wielkim łopotem skrzydeł całe stada gołębi, rozbłyskując białymi piórami w jasności słonecznej i błękicie. Pod nadmiarem światła, pod wpływem gwaru, ciepła i niezmiernego znużenia, oczy Viniciusza poczęły się kleić. Monotonne okrzyki chłopców, grających obok w morę, i miarowe kroki żołnierzy kołysały go do snu. Kilkakrotnie podniósł jeszcze głowę i objął oczyma więzienie, poczem oparł ją o zrab skalny, westchnął jak dziecko, które usypia po długim płaczu, i usnął. I wnet opadły go widzenia. Zdawało mu się, że wśród nocy niesie na ręku Lygię przez nieznaną winnicę, a przed nimi idzie Pomponia Graecina z kagankiem w ręku i świeci. Jakiś głos, jakby głos Petroniusza, wołał za nim z daleka: „Wróć się!” Lecz on nie zważał na owo wołanie i szedł dalej za Pomponią, póki nie doszli do chaty, w której progu stał Piotr Apostoł. Wówczas on pokazał mu Lygię i rzekł: „Idziemy z areny, panie, ale nie możemy jej obudzić, zbudź ty ją”. Lecz Piotr odpowiedział: „Chrystus sam przyjdzie ją zbudzić!” Potem obrazy poczęły mu się mieszać. Widział przez sen Nerona i Poppeę, trzymającą na ręku małego Rufiusa ze skrwawionem czołem, które obmywał Petroniusz, i Tigellina, posypującego popiołem stoły, zastawione kosztownymi potrawami, i Viteliusza, pożerającego owe potrawy, i mnóstwo innych augustianów, siedzących przy uczcie. On sam spoczywał przy Lygii; lecz między stolami chodziły lwy, którym z płowych bród ściekała krew. Lygia prosiła go, by ją wyprowadził, a jego ogarnęła bezwładność tak straszna, iż nie mógł się nawet poruszyć. Zaczem w widzeniach jego nastał bezład jeszcze większy i wreszcie wszystko zapadło w ciemność zupełną. Z głębokiego snu zbudził go dopiero żar słoneczny i okrzyki, które rozległy się tuż obok miejsca, na którym siedział. Viniciusz przetarł oczy: ulica roiła się od ludzi, lecz dwaj biegacze, przybrani w żółte tuniki, rozsuwali długimi trzciniami tłum, krzycząc i czyniąc miejsce dla wspaniałej lektyki, którą niosło czterech silnych niewolników egipskich. W lektyce siedział jakiś człowiek, przybrany w białe szaty, którego twarzy nie było dobrze widać, albowiem tuż przy oczach trzymał zwój papyrusu i odczytywał coś pilnie. — Miejsce dla szlachetnego augustianina! — wołali biegacze. Ulica jednak była tak natłoczona, że lektyka musiała się na chwilę zatrzymać. Wówczas augustianin opuścił niecierpliwie zwój papieru i wychylił głowę, wołając: — Rozpędzić mi tych nicponiów! Prędzej! Nagle, spostrzegłszy Viniciusza, cofnął głowę i podniósł szybko do oczu zwój papieru. A Viniciusz przeciągnął ręką po czole, sądząc, że śni jeszcze. W lektyce siedział Chilo. Tymczasem biegacze utorowali drogę i Egipcyanie mieli ruszyć naprzód, gdy nagle młody trybun, który w jednej chwili zrozumiał wiele rzeczy, przedtem dla niego niezrozumiałych, przybliżył się do lektyki. — Pozdrowienie ci, Chilonie! — rzekł. — Młodzieńcze — odpowiedział z godnością i dumą Grek, usiłując swej twarzy nadać wyraz spokoju, którego w duszy nie miał — witaj, ale mnie nie zatrzymuj, gdyż śpieszę do przyjaciela mego, szlachetnego Tigellina. A Viniciusz, chwyciwszy za krawędź lektyki, pochylił się ku niemu i, patrząc mu wprost w oczy, rzekł zniżonym głosem: — Tyś wydał Lygię?... — Kolosie Memnona! — zawołał z przestachem Chilo. Lecz w oczach Viniciusza nie było groźby, więc strach starego Greka przeszedł szybko. Pomyślał, że jest pod opieką Tigellina i samego Cezara, to jest potęg, przed którymi drży wszystko, i że otaczają go silni niewolnicy, a zaś Viniciusz

stoi przed nim bezbronny, z wynędniałą twarzą i postawą, zgiętą przez ból. Na tę myśl wróciła mu zuchwałość. Utkwił w Viniciusza swe oczy, okolone czerwonymi obwódkami, i odszepnął: — A ty, gdy umierał z głodu, kazałeś mnie schłostać. Na chwilę umilkli obaj, poczem ozwał się głuchy głos Viniciusza: — Skrzywdziłem cię, Chilonie!... Wówczas Grek podniósł głowę i, klasnąwszy w palce, co w Rzymie było oznaką lekceważenia i pogardy, odrzekł tak głośno, aby wszyscy mogli go słyszeć: — Przyjacielu, jeśli masz do mnie prośbę, przyjdź do domu mego na Eskwilinie o rannej porze, w której po kąpieli przyjmuję gości i klientów. I skinął ręką, a na ów znak Egipcyanie podnieśli lektykę, niewolnicy zaś, przybrani w żółte tuniki, poczęli wołać, machając trzcinią: — Miejsce dla lektyki szlachetnego Chilona Chilonidesa! miejsce! miejsce!...

ROZDZIAŁ XII.

Lygia w długim, pośpiesznie pisanym liście żegnała nazawsze Viniciusza. Wiadomo jej było, że do więzienia niewolno już nikomu przychodzić i że będzie mogła widzieć Viniciusza dopiero z areny. To też prosiła go, by dowiedział się, kiedy przypadnie ich kolej, i by był na igrzysku, albowiem chciała raz jeszcze zobaczyć go za życia. W liście jej nie znać było bojaźni. Pisała, że i ona, i inni tęsknią już do areny, na której znajdą wyzwolenie z więzienia. Spodziewając się przyjazdu Pomponii i Aulusa, błagała, by przyszli i oni. W każdym jej słowie widać było uniesienie i to oderwanie się od życia, w którym żyli wszyscy uwięzieni, a zarazem niezachwianą wiarę, że obietnice spełnić się muszą za grobem. „Czy Chrystus (pisała) teraz, czy po śmierci mnie wyzwoli, On ci obiecał mnie przez usta Apostoła, a więc ja twoja“. I zaklinała go, by jej nie żałował i nie dał się opanować bólowi. Śmierć nie była dla niej rozerwaniem ślubów. Z ufnością dziecka upewniała Viniciusza, że zaraz po męce w arenie powie Chrystusowi, iż w Rzymie został jej narzeczony, Marek, który tęskni po niej całym sercem. I myślała, że może Chrystus pozwoli wrócić na chwilę jej duszy do niego, aby mu powiedzieć, że żyje, że męki nie pamięta i że jest szczęśliwa. Cały jej list tchnął szczęściem i ogromną nadzieją. Była w nim tylko jedna prośba, związana ze sprawami ziemi: aby Viniciusz zabrał ze spolarium jej ciało i pochował ją, jako swoją żonę, w grobowcu, w którym sam niegdyś miał spocząć. On czytał ów list z rozdartą duszą, ale zarazem zdało mu się niepodobieństwem, aby Lygia mogła zginąć pod kłami dzikich zwierząt i aby Chrystus nie zlitował się nad nią. Jednakże w tem właśnie tkwiła nadzieja i ufność. Wróciwszy do domu, odpisał, że będzie przychodził codziennie pod mury Tulianum czekać, póki Chrystus nie skruszy murów i nie odda mu jej. Nakazał wierzyć jej, że On może mu ją oddać nawet z cyrku, że Wielki Apostoł błaga go o to i że chwila wyzwolenia jest bliska. Nawrócony centurion miał odnieść jej ów list nazajutrz. Lecz gdy Viniciusz przyszedł następnego dnia pod więzienie, setnik, opuściwszy szereg, zbliżył się do niego pierwszy i rzekł: — Posłuchaj mnie, panie. Chrystus, który cię doświadczył, okazał ci łaskę swoją. Dzisiejszej nocy przyszedli wyzwoleńcy Cezara i prefekta, aby wybrać im dziewice chrześcijańskie na pohańbienie; pytali się o oblubienicę twoją, lecz Pan nasz zesłał na nią gorączkę, na którą umierają więźnie w Tulianum, i poniechali jej. Wczoraj wieczór była już nieprzytomna, i niech będzie błogosławione imię Zbawiciela, albowiem ta choroba, która ją ocaliła od hańby, może ją ocalić i od śmierci. Viniciusz oparł dłoń na naramienniku żołnierza, aby nie upaść, ów zaś mówił dalej: — Dziękuj miłosierdziu Pana. Linnusa porwali i położyli na męki, ale widząc, że kona, oddali go. Może i tobie oddadzą ją teraz, a Chrystus wróci jej zdrowie. Młody trybun chwilę jeszcze pozostał ze spuszczoną głową, poczem podniósł ją i rzekł cicho: — Tak jest, setniku. Chrystus, który wybawił ją od hańby, wybawi ją od śmierci. I, dosiedziawszy pod murem więzienia do wieczora, wrócił do domu, aby wysłać swoich ludzi po Linnusa i kazać go przenieść do jednej ze swoich willi podmiejskich. Jednakże Petroniusz, dowiedziawszy się o wszystkim, postanowił działać jeszcze. Poprzednio był już u Augusty, teraz zaś udał się do niej po raz drugi. Zastał ją u łóża małego Rufiusa. Dziecko z

rozbitą głową majaczyło w gorączce, matka zaś ratowała ją z rozpaczą i zgrozą w sercu, myśląc, że, jeśli je uratuje, to może tylko po to, by wkrótce straszniejszą zginęło śmiercią. Zajęta wyłącznie swoim bólem, nie chciała nawet słuchać o Viniciuszu i Lygii, lecz Petroniusz przeraził ją. „Obraziłaś — rzekł jej — nowe nieznanne bóstwo. Ty, Augusto, czcisz podobno hebrajskiego Jehowę, ale chrześcijanie utrzymują, że Chrystus jest jego synem, pomyśl więc, czy cię nie ściga gniew ojca. Kto wie, czy to, co cię spotkało, nie jest ich zemstą, i czy życie Rufiusa nie zależy od tego, jak postąpisz”. — Co chcesz, abym uczyniła? — spytała z przestachem Poppea. — Przebłagaj zagniewane bóstwa. — Jak? — Lygia jest chora. Wpłyn na Cezara lub Tigellina, żeby ją wydano Viniciuszowi. A ona spytała z rozpaczą: — Czy ty myślisz, że ja mogę? — Więc możesz co innego. Jeśli Lygia wyzdrowieje, musi iść na śmierć. Idź do świątyni Westy i zażądaj, aby virgo magna znalazła się wypadkiem koło Tulianum w chwili, gdy będą wyprowadzali więźniów na śmierć, i rozkazała uwolnić tę dziewczynę. Wielka westalka nie odmówi ci tego. — A jeśli Lygia umrze z gorączki? — Chrześcijanie mówią, że Chrystus jest mściwy, ale sprawiedliwy: być może, że przebłagasz go chęcią samą. — Niech mi da jaki znak, że ocali Rufiusa. Petroniusz wzruszył ramionami. — Ja nie przychodzę, jako jego poseł, o boska, mówię ci tylko: bądź lepiej w zgodzie ze wszystkimi bóstwami rzymskimi i obcemi. — Pójdę! — rzekła złamanym głosem Poppea. Petroniusz odetchnął głęboko. — Nareszcie coś wskórałem! — pomyślał. I, wróciwszy do Viniciusza, rzekł mu: — Proś swego Boga, by Lygia nie umarła na gorączkę, bo jeśli nie umrze, to Wielka westalka rozkaże ją uwolnić. Sama Augusta będzie ją o to prosiła. Viniciusz popatrzył na niego oczyma, w których błyszczała gorączka, i odpowiedział: — Ją uwolni Chrystus. A Poppea, która dla ocalenia Rufiusa gotowa była palić hekatombę wszystkim bogom świata, tegoż jeszcze wieczora udała się na Forum do westalek, powierzwszy opiekę nad chorem dzieckiem wiernej piastunce, Sylwii, która i ją samą wyniańczyła. Lecz na Palatynie wyrok na dziecko był już wydany, zaledwie bowiem lektyka cesarzowej znikła za Wielką bramą, do komnaty, w której spoczywał mały Rufius, weszli dwaj wyzwoleńcy Cezara, z których jeden rzucił się na starą Sylwii i zatkał jej usta, drugi zaś, chwyciwszy miedziany posążek Sfinksa, ogłuszył ją pierwszym uderzeniem. Poczem zbliżyli się do Rufiusa. Trawiony gorączką i bezprzytomny chłopak, nie zdając sobie sprawy, co dzieje się koło niego, uśmiechał się do nich i mrużył swe śliczne oczy, jakby usiłował ich rozpoznać. Lecz oni, zdjąwszy z niańki pas, zwany cingulum, zadzierzgnęli mu go koło szyi i poczęli zaciskać. Dziecko, zawoławszy raz matki, skonało łatwo. Zaczem owinęli je w prześcieradło i, siadłszy na przygotowane konie, pośpieszyli aż do Ostyi, gdzie wrzucili ciało w morze. Poppea, nie zastawszy Wielkiej dziewicy, która wraz z innymi westalkami była u Watyniusza, wróciła wkrótce na Palatyn. Znalazłszy puste łóżce i zastygłe ciało Sylwii, zemdląca, a gdy ją otrzeźwiono, poczęła krzyczeć i dzikie jej krzyki rozlegały się przez noc całą i dzień następny. Lecz trzeciego dnia Cezar kazał jej przyjść na ucztę, więc, przybrawszy się w ametystową tunikę, przyszła i siedziała z kamienną twarzą, złotowłosa, milcząca, cudna i złowroga, jak anioł śmierci.

ROZDZIAŁ XIII.

Zanim Flawiusze wzniesli Coloseum, amfiteatra w Rzymie budowano przeważnie z drzewa, to też wszystkie niemal spłonęły w czasie pożaru. Nero jednak, dla wyprawienia przyobiecanych igrzysk, kazał wnieść kilka, a między nimi jeden olbrzymi, na który, zaraz po ugaszeniu ognia, poczęto sprowadzać morzem i Tybrem potężne pnie drzew, wyciętych na stokach Atlasu. Ponieważ igrzyska wspaniałością i liczbą ofiar miały przejść wszystkie poprzednie, dodano więc obszerne pomieszczenia dla ludzi i zwierząt. Tysiące rzemieślników pracowało nad budową dniem i nocą. Budowano i ozdabiano bez wytchnienia. Lud opowiadał sobie cuda o oparciach, wykładanych bronzem, bursztynem, kością słoniową, perłowcem i skorupnikiem zamorskich żółwiów. Biegnące

wzdłuż siedzeń kanały, napełnione lodowatą wodą z gór, miały utrzymywać w budynku chłód przyjemny nawet w czasie największych upałów. Olbrzymie purpurowe „velarium“ zabezpieczało od promieni słonecznych. Między rzędami siedzeń ustawiono kadzielnice do palenia wonności arabskich; w górze pomieszczono przyrządy do skrapiania widzów rosą szafranową i werweną. Słynni budowniczowie Sewerus i Celler wysilili całą swą wiedzę, by wznieść amfiteatr niezrównany, a zarazem mogący pomieścić taką liczbę ciekawych, jakiej dotąd żaden ze znanych nie mógł pomieścić. To też w dniu, w którym miał rozpocząć się ludus matutinus, tłumy gawiedzi czekały od świtu na otwarcie wrót, wsłuchując się z lubością w ryk lwów, chrapliwe beczenie panter i wycie psów. Zwierzętom nie dawano jeść od dwóch dni a natomiast przesuwano przed nimi zakrwawione kawały mięsa, by tembardziej pobudzić w nich wściekłość i głód. Chwilami też zrywała się taka burza dzikich głosów, że ludzie, stojący przed cyrkiem, nie mogli rozmawiać, a wrażliwsi bledli ze strachu. Lecz wraz ze wschodem słońca zabrzmiały w obrębie cyrku pieśni donośne, ale spokojne, których słuchano ze zdziwieniem, powtarzając sobie wzajem: „Chrześcijanie! chrześcijanie!“ Jakoż mnogie ich zastępy sprowadzono do amfiteatru jeszcze w nocy i nie z jednego tylko więzienia, jak był pierwotny zamiar, ale ze wszystkich potrochu. Wiedziano w tłumie, że widowiska pociągną się przez całe tygodnie i miesiące, ale spierano się, czy z tą częścią chrześcijan, która była przeznaczona na dziś, zdołają skończyć w ciągu jednego dnia. Głosy męskie, kobiece i dziecinne, śpiewające pieśń poranną, były tak liczne, iż znawcy utrzymywali, że, choćby po sto i dwieście ciał wysyłano naraz, zwierzęta zmęczą się, nasycą i do wieczora nie potrafią wszystkich porozrywać. Inni twierdzili, że zbyt wielka liczba ofiar, występujących jednocześnie na arenie, rozrywa uwagę i nie pozwala lubować się, jak należy, widowiskiem. W miarę, jak zbliżała się chwila otwarcia korytarzy, prowadzących do wnętrza, zwanych womitoriami, lud ożywiał się, rozweselał i spierał o rozmaite, dotyczące widowiska, rzeczy. Poczęły się tworzyć stronnictwa, podnoszące większą sprawność lwów lub tygrysów w rozdzieraniu ludzi. Tu i owdzie czyniono zakłady. Inni jednak rozprawiali o gladyatorach, którzy mieli wystąpić przed chrześcijanami na arenie, i znów tworzyły się stronnictwa to Samnitów, to Gallów, to Mirmillonów, to Traków, to sieciarzy. Wczesnym rankiem większe lub mniejsze ich oddziały poczęły pod przywództwem mistrzów, zwanych lanistami, napływać do amfiteatru. Nie chcąc się utrudzać przed czasem, szli bez zbroi, często zupełnie nadzy, często z zielonemi gałęziami w ręku, lub uwieńczeni w kwiaty, młodzi, piękni w świetle porannem i pełni życia. Ciała ich, błyszczące od oliwy, potężne, jakby wykowane w marmurze, wprawiały w zachwyt rozmiłowany w kształtach lud. Wielu z nich znano osobiście i co chwila rozlegały się okrzyki: „Witaj Furnius! witaj Leo! witaj Maximus! witaj Diomedes!“ Młode dziewczęta wznosiły ku nim oczy, pełne miłości, oni zaś upatrywali, gdzie która najpiękniejsza, i odzywali się do nich żartobliwemi słowami, jakby żadna troska nie ciążyła nad nimi, przesyłając całusy lub wołając: „Obejmij, nim śmierć obejmie!“ Poczem znikali w bramach, z których wielu nie miało już wyjść więcej. Lecz coraz nowe powody rozrywały uwagę tłumów. Za gladyatorami szli mastigoforowie, to jest ludzie, zbrojni w bicz, których obowiązkiem było smagać i podniecać walczących. Potem muły ciągnęły w stronę „spoliarium“ całe szeregi wozów, na których poukładane były stosy drewnianych trumien. Na ten widok cieszył się lud, wnioskując z ich liczby o ogromie widowiska. Zaczem ciągnęli ludzie, którzy mieli dobijać rannych, przebrani tak, aby każdy podobny był do Charona lub do Merkurego, zaczem ludzie, pilnujący porządku w cyrku, rozdający siedzenia, zaczem niewolnicy do roznoszenia potraw i chłodników, a wreszcie pretorianie, których każdy Cezar zawsze miewał w amfiteatrze pod ręką. Otworzono wreszcie womitoria i tłumy runęły do środka. Lecz takie było mnóstwo zgromadzonych, że płynęli i płynęli przez całe godziny, aż dziwno było, że amfiteatr może tak nieprzeliczoną czerń pochłonać. Ryki zwierząt, czujących wyziewy ludzkie, wzmogły się jeszcze. Lud huczał w cyrku przy

zajmowaniu miejsc, jak fala w czasie burzy. Przybył наконец prefekt miasta w otoczeniu „wigilów“, a po nim nieprzerwanym już łańcuchem poczęły się zmieniać lektyki senatorów, konsulów, pretorów, edylów, urzędników publicznych i pałacowych, starszyny pretoriańskiej, patrycyuszów i wykwintnych kobiet. Niektóre lektyki poprzedzali liktorowie, niosący siekiery wśród pęku różg, inne tłumy niewolników. W słońcu migotały złocenia lektyk, białe i różnobarwne suknie, pióra, zausznice, klejnoty, stal toporów. Z cyrku dochodziły okrzyki, jakimi lud witał potężnych dostojników. Od czasu do czasu przybywały jeszcze niewielkie oddziały pretorianów. Lecz kapłani z rozmaitych świątyn przybyli nieco później, a za nimi dopiero niesiono święte dziewice Westy, które poprzedzali liktorowie. Z rozpoczęciem widowiska czekano już tylko na Cezara, który też, nie chcąc narażać ludu na zbyt długie oczekiwanie i pragnąc ująć go sobie pośpiechem, przybył niebawem w towarzystwie Augusty i augustianów. Petroniusz przybył między augustianami, mając w swej lektyce Viniciusza. Ow wiedział, że Lygia jest chora i bezprzytomna, ale ponieważ w ostatnich dniach dostęp do więzienia był jak najsurowiej strzeżony, ponieważ dawne straże zastąpiono nowemi, którym niewolno było rozmawiać ze stróżami, jak również udzielać najmniejszych wiadomości tym, którzy przychodzili pytać o więźniów, nie był więc pewien, czy niema jej między ofiarami, przeznaczonemi na pierwszy dzień widowiska. Dla lwów mogli wysłać i chorą, choćby bezprzytomną. Ale ponieważ ofiary miały być poobszywane w skóry zwierząt i wysyłane całemi gromadami na arenę, przeto nikt z widzów nie mógł sprawdzić, czy jedna więcej lub mniej znajduje się między niemi, i nikt żadnej rozpoznać. Stróże i cała służba amfiteatru była przekupiona, z bestyaryuszami stanął zaś układ, że ukryją Lygię w jakimś ciemnym zakątku amfiteatru, a nocą wydadzą ją w ręce pewnego Viniciuszowego dzierżawcy, który natychmiast wywiezie ją w góry Albańskie. Petroniusz, przypuszczony do tajemnicy, radził Viniciuszowi, by otwarcie udał się z nim do amfiteatru i dopiero przy wejściu wymknął się w tłoku i pośpieszył do lochów, gdzie, dla uniknięcia możliwych pomyłek, osobiście miał wskazać stróżom Lygię. Stróże puścili go małymi drzwiczkami, któremi wychodzili sami. Jeden z nich, imieniem Syrus, poprowadził go natychmiast do chrześcijan. Po drodze rzekł: — Nie wiem, panie, czy znajdziesz, czego szukasz. My dopytywaliśmy się o dziewicę imieniem Lygia, nikt jednak nie dał nam odpowiedzi, ale być może, iż nie ufają nam. — Dużo ich jest? — pytał Viniciusz. — Wielu musi, panie, pozostać na jutro. — Czy są chorzy między nimi? — Takich, którzyby nie mogli ustać na nogach, niemasz. To rzekłszy, Syrus otworzył drzwi i weszli jakby do ogromnej izby, ale niskiej i ciemnej, światło bowiem przychodziło do niej jedynie przez zakratowane otwory, oddzielając ją od areny. Viniciusz z początku nie mógł nic dojrzeć, słyszał tylko w izbie szmer głosów i okrzyki ludu, dochodzące z amfiteatru. Lecz po chwili, gdy oczy jego przywykły do zmroku, ujrzał całe gromady dziwacznych istot, podobnych do wilków i niedźwiedzi. Byli to chrześcijanie, poobszywani w skóry zwierząt. Jedni z nich stali, drudzy modlili się, klęcząc. Tu i owdzie z długich włosów, spływających po skórze, można było odgadnąć, że ofiara jest kobietą. Matki, podobne do wilczyc, nosiły na rękę również kosmato obszyte dzieci. Lecz z pod skór wychylały się twarze jasne, oczy w mroku połyskiwały radością i gorączką. Widocznem było, że większą część tych ludzi opanowała jedna myśl, wyłączna i zaziemska, która jeszcze za życia znieczuliła ich na wszystko, co się koło nich dziać i co ich spotkać mogło. Niektórzy, zapytywani o Lygię przez Viniciusza, patrzyli nań oczyma jakby zbudzonemi ze snu, nie odpowiadając na pytania; inni uśmiechali się do niego, kładąc palce na ustach lub wskazując na żelazne kraty, przez które wchodziły jasne snopy blasku. Dzieci tylko płakały gdzieniegdzie, przestraszone rykiem bestyi, wyciem psów, wrzaskiem ludu i podobnemi do zwierząt postaciami własnych rodziców. Viniciusz, idąc obok stróża Syrusa, patrzył w twarze, szukał, rozpytywał, chwilami potykał się o ciała tych, którzy pomdleli z natłoku, zaduchu i gorąca, i przeciskał się dalej w ciemną głąb izby, która zdawała

się być tak obszerną, jak cały amfiteatr. Lecz nagle zatrzymał się, albowiem zdawało mu się, że w pobliżu kraty ozwał się jakiś znajomy mu głos. Posłuchawszy przez chwilę, zawrócił i, precisnąwszy się przez tłum, stanął blisko. Snop światła padał na głowę mówiącego i w blasku tym Viniciusz rozpoznał z pod wilczej skóry wychudłą i nieubłaganą twarz Kryspa. — Żałujcie za grzechy wasze — mówił Kryspus — bo oto chwila zaraz nadejdzie. Ale kto myśli, że samą śmiercią okupi winy, ten nowy grzech popełnia i stracony będzie w ogień wieczny. Każdym grzechem waszym, któryście za życia popełnili, odnawialiście mękę Pana, jakże więc śmiecie mniemać, by ta, która was czeka, mogła tamtą okupić? Jednaką śmiercią pomrą dziś sprawiedliwi i grzeszni, ale Pan swoich odróżni. Biada wam, albowiem kły lwów podrały ciała wasze, ale nie podrały win waszych, ni waszego rachunku z Bogiem. Pan okazał dość miłosierdzia, gdy pozwolił na krzyż się przybić, ale odtąd będzie tylko sędzią, który żadnej winy bez kary nie zostawi. Więc którzyście myśleli, iż męką zgładzicie grzechy wasze, bluźniliście przeciw sprawiedliwości Boskiej i tem głębiej będziecie pogrążeni. Skończyło się miłosierdzie, a przyszedł czas gniewu Bożego. Oto za chwilę staniecie przed strasznym sądem, wobec którego zaledwie cnotliwy się ostoi. Żałujcie za grzechy, albowiem otwarte są czeluści piekielne i biada wam mężowie i żony, biada rodzice i dzieci! I wyciągnąwszy kościste dłonie, trząsł niemi nad pochylonemi głowami, nieustraszony, ale też i nieubłagany nawet wobec śmierci, na którą za chwilę pójść mieli wszyscy owi skazańcy. Po jego słowach ozwały się głosy: „Żałujmy za grzechy nasze!“ poczem zapadło milczenie i słychać było tylko płacz dzieci i uderzenia rąk o piersi. Viniciuszowi zaś krew ścięła się w żyłach. On, który całą nadzieję złożył w miłosierdziu Chrystusa, usłyszał teraz, że nadszedł dzień gniewu i że miłosierdzia nie zjedna nawet śmierć na arenie. Przez głowę przebiegła mu wprawdzie jasna i szybka, jak błyskawica, myśl, że Piotr Apostoł inaczej przemówiłby do tych mających umrzeć, niemniej jednak groźne, pełne fanatyzmu słowa Kryspa i ta ciemna izba z kratami, za którymi było pole męki i bliskość jej i natłok ofiar, przybranych już na śmierć, napełniły mu duszę zgrozą i przerażeniem. Wszystko to razem wzięte wydało mu się straszne i stokroć okropniejsze, niż najkrwawsze bitwy, w których brał udział. Zaduch i żar poczęły go dusić. Pot zimny wystąpił mu na czoło. Chwyciła go obawa, że zemdleje, jak ci, o których ciała potykał się, czyniąc poszukiwania w głębi izby, więc gdy pomyślał jeszcze, że lada chwila mogą otworzyć kraty, począł wołać głośno Lygii i Ursusa, w nadziei, że jeśli nie oni, to ktoś znający ich mu odpowie. Jakoż natychmiast jakiś człowiek, przybrany za niedźwiedzia, pociągnął go za tokę i rzekł: — Panie, zostali w więzieniu. Mnie ostatniego wyprowadzano i widziałem ją chorą na łożu. — Kto jesteś? — spytał Viniciusz. — Fossor, w którego chacie Apostół chrzcił cię, panie. Uwięziono mnie przed trzema dniami, a dziś już umrę. Viniciusz odetchnął. Wchodząc tu, życzył sobie znaleźć Lygię, obecnie zaś gotów był dziękować Chrystusowi, że jej tu niema i w tem widzieć znak Jego miłosierdzia. Tymczasem fossor pociągnął go jeszcze raz za tokę i rzekł: — Pamiętasz, panie, że to ja zaprowadziłem cię do Korneliuszowej winnicy, gdzie w szopie nauczał Apostół? — Pamiętam — odpowiedział Viniciusz. — Widziałem go później na dzień przedtem, nim mnie uwięzili. Pobłogosławił mi i mówił, iż przyjdzie do amfiteatru przeżegnać ginących. Chciałbym na niego patrzeć w chwili śmierci i widzieć znak krzyża, bo wówczas łatwiej mi będzie umrzeć, więc jeśli wiesz, panie, gdzie on jest, to mi powiedz. Viniciusz zniżył głos i odrzekł: — Jest między ludźmi Petroniusza, przebrany za niewolnika. Nie wiem, gdzie wybrali miejsca, ale wrócę do cyrku i zobaczę. Ty patrz na mnie, gdy wyjdziecie na arenę, ja zaś podniosę się i zwrócę głowę w ich stronę. Wówczas go odnajdziesz oczyma. — Dzięki ci, panie, i pokój z tobą. — Niech ci Zbawiciel będzie miłościw. — Amen. Viniciusz wyszedł z „kunikulum“ i udał się do amfiteatru, gdzie miał miejsce obok Petroniusza, wśród innych augustianów. — Jest? — zapytał go Petroniusz. — Niema jej. Została w więzieniu. — Słuchaj, co mi jeszcze przyszło na myśl, ale

słuchając, patrz naprzykład na Nigidyę, aby się zdawało, że rozmawiamy o jej uczesaniu... Tigellinus i Chilo spoglądają na nas w tej chwili... Słuchaj więc: niech Lygię nocą włożą w trumnę i wyniosą z więzienia jako umarłą, reszty się domyślasz. — Tak — odpowiedział Viniciusz. Dalszą rozmowę przerwał im Tulliusz Senecio, który pochyliwszy się ku nim, rzekł: — Nie wiecie, czy chrześcijanom dadzą broń? — Nie wiemy — odpowiedział Petroniusz. — Wolałbym, gdyby ją dali — mówił Tulliusz — inaczej arena zbyt prędko staje się podobna do jatek rzeźniczych. Ale co za przepyszny amfiteatr! Rzeczywiście, widok był wspaniały. Niższe siedzenia, nabite togami, białe, jak śnieg. W wyłocionem „podium“ siedział Cezar w dyamentowym naszyjniku, ze złotym wieńcem na głowie, obok niego piękna i posępna Augusta, obok po obu stronach westalki, wielcy urzędnicy, senatorowie w bramowych płaszczach, starszyzna wojskowa w błyszczących zbrojach, słowem wszystko, co w Rzymie było potężne, świetne i bogate. W dalszych rzędach siedzieli rycerze, a wyżej, czerniało kręgiem morze głów ludzkich, nad którymi od słupa do słupa zwieszały się girlandy, uwite z róż, lilij, sasanków, bluszczu i winogrodu. Lud rozmawiał głośno, nawoływał się, śpiewał, chwilami wybuchał śmiechem nad jakimś dowcipnem słowem, które przesyłano sobie z rzędu do rzędu i tupał z niecierpliwości, by przyspieszyć widowisko. Wreszcie tupanie stało się podobne do grzmotów i nieustające. Wówczas prefekt miasta, który poprzednio już był ze świetnym orszakiem objechał arenę, dał znak chustką, na który w amfiteatrze odpowiedziało powszechne: „aaa!...“ wyrwane z tysięcy piersi. Zwykle widowisko rozpoczynało się od łowów na dzikiego zwierza, w których celowali rozmaici barbarzyńcy z północy i południa, tym razem jednak zwierząt miało być aż nadto, rozpoczęto więc od andabatów, to jest ludzi przybranych w hełmy bez otworów na oczy, a zatem bijących się na oślep. Kilkunastu ich, wyszedłszy naraz na arenę, poczęło machać mieczami w powietrzu, mastigoforowie zapomocą długich wideł posuwali jednych ku drugim, aby mogło przyjść do spotkania. Wykwintniejsi widzowie patrzyli obojętnie i z pogardą na podobne widowisko, lecz lud bawił się niezgrabnymi ruchami szermierzy, gdy zaś trafiało się, że spotykali się plecami, wybuchał głośnym śmiechem, wołając: „w prawo!“ „w lewo!“ „wprost!“ i często myląc umyślnie przeciwników. Kilka par zczepiło się jednak i walka poczyniła być krwawą. Zawzięci zapaśnicy, rzucali tarcze i podając sobie lewe ręce, aby nie rozłączyć się więcej, prawymi walczyli na zabój. Kto padł, podnosił palce do góry, błagając tym znakiem litości, lecz na początku widowiska lud zwykle domagał się śmierci ranionych, zwłaszcza gdy chodziło o andabatów, którzy mając twarze zakryte, pozostawali mu nieznani. Zwolna liczba walczących zmniejszała się coraz bardziej, a gdy wreszcie pozostało dwóch tylko, popchnięto ich ku sobie tak, że spotkawszy się, padli obaj na piasek i zakłóli się na nim wzajemnie. Wówczas, wśród okrzyków „dokonano!“ posługacze uprzątnęli trupy, pacholeta zaś zagrabiły krwawe ślady na arenie i potrząsnęły ją listkami szafranu. Teraz miała nastąpić poważniejsza walka, budząca zaciekawienie nie tylko motłochu, ale i ludzi wykwintnych, w czasie której młodzi patrycyusze czynili nieraz ogromne zakłady, zgrywając się częstokroć do nitki. Wraz też, zaczęły krążyć z rąk do rąk tabliczki, na których wypisywano imiona ulubieńców, a zarazem ilość sestercyi, jaką każdy stawiał za swoim wybranym. „Spectati“, to jest zapaśnicy, którzy występowali już na arenie i odnosili na niej zwycięstwa, zyskiwali najwięcej zwolenników, lecz między grającymi byli i tacy, którzy stawiali znaczne sumy na gladyatorów nowych i całkiem nieznanych, w tej nadziei, że na wypadek ich zwycięstwa, zagarną olbrzymie zyski. Zakładał się sam Cezar i kapłani i westalki i senatorowie i rycerze i lud. Ludzie z gminu, gdy zbrakło im pieniędzy, stawiali często w zakład własną wolność. Czekano też z biciem serca, a nawet i trwogą na ukazanie się szermierzy i niejeden czynił głośne śluby bogom, by zjednać ich opiekę dla swego ulubieńca. Jakoż, gdy ozwały się przeraźliwe odgłosy trąb, w amfiteatrze uczyniła się cisza oczekiwania. Tysiące oczu zwróciło się ku wielkim wrzeciędzom, do których zbliżył się człowiek, przybrany za

Charona i wśród ogólnego milczenia trzykrotnie zastukał w nie młotem, niby wywołując na śmierć tych, którzy byli za nimi ukryci. Poczem otworzyły się zwolna obie połowy bramy, ukazując czarną czeluść, z której poczęli wysypywać się na jasną arenę gladyatorowie. Szli oddziałami po dwudziestu pięciu ludzi, osobno Trakowie, osobno Mirmillonowie, Sannici, Gallowie, wszyscy ciężko zbrojni, a wreszcie „retiarii“, dzierżący w jednym ręku sieć, w drugim trójzab. Na ich widok tu i owdzie zerwały się po ławkach oklaski, które wkrótce zmieniły się w jedną ogromną i przeciąglą burzę. Od góry do dołu widać było rozpalone twarze, klaszczące dłonie i otwarte usta, z których wyrwały się okrzyki. Oni zaś okrążyli całą arenę krokiem równym i sprężystym, migocąc orężem i bogatymi zbrojami, poczem zatrzymali się przed cesarskim „podium“, dumni, spokojni i świetni. Przerażliwy głos rogu uciszył oklaski, a wówczas zapaśnicy wyciągnęli w górę prawice i wznosząc oczy i głowy ku cesarzowi, poczęli wołać, a raczej śpiewać przeciąglymi głosami:

„Ave, caesar imperator!

Morituri te salutant!“

Zaczem rozsunęli się szybko, zajmując osobne miejsca na okręgu areny. Mieli na siebie uderzać całymi oddziałami, lecz pierwej dozwolono słynniejszym szermierzom stoczyć ze sobą szereg pojedynczych walk, w których najlepiej okazywała się siła, zręczność i odwaga przeciwników. Jakoż wnet z pomiędzy „Gallów“ wysunął się zapaśnik, znany dobrze miłośnikom amfiteatru pod imieniem „Rzeźnika“ (Lanio), zwycięzca w wielu igrzyskach. W wielkim hełmie na głowie i pancerzu, opinającym z przodu i z tyłu jego potężną pierś, wyglądał w blasku na żółtej arenie, jak olbrzymi błyszczący żuk. Niemniej słynny retiarius Kalendio wystąpił przeciw niemu. Między widzami poczęto się zakładać: — Pięćset sestercyi za Gallem! — Pięćset za Kalendiem! — Na Herkulesa! tysiąc! — Dwa tysiące! Tymczasem Gall, doszedłszy do środka areny, począł się znów cofać z nastawionym mieczem i zniżając głowę, przypatrywał się uważnie przez otwory w przyłbicy przeciwnikowi, lekki zaś, o ślicznych posągowych kształtach retiarius, całkiem nagi, prócz przepaski w biodrach, okrążał szybko ciężkiego nieprzyjaciela, machając z wdziękiem siecią, pochylając lub podnosząc trójzab i śpiewając zwykłą pieśń „sieciarzy“:

„Nie chcę ciebie, ryby szukam,

Czemu zmykasz, Gallu“.

Lecz Gall nie zmykał, po chwili bowiem zatrzymał się i stanąwszy w miejscu, począł obracać się tylko nieznacznym ruchem, tak, aby zawsze mieć z przodu nieprzyjaciela. W jego postaci i potwornie wielkiej głowie było teraz coś strasznego. Widzowie rozumieli doskonale, że to ciężkie, zakute w miedź ciało zbiera się do nagłego rzutu, który może walkę rozstrzygnąć. Sieciarz tymczasem to przyskakiwał do niego, to odskakiwał, czyniąc swemi potrójnemi widłami ruchy tak szybkie, że wzrok ludzki z trudnością mógł za nimi podążyć. Dźwięk zębów o tarczę rozległ się kilkakrotnie, lecz Gall ani się zachwiał, dając tem świadectwo olbrzymiej swej siły. Cała jego uwaga zdawała się być skupioną nie na trójzab, ale na sieć, która krążyła ustawicznie nad jego głową, jak ptak złowrogi. Widzowie, zatrzymawszy oddech w piersi, śledzili mistrzowską grę gladyatorów. Lanio, upatrzawszy chwilę, runął wreszcie na przeciwnika, ów zaś z równą szybkością przemknął się pod jego mieczem i wzniesionem ramieniem, wyprostował się i rzucił siecią. Gall, zwróciwszy się na miejscu, zatrzymał ją tarczą, poczem rozskoczyli się obaj. W amfiteatrze zagrzmiały okrzyki: „Macte!“ w niższych zaś rzędach poczęto robić nowe zakłady. Sam Cezar, który z początku rozmawiał z westalką Rubrią i niebardzo dotąd zważał na widowisko, zwrócił głowę ku arenie. Oni zaś poczęli znów walczyć tak wprawnie i z taką dokładnością w ruchach, iż chwilami wydawało się, że chodzi im nie o śmierć lub życie, ale o wykazanie swej zręczności. Lanio, dwukrotnie jeszcze wywinąwszy się z sieci, począł się nanowo cofać ku okręgowi areny. Wówczas jednak ci, którzy trzymali przeciw niemu, nie chcąc,

by wypoczął, poczęli krzyczeć: „Nacieraj!“ Gall usłuchał i natarł. Ramię sieciarza oblało się nagle krwią i sieć mu zwisała. Lanio skurczył się i skoczył, chcąc zadać cios ostatni. Lecz w tej chwili Kalendio, który umyślnie udał, że nie może już władać siecią, przegiął się w bok, uniknął pchnięcia i wsunawszy trójzab między kolana przeciwnika, zwałił go na ziemię. Ów chciał powstać, lecz w mgnieniu oka spowiły go fatalne sznury, w których każdym ruchem zaplątywał silniej ręce i nogi. Tymczasem razy trójzęba przygważdżały go raz po raz do ziemi. Raz jeszcze wysilił się, wsparł na rękę i wyprężył, by powstać, napróżno! Podniósł jeszcze ku głowie mdlejącą rękę, w której nie mógł już miecza utrzymać i padł na wznak. Kalendio przycisnął mu zębami wideł szyję do ziemi i wsparłszy się obu rękoma na ich trzonie, zwrócił się w stronę cesarskiej łoży. Cały cyrk począł się trząść od oklasków i ludzkiego ryku. Dla tych, którzy trzymali za Kalendiem, był on w tej chwili większy, niż Cezar, ale właśnie dlatego znikła w ich sercu zawziętość i przeciw Laniewi, który kosztem krwi własnej napełnił im kieszenie. Rozdwoiły się więc życzenia ludu. Na wszystkich ławach ukazały się w połowie znaki śmierci, w połowie politowania, lecz sieciarz patrzył tylko w łożę Cezara i westalek, czekając, co oni postanowią. Na nieszczęście, Nero nie lubił Lania, albowiem na ostatnich igrzyskach przed pożarem, zakładając się przeciw niemu, przegrał do Licyniusza znaczną sumę, wysunął więc rękę z podium i zwrócił wielki palec ku ziemi. Westalki powtórzyły znak natychmiast. Wówczas Kalendio przykląkł na piersiach Galla, wy dobył krótki nóż, który nosił za pasem i odchyliwszy zbroi koło szyi przeciwnika, wbił mu po rękojeść w gardło trójkątnę ostrze. — Peractum est! — rozległy się głosy w amfiteatrze. Lanio zaś drgał czas jakiś, jak zarżnięty wół i kopał nogami piasek, poczem wyprężył się i pozostał nieruchomy. Merkury nie potrzebował sprawdzać rozpalonem żelazem, czy żyje jeszcze. Wnet uprzątnięto go i wystąpiły inne pary, po których przejściu zawrzała dopiero walka całych oddziałów. Lud brał w niej udział duszą, sercem, oczyma: wył, ryczał, świstał, klaskał, śmiał się, podniecał walczących, szalał. Na arenie podzieleni na dwa zastępy gladyatorowie walczyli z wściekłością dzikich zwierząt: pierś uderzała o pierś, ciała splatały się w śmiertelnym uścisku, trzeszczały w stawach potężne członki, miecze topiły się w piersiach i brzuchach, pobladłe usta buchały krwią na piasek. Kilkunastu nowicyuszów chwyciła pod koniec trwoga tak straszna, że wyrwawszy się z zamętu, poczęli uciekać, lecz mastigoforowie zagnali ich wnet w bitwę batami, zakończonymi ołowiem. Na piasku potworzyły się wielkie ciemne plamy; coraz więcej nagich i zbrojnych ciał leżało pokotem nakształt snopów. Żywi walczyli na trupach, potykali się o zbroje, o tarcze, krwawili nogi o połamany oręż i padali. Lud nie posiadał się z radości, upajał się śmiercią, dyszał nią, nasyczał oczy jej widokiem i z rozkoszą wciągał w płuca jej wyziewy. Zwyciężeni legli wreszcie niemal wszyscy. Zaledwie kilku rannych klękło na środku areny i chwiejąc się, wyciągnęło ku widzom ręce z prośbą o zmiłowanie. Zwycięzcom rozdano nagrody, wieńce, gałązki oliwne i nastąpiła chwila odpoczynku, która z rozkazu wszechwładnego Cezara zmieniła się w ucztę. W wazach zapalono wonności. Skrapiacze zraszali lud deszczykiem szafranym i fijołkowym. Roznoszono chłodniki, pieczone mięsiwa, słodkie ciasta, wino, oliwę i owoce. Lud pożerał, rozmawiał i wykrzykiwał na cześć Cezara, by skłonić go do tem większej hojności. Jakoż, gdy nasycono głód i pragnienie, setki niewolników wniosły pełne podarunków kosze, z których przybrane za amatorów pacholęta wyjmowały rozmaite przedmioty i obu rękoma rozrzucały wśród ławek. W chwili gdy rozdawano loteryjne „tessery“, powstała bójka: ludzie cisnęli się, przewracali, deptali jedni po drugich, krzyczeli o ratunek, przeskakiwali przez rzędy siedzeń i dusili się w straszliwym tłoku, kto bowiem dostał szczęśliwą liczbę, mógł wygrać nawet dom z ogrodem, niewolnika, wspaniałą odzież lub osobliwe dzikie zwierzę, które następnie sprzedawał do amfiteatru. Czyniły się z tego powodu takie zamęty, że częstokroć pretorianie musieli wprowadzać ład, po każdym zaś rozdawnictwie wynoszono z widowni ludzi z połamanymi rękoma,

nogami, lub nawet zdeptanych na śmierć w ścisku. Lecz bogatsi nie brali udziału w walce o „tessery“. Augustianie zabawiali się tym razem widokiem Chilona i przedrwiwaniem z jego daremnych usiłowań, by pokazać ludziom, że na walkę i rozlew krwi może patrzeć tak dobrze, jak każdy inny. Próżno jednak nieszczęśliwy Grek marszczył brwi, zagryzał wargi i zaciskał pięści tak, że aż paznogie wpijały mu się w dłonie. Zarówno jego grecka natura, jak i jego osobiste tchórzostwo, nie znosiły takich widowisk. Twarz mu pobladła, czoło operliło się kroplami potu, wargi posiniały, oczy wpadły, zęby poczęły szczekać, a ciało chwyciła drżączka. Po ukończonej walce przyszedł nieco do siebie, lecz gdy wzięto go na języki, zdjął go nagły gniew i począł odgryzać się rozpaczliwie. — Ha, Greku! Nieznośny ci widok podartej ludzkiej skóry! — mówił, pociągając go za brodę, Watyniusz. Chilo zaś wyszczerzył na niego swe dwa ostatnie żółte zęby i odrzekł: — Mój ojciec nie był szewcem, więc nie umiem jej łątać. — Macte! habet! — zawołało kilka głosów. Lecz inni drwili dalej: — Nie on winien, że zamiast sera ma w piersiach kawał sera! — zawołał Senecio. — Nie tyś winien, że zamiast głowy masz pęcherz — odparł Chilo. — Może zostaniesz gladyatorem! dobrzebyś wyglądał z siecią na arenie. — Gdybym ciebie w nią złowił, złowiłbym cuchnącego dudka. — A jak będzie z chrześcijanami? — pytał Festus z Liguryi. — Czy nie chciałbyś zostać psem i kąsać ich? — Nie chciałbym zostać twoim bratem. — Ty meocki trądzie! — Ty liguryjski mule! — Skóra cię swędzi widocznie, ale nie radzę prosić mnie, bym cię podrapał. — Drap sam siebie. Jeśli zdrapiesz własne pryszcze, zniszczysz, co w tobie jest najlepszego. I w ten sposób oni napadali go, on zaś odgryzał się zjadliwie wśród powszechnego śmiechu. Cezar klaskał w dłonie, powtarzał: „Macte!“ i podniecał ich. Po chwili jednak zbliżył się Petroniusz i dotknąwszy rzeźbioną w kości słoniowej laseczką ramienia Greka, rzekł zimno: — To dobrze, filozofie, aleś w jednym tylko pobłądził: bogowie stworzyli cię rzezimieszkiem, tyś zaś został demonem i dlatego, nie wytrzymasz! Starzec popatrzył na niego swemi zaczerwienionymi oczyma, wszelako tym razem nie znalazł jakoś gotowej obelgi. Na chwilę umilkł, poczem odpowiedział jakby z pewnem wysileniem: — Wytrzymam!... Ale tymczasem trąby dały znać, że przerwa w widowisku skończona. Ludzie poczęli opuszczać przedziały, w których gromadzili się dla wyprostowania nóg i dla rozmowy. Wszczął się ruch ogólny i zwykle kłótnie o zajmowane poprzednio siedzenia. Senatorowie i patrycyusze dążyli do swoich miejsc. Zwolna uciszał się gwar i amfiteatr przychodził do ładu. Na arenie pojawiła się gromada ludzi, aby tu i owdzie rozgrabić jeszcze pozlepiane zsiadłą krwią grudki piasku. Nadchodziła kolej na chrześcijan. Ale, że było to nowe dla ludu widowisko i nikt nie wiedział, jak się zachowają, wszyscy oczekiwali ich z pewnem zaciekawieniem. Nastrój tłumu był skupiony, spodziewano się bowiem scen nadzwyczajnych, ale nieprzyjazny. Wszakże ci ludzie, którzy mieli się teraz pojawić, spalili Rzym i odwieczne jego skarby. Wszakże karmili się krwią niemowląt, zatruli wody, przeklinali cały rodzaj ludzki i dopuszczali się najbezpieczniejszych zbrodni. Rozbudzonej nienawiści niedość było najsroższych kar i jeśli jaka obawa przejmowała serca, to tylko obawa o to, czy męki dorównają występkom tych złowrogich skazańców. Tymczasem słońce podniosło się wysoko i promienie jego, precedzone przez purpurowe „velarium“, napełniły amfiteatr krwawem światłem. Piasek przybrał barwę ognistą i w tych blaskach, w twarzach ludzkich, zarówno jak i w pustce areny, która za chwilę miała się zapełnić męką ludzką i zwierzęcą wściekłością, było coś strasznego. Zdawało się, iż w powietrzu unosi się groza i śmierć. Tłum, zwykle wesoły, zaciął się pod wpływem nienawiści w milczeniu. Twarze miały wyraz zawzięty. Wtem prefekt dał znak: wówczas pojawił się ten sam starzec, przebrany za Charona, który wywoływał na śmierć gladyatorów i przeszedłszy wolnym krokiem przez całą arenę, wśród głuchej ciszy, zastukał znów trzykrotnie młotem we drzwi. W całym amfiteatrze ozwał się pomruk: — Chrześcijanie! chrześcijanie!... Zgrzytnęły żelazne kraty; w ciemnych otworach rozległy się zwykle

krzyki mastigoforów: „Na piasek!“ i w jednej chwili arena zaludniła się gromadami jakby sylwanów, pookrywanych skórami. Wszyscy biegli prędko nieco, gorączkowo i wypadłszy na środek koliska, klękali jedni przy drugich, z wzniesionymi w górę rękoma. Lud sądził, że to jest prośba o litość i rozwścieczony takim tchórzostwem, począł tupać, gwizdać, rzucać próżnymi naczyniami od wina, poogryzanymi kośćmi i ryczeć: „Zwierząt! zwierząt!...“ Lecz nagle stało się coś nieoczekiwanego. Oto ze środka kosmatej gromady podniosły się śpiewające głosy i w tejże chwili zabrzmiała pieśń, którą po raz pierwszy usłyszano w rzymskim cyrku:

„Christus regnat!!...“

.....

Wówczas zdumienie ogarnęło lud. Skazańcy śpiewali z oczyma wzniesionymi ku welarium. Widziano twarze pobladłe, lecz jakby natchnione. Wszyscy zrozumieli, że ludzie ci nie proszą o litość i że zdają się nie widzieć ni cyrku, ni ludu, ni senatu, ni Cezara. Christus regnat! rozbrzmiewało coraz donośniej, a w ławach, hen, aż do góry, między rzędami widzów, niejeden zadawał sobie pytanie: co to się dzieje i co to jest za Christus, który króluje w ustach tych ludzi, mających umrzeć? Ale tymczasem otwarto nową kratę i na arenę wypadły z dzikim pędem i szczekaniem całe stada psów: płowych olbrzymich molosów z Peloponezu, pręgowatych psów z Pirenejów i podobnych do wilków kundli z Hibernii, wygłodzonych umyślnie, o zapadłych bokach i krwawych oczach. Wycie i skomlenie napełniło cały amfiteatr. Chrześcijanie, skończywszy pieśń, klęczeli nieruchomi, jakby skamienieli, powtarzając tylko jednym jęklwym chórem: Pro Christo! pro Christo! Psy, wyczuwszy ludzi pod skórą zwierząt i zdziwione ich nieruchomością, nie śmiały się na nich odrazu rzucić. Jedne wspinały się na ściany łóż, jakby chciały dostać się do widzów, drugie biegały wokoło, szczekając zażarcie, jakby goniły jakiegoś niewidzialnego zwierza. Lud rozgniewał się. Zawrzały tysiące głosów: niektórzy z widzów udawali ryk zwierząt; inni szczekali, jak psy, inni szczuli we wszystkich językach. Amfiteatr zatrzęsł się od wrzasków. Rozdrażnione psy poczęły to dopadać do klęczących, to cofać się jeszcze, klapiąc zębami, aż wreszcie jeden z molosów wpił kły w bark klęczącej na przodzie kobiety i pociągnął ją pod siebie. Wówczas dziesiątki ich rzuciły się w środek, jakby przez wyłom. Tłum przestał ryczeć, by przypatrywać się z większą uwagą. Wśród wycia i charkotu słychać jeszcze było żalosne głosy męskie i kobiece: Pro Christo! pro Christo! lecz na arenie potworzyły się drgające kłęby z ciał psów i ludzi. Krew płynęła teraz strumieniem z porodzianych ciał. Psy wydzierały sobie wzajem krwawe ludzkie członki. Zapach krwi i poszarpanych wnętrzności zgłuszył arabskie wonie i napełnił cały cyrk. W końcu już tylko gdzieś widać było pojedyncze klęczące postaci, które wnet pokrywały ruchome wyjące kupy. Viniciusz, który w chwili, gdy chrześcijanie wbiegli, podniósł się i odwrócił, aby zgodnie z obietnicą wskazać fossorowi stronę, w której między ludźmi Petroniusza był ukryty Apostoł, siadł napowrót i siedział z twarzą człowieka umarłego, spoglądając szklannymi oczyma na okropne widowisko. Z początku obawa, że fossor mógł się omylić i że Lygia może znajdować się między ofiarami, odrętwiała go zupełnie, lecz gdy usłyszał głosy: Pro Christo! gdy widział mękę tylu ofiar, które umierając, świadczyły swej prawdzie i swemu Bogu, ogarnęło go inne poczucie, dojmujące jak najstraszniejszy ból, a jednak nieprzeparte, że gdy Chrystus sam umarł w męce i gdy giną oto za niego tysiące, gdy wylewa się morze krwi, ta jedna więcej kropla nic nie znaczy i że grzechem jest nawet prosić o miłosierdzie. Ta myśl szła na niego z areny, przenikała go wraz z jękami umierających, wraz z zapachem ich krwi. A jednak modlił się i powtarzał zeszlęmi wargami: „Chryste! Chryste! i twój Apostoł modli się za nią!“ Poczem zapamiętał się, stracił świadomość, gdzie jest, zdawało mu się tylko, że krew na arenie wzbiera i wzbiera, że piętrzy się i wypłynie z cyrku na cały Rzym. Zresztą nie słyszał nic, ni wycia psów, ni wrzasków ludu, ni głosów augustianów, które nagle poczęły wołać:

— Chilo zemdłał!! — Chilo zemdłał! — powtórzył Petroniusz, zwracając się w stronę Greka. A ów zemdłał rzeczywiście i siedział biały, jak płótno, z zadartą w tył głową i z otwartymi szeroko ustami, podobny do trupa. W tej samej chwili poczęto wypychać nowe, obszyte w skóry ofiary na arenę. Te klękały natychmiast, jak i ich poprzednicy, lecz zmordowane psy nie chciały ich szarpać. Ledwie kilka ich rzuciło się na najbliższych klęczących, inne zaś, pokładłszy się i podniósłszy w górę okrwawione paszcze, poczęły robić bokami i ziajać ciężko. Wówczas zaniepokojony w duszach, ale spity krwią i rozszalały lud począł krzyczeć przeraźliwymi głosami: — Lwów! lwów! wypuścić lwy!... Lwy miały być zachowane na dzień następny, lecz w amfiteatrach lud narzucał swoją wolę wszystkim, a nawet i Cesarowi. Jeden tylko Kaligula, zuchwały i zmienny w swych zachceniach, ośmielał się sprzeciwiać, a nawet bywało, że przykazywał okładać tłumy kijami, lecz i on najczęściej ulegał. Nero, któremu oklaski droższe były nad wszystko w świecie, nie opierał się nigdy, tembardziej więc nie oparł się teraz, gdy chodziło o ukojenie rozdrażnionych po pożarze tłumów i o chrześcijan, na których chciał zwalić winę klęski. Dał więc znak, by otworzono „kunikulum“, co ujrawszy lud, uspokoił się natychmiast. Usłyszano skrzywienie krat, za którymi były lwy. Psy na ich widok, zbiły się w jedną kupę po przeciwległej stronie koła, skowycząc zcicha, one zaś poczęły jeden po drugim wytaczać się na arenę, ogromne, płowe, o wielkich kudłatych głowach. Sam Cezar zwrócił ku nim swą znudzoną twarz i przyłożył szmaragd do oka, aby przyglądać się lepiej. Augustianie przywitali je oklaskiem; tłum liczył je na palcach, śledząc zarazem chciwie, jakie wrażenie czyni ich widok na klęczących w środku chrześcijan, którzy znów jęli powtarzać niezrozumiałe dla wielu, a drażniące wszystkich, słowa: pro Christo! pro Christo!... Lecz lwy, jakkolwiek wygłodniałe, nie śpieszyły się do ofiar. Czerwonawy blask na arenie raził je, więc mrużyły oczy, jakby olśnione; niektóre wyciągały leniwie swe złotawe cielska, niektóre rozwierając paszcze, ziewały, rzekłbyś, chcąc pokazać widzom kły straszliwe. Lecz następnie zapach krwi i podartych ciał, których mnóstwo leżało na arenie, począł na nie działać. Wkrótce ruchy ich stały się niespokojne, grzywy jeżyły się, nozdrza wciągały chrapliwie powietrze. Jeden przypadł nagle do trupa kobiety z poszarpaną twarzą i ległszy przednimi łapami na ciele, jął zlizywać kolczastym językiem skrzepłe sople, drugi zbliżył się do chrześcijanina, trzymającego na ręku dziecko, obszyte w skórę jelonka. Dziecko trzęsło się od krzyku i płaczu, obejmując konwulsyjnie szyję ojca, ów zaś, pragnąc mu przedłużyć choć na chwilę życie, starał się oderwać je od szyi, by podać dalej klęczącym. Lecz krzyk i ruch podrażnił lwa. Nagle wydał krótki, urwany ryk, zgniótł dziecko jednym uderzeniem łapy i chwyciwszy w paszczę czaszkę ojca, zgruchotał ją w mgnieniu oka. Na ten widok wszystkie inne wpadły na gromadę chrześcijan. Kilka kobiet nie mogło wstrzymać okrzyków przerażenia, lecz lud zgłuszył je oklaskami, które wnet jednak uciszyły się, albowiem chęć patrzenia przemogła. Widziano wówczas rzeczy straszne: głowy znikające całkowicie w czeluściach paszcz, piersi otwierane na rozcież jednym uderzeniem kłów, wyrwane serca i płuca; słyszano trzask kości w zębach. Niektóre lwy, chwyciwszy ofiary za boki lub krzyże, latały w szalonych skokach po arenie, jakby szukając zakrytego miejsca, gdzieby mogły je pożreć; inne w walce wzajemnej, wspinały się na siebie, obejmując się łapami, jak zapaśnicy i napełniając amfiteatr grzmotem. Ludzie wstawali z miejsc. Inni opuszczając siedzenia, schodzili przedziałami niżej, by widzieć lepiej i tłoczyli się w nich na śmierć. Zdawało się, że uniesione tłumy rzucą się w końcu na samą arenę i poczną rozdzierać razem z lwami. Chwilami słyszeć było nieludzki wrzask, chwilami oklaski, chwilami ryk, pomruk, kłapanie kłów, wycie molosów, chwilami jęki tylko. Cezar, trzymając szmarag przy oku, patrzył teraz uważnie. Twarz Petroniusza przybrała wyraz niesmaku i pogardy. Chilona poprzednio już wyniesiono z cyrku. A z kunikulów wypychano coraz nowe ofiary. Z najwyższego rzędu w amfiteatrze spoglądał na nie Piotr Apostoł. Nikt na niego nie patrzył, wszystkie bowiem głowy zwrócone były ku arenie,

więc wstał i jako niegdyś w Korneliuszowej winnicy błogosławił na śmierć i na wieczność, tym, których miano pochwyć, tak teraz żegnał krzyżem ginących pod kłami zwierząt i ich krew i ich mękę i martwe ciała, zmienione w niekształtne bryły i dusze, ulatujące z krwawego piasku. Niektórzy podnosili ku niemu oczy, a wówczas rozjaśniały się im twarze i uśmiechali się, widząc nad sobą hen, w górze, znak krzyża. Jemu zaś rozdzierało się serce i mówił: O Panie! bądź wola Twoja, bo na chwałę Twoją! na świadectwo prawdy giną, te owce moje! Tyś mi je paść rozkazał, więc zdaję ci je, a Ty porachuj je, Panie, weź je, zagój ich rany, ukój ich boleść i daj im więcej jeszcze szczęścia, niżli tu męki doznali. I żegnał jednych po drugich, gromadę, po gromadzie, z miłością tak wielką, jakgdyby byli jego dziećmi, które oddawał wprost w ręce Chrystusa. Wtem Cezar, czy to z zapamiętania, czy chcąc, by igrzysko przeszło wszystko, co dotąd widziano w Rzymie, szepnął kilka słów prefektowi miasta, ów zaś, opuściwszy podium, udał się natychmiast do kunikulów. I nawet lud już zdumiał się, gdy po chwili ujrzął znów otwierające się kraty. Wypuszczono teraz zwierzęta wszelkiego rodzaju: tygrysy z nad Eufratu, numidyjskie pantery, niedźwiedzie, wilki, hyeny i szakale. Cała arena pokryła się jakby ruchomą falą skór pręgowanych, żółtych, płowych, ciemnych brunatnych i centkowanych. Powstał zamęt, w którym oczy nie mogły już nic rozróżnić, prócz okropnego przewracania się i kłębienia grzbietów zwierzęcych. Widowisko straciło pozór rzeczywistości, a zmieniło się, jakby w orgię krwi, jakby w straszny sen, jakby w potworny majak obłąkanego umysłu. Miara była przebrana. Wśród ryków, wycia i skowyczenia, ozwały się tu i owdzie na ławach widzów przeraźliwe, spazmatyczne śmiechy kobiet, których siły wyczerpały się wreszcie. Ludziom uczyniło się straszno. Twarze zmierzchły. Rozliczne głosy poczęły wołać: „dosyć! dosyć“. Lecz zwierzęta łatwiej było wpuścić, niż je wypędzić. Cezar znalazł jednak sposób oczyszczenia z nich areny, połączony z nową dla ludu rozrywką. We wszystkich przedziałach wśród ław pojawiły się zastępy czarnych, strojnych w pióra i zausznice, Numidów z łukami w ręku. Lud odgadł, co nastąpi i przywitał ich okrzykiem zadowolenia, oni zaś zbliżyli się do obrębu i przyłożywszy strzały do cięciw, poczęli szyc z łuków w gromady zwierząt. Było to istotnie nowe widowisko. Smukłe, czarne ciała, przechylały się w tył, prężąc giętkie łuki i wysyłając grot za grotem. Warkot cięciw i świst pierzastych bełtów mieszał się z wyciem zwierząt i okrzykami podziwu widzów. Wilki, niedźwiedzie, pantery i ludzie, którzy jeszcze zostali żywi, padali pokotem obok siebie. Tu i owdzie lew, poczuwszy grot w boku, zwracał nagłym ruchem zmarszczoną z wściekłości paszczę, by chwycić i zdruzgotać drzewce. Inne jęczały z bólu. Drobiazg zwierzęcy, wpadłszy w popłoch, przebiegał naoslep arenę, lub bił głowami w kraty, a tymczasem groty warczały i warczały ciągle, dopóki wszystko co żywe nie legło w ostatnich drganiach konania. Wówczas na arenę wpadły setki niewolników cyrkowych, zbrojnych w rydle, łopaty, miotły, taczki, kosze do wynoszenia wnętrzności i wory z piaskiem. Jedni napływali za drugimi i na całym kolisku zawrzała gorączkowa czynność. Wnet oczyszczono je z trupów, krwi i kału, przeryto, zrównano i potrząśnięto grubą warstwą świeżego piasku. Zaczem wbiegły amorki, rozrzucając listki róż, lilii i przeróżnego kwiecica. Zapalono nanowo kadzielnice i zdjęto velarium, bo już słońce zniżyło się znacznie. Tłumy zaś, spoglądając po sobie ze zdziwieniem, zapytywały się wzajem, co za widowisko czeka je jeszcze w dniu dzisiejszym. Jakoż czekało takie, którego nikt się nie spodziewał. Oto Cezar, który od niejakiego czasu opuścił podium, ukazał się nagle na ukwieconej arenie, przybrany w purpurowy płaszcz i złoty wieniec. Dwunastu śpiewaków, z cytrami w ręku, postępowało za nim, on zaś, dzierżąc srebrną lutnię, wystąpił uroczystym krokiem na środek i skłoniwszy się kilkakrotnie widzom, podniósł ku niebu oczy i czas jakiś stał tak, jakby oczekując na natchnienie. Poczem uderzył w struny i zaczął śpiewać:

„ O promienisty Lety synu,

Władco Tenedu, Killi, Chryzy,
Tyżeś to, mając w pieczy swej
Ilionu święty gród,
Mógł go gniewowi Achiwów zdać
I zcierpieć, by święte ołtarze,
Płonące wiecznie ku twej czci,
Zbryzgała Trojan krew?
Do ciebie starcy drżące dłonie,
O Srebrnołuki, w dal godzący,
Do ciebie matki z głębi łon
Wznosiły łzawy głos,
Byś nad ich dziećmi litość miał:
I gład-by skargi te wzruszyły,
A tyś mniej czuły był, niż gład,
Sminteju, na ludzki ból!!!...”

Pieśń przechodziła zwolna w żalowaną, pełną bólu elegię. W cyrku uczyniła się cisza. Po chwili Cezar, sam wzruszony, począł śpiewać dalej:

„Mógłżeś formingi boskiej brzmieniem
Zgłuszyć lamentsy serc i krzyk
Gdy oko jeszcze dziś
Zachodzi łąką, jak rosą kwiat
Na dźwięk posępny pieśni tej
Co wskrzesza z prochu i popiołów,
Pożogi, klęski, zguby dzień...
— Sminteju, gdzieś wówczas był?”

Tu głos mu zadrgał i zwilgotniały oczy. Na rzęsach westalek ukazały się łzy, lud słuchał cicho, zanim wybuchnął długo nieustającą burzą oklasków. Tymczasem z zewnątrz przez otwarte dla przewiewu womitoria dochodziło skrzywienie wozów, na których składano krwawe szczątki chrześcijan, mężczyzn, kobiet i dzieci, aby je wywieźć do strasznych dołów, zwanych „puticuli“. A Piotr Apostoł objął rękoma swą białą, drżącą głowę i wołał w duchu: — Panie! Panie! komuś Ty oddałeś rząd nad światem? i przecz chcesz założyć swoją stolicę w tym mieście?

ROZDZIAŁ XIV.

Tymczasem słońce zniżyło się ku zachodowi i zdawało się roztopiać w zorzach wieczornych. Widowisko było skończone. Tłumy poczęły opuszczać amfiteatr i wylewać się przez wyjścia, zwane womitoriami, na miasto. Augustianie tylko zwłóczyli, czekając, zanim przepłynie fala. Cała gromada ich, opuściwszy swe miejsca, zebrała się przy podium, w którym Cezar ukazał się znowu, by słuchać pochwał. Jakkolwiek widzowie nie szczędzili mu oklasków zaraz po ukończeniu pieśni, dla niego nie było to dosyć, spodziewał się bowiem zapachu, dochodzącego do szaleństwa. Napróżno też brzmiały teraz hymny pochwalne, próżno westalki całowały jego „boskie“ dłonie, a Rubria schyliła się przytem tak, że aż rudawa jej głowa dotknęła jego piersi. Nero nie był zadowolony i nie umiał tego ukryć. Dziwiło go też i niepokoiło zarazem, że Petroniusz zachowuje milczenie. Jakieś pochwalne, a zarazem trafnie podnoszące zalety pieśni, słowo z jego ust byłoby mu w tej chwili wielką pociechą. Wreszcie, nie mogąc wytrzymać, skinął na niego, a gdy ów wszedł do podium, rzekł: — Powiedz... A Petroniusz odrzekł zimno: — Milczę, bo nie mogę znaleźć słów. Przeszedłeś sam siebie. — Tak i mnie się zdawało, a jednak ten lud?... — Czy możesz żądać od mieszkańców, aby się znali na poezji? — Więc zauważyłeś i ty, że nie podziękowano mi tak, jakem zasłużył? — Boś obrał złą chwilę. — Dlaczego? — Dlatego, że mózgi, zaczadzone zaduchem krwi, nie mogą słuchać uważnie. Nero zacisnął pięści i odrzekł: — Ach, ci chrześcijanie! Spalili Rzym, a teraz krzywdzą i mnie. Jakież jeszcze kary dla nich wymyślę? Petroniusz spostrzegł, że idzie złą drogą i że słowa jego odnoszą skutek, wprost przeciwny temu, jaki zamierzył osiągnąć, więc, chcąc odwrócić umysł Cezara w inną stronę, pochylił się ku niemu i szepnął: — Pieśń twoja jest cudna, ale uczynię ci tylko jedną uwagę: w czwartym wierszu trzeciej strofy metryka pozostawia coś do życzenia. A Nero oblał się rumieńcem wstydu, jakby schwytyany na haniebnym uczynku, spojrzął z przestrachem i odpowiedział również cicho: — Ty wszystko zauważysz!... Wiem!... przerobię!... Ale nikt więcej nie spostrzegł? prawda? Ty zaś, na miłość bogów, nie mów nikomu... jeśli... ci życie miłe... Na to Petroniusz zmarszczył brwi i odpowiedział jakby z wybuchem nudy i zniechęcenia: — Możesz mnie, boski, skazać na śmierć, jeśli ci zawadza, ale mnie nią nie strasz, bo bogowie najlepiej wiedzą, czy się jej boję. I tak mówiąc, począł patrzeć wprost w oczy Cezara, ów zaś po chwili odrzekł: — Nie gniewaj się... Wiesz, że cię kocham... — Zły znak! — pomyślał Petroniusz. — Chciałem was prosić dziś na ucztę — mówił dalej Nero — ale się wolę zamknąć i polerować ów przeklęty wiersz trzeciej strofy. Prócz ciebie, mógł błęd zauważyć jeszcze Seneka, a może i Sekundus Karinas, ale się ich pozbędę zaraz. To rzekłszy, zawołał Seneki i oświadczył mu, że wraz z Akratusem i Sekundem Karinem wysyła go

do Italii i do wszystkich prowincyi po pieniądze, które nakazuje im ściągnąć z miast, ze wsi, ze słynnych świątyń, słowem zewsząd, gdzie tylko można je będzie znaleźć lub wycisnąć. Lecz Seneka, który zrozumiał, że powierzają mu czynność łupieżcy, świętokradcy i rozbójnika, odmówił wręcz. — Muszę jechać na wieś, panie — rzekł — i tam czekać śmierci, gdyż jestem stary i nerwy moje są chore. Iberyjskie nerwy Seneki, silniejsze od Chilonowych, nie były może chore, ale zdrowie jego było wogóle złe, albowiem wyglądał jak cień i głowa w ostatnich czasach zbieleła mu zupełnie. Nero też, spojrzawszy na niego, pomyślał, że może istotnie niedługo będzie czekał na jego śmierć i odrzekł: — Nie chcę narażać cię na podróż, jeśliś chory, ale że z miłości, jaką mam dla ciebie, chcę cię mieć blisko, więc zamiast wyjechać na wieś, zamkniesz się w twoim domu i nie będziesz go opuszczał. Poczem rozśmiał się i rzekł: — Gdy pošę Akratusa i Karinasa samych, to jakobym pošął wilki po owce. Kogóż nad nimi przełożę? — Przełoż mnie, panie! — rzekł Domicjusz Afer. — Nie! Nie chcę ściągnąć na Rzym gniewu Merkurego, którego zawstydziłibyście złodziejstwem. Potrzeba mi jakiegoś stoika, jak Seneka, lub jak mój nowy przyjaciel-filozof, Chilo. To rzekłszy, począł się oglądać i spytał: — A co się stało z Chilonem? Chilo zaś, który otrzeźwiał na świeżem powietrzu, wrócił do amfiteatru na pieśń Cezara, przysunął się i rzekł: — Jestem, świetlisty płodzie słońca i księżyca. Byłem chory, ale twój śpiew uzdrowił mnie. — Pošę cię do Achai — rzekł Nero. — Ty musisz wiedzieć co do grosza, ile tam jest w kaźdej świątyni. — Uczyn tak Zewsie, a bogowie złożą ci taką daninę, jakiej nigdy nikomu nie złożyli. — Uczyniłbym tak, ale nie chcę cię pozbawiać widoku igrzysk. — Baalu!... — rzekł Chilo. Lecz augustianie radzi, że humor Cezara poprawił się, poczęli się śmiać i wołać: — Nie, panie! Nie pozbawiaj tego męznego Greka widoku igrzysk. — Ale pozbaw mnie, panie, widoku tych krzykliwych kapitoliińskich gąsiąt, którym mózgi, razem wzięte, nie napełniłyby żołądziej miseczki — odparł Chilo. — Piszę oto, pierworodny synu Apollina, hymn po grecku na twoją cześć i dlatego chcę spędzić kilka dni w świątyni Muz, aby je błagać o natchnienie. — O nie! — zawołał Nero. — Chcesz się wykręcić od następnych widowisk. Nic z tego! — Przysięgam ci, panie, że piszę hymn. — Więc będziesz go pisał w nocy. Błagaj Dyannę o natchnienie, to przecie siostra Apollina. Chilo spuścił głowę, spoglądając ze złością na obecnych, którzy znowu zaczęli się śmiać. — Cezar zaś zwróciwszy się do Senecia i do Suiliusza Nerulina, rzekł: — Wyobraźcie sobie, że z przeznaczonych na dziś chrześcijan, zaledwie z połową zdołaliśmy się załatwić. Na to stary Aquilus Regulus, wielki znawca rzeczy, tyczących amfiteatru, pomyślał chwilę i ozwał się: — Te widowiska, w których występują ludzie sine armis et sine arte, trwają prawie równie długo, a mniej zajmują. — Każę im dawać broń — odpowiedział Nero. Lecz przesądny Vestinus zbudził się nagle z zamyślenia i spytał tajemniczym głosem: — Czy uważaliście, że oni coś widzą, umierając. Patrzą w górę i umierają, jakby bez cierpień. Jestem pewny, że oni coś widzą... To rzekłszy podniósł oczy ku otworowi amfiteatru, nad którym już noc poczęła rozciągać swoje nabite gwiazdami „velarium“. Inni jednak odpowiedzieli śmiechami i żartobliwemi przypuszczeniami, co chrześcijanie mogą widzieć w chwili śmierci. Tymczasem Cezar dał znak niewolnikom, trzymającym pochodnie i opuścił cyrk, a za nim westalki, senatorowie, urzędnicy i augustianie. Noc była jasna, ciepła. Przed cyrkiem snuły się jeszcze tłumy, ciekawe widzieć odjazd Cezara, ale jakieś posępne i milczące. Tu i owdzie ozwał się poklask i ścichł zaraz. Ze „spolarium“ skrzypiące wozy wywoziły wciąż krwawe szczątki chrześcijan. Petroniusz i Viniciusz odbywali drogę w milczeniu. Dopiero w pobliżu willi, Petroniusz spytał: — Czy myślałeś o tem, com ci powiedział? — Tak jest — odrzekł Viniciusz. — Czy ty wierzysz, że teraz i dla mnie, to jest sprawa największej wagi. Muszę ją uwolnić wbrew Cezarowi i Tigellinowi. To jest jakby walka, w której zawziętem się zwyciężyć, to jest jakby gra, w której chcę wygrać, choćby kosztem własnej skóry... Dzisiejszy dzień utwierdził mnie jeszcze w przedsięwzięciu. — Niech ci Chrystus zapłaci! —

Obaczysz. Tak rozmawiając, stanęli przed drzwiami willi i wysiedli z lektyki. W tej chwili jakaś ciemna postać zbliżyła się do nich i spytała. — Czy tu jest szlachetny Viniciusz? — Tak — odrzekł trybun — czego chcesz? — Jestem Nazariusz, syn Myriamy: idę z więzienia i przynoszę ci wiadomość o Lygii. Viniciusz oparł mu rękę na ramieniu i przy blasku pochodni począł mu patrzeć w oczy, nie mogąc przemówić ani słowa, ale Nazariusz odgadł zamierające na jego wargach pytanie i odrzekł: — Żyje dotąd. Ursus przysłała mnie do ciebie, panie, aby ci powiedzieć, że ona w gorączce modli się i powtarza imię twoje. A Viniciusz odrzekł: — Chwała Chrystusowi, który mi ją wrócić może. Poczem, wzięwszy Nazariusza, poprowadził go do biblioteki. Po chwili jednak nadszedł i Petroniusz, aby słyszeć ich rozmowę. — Choroba ocaliła ją od hańby, bo kaci boją się — mówił młody chłopiec. — Ursus i Glaukus lekarz czuwają nad nią dzień i noc. — Czy stróże zostali ciż sami? — Tak, panie, i ona jest w ich izbie. Ci więźniowie, którzy byli w dolnem więzieniu, pomarli wszyscy na gorączkę lub podusili się z zaduchu. — Ktoś ty jest? — zapytał Petroniusz. — Szlachetny Viniciusz mnie zna. Jestem synem wdowy, u której mieszkała Lygia. — I chrześcijaninem? Chłopiec spojrzał pytającym wzrokiem na Viniciusza, ale widząc, że ów modli się w tej chwili, podniósł głowę i rzekł: — Tak jest. — Jakim sposobem możesz wchodzić swobodnie do więzienia? — Nająłem się, panie, do wynoszenia ciał zmarłych, a uczyniłem to umyślnie, aby przychodzić z pomocą braciom moim i przynosić im wieści z miasta. Petroniusz począł się przypatrywać uważniej ślicznej twarzy chłopca, jego błękitnym oczom i czarnym, bujnym włosom, poczem spytał: — Z jakiego kraju jesteś, pachole? — Jestem Galilejczykiem, panie. — Czy chciałbyś, by Lygia była wolną? Chłopiec podniósł oczy w górę: — Choćbym sam miał potem umrzeć. Wtem Viniciusz przestał się modlić i rzekł: — Powiedz stróżom, by włożyli ją do trumny, jak umarłą. Ty dobierz pomocników, którzy w nocy wyniosą ją razem z tobą. W pobliżu Cuchnących dołów znajdziecie czekających z lektyką ludzi, którym oddacie trumnę. Stróżom obiecaj ode mnie, że dam im tyle złota, ile każdy w płaszczu zdoła unieść. I gdy tak mówił, twarz jego straciła zwykłą martwość, zbudził się w nim żołnierz, któremu nadzieja wróciła dawną energię. Nazariusz zaś spłonął z radości i wzniosłszy ręce, zawołał: — Niech Chrystus uzdrowi ją, albowiem będzie wolna. — Mniemasz, że stróże się zgodzą? — spytał Petroniusz. — Oni, panie? Byle wiedzieli, że nie spotka ich za to kara i męka! — Tak jest! — rzekł Viniciusz. — Stróże chcieli się zgodzić nawet na jej ucieczkę, tembardziej pozwolą ją wynieść jako umarłą. — Jest wprawdzie człowiek — rzekł Nazariusz — który sprawdza rozpalonem żelazem, czy ciała, które wynosimy, są martwe. Ale ten bierze nawet po kilka sestercyi za to, by nie dotykał żelazem twarzy zmarłych. Za jeden aureus dotknie trumny, nie ciała. — Powiedz mu, że dostanie pełną „kapsę“ aureusów — rzekł Petroniusz. — Ale czy potrafisz dobrać pewnych pomocników? — Potrafię dobrać takich, którzyby za pieniądze sprzedali własne żony i dzieci. — Gdzie ich znajdziesz? — W samem więzieniu lub na mieście. Stróże, raz zapłaceni, wprowadzą, kogo zechcą. — W takim razie wprowadzisz, jako najemnika, mnie — rzekł Viniciusz. Lecz Petroniusz począł mu odradzać z całą stanowczością, aby tego nie czynił. Pretorianie mogliby go poznać nawet w przebraniu i wszystko mogłoby przepaść. „Ani w więzieniu, ani przy Cuchnących dołach! (mówił). Trzeba, żeby wszyscy i Cezar i Tigellinus byli przekonani, że ona umarła, inaczej bowiem nakazaliby w tej chwili pościg. Podejrzenia możemy uspić tylko w ten sposób, że gdy ją wywiozą w góry Albańskie lub dalej, do Sycylii, my zostaniemy w Rzymie. W tydzień lub dwa dopiero ty zachorujesz i wezwiesz Neronowego lekarza, który ci każe wyjechać w góry. Wówczas połączycie się, a potem...“ Tu zamyślił się na chwilę, a następnie machnąwszy dłonią rzekł: — Potem nadejdą może inne czasy. — Niech Chrystus zmiłuje się nad nią — rzekł Viniciusz — bo ty mówisz o Sycylii, a ona jest chora i może umrzeć... — Umieścimy ją tymczasem bliżej. Ją uleczy samo powietrze, byleśmy ją wyrwali z więzienia. Zali nie masz gdzie w górach jakiego dzierzawcy, któremu mógłbyś zaufać. —

Tak jest! Mam! tak! — odpowiedział śpiesznie Viniciusz. — Jest koło Corioli w górach człowiek pewny, który mnie na rękę nosił, gdym był jeszcze dzieckiem i który miłuje mnie dotychczas. Petroniusz podał mu tabliczki. — Napisz do niego, by tu przybył jutro. Gońca wyślę natychmiast. To rzekłszy, zawołał przełożonego atrium i wydał mu odpowiednie rozkazy. W kilka chwil później konny niewolnik ruszył na noc do Corioli... — Chciałbym — rzekł Viniciusz — by Ursus towarzyszył jej w drodze... Byłbym spokojniejszy... — Panie — rzekł Nazaryusz — człowiek to nadludzkiej siły, który wyłamie kratę i pójdzie za nią. Jest jedno okno nad stromą, wysoką ścianą, pod którem straż nie stoi. Przyniosę Ursusowi sznur, a reszty on sam dokona. — Na Herkulesa — rzekł Petroniusz — niech się wrywa jak mu się podoba, ale nie razem z nią i nie w dwa lub trzy dni po niej, bo poszliby za nim i odkryli jej schronienie. Na Herkulesa! czy chcecie zgubić siebie i ją. Zakazuję wam wspominać mu o Corioli, albo umyвам ręce. Oni obaj uznali słusność jego uwagi i umilkli, Poczem Nazaryusz począł się żegnać, obiecując przyjść nazajutrz o świcie. Ze stróżami miał nadzieję ułożyć się jeszcze tej nocy, ale przedtem chciał wpaść do matki, która z powodu niepewnych i strasznych czasów, nie miała o niego chwili spokoju. Pomocnika postanowił po namyśle nie szukać na mieście, ale wynaleźć i przekupić jednego z pośród tych, którzy wraz z nim wynosili trupy z więzienia. Na samem odchodnem jednak zatrzymał się jeszcze i wzięwszy na stronę Viniciusza, począł mu szeptać: — Panie, nie wspomnę o naszym zamiarze nikomu, nawet matce, ale Piotr Apostoł obiecał przyjść do nas z amfiteatru i jemu powiem wszystko. — Możesz w tym domu mówić głośno — odpowiedział Viniciusz. — Piotr Apostoł był w amfiteatrze z ludźmi Petroniusza. Zresztą sam pójdę z tobą. I kazał podać sobie płaszcz niewolniczy, poczem wyszli. Petroniusz odetchnął głęboko. — Życzyłem sobie — myślał — aby umarła na tę gorączkę, bo dla Viniciusza byłoby to jeszcze najmniej straszne. Ale teraz gotówem ofiarować złoty trójnog Eskulapowi, w zamian za jej uzdrowienie... Ach! ty, Ahenobarbie, chcesz sobie wyprawić widowisko z boleści kochanka! ty Augusto, naprzód zazdrościłaś piękności dziewczynie, a teraz pożarłabyś ją na surowo, dlatego, że zginął twój Rufius... Ty, Tigellinie, chcesz ją zgubić na złość mnie!... Zobaczymy. Ja wam mówię, że oczy wasze nie ujrzą jej na arenie, bo albo umrze własną śmiercią, albo ją wam wyrwę, jak psom z paszczek... I wyrwę tak, że nie będziecie o tem wiedzieli, a potem ilekroć na was spojrzę, tylekroć pomyślę: oto głupcy, których wywiódł w pole Petroniusz... I rad z siebie, przeszedł do tryklinium, gdzie wraz z Eunice zasiadł do wieczerzy. Lektor czytał im przez ten czas sielanki Teokryta. Na dworze wiatr napędził chmur od strony Sorakte i nagła burza zmaćła ciszę pogodnej nocy letniej. Od czasu do czasu grzmoty rozlegały się na siedmiu wzgórzach, oni zaś, leżąc obok siebie za stołem, słuchali sielskiego poety, który w śpiewnem doryckiem narzeczu opiewał miłość pasterzy, a następnie, uspokojeni, gotowali się do słodkiego spoczynku. Przedtem jednak jeszcze wrócił Viniciusz. Petroniusz, dowiedziawszy się o jego powrocie, wyszedł do niego i spytał. — Cóż?... Czy nie uradziliście czego nowego? i czy Nazaryusz poszedł już do więzienia? — Tak — odpowiedział młody człowiek, rozgarniając włosy przemoczone od dżdżu. — Nazaryusz poszedł ułożyć się ze stróżami, a ja widziałem Piotra, który mi nakazał modlić się i wierzyć. — To dobrze. Jeśli wszystko pójdzie pomyślnie, następnej nocy można ją będzie wynieść... — Dzierżawca z ludźmi powinien być na świt. — To krótka droga. Spocznij teraz. Lecz Viniciusz ukląkł w swem cubikulum i począł się modlić. O wschodzie słońca przybył z pod Corioli dzierżawca Niger, przywiódłszy ze sobą zgodnie z zaleceniem Viniciusza muły, lektykę i czterech pewnych ludzi, wybranych z pomiędzy niewolników brytańskich, których zresztą zostawił przezornie w gospodzie na Suburze. Viniciusz, który czuwał całą noc, wyszedł na jego spotkanie, ów zaś wzruszył się na widok młodego pana i całując jego ręce i oczy, rzekł: — Drogi, czyś chory, czy też zmartwienia wyssały ci krew z oblicza, albowiem ledwiem cię mógł na pierwsze wejrzenie rozpoznać? Viniciusz zabrał go do wewnętrznej kolumnady,

zwanej ksystem i tam przypuścił go do tajemnicy. Niger słuchał ze skupioną uwagą i na jego czerstwej, ogorzałej twarzy, znać było wielkie wzruszenie, nad którym nie starał się nawet zapanować. — Więc ona jest chrześcijanką? — zawołał. I począł patrzeć badawczo w twarz Viniciusza, a ten odgadł widocznie, o co pyta go wzrok wieśniaka, albowiem odrzekł. — I ja jestem chrześcijaninem... Wówczas w oczach Nigra błysnęły łzy; przez chwilę milczał, następnie, wzniosłszy do góry ręce, rzekł: — O, dzięki ci Chryste, iześ zdjął bielmo z najdroższych mi w świecie oczu. Poczem objął głowę Viniciusza i płacząc ze szczęścia, począł całować jego czoło. W chwilę później nadszedł Petroniusz, prowadząc ze sobą Nazaryusza. — Dobre wieści! — rzekł zdala. Jakoż wieści były dobre. Naprzód Glaukus-lekarz zaręczał za życie Lygii, jakkolwiek miała też samą gorączkę więzienną, na którą i w Tulianum i po innych więzieniach umierały codziennie setki ludzi. Co do stróżów i co do człowieka, który sprawdzał śmierć rozpalonem żelazem, nie było najmniejszej trudności. Pomocnik, Attys, był już również ugodzony. — Poczyniliśmy otwory w trumnie, tak, aby chora mogła oddychać — mówił Nazaryusz. — Całe niebezpieczeństwo w tem, by nie jęknęła lub nie odezwała się w chwili, gdy będziemy przechodzili koło pretorianów. Ale ona jest osłabiona bardzo i od rana leży z zamkniętymi oczyma. Zresztą Glaukus da jej napój usypiający, który sam urządzi z przyniesionych przeze mnie z miasta lekarstw. Wieko trumny nie będzie przybite. Podniesiecie je łatwo i zabierzecie chorą do lektyki, my zaś włożymy do trumny podłużny wór z piaskiem, który miejcie gotowy. Viniciusz, słuchając tych słów, blady był jak płótno, lecz słuchał z tak natężoną uwagą, iż zdawał się naprzód odgadywać, co Nazaryusz ma powiedzieć. — Czy innych jakich ciał nie będą wynosili z więzienia? — zapytał Petroniusz. — Zmarło dzisiejszej nocy koło dwudziestu ludzi, a do wieczora umrze jeszcze kilkunastu — odrzekł chłopiec — my musimy iść wraz z całym orszakiem, ale będziemy się ociągali, by zostać w tyle. Na pierwszym skręcie towarzysz mój umyślnie zakuleje. W ten sposób pozostaniemy znacznie za innymi. Wy czekajcie nas koło małej świątynki Libitiny. Oby Bóg dał noc jak najciemniejszą. — Bóg da — rzekł Niger. — Wczoraj był wieczór jasny, a potem nagle zerwała się burza. Dziś niebo znów pogodne, ale parno od rana. Co noc teraz będą bywały dżdże i burze. — Czy idziecie bez świateł? — spytał Viniciusz. — Na przedzie tylko niosą pochodnie. Wy na wszelki wypadek bądźcie koło świątyni Libitiny, jak tylko się ściemni, chociaż wynosimy zwykle trupy dopiero przed samą północą. Umilkli, słyhać było tylko śpieszny oddech Viniciusza. Petroniusz zwrócił się do niego. — Mówiłem wczoraj — rzekł — że najlepiejby było, gdybyśmy obaj pozostali w domu. Teraz jednak widzę, że mnie samemu niepodobna będzie usiedzieć... Zresztą, gdyby chodziło o ucieczkę, trzeba by zachowywać więcej ostrożności, ale skoro ją wyniosą jako umarłą, zdaje się, że nikomu najmniejsze podejrzenie nie przejdzie przez głowę. — Tak! tak! — odpowiedział Viniciusz — ja muszę tam być. Sam ją wyjmę z trumny... — Gdy raz będzie w moim domu pod Corioli, odpowiadam za nią — rzekł Niger. Na tem skończyła się rozmowa. Niger udał się do gospody, do swoich ludzi. Nazaryusz, zabrawszy pod tunikę kiesę ze złotem, wrócił do więzienia. Dla Viniciusza rozpoczął się dzień, pełen niepokoju, gorączki, trwogi i oczekiwania. — Sprawa powinna się udać, bo jest dobrze pomyślana — mówił mu Petroniusz. — Lepiej niepodobna było wszystkiego ułożyć. Ty musisz udawać strapionego i chodzić w ciemnej todze. Ale cyrków jednak nie opuszczaj. Niech cię widzą... Tak wszystko obmyślane, że nie może być zawodu. Ale! Wszakże jesteś zupełnie pewny twego dzierzawcy? — To chrześcijanin — odrzekł Viniciusz. Petroniusz spojrział na niego ze zdziwieniem, poczem jął ruszać ramionami i mówić jakby sam do siebie: — Na Polluksa! jak się to jednak szerzy! i jak się trzyma dusz ludzkich!... Pod taką grozą ludzie wyrzekliby się odrazu wszystkich bogów rzymskich, greckich i egipskich. To jednak dziwne... Na Polluksa!... Gdybym wierzył, że coś jeszcze na świecie od naszych bogów zależy, obiecałbym teraz każdemu po sześć białych byków, a kapitolínskiemu Jowiszowi dwanaście... Ale i

ty nie szczędź obietnic twojemu Chrystusowi... — Ja mu oddałem duszę — odparł Viniciusz. I rozeszli się. Petroniusz wrócił do cubikulum, Viniciusz zaś poszedł spoglądać zdala na więzienie, stamtąd zaś udał się aż na stok Watykańskiego wzgórza, do owej chaty fossora, w której z rąk Apostoła otrzymał chrzest. Zdawało mu się, że w tej chacie Chrystus wysłucha go prędzej, niż gdziekolwiek indziej, więc odnalazłszy ją i rzuciwszy się na ziemię, wyteżył wszystkie siły swej zbolełej duszy w modlitwie o litość i zapamiętał się w niej tak, że zapomniał, gdzie jest i co się z nim dzieje. Popołudniu już zbudził go odgłos trąb, dochodzący od strony Neronowego cyrku. Wyszedł wówczas z chaty i począł spoglądać naokół oczyma jakby świeżo ockniętymi ze snu. Na świecie był upał i cisza, przerywana tylko czasem przez dźwięk spiżu, a ciągle przez zapamiętałe ksykanie koników polnych. Powietrze uczyniło się parne; niebo nad miastem było jeszcze błękitne, ale w stronie gór Sabińskich zbierały się nisko u brzegu widnokrzęgu ciemne chmury. Viniciusz wrócił do domu. W atrium czekał na niego Petroniusz. — Byłem na Palatynie — rzekł. — Pokazałem się tam umyślnie i zasiadłem nawet do kości. U Aniciusza jest wieczorem uczta; zapowiedziałem, że przyjdziemy, ale dopiero po północy, gdyż przedtem muszę się wyspać. Jakoż będę, a dobrzeby było, gdybyś i ty był. — Czy nie było jakich wiadomości od Nigra, albo od Nazaryusza? — spytał Viniciusz. — Nie. Zobaczymy ich dopiero o północy. Uważałeś, że zapowiada się burza? — Tak. — Jutro ma być widowisko z chrześcijan ukrzyżowanych, może jednak deszcz przeszkodzi. To rzekłszy, zbliżył się i dotknąwszy ramienia Viniciusza, rzekł: — Ale jej nie zobaczysz na krzyżu, tylko w Corioli. Na Kastora! nie oddałbym tej chwili, w której ją uwolnimy, za wszystkie gemmy w Rzymie. Wieczór już blisko... Jakoż wieczór się zbliżał, a ciemność poczęła ogarniać miasto wcześniej, niż zwykle, z powodu chmur, które zakryły cały widnokrąg. Z nadejściem wieczora, spadł deszcz duży, który parując na rozpalonych przez dzienny upał kamieniach, napełnił mgłą ulice miasta. Potem naprzemian to czyniło się cicho, to znów przechodziły krótkie ulewy. — Śpieszmy się — rzekł wreszcie Viniciusz — z powodu burzy mogą wcześniej wywieźć ciała z więzienia. — Czas! — odpowiedział Petroniusz. I wzięwszy galijskie płaszcze z kapturami, wyszli przez drzwiczki od ogrodu na ulicę. Petroniusz uzbroił się także, w krótki rzymski nóż, zwany: „sica“, który brał zawsze ze sobą na nocne wyprawy. Miasto było z powodu burzy puste. Od czasu do czasu błyskawica rozdzierała chmury, oświecając jaskrawym blaskiem świeże ściany nowo wzniesionych lub budujących się dopiero domów i mokre płyty kamienne, którymi wyłożone były ulice. Przy takim świetle ujrzeli wreszcie, po dość długiej drodze, kopiec, na którym stała małeńka świątynka Libitiny, a pod kopcem grupę, złożoną z mułów i koni. — Niger! — zawołał cicho Viniciusz. — Jestem panie! — ozwał się głos wśród dżdżu. — Wszystko gotowe? — Tak jest, drogi. Jak tylko ściemniło się, byliśmy na miejscu. Ale schrońcie się pod okop, bo przemokniecie nawskróś. Co za burza! Sądzę, że spadną grady. Jakoż obawa Nigra sprawdziła się, gdyż niebawem począł sypać grad, z początku drobny, poczem coraz grubszy i gęstszy. Powietrze oziębiło się natychmiast. Oni zaś, stojąc pod okopem, zakryci od wiatru i lodowych pocisków, rozmawiali zniżonymi głosami. — Choćby nas kto ujrział — mówił Niger — nie poweźmie żadnych podejrzeń, wyglądamy bowiem na ludzi, którzy chcą przeczekać burzę. Ale boję się, żeby nie odłożono wynoszenia trupów do jutra. — Grad nie będzie padał długo — rzekł Petroniusz. — Musimy czekać choćby do brzasku. Jakoż czekali, nasłuchując czy nie doleci ich odgłos pochodu. Grad przeszedł istotnie, ale zaraz potem poczęła szumieć ulewa. Chwilami zrywał się wiatr i niósł od strony Cuchnących dołów straszną woń rozkładających się ciał, które grzebano płytko i niedbale. Wtem Niger rzekł: — Widzę przez mgłę światelko... Jedno, dwa, trzy... to pochodnie! I zwrócił się do ludzi: — Baczyć, by muły nie parskały!... — Idą! — rzekł Petroniusz. Jakoż światła stawały się coraz wyraźniejsze. Po chwili można było już odróżnić chwiejące się pod powiewem płomienie pochodni. Niger począł się żegnać znakiem krzyża i modlić.

Tymczasem posępny korowód przyciągnął bliżej i wreszcie, zrównawszy się z świątynką Libitiny, zatrzymał się. Petroniusz, Viniciusz i Niger przycisnęli się w milczeniu do kopca, nie rozumiejąc, co to znaczy. Lecz tamci zatrzymali się tylko dlatego, by poobwiązywać sobie twarze i usta szmatami, dla ochrony od duszącego smrodu, który przy samych „puticuli“ był wprost nie do zniesienia, poczem podnieśli nosze z trumnami i poszli dalej. Jedna tylko trumna zatrzymała się naprzeciw świątynki. Viniciusz skoczył ku niej, a za nim Petroniusz, Niger i dwaj niewolnicy brytańscy z lektyką. Lecz nim dobiegli, w ciemności dał się słyszeć pełen bólu głos Nazaryusza: — Panie, przenieśli ją wraz z Ursusem do Eskwilińskiego więzienia... My niesiem inne ciało! a ją porwali przed północą!!!... Petroniusz, wróciwszy do domu, posępny był, jak burza i nie próbował nawet pocieszać Viniciusza. Rozumiał, że o wydobyciu Lygii z Eskwilińskich podziemi niema co i marzyć. Odgadywał, że prawdopodobnie dlatego przeniesiono ją z Tulianum, by nie umarła z gorączki i by nie uniknęła przeznaczonego jej amfiteatru. Ale to właśnie był dowód, że czuwano nad nią i strzeżono jej pilniej, niż innych. Petroniuszowi żal było do głębi duszy i jej i Viniciusza, lecz prócz tego nurtowała go i ta myśl, że po raz pierwszy w życiu coś mu się nie udało i że po raz pierwszy został zwyciężony w walce. — Fortuna zdaje się mnie opuszczać — mówił sobie, ale bogowie mylą się, jeśli sądzą, że zgodzę się na takie, naprzykład życie, jak jego. Tu spojrzął na Viniciusza, który również patrzył na niego rozszerzonymi źrenicami. — Co tobie? Ty masz gorączkę? — rzekł Petroniusz. Ow zaś odpowiedział jakimś dziwnym, złamanym i powolnym głosem jakby chorego dziecka: — A ja wierzę, że On może mi ją powrócić. Nad miastem cichły ostatnie grzmoty burzy.

ROZDZIAŁ XV.

Trzydniowy deszcz, zjawisko wyjątkowe w Rzymie podczas lata, i grady, padające wbrew przyrodzonemu porządkowi nie tylko w dzień i wieczorami, ale nawet wśród nocy, przerwały widowiska. Lud począł trwożyć się. Przepowiadano nieurodzaj na winograd, a gdy pewnego popołudnia piorun stopił na Kapitolu brązowy posąg Cerery, nakazano ofiary w świątyni Jowisza Salwatora. Kapłani Cerery rozpuścili wieść, że gniew bogów zwrócił się na miasto z powodu zbyt opieszalego wymiaru kary na chrześcijan, tłumy więc jęły domagać się, by bez względu na pogodę przyśpieszono dalszy ciąg igrzysk, i radość ogarnęła cały Rzym, gdy ogłoszono wreszcie, że po trzech dniach przerwy „ludus“ rozpocznie się na nowo. Tymczasem wróciła i piękna pogoda. Amfiteatr od świtu do nocy napełnił się tysiącami ludzi, Cezar zaś przybył również wcześniej z westalkami i dworem. Widowisko miało rozpocząć się od walki chrześcijan między sobą, których w tym celu przebierano za gladyatorów i dano im wszelką broń, jaka służyła szermierzom z zawodu do zaczepnego i obronnego boju. Lecz tu nastąpił zawód. Chrześcijanie porzucali na piasek sieci, widły, włócznie i miecze, a natomiast poczęli się obejmować wzajemnie i zachęcać do wytrwania wobec mąk i śmierci. Wówczas głęboka uraza i oburzenie zawładnęły sercami tłumów. Jedni zarzucali im małoduszność i tchórzostwo, drudzy twierdzili, iż nie chcą się bić naumyślnie, przez nienawiść do ludu i dlatego, by go pozbawić radości, jaką widok męstwa zwykł sprawiać. Wreszcie z rozkazu Cezara wypuszczono na nich prawdziwych gladyatorów, którzy klęczących i bezbronnych wycięli w mgnieniu oka. Lecz po uprzątnięciu trupów widowisko przestało być walką, a zmieniło się w szereg mitologicznych obrazów pomysłu samego Cezara. Ujrzano więc Herkulesa, płonącego żywym ogniem na górze Oeta. Viniciusz zadrzał na myśl, że na rolę Herkulesa przeznaczono może Ursusa, lecz widocznie kolej nie przyszła jeszcze na wiernego sługę Lygii, albowiem na stosie spłonął jakiś inny, zupełnie nieznaną Viniciuszowi chrześcijanin. Natomiast w następnym obrazie Chilon, którego Cezar nie chciał uwolnić od bytności na przedstawieniu, ujrzał znajomych sobie ludzi. Przedstawiano śmierć Dedala i Ikara. W roli Dedala występował Euriciusz, ten sam starzec, który w swoim czasie dał Chilonowi znak ryby, w roli zaś Ikara syn jego, Quartus. Obydwóch podniesiono za pomocą

umyślnej maszyneryi w górę, a następnie strącono nagle z ogromnej wysokości na arenę, przyczem młody Quartus upadł tak blisko cesarskiego podium, iż obryzgał krwią nie tylko zewnętrzne ozdoby, ale i wysłane purpurą oparcie. Chilon nie widział upadku, albowiem przymknął oczy, słyszał tylko głucho uderzenie ciała, a gdy po chwili ujrzał krew tuż obok siebie, omal nie zemdleł po raz wtóry. Ale obrazy zmieniały się prędko. Sromotne męki dziewic, hańbionych przed śmiercią przez gladyatorów, poprzebieranych za zwierzęta, rozradowały serca tłumów. Widziano kapłanki Kibelli i Cerery, widziano Danaidy, widziano Dirce i Pasiphae, widziano wreszcie dziewczątka niedorośle, rozrywane przez dzikie konie. Lud oklaskiwał coraz nowe pomysły Cezara, który dumny z nich i uszczęśliwiony z oklasków, nie odejmował teraz ani na chwilę szmaragdu od oka, przypatrując się białym ciałom, rozdieranym przez żelazo, i konwulsyjnym drganiom ofiar. Dawano jednak obrazy i z dziejów miasta. Po dziewicach ujrzano Muciasa Scaevolę, którego ręka, przymocowana do trójnoga z ogniem, napełniała swędem spalonego mięsa amfiteatr, ale który, jak prawdziwy Scaevola, stał bez jęku, z oczyma wzniesionymi w górę i z szeptem modlitwy na zczerniałych wargach. Po dobieciu go i wywleczeniu ciała do spollarium, nastąpiła zwykła południowa przerwa w przedstawieniu. Cezar wraz z westalkami i augustianami opuścił amfiteatr i udał się do wzniesionego umyślnie olbrzymiego szkarłatnego namiotu, w którym przygotowano dla niego i gości wspaniałe „prandium“. Tłumy po większej części poszły za jego przykładem i, wylewając się nazewnątrz, rozkładały się w malowniczych grupach obok namiotu, aby dać odpoczynek znużonym przez długie siedzenie członkom i spożyć potrawy, które z łaski Cezara obficie roznosili niewolnicy. Najciekawszy tylko, po opuszczeniu siedzeń, zeszli na samą arenę i, dotykając palcami lepkiego od krwi piasku, rozprawiali, jako znawcy i lubownicy o tem, co się już odbyło i co jeszcze miało nastąpić. Wkrótce jednak odeszli i rozprawiacze, aby nie spóźnić się na ucztę; zostało tylko kilku ludzi, których zatrzymała nie ciekawość, ale współczucie dla przyszłych ofiar. Ci ukryli się w przedziałach lub na niższych miejscach, a tymczasem zrównano arenę i poczęto kopać w niej doły, jeden przy drugim, rzędami, przez całe kolisko, od brzegu do brzegu, tak, że ostatni ich szereg przypadał o kilkanaście kroków od cesarskiego podium. Z zewnątrz cyrku dochodził gwar ludu, krzyki i oklaski, a tu czyniono z gorączkowym pośpiechem przygotowania do jakichś nowych mąk. Naraz otwarły się cunicula i ze wszystkich otworów prowadzących na arenę, poczęto wypędzać gromady chrześcijan, nagich i dźwigających krzyże na ramionach. Zaroił się od nich cały amfiteatr. Biegli starce pochyleni pod ciężarem drewnianych bierwion, obok nich mężczyźni w sile wieku, kobiety z rozpuszczonymi włosami, pod którymi starały się ukryć swą nagość, chłopięta niedorośle i całkiem małe dzieci. Krzyże, w większej części, również jak ofiary, uwieńczone były kwiatami. Służba cyrkowa, ćwicząc nieszczęsnych batami, zmuszała ich, by układali krzyże wedle gotowych dołów i sami stawali przy nich szeregiem. W ten sposób mieli zginąć ci, których pierwszego dnia igrzysk nie zdążono wypchnąć na pastwę psom i dzikim zwierzętom. Teraz chwyтали ich czarni niewolnicy i kładąc ofiary na wznak na drzewie, poczęli przybijać im ręce do przecznicy gorliwie i szybko, tak, aby lud, wróciwszy po skończonej przerwie, zastał już wszystkie krzyże wzniesione. W całym amfiteatrze rozległ się teraz huk młotów, którego echa rozebrzmiały po wyższych rzędach i doszły aż na plac, otaczający amfiteatr, i pod namiot, w którym Cezar podejmował westalki i towarzyszków. Tam pito wino, żartowano z Chilona i szepiano dziwne słowa do uszu kapłanek Westy, na arenie zaś wrzała robotą, gwoździe pograżały się w ręce i nogi chrześcijan, warczały łopaty, zasypujące ziemią doły, w które wstawiano krzyże. Lecz między ofiarami, na które dopiero za chwilę miała przyjść kolej, był Kryspus. Lwy nie miały czasu go rozedrzeć, więc przeznaczono mu krzyż, on zaś, zawsze gotów na śmierć, radował się myślą, że nadchodzi jego godzina. Wyglądał dziś inaczej, albowiem wyschłe ciało jego było obnażone zupełnie, tylko przepaska bluszczowa okrywała mu biodra, na głowie zaś

miał wieniec z róż. Ale w oczach błyszczała mu zawsze też sama niepożyta energia i też sama twarz surowa i fanatyczna wychylała się z pod wieńca. Nie zmieniło się też jego serce, albowiem, jak niegdyś w cuniculum groził gniewem Bożym poobszywanym w skory współbraciom, tak i dziś gromił ich, zamiast pocieszać. — Dziękujcie Zbawicielowi — mówił — że pozwala wam umrzeć taką śmiercią, jaką sam umarł. Może część win waszych będzie wam za to odpuszczona, drzyjcie wszelako, albowiem sprawiedliwości musi się stać zadość i nie może być jednakiej nagrody dla złych i dobrych. A słowom jego wtórował odgłos młotów, którymi przybijano ręce i nogi ofiar. Coraz więcej krzyżów wznosiło się na arenie, on zaś zwracając się do gromady tych, którzy stali jeszcze, każdy przy swoim drzewie, mówił dalej: — Widzę otwarte niebo, ale widzę otwartą i otchłań... Sam nie wiem, jako zdam sprawę Panu z żywota mego, chociażem wierzył i nienawidziłem złego i nie śmierci się lękam, lecz zmartwychpowstania, nie męki, lecz sądu, albowiem nastaje dzień gniewu... A wtem z pomiędzy bliższych rzędów ozwał się jakiś głos spokojny i uroczysty. — Nie dzień gniewu, ale dzień miłosierdzia, dzień zbawienia i szczęśliwości, albowiem powiadam wam, że Chrystus przygarnie was, pocieszy i posadzi na prawicy swojej. Ufajcie, bo oto niebo otwiera się przed wami. Na te słowa wszystkie oczy zwróciły się ku ławkom; nawet ci, którzy już wisieli na krzyżach, podnieśli blade, umęczone głowy i poczęli patrzeć w stronę mówiącego męża. A on zbliżył się aż do przegrody, otaczającej arenę i począł ich żegnać znakiem krzyża. Kryspus wyciągnął ku niemu ramię, jakby chcąc go zgromić, lecz, ujrawszy jego twarz, opuścił dłoń, poczem kolana zgięły się pod nim, a usta wyszeptaly: — Apostoł Paweł!... Ku wielkiemu zdziwieniu cyrkowej służby, pokłękali wszyscy, których nie zdążono dotąd poprzybijać, zaś Paweł z Tarsu zwrócił się do Kryspa i rzekł: — Kryspie, nie groź im, albowiem dziś jeszcze będą z tobą w raj. Ty mniemasz, że mogą być potępieni? Lecz któż je potępi? Zali uczyni to Bóg, który oddał za nie Syna swego? Zali Chrystus, który umarł dla ich zbawienia, jako oni umierają dla imienia Jego? I jakoż może potępić Ten, który miłuje? Kto będzie skarżył na wybrane Boże? Kto powie na tę krew: Przeklęta!?... — Panie, nienawidziłem złego — odrzekł stary kapłan. — Chrystus więcej jeszcze nakazał miłować ludzi, niż nienawidzić złego, albowiem nauka Jego miłością jest, nie nienawiścią... — Zgrzeszyłem w godzinę śmierci — odrzekł Kryspus. I począł się bić w piersi. Wtem zarządca ławek zbliżył się ku Apostołowi i zapytał: — Kto jesteś, który przemawiasz do skazanych? — Obywatel rzymski — odparł spokojnie Paweł. Poczem, zwróciwszy się do Kryspa, rzekł: — Ufaj, gdyż dzień to jest łaski i umrzej w spokoju, sługo Boży. Dwaj Murzyni zbliżyli się w tej chwili do Kryspa, aby położyć go na drzewie, lecz on spojrział raz jeszcze naokół i zawołał: — Bracia moi, módlcie się za mnie. I twarz jego straciła zwykłą surowość; kamienne rysy przybrały wyraz spokoju i słodczy. Sam rozciągnął ręce wzdłuż ramion krzyża, aby ułatwić robotę i, patrząc wprost w niebo, począł modlić się żarliwie. Zdawał się nic nie czuć, albowiem gdy gwoździe zagłębiały się w jego ręce, najmniejsze drgnienie nie wstrząsnęło jego ciałem, ani na obliczu nie pojawiła się żadna zmarszczka bólu: modlił się, gdy przybijano mu nogi, modlił się, gdy wznoszono krzyż i udeptywano naokół ziemię. Dopiero, gdy tłumy ze śmiechem i okrzykami poczęły napełniać amfiteatr, brwi starca ściągnęły się nieco, jakby się gniewał, że pogański lud miesza mu ciszę i spokój słodkiej śmierci. Lecz przedtem jeszcze wzniesiono wszystkie krzyże tak, że na arenie stanął jakby las z wiszącymi na drzewach ludźmi. Na ramiona krzyżów i na głowy męczenników padał blask słońca, na arenę zaś grube cienie, tworzące jakby czarną poplątaną kratę, wśród której przeświecał żółty piasek. Było to widowisko, w którym dla ludu całą rozkosz stanowiło przypatrywanie się powolnemu konaniu. Lecz nigdy dotąd nie widziano takiej gęstwy krzyżów. Arena była nimi nabita tak szczelnie, że służba z trudnością mogła się między nimi przeciskać. Na obrębie wisały przeważnie kobiety, lecz Kryspa, jako przywódcę, wzniesiono tuż prawie przed podium cesarskiem, na ogromnym krzyżu, spowitym u spodu w

wiciokrzew. Nikt z ofiar jeszcze nie skonał, ale niektórzy z tych, których poprzybijano najpierwej, pomdleli. Nikt nie jęczał i nie wołał o litość. Niektórzy wisieli z głowami pochylonemi na ramiona, lub pospuszczanemi na piersi, jakby ujęci snem; niektórzy jakby w zamyśleniu, niektórzy patrząc jeszcze ku niebu poruszali zcicha ustami. W tym strasznym lesie krzyżów, w tych porozpinanych ciałach, w milczeniu ofiar było jednak coś złowrogiego. Lud, który po uczcie, syt i rozweselony, wchodził z okrzykami do cyrku, umilkł, nie wiedząc, na którym ciełe oczy zatrzymać i co myśleć. Nagość naprężonych kobiecych postaci przestała drażnić jego zmysły. Nie czyniono nawet zwykłych zakładów o to, kto prędzej skona, które czyniono zwykle, gdy na arenie zjawiała się mniejsza ilość skazanych. Zdawało się, że Cezar nudzi się także, albowiem, przekręciwszy głowę, poprawiał leniwym ruchem naszyjnik z twarzą ospałą i senną. Wtem wiszący naprzeciw Kryspus, który przed chwilą oczy miał zamknięte, jak człowiek omdlały, lub konający, otworzył je i począł patrzeć na Cezara. Twarz jego przybrała znów wyraz tak nieubłagany, a wzrok zapłonął takim ogniem, że augustianie poczęli szeptać między sobą, ukazując go palcami, a w końcu sam Cezar zwrócił na niego uwagę i ociężale przyłożył szmaragd do oka. Nastąpiła cisza zupełna. Oczy widzów utkwione były w Kryspa, który próbował poruszyć prawą ręką, jakby ją chciał oderwać od drzewa. Po chwili pierś wzdęła mu się, żebra wystąpiły na wierzch i począł wołać: — Matkobójco! — biada ci!! Augustianie posłyszawszy śmiertelną obelgę, rzuconą panu świata wobec tysięcznych tłumów, nie śmieli oddychać. Chilo zmartwiał. Cezar drgnął i wypuścił z palców szmaragd. Lud zatrzymał również dech w piersiach. Głos Kryspusa rozlegał się coraz potężniej w całym amfiteatrze: — Biada ci morderco żony i brata, biada ci antychryście. Otchłań otwiera się pod tobą, śmierć wyciąga po ciebie ręce i grób cię czeka. Biada ci, żywy trupie, albowiem umrzesz w przerażeniu i potępiony będziesz na wieki!.. I nie mogąc oderwać przybitej dłoni od drzewa, rozciągnięty okropnie, straszny, za życia jeszcze do kościotrupa podobny, nieugięty jak przeznaczenie, trząśł białą brodą nad Neronowem podium, rozpraszając zarazem ruchami głowy liście róż z wieńca, który mu nałożono na czaszkę. — Biada ci morderco! przebrana jest twoja miara i czas twój zbliża się!!.. Tu wyteżył się raz jeszcze: zdawało się przez chwilę, że oderwie dłoń od krzyża i wyciągnie ją groźnie nad Cezarem, lecz nagle wychudłe jego ramiona wydłużyły się jeszcze bardziej, ciało obsunęło się ku dołowi, głowa opadła mu na piersi, i skonał. Wśród krzyżowego lasu, słabsi poczęli też już zasypiać snem wiecznym.

ROZDZIAŁ XVI.

— Panie — mówił Chilo. — Teraz jest morze jak oliwa i fale zdają się spać... Jedźmy do Achai. Tam czeka cię sława Apollina, tam czekają cię wieńce, tryumfy, tam ludzie cię ubóstwią, a bogowie przyjmą, jak równego sobie gościa, tu zaś, panie... I przerwał, albowiem dolna warga poczęła mu się trząść tak silnie, że jego słowa przeszły w niezrozumiałe dźwięki. — Pojedziemy po skończonych igrzyskach — odrzekł Nero. — Wiem, że i tak już niektórzy nazywają chrześcijan „innocentia corpora“. Gdybym odjechał, zaczęliby to powtarzać wszyscy. Czego się ty boisz, zmurszała bedłko? To rzekłszy, zmarszczył brwi, lecz począł patrzeć pytającym wzrokiem na Chilona, jakby czekając od niego wyjaśnienia, albowiem udawał tylko zimną krew. Na ostatnim przedstawieniu sam zląkł się słów Kryspa i, wróciwszy do domu, nie mógł zasnąć z wściekłości i wstydu, ale zarazem ze strachu. Wtem przesądny Vestinus, który słuchał w milczeniu ich rozmowy, obejrzał się wkoło i rzekł tajemniczym głosem: — Słuchaj, panie, tego starca, w tych chrześcijanach jest coś dziwnego... Ich bóstwo daje im śmierć lekką, ale może być mściwe. Na to Nero rzekł prędko: — To nie ja urządzam igrzyska. To Tigellin. — Tak jest! to ja — odpowiedział Tigellin, który dosłyszał odpowiedź Cezara. — To ja, i drwię sobie ze wszystkich bogów chrześcijańskich. Vestinus, panie, to pęcherz wydęty przesądami, a ten waleczny Grek gotów umrzeć ze strachu na widok kwoki, najeżonej w obronie kurczą. — To dobrze — rzeki Nero — ale każ odtąd chrześcijanom obcinać języki, albo kneblować

usta. — Zaknebluje im je ogień, o boski. — Biada mi! — jęknął Chilo. Lecz Cezar, któremu zuchwała pewność siebie Tigellina dodała otuchy, począł się śmiać i rzekł, pokazując na starego Greka: — Patrzcie, jak wygląda potomek Achillesa! Rzeczywiście Chilo wyglądał strasznie. Resztki włosów na czaszce pobieleły mu zupełnie, w twarzy zakrzepł mu wyraz jakiegoś niezmiernego niepokoju, trwogi i pogńębienia. Wydawał się też chwilami, jakby odurzony i nawpół przytomny. Często nie odpowiadał na pytania, czasem znów wpadał w gniew i stawał się zuchwałym tak, że augustianie woleli go nie zaczepiać. Taka chwila przyszła nań i teraz. — Róbcie ze mną, co chcecie, a ja na igrzyska więcej nie pójdę! — zawołał rozpaczliwie, klaszcząc w palce. Nero popatrzył na niego przez chwilę i, zwróciwszy się do Tigellina, rzekł: — Dopilnujesz, by w ogrodach ten stoik był blisko mnie. Chcę widzieć, jakie uczynią na nim wrażenie nasze pochodnie. Chilo zląkł się jednak groźby, drgającej w głosie Cezara. — Panie — rzekł — nic nie zobaczę, albowiem nie widzę w nocy. A Cezar odpowiedział ze strasznym uśmiechem: — Noc będzie jasna, jak dzień. Poczem zwrócił się do innych augustianów, z którymi począł rozmawiać o wyścigach, jakie zamierzał wyprawić pod koniec igrzysk. Do Chilona zbliżył się Petroniusz i, trąciwszy go w ramię, rzekł: — Zalim ci nie mówić? Nie wytrzymasz. Ów zaś odpowiedział: — Chcę się upić... I wyciągnął drżącą rękę po krater z winem, lecz nie mógł go donieść do ust, co widząc Vestinus, odebrał mu naczynie, następnie zaś, przysunawszy się blisko, spytał z twarzą zaciekawioną i przelektą: — Czy ścigają cię furye? Co?... Starzec patrzył na niego jakiś czas z otwartymi ustami, jakby nie zrozumiał pytania i jął mrugać oczyma. A Vestinus powtórzył: — Czy ścigają cię furye? — Nie — odrzekł Chilo — ale noc jest przede mną. — Jakto, noc?... Niech bogowie zmiłują się nad tobą! Jakto, noc? — Noc okropna i nieprzejrzana, w której się coś rusza i coś idzie do mnie. Ale ja nie wiem co i boję się. — Zawszem był pewny, że to są czarownicy. Czy ci się co nie śni? — Nie, bo nie śpiam. Ja nie myślałem, że ich tak skarżą. — Czy ci ich żal? — Po co wy rozlewacie tyle krwi? Słyszałeś, co tamten mówił z krzyża? Biada nam! — Słyszałem — odpowiedział cicho Vestinus. — Ale to są podpalacze. — Nieprawda! — I nieprzyjaciele rodu ludzkiego. — Nieprawda! — I zatruwacze wód. — Nieprawda! — I mordercy dzieci... — Nieprawda!... — Jakże? — zapytał ze zdziwieniem Vestinus. — Tyś sam to mówił i wydawałeś ich w ręce Tigellina! — To też otoczyła mnie noc i śmierć idzie ku mnie... Czasem zdaje mi się, że już umarłem, i wy także. — Nie! to oni mrą, a my jesteśmy żywi. Ale powiedz mi: co oni widzą, umierając? — Chrystusa... — To ich bóg? czy to możny bóg? Lecz Chilo odpowiedział również pytaniem. — Co to za pochodnie mają się palić w ogrodach? Słyszałeś, co mówił Cezar? — Słyszałem i wiem. Takich zwą sarmentitii i semaxii... Przybiorą ich w bolesne tuniki, napejone żywicą, przywiążą do słupów i podpalą... Byle tylko ich Bóg nie spuścił na miasto jakich klęsk... Semaxii!! To straszna kaźń. — Wolę to, bo nie będzie krwi — odpowiedział Chilo. — Każ niewolnikowi podać mi krater do ust. Chcę pić, a rozlewam wino, bo mi ręka lata ze starości... Inni rozmawiali przez ten czas także o chrześcijanach. Stary Domicjusz Afer drwił z nich. — Mnóstwo ich takie — mówił — że mogliby wzniecić wojnę domową, i pamiętacie, że były obawy, czy nie zechcą się bronić. A oni umierają jak owce. — Niechby spróbowali inaczej! — rzekł Tigellinus. Na to ozwał się Petroniusz. — Mylicie się. Oni się bronią. — A to jakim sposobem? — Cierpliwością. — To nowy sposób. — Zapewne. Ale czy możecie powiedzieć, że oni umierają tak, jak pospolicie zbrodniarze? Nie! Oni umierają tak, jakby zbrodniami byli ci, którzy ich na śmierć skazują, to jest my i cały lud rzymski. — Co za brednie! — zawołał Tigellinus. — Hic Abdera! — odpowiedział Petroniusz. Lecz inni, uderzeni trafnością jego uwagi, poczęli spoglądać na się ze zdziwieniem i powtarzać: — Prawda! jest coś odmiennego i osobliwego w ich śmierci. — Mówię wam, że oni widzą swoje bóstwo! — zawołał z boku Vestinus. Wówczas kilku augustianów zwróciło się do Chilona. — Hej, stary, ty ich znasz dobrze: powiedz nam, co oni widzą? A Grek wypluł wino

na tunikę i odrzekł: — Zmartwychwstanie!... I począł się trząść tak, że siedzący bliżej goście wybuchli głośnym śmiechem.

ROZDZIAŁ XVII.

Od kilku dni Viniciusz spędzał noce za domem. Petroniuszowi przychodziło do głowy, że on może znów ułożyć jakiś nowy plan i pracuje nad uwolnieniem Lygii z Eskwilińskiego więzienia, nie chciał go już jednak o nic pytać, by nie przynieść nieszczęścia robocie. Ten wykwinny sceptyk stał się także pod pewnym względem przesadnym, a raczej, od czasu, jak nie udało mu się wyrwać dziewczyny z Mamertyńskiego podziemia, przestał ufać swej gwiazdce. Nie liczył zresztą i teraz na dobry wynik zabiegów Viniciusza. Eskwilińskie więzienie, urządzone naprędce z piwnic domów, które zburzono dla położenia tamy pożarowi, nie było wprawdzie tak straszne, jak stare Tulianum obok Kapitolu, ale było natomiast stokroć bardziej strzeżone. Petroniusz rozumiał doskonale, że Lygię przeniesiono tam tylko dlatego, by nie umarła i nie uniknęła amfiteatru, łatwo mu więc było domyślić się, że właśnie z tego powodu muszą jej pilnować, jak oka w głowie. — Widocznie — mówił sobie — Cezar wraz z Tigellinem przeznaczają ją na jakieś osobne, straszniejsze od wszystkich widowisko, i Viniciusz prędzej sam zginie, niż zdoła ją wydobyć. Viniciusz jednak stracił także nadzieję, czy potrafi ją wydobyć. Obecnie mógł to uczynić tylko Chrystus. Młodemu trybunowi chodziło już tylko o to, by mógł ją widywać w więzieniu. Od niejakiego czasu nie dawała mu spokoju myśl, że Nazaryusz dostał się jednak do Mamertyńskiego więzienia, jako najemnik do wynoszenia trupów, postanowił więc spróbować tej drogi. Przekupiony za ogromną sumę dozorca „Cuchnących dołów“, przyjął go wreszcie w poczet swej czeladzi, którą co noc wysyłał po trupy do więzień. Niebezpieczeństwo, by Viniciusz mógł być poznany, było istotnie małe. Chroniły od niego: noc, niewolniczy ubiór i złe oświetlenie więzień. Komuż zresztą mogło przyjść do głowy, by patrycyusz, wnuk i syn konsulów, mógł się znaleźć między czeladzią grabarską, narażoną na wyziewy więzień i „Cuchnących dołów“, i ją się pracy, do której zmuszała ludzi tylko niewola lub ostatnia nędza. Lecz on, gdy nadszedł upragniony wieczór, z radością przewiązał biodra i okręcił głowę szmatą, napojoną terpentyną, i z bijącym sercem udał się wraz z gromadą innych na Eskwilin. Straże pretoriańskie nie czyniły im trudności, wszyscy bowiem zaopatrzeni byli w odpowiednie „tessery“, które centurion oglądał przy świetle latarni. Po chwili wielkie żelazne drzwi otworzyły się przed nimi i weszli. Viniciusz ujrzał przed sobą obszerną sklepioną piwnicę, z której przechodziło się do szeregu innych. Mdle kaganki oświecały wnętrze, napełnione ludźmi. Niektórzy z nich leżeli pod ścianami, pogrążeni w śnie lub może umarli. Inni okrążali wielkie naczynie z wodą, stojące w pośrodku, z którego pili, jak ludzie trawieni gorączką, inni siedzieli na ziemi z łokciami wspartymi o kolana i z głowami w dłoniach, gdzieśdzie dzieci spały, poprzytulane do matek. Naokół słychać było to jęki i głośny przyśpieszony oddech chorych, to płacz, to szepty modlitwy, to pieśni, nucone półgłosem, to przekleństwa dozorców. W podziemiu panował trupi zaduch i tłok. W mrocznych głębiach roily się ciemne postaci, bliżej zaś, przy migotliwych płomykach, widać było twarze wybladłe, przerażone, zapadnięte i głodne, z oczyma zgasłymi, albo płonącymi gorączką, ze zsiniałymi ustami, ze strugami potu na czołach i pozlepianym włosiem. Po kątach majaczyli głośno chorzy, inni wołali o wodę, inni, by ich wieść na śmierć. A było to jednak więzienie mniej straszne od starego Tulianum. Pod Viniciuszem nogi zachwiały się na ten widok i w piersi zabrakło mu oddechu. Na myśl, że Lygia znajduje się wśród tej nędzy i niedoli, włosy powstały mu na głowie, a w piersiach zamarł krzyk rozpacz. Amfiteatr, kły dzikich zwierząt, krzyże, wszystko było lepsze od tych straszliwych, pełnych trupiego zaduchu podziemi, w których błagalne głosy ludzkie powtarzały ze wszystkich kątów: — Wiedźcie nas na śmierć! Viniciusz wpił w dłonie paznogie, czuł bowiem, że słabnie i że opuszcza go przytomność. Wszystko, przez co przeszedł dotychczas, cała miłość i boleść, zmieniła się w nim w

jedną żądzę śmierci. Wtem, tuż obok, ozwał się głos dozorca Cuchnących dołów: — A ile macie dziś trupów? — Będzie z tuzin — odpowiedział strażnik więzienny — ale do rana będzie więcej, bo tam już niektórzy rżęzą pod ścianami. I począł narzekać na kobiety, że ukrywają zmarłe dzieci, dlatego, by dłużej je mieć przy sobie i nie oddawać, póki można, do „Cuchnących dołów“. Trzeba trupy poznawać dopiero po zapachu, przez co powietrze, i tak straszne, psuje się jeszcze bardziej.

„Wolałbym — mówił — być niewolnikiem w wiejskim ergastulum, niż pilnować tych gnijących za życia psów“. Dozorca „Dołów“ pocieszał go, twierdząc, że jego służba nie jest lżejsza. Przez ten czas Viniciuszowi wróciło poczucie rzeczywistości i począł rozglądać się w podziemiu, w którym jednak napróżno szukał oczyma Lygii, myśląc przytem, że może jej wcale nie zobaczyć, dopóki będzie żywa. Piwnic było kilkanaście, połączonych ze sobą świeżymi przekopami, czeladź zaś grabarska wchodziła tylko do tych, z których trzeba było zabierać ciała zmarłych, zdjął go więc strach, że to, co kosztowało tyle trudów, może mu na nic nie posłużyć. Na szczęście jego patron przyszedł mu z pomocą. — Ciała trzeba zaraz wynosić — rzekł — bo zaraza najbardziej szerzy się przez trupy. Inaczej pomrzecie, i wy, i więźniowie. — Na wszystkie piwnice jest nas dziesięciu — odrzekł strażnik — i musimy przecie spać. — To ja ci zostawię czterech moich ludzi, którzy w nocy będą chodzili po piwnicach i patrzyli, czy kto nie umarł. — Wypijemy jutro, jeśli to uczynisz. Każdego trupa niech zanoszą do próby, bo przyszły rozkazy, by umarłym przekłówać szyje, a potem zaraz z nimi do Dołów! — Dobrze, ale wypijemy! — ozwał się dozorca. Poczem wyznaczył czterech ludzi, a między nimi Viniciusza, z pozostałymi zaś zabrał się do wkładania trupów na nosze.

Viniciusz odetchnął. Był pewien przynajmniej tego, że teraz odnajdzie Lygię. I naprzód począł przeglądać starannie pierwsze podziemie. Zajrzał do wszystkich ciemnych kątów, do których prawie nie dochodził blask kaganka, obejrzał postaci śpiące pod ścianami, pod przykryciem płacht, obejrzał najciężej chorych, których pozaciągano w kąt osobny, Lygii jednakże nie mógł nigdzie odnaleźć. W drugiej i trzeciej piwnicy poszukiwania jego pozostały również bez skutku. Tymczasem godzina uczyniła się późna: ciała powynoszono. Strażnicy, ułożywszy się w korytarzach, łączących piwnice, posnęli, dzieci, znużone płaczem, umilkły, w podziemiach słychać było tylko oddech strudzonych piersi, i gdzieniegdzie jeszcze szept modlitw. Viniciusz wszedł z kagankiem do czwartej z kolei piwnicy, znacznie mniejszej, i, podniósłszy światło w górę, począł się po niej rozglądać. I nagle drgnął, zdawało mu się bowiem, że pod zakratowanym otworem w ścianie widzi olbrzymią postać Ursusa. Więc, zdmuchnąwszy w tej chwili kaganek, zbliżył się do niego i spytał: — Ursus, czy to ty? Olbrzym odwrócił głowę: — Ktoś ty jest? — Nie poznajesz mnie? — zapytał młody człowiek. — Zgasiłeś kaganek, jakże mogę cię poznać? Lecz Viniciusz dojrzał w tej chwili Lygię, leżącą na płaszczu przy ścianie, więc, nie mówiąc nic więcej, klęknął przy niej. Ursus zaś poznał go i rzekł: — Chwała Chrystusowi! ale nie budź jej, panie. Viniciusz, klęcząc, wpatrywał się w nią przez łyżę. Mimo mroku, mógł odróżnić jej twarz, która wydała mu się bladą, jak alabaster, i wychudzone ramiona. I na ten widok ogarnęła go miłość, podobna do rozdzierającego bólu, wstrząsająca duszą do ostatnich głębin, a zarazem tak pełna litości, czci i uwielbienia, że, padłszy na twarz, począł przyciskać do ust brzeg płaszcz, na którym spoczywała ta droga mu nad wszystko głowa. Ursus przez długi czas patrzył na niego w milczeniu, nakoniec jednak pociągnął go za tunikę. — Panie — spytał — jak się dostałeś — i czy przychodzisz ją ocalić? Viniciusz podniósł się i przez chwilę jeszcze walczył ze wzruszeniem. — Wskaż mi sposób! — rzekł. — Myślałem, że ty go znajdziesz, panie. Mnie jeden tylko przychodził do głowy... Tu zwrócił oczy ku okratowanemu otworowi, poczem, jakby odpowiadając sam sobie, ozwał się: — Tak!... Ale tam są żołnierze... — Setnia pretorianów — odpowiedział Viniciusz. — Więc — nie przejdziemy! — Nie! Lyg potarł czoło ręką i zapytał powtórnie: — Jak tu wszedłeś? — Mam tesserę od dozorca „Cuchnących dołów“... I nagle

urwał, jakgdyby jakaś myśl błysnęła mu w głowie. — Na mękę Zbawiciela! — począł mówić prędkim głosem. — Ja tu zostanę, a ona niech weźmie moją tesserę, niech owinie głowę szmatą, okryje ramiona płaszczem i wyjdzie. Wśród niewolników grabarskich jest kilku niedorosłych pacholków, więc pretorianie nie poznają jej, a gdy raz dostanie się do domu Petroniusza, ten ją ocali! Lecz Lyg opuścił głowę na piersi i odrzekł: — Ona nie zgodziłaby się na to, albowiem miłuje cię, a przytem jest chora i o własnej mocy stać nie może. Po chwili zaś dodał: — Jeśli ty, panie, i szlachetny Petroniusz nie mogliście jej z więzienia wydobyć, to któż zdoła ją ocalić? — Jeden Chrystus!... Poczem umilkli obaj. Lyg w prostaczej swej głowie myślał sobie: „Onby mógł przecie wszystkich ocalić, ale skoro tego nie czyni, to widać przyszedł czas mąk i śmierci“. I zgadzał się na nią dla siebie, ale żal mu było do głębi duszy tego dziecka, które wyrosło na jego rękę i które kochał nad życie. Viniciusz klęknął znów przy Lygii. Przez zakratowany otwór wkradły się do podziemia promienie księżyca i oświeciły je lepiej od jedyne go kaganka, który migotał jeszcze nad drzwiami. Wtem Lygia otworzyła oczy i, położywszy swe rozpalone dłonie na rękach Viniciusza, rzekła: — Widzę cię — i wiedziałam, że przyjdiesz. On zaś rzucił się do jej rąk i począł przykładac je do czoła i serca, potem uniósł je nieco z posłania i wsparł o własne piersi. — Przyszedłem, droga — rzekł. — Niech cię Chrystus strzeże i ocali, o Lygio umiłowana!... I nie mógł mówić więcej, albowiem serce poczęło mu skowyczeć w piersiach z bólu i miłości, a z bólem nie chciał się przed nią zdradzić. — Chora jestem, Marku — odrzekła Lygia — i czy na arenie, czy tu, w więzieniu, muszę umrzeć... Ale modliłam się, bym cię przedtem mogła zobaczyć, i przyszedłeś: Chrystus mnie wysłuchał!! A gdy jeszcze nie mógł zdobyć się na słowa i tylko przyciskał ją do piersi, mówiła dalej: — Widywałam cię przez okno z Tulianum — i wiedziałam, żeś chciał przyjść. A teraz Zbawiciel dał mi chwilę przytomności, abyśmy się mogli pożegnać. Już ja idę do Niego, Marku, ale kocham cię i zawsze będę kochała. Viniciusz przemógł się, zdusił w sobie ból i począł mówić głosem, który starał się uczynić spokojnym: — Nie, droga. Ty nie umrzesz. Apostoł kazał wierzyć i przyrzekł modlić się za ciebie, a on Chrystusa znał, Chrystus go miłował i niczego mu nie odmówi... Gdybyś miała umrzeć, Piotr nie kazałby mi ufać, a on mi rzekł: „Ufaj!“ — Nie, Lygio! Chrystus zmiłuje się nade mną... On nie chce twojej śmierci, On jej nie dopuści... Przysięgam ci na imię Zbawiciela, że Piotr modli się za ciebie! Nastala cisza. Jedyne kaganek wiszący nad drzwiami zgasł, ale za to światło księżyca wchodziło całym otworem. W przeciwnym kącie piwnicy zakwiliło dziecko i ucichło. Z zewnątrz tylko dochodziły głosy pretorianów, którzy po odbytej kolei strażniczej, grali pod murem w „scriptae duodecim“. — O Marku — odrzekła Lygia — Chrystus sam wołał do ojca: „oddal ode mnie ten kielich goryczy“, a jednak go spełnił, Chrystus sam umarł na krzyżu, a teraz giną za niego tysiące, więc dlaczegoż mnie jedną miałby oszczędzać. Któż ja jestem, Marku? Słyszałam, jak Piotr mówił, że i on umrze umęczon, a któż ja jestem wobec niego? Gdy przyszli do nas pretorianie, bałam się śmierci i męki, ale teraz się już nie boję. Patrz, jakie to straszne więzienie, a ja idę do nieba. Pomyśl, że tu jest Cezar, a tam jest Zbawiciel, dobry i miłosierny. I niema śmierci. Ty mnie kochasz, więc pomyśl, jaka będę szczęśliwa. O, Marku drogi, pomyśl, że ty tam przyjdiesz do mnie. Tu umilkła, by nabrać tchu w swą chorą pierś, poczem podniosła do ust jego rękę: — Marku? — Co, droga! — Nie płacz za mną, i pamiętaj, że ty tam przyjdiesz do mnie. Krótka żyłam, ale Bóg dał mi duszę twoją. Więc chcę powiedzieć Chrystusowi, że choć umarłam, i choć patrzyłeś na śmierć moją, i choć zostałeś w żalu, jednak nie bluźniłeś przeciw Jego woli i miłujesz Go zawsze. A ty Go będziesz miłował i zniesiesz cierpliwie śmierć moją?... Bo wówczas On nas połączy, a ja cię kocham i chcę być z tobą... Tu znów zbrakło jej oddechu i ledwie dosłyszalnym głosem skończyła: — Przyrzecz mi to Marku!... Viniciusz objął ją drżącymi rękoma i odrzekł: — Na twoją świętą głowę! — przyrzekam!... Wówczas w smutnym świetle księżyca rozjaśniła się jej twarz. Raz jeszcze

podniosła do ust jego rękę i szepnęła: — Jam żona twoja!... Za murem, pretorianie grający w „scriptae duodecim“, podnieśli głośniejszą sprzeczkę, lecz oni zapomnieli o więzieniu, o strażach, o ziemi całej, i czując wzajem w sobie dusze anielskie, poczęli się modlić.

ROZDZIAŁ XVIII.

Przez trzy dni, a raczej trzy noce nic nie mąciło im spokoju. Gdy zwykle zajęcia więzienne, polegające na oddzielaniu zmarłych od żywych i ciężko chorych od zdrowszych, zostały ukończone i gdy znużeni strażnicy pokładli się spać na korytarzach, Viniciusz wchodził do podziemia, w którym była Lygia, i pozostawał w niem dopóty, dopóki brzask nie zajrzał przez kraty okna. Ona składała mu głowę na piersiach i rozmawiali cichymi głosami o miłości i o śmierci. Oboje mimowoli, w myślach i rozmowach, nawet w pragnieniach i nadziejach, oddalali się coraz bardziej od życia i tracili jego poczucie. Oboje byli, jak ludzie, którzy, odpłynawszy okrętem od lądu, nie widzą już brzegu i pogrążają się zwolna w nieskończoność. Oboje zmieniali się stopniowo w duchy smutne, rozmiłowane w sobie i w Chrystusie i gotowe odlecieć. Czasem tylko w jego sercu zrywał się jeszcze ból, jak wicher, czasem błysnęła, jak błyskawica, nadzieja, zrodzona z miłości i wiary miłosierdzie Ukrzyżowanego Boga, lecz codziennie więcej i on odrywa się od ziemi, a oddawał się śmierci. Rankiem, gdy wychodził z więzienia, patrzył już na świat, na miasto, na znajomych i na sprawy życiowe, jak przez sen. Wszystko wydawało mu się obcem, odległym, czczym i znikomem. Przestała go przerażać nawet groza mąk, miał bowiem poczucie, że to jest rzecz, przez którą można przejść jakby w zamyśleniu, z oczyma utkwionemi w coś innego. Obojgu zdawało się, że poczyna ich już ogarniać wieczność. Rozmawiali o miłości, o tem, jak będą miłowali się i żyli razem, ale jedynie z tamtej strony grobu, i jeśli czasem myśl ich zwracała się jeszcze ku rzeczom ziemskim, to tylko jak myśl ludzi, którzy, gotując się w wielką drogę, rozmawiają o przygotowaniach podróży. Zresztą otaczała ich cisza taka, jaka otacza dwie kolumny, stojące gdzieś na pustkowiu i zapomniane. Chodziło im już tylko o to, by Chrystus ich nie rozdzielił; a gdy każda chwila wznagała w nich tę pewność, rozkochali się w Nim, jak w ogniwie, które ich miało połączyć, jak w nieskończonym szczęściu i w nieskończonym spokoju. Na ziemi jeszcze opadał z nich proch ziemi. Dusze stały się w nich czyste, jak łyzy. Pod grozą śmierci, wśród nędzy i cierpienia, na barłogu więziennym poczęło się dla nich niebo, albowiem ona brała go za rękę i prowadziła, jakby już zbawiona i święta, do wieczystego źródła życia. A Petroniusz zdumiewał się, widząc w twarzy Viniciusza coraz większy spokój i jakieś dziwne blaski, których nie widywał dawniej. Chwilami nawet rodziły się w jego umyśle przypuszczenia, że Viniciusz znalazł jakąś drogę ratunku, i było mu przykro, że go w swe nadzieje nie wtajemnicza. Wreszcie, nie mogąc wytrzymać, rzekł mu: — Teraz ty wyglądasz inaczej, więc nie czyń przede mną tajemnicy, bo chcę i mogę ci być pomocnym: czy ułożyłeś co? — Ułożyłem — odpowiedział Viniciusz — ale ty nie możesz mi być już pomocny. Oto po jej śmierci wyznam, że jest chrześcijaninem i pójdę za nią. — Więc nie masz nadziei? — Owszem, mam. Chrystus mi ją odda i nie rozłączę się z nią już nigdy. Petroniusz począł chodzić po atrium z wyrazem rozczarowania i zniecierpliwienia w twarzy, poczem rzekł: — Na to nie potrzeba waszego Chrystusa, albowiem tę samą usługę może ci oddać nasz Thanatos. A Viniciusz uśmiechnął się smutno i rzekł: — Nie, drogi, ale ty tego nie chcesz zrozumieć. — Nie chcę i nie mogę — odpowiedział Petroniusz. — Nie czas na rozprawę, ale pamiętasz, coś mówił, gdy nam się nie udało wyrwać jej z Tulianum? Ja straciłem wszelką nadzieję, a tyś rzekł, gdyśmy wrócili do domu: „A ja wierzę, że Chrystus może mi ją wrócić“. Niechże ci ją wróci. Gdy rzucę kosztowną czarę w morze, nie potrafi oddać mi jej żaden z naszych bogów, ale jeśli i wasz nie lepszy, to nie wiem, dlaczegobym miał go czcić więcej od dawnych. — On też mi ją odda — odrzekł Viniciusz. Petroniusz wzruszył ramionami. — Czy wiesz — zapytał — że chrześcijanami mają jutro oświecić ogrody Cezara? — Jutro? — powtórzył

Viniciusz. I wobec bliskiej strasznej rzeczywistości serce zadrgało w nim jednak bólem i przerażeniem. Pomyślał, że to może ostatnia noc, którą będzie mógł spędzić z Lygią, więc pożegnawszy Petroniusza, udał się śpiesznie do dozorczy „putikulów“ po swoją tesserę. Lecz tu czekał go zawód, dozorca albowiem nie chciał mu dać znaku. — Wybacz, panie — rzekł. — Uczyniłem dla ciebie com mógł, ale nie mogę narażać życia. Dziś w nocy mają wyprowadzać chrześcijan do ogrodów Cezara. W więzieniu pełno będzie żołnierzy i urzędników. Gdyby cię poznano, zginąłbym ja i moje dzieci. Viniciusz zrozumiał, że próżno byłoby nalegać. Błysnęła mu jednak nadzieja, że żołnierze, którzy widywali go poprzednio, puszcza go może i bez znaku, więc za nadejściem nocy, przebrawszy się jak zwykle w zgrzebną tunikę i obwiązawszy szmatą głowę, udał się do bram więzienia. Lecz dnia tego, sprawdzano znaki z większą jeszcze ścisłością, niż zwykle, a co większa, setnik Scaevinus, srogi i oddany duszą i ciałem Cezarowi żołnierz, poznał Viniciusza. Lecz widocznie w jego okutej w żelazo piersi tliły się jakieś iskry litości dla ludzkiej niedoli, albowiem, zamiast uderzyć włócznią w tarczę na znak alarmu, odwiódł Viniciusza na bok i rzekł mu: — Panie, wracaj do siebie. Poznałem cię, ale będę milczał, nie chcąc cię gubić. Puścić cię nie mogę, ale wracaj i niech bogowie ześlą ci ukojenie. — Puścić mnie nie możesz — rzekł Viniciusz — ale pozwól mi tu zostać i widzieć tych, których będą wyprowadzali. — Mój rozkaz nie sprzeciwia się temu — odpowiedział Scaevinus. Viniciusz stanął przed bramą i czekał póki nie poczną wyprowadzać skazańców. Wreszcie około północy rozwarły się szeroko bramy więzienia i ukazały się całe szeregi więźniów: mężczyzn, kobiet i dzieci, otoczone przez zbrojne oddziały pretorianów. Noc była jasna bardzo — i pełnia, tak, że można było odróżnić nie tylko postaci, ale nawet i twarze nieszczęsnych. Szli parami, długim, posępnym korowodem, i wśród ciszy, przerywanej tylko brzękiem żołnierskich zbroic. Prowadzono ich tyłu, że zdawało się, iż wszystkie piwnice pozostaną próżne. Przy końcu orszaku Viniciusz dostrzegł wyraźnie Glauka-lekarza, lecz ani Lygii, ani Ursusa nie było między skazanymi.

ROZDZIAŁ XIX.

Mrok jeszcze nie zapadł, gdy już pierwsze fale ludu poczęły napływać do ogrodów Cezara. Tłumy, przybrane świątecznie, uwieńczone, ochocze i śpiewające, a w części pijane, szły patrzeć na nowe, wspaniałe widowisko. Okrzyki: „Semaxii! Sarmentitii!“ rozlegały się na Via Tecta, na moście Emiliusza i z drugiej strony Tybru, na drodze Tryumfalnej, koło cyrku Nerona i aż hen, po wzgórze Watykańskie. Widywano już i poprzednio w Rzymie ludzi, palonych na słupach, lecz nigdy dotąd nie widziano takiej ilości skazanych. Cezar i Tigellin, chcąc skończyć z chrześcijanami, a zarazem zapobiedz zarazie, która z więzień rozchodziła się coraz bardziej po mieście, nakazali opróżnić wszystkie podziemia, tak że zostało w nich zaledwie kilkudziesięciu ludzi, przeznaczonych na koniec igrzysk. To też tłumy, po przebyciu bram ogrodowych, oniemiały ze zdziwienia. Wszystkie aleje główne i boczne, biegnące wśród gęstwiny drzew, wokół łąk, kęp, stawów, sadzawek i poletków, obsianych kwieciem, nabite były smolnymi słupami, do których poprzywiązywano chrześcijan. Z wyższych miejsc, gdzie widoku nie zasłaniały drzewa, można było dostrzedz całe szeregi palów i ciał, przybranych w kwiaty, w liście mirtowe i w bluszcz, ciągnące się w głąb, po wyniosłościach i nizinach tak daleko, że, gdy bliższe wydawały się jak maszty naw, najdalsze przedstawiały się oczom, jak kolorowe, pozatykane w ziemię, tyrsy lub dzidy. Mnogość ich przeszła oczekiwania samego ludu. Można było pomyśleć, że cały jakiś naród poprzywiązywano do słupów dla uciechy Rzymu i Cezara. Gromady widzów zatrzymywały się przed pojedynczymi masztami, w miarę jak zaciekawiały je postaci, wiek lub płeć ofiar, oglądały twarze, wieńce, girlandy bluszczu, poczem szły dalej i dalej, zadając sobie pełne zdumienia pytania: „Zali mogło być tylu winnych, lub jak mogły podpalić Rzym dzieci, zaledwie zdolne chodzić o własnej mocy?“ I zdumienie przechodziło z wolna

w niepokój. Tymczasem zapadł mrok i na niebie zabłyśły pierwsze gwiazdy. Wówczas przy każdym skazanym stanął niewolnik z płonąca pochodnią w ręku, a gdy odgłos trąb rozległ się w różnych częściach ogrodów, na znak rozpoczęcia widowiska, wszyscy przyłożyli płomień do spodu słupów. Ukryta pod kwiatami i polana smołą słoma wnet zajęła się jasnym płomieniem, który, wzmagając się z każdą chwilą, rozkręcał zwoje bluszczów, wzbijał się ku górze i obejmował nogi ofiar. Lud umilkł, ogrody zabrzmiały jednym ogromnym jękiem i krzykami bóleści. Niektóre ofiary jednak, wznosząc głowy ku gwiaźdzystemu niebu, poczęły śpiewać na cześć Chrystusa. Lud słuchał. Lecz najtwardsze serca napełniły się przerażeniem, gdy z mniejszych masztów rozdzierające dziecinne głosy poczęły wołać: „Mamo! mam!” i dreszcz przebiegł nawet pijanych widzów na widok owych główek i niewinnych twarzy, poprzekrzywianych bólem lub mdlejących w dymie, który począł dusić ofiary. A płomień szedł w górę i przepalał coraz nowe wieńce róż i bluszczów. Rozgorzały aleje główne i poboczne, rozgorzały kępy drzew i łąki, i kwieciste poletki, rozbłysła woda w sadzawkach i stawach, poróżowiały drżące liście na drzewach i uczyniło się widno, jak w dzień. Śwąd spalonych ciał napełnił ogrody, lecz w tej chwili niewolnicy poczęli sypać w przygotowane umyślnie między słupami kadzielnice myrrę i aloes. Między tłumem ozwały się tu i owdzie okrzyki, niewiadomo czy współczucia, czy upojenia i radości, i wzmagaly się z każdą chwilą wraz z ogniem, który obejmował słupy, wspinał się ku piersiom ofiar, skręcał palącym tchnieniem włosy na ich głowach, rzucał zasłonę na ich poczerniałe twarze, i wreszcie strzelał jeszcze wyżej, jakby na zwycięstwo i tryumf tej sile, która kazała go rozniecić. Lecz jeszcze na początku widowiska zjawił się wśród ludu Cezar na wspaniałej cyrkowej kwadrydze, zaprzężonej w cztery białe rumaki, przybrany w ubiór woźnicy i barwę stronnictwa Zielonych, do którego i on, i jego dwór należał. Szły za nim inne wozy, pełne dworzan w świetnych strojach, senatorów, kapłanów i nagich bachantek z wieńcami na głowach i dzbanami wina w ręku, w części spitych i wydających dzikie okrzyki. Obok nich muzycy, poprzebierani za faunów i satyrów, grali na cytrach, formingach, piszczałkach i rogach. Na innych wozach jechały matrony i dziewice rzymskie, również pijane i w pół nagie. Obok kwadryg skoczkowie potrząsali przybrane we wstążki tyrsy; inni bili w bębenki, inni sypali kwiaty. Cały ów świetny orszak posuwał się, wrzeszcząc: „evoe!” najszerszą ogrodową drogą wśród dymów i wśród ludzkich pochodni. Cezar, mając przy sobie Tigellina i Chilona, którego przerażeniem pragnął się zabawić, sam powodował końmi i, jadąc noga za nogą, spoglądał na płonące ciała, a zarazem słuchał okrzyków ludu. Stojąc na wysokiej złotej kwadrydze, otoczony falą ludzką, która kłaniała mu się do stóp, w blaskach ognia, w złotym wieńcu cyrkowego zwycięzcy, przerastał głową dworzan, tłumy, i wydawał się być olbrzymem. Potworne jego ramiona, wyciągnięte dla trzymania lejców, zdawały się błogosławić lud. W twarzy i przymrużonych oczach miał uśmiech, i jaśniał nad ludźmi, jak słońce, albo jak bóstwo, straszne, ale wspaniałe i potężne. Chwilami zatrzymywał się, by przypatrzeć się dokładniej, czy to jakiej dziewicy, której łono poczynało skwierczyć w płomieniu, czy wykrzywionej przez konwulsje twarzy dziecka, i znów jechał dalej, wiodąc za sobą szalony i rozhukany orszak. Chwilami kłaniał się ludowi, to znów, przeginając się w tył, ścigał złote lejce i rozmawiał z Tigellinem. Nakoniec, dojechawszy do wielkiej fontanny, stojącej w pośrodku dwóch krzyżujących się ulic, wysiadł z kwadrygi i, skinąwszy na towarzyszków, zmieszał się z tłumem. Przywitano go krzykiem i oklaskami. Bachantki, nimfy, senatorowie, augustianie, kapłani, fauny, satyry i żołnierze otoczyli go wraz szalonym kołem, on zaś, mając po jednej stronie Tigellina, po drugiej Chilona, obchodził fontannę, naokół której płonęło kilkadziesiąt pochodni, zatrzymując się przed każdą, czyniąc uwagi nad ofiarami, lub drwiąc ze starego Greka, w którego twarzy malowała się bezbrzeżna rozpacz. Nakoniec stanęli przed wysokim masztem, przybranym w mirty i okręconym w powój. Czerwone języki ognia dochodziły tu już do kolan ofiary, ale twarzy jej nie można było zrazu

rozpoznać, gdyż świeże płonące gałązki przesłoniły ją dymem. Po chwili jednak lekki wiatr nocny zwiął dymy i odkrył głowę starca z siwą, spadającą na piersi brodą. Na ten widok Chilo zwinął się nagle w kłęb, jak raniony gad, z ust zaś wyszedł mu krzyk, raczej do krakania, niż do ludzkiego głosu, podobny: — Glaukos! Glaukos!... Jakoż istotnie z płonącego słupa patrzył na niego Glaukos-lekarsz. Żył jeszcze. Twarz miał zbolałą i pochyloną, jakby chciał po raz ostatni przypatrzeć się swemu katowi, który go zdradził, pozbawił go żony, dzieci, nasadził na niego zabójcę, a gdy to wszystko zostało mu w imię Chrystusa odpuszczone, raz jeszcze wydał go w ręce oprawców. Nigdy człowiek nie wyrządził człowiekowi straszniejszych i bardziej krwawych krzywd. I oto ofiara płonęła teraz na smolnym słupie, a kat stał u jej stóp. Oczy Glauka nie odwracały się od twarzy Greka. Chwilami przesłaniał je dym, lecz gdy dmuchnął powiew, Chilo widział znów te utkwione w siebie źrenice. Podniósł się i chciał uciekać, lecz nie mógł. Nagle wydało mu się, że nogi jego są z ołowiu i że jakaś niewidzialna ręka zatrzymuje go z nadludzką siłą przed tym słupem. I skamieniał. Czuł tylko, że coś przepełnia się w nim, coś się zrywa, że dosyć ma mąk i krwi, że przychodzi koniec życia i że wszystko znika naokół: i Cezar, i dwór, i tłumy, a otacza go tylko jakaś bezdena, straszna i czarna pustka, w niej zaś widać tylko te oczy męczennika, które wzywają go na sąd. A tamten, schylając coraz niżej głowę, patrzył ciągle. Obecni odgadli, że między tymi ludźmi coś się dzieje, lecz śmiech zamarł im na ustach, w twarzy bowiem Chilona było coś straszego: wykrzywiła ją taka trwoga i taki ból, jak gdyby owe języki ognia paliły jego własne ciało. Nagle zachwiał się i, wyciągnawszy w górę ramiona, zawołał okropnym, rozdzierającym głosem: — Glauku! w imię Chrystusa! przebacz!!! Uciszyło się naokół: dreszcz przebiegł obecnych i wszystkie oczy mimowoli podniosły się w górę. A głowa męczennika poruszyła się lekko, poczem usłyszano z wierzchołka masztu podobny do jęku głos: — Przebaczam!... Chilo rzucił się na twarz, wyjąc, jak dziki zwierz, i, nabrawszy ziemi w obie garści, posypał sobie nią głowę. Tymczasem płomienie strzeliły w górę, objęły piersi i twarz Glauka, rozplotły mirtową koronę na jego głowie i zajęły wstęgi na wierzchu słupa, który zajaśniał cały wielkiem, jaskrawem światłem. Lecz Chilo podniósł się po chwili z twarzą tak zmienioną, iż augustianom wydało się, że widzą innego człowieka. Oczy płonęły mu niezwykłym blaskiem, ze zmarszczonego czoła biło uniesienie: niedołączny przed chwilą Grek wyglądał teraz jak jakiś kapłan, który, nawiedzony przez bóstwo, chce odkryć prawdy nieznanne. — Co z nim jest? oszalał! — ozwało się kilka głosów. On zaś odwrócił się ku tłumom i, wyciągnawszy w górę prawą rękę, począł wołać, a raczej krzyczeć tak donośnie, by nie tylko augustianie, ale i tłuszcza mogła głos jego dosłyszeć: — Ludu rzymski! na moją śmierć przysięgam, że oto giną niewinni, a podpalaczem jest — ten!!!... I wskazał palcem na Nerona. Nastąpiła chwila ciszy. Dworzanie zdrętwieli. Chilo stał ciągle z wyciągniętym, drżącym ramieniem i palcem zwróconym ku Cezarowi. Nagle uczyniło się zamieszanie. Lud nakształt fali, pchniętej nagłym wichrem, rzucił się ku starcowi, chcąc mu się lepiej przypatrzeć. Tu i owdzie ozwały się krzyki: „Trzymaj!“ gdzieindziej: „Biada nam!“ W tłumie rozległ się świst i wrzaski: „Ahenobarbus! matkobójca! podpalacz!“ Beład wzrastał z każdą chwilą. Bachantki, wrzeszcząc wniebogłosy, poczęły się chronić na wozy. Nagle kilka przepalonych słupów przewróciło się, rozsypując wokół skry i powiększając zamęt. Ślepa, stłoczona fala ludu porwała Chilona i uniosła go w głąb ogrodu. Wszędzie też słupy poczęły już przepalać się i padać w poprzek ulic, napelniając aleje dymem, skrami, swędem drzewa i swędem ludzkiego tłuszczu. Gasły światła dalsze i bliższe. W ogrodach pociemniało. Tłumy zaniepokojone, posępne i trwożne cisnęły się do bram. Wieść o tem, co zaszło, przechodziła z ust do ust, zmieniona i powiększona. Jedni opowiadali, że Cezar zemdlał, drudzy, że sam wyznał, iż kazał podpalić Rzym, trzeci, że zachorował ciężko, inni wreszcie, że wywieziono go, jak martwego na wozie. Tu i owdzie odzywały się głosy współczucia dla chrześcijan: „Nie oni spalili Rzym, po co więc tyle krwi, mąk i niesprawiedliwości? Czy

bogowie nie będą się mścić za niewinnych, i jakież „piacula“ zdołają ich znów przeblagać?“ Słowa: „innocentia corpora!“ powtarzały się coraz częściej. Kobiety litowały się głośno nad dziećmi, których tyle rzucono dzikim zwierzętom, poprzybijano na krzyże lub spalono w tych przeklętych ogrodach! I wreszcie politowanie zmieniało się w złorzeczenia Cezarowi i Tigellinowi. Lecz byli i tacy, którzy zatrzymując się nagle, zadawali sobie lub innym pytanie: „Cóż to jest za bóstwo, które daje taką siłę wobec mąk i śmierci?“ I powracali do domów w zamyśleniu... Chilo błąkał się zaś jeszcze po ogrodach, nie wiedząc, dokąd iść i gdzie się obrócić. Teraz uczuł się znów bezsilnym, niedołężnym i chorym starcem. Chwilami potykał się o niedopalone ciała, potraçał główne, które wysyłały w ślad za nim roje iskier, chwilami siadał, spoglądając naokół bezprzytomnym wzrokiem. Ogrody stały się już prawie całkiem ciemne; między drzewami poruszał się tylko blady księżyc, rozświecając niepewnym światłem aleje, zczerniałe leżące w poprzek słupy i zmienione w bezkształtne bryły niedogarki ofiar. Lecz staremu Grekowi wydało się, że w księżycu widzi twarz Glauka i że oczy jego patrzą nań jeszcze ciągle, i chował się przed światłem. Wreszcie jednak wyszedł z cienia i mimowoli, jakby party jakąś nieznaną siłą, począł kierować się ku fontannie, przy której oddał ducha Glaukos. Wtem jakaś ręka dotknęła jego ramienia. Starzec odwrócił się i, widząc przed sobą nieznaną postać, zawołał z przerażeniem: — Kto tam! Ktoś ty jest? — Apostoł, Paweł z Tarsu. — Jam przeklęty!... Czego chcesz? A Apostoł odrzekł: — Chcę cię zbawić. Chilo oparł się o drzewo. Nogi chwiały się pod nim i ramiona zwisły mu wzdłuż ciała. — Dla mnie nie masz zbawienia! — rzekł głucho. — Zali słyszałeś, że Bóg przebaczył żałującemu łotrowi na krzyżu? — zapytał Paweł. — Zali wiesz, com ja uczynił? — Widziałem boleść twoją i słyszałem, jakoś dał świadectwo prawdzie. — O Panie!!... — I gdy sługa Chrystusów przebaczył ci w godzinie męki i śmierci, jakżeby ci Chrystus nie miał przebaczyć? A Chilo chwycił rękoma głowę, jak w obłąkaniu: — Przebaczenie! dla mnie przebaczenie! — Bóg nasz, to Bóg Miłosierdzia — odpowiedział Apostoł. — Dla mnie!? — powtórzył Chilo. I począł jęczeć, jak człowiek, któremu zbrakło sił, by mógł opanować ból i mękę. Paweł zaś rzekł: — Oprzyj się na mnie i pójdź ze mną. I, wzięwszy go, szedł z nim ku krzyżującym się ulicom, kierując się głosem fontanny, która zdawała się płakać wśród nocnej ciszy nad ciałami pomęczonych. — Bóg nasz, to Bóg Miłosierdzia — powtórzył Apostoł. — Gdybyś stanął nad morzem i rzucał w nie kamienie, czybyś mógł zarzucić nimi głębinę morską? A ja ci mówię, że miłosierdzie Chrystusa jest jako morze i że grzechy i winy ludzkie potoną w niem, jako kamienie w otchłani. I mówię ci, że jest jako niebo, które pokrywa góry, lądy i morza, albowiem jest wszędzie i nie masz mu granicy ni końca. Tyś cierpiał u słupa Glauka i Chrystus widział twoje cierpienie. Tyś rzekł, nie bacząc na to, coć jutro spotkać może: „Ten jest podpalaczem!“ i Chrystus spamiętał słowa twoje. Bowiem minęła twoja złość i kłamstwo, a w sercu został się jeno żal nieprzebrany... Chodź ze mną i słuchaj, co ci powiadam: otom ja także nienawidził Go i prześladował Jego wybranych. Jam Go nie chciał i nie wierzył w Niego, póki mi się nie ukazał i nie powołał mnie. I odtąd On jest miłością moją. A teraz ciebie nawiedził zgryzotą, trwogą i boleścią, aby cię powołać ku sobie. Tyś Go nienawidził, a On kochał cię. Tyś wydawał na męki Jego wyznawców, a On chce ci przebaczyć i zbawić cię. Piersią nędzarza poczęło wstrząsać łkanie ogromne, od którego rozdzierała się w nim dusza do dna, a Paweł ogarniał go, opanowywał i wiódł, jak żołnierz wiedzie jeńca. I po chwili znów mówić począł: — Pójdź za mną, a ja cię powiodę do Niego. Dla jakiejż innej przyczyny przychodziłbym do ciebie? Ale oto On rozkazał mi zbierać dusze ludzkie w imię miłości, więc spełniam służbę Jego. Ty mniemasz, żeś przeklęty, a ja ci mówię: uwierz w Niego, a czeka cię zbawienie. Ty myślisz, żeś znienawidzon, a ja ci powtarzam, że On miłuje cię. Patrz na mnie! Gdym Jego nie miał, nic nie miałem krom złości, która mieszkała w sercu mojem, a teraz Jego miłość starczy mi za ojca i matkę, za bogactwa i królowanie. W Nim jednym ucieczka, On jeden policzy

twój żal, wejrzy na nędzę twoją, zdejmie z ciebie trwożę i podniesie cię do siebie. Tak mówiąc, przywiódł go do fontanny, której srebrny strumień połyskiwał zdala w miesięcznym świetle. Naokół była cisza i pustka, albowiem służba niewolnicza uprzątnęła już tu zwęglone słupy i ciała męczenników. Chilo rzucił się z jękiem na kolana i, ukrywszy twarz w dłoniach, pozostał bez ruchu, Paweł zaś podniósł twarz ku gwiazdom i począł się modlić: — Panie, spojrzij na tego nędzarza, na żal jego, na łzy i mękę! Panie Miłosierdzia, któryś przelał krew za winy nasze, przez Twoją mękę, przez śmierć i zmartwychwstanie odpuść mu! Poczem umilkł, lecz długo jeszcze patrzył w gwiazdy i modlił się. A wtem z pod jego stóp ozwało się podobne do jęku wołanie: — Chryste!.. Chryste!.. odpuść mi!.. Naówczas Paweł zbliżył się do fontanny i, nabrawszy wody w dłoń, wrócił do klęczącego nędzarza: — Chilonie! oto cię chrzczę w imię Ojca, i Syna, i Ducha! amen! Chilo podniósł głowę, rozłożył ręce i pozostał tak bez ruchu. Księżyc oświecał pełnym światłem jego zbielałe włosy i równie białą, nieruchomą, jakby umarłą lub wykutą z kamienia twarz. Chwile płynęły jedna za drugą; z wielkich ptaszarni, umieszczonych w ogrodach Domicyi, zaczęło dochodzić pianie kogutów, a on klęczał jeszcze, podobny do nagrobnego posągu. Wreszcie ocknął się, wstał i, zwróciwszy się do Apostoła, zapytał: — Co mam czynić przed śmiercią, panie? Paweł również rozbudził się z zadumy nad tą niezmierną potęgą, której nie mogły oprzeć się nawet takie duchy, jak tego Greka, i odrzekł: — Ufaj, i daj świadectwo prawdzie! Po czym wyszli razem. U bram ogrodu Apostoł pobłogosławił raz jeszcze starca i rozstali się, albowiem wymagał tego sam Chilo, przewidując, że po tem, co zaszło, Cezar i Tigellinus każą go ścigać. Jakoż nie mylił się. Wróciwszy do siebie, zastał już dom otoczony przez pretorianów, którzy porwali go i pod wodzą Scaevinusa zawiedli na Palatyn. Cezar udał się już był na spoczynek, lecz Tigellin czekał, i, ujrzawszy nieszczęsnego Greka, powitał go z twarzą spokojną, ale złowrogą. — Popełniłeś zbrodnię obrazy majestatu — rzekł mu — i kara cię nie minie. Lecz jeśli jutro oświadczysz w amfiteatrze, żeś był pijany i szalony, i że sprawcami pożaru są chrześcijanie, kara twoja skończy się na chłóście i wygnaniu. — Nie mogę, panie! — odpowiedział cicho Chilo. A Tigellin zbliżył się do niego krokiem powolnym i głosem również przyciszonym, ale strasznym, zapytał: — Jakto, nie możesz, psie grecki? Zaliś nie był pijany i zali nie rozumiesz, co cię czeka? Spójrz tam! I to rzekłszy, wskazał na kąt atrium, w którym obok długiej drewnianej ławy stało w mroku czterech nieruchomych niewolników trackich z powrozami i obcęgami w ręku. A Chilo odrzekł: — Nie mogę, panie! Tigellina poczęła ogarniać wściekłość, lecz pohamował się jeszcze. — Widziałeś — zapytał — jak umierają chrześcijanie? Czy chcesz tak umrzeć? Starzec wzniosł w górę wybladłą twarz; czas jakiś wargi jego poruszały się cicho, poczem odrzekł: — I ja wierzę w Chrystusa!.. Tigellin spojrział na niego ze zdumieniem: — Psie, tyś oszalał naprawdę! I nagle nagromadzona w jego piersi wściekłość zerwała tamę. Skoczywszy do Chilona, chwycił go obiema rękami za brodę, zwałił na ziemię i począł deptać, powtarzając z pianą na ustach: — Odwołasz! odwołasz!.. — Nie mogę! — odpowiedział mu z ziemi Chilo. — Na męki z nim! Usłyszawszy ów rozkaz, Trakowie porwali starca i położyli go na ławę, poczem, przytwierdziwszy go do niej za pomocą sznurów, poczęli cęgami ścisnąć jego wychudłe pizsczele. Lecz on, w czasie gdy go przywiązywano, całował z pokorą ich ręce, następnie zaś przymknął oczy i wydawał się jak umarły. Żył jednak, gdy bowiem Tigellin pochylił się nad nim i raz jeszcze zapytał: „Odwołasz?” zbielałe jego wargi poruszyły się lekko i wyszedł z nich zaledwie dosłyszalny szept: — Nie... mogę!... Tigellin kazał przerwać męki i jał chodzić po atrium z twarzą zmienioną przez gniew, lecz zarazem bezradną. Nakoniec widocznie przyszła mu do głowy jakaś nowa myśl, albowiem zwrócił się do Traków i rzekł: — Wyrwać mu język.

ROZDZIAŁ XX.

Dramat „Aureolus“ dawano zwykle w teatrach lub amfiteatrach tak urządzonych, iż mogły otwierać

się i tworzyć jakby dwie odrębne sceny. Lecz po widowisku w ogrodach Cezara zaniechano zwykłego sposobu, szło bowiem o to, by jak największa liczba ludzi mogła patrzeć na śmierć przybitego do krzyża niewolnika, którego w dramacie pożerał niedźwiedź. W teatrach rolę niedźwiedzia grywał obsyty w skórę aktor, tym razem jednak przedstawienie miało być „prawdziwe“. Był to nowy pomysł Tigellina. Cezar początkowo zapowiedział, że nie przybędzie, lecz z namowy faworyta zmienił zdanie. Tigellinus wytłómaczył mu, że po tem, co zaszło w ogrodach, tembardziej powinien pokazać się ludowi, i zarazem zaręczył, że ukrzyżowany niewolnik nie zelży go już, tak, jak uczynił to Kryspus. Lud był już nieco przesycony i zmęczony przelewem krwi, zapowiedziano mu więc nowe rozdawnictwo biletów loteryjnych i podarków, a zarazem ucztę wieczorną, przedstawienie bowiem miało się odbywać wieczorem, w rześkości oświetlonym amfiteatrze. Jakoż o zmroku cały budynek napełnił się szczelnie; augustianie z Tigellinem na czele przybyli wszyscy, nietyle dla samego widowiska, jak dla okazania po ostatnim zejściu Cezarowi swej wierności i porozmawiania o Chilonie, o którym mówił cały Rzym. Opowiadano więc sobie na ucho, że Cezar, wróciwszy z ogrodów, wpadł w wściekłość i nie mógł zasnąć, że opadały go strachy i dziwne widzenia, skutkiem których nazajutrz zapowiedział swój prędki wyjazd do Achai. Inni wszelako przeczyli temu, twierdząc, że teraz okaże się tembardziej nieubłaganym względem chrześcijan. Nie brakło jednak i tchórzów, którzy przewidywali, że oskarżenie, jakie Chilon rzucił w twarz Cezarowi wobec tłumów, może mieć najgorsze następstwa. Byli wreszcie i tacy, którzy przez ludzkość prosili Tigellina, by zaniechał dalszych prześladowań. — Patrzcie, dokąd idziecie, — mówił Barkus Soranus. — Chcieliście zaspokoić zemstę ludu i wpoić w niego przekonanie, że kara spada na winnych, a skutek jest wprost przeciwny. — Prawda! — dodał Antistiusz Verus, — wszyscy szepczą sobie teraz, że oni niewinni. Jeśli to ma być zrzęczość, to Chilo miał słuszość, mówiąc, że wasze mózgi nie napełniłyby żołędziowej miseczki. Tigellin zaś zwrócił się do nich i rzekł: — Ludzie szepczą sobie także, że twoja córka, Servilia, Barku Soranusie, i twoja żona, Antistiuszu, poukrywały swoich niewolników-chrześcijan przed sprawiedliwością Cezara. — To nieprawda! — zawołał z niepokojem Barkus. — Żonę moją chcę zgubić wasze rozwódki, które zazdroszczą jej cnoty! — rzekł z niemniejszym niepokojem Antistiusz Verus. Lecz inni rozmawiali o Chilonie. — Co mu się stało? — mówił Eprius Marcellus. — Sam ich wydawał w ręce Tigellina; z nędzarza stał się bogaczem, mógł dożyć spokojnie swych dni, mieć piękny pogrzeb i nagrobek, tymczasem, nie!! Naraz wolał stracić wszystko i zgubić się; doprawdy: chyba oszalał! — Nie oszalał, ale został chrześcijaninem — rzekł Tigellin. — Chyba nie może być — ozwał się Viteliusz. — A czy ja nie mówiłem! — wtrącił Vestinus. — Mordujcie sobie chrześcijan, ale, wierzajcie mi, nie wojujcie z ich bóstwem. Tu niema żartów!... Patrzcie, co się dzieje! Ja tam nie paliłem Rzymu, ale gdyby mi Cezar pozwolił, zarazbym dał hekatombę ich bóstwu. I wszyscy powinni to samo uczynić, bo powtarzam: z niem niema żartów! Pamiętajcie, żem wam to mówił. — A ja mówiłem co innego — rzekł Petroniusz. — Tigellin śmiał się, gdym twierdził, że oni się bronią, a ja teraz powiem więcej: oni zdobywają! — Jako? jako? — spytało kilka głosów. — Na Polluksa!... Bo jeśli taki Chilo im się nie oparł, któż im się oprze! Jeśli myślicie, że po każdym widowisku nie przybywa chrześcijan, tedy z waszą znajomością Rzymu zostańcie kotlarzami, lub zacznijcie brody golić, wówczas bowiem będziecie lepiej wiedzieli, co lud myśli i co się w mieście dzieje. — Mówi czystą prawdę, na święte peplum Dyany! — zawołał Vestinus. Lecz Barkus zwrócił się do Petroniusza: — Do czego prowadzisz? — Kończę na tem, od czegoście zaczęli: dość już krwi! A Tigellin spojrział na niego szydersko i rzekł: — Ej! jeszcze trochę! — Jeśli nie starczy ci głowy, masz drugą w gałce od laski! — odparł Petroniusz. Dalszą rozmowę przerwało przybycie Cezara, który zajął swe miejsce w towarzystwie Pitagorasa. Zaraz potem zaczęło się przedstawienie „Aureolusa“, na które nie bardzo

zważano, myśli bowiem zajęte były Chilonem. Lud, przywykły do mąk i krwi, nudził się także, sykał, wydawał niepoehlebne dla dworu okrzyki i wołał o przyśpieszenie sceny z niedźwiedziem, której jedynie był ciekawy. Gdyby nie nadzieja ujrzenia skazanego starca i podarków, samo widowisko nie zdołałoby zatrzymać tłumów. Ale wreszcie nadeszła oczekiwana chwila. Pachołcy cyrkowi wnieśli naprzód drewniany krzyż, dość niski, by niedźwiedź, wspiąwszy się, mógł dosięgnąć do piersi męczennika, a następnie dwóch ludzi wprowadziło, a raczej przywlokło Chilona, albowiem sam, mając pokruszone kości u nóg, iść nie mógł. Położono go i przybito do drzewa tak prędko, że zaciekawieni augustianie nie mogli mu się nawet dobrze przypatrzeć, i dopiero po umocowaniu krzyża w przygotowanym umyślnie dole wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Lecz mało kto mógł poznać w tym nagim starcu dawnego Chilona. Po męczarniach, które kazał mu zadać Tigellin, w twarzy nie zostało mu ani kropli krwi i tylko na białej brodzie widać było czerwony ślad, który zostawiła krew po wyrwaniu języka. Przez przeźroczystą skórę nieledwie można było dojrzeć jego kości. Wydawał się też daleko starszym, niemal zgrzybiałym. Ale natomiast niegdyś oczy jego rzucały wiecznie pełne niepokoju i złości spojrzenia, czujne oblicze jego odbijało dawniej wieczną trwozę i niepewność, teraz zaś twarz miał bolesną, ale tak słodką i pogodną, jak miewają ludzie śpiący lub umarli. Może ufności dodawała mu pamięć o łotrze na krzyżu, któremu Chrystus przebaczył, a może też mówił w duchu miłosiernemu Bogu: „Panie, kąsałem, jak jadowity robak, ale oto byłem przez całe życie nędzarzem, przymierałem głodem, ludzie deptali po mnie, bili mnie i znęcali się nade mną. Byłem, Panie, biedny i bardzo nieszczęśliwy, a oto teraz jeszcze położono mnie na męki i przybito na krzyż, więc Ty, Miłosierny, nie odepchniesz mnie w godzinie śmierci!“ I spokój zstąpił widocznie w jego skruszone serce. Nikt nie śmiał się, było bowiem w tym ukrzyżowanym coś tak cichego, wydawał się tak starym, bezbronny, słabym, tak wołającym swą pokorą o litość, że mimowoli każdy zadawał sobie pytanie: jak można męczyć i przybijać na krzyż ludzi, którzy już i tak konają? Tłum milczał. Między augustianami Vestinus, pochylając się na prawo i na lewo, szeptał przestraszonym głosem: „Patrzcie, jak oni umierają!“ inni czekali na niedźwiedzia, życząc sobie w duszy, by widowisko skończyło się jak najprędzej. Niedźwiedź wtoczył się wreszcie na arenę i, chwiejąc nisko schyloną głową na obie strony, spoglądał naokół z podełba, jakby się nad czemś namyślał, lub czegoś szukał. Dostrzegłszy wreszcie krzyż, a na nim nagie ciało, zbliżył się ku niemu, podniósł się nawet, lecz po chwili opuścił się znów na przednie łapy i, siadłszy pod krzyżem, począł mruścić, jakby i w jego zwierzęcem sercu ozwała się litość nad tym szczątkiem człowieka. Z ust służby cyrkowej ozwały się podniecające okrzyki, lecz lud milczał. Chilon tymczasem podniósł wolnym ruchem głowę i czas jakiś wodził oczyma po widowni. Nakoniec wzrok jego zatrzymał się gdzieś na najwyższych rzędach amfiteatru, piersi poczęły mu grać żywiej i wówczas stało się coś, co wprawilo w podziw i zdumienie widzów. Oto twarz zajaśniała mu uśmiechem, czoło otoczyły mu jakby promienie, oczy podniosły się przed śmiercią ku górze, a po chwili, dwie wielkie łzy, wezbrane pod powiekami, spłynęły mu zwolna po twarzy. I umarł. A w tem jakiś donośny, męski głos zawołał w górze pod welarium: — Pokój męczennikom!! W amfiteatrze panowało głucho milczenie.

ROZDZIAŁ XXI.

Po widowisku w ogrodach Cezariańskich, więzienia opustoszały znacznie. Chwymano wprawdzie jeszcze i więziono ofiary, podejrzane o wyznawanie wschodniego zabobonu, ale obławy dostarczały ich coraz mniej, zaledwie tyle, ile potrzeba było do zapelnienia następnych widowisk, które również miały się już ku końcowi. Lud, przesycony krwią, okazywał coraz większe znużenie i coraz większy niepokój z powodu niebywałego dotąd zachowywania się skazanych. Obawy przesądne Vestinusa ogarnęły tysiące dusz. W tłumach opowiadano coraz dziwniejsze rzeczy o mściwości chrześcijańskiego bóstwa. Tyfus więzienny, który rozszerzył się po mieście, powiększył powszechną

bojaźń. Widziano częste pogrzeby i powtarzano sobie na ucho, że potrzebne są nowe „piacula“ dla przebłagania nieznanego boga. W świątyniach składano ofiary Jowiszowi i Libitinie. Wreszcie, mimo wszelkich usiłowań Tigellina i jego popleczników, rozszerzało się coraz bardziej mniemanie, że miasto zostało spalone z rozkazu Cezara i że chrześcijanie cierpią niewinnie. Lecz właśnie dlatego i Nero i Tigellinus nie ustawali w prześladowaniu. Dla uspokojenia ludu wydawano nowe rozporządzenia co do rozdawnictwa zboża, wina i oliwy; ogłoszono przepisy, ułatwiające odbudowywanie domów, pełne ulg dla właścicieli, oraz inne, dotyczące szerokości ulic i materyałów, z jakich należy budować, by na przyszłość uniknąć klęski ognia. Sam Cezar bywał na posiedzeniach senatu i obradował wraz z „ojcami“ nad dobrem ludu i miasta, ale natomiast ani cień łaski nie padł na skazanych. Władcy świata chodziło przedewszystkiem o to, by wszczepić w lud przekonanie, że tak nieubłagane kary mogą spotykać tylko winnych. W senacie żaden głos nie odzywał się również za chrześcijanami, gdyż nikt nie chciał narazić się Cezarowi, a prócz tego ludzie, sięgający wzrokiem dalej w przyszłość, twierdzili, że, wobec nowej wiary, fundamenta państwa rzymskiego nie mogłyby się ostać. Oddawano tylko ludzi konających i zmarłych rodzinom, albowiem prawo rzymskie nie mściło się nad umarłymi. Dla Viniciusza stanowiła pewną ulgę myśl, że, jeśli Lygia umrze, wówczas on pochowa ją w grobach rodzinnych i spocznie koło niej. Nie miał już żadnej nadziei ocalenia jej od śmierci, i sam, oderwany nawpół od życia, zatopiony zupełnie w Chrystusie, nie marzył już o innym połączeniu, jak o wiecznym. Wiara jego stała się wprost niezgłębioną, tak, że wobec niej owa wieczność wydawała mu się czemś nierównie rzeczywistym i prawdziwszym od przejściowego istnienia, jakim żył dotąd. Serce przepęłniło mu się skupionem uniesieniem. Za życia jeszcze zmieniał się w istotę niemal bezcielesną, która, tęskniąc za zupełnem wyzwoleniem dla siebie, pragnęła go i dla drugiej kochanej duszy. Wyobrażał sobie, że wówczas oboje z Lygią wezmą się za ręce i odejdą do nieba, gdzie Chrystus ich pobłogosławi i pozwoli im zamieszkać w świetle tak spokojnem i ogromnem, jak blask zórz. Błagał tylko Chrystusa, by oszczędził Lygii mąk cyrkowych i pozwolił jej zasnąć spokojnie w więzieniu, czuł bowiem z zupełną pewnością, że i sam umrze razem z nią. Mniemał, że, wobec tego morza przelanej krwi, niewolno mu nawet spodziewać się, aby ona jedna została ocalona. Słyszał od Piotra i Pawła, że i oni także muszą umrzeć, jak męczennicy. Widok Chilona na krzyżu przekonał go, że śmierć, nawet męczeńska, może być słodką, więc życzył już sobie, aby nadeszła dla nich obojga, jako upragniona zmiana złej, smutnej i ciężkiej doli na lepszą. Chwilami miewał już przedsmak zagrobowego życia. Ów smutek, który unosił się nad obu ich duszami, tracił coraz bardziej dawną palącą gorycz i stopniowo zmieniał się w jakieś zaświatowe, spokojne oddanie się woli Bożej. Viniciusz płynął dawniej w trudzie przeciw prądowi, walczył i męczył się, teraz oddał się fali, wierząc, że niesie go ona w wieczną ciszę. Odgadywał też, że Lygia, również jak on, gotuje się na śmierć, że, mimo dzielących ich murów więzienia, idą już razem, i uśmiechał się do tej myśli, jak do szczęścia. I rzeczywiście szli tak zgodnie, jakby codziennie długo dzielili się myślami. W Lygii nie było także żadnych pragnień, ni żadnej nadziei, prócz nadziei pozagrobowego życia. Śmierć przedstawiała się jej nietylko jak wyzwolenie ze strasznych murów więzienia, z rąk Cezara i Tigellina, nietylko jako zbawienie, ale jako czas ślubu z Viniciuszem. Wobec tej niezachwianej pewności wszystko inne traciło wagę. Po śmierci zaczynało się dla niej szczęście nawet i ziemskie, więc czekała jej jeszcze i tak, jak narzeczona czeka chwili weselnej. A ów niezmierny prąd wiary, który odrywał od życia i niósł po za grób tysiące tych pierwszych wyznawców, porwał także i Ursusa. I on długo nie chciał się zgodzić w sercu na śmierć Lygii, lecz gdy codziennie przez mury więzienia przedzierały się wieści o tem, co dzieje się w amfiteatrach i ogrodach, gdy śmierć wydawała się wspólną, nieuniknioną dolą wszystkich chrześcijan, a zarazem ich dobrem, wyższem nad wszelkie śmiertelne pojęcie o szczęściu,

nie śmiał w końcu i on modlić się do Chrystusa, aby pozbawił tego szczęścia Lygię lub opóźnił je dla niej na długie lata. W swej prostaczkiej duszy barbarzyńcy myślał przytem, że córce wodza Lygów więcej się należy i więcej się dostanie tych niebieskich rozkoszy, niż całemu tłumowi prostaków, do których i sam należał, i że w chwale wiekuistej ona zasiędzie bliżej „Baranka“, niż inni. Słyszał wprawdzie, że wobec Boga ludzie są równi, na dnie duszy tkwiło mu jednak przekonanie, że co córka wodza, i to jeszcze wodza wszystkich Lygów, to nie pierwsza lepsza niewolnica. Spodziewał się też, że Chrystus pozwoli mu jej służyć i dalej. Co do siebie, miał tylko jedno ukryte pragnienie, to jest, żeby mógł umrzeć tak, jak „Baranek“, na krzyżu. Ale wydawało mu się to szczęściem tak wielkiem, że, choć wiedział, iż krzyżują w Rzymie nawet najgorszych zbrodniarzy, nie śmiał prawie modlić się o taką śmierć. Myślał, że pewno każą mu zginąć pod zębami dzikich zwierząt, i stanowiło to jego troskę wewnętrzną. Od dziecka chował się w nieprzebytych puszczech, wśród ciągłych łowów, z których, dzięki swej nadludzkiej sile, jeszcze zanim wyrósł na męża, już zasłynął między Lygami. Stanowiły one jego tak umiłowane zajęcie, że później, gdy był w Rzymie i musiał się ich wyrzec, chodził do wiwariów i do amfiteatrów, żeby choć popatrzeć na znane i nieznane sobie zwierzęta. Widok ich budził w nim nieprzepartą chęć walki i zabijania, teraz więc obawiał się w duszy, że, gdy przyjdzie mu się spotkać z niemi w amfiteatrze, opadną go myśli mniej godne chrześcijanina, który powinien umierać pobożnie i cierpliwie. Ale polecał się i w tem Chrystusowi, mając na pociechę inne, słodsze myśli. Oto słysząc, że „Baranek“ wypowiedział wojnę mocom piekielnym i złym duchom, do których wiara chrześcijańska zaliczała wszystkie bóstwa pogańskie, myślał, że w tej wojnie przyda się jednak „Barankowi“ bardzo i potrafi mu się przysłużyć lepiej od innych, gdyż to także nie mogło mu się w głowie pomieścić, aby dusza jego nie miała być silniejszą od dusz innych męczenników. Zresztą modlił się po całych dniach, oddawał posługi więźniom, pomagał dozorcóm i pocieszał swą królową, która chwilami żałowała, że w swem krótkim życiu nie mogła spełnić tylu dobrych uczynków, ile spełniła ich słynna Thabita, o której opowiadał jej swego czasu Piotr Apostoł. Stróżę, których nawet w więzieniu przejmowała obawą straszliwa siła tego olbrzyma, nie było bowiem dla niej ani pęt, ani krat dostatecznych, polubili go w końcu za jego słodycz. Nieraz, zdumieni jego pogodą, wypytywali go o jej przyczynę, on zaś opowiadał im z taką niezachwianą pewnością, jakie życie czeka go po śmierci, że słuchali go ze zdziwieniem, widząc po raz pierwszy, że do podziemi, nieprzeniknionych dla słońca, może przeniknąć szczęście. I gdy namawiał ich, by uwierzyli w „Baranka“, niejednemu przechodziło przez głowę, że służba jego jest służbą niewolnika, a życie życiem nędzarza, i niejeden zamyślał się nad swą niedolą, której kresem miała być dopiero śmierć. Tylko że śmierć przejmowała nową obawą i nie obiecywali sobie po niej nic, tymczasem ów olbrzym lygijski i ta dziewczyna, podobna do kwiatu, rzuconego na więzienną słomę, szli ku niej z radością, jak do wrót szczęścia.

ROZDZIAŁ XXII.

Pewnego wieczora odwiedził Petroniusza senator Scewinus i począł z nim długą rozmowę o ciężkich czasach, w których obaj żyli, i o Cezarze. Mówił zaś tak otwarcie, że Petroniusz, lubo zaprzyjaźniony z nim, począł się mieć na ostrożności. Narzekał, iż świat idzie krzywo i szalenie, i że wszystko razem wzięte, musi się skończyć jakąś klęską, straszniejszą jeszcze, niż pożar Rzymu. Mówił, że nawet augustianie są zniechęceni, że Feniusz Ruffus, drugi prefekt pretorianów, znosi z największym przymusem ohydne rządy Tigellina, i że cały ród Seneki doprowadzony jest do ostateczności postępowaniem Cezara, tak ze starym mistrzem, jak i z Lukanem. W końcu począł nadmieniać o niezadowoleniu ludu, a nawet i pretorianów, których znaczną część umiał sobie Feniusz Ruffus pozyskać. — Dlaczego to mówisz? — spytał go Petroniusz. — Przez troskliwość o Cezara, — odpowiedział Scewinus. — Mam dalekiego krewnego w pretorianach, który zwie się Scewinus, tak

jak i ja, i przez niego wiem, co dzieje się w obozie... Niechęć rośnie i tam... Kaligula, widzisz, był także szalony, i patrz, co się stało! Oto znalazł się Casiusz Cherea... Straszny to był uczynek i zapewne nie masz między nami nikogo, ktoby go pochwalił, a jednakże Cherea uwolnił świat od potwora. — Czyli — odrzekł Petroniusz — mówisz tak: „Ja Cherei nie chwale, ale to był doskonały człowiek i oby bogowie dali nam takich jak najwięcej“. Lecz Scewinus zmienił rozmowę i począł niespodzianie wychwalać Pisona. Sławił jego ród, jego szlachetność, jego przywiązanie do żony, a wreszcie rozum, spokój i dziwny dar jednania sobie ludzi. — Cezar jest bezdzietny — rzekł — i wszyscy widzą następcę w Pisonie. Niewątpliwie też każdy pomógłby mu z całej duszy do objęcia władzy. Kocha go Feniusz Ruffus, ród Annaeuszów jest mu całkiem oddany. Plautius Lateranus i Tullius Senecio skoczyliby za niego w ogień. A toż samo Natalis, i Subriusz Flawiusz, i Sulpiciusz Asper, i Atraniusz Quinctianus, i nawet Vestinus. — Z tego ostatniego niewiele Pisonowi przyjdzie — odrzekł Petroniusz. — Vestinus boi się własnego cienia. — Vestinus boi się snów i duchów — odrzekł Scewinus — ale to człowiek dzielny, którego słusznie chcą zamianować konsulem. Że zaś w duszy przeciwny jest prześladowaniu chrześcijan, tego nie powinieneś mu brać za złe, albowiem i tobie zależy na tem, by te szaleństwa ustały. — Nie mnie, ale Viniciuszowi — rzekł Petroniusz. — Ze względu na Viniciusza, chciałbym ocalić jedną dziewczynę, ale nie mogę, bom wypadł z łask Ahenobarba. — Jakto? Czy nie spostrzegasz, że Cezar znowu zbliża się do ciebie i poczyną z tobą rozmawiać? I powiem ci, dlaczego. Oto wybiera się znów do Achai, gdzie ma śpiewać pieśni greckie własnego układu. Pali się do tej podróży, ale zarazem drży na myśl o szyderych usposobieniu Greków. Wyobraża sobie, że może go spotkać albo największy tryumf, albo największy upadek. Potrzebuje dobrej rady, a wie, że lepszej od ciebie nikt mu nie może udzielić. To powód, dla którego wracasz do łask. — Lukan mógłby mnie zastąpić. — Miedzianobrody nienawidzi go i zapisał mu śmierć w duszy. Szuka tylko pozoru, bo on zawsze szuka pozorów. Lukan rozumie, że trzeba się śpieszyć. — Na Kastora! — rzekł Petroniusz. — Być może. Ale miałbym jeszcze jeden sposób prędkiego wrócenia do łask. — Jaki? — Oto powtórzyć Miedzianobrodemu to, coś przed chwilą do mnie mówił. — Ja nic nie powiedziałem! — zawołał z niepokojem Scewinus. Petroniusz zaś położył mu rękę na ramieniu: — Nazwałeś Cezara szaleńcem, przewidywałeś następstwo Pisona i powiedziałeś: „Lukan rozumie, że trzeba się śpieszyć“. Z czym to chcecie się śpieszyć carissime? Scewinus zbladł, i przez chwilę patrzyli sobie w oczy. — Nie powtórzysz!! — Na biodra Kiprydy! Jak ty mnie znasz dobrze. Nie! nie powtórzę. Nic nie słyszałem, ale też i nie chcę nic słyszeć... Rozumiesz! Życie jest za krótkie, by warto było coś przedsięwziąć. Proszę cię tylko, byś odwiedził dziś Tigellina i rozmawiał z nim równie długo jak ze mną, o czym chcesz! — Dlaczego? — Dlatego, abym, jeśli mi kiedyś Tigellin powie: „Scewinus był u ciebie“, mógł mu odpowiedzieć: „Tego samego dnia był także i u ciebie“. Scewinus, słysząc to, złamał łaskę z kości słoniowej, którą miał w ręku i odrzekł: — Niech zły urok spadnie na tę łaskę. Będę dziś u Tigellina, a potem na uczcie u Nerwy. Wszakże będziesz i ty? W każdym razie, do widzenia pojutrze w amfiteatrze, gdzie wystąpią ostatki chrześcijan!... Do widzenia! — Pojutrze! — powtórzył, zostawszy sam, Petroniusz. — Niema zatem czasu do stracenia. Ahenobarbus potrzebuje mnie istotnie w Achai, więc może będzie się liczył ze mną. I postanowił spróbować ostatniego środka. Jakoż na uczcie u Nerwy Cezar sam zażądał, by Petroniusz spoczął naprzeciw niego, chciał bowiem rozmawiać z nim o Achai i o miastach, w których mógłby z widokami największego powodzenia wystąpić. Chodziło mu najbardziej o Ateńczyków, których się bał. Inni augustianie słuchali tej rozmowy ze skupieniem, aby, pochwytawszy okruszyny zdań Petroniusza, podawać je później za swoje własne. — Zdaje mi się, żem dotąd nie żył — rzekł Nero — i że narodzę się dopiero w Grecyi. — Narodzisz się dla nowej sławy i nieśmiertelności — odrzekł Petroniusz. — Ufam, że tak się stanie i że Apollo nie okaże się zazdrosnym. Jeśli wrócę z

tryumfem, ofiaruję mu hekatombę, jakiej żaden bóg nie miał dotąd. Scewinus począł powtarzać wiersz Horacyusza:

„Sic te diva potens Cypri
sic fratres Helenae, lucida sidera,
ventorumque regat Pater...”

— Okręt stoi już w Neapolis — rzekł Cezar. — Chciałbym wyjechać choćby jutro. Na to Petroniusz podniósł się i, patrząc wprost w oczy Nerona, rzekł: — Pozwolisz, boski, że wpierw wyprawię ucztę weselną, na którą ciebie przed innymi zaproszę. — Ucztę weselną? jaką? — spytał Neron. — Viniciusza z córką króla Lygów, a twoją zakładniczką. Ona wprawdzie jest obecnie w więzieniu, ale naprzód, jako zakładniczka, nie może być więziona, a powtóre, sam zezwoliłeś Viniciuszowi poślubić ją, że zaś wyroki twoje, jak wyroki Zeusa, są niecofnione, przeto każesz ją wypuścić z więzienia, a ja oddam ją oblubieńcowi. Zimna krew i spokojna pewność siebie, z jaką mówił Petroniusz, stropiły Nerona, który tropił się zawsze, ilekroć ktoś mówił do niego w ten sposób. — Wiem — odrzekł, spuszcżając oczy. — Myślałem o niej i o tym olbrzymie, który zadusił Krotona. — W takim razie oboje są ocaleni — odpowiedział spokojnie Petroniusz. Lecz Tigellinus przyszedł w pomoc swemu panu: — Ona jest w więzieniu z woli Cezara, sam zaś rzekłeś Petroniuszu, że wyroki jego są niecofnione. Wszyscy obecni, znając historię Viniciusza i Lygii, wiedzieli doskonale, o co chodzi, więc umilkli, zaciekawieni, jak skończy się rozmowa. — Ona jest w więzieniu przez twoją pomyłkę i przez twoją nieznamość prawa narodów, wbrew woli Cezara — odrzekł z naciskiem Petroniusz. — Jesteś, Tigellinie, naiwnym człowiekiem, ale przecie i ty nie będziesz twierdził, że ona podpaliła Rzym, bo zresztą, gdybyś tak nawet twierdził, Cezar by ci nie uwierzył. Lecz Nero ochłonął już i począł przymrużać swe oczy krótkowidza z wyrazem nieopisanej złośliwości. — Petroniusz ma słusność — rzekł po chwili. Tigellinus spojrział na niego ze zdziwieniem. — Petroniusz ma słusność — powtórzył Nero — jutro otworzą jej bramy więzienia, a o ucztę weselną pomówimy pojutrze, w amfiteatrze. — Przegrałem znowu — pomyślał Petroniusz. I, wróciwszy do domu, był już tak pewien, że nadszedł kres życia Lygii, iż nazajutrz wysłał do amfiteatru zaufanego wyzwolenca, aby ułożył się z przełożonym spoliarium o wydanie jej ciała, chciał bowiem oddać je Viniciuszowi.

ROZDZIAŁ XXIII.

Za czasów Nerona weszły w zwyczaj, rzadkie dawniej i wyjątkowo tylko dawane, przedstawienia wieczorne, tak w cyrku, jak i w amfiteatrach. Augustianie lubili je, często bowiem po nich następowały ucztę i pijatyki, trwające aż do rana. Jakkolwiek lud przesycony był już przelewem krwi, jednakże, gdy rozeszła się wieść, że nadchodzi koniec igrzysk i że ostatni chrześcijanie mają umrzeć na wieczornem widowisku, nieprzeliczone tłumy ściągnęły do amfiteatru. Augustianie stawili się, jak jeden człowiek, domyślali się bowiem, że nie będzie to zwykłe przedstawienie i że Cezar postanowił wyprawić sobie tragedję z boleści Viniciusza. Tigellin zachował tajemnicę, jaki rodzaj męki przeznaczony był dla narzeczonej młodego trybuna, ale to podniecało tylko powszechną ciekawość. Ci, którzy widywali niegdyś Lygię u Plauciuszów, opowiadali teraz cuda o jej piękności. Innych zajmowało przedewszystkiem pytanie, czy istotnie ujrzą ją dziś na arenie, wielu bowiem z pomiędzy tych, którzy słyszeli odpowiedź, jaką Cezar dał Petroniuszowi u Nerwy, tłómaczyło ją sobie podwójnie. Niektórzy przypuszczali wprost, że Nero odda lub może już oddał dziewicę Viniciuszowi: przypominano sobie, że była zakładniczką, której wolno było zatem czcić takie bóstwa, jakie jej się podobały, i której prawo narodów nie pozwalało karać. Niepewność, oczekiwanie i zaciekawienie opanowały wszystkich widzów. Cezar przybył wcześniej, niż zwykle, i wraz z jego przybyciem poczęto znów sobie szeptać, że jednak nastąpi zapewne coś nadzwyczajnego,

gdyż Neronowi, prócz Tigellina i Watyniusza, towarzyszył Kassiusz, centurion olbrzymiej postawy i olbrzymiej siły, którego Cezar brał z sobą tylko wówczas, gdy chciał mieć przy boku obrońcę, na przykład gdy przychodziła mu ochota do nocnych wypraw na Suburę, gdzie urządzał sobie zabawę zwaną „sagatio“, polegającą na podrzucaniu w górę na wojskowym płaszczu napotykanym po drodze dziewcząt. Spostrzeżono także, że w samym amfiteatrze zostały przedsięwzięte pewne środki ostrożności. Straże pretoriańskie powiększono, komendę zaś nad nimi miał nie centurion, ale trybun, Subriusz Flawiusz, znany dotychczas ze ślepego przywiązania do Nerona. Zrozumiano wówczas, że Cezar pragnie się na wszelki wypadek ubezpieczyć przed wybuchem rozpaczyny Viniciusza, i ciekawość wzrosła jeszcze bardziej. Wszystkie spojrzenia zwracały się z namiętnym zajęciem na miejsce, na którym siedział nieszczęsny oblubieniec. On zaś, blady bardzo, z czołem pokrytym kroplami potu, niepewny był, jak i inni widzowie, ale zaniepokojony do ostatnich głębin duszy. Petroniusz, sam nie wiedząc dokładnie, co nastąpi, nie powiedział mu nic, tylko zapytał go, wróciwszy od Nerwy, czy gotów jest na wszystko, a następnie, czy będzie na widowisku. Viniciusz odpowiedział na oba pytania: „Tak!“ ale przytem mrowie przeszło mu przez całe ciało, domyślił się bowiem, że Petroniusz nie pyta bez przyczyny. Sam on żył już od niejakiego czasu jakby tylko półżyciem, sam pograżył się w śmierci i zgodził się na śmierć dla Lygii, miała ona bowiem być dla nich obojga zarazem wyzwoleniem i ślubem, ale teraz poznał, że inna rzecz jest myśleć zdaleka o ostatniej chwili, jak o spokojnym zaśnięciu, a inna pójść patrzeć na męczarnie istoty, droższej nad życie. Wszystkie dawniej przebyte bóle odezwały się w nim nanowo. Uciszona rozpacz poczęła znów krzyczeć w duszy; ogarnęła go dawna chęć ratowania Lygii za wszelką cenę. Od rana chciał się dostać do kunikulów, by się przekonać, czy Lygia w nich się znajduje, ale straż pretoriańska pilnowała wszystkich wejść i rozkazy były tak surowe, że żołnierze, nawet znajomi, nie dali się zmiękczyć ni prośbą, ni złotem. Viniciuszowi wydawało się, że niepewność zabije go wprzód, nim ujrzy widowisko. Gdzieś na dnie serca kołatała mu się jeszcze nadzieja, że może Lygii niema w amfiteatrze i że wszystkie obawy są płonne. Chwilami czepiał się tej nadziei ze wszystkich sił. Mówił sobie, że Chrystus mógł ją przecie zabrać z więzienia, ale nie może pozwolić na jej mękę w cyrku. Dawniej zgodził się już był ze wszystkim na Jego wolę, teraz, gdy odepchnięty od drzwi kunikulów, wrócił na swoje miejsce w amfiteatrze i gdy z zaciekawionych spojrzeń, jakie na niego zwracano, poznał, że najstraszniejsze przypuszczenia mogą być słuszne, począł Go błagać w duszy z namiętnością, podobną niemal do groźby, o ratunek. „Ty możesz!“ powtarzał, zaciskając konwulsyjnie ręce. „Ty możesz!“ Przedtem ani domyślał się, że ta chwila, gdy zmieni się w rzeczywistość, będzie tak straszna. Teraz, nie zdając sobie sprawy z tego, co się w nim dzieje, miał jednak poczucie, że, jeśli ujrzy mękę Lygii, to jego miłość zmieni się w nienawiść, a jego wiara w rozpacz. I zarazem przerażał się tem poczuciem, bał się bowiem obrazić Chrystusa, którego błagał o zmiłowanie i cud. Już nie prosił o jej życie, chciał tylko, by umarła, nim ją wywiodą na arenę, i z niezgłębionej otchłani bólu powtarzał w duszy: „Choć tego mi nie odmów, a ja Cię umiłowuję bardziej jeszcze, niż miłowałem Cię dotąd“. W końcu myśli jego rozpętały się, jak fale, targane wichrem. Budziła się w nim żądza zemsty i krwi. Porywała go szalona chęć rzucić się na Nerona i zdusić go wobec wszystkich widzów, a jednocześnie czuł, że tą żądzą obraża znowu Chrystusa i łamie Jego przykazania. Chwilami przelatywały mu przez głowę błyskawice nadziei, że to wszystko, przed czem drżała jego dusza, odwróci jeszcze wszechmocna i miłosierna ręka, lecz gasły natychmiast, jakby w niezmiernem rozzaleniu, że Ów, który mógł jednym słowem zburzyć ten cyrk i ocalić Lygię, opuścił ją jednak, chociaż ufała Mu i umiłowała Go ze wszystkich sił swego czystego serca. I myślał dalej, że oto ona tam leży w ciemnym kunikulum, słaba, bezbronna, opuszczona, zdana na łaskę i niełaskę zezwierzonych stróżów, goniąca może ostatnim tchem, on zaś musi czekać bezradnie w tym

straszny amfiteatrze, nie wiedząc, jaką obmyślano dla niej mękę i co za chwilę zobaczy. Wreszcie, jak człowiek, który, spadając w przepaść, chwytą się wszystkiego, co rośnie nad jej krawędzią, tak i on oburącz chwycił się myśli, że jednak tylko wiarą może ją ocalić. Wszak zostawał tylko ten jeden sposób! Wszak Piotr mówił, że wiarą ziemię można wzruszyć w posadach! Więc skupił się, zgniótł w sobie zwątpienie, całą swą istotę zamknął w jedno słowo: wierzę, i czekał cudu. Lecz, równie jak zbyt napięta struna musi pęknąć, tak i jego złamało wysilenie. Trupia bladeść pokryła mu twarz i ciało poczęło tężeć. Wówczas pomyślał że błaganie jego zostało wysłuchane, bo oto umiera. Wydało mu się, że Lygia niezawodnie musiała już także umrzeć i że Chrystus bierze ich w ten sposób do siebie. Arena, białe togi nieprzeliczonych widzów, światło tysiącznych lamp i pochodni, wszystko razem znikło mu z oczu. Ale owa niemoc nie trwała długo. Po chwili zbudził się, a raczej zbudziło go tupanie zniecierpliwionego ludu. — Chory jesteś — rzekł mu Petroniusz — każ się odnieść do domu! I, nie zważając, co powie na to Cezar, wstał, by podeprzeć Viniciusza i wyjść z nim razem. Serce wezbrało mu litością, a przytem drażniło go do niewytrzymania to, że Cezar patrzył przez szmaragd na Viniciusza, studyjąc z zadowoleniem jego boleść, może dlatego, aby ją potem opisać w patetycznych strofach i zyskać poklask słuchaczy. Viniciusz potrząsnął głową. Mógł umrzeć w tym amfiteatrze, ale nie mógł z niego wyjść. Wszakże przedstawienie miało się lada minuta rozpocząć. Jakoż, w tej samej prawie chwili, prefekt miasta cisnął przed siebie czerwoną chustkę, a na ów znak zaskrzypiały wrzeciady naprzeciwko cesarskiego podium i z ciemnej czeluści wyszedł na jasno oświetloną arenę Ursus. Olbrzym mrugał powiekami, widocznie olśniony światłem areny, poczem wysunął się na jej środek, rozglądając się wkoło, jakby chcąc rozpoznać, z czym mu przyjdzie się spotkać. Wszystkim augustianom i większości widzów wiadomo było, że to jest człowiek, który zadusił Krotona, więc na jego widok szmer rozległ się po wszystkich ławach. W Rzymie nie brakło gladyatorów, ogromniejszych o wiele nad zwykłą miarę ludzką, ale podobnego nie widziały jeszcze oczy Kwiryków. Kassiusz, stojący w podium za Cezarem, wydawał się przy tym Lygu nikłym człowiekiem. Senatorowie, westalki, Cezar, augustianie i lud patrzyli z zachwytem znawców i miłośników na jego potężne, grube, jak konary, uda, na piersi, podobne do dwóch połączonych tarcz, i na herkulesowe ramiona. Szmer wzrastał z każdą chwilą. Dla tych tłumów nie mogła wprost istnieć większa rozkosz, jak widzieć takie muskuły w grze, w napięciu i w walce. Szmer zmieniał się w okrzyki i gorączkowe pytania, gdzie mieszka szczerp, który wydaje podobnych wielkoludów, ów zaś stał w środku amfiteatru, nagi, do kamiennego kolosu, niż do człowieka, podobniejszy, ze skupioną, a zarazem smutną twarzą barbarzyńcy, i, widząc pustą arenę, spoglądał ze zdziwieniem swemi niebieskimi oczyma dziecka, to na widzów, to na Cezara, to na kraty kunikulów, skąd oczekiwał katów. W chwili, gdy wychodził na arenę, prostacze serce jego zakołatało po raz ostatni nadzieją, że może czeka go krzyż, lecz, gdy nie ujrzał ni krzyża, ni gotowego dołu, pomyślał, że niegodny jest tej łaski i że przyjdzie mu umrzeć inaczej, i zapewne od zwierząt. Był bezbronny i postanowił zginąć, jak przystało na wyznawcę „Baranka“, spokojnie i cierpliwie. Tymczasem chciał pomodlić się jeszcze do Zbawiciela, więc klękawszy na arenie, złożył ręce i podniósł wzrok ku gwiazdom, migocącym przez górny otwór cyrku. Postawa ta nie podobała się tłumom. Dostyc już miano tych chrześcijan, umierających jak owce. Zrozumiano, że jeśli olbrzym nie zechce się bronić, widowisko chybi. Tu i owdzie ozwały się sykania. Niektórzy poczęli wołać o mastigoforów, których zadaniem było chłostać szermierzy, nie chcących walczyć. Po chwili ucichło jednak wszystko, nikt bowiem nie wiedział, co czeka olbrzyma i czy nie zechce walczyć, gdy spotka się oko w oko ze śmiercią. Jakoż nie czekali już długo. Nagle ozwał się przeraźliwy głos mosiężnych trąb, a na ów znak otworzyła się krata naprzeciw cesarskiego podium i na arenę wypadł wśród wrzasków bestiarów potworny tur germański, niosący na głowie nagie ciało kobiece. — Lygio! Lygio! — krzyknął Viniciusz. Poczem

chwycił rękoma włosy przy skroniach, zwinął się w łęk, jak człowiek, który uczuł w sobie ostrze włócznie, i chrapliwym, nieludzkim głosem począł powtarzać: — Wierzę! wierzę!.. Chryste! cudu!! I nie czuł nawet, że w tej chwili Petroniusz zakrył mu głowę togą. Zdawało mu się, że to śmierć lub ból przesłania mu oczy. Nie patrzył, nie widział. Ogarnęło go uczucie jakiejś strasznej próżni. W głowie nie pozostała mu ani jedna myśl, usta tylko powtarzały, jak w obłąkaniu: — Wierzę! wierzę! wierzę!.. Wtem amfiteatr umilkł. Augustianie podnieśli się, jak jeden człowiek z miejsc, gdyż na arenie stało się coś nadzwyczajnego. Oto pokorny i gotowy na śmierć Lyg, ujrzawszy swą królową na rogach dzikiej bestyi, zerwał się, jakby sparzony żywym ogniem i, pochyliwszy grzbiet, począł biedz pod kątem ku rozszalałemu zwierzęciu. Ze wszystkich piersi wyrwał się krótki okrzyk zdumienia, po którym uczyniła się głucha cisza: Lyg dopadł tymczasem w mgnieniu oka rozhukanego byka i chwycił go za rogi. — Patrz! — zawołał Petroniusz, zrywając togę z głowy Viniciusza. Ów zaś podniósł się, przechylił w tył swą bladą, jak płótno twarz i począł patrzeć na arenę szklistym, nieprzytomnym wzrokiem. Wszystkie piersi przestały oddychać. W amfiteatrze można było usłyszeć przelatującą muchę. Ludzie nie chcieli wierzyć własnym oczom. Jak Rzym Rzymem, nie widziano nic podobnego. Lyg trzymał dzikie zwierzę za rogi. Stopy jego zaryły się wyżej kostek w piasek, grzbiet wygiął mu się, jak łuk napięty, głowa schowała się między barki, na ramionach mięśnie wystąpiły tak, iż skóra niemal pękała pod ich parciem, lecz osadził byka na miejscu. I człowiek, i zwierz trwali w takiej nieruchomości, iż patrzącym zdawało się, że widzą jakiś obraz, przedstawiający czyny Herkulesa lub Tezeusza, lub grupę wykutą z kamienia. Ale w tym pozornym spokoju znać było straszliwe natężenie dwóch zmagających się ze sobą sił. Tur zarył się, również jak człowiek, nogami w piasek, a ciemne, kosmate jego ciało skurczyło się tak, iż wydawał się do olbrzymiej kuli podobny. Kto pierwsi się wyczerpie, kto pierwszy padnie, oto było pytanie, które dla tych rozmiłowanych w walkach widzów, miało w tej chwili więcej znaczenia, niż ich los własny, niż cały Rzym i jego panowanie nad światem. Ów Lyg był im teraz półbogiem, godnym czci i posągów. Sam Cezar wstał także. Oni z Tigellinem, słysząc o sile człowieka, umyślnie urządzili takie widowisko i, drwiąc, mówili sobie: „Niechże ten Krotobójca pokona tura, którego mu wybierzem“, teraz zaś spoglądali w zdumieniu na obraz, jaki mieli przed sobą, jakby nie wierząc, żeby to być mogła rzeczywistość. W amfiteatrze można było widzieć ludzi, którzy podniósłszy ręce, zostali w tej postawie. Innym pot oblał czoła, jakby sami zmagali się ze zwierzęciem. W cyrku słychać było tylko syczenie płomieni w lampach i szelest węgielków, opadających z pochodni. Głosy zamarły widzom w ustach, serca natomiast biły w piersiach, jakby je chciały rozsądzić. Wszystkim wydało się, że walka trwa wieki. A człowiek i zwierz stali ciągle, w okropnym wysileniu, rzekłbyś, wkopani w ziemię. Wtem głuchy, podobny do jęku ryk ozwał się z areny, po którym ze wszystkich piersi wyrwał się okrzyk i znów zapadła cisza. Ludzie mniemali, że śnią: oto potworna głowa byka zaczęła się przekręcać w żelaznych rękach barbarzyńcy. A twarz Lyga, kark i ramiona poczerwieniały, jak purpura, grzbiet wygiął się jeszcze silniej. Widać było, że zbiera resztę swych nadludzkich sił, ale że mu już ich nie na długo wystarczy. Coraz głuchszy, chrapliwszy i coraz boleśniejszy ryk tura pomieszał się ze świszczącym oddechem piersi olbrzyma. Głowa zwierzęcia przekręcała się coraz bardziej, a z paszczy wysunął się długi spieniony język. Chwila jeszcze i do uszu bliżej siedzących widzów doszedł jakby trzask łamanych kości, poczem zwierz zwałił się na ziemię ze skrzyknięciem śmiertelnie karkiem. Wówczas olbrzym zsunął w mgnieniu oka powrozy z jego rogów i wzięwszy dziewczicę na ręce, począł oddychać śpiesznie. Twarz mu pobladła, włosy polepiły się od potu, barki i ramiona zdawały się być zlane wodą. Przez chwilę stał jakby nawpół przytomny, poczem jednakże podniósł oczy i począł patrzeć na widzów. A amfiteatr oszalał. Ściany budynku zaczęły drżeć od wrzasku kilkudziesięciu tysięcy widzów. Od czasu rozpoczęcia widowisk nie pamiętano takiego uniesienia.

Siedzący na wyższych rzędach poopuszczali je i poczęli zstępować na dół, tłocząc się w przejściach między ławkami, aby bliżej przypatrzeć się siłaczowi. Zewsząd ozwały się głosy o łaskę, namiętne, uparte, które wkrótce zmieniły się w jeden powszechny okrzyk. Ow olbrzym stał się teraz drogim dla tego rozmiłowanego w sile fizycznej ludu i pierwszą w Rzymie osobą. On zaś rozumiał, że tłum domaga się, by darowano mu życie i zwrócono wolność, lecz widocznie nie chodziło mu tylko o siebie. Przez chwilę rozglądał się dokoła, poczem zbliżył się do cesarskiego podium i, kołysząc ciało dziewczyny na wyciągniętych ramionach, podniósł oczy z wyrazem błagalnej prośby, jakby chciał mówić: — Nad nią się zmiłujcie! ją ocalcie! jam dla niej to uczynił! Widzowie pojęli doskonale, czego żądał. Na widok zemdlonej dziewczyny, która przy ogromnem cieple Lyga wydawała się małym dzieckiem, wzruszenie ogarnęło tłum, rycerzy i senatorów. Jej drobna postać, tak biała, jakby wycięta z alabastru, jej zemdlecie, okropne niebezpieczeństwo, z którego uwolnił ją olbrzym, a wreszcie jej piękność i jego przywiązanie, wstrząsnęły serca. Niektórzy mniemali, że to ojciec zebrze o zmiłowanie nad dzieckiem. Litość buchnęła nagle, jak płomień. Dość już miano krwi, dość śmierci, dość mąk. Zdławione łzami głosy poczęły wołać o łaskę dla obojga. Ursus tymczasem posuwał się wokół areny i kołysząc wciąż dziewczynę na ramionach, ruchem i oczyma błagał dla niej o życie. A wtem Viniciusz zerwał się z miejsca, przeskoczył odgródzenie, dzielące pierwsze miejsca od areny, i przybiegłszy do Lygii, nakrył togą jej nagie ciało. Poczem rozdarł tunikę na piersiach, odkrył blizny, pozostałe po ranach, otrzymanych w wojnie armeńskiej, i wyciągnął ręce do ludu. Wówczas uniesienie tłumów przeszło wszelką widywaną w amfiteatrach miarę. Tłuszcza poczęła tupać i wyć. Głosy, wołające o łaskę stały się wprost groźne. Lud ujmował się już nietylko za atletą, ale stawał w obronie dziewicy, żołnierza i ich miłości. Tysiące widzów zwróciło się ku Cezarowi z połyskami gniewu w oczach i z zaciśniętymi pięściami. Ów wszelako ociągał się i wahał. Do Viniciusza nie miał wprawdzie nienawiści i na śmierci Lygii nie zależało mu nic, lecz wołałby widzieć ciało dziewczyny poprute rogami byka lub podarte kłami zwierząt. Zarówno jego okrucieństwo, jak jego zwyrodniała wyobraźnia i zwyrodniałe żądze, znajdowały jakąś rozkosz w podobnych widokach. A oto lud chciał go jej pozbawić. Na tę myśl gniew odbił się na jego roztyłej twarzy. Miłość własna nie pozwalała mu także poddać się woli tłumów, a jednocześnie nie śmiał się jej przez przyrodzone tchórzostwo sprzeciwić. Więc począł patrzeć, czy przynajmniej między augustianami nie dostrzeże zwróconych ku dołowi palców na znak śmierci. Lecz Petroniusz trzymał wzniesioną do góry dłoń, patrząc przytem niemal wyzywająco w jego twarz. Przesądny, ale skłonny do uniesień Vestinus, który bał się duchów, ale nie bał się ludzi, dawał znak łaski. Toż samo czynił senator Scewinus, toż samo Nerwa, toż samo Tuliusz Senecio, toż samo stary słynny wódz Ostoriusz Skapula, toż samo Antistius, toż samo Piso i Wetus, i Crispinus, i Minucius Thermus, i Ponciusz Telesinus, i najpoważniejszy, czczony przez lud, Trazeasz. Na ten widok, Cezar odjął szmaragd od oka z wyrazem pogardy i urazy, gdy wtem Tigellin, któremu chodziło o to, by na złość uczynić Petroniuszowi, pochylił się i rzekł: — Nie ustępuj, boski: mamy pretorianów. Wówczas Nero zwrócił się w stronę, gdzie komendę nad pretorianami trzymał srogi i oddany mu dotychczas całą duszą Subriusz Flawiusz, i ujrzał rzecz nadzwyczajną. Twarz starego trybuna była groźna, ale zalana łzami, i rękę trzymał wzniesioną w górę na znak łaski. Tymczasem tłumy poczęły ogarniać wściekłość. Kurzawa wzbila się z pod tupiących nóg i przesłoniła amfiteatr. Wśród okrzyków odzywały się głosy: „Ahenobarbus! matkobójca! podpalacz!“ Nero zląkł się. Lud był wszechwładnym panem w cyrku. Poprzedni Cezarowie, a zwłaszcza Kaligula, pozwalali sobie czasem iść wbrew jego woli, co zresztą wywoływało zawsze rozruchy, dochodzące nawet do przelewu krwi. Lecz Nero w odmiennym był położeniu. Naprzód, jako komedyant i śpiewak, potrzebował łaski ludu, powtóre, chciał go mieć po swej stronie przeciw senatowi i patrycyuszom, a

wreszcie po pożarze Rzymu usiłował wszelkimi sposobami przejednać go sobie i zwrócić jego gniew na chrześcijan. Zrozumiał wreszcie, że sprzeciwiać się dłużej było wprost niebezpiecznie. Rozruch, poczęty w cyrku, mógł ogarnąć całe miasto i mieć nieobliczone następstwa. Spojrzał więc raz jeszcze na Subriusza Flawiusza, na centuriona Scewina, krewnego senatora, na żołnierzy i, widząc zmarszczone wszędzie brwi, wruszone twarze i utkwione w siebie oczy, dał znak łaski. Wówczas grzmot oklasków rozległ się od góry do dołu. Lud pewien już był życia skazanych, gdyż od tej chwili wchodzili oni pod jego opiekę i nawet Cezar nie ośmieliłby się ścigać ich dłużej swą zemstą.

ROZDZIAŁ XXIV.

Czterech Bityńczyków niosło ostrożnie Lygię do domu Petroniusza, Viniciusz zaś i Ursus szli obok, śpiesząc się, by jak najprędzej oddać ją w ręce greckiego lekarza. Szli w milczeniu, gdyż po przejściach dnia tego nie mogli się zdobyć na rozmowę. Viniciusz był dotychczas jakby nawpół przytomny. Powtarzał sobie, że Lygia jest ocalona, że nie grozi jej już ni więzienie, ni śmierć w cyrku, że nieszczęścia ich skończyły się raz na zawsze i że zabiera ją do domu, by nie rozłączyć się z nią więcej. I zdawało mu się, że to raczej początek jakiegoś innego życia, niż rzeczywistość. Od czasu do czasu pochylał się na otwartą lektykę, by patrzeć na tę kochaną twarz, która przy świetle księżycy wydawała się uśpioną i powtarzał w myśli: „To ona! Chrystus ocalił ją!” Przypominał sobie także, że do spoliarium, dokąd obaj z Ursusem odnieśli Lygię, nadszedł jakiś nieznany mu lekarz i zapewnił go, że dziewczyna żyje i żyć będzie. Na myśl o tem radość rozpierała mu tak piersi, że chwilami słabł i wspierał się na ramieniu Ursusa, nie mogąc iść o własnej mocy. Ursus zaś patrzył w usiane gwiazdami niebo i modlił się. Szli śpiesznie wśród ulic, na których świeżo wzniesione białe domy błyszcząły mocno w miesięcznym blasku. Miasto było puste. Gdzieniedzie tylko gromadki ludzi, uwieńczonych bluszczem, śpiewały i tańczyły przed portykami przy odgłosie fletni, korzystając z cudnej nocy i świątecznej pory, która trwała od początku igrzysk. Dopiero gdy już byli niedaleko domu, Ursus przestał się modlić i począł mówić cicho, jakby się bał zbudzić Lygię: — Panie, to Zbawiciel ocalił ją od śmierci. Gdym ujrzał ją na rogach tura, usłyszałem w duszy głos: „Broń jej!” i to był niezawodnie głos Baranka. Więzienie wyzarło mi siły, ale On mi je wrócił na tę chwilę i On natchnął ten srogi lud, że ujął się za nią. Bądź Jego wola! A Viniciusz odrzekł: — Uwielbione niech będzie imię Jego!... Lecz nie mógł mówić więcej, gdyż nagle uczuł, że ogromny płacz wzbiera mu w piersi. Chwyciła go niepohamowana chęć rzucić się na ziemię i dziękować Zbawicielowi za cud i miłosierdzie. Tymczasem jednak doszli do domu: służba, uprzedzona przez wysłanego umyślnie naprzód niewolnika, wyroiła się na ich spotkanie. Paweł z Tarsu nawrócił jeszcze w Antium większą część tych ludzi. Nieszczęścia Viniciusza znane im były doskonale, więc radość ich na widok ofiar, wyrwanych złości Nerona, była ogromna, a zwiększyła się jeszcze bardziej, gdy lekarz, Teokles, po obejrzeniu Lygii oświadczył, że nie poniosła żadnej ciężkiej obrazy i że po przejściu osłabienia, pozostałego po więziennej gorączce, wróci do zdrowia. Przytomność wróciła jej jeszcze tejże nocy. Zbudziwszy się we wspaniałem cubikulum, oświetconem korynckimi lampami, wśród woni werweny, nie wiedziała, gdzie jest i co się z nią dzieje. Pozostała jej pamięć chwili, w której przywiązywano ją do rogów skrępowanego łańcuchami byka, teraz zaś, widząc nad sobą twarz Viniciusza, oświetconą łagodnem kolorowem światłem, sądziła, że chyba już nie są na ziemi. Myśli mąciły się jeszcze w jej osłabionej głowie; wydało się jej rzeczą naturalną, że zatrzymali się gdzieś po drodze do nieba z powodu jej umęczenia i słabości. Nie czując jednak żadnego bólu, uśmiechnęła się do Viniciusza i chciała go spytać, gdzie są, lecz z ust jej wyszedł tylko cichy szept, w którym Viniciusz mógł zaledwie odróżnić swoje imię. Więc klęknął przy niej i położywszy lekko rękę na jej czole, rzekł: — Chrystus cię ocalił i wrócił mi cię! Jej usta poruszyły się znowu niezrozumiałym

szeptem, po chwili jednak powieki jej przymknęły się, piersi podniosły się lekkim westchnieniem i zapadła w sen głęboki, którego oczekiwał lekarz Teokles i po którym przepowiadał powrót do zdrowia. A Viniciusz pozostał przy niej klęczący i pogrążony w modlitwie. Dusza roztajała mu miłością tak ogromną, że zapamiętał się zupełnie. Teokles kilkakrotnie wchodził do cubikulum, kilka razy z za uchylonej zasłony ukazywała się złotowłosa głowa Eunice, wreszcie żórawie, hodowane po ogrodach, poczęły krzyżeć, zwiastując początek dnia, a on jeszcze obejmował w myśli stopy Chrystusa, nie widząc i nie słysząc, co się wokół niego dzieje, z sercem zmienionem w ofiarny dziękczynny płomień, pogrążony w zachwyceniu, za życia jeszcze, nawpół wniebowzięty.

ROZDZIAŁ XXV.

Petroniusz, po uwolnieniu Lygii, nie chcąc drażnić Cezara, udał się za nim wraz z innymi augustianami na Palatyn. Pragnął posłuchać, o czym tam będą mówili, a zwłaszcza przekonać się, czy Tigellin nie obmyśli czegoś nowego na zgubę dziewczyny. I ona i Ursus wchodzili wprawdzie niejako pod opiekę ludu i bez wzniecenia rozruchów nikt teraz nie mógł podnieść na nich ręki, jednak Petroniusz, wiedząc o nienawiści, jaką płonął ku niemu wszechwładny prefekt pretoryi, przypuszczał, że prawdopodobnie ów, nie mogąc go wprost dosięgnąć, będzie starał się jeszcze wyrzucić jakimkolwiek sposobem zemstę na jego siostrzeńcu. Nero gniewny był i rozdrażniony, albowiem przedstawienie skończyło się zupełnie inaczej, niż sobie życzył. Na Petroniusza nie chciał z początku ani spojrzeć, lecz ten, nie tracąc zimnej krwi, zbliżył się do niego z całą swobodą „arbitra elegancyi“ i rzekł mu: — Czy wiesz, boski, co mi przechodzi przez myśl? Napisz pieśń o dziewicy, którą rozkaz władcy świata uwalnia z rogów dzikiego tura i oddaje kochankowi. Grecy mają czułe serca i jestem pewny, że oczaruje ich pieśń taka. Neronowi, mimo całego rozdrażnienia, myśl ta przypadła do smaku i przypadła podwójnie: naprzód, jako temat do pieśni, a powtóre, że mógł wysławić w niej samego siebie, jako wspaniałomyślnego władcę świata, więc popatrzył przez chwilę na Petroniusza, poczem rzekł: — Tak jest! może masz słuszość! Ale czy wypada mi śpiewać własną dobroć? — Nie potrzebujesz się wymieniać. Każdy w Rzymie odgadnie i tak, o co chodzi, a z Rzymu wieści rozchodzą się na cały świat. — I jesteś pewien, że się to podoba w Achai? — Na Polluksa! — zawołał Petroniusz. I odszedł zadowolony, był już teraz bowiem pewien, że Nero, którego całe życie było stosowaniem rzeczywistości do pomysłów literackich, nie zechce sobie popsuć tematu, a tem samem zwiąże ręce Tigellinowi. Nie zmieniło to jednakże jego zamiaru wyprawienia z Rzymu Viniciusza, jak tylko zdrowie Lygii przestanie stanowić przeszkodę. To też, ujrzawszy go następnego dnia, rzekł mu: — Wywieź ją do Sycylii. Zaszło coś takiego, że ze strony Cezara nic wam nie grozi, ale Tigellin gotów użyć nawet trucizny, jeśli nie z nienawiści ku wam, to ku mnie. Viniciusz uśmiechnął się na to i odrzekł: — Ona była na rogach dzikiego tura, a przecie Chrystus ją ocalił. — To uczcij go stuwołem — odpowiedział z odcieniem zniecierpliwienia Petroniusz, ale nie każ mu ocalać jej po raz drugi... Czy pamiętasz, jak Eol przyjął Odysseusza, gdy wrócił prosić go powtórnie o pomyślny ładunek wiatrów? Bóstwa nie lubią się powtarzać. — Gdy wróci jej zdrowie — odrzekł Viniciusz — odwiozę ją do Pomponii Graeciny. — I uczynisz tem słuszniej, że Pomponia leży chora. Mówił mi o tem krewny Aulusów, Antistius. Tu zajdą tymczasem takie rzeczy, że ludzie o was zapomną, a w dzisiejszych czasach najszcześliwsi ci, o których zapomniano. Niech Fortuna będzie wam słońcem w zimie, a cieniem w lecie! To rzekłszy, pozostawił Viniciusza jego szczęściu, sam zaś poszedł wybadać Teoklesa o zdrowie i życie Lygii. Lecz jej nie groziło już niebezpieczeństwo. W podziemiach, przy wycieńczeniu, pozostałem po więziennej gorączce, byłoby ją dobiło zgniłe powietrze i niewygody, lecz teraz otaczała ją najtkliwsza opieka i nietylko dostatek, ale i przepych. Z rozkazu Teoklesa, po upływie dwóch dni poczęto ją wynosić do ogrodów, otaczających willę, w których pozostawała przez długie godziny. Viniciusz ubierał jej lektykę w anemony, a zwłaszcza w

irysy, by jej przypomnieć atrium w domu Aulusów. Nieraz, ukryci w cieniu rozrostłych drzew, rozmawiali, trzymając się za ręce, o dawnych bólach i dawnych trwogach. Lygia mówiła mu, że Chrystus umyślnie przeprowadził go przez mękę, by zmienić duszę jego i podnieść ją ku sobie, on zaś czuł, że to prawda i że nie pozostało w nim nic z dawnego patrycyusza, który nie uznawał innego prawa nad własne żądze. Ale w tych rozpamiętywaniach nie było nic gorzkiego. Zdawało się obojgu, że całe lata przetoczyły się nad ich głowami i że ta straszna przeszłość leży już daleko za nimi. Tymczasem ogarnia ich spokój, jakiego nigdy nie doznawali dotychczas. Jakieś nowe życie, ogromnie błogie, szło ku nim i brało ich w siebie. W Rzymie mógł sobie szaleć Cezar i napełniać trwogą świat, oni, czując nad sobą opiekę stokroć potężniejszą, nie obawiali się już ni jego złości, ni jego szaleństw, tak, jakgdyby przestał być panem ich życia lub śmierci. Raz, pod zachód słońca, usłyszeli dochodzące z odległych wiwariów ryki lwów i innych dzikich zwierząt. Niegdyś te odgłosy przejęły trwogą Viniciusza, jako zła wróżba. Teraz spojrzeli tylko na siebie z uśmiechem, a potem wzniesli oboje oczy ku zorzom wieczornym. Czasami Lygia, będąc jeszcze osłabioną bardzo i nie mogąc chodzić o własnej mocy, zasypiała wśród ciszy ogrodowej, on zaś czuwał nad nią i wpatrując się w jej uśpioną twarz, myślał mimowoli, że to już nie ta Lygia, którą spotkał u Aulusów. Jakoż więzienie i choroba zgasiły w części jej urodę. Wówczas, gdy widywał ją u Aulusów i później, gdy przyszedł porwać ją do domu Myriamy, była tak cudna, jak posąg i zarazem kwiat, teraz twarz jej stała się niemal przezroczysta, ręce wychudły, ciało wyszczuplało przez chorobę, usta pobladły i oczy nawet zdawały się być mniej błękitne, niż przedtem. Złotowłosa Eunice, która przynosiła jej kwiaty i drogocenne tkaniny dla przykrywania jej nóg, wyglądała przy niej, jak bóstwo cypryjskie. Esteta Petroniusz napróżno silił się, by wynaleźć w niej dawne ponęty i wzruszając ramionami, myślał w duszy, że ów cień z pól Elizejskich nie był wart tych zachodów, tych bólów i mąk, które o mało nie wyssały życia Viniciuszowi. Lecz Viniciusz, który kochał teraz jej duszę, kochał ją tylko tembardziej i gdy czuwał nad uśpioną, wydawało mu się, że czuwa nad światem całym.

ROZDZIAŁ XXVI.

Wiść o cudownem ocaleniu Lygii szybko rozniosła się wśród rozbitków chrześcijańskich, którzy ocaleli dotychczas z pogromu. Wyznawcy poczęli się schodzić, by oglądać tę, nad którą jawnie okazała się łaska Chrystusowa. Przyszedł naprzód młody Nazaryusz z Myriamą, u których krył się dotychczas Piotr Apostoł, a za nimi ścigali i inni. Wszyscy razem, wraz z Viniciuszem, Lygią i chrześcijańskimi niewolnikami Petroniusza, słuchali ze skupieniem opowiadania Ursusa o głosie, który odezwał się w jego duszy i nakazał mu walczyć z dzikiem zwierzęciem i wszyscy odchodzili z otuchą i nadzieją, że Chrystus nie pozwoli jednak wyplenić na ziemi do reszty swych wyznawców, zanim sam przyjdzie na sąd straszliwy. I nadzieja ta podtrzymywała ich serca, albowiem prześladowanie nie ustawało dotąd. Kogo tylko głos publiczny wskazał jako chrześcijanina, tego wigilowie miejscy porywali natychmiast do więzienia. Ofiar wprawdzie było już mniej, bo ogół wyznawców schwymano i wymęczono, pozostali zaś albo wyszli z Rzymu, by w odległych prowincjach przeczekać burzę, albo kryli się najstaranniej, nie odważając się zbierać na wspólne modlitwy inaczej, jak w arenariach, leżących po za miastem. Jednakże śledzono ich jeszcze i pomimo, iż właściwe igrzyska były już ukończone, zachowywano ich na następne lub sądzono doraźnie. Jakkolwiek lud rzymski nie wierzył już, by chrześcijanie byli sprawcami pożaru miasta, jednakże ogłoszono ich za nieprzyjaciół ludzkości i państwa i edykt przeciw nim trwał ciągle w dawnej mocy. Piotr Apostoł długo nie śmiał ukazać się w domu Petroniusza, wreszcie jednak pewnego wieczoru Nazaryusz oznajmił jego przybycie. Lygia, która chodziła już o swej mocy i Viniciusz wybiegli na jego spotkanie i poczęli obejmować jego nogi, on zaś witał ich ze wzruszeniem tem większem, że niewiele pozostało mu już owiec w tej trzodzie, nad którą rządy zdał mu Chrystus,

a nad której losem płakało teraz jego wielkie serce. To też gdy Viniciusz rzekł mu: „Panie! za twoją to przyczyną Zbawiciel powrócił mi ją“, on odrzekł: „Powrócił ci ją dla wiary twojej i dlatego, by nie zamilkły wszystkie usta, które wyznawały imię Jego“. I widocznie myślał wówczas o tych tysiącach dzieci swych, porodzianych przez dzikie zwierzęta, o tych krzyżach, którymi nabite były areny i o tych słupach ognistych w ogrodach „Bestyi“, albowiem mówił to z żalnością wielką. Viniciusz i Lygia zauważyli też, że włosy jego pobieleły zupełnie, cała postać pochylila się, a w twarzy tyle miał smutku i cierpienia, jakby przeszedł przez wszystkie te bóle i męki, przez które przeszły ofiary wściekłości i szału Nerona. Lecz oboje rozumieli już, że gdy Chrystus sam poddał się męce i śmierci, nie może uchylić się od niej nikt. Jednakże krajało się w nich serce na widok Apostoła, przygniecione go brzemieniem lat, trudu i bólu. Więc Viniciusz, który za kilka już dni zamierzał odwieźć Lygię do Neapolis, gdzie mieli spotkać Pomponię i udać się dalej do Sycylii, począł go błagać, by wraz z nimi opuścił Rzym. Lecz Apostoł położył rękę na jego głowie i odpowiedział: — Słyszę oto w duszy słowa Pana, który nad jeziorem Tyberyadzkim rzekł mi: „Gdyś był młodszym, opasowałeś się i chodziłeś, kędyś chciał, lecz gdy się zestarzejesz, wyciągniesz ręce twe, a inny cię opasze i poprowadzi, gdzie ty nie chcesz“. Słuszna przeto, bym poszedł za trzodą moją. A gdy umilkli, nie rozumiejąc, co mówi, dodał: — Dobiega końca trud mój, ale gościnność i odpocznienie znajdę dopiero w domu Pana. Poczem zwrócił się do nich, mówiąc: „Pamiętajcie mnie, bom was umiłował, jako ojciec miłuje dzieci swoje, a co w życiu czynić będziecie, czyńcie na chwałę Pana“. Tak mówiąc, podniósł nad nimi swe stare drżące dłonie i błogosławił ich, oni zaś tulili się do niego, czując, że to jest ostatnie może błogosławieństwo, jakie z jego rąk otrzymują. Przeznaczonem im jednak było widzieć go raz jeszcze. W kilka dni później Petroniusz przyniósł groźne wieści z Palatynu. Odkryto tam, iż jeden z wyzwolenców Cezara był chrześcijaninem i znaleziono u niego listy Apostołów Piotra i Pawła z Tarsu, oraz listy Jakóba, Judy i Jana. Przebywanie Piotra w Rzymie było już poprzednio wiadomem Tigellinowi, sądził jednak, że ów zginął wraz z tysiącami innych wyznawców. Teraz wydało się, że dwaj naczelnicy nowej wiary są dotychczas przy życiu i znajdują się w stolicy, postanowiono więc odnaleźć ich i chwycić za wszelką cenę, gdyż spodziewano się, iż dopiero wraz z ich śmiercią ostatnie korzenie nienawistnej sekty zostaną wyrwane. Petroniusz słyszał od Vestinusa, iż sam Cezar wydał rozkaz, by w ciągu trzech dni i Piotr i Paweł z Tarsu byli już w Mamertyńskim więzieniu i że całe oddziały pretorianów wysłano dla przetrząśnięcia wszystkich domów na Zatybrzu. Viniciusz, usłyszawszy o tem, postanowił pójść ostrzedz Apostoła. Wieczorem obaj z Ursusem, przywdziawszy galijskie płaszcze, osłaniające twarze, udali się do domu Myriamy, u której Piotr przebywał, położonego na samym krańcu zatybrzańskiej części miasta, u stóp Janikulskiego wzgórza. Po drodze widzieli domy, otoczone żołnierzami, których prowadzili jacyś nieznani ludzie. Dzielnica była zaniepokojona, a miejscami zbierały się gromady ciekawych. Tu i owdzie centurionowie badali schwytanych więźniów, wypytując ich o Piotra Simeona i o Pawła z Tarsu. Ursus i Viniciusz, wyprzedziwszy żołnierzy, doszli jednak szczęśliwie do mieszkania Myriamy, w którym zastali Piotra, otoczonego garstką wiernych. Tymoteusz, pomocnik Pawła z Tarsu i Linnus znajdowali się również przy boku Apostoła. Na wieść o blizkiem niebezpieczeństwie, Nazaryusz wyprowadził wszystkich ukrytem przejściem do furtki ogrodowej a następnie do opuszczonych kamieniołomów, odległych o kilkaset kroków od bramy Janikulskiej. Ursus musiał przytem nieść Linnusa, którego kości, połamane przez tortury, nie zrosły się dotychczas. Raz jednak znalazłszy się w podziemiu, uczuli się bezpieczni i przy świetle kaganka, który rozniecił Nazaryusz, poczęli cichą naradę, jak ratować drogie im życie Apostoła. — Panie — rzekł mu Viniciusz — niech jutro świtaniem Nazaryusz wyprowadzi cię z miasta ku górom Albańskim. Tam cię odnajdziem i zabierzemy cię do Antium, gdzie czeka statek,

który ma przewieźć nas oboje do Neapolis i Sycylii. Szczęśliwy będzie dzień i godzina, w której wstąpisz w dom mój i pobłogosławisz moje ognisko. Inni słuchali go z radością i nastawiali na Apostoła, mówiąc: — Chron się, pasterzu nasz, albowiem nie ostać ci się w Rzymie. Przechowaj żywą prawdę, aby nie zginęła wraz z nami i tobą. Wysłuchaj nas, którzy błagamy cię, jak ojca. — Uczyń to w imię Chrystusa! — wołali inni, czepiając się szat jego. On zaś odpowiadał: — Dzieci moje! Któż wie, kiedy mu Pan kres żywota naznaczy? Lecz nie mówił, że nie opuści Rzymu i sam wahał się, co uczynić, gdyż już oddawna wkradła się w duszę jego niepewność, a nawet i trwoga. Ale trzoda jego była rozproszona, dzieło zburzone, kościół, który przed pożarem miasta wybijał, jak drzewo wspaniałe, obróciła w proch moc „Bestyi“. Nie zostało nic, prócz łez, nic, prócz wspomnień mąk i śmierci. Siejba wydała plon obfity, ale szatan wdeptał go w ziemię. Zastępy aniołów nie przysły na pomoc ginącym i oto Nero rozsiada się w chwale nad światem, straszny, potężniejszy, niż kiedykolwiek, pan wszystkich mórz i wszystkich lądów. Nieraz już Boży rybak wyciągał w samotności ręce ku niebu i pytał: „Panie! co mam czynić? Jakoż mi się ostać? i jakoż starzec bezsilny mam walczyć z tą nieprzebraną siłą Złego, któremu pozwoliłeś władać i zwyciężać?“ I wołał tak z głębi niezmiernego bólu, powtarzając w duszy: „Niemasz już onych owiec, które mi paść kazałeś, niemasz Twego kościoła, pustka i żałoba w Twojej stolicy, więc co mi teraz rozkażesz? Mam-li tu zostać, czy też wyprowadzić resztę trzody, abyśmy gdzieś za morzami sławili w ukryciu imię Twoje?“ I wahał się. Wierzył, że prawda żywa nie zginie i musi przeważyć, ale chwilami myślał, że nie przyszedł jeszcze jej czas, który nadejdzie wówczas dopiero, gdy Pan zstąpi na ziemię w dzień sądu w chwale i potędze, stokroć od Neronowej potężniejszej. Często wydawało mu się, iż jeśli sam opuści Rzym, wierni pójdą za nim, a on zawiedzie ich wówczas aż hen, do cienistych gajów Galilei, nad cichą toń Tyberyadzkiego morza, do pasterzy, spokojnych jak gołębie lub jako owce, które się tam pasą wśród cząbrów i nardu. I coraz większa chęć ciszy i wypoczynku, coraz większa tęsknota za jeziorem i Galileją ogarniała rybacze serce, coraz częstsze łzy napływały do oczu starca. Lecz gdy na chwilę uczynił już wybór, ogarniał go nagły strach i niepokój. Jakoż mu opuścić to miasto, w którym tyle krwi męczeńskiej wsiąkło w ziemię i gdzie tyle ust konających dawało świadectwo prawdzie? Ma-li on jeden uchylić się od tego? I co odpowie Panu, gdy usłyszy słowa: „Oto oni pomarli za wiarę swoją, a ty uciekłeś?“ Noce i dni upływały mu w trosce i zmartwieniu. Inni, których rozdarły lwy, których poprzybijano na krzyże, których popalono w ogrodach Cezara, posnęli po chwilach męki w Panu, on zaś spać nie mógł i czuł mękę większą od tych wszystkich, które obmyślali kaci dla ofiar. Świt często już bielił dachy domów, gdy on wołał jeszcze z głębi rozżalonego serca: — Panie, przecz mi tu przyjść kazałeś i w tem gnieździe Bestyi założyć stolicę Twoją? Przez trzydzieści cztery lat od śmierci Pana swego nie zaznał spoczynku. Z koszturem w ręku obiegał świat i opowiadał „dobrą nowinę“. Siły jego wyczerpały się w podróżach i trudach, aż wreszcie, gdy w tym grodzie, który był głową świata, utwierdził dzieło Mistrza, jedno ogniste tchnienie Złości zżęgło je i widział, że walkę trzeba podjąć nanowo. I jaką walkę! Z jednej strony Cezar, senat, lud, legie, obejmujące żelazną obręczą cały świat, nieprzeliczone grody, nieprzeliczone ziemie, potęga, jakiej oko ludzkie nie widziało, z drugiej strony, on, tak zgięty wiekiem i pracą, że drżące jego ręce zaledwie już zdołały unieść kij podróżny. Więc chwilami mówił sobie, że nie jemu mierzyć się z Cezarem Romy i że dzieła tego może dokonać tylko sam Chrystus. Wszystkie te myśli przebiegały teraz przez jego stroskaną głowę, gdy słuchał próśb ostatniej garstki swych wiernych, oni zaś, otaczając go coraz ciaśniej kołem, powtarzali błagalnymi głosami: — Chron się, Rabbi i nas wyprowadź z pod mocy Bestyi. Wreszcie i Linnus pochylił przed nim swą umęczoną głowę. — Panie! — mówił — tobie Zbawiciel kazał paść owce swoje, ale niema już tu ich, lub jutro ch nie będzie, więc idź tam, gdzie je odnaleźć jeszcze możesz. Oto żywie jeszcze słowo Boże i w Jeruzalem i w Antyochii i w

Efezie i w innych miastach. Co wskórasz, zostawszy w Rzymie? Gdy legniesz, powiększysz tylko tryumf Bestyi. Janowi Pan nie oznaczył kresu życia, Paweł jest obywatelem rzymskim i bez sądu karać go nie mogą, lecz jeśli nad tobą, Nauczycielu, rozsroży się moc piekielna, wówczas ci, w których upadło już serce, pytać będą: Któż jest nad Nerona? Tyś jest opoką, na której zbudowany jest Kościół Boży. Daj nam umrzeć, ale nie pozwól na zwycięstwo Antychrysta nad Namiestnikiem Bożym i nie wracaj tu, póki Pan nie skruszy tego, który wytoczył krew niewinną. — Patrz na łyzy nasze! — powtarzali wszyscy obecni. Łzy spływały i po twarzy Piotra. Po chwili jednak podniósł się i wyciągając nad klęczącymi dłonie, rzekł: — Niech imię Pańskie będzie uwielbione i niech się stanie wola Jego!

ROZDZIAŁ XXVII.

O brzasku następnego dnia dwie ciemne postacie posuwały się drogą Appijską ku równinom Kampanii. Jedną z nich był Nazaryusz, drugą Piotr Apostoł, który opuszczał Rzym i męczonych w nim współwyznawców. Niebo na wschodzie przybierało już leciuchny odcień zielony, który zwolna, coraz wyraźniej bramował się u dołu barwą szafraną. Drzewa o srebrnych liściach, białe marmury willi i łuki wodociągów, biegnące przez równinę ku miastu, wychylały się z cienia. Rozjaśniała się stopniowo zieloność nieba, nasycając się złotem. Zaczem wschód zaczął różowieć i rozświecił góry Albańskie, które ukazały się cudne, liliowe, jakby z samych tylko blasków złożone. Świt odbijał się w drżących na liściach drzew kroplach rosy. Mgła rzedła, odkrywając coraz szerszy widok na równinę, na leżące na niej domy, cmentarze, miasteczka i kępy drzew, między którymi bieleły kolumny świątyń. Droga była pusta. Wieśniacy, którzy zwozili jarzyny do miasta, nie zdążyli jeszcze widocznie pozaprzęgać do wózków. Od płyt kamiennych, które aż do gór wyłożony był goścień, szedł w ciszy odgłos drewnianych postoiłów, jakie podróżni mieli na nogach. Potem słońce wychyliło się przez przełęcz gór, ale zarazem dziwny widok uderzył oczy Apostoła. Oto wydało mu się, iż złocisty krąg, zamiast wznosić się wyżej i wyżej na niebie, zsunął się ze wzgórz i toczy się po drodze. Wówczas Piotr zatrzymał się i rzekł: — Widzisz tę jasność, która zbliża się ku nam? — Nie widzę nic — odpowiedział Nazaryusz. Lecz Piotr po chwili ozwał się, przysłoniwszy oczy dłonią: — Jakowaś postać idzie ku nam w blasku słonecznym. Do uszu ich nie dochodził jednak najmniejszy odgłos kroków. Naokół było cicho zupełnie, Nazaryusz widział tylko, że w dali drżą drzewa, jakby je ktoś potrzasał, a blask rozlewa się coraz szerzej na równinie. I począł patrzeć ze zdziwieniem na Apostoła. — Rabbi! co ci jest? — zawołał z niepokojem. A z rąk Piotra kosztur podróżny wysunął się na ziemię, oczy patrzyły nieruchomie przed siebie, usta były otwarte, w twarzy malowało się zdumienie, radość, zachwyty. Nagle rzucił się na kolana z wyciągniętymi przed się ramionami, a z ust jego wyrwał się okrzyk: — Chryste! Chryste!... I przypadł głową do ziemi, jakby całował czyjeś stopy. Długo trwało milczenie, poczem w ciszy ozwały się przerywane łkaniem słowa starca: — Quo vadis, Domine?... I nie słyszał odpowiedzi Nazaryusz, lecz do uszu Piotrowych doszedł głos smutny i słodki, który rzekł: — Gdy ty opuszczasz lud mój, do Rzymu idę, by mnie ukrzyżowano raz wtóry. Apostoł leżał na ziemi, z twarzą w prochu, bez ruchu i słowa. Nazaryuszowi wydało się już, że omdlał lub umarł, ale on powstał wreszcie, drżącemi rękoma podniósł kij pielgrzymi i nic nie mówiąc, zawrócił ku siedmiu wzgórzom miasta. Pacholę zaś, widząc to, powtórzyło, jak echo: — Quo vadis, Domine?... — Do Rzymu — odrzekł cicho Apostoł. I wrócił. Paweł, Jan, Linnus i wszyscy wierni przyjęli go ze zdumieniem i z trwogą tem większą, że właśnie o brzasku, zaraz po jego wyjściu, pretorianie otoczyli mieszkanie Myriamy i szukali w niem Apostoła. Lecz on na wszystkie pytania odpowiadał im tylko z radością i spokojem: — Panam widział! I tegoż jeszcze wieczora udał się na cmentarz Ostriański, aby nauczać i chrzczyć tych, którzy chcieli się skąpać w wodzie życia. I odtąd przychodził tam codziennie, a za nim ciągnęły codzien liczniejsze tłumy.

Zdawało się, że z każdej łzy męczeńskiej rodzą się nowi wyznawcy i że każdy jęk na arenie odbija się echem w tysiącnych piersiach. Cezar pławił się we krwi, Rzym i cały świat pogański szalał. Ale ci, którym dość było zbrodni i szalu, ci, których deptano, ci, których życie było życiem niedoli i ucisku, wszyscy pogiębieni, wszyscy smutni, wszyscy nieszczęśliwi przychodzili słuchać dziwnej powieści o Bogu, który z miłości dla ludzi dał się ukrzyżować i odkupić ich winy. Odnajdując zaś Boga, którego mogli kochać, odnajdowali to, czego nie mógł dać dotychczas nikomu świat ówczesny, szczęście z miłości. A Piotr zrozumiał, że ni Cezar, ni wszystkie jego legie nie zmożą prawdy żywej, że nie zaleją jej ni łzy, ni krew i że teraz dopiero zaczyna się jej zwycięstwo. Zrozumiał również, dlaczego Pan zawrócił go z drogi: oto to miasto pychy, zbrodni, rozpusty i potęgi poczynało być jego miastem i podwójną stolicą, z której płynął na świat rząd ciał i dusz.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Aż wreszcie spełnił się czas dla obu Apostołów. Ale, jakby na zakończenie służby, danem było Bożemu rybakowi ułović dwie dusze nawet i w więzieniu. Żołnierze Processus i Martinianus, którzy pilnowali go w więzieniu Mamertyńskim, przyjęli chrzest. Poczem nadeszła godzina męki. Nerona nie było wówczas w Rzymie. Wyrok wydali Helius i Polithetes, dwaj wyzwoleńcy, którym Cezar powierzył na czas swej niebytności rządu nad Rzymem. Wiekowego Apostoła poddano naprzód przepisanej przez prawo chłóście, a następnego dnia wywiedziono za mury miasta, ku wzgórzom Watykańskim, gdzie miał ponieść przeznaczoną mu karę krzyża. Żołnierzy dziwił tłum, który zebrał się przed więzieniem, gdyż w pojęciu ich śmierć prostego człowieka i w dodatku cudzoziemca nie powinna była budzić tyle zajęcia, nie rozumieli zaś, że korowód ów nie składał się z ciekawych, ale z wyznawców, pragnących odprowadzić na miejsce kaźni Wielkiego Apostoła. Popołudniu otworzyły się wreszcie bramy więzienia i Piotr ukazał się wśród oddziału pretorianów. Słońce zniżyło się już nieco ku Ostyi, dzień był cichy i pogodny. Piotrowi, ze względu na jego sędziwe lata, nie kazano nieść krzyża, sądzono bowiem, że go udźwignąć nie zdoła, ani też nie założono mu wideł na szyję, by mu nie utrudniać pochodu. Szedł wolny i wierni mogli go widzieć doskonale. W chwili, gdy wśród żelaznych hełmów żołnierskich ukazała się jego biała głowa, płacz rozległ się w tłumie, lecz natychmiast prawie ustał, albowiem twarz starca miała w sobie tyle pogody i taką jaśniała radością, iż wszyscy pojęli, że to nie ofiara idzie ku straceniu, ale zwycięzca odbywa pochód tryumfalny. Jakoż tak było. Rybak, zwykle pokorny i pochylony, szedł teraz wyprostowany, wyższy wzrostem od żołnierzy, pełen powagi. Nigdy nie widziano w postawie jego tyle majestatu. Zdawaćby się mogło, iż to monarcha posuwa się, otoczony przez lud i żołnierzy. Ze wszystkich stron podniosły się głosy: „Oto Piotr odchodzi do Pana“ Wszyscy jakby zapomnieli, że czeka go męka i śmierć. Szli w uroczystym skupieniu, ale w spokoju, czując, że od śmierci na Golgocie nie stało się dotychczas nic równie wielkiego i że jako tamta odkupiła świat cały, tak ta ma odkupić to miasto. Po drodze ludzie zatrzymywali się ze zdziwieniem na widok tego starca, wyznawcy zaś, kładąc im ręce na ramiona, mówili spokojnymi głosami: „Patrzcie, jako umiera sprawiedliwy, który znał Chrystusa i opowiadał miłość na świecie“. A owi wpadali w zadumę, poczem odchodzili, mówiąc sobie: „Zaprawdę, ten nie mógł być niesprawiedliwy!“ Po drodze milkły wrzaski i wołania uliczne. Orszak posuwał się wśród domów świeżo wzniesionych, wśród białych kolumn świątyń, nad których naczółkami wisiało niebo głębokie, ukojone i błękitne. Szli w ciszy; czasem tylko zabrząkły broje żołnierzy lub podniosł się szmer modlitw. Piotr słuchał ich i twarz jaśniała mu coraz większą radością, albowiem wzrok jego zaledwie mógł ogarnąć owe tysiące wyznawców. Czuł, że dzieła dokonał i wiedział już, że ta prawda, którą całe życie opowiadał, zaleje wszystko, jak fala i że nic już powstrzymać jej nie zdoła. A tak myśląc, podnosił oczy ku górze i mówił: „Panie, kazałeś mi podbić ten gród, który panuje światu, więcem go podbił. Kazałeś mi założyć w nim stolicę swoją, więcem ją założył. To Twoje

miasto teraz, Panie, a ja idę do Ciebie, bom się spracował bardzo“. Przechodząc więc koło świątyń, mówił im: „Chrystusowemi świątyniami będziecie“. Patrząc na roje ludzi, przesuających się przed jego oczyma, mówił im: „Chrystusowemi będą wasze dzieci sługami“ i szedł w poczuciu spełnionego podboju, świadom swej zasługi, świadom mocy, ukojony, wielki. Żołnierze poprowadzili go przez most Tryumfalny, jakby mimowoli dając jego tryumfowi świadectwo i wiedli dalej, ku Naumachii i cyrkowi. Wierni z Zatybrza przyłączyli się do pochodu i uczyniła się gęstwa ludu tak wielka, iż centurion, przywodzący pretorianom, domyśliwszy się wreszcie, iż prowadzi jakowegoś arcykapłana, którego otaczają wierni, zaniepokoił się zbyt małą liczbą żołnierzy. Lecz ani jeden okrzyk oburzenia lub wściekłości nie ozwał się w tłumie. Twarze były przejęte wielkością chwili, uroczyste i zarazem pełne oczekiwania, niektórzy bowiem wyznawcy, przypominając sobie, iż przy śmierci Pana ziemia rozstępowała się z przerażenia, a umarli podnosili się z grobów, myśleli, że i teraz nastąpią może jakieś znaki widome, po których nie zatrze się przez wieki śmierć Apostoła. Inni mówili sobie nawet: „A nuż Pan wybierze godzinę Piotrową, aby zstąpić z nieba, jako był przyobiecany i uczynić sąd nad światem“. W tej zaś myśli polecali się miłosierdziu Zbawiciela. Ale naokół było spokojnie. Wzgórza zdawały się wygrzewać i odpoczywać w słońcu. Pochód zatrzymał się wreszcie między cyrkiem a wzgórzem Watykańskim. Żołnierze wzięli się teraz do kopania dołu, inni położyli na ziemi krzyż, młoty i gwoździe, czekając, póki przygotowania nie zostaną ukończone, tłum zaś, cichy zawsze i skupiony, klęknął naokół. Apostoł, z głową w promieniach i złotych blaskach, zwrócił się po raz ostatni ku miastu. Zdala, nieco w dole, widać było Tyber świecący; po drugim brzegu pole Marsowe, wyżej mauzoleum Augusta, niżej olbrzymie termy, które Nero właśnie był wznosić począł, jeszcze niżej teatr Pompejusza, a za niemi miejscami widne, miejscami zakryte przez inne budowle Septa Julia, mnóstwo portyków, świątyń, kolumn, spiętrzonych gmachów i wreszcie hen, w dali, wzgórza, oblepione domami olbrzymie rojowisko ludzkie, którego krańce niknęły w mgłę błękitnej, gniazdo zbrodni, ale i siły, szaleństwa, ale i ładu, które stało się głową świata, jego ciemną, ale zarazem jego prawem i pokojem, wszechpotężne, nieprzemienne, wieczyste. Piotr zaś, otoczony żołnierzami, spoglądał na nie tak, jakby spoglądał władca i król na swe dziedzictwo. I mówił mu: „Odkupioneś jest i moje“. A nikt, nietylko między żołnierzami, kopiącymi doł, w który miano wstawić krzyż, ale nawet między wyznawcami, nie umiał odgadnąć, że istotnie stoi między nimi prawdziwy władca tego grodu i że miną cesarowie, przepłyną fale barbarzyńców, miną wieki, a ów starzec będzie tu panował nieprzerwanie. Słońce chyliło się jeszcze bardziej ku Ostyi i stało się wielkie i czerwone. Cała zachodnia strona nieba poczęła płonąć blaskiem niezmiernym. Żołnierze zbliżyli się do Piotra, by go rozebrać. Lecz on, modląc się, wyprostował się nagle i wyciągnął wysoko prawicę. Oprawcy zatrzymali się, jakby onieśmieleni jego postawą; wierni zatrzymali również oddech w piersiach, sądząc, że chce przemówić i nastąpi cisza niezmacona. On zaś, stojąc na wyniesieniu, począł wyciągniętą prawicą czynić znak krzyża, błogosławiąc w godzinie śmierci: — Urbi et orbi! A w ten sam cudny wieczór inny oddział żołnierzy prowadził drogą Ostyjską Pawła z Tarsu ku miejscowości, zwanej Aquae Salviae. I za nim również postępowała gromada wiernych, których nawrócił, a on poznawał bliższych znajomych, zatrzymywał się i rozmawiał z nimi, gdyż, jako obywatelowi rzymskiemu, straż okazywała mu większe względy. Za bramą, zwaną Tergemina, spotkał Plautillę, córkę prefekta Flaviusa Sabinusa i widząc jej młodą twarz, zalaną łzami, rzekł: „Plautillo, córko Zbawienia wiecznego, odejdz w pokoju. Pożycz mi tylko zasłony, którą zawiążą mi oczy, w chwili, gdy będę odchodził do Pana“. I wzięwszy zasłony, szedł dalej, z twarzą tak pełną radości, z jaką robotnik, który przepracował dobrze dzień cały, wraca do domu. Myśli jego, podobnie do Piotrowych, były spokojne i pogodne, jak owo niebo wieczorne. Oczy patrzyły w zamyśleniu na równinę, która ciągnęła się przed nim i na Góry Albańskie, zanurzone

w świetle. Rozpamiętywał o swoich podróżach, o trudach i pracy, o walkach, w których zwyciężał, i kościołach, które po wszystkich ziemiach i za wszystkimi morzami założył i myślał, że dobrze zarobił na spoczynek. I on także dzieła dokonał. Czuł, że siejby jego nie rozwieje już wiatr złości. Odchodził z tą pewnością, że w walce, którą jego prawda wypowiedziała światu, ona zwycięży i niezmierna pogoda zstępowała mu do duszy. Droga na miejsce stracenia była daleka i wieczór począł zapadać. Góry stały się purpurowe, a podnóża ich zapadały zwolna w cień. Trzody wracały do domów. Gdzieniedzie szły gromadki niewolników z narzędziami pracy na ramionach. Przed domami na drodze bawiły się dzieci, spoglądając z ciekawością na przechodzący oddział żołnierzy. W tym zaś wieczorze, w tem przezroczem złotem powietrza był nie tylko spokój i ukojenie, ale jakowaś harmonia, która z ziemi zdawała się podnosić ku niebu. A Paweł słyszał ją i serce przepełniało mu się radością na myśl, że do owej muzyki świata dodał dźwięk jeden, którego nie było dotąd, a bez którego ziemia cała była „jako miedź brząkająca i jako cymbał brzącający”. I przypomniał sobie, jako uczył ludzi miłości, jako im mówił, iż choćby rozdali majątność na ubogich i choćby posiadli wszystkie języki i wszystkie tajemnice i wszystkie nauki, niczem nie będą bez miłości, która jest łaskawa, cierpliwa, która złego nie wyrządza, nie pragnie czci, wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się nadziewa, wszystko wytrwa. Oto mu wiek życia spłynął na nauczaniu ludzi takiej prawdy. A teraz mówił sobie w duszy: jakaż siła jej sprostą i cóż ją zwycięży? Jakoż przytłumić ją zdoła Cezar, choćby dwakroć miał tyle legionów, dwakroć tyle miast i mórz i ziem i narodów? I szedł po zapłatę, jako zwycięzca. Orszak porzucił wreszcie wielką drogę i skręcił na wschód wąską ścieżką ku Salwiskim Wodom. Na wrzosach leżało słońce czerwone. Przy źródle centurion zatrzymał żołnierzy, albowiem chwila nadeszła. Lecz Paweł, zarzuciwszy na ramię zasłonę Plautilli, aby zawiązać sobie oczy, wznosił po raz ostatni źrenice, pełne niezmiernego spokoju, ku odwiecznym blaskom wieczornym i modlił się. Tak! chwila nadeszła, ale on widział przed sobą wielki gościniec z zórz, wiodący ku niebu i w duszy mówił sobie te same słowa, które poprzednio, w poczuciu swej spełnionej służby i blizkiego końca, napisał: „Potykaniem dobrem potykałem się, wiarę-m zachowałem, zawodum dokonałem, naostatek przeznaczon mi jest wieniec sprawiedliwości”.

ROZDZIAŁ XXIX.

A Rzym szalał podawnemu, tak iż zdawało się, że to miasto, które podbiło świat, poczyna się wreszcie w braku przewodników rozdzierać samo w sobie. Jeszcze zanim dla Apostołów wybiła ostatnia godzina, przyszedł spisek Pisona, a po nim kośba tak nieubłagana najwyższych głów w Rzymie, że tym nawet, którzy widzieli bóstwo w Neronie, wydał się on w końcu bóstwem śmierci. Żałoba padła na miasto, strach rozsiadł się po domach i w sercach, ale portyki wieńczyły się bluszczem i kwiatami, albowiem niewolno było okazywać żalu po zmarłych. Ludzie, którzy budzili się zrana, zadawali sobie pytanie, czyja dziś kolej nadejdzie. Orszak mar, ciągnących za Cezarem, powiększał się z dniem każdym. Piso przypłacił głową spisek, a za nim poszli Seneka i Lukan, Fenius Rufus i Plauciusz Lateranus i Flawiusz Scewinus i Afraniusz Quinetianus i rozpustny towarzysz szaleństw Cezara, Tulusz Senecio i Prokulus i Ararikus i Tugurinus i Gratus i Silanus i Proksimus i Subrius Flavius, niegdyś oddany całą duszą Neronowi i Sulpicius Asper. Jednych gubiła własna nikczemność, innych bojaźń, innych bogactwa, innych męstwo. Cezar, przerażony samą liczbą spiskowych, okrył żołnierstwem mury i trzymał miasto jakby w obleżeniu, wysyłając codziennie centurionów z wyrokami śmierci do podejrzanych domów. Skazani płaszczyli się jeszcze w listach, pełnych pochlebstw, dziękując Cezarowi za wyrok i zapisując mu część mienia, by resztę dla dzieci ocalić. Zdawało się w końcu, że Nero umyślnie przebiera wszelką miarę, by się przekonać, do jakiego stopnia znikczemnieli ludzie i jak długo zniosą krwawe rządy. Za spiskowymi wytracono ich krewnych, przyjaciół i prostych nawet znajomych. Mieszkańcy wspaniałych, wzniesionych po

pożarze domów, wychodząc na ulicę, byli pewni, iż ujrzą całe szeregi pogrzebów. Pompejusz, Korneliusz Martialis, Flawiusz Nepos i Stacjusz Domicyusz zginęli oskarżeni o brak miłości dla Cezara; Novius Priskus, jako przyjaciel Seneki; Rufiusza Krispusa pozbawiono prawa ognia i wody dlatego, że niegdyś był mężem Poppei. Wielkiego Trazeasa zgubiła cnota, wielu przypłaciło życiem szlachetne pochodzenie, nawet i Poppea padła ofiarą chwilowego uniesienia Cezara. A senat płaszczył się przed straszliwym władcą, wznosił na jego cześć świątynie, czynił wota za jego głos, wieńczył jego posągi i przeznaczał mu kapłanów, jak bóstwu. Senatorowie ze drżeniem w duszy szli na Palatyn, by wielbić śpiew „Periodonicesa“ i szaleć z nim razem wśród orgii nagich ciał, wina i kwiatów. A tymczasem z dołu, na roli, przesiąkłej krwią i łzami, wzrastała cicho, ale coraz potężniej siejba Piotrowa.

ROZDZIAŁ XXX.

Viniciusz do Petroniusza: „Wiemy i tu, Carissime, co dzieje się w Rzymie, a czego nie wiemy, to nam dopowiadają listy twoje. Gdy rzucisz kamień w wodę, fale rozchodzą się coraz dalej i dalej naokół, więc taka fala szału i złości doszła z Palatynu aż do nas. Po drodze do Grecji był tu wysłany przez Cezara Karinas, który złupił miasta i świątynie, by próżny skarb zapełnić. Za cenę potu i łez ludzkich buduje się w Rzymie „domus aurea“. Być może, że świat nie oglądał dotąd takiego domu, ale też nie oglądał i krzywd takich. Ty przecie znasz Karinasa. Podobnym do niego był Chilo, zanim śmiercią nie odkupił życia. Lecz do leżących w naszym pobliżu miasteczek nie dotarli jego ludzie, może dlatego, że nie masz w nich świątyń i skarbów. Pytasz, czyśmy bezpieczni? Odpowiem ci tylko, żeśmy zapomniani, i niech ci to starczy za odpowiedź. Oto w tej chwili, z portyku, pod którym piszę, widzę naszą spokojną zatokę, a na niej Ursusa w łodzi, zapuszczającego sieć w jasne tonie. Żona moja przędzie czerwoną wełnę obok mnie, a w ogrodach pod cieniem drzew migdałowych śpiewają nasi niewolnicy. O! co za spokój, Carissime, i jakie zapomnienie dawnych trwóg i boleści. Ale to nie Parki, jak piszesz, przędą tak słodko nić naszego żywota, to błogosławi nam Chrystus, umiłowany nasz Bóg i Zbawiciel. Żal i łzy znamy, bo nasza prawda każe nam płakać nad cudzą niedolą, ale nawet i w owych łzach tkwi nieznana wam pociecha, że kiedyś, gdy spłynie czas życia naszego, odnajdziemy tych wszystkich drogich, którzy zginęli i za Boską naukę mają zginąć jeszcze. Dla nas Piotr i Paweł nie zmarli, lecz narodzili się w chwale. Dusze nasze ich widzą i, gdy oczy płaczą, serca weselą się ich weselem. O tak, drogi, jesteśmy szczęśliwi szczęściem, jakiego nic zburzyć nie zdoła, ponieważ śmierć, która dla was jest końcem wszystkiego, dla nas będzie tylko przejściem do większego jeszcze spokoju, większego kochania, większej radości. I tak nam płyną tu dni i miesiące w pogodzie serc. Słudzy nasi i niewolnicy wierzą również, jak i my, w Chrystusa, a że On miłość nakazał, więc miłujemy się wszyscy. Nieraz, gdy słońce zachodzi, lub gdy księżyc błyszczy już na wodzie, rozmawiamy z Lygią o dawnych czasach, które dziś snem nam się wydają, a gdy pomyślę, jak ta droga głowa, którą dziś codzień kołyszę na piersiach, bliską była męki i zagłady, całą duszą wielbię mojego Pana, bo z tych rąk On jeden mógł ją wyrwać, ocalić z areny i wrócić mi na zawsze. O, Petroniuszu, widziałeś przecie, ile ta nauka daje pociechy i wytrwania w niedoli, ile cierpliwości i odwagi wobec śmierci, więc przyjeżdż; zobacz, ile daje szczęścia w zwykłych, powszednich dniach życia. Ludzie, widzisz, nie znali dotąd Boga, któregooby można miłować, przeto nie miłowali się i między sobą i stąd szła ich niedola, bo, jako światło ze słońca, tak szczęście z miłości wypływa. Nie nauczyli ich tej prawdy ni prawodawcy, ni filozofowie i nie było jej ni w Grecji, ni w Rzymie, a gdy mówię: ni w Rzymie, to znaczy na ziemi całej. Oschła i zimna nauka stoików, do której garną się ludzie cnotliwi, hartuje serca, jak miecze, ale zobojętnia je raczej, zamiast je czynić lepszymi. Lecz po co ja mówię to tobie, któryś więcej się uczył i więcej rozumiesz ode mnie. Tyś przecie znał także Pawła z Tarsu i nieraz rozmawiałeś z nim długo, więc wiesz najlepiej, zali wobec prawdy, którą on

opowiadał, wszystkie nauki waszych filozofów i retorów nie są czczemi bańkami i pustym brzękiem słów bez znaczenia. Pamiętasz pytanie, które on ci zadał: „A gdyby Cezar był chrześcijaninem, zalibyście się nie czuli bezpieczniejsi, pewniejsi posiadania tego, co posiadacie, próżni trwóg i spokojni o wasze jutro?“ Aleś ty mówił mi, że nasza prawda jest nieprzyjaciółką życia, a ja odpowiadam ci teraz, że, gdybym od początku listu powtarzał tylko dwa wyrazy: „jestem szczęśliwy!“, jeszczebym szczęścia mego wyrazić ci nie zdołał. Powiesz mi na to, że szczęście moje, to Lygia! Tak, drogi! Dlatego, że kocham jej duszę nieśmiertelną i że oboje miłujemy się w Chrystusie, a w takiej miłości nie masz ni rozłączeń, ni zdrad, ni zmian, ni starości, ni śmierci. Bo, gdy minie młodość i uroda, gdy zwiędną ciała nasze i przyjdzie śmierć, miłość się ostoi, gdyż ostoja się dusze. Zanim oczy moje otworzyły się na światło, gotów byłem dla Lygii podpalić nawet dom własny, a teraz ci mówię: nie kochałem jej, bo kochać dopiero mnie Chrystus nauczył. W Nim jest źródło szczęścia i spokoju. Toć nie ja mówię, jeno oczywistość sama. Porównaj wasze podszyte trwogą rozkosze, wasze niepewne jutra upojenia, wasze orgie, podobne do styp pogrzebowych, z życiem chrześcijan, a znajdziesz gotową odpowiedź. Lecz abyś mógł lepiej porównać, przyjedź w nasze pachnące cząbrem góry, do naszych cienistych gajów oliwnych, nad nasze pokryte bluszczem brzegi. Czeka cię tu spokój, jakiegoś dawno nie zaznał, i serca, które cię kochają prawdziwie. Tyś, mając duszę szlachetną i dobrą, powinien być szczęśliwy. Twój bystry umysł potrafi prawdę rozpoznać, a gdy poznasz, to ją pokochasz, bo, może można być jej wrogiem, jak Cezar i Tigellin, ale obojętnym dla niej nikt być nie potrafi. O, mój Petroniuszu, oboje z Lygią cieszymy się nadzieją, że cię ujrzymy niezadługo. Bądź zdrow, szczęśliwy i przybywaj“. Petroniusz odebrał list Viniciusza w Cumae, dokąd był wyjechał wraz z innymi augustianami, dążącymi za Cezarem. Długoletnia jego walka z Tigellinem miała się ku końcowi. Petroniusz wiedział już, że musi w niej paść, i rozumiał tego powody. W miarę, jak Cezar z każdym dniem spadał coraz niżej do roli komedyanta, błazna i woźnicy, w miarę, jak grzął coraz bardziej w chorobliwej, plugawej i zarazem grubej rozpuście, wykwinny „arbiter elegantiae“ stawał mu się tylko ciężarem. Gdy Petroniusz nawet milczał, Nero widział w jego milczeniu przyganę, nawet gdy pochwalał, widział szyderstwo. Świetny patrycyusz drażnił jego miłość własną i wzbudzał zazdrość. Jego bogactwa i wspaniałe dzieła sztuki stały się przedmiotem pożądlivosti i władcy i wszechwładnego ministra. Oszczędzono go dotąd ze względu na wyjazd do Achai, w której jego smak, jego znajomość rzeczy greckich mogły się przydać. Lecz zwolna Tigellin począł tłumaczyć Cezarowi, że Karinas przewyższa jeszcze smakiem i wiedzą Petroniusza i że lepiej od niego potrafi urządzać w Achai igrzyska, przyjęcia i tryumfy. Od tej chwili Petroniusz był zgubiony. Nie śmiano jednak przesać mu wyroku w Rzymie. I Cezar i Tigellin przypominali sobie, że ten niby zniewieściały esteta, „czyniący z nocy dzień“, zajęty tylko rozkoszą, sztuką i ucztami, gdy był prokonsulem w Bithynii, a potem konsulem w stolicy, okazał zadziwiającą pracowitość i energię. Uważano go za zdolnego do wszystkiego, a wiedziano, że w Rzymie posiada miłość nie tylko ludu, lecz nawet pretorianów. Nikt z poufnych Cezara nie umiał przewidzieć, jak w danym razie postąpi, zdawało się więc rzeczą roztropniejszą wywabić go z miasta i osiągnąć dopiero na prowincyi. W tym celu otrzymał zaproszenie, by wraz z innymi augustianami przybył do Cumae, on zaś, chociaż domyślał się podstępu, wyjechał, może dlatego, by nie wystąpić z jawnym oporem, może, by pokazać raz jeszcze Cezarowi i augustianom wesołą, próżną wszelkich trosk twarz i odnieść ostatnie przedśmiertne nad Tigellinem zwycięstwo. Tymczasem ów oskarżył go natychmiast o przyjaźń z senatorem Scewinusem, który był duszą spisku Pisona. Ludzi Petroniusza, pozostałych w Rzymie, uwięziono, dom obstawiono strażą pretoriańską. Lecz on, dowiedziawszy się o tem, nie okazał ni trwogi, ni nawet zakłopotania, i z uśmiechem rzekł do augustianów, których podejmował we własnej wspaniałej willi w Cumae. — Ahenobarbus nie lubi pytań wprost, więc zobaczycie, jak

się zmiesza, gdy go zapytam, czy to on rozkazał uwięzić moją „rodzinę“ w stolicy. Później zapowiedział im ucztę „przed dalszą podróżą“ i właśnie czynił do niej przygotowania, gdy nadszedł list Viniciusza. Petroniusz, odebrawszy go, zamyślił się nieco, po chwili jednak twarz zajaśniała mu zwykłą pogodą i wieczorem tegoż samego dnia odpisał, co następuje: „Cieszę się waszym szczęściem i podziwiam wasze serca, carissime, albowiem nie sądziłem, by dwoje zakochanych mogło o kimś trzecim i dalekim pamiętać. Wy zaś nie tylko nie zapomnieliście o mnie, ale chcecie mnie namówić do Sycylii, by podzielić się ze mną waszym chlebem i waszym Chrystusem, który, jak piszesz, tak hojnie wam szczęścia przysparza. Jeśli tak jest, czcicie go. Ja myślę, drogi, że Lygię powrócił ci także trochę Ursus, a trochę lud rzymski. Gdyby Cezar był innym człowiekiem, myślałbym nawet, że zaniechano dalszych prześladowań, ze względu na twoje z nim powinowactwo przez tę wnuczkę, którą Tyberiusz oddał swego czasu jednemu z Viniciuszów. Skoro jednak mniemasz, że to Chrystus, nie będę sprzeczał się z tobą. Tak! nie żałujcie mu ofiar. Prometeusz również poświęcił się dla ludzi, ale, eheu! Prometeusz podobno jest tylko wymysłem poetów, ludzie zaś wiarygodni mówili mi, że Chrystusa na własne oglądali oczy. Ja razem z wami myślę, że to najuczciwszy z bogów. Pytanie Pawła z Tarsu pamiętam i zgadzam się, że, gdyby na przykład Ahenobarbus żył wedle nauki Chrystusa, to, możebym miał czas pojechać do was, do Sycylii. Wówczas pod cieniem drzew u źródeł, wiedlibyśmy rozmowy o wszystkich bogach i wszystkich prawdach, jak wiedli je niegdyś filozofowie greccy. Dziś krótką muszę ci dać odpowiedź. Dwóch chcę znać tylko filozofów: jeden zowie się Pyrron, drugi Anakreont. Resztę tanio ci sprzedać mogę wraz z całą szkołą greckich i naszych stoików. Prawda mieszka gdzieś tak wysoko, że sami bogowie nie mogą jej dojrzeć ze szczytów Olimpu. Tobie, carissime, wydaje się, że wasz Olimp wyższy jeszcze, i, stojąc na nim, wołasz na mnie: „Wejdz, a zobaczysz takie widoki, jakich nie widziałeś dotychczas!“ Być może. Ale ja ci odpowiadam: „Przyjacielu! nóg nie mam!“ I gdy doczytasz do końca ten list, sądzę, że przyznasz mi słuszność. Nie! szczęśliwy małżonku królowy-jutrzenki! Wasza nauka nie dla mnie. Mamże miłować Bityńczyków, którzy noszą moją lektykę, Egipcyan, którzy palą w moich kąpielach, Ahenobarba i Tigellina? Na białe kolana Charytek przysięgam ci, że, choćbym chciał, nie potrafię. W Rzymie jest najmniej sto tysięcy ludzi, mających albo krzywe łopatki, albo grube kolana, albo wyschłe łydki, albo okrągłe oczy, albo zawielkie głowy. Czy każesz mi ich kochać także? Gdzież mam odnaleźć tę miłość, skoro jej w sercu nie czuję? a jeśli wasz bóg chce, bym miłował ich wszystkich, czemu w swojej wszechmocy nie dał im kształtu na przykład Niobidów, których na Palatynie widziałeś? Kto kocha piękność, dlatego samego nie może kochać brzydoty. Inna rzecz nie wierzyć w naszych bogów, ale miłować ich można, jak miłowali ich Fidiasz i Praksiteles, i Miron, i Skopas, i Liziasz. Gdybym nawet chciał iść tam, gdzie mnie prowadzisz, nie mogę. Że zaś nie chcę, a więc po dwakroć nie mogę. Ty wierzysz, jak Paweł z Tarsu, że kiedyś, z drugiej strony Styksu, na jakichś Polach Elizejskich będziecie widzieli waszego Chrystusa. Dobrze! Niech ci sam wówczas powie, czyby mnie przyjął z moimi gemmami, z moją wazą myrreńską i z wydaniem od Soziuszów, i z moją Złotowłosą. Na myśl o tem śmiać mi się chce, mój drogi, boć przecie nawet i Paweł z Tarsu mówił mi, że dla Chrystusa trzeba się wyrzec różanych wieńców, uczt i rozkoszy. Wprawdzie mi inne obiecywał szczęście, alem mu odrzekł, że na takie inne zastary i że różami zawsze będą się cieszyły oczy moje, a woń fijołków także mi zawsze miłszą będzie, niż woń brudnego „bliźniego“ z Subury. To są przyczyny, dla których wasze szczęście nie dla mnie. Lecz jest prócz tego jeszcze jedna, którą ci schował naostatek. Oto mnie woła Thanatos. Dla was poczyna się świt życia, a dla mnie słońce już zaszło i zmierzch ogarnia mi głowę. Innymi słowy, ja muszę umrzeć, carissime. Nie warto o tem mówić długo. Tak musiało się skończyć. Ty, który znasz Ahenobarba, z łatwością to zrozumiesz. Tigellinus mnie zwyciężył, a raczej nie! To tylko moje zwycięstwa dobiegły

końca. Żyłem, jak chciałem, i umrę, jak mi się podoba. Nie bierzcie tego do serca. Żaden bóg nie obiecał mi nieśmiertelności, więc nie spotyka mnie rzecz niespodziana. Przytem ty mylisz się, Viniciuszu, twierdząc, że tylko wasze bóstwo uczy umierać spokojnie. Nie. Świat nasz wiedział przed wami, że, gdy ostatnia czara wychylona, czas odejść, spocząć, i umie to jeszcze czynić pogodnie. Plato powiada, że cnota jest muzyką, a życie mędrca harmonią. Jeśli tak jest, to umrę, jak żyłem, cnotliwie. Chciałbym twą boską małżonkę pożegnać jeszcze słowy, którymi powitałem ją niegdyś w domu Aulusów: „Różnym ja się, przeróżnym napatrzył narodom, a równej tobie nie znam“. Więc jeśli dusza jest czemś więcej, niż mniema Pyrron, to moja zaleci do was po drodze na krańce Okeanosa i siedzie przy waszym domu w postaci motyla, albo, jak wierzą Egipcyanie, krogulca. Inaczej przybyć nie mogę. A tymczasem, niech wam Sycylia zmieni się w ogród Hesperyd, niech polne, leśne i źródlane boginki sypią wam kwiaty po drodze, a po wszystkich akantach, w kolumnach waszego domu, niech gnieźdzą się białe gołębie“.

ROZDZIAŁ XXXI.

Jakoż Petroniusz nie mylił się. W dwa dni później młody Nerwa, zawsze mu życzliwy i oddany przysłał do Cumae swego wyzwolenca z wiadomościami o wszystkim, co działo się na dworze Cezara. Zguba Petroniusza była już postanowiona. Nazajutrz wieczór zamierzano wysłać do niego centuriona z rozkazem, aby zatrzymał się w Cumae i czekał tam dalszych rozporządzeń. Następny posłaniec, wyprawiony w kilka dni później, miał przynieść mu wyrok śmierci. Petroniusz wysłuchał wieści wyzwolenca z nie zmaconą pogodą, poczem rzekł: — Zaniesiesz swemu panu jedną z waz moich, którą ci wręczą przed drogą. Powiedz mu też ode mnie, że mu dziękuję z całej duszy, gdyż w ten sposób będę mógł uprzędzić wyrok. I nagle począł się śmiać, jak człowiek, który, wpadłszy na doskonałą myśl, cieszy się z góry jej wykonaniem. A tegoż jeszcze wieczora jego niewolnicy rozbiegli się, zapraszając wszystkich bawiących w Cumae augustianów i wszystkie augustianki na ucztę do wspaniałej willi arbitra elegancyi. On zaś sam pisał w godzinach popołudniowych w bibliotece, poczem wziął kąpiel, po której kazał się ubrać westplikom, i, świetny, strojny, podobny do bogów, zaszedł do triclinium, by rzucić okiem znawcy na przygotowania, a następnie do ogrodów, gdzie pacholeta i młode Greczynki z wysp wiły z róż wieńce do wieczery. Na twarzy jego nie było widać najmniejszej troski. Służba poznała tylko z tego, że ucztą będzie czemś nadzwyczajnem, iż rozkazał dać niezwykle nagrody tym, z których był zadowolony, zaś lekką chłostę wszystkim, których robota nie przypadła mu do smaku, lub którzy przedtem jeszcze zasłużyli na naganę i karę. Cytarzystom i śpiewakom polecił z góry hojnie zapłacić, a w końcu, siadłszy w ogrodzie pod bukiem, przez którego liście przedzierały się promienie słoneczne, pstrząc ziemię jasnemi plamami, wezwał do siebie Eunice. Przyszła, ubrana biało, z gałązką mirtu na włosach, cudna, jak Charyta, on zaś posadził ją koło siebie i, lekko dotknawszy palcami jej skroni, począł patrzeć na nią z takim rozmiłowaniem, z jakim znawca patrzy na boski posąg, który wyszedł z pod dłuta mistrza. — Eunice — rzekł do niej — czy ty wiesz, że oddawna już nie jesteś niewolnicą? A ona podniosła na niego swoje spokojne, błękitne, jak niebo oczy, i poczęła zaprzeczać ruchem głowy. — Jestem, panie, zawsze — odrzekła. — Lecz może tego nie wiesz — mówił dalej Petroniusz — że ta willa i ci niewolnicy, którzy tam wiją wieńce, i wszystko co w niej jest, i pola i stada, należą od dziś do ciebie. Eunice, usłyszawszy to, odsunęła się nagle od niego i głosem, w którym zabrzmiał nagły niepokój, zapytała: — Czemu mi to mówisz, panie? Następnie zbliżyła się znów i poczęła patrzeć na niego, mrugając z przerażenia oczyma. Po chwili twarz jej stała się blada, jak płótno, on zaś uśmiechał się ciągle, i wreszcie rzekł jedno tylko słowo: — Tak! Nastąpiła chwila milczenia, tylko lekki powiew poruszał liśćmi buku. Petroniusz mógł istotnie sądzić, że ma przed sobą posąg, wykuty z białego marmuru. — Eunice! — rzekł — chcę umrzeć pogodnie. A dziewczyna, spojrzawszy nań z

rozdzierającym uśmiechem, wyszeptła — Słucham cię, panie. Wieczorem goście, którzy bywali już nieraz na ucztach Petroniusza i wiedzieli, że w porównaniu z nimi nawet uczy Cezara wydają się nudne i barbarzyńskie, poczęli się schodzić tłumnie, nikomu zaś ani przez myśl nie przyszło, by to miał być „symposion“ ostatni. Wielu wiedziało wprawdzie, że nad wykwinnym arbitrem zawisły chmury niechęci Cezara, ale zdarzało się już to tyle razy i tyle razy Petroniusz umiał je rozproszyć jakimś jednym zręcznym postępkim, lub jednym śmiałym słowem, że naprawdę nikt nie przypuszczał, by miało mu grozić poważne niebezpieczeństwo. Jego wesoła twarz i zwykły niedbały uśmiech utwierdziły do reszty wszystkich w tem mniemaniu. Śliczna Eunice, której powiedział, że chce umrzeć pogodnie, a dla której każde jego słowo było jakby słowem wyroczni, miała w boskich rysach spokój zupełny i jakieś dziwne światła w źrenicach, które można było za radość poczytać. We drzwiach triclinium pacholeta z włosami w złotych siatkach kładły wieńce z róż na głowy przybyłych, ostrzegając ich zarazem wedle zwyczaju, by przestępowali próg prawą nogą. W sali rozchodził się lekki zapach fijołków; światła płonęły w różnokolorowych szklach aleksandryjskich. Przy ławach stały greckie dziewczątka, mające zwilżać woniami stopy gości. Pod ścianami cytryści i śpiewacy ateńscy czekali znaku swego chorowoda. Nakrycie stołu jaśniało przepychem, lecz przepych ów nie raził, nie ciążył nikomu i zdawał się sam przez się wykwitać. Wesołość i swoboda rozlewały się wraz z wonią fijołków po sali. Goście, wchodząc tu, czuli, że nie zawiśnie nad nimi ni przymus, ni groźba, jak to bywało u Cezara, gdzie niedość górne lub nawet niedość trafne pochwały śpiewu lub wierszy można było życiem przypłacić. Wraz też, na widok światła, bluszczowych kruż, win lodowaciejących w śniegowej pościeli i wyszukanych potraw, rozochociły się serca biesiadników. Rozmowy poczęły brzęczeć różnie, jak brzęczy rój pszczół nad okrytą kwiatami jabłonią. Czasem tylko przerywał je wybuch wesołego śmiechu, czasem szmer pochwał, czasem zbyt głośny pocałunek, złożony na białym ramieniu. Goście, pijąc wino, strącali z czasz po kilka kropel bogom nieśmiertelnym, by zjednać ich opiekę i przychyłność dla gospodarza. Nic to, że wielu nie wierzyło w bogów. Tak kazał obyczaj i przesąd. Petroniusz, leżąc obok Eunice, rozmawiał o nowinach rzymskich, o najnowszych rozwodach, o miłości, miłostkach, o wyścigach, o Spikulusie, który w ostatnich czasach wślawił się na arenie, i o najnowszych książkach, jakie ukazały się u Atractusa i Soziuszów. Strząsając wino, mówił, że strząsa tylko na cześć pani Cypryjskiej, która jest starszą i większą od wszystkich bogów, jedynie nieśmiertelną, trwałą, władnącą. Rozmowa jego była jak promień słońca, który coraz to inny przedmiot oświeca, lub jak letni powiew, który porusza kwiaty w ogrodzie. Wreszcie skinął na chorowoda, i na ten znak zabrzękły lekko cytry, młode zaś głosy ozwały się im do wtóru. Potem tancerki z Kos, rodaczki Eunice, poczęły migotać z pod przeźroczych osłon różowemi ciałami. W końcu egipski wróżbita począł przepowiadać gościom przyszłość z ruchu tęczowych dorad, zamkniętych w kryształowem naczyniu. Lecz, gdy już tych zabaw mieli do syta, Petroniusz uniósł się nieco na swem syryjskiem wezglówiu i rzekł zniechęcenia: — Przyjaciele! wybaczcie mi, że na ucztę z prośbą do was wystąpię: oto niech każdy przyjmie ode mnie w darze tę czarę, z której najpierwej strząsnął na cześć bogów i na pomyślność moją. Czary Petroniusza lśniły od złota, klejnotów i rzeźb mistrzowskich, więc, jakkolwiek rozdawanie podarków było rzeczą zwykłą w Rzymie, radość zalała serca biesiadników. Jedni poczęli mu dziękować i sławić go głośno; drudzy mówili, że nawet sam Jowisz nie uczył nigdy bogów w Olimpie darem podobnym; byli nakoniec i tacy, którzy wahali się z przyjęciem, tak rzecz przechodziła miarę powszednią. On zaś podniósł w górę krużę murreńską, do tęczy z blasku podobną i wprost bezcenną, poczem rzekł: — A oto jest ta, z której ulałem na cześć pani Cypryjskiej. Niechaj jej odtąd niczyje usta nie dotkną i niechaj żadne ręce na cześć innej bogini z niej nie uleją. I rzucił kosztowne naczynie na posypaną liliowymi kwiatami szafranu posadzkę, a gdy rozbiło się w drobne szczątki, rzekł,

widząc naokół zdumione spojrzenia: — Drodzy, weselcie się, zamiast zdumiewać. Starość, bezsilność, smutni to towarzysze ostatnich lat życia. Ale ja wam dam dobry przykład i dobrą radę: można, widzicie, na nich nie czekać, i, nim nadejdą, odejść dobrowolnie, jak ja odchodzę. — Co chcesz uczynić? — spytało z niepokojem kilka głosów. — Chcę się weselić, pić wino, słuchać muzyki, patrzeć na te oto boskie kształty, które obok mnie widzicie, a potem zasnąć z uwieńczoną głową. Już pożegnałem się z Cezarem, i czy chcecie posłuchać, com mu na pożegnanie napisał? To rzekłszy, wydobył z pod purpurowego wezgłowia list i począł czytać, co następuje: „Wiem, o Cezarze, że wyglądasz z niecierpliwością mego przybycia i że twoje wierne serce przyjaciela tęskni dniami i nocami za mną. Wiem, że obsypałbyś mnie darami, powierzył mi prefekturę pretoryi, a Tigellinowi kazał być tem, do czego stworzyli go bogowie, dozorcą mułów w tych twoich ziemiach, któreś po otruciu Domicyi odziedziczył. Wybacz mi jednak, bo oto przysięgam ci na Hades, a w nim na cienie twej matki, żony, brata i Seneki, że przybyć do ciebie nie mogę. Życie jest wielkim skarbem, mój drogi, jam zaś z owego skarbu umiał najcenniejsze wybierać klejnoty, lecz w życiu są także rzeczy, których już dłużej znieść nie potrafię. Och, nie myśl, proszę, że mnie zraziło to, iżeś zabił matkę, i żonę, i brata, iżeś spalił Rzym i wysłał do Erebu wszystkich uczciwych ludzi w twem państwie. Nie, mój prawnuku Chronosa. Śmierć jest udziałem ludzkiego pogłowia, po tobie zaś innych postępków nie było się można spodziewać. Ale kaleczyć sobie uszy jeszcze przez lata całe twoim śpiewem, widzieć twe domiciuszowskie cienkie nogi, miotane tańcem pyrrejskim, słuchać twej gry, twej deklamacyi i twoich poematów, biedny poeto z przedmieścia, oto co przewyższyło moje siły i wzbudziło do śmierci ochotę. Rzym zatyka uszy, słuchając ciebie, świat cię wyśmiewa, ja zaś dłużej już za ciebie płonąć się nie chcę, nie mogę. Wycie cerbera, mój miły, choćby do twego śpiewu podobne, mniej będzie dla mnie dotkliwe, bom nie był mu nigdy przyjacielem i za głos jego wstydzic się nie mam obowiązku. Bądź zdrów, lecz nie śpiewaj, zabijaj, lecz nie pisz wierszy, truj, lecz nie tańcz, podpalaj, lecz nie graj na cytrze, tego ci życzy i tę ostatnią przyjacielską radę posyła ci *Arbiter elegantiae*“. Biesiadnicy struchleli, wiedzieli bowiem, że, gdyby Nero państwo utracił, cios byłby dla niego mniej okrutnym. Zrozumieli też, że człowiek, który taki list napisał, musi umrzeć, a przytem ich samych obleciał strach blady, że takiego listu słuchali. Lecz Petroniusz rozśmiał się tak szczerym i wesołym śmiechem, jakby o najniewinniejszy żart chodziło, poczem powiódł oczyma po obecnych i ozwał się: — Weselcie się i odpędźcie daleko trwogę. Nikt nie potrzebuje się chwalić, że tego listu wysłuchał, ja zaś pochwalę się nim chyba Charonowi w chwili przeprawy. Poczem skinął na Greka-lekarza i wyciągnął doń ramię. Biegły Grek w mgnieniu oka przewiązał je złotą przepaską i otworzył żyłę na zgięciu ręki. Krew trysnęła na wezgłowiu i oblała Eunice, która, podparłszy głowę Petroniusza, pochyliła się nad nim i rzekła: — Panie, czyś ty myślał, że ja cię opuszczę? Gdyby bogowie chcieli mi dać nieśmiertelność, a Cezar władzę nad światem, poszłabym jeszcze za tobą. Petroniusz uśmiechnął się, podniósł się nieco, dotknął ustami jej ust i odpowiedział: — Pójdź ze mną. Potem zaś dodał: — Tyś mnie naprawdę kochała, boska moja!... A ona wyciągnęła ku lekarzowi swe różane ramię i po chwili krew jej poczęła się zlewać i łączyć z jego krwią. Lecz on dał znak chorowodowi, i znów ozwały się cytry i głosy. Śpiewano naprzód „*Harmodiosa*“, a potem zabrzmiała pieśń Anakreonta, w której poeta skarży się, że znalazł raz pod drzwiami zziębłe i zapłakane dziecko Afrodyty: zabrał je, ogrzał, wysuszył skrzydełka, a ono, niewdzięczne, przeszło mu za nagrodę serce swym grotem, i odtąd opuściła go spokojność... Oni zaś, wsparci o siebie, piękni, jak dwa bóstwa, słuchali, uśmiechając się i blednąc. Petroniusz, po skończonej pieśni, polecił roznosić dalej wino i potrawy, potem zaczął rozmawiać z siedzącymi w pobliżu biesiadnikami o rzeczach błahych, ale miłych, o jakich zwykle rozmawiano przy ucztach. Wreszcie przywołał Greka, by mu podwiązał na chwilę żyły, albowiem mówił, że morzy go sen i chciałby jeszcze oddać się

„Hypnosowi“, zanim Thanatos uspi go na zawsze. Jakoż usnął. Gdy się rozbudził, głowa dziewczyny leżała już, podobna do białego kwiatu, na jego piersiach. Wówczas oparł ją na wezgielcu, by się jej raz jeszcze przypatrzeć. Zaczem znowu rozwiązano mu żyły. Śpiewacy na jego skinienie zanucili nową pieśń Anakreonta, a cytry towarzyszyły im cicho, tak, aby słów nie zagłuszać. Petroniusz bladł coraz bardziej, gdy jednak ostatnie dźwięki umilkły, zwrócił się raz jeszcze do biesiadników i rzekł: — Przyjaciele, przyznajcie, że razem z nami ginie... Lecz nie mógł dokończyć; ramię jego objęło ostatnim ruchem Eunice, poczem głowa opadła mu na wezgielcu — i umarł. Biesiadnicy jednak, patrząc na te dwa białe ciała, podobne do cudnych posągów, zrozumieli dobrze, że z nimi razem ginie to, co jedynie jeszcze pozostało ich światu, to jest jego poezja i piękność.

EPILOG.

Początkowo bunt legii galijskich pod wodzą Windeksa nie zdawał się być zbyt groźnym. Cezar miał dopiero trzydziesty pierwszy rok życia i nikt nie śmiał się spodziewać, by świat wnet już miał być wolny od duszącej go zmory. Wspomniano, że wśród legii nieraz już, jeszcze za dawniejszych panowań, przychodziło do rozruchów, które jednak mijały, nie pociągając za sobą zmiany panowań. Tak za Tyberiusza Drusus uśmierzył bunt legii pannońskich a Germanikus nadreńskich. „Któżby zresztą — mówili ludzie — mógł objąć po Neronie panowanie, gdy wszyscy niemal potomkowie boskiego Augusta wyginęli za jego rządów?“ Inni, patrząc na kolosy, wyobrażające go jako Herkulesa, mimowoli wyobrażali sobie, że żadna siła takiej potęgi nie złamie. Byli i tacy, którzy, od czasu, jak wyjechał do Achai, tęsknili po nim, albowiem Helius i Polythetes, którym zostawił rządy Rzymu i Italii, rządili jeszcze krwawiej od niego. Nikt nie był pewny życia i mienia. Prawo przestało bronić. Zagasła godność ludzka i cnota, rozluźniły się węzły rodzinne, a znikczemniałe serca nie śmiały dopuścić nawet nadziei. Z Grecyi dochodziły echa o niesłychanych tryumfach Cezara, o tysiącach koron, które zdobył i tysiącach współzawodników, których pokonał. Świat wydawał się jedną orgią, krwawą i błazeńską, lecz zarazem wszczepiło się mniemanie, że przyszedł kres cnocie i rzeczom poważnym, że nadszedł czas tańca, muzyki, rozpusty, krwi, i że odtąd tak płynąć już musi życie. Sam Cezar, któremu bunt otwierał drogę do nowych łupiestw, niewiele się troszczył o zbuntowane legie i Windeksa, a nawet często radość swoją z tego powodu wypowiadał. Z Achai nie chciał też wyjeżdżać i dopiero, gdy Helius doniósł mu, że dalsza zwłoka może go o utratę państwa przyprowadzić, wyruszył do Neapolu. Tam znów grał i śpiewał, puszczając mimo uszu wieści o coraz groźniejszym przebiegu zdarzeń. Próżno Tigellinus tłumaczył mu, że dawne bunty legionów nie miały wodza, teraz zaś stoi na czele mąż, z dawnych królów akwitańskich pochodzący, a przytem wojownik sławny i doświadczony. „Tu — odpowiadał Neron — słuchają mnie Grecy, którzy sami jedni słuchać umieją i sami jedni godni są mego śpiewu“. Mówił, że pierwszym jego obowiązkiem jest sztuka i sława. Lecz, gdy wreszcie doszła go wieść, że Windeks ogłosił go lichym artystą, zerwał się i wyjechał do Rzymu. Rany, zadane mu przez Petroniusza, które zagoił pobyt w Grecyi, otwarły się w jego sercu na nowo i chciał u senatu szukać sprawiedliwości za krzywdę tak niesłychaną. Po drodze, ujrzawszy grupę, odlaną z brązu, przedstawiającą wojownika Galla, obalonego przez rzymskiego rycerza, przeczytał to za dobrą wróżbę i odtąd, jeśli wspominał zbuntowane legie i Windeksa, to jedynie dlatego, by się z nich naśmiewać. Wjazd jego do miasta zgasił wszystko, co dotąd widziano. Wjechał na tym samym wozie, na którym niegdyś August odbywał tryumf. Zburzono jeden łuk cyrku, by otworzyć wejście pochodowi. Senat, rycerze i nieprzejrzane tłumy wyległy na jego spotkanie. Mury drżały od okrzyków: „Witaj Auguście, witaj Herkulesie! witaj boski, jedyny, Olimpijski, Pythyjski, nieśmiertelny!“ Za nim niesiono zdobyte wieńce, nazwy miast, w których tryumfował i wypisane na tablicach imiona mistrzów, których pokonał. Nero sam był upojony i pytał ze wzruszeniem otaczających go augustianów: czem był tryumf Cezara przy jego tryumfie? Myśl, by

ktokolwiek ze śmiertelnych śmiał podnieść rękę na takiego mistrza-półboga, nie chciała mu się w głowie pomieścić. Czuł się istotnie Olimpijskim i przez to samo bezpiecznym. Zapał i szaleństwo tłumów podniecały szal jego własny. Jakoż mogło się wydawać w dniu tego tryumfu, że nietylko Cezar i miasto, ale świat cały stracił zmysły. Pod kwiatami i stosami wieńców nie umiał nikt dojrzeć przepaści. Tegoż jednak jeszcze wieczora kolumny i mury świątyń pokryły się napisami, w których wytykano zbrodnie Cezara, grozono mu bliską pomstą i wysmiewano go, jako artystę. Z ust do ust przechodziło zdanie: „Póty śpiewał, dopóki kogutów (gallos) nie zbudził“. Trwożne wieści poczęły obiegać miasto i rosły do potwornych rozmiarów. Niepokój ogarnął augustianów. Ludzie w niepewności, co przyszłość pokaże, nie śmieli wypowiadać życzeń nadziei, nie śmieli niemal czuć i myśleć. On zaś żył dalej tylko teatrem i muzyką. Zajmowały go nowo wynalezione instrumenta muzyczne i nowy organ wodny, z którym czyniono próby na Palatynie. W dziecienniałym i niezdolnym do jednej rady lub czynu umyśle wyobrażał sobie, iż daleko sięgające w przyszłość zamiary przedstawień i widowisk odwróca tem samym niebezpieczeństwo. Najbliżsi, widząc, że zamiast starać się o środki i wojsko, stara się jedynie o wyrażenia, trafnie malujące grozę, poczęli tracić głowy. Inni atoli mniemali, że tylko zagłusza siebie i drugich cytatami, mając w duszy trwogę i niepokój. Jakoż postęпки jego stały się gorączkowe. Codziennie tysiące innych zamiarów przelatywało mu przez głowę. Chwilami zrywał się, by przeciw niebezpieczeństwu wybieżeć, kazał pakować na wozy cytry i lutnie, zbroić młode niewolnice, jako amazonki, a zarazem ściągać legie ze Wschodu. Czasem znów myślał, że nie wojną, ale śpiewem skończy bunt galijskich legii. I uśmiechała mu się dusza do tego widowiska, które miało nastąpić po przejednaniu pieśnią żołnierzy. Oto legionieści otoczą go ze łzami w oczach, on zaś zanuci im epinicum, po którym złota epoka pocznie się dla niego i Rzymu. Czasem znów wołał o krew; czasem oświadczał, że poprzestanie na wielkorządztwie w Egipcie; wspominał wróżbitów, którzy przepowiadali mu panowanie w Jeruzalem, albo rozczulał się myślą, że jako wędrowny śpiewak, będzie zarabiał na chleb powszedni, a miasta i kraje uczczą w nim już nie Cezara, pana ziemskiego okręgu, ale pieśniarza, jakiego nie wydała dotąd ludzkość. I tak rzucał się, szalał, grał, śpiewał, zmieniał zamiary, zmieniał cytaty, zmieniał życie swoje i świata w jakiś sen niedorzeczny, fantastyczny i straszny zarazem, we wrzaskliwą hecę, złożoną z nadętych wyrażeń, lichych wierszy, jęków, łez i krwi, a tymczasem chmura na Zachodzie rosła i potężniała z dniem każdym. Miara była przebrana, błazeńska komedia miała się widocznie ku końcowi. Gdy wieści o Galbie i przyłączeniu się Hiszpanii do buntu doszły do jego uszu, wpadł w wściekłość i szal. Podrutzgotał czary, przewrócił stół przy uczcie i wydał rozkazy, których ni Helius, ni sam Tigellin nie śmieli wykonać. Wymordować Gallów, zamieszkałych w Rzymie, potem podpalić jeszcze raz miasto, wypuścić zwierzęta z arenariów, a stolicę przenieść do Aleksandryi, wydało mu się dziełem wielkiem, zdumiewającym i łatwym. Ale już dni wszechmocy jego minęły i nawet współnicy dawnych zbrodni poczęli nań patrzeć, jak na szaleńca. Śmierć Windeksa i niezgoda zbuntowanych legii zdawały się jednak znów przechylać szale na jego stronę. Już nowe uczty, nowe tryumfy i nowe wyroki zapowiedziane były w Rzymie, gdy pewnej nocy z obozu pretorianów przybył na spienionym koniu goniec, donosząc, że w samem mieście żołnierze podnieśli chorągiew buntu i okrzyknęli Galbę Cezarem. Cezar spał w chwili przybycia gońca, lecz zbudziwszy się, próżno wołał na straże przyboczne, czuwające nocami u drzwi komnat. W pałacu była już pustka. Niewolnicy tylko rabowali w odleglejszych zakątkach, co się naprędce zrabować dało. Lecz jego widok zestrzaszył ich, on zaś błąkał się samotny po domu, napełniając go okrzykami trwogi i rozpacz. Wreszcie jednak wyzwoleńcy: Faon, Spiritus i Epafrodyt, przybyli mu na ratunek. Chcieli, by uciekał, mówiąc, że niema chwili do stracenia, lecz on łudził się jeszcze. A gdyby, ubrany w żałobę, przemówił do senatu, czyż senat oparłby się jego łzom i wymowie? Gdyby użył całej sztuki krasomówczej, całej wymowy i

zdolności aktorskiej, czy ktokolwiek w świecie zdołałby się mu oprzeć? Czyby mu nie dano choć prefektury Egiptu? A oni, przywykli do pochlebstw, nie śmieli jeszcze wprost zaprzeczyć, ostrzegli go tylko, że nim zdoła dojść do Forum, lud rozerwie go na szczątki i zagrozili, że jeśli natychmiast na koń nie siądzie i oni opuszczą go także. Faon ofiarował mu schronienie w swej willi, leżącej za bramą Nomentańską. Po chwili siedli na koń i okrywszy głowy płaszczami, pomknęli ku krańcom miasta. Noc bladła. Na ulicach panował już jednak ruch, zwiastujący nadzwyczajność chwili. Żołnierze to pojedynczo, to małymi oddziałami rozsypali się po mieście. Niedaleko już obozu koń Cezara uskokzył nagle w bok na widok trupa. Wówczas płaszcz zsunął się z głowy jeźdźca i żołnierz, który w tej samej chwili przesunął się obok niego, poznał władcę, lecz zmieszany niespodzianem spotkaniem, oddał mu pokłon wojskowy. Przejeżdżając koło obozu pretorianów, usłyszeli grzmiące okrzyki na cześć Galby. Nero zrozumiał наконец, że zbliża się godzina śmierci. Opanował go przestrach i wyrzuty sumienia. Mówił, że widzi przed sobą ciemność w kształcie czarnej chmury, z chmury zaś owej wychylają się ku niemu twarze, w których poznaje matkę, żonę i brata. Zęby jego kłapały z przerażenia, a jednak komediancka jego dusza znajdowała jakby jakiś urok w grozie chwili. Być wszechwładnym panem ziemi i stracić wszystko, wydawało mu się szczytem tragedii. I wierny sobie, grał pierwszą w niej rolę do końca. Opanowała go gorączka cytat i namiętna chęć, by obecni zapamiętali je dla potomności. Chwilami mówił, że chce umrzeć i wołał o Spikulusa, który zabijał najzręczniejszemu ze wszystkich gladyatorów. Chwilami deklamował. „Matka, małżonka, ojciec na śmierć mnie wzywają!“ Błyski nadziei budziły się w nim jednak od czasu do czasu, czcze i dziecinne. Wiedział, że idzie śmierć i nie wierzył w nią zarazem. Bramę Nomentańską zastali otwartą. Jadąc dalej, przesunęli się koło Ostrianum, gdzie nauczał i chrzczył Piotr. O świecie byli w willi Faona. Tam wyzwoleńcy nie ukrywali mu już dłużej, że czas umrzeć, więc kazał kopać dla siebie dół i legł na ziemi, by mogli wziąć miarę dokładną. Lecz na widok wyrzucanej ziemi, ogarnął go strach. Tłusta twarz jego pobladła, a na czole osiadły mu, nakształt kropel rannej rosy, krople potu. Począł zwłóczyć. Głosem zarazem drżącym i aktorskim oświadczył, że chwila jeszcze nie nadeszła, poczem znów ją cytował. W końcu prosił, by go spalono. „Jakiż artysta ginie!“ powtarzał jakby ze zdumieniem. Tymczasem przybył goniec Faona z doniesieniem, że senat wydał już wyrok i że „parricida“ ma być ukarany wedle dawnego zwyczaju. — Jakiż to zwyczaj? — spytał zbielełymi ustami Nero. — Szyję ci chwycą w widły i zasmagają cię na śmierć, a ciało wrzucą w Tyber! — odrzekł szorstko Epafrodyt. On zaś roztworzył płaszcz na piersiach. — A więc czas! — rzekł, spojrzawszy w niebo. I jeszcze raz powtórzył: — Jakiż artysta ginie! W tej chwili rozległ się tentent koni. To centurion na czele żołnierzy przybywał po głowę Ahenobarba. — Śpiesz się! — zawołali wyzwoleńcy. Nero przyłożył nóż do szyi, lecz kłół się tylko dłonią bojaźliwą i widać było, że nigdy nie ośmieli się zagłębić ostrza. Wówczas niespodzianie Epafrodyt popchnął mu rękę i nóż wszedł aż po głownię, a jemu oczy wyszły na wierzch, straszne, ogromne, przerażone. — Przynoszę ci życie! — zawołał, wchodząc, centurion. — Zapóźno — odrzekł chrapliwym głosem Nero. Poczem dodał: — Oto jest wierność! W mgnieniu oka śmierć poczęła obejmować mu głowę. Krew z grubego karku bluzgała czarnym strumieniem na ogrodowe kwiaty. Nogi jego poczęły kopać ziemię — i skołał. Wierna Akte obwinęła go nazajutrz w kosztowne tkaniny i spaliła na przepelnionym wonnościami stosie. I tak minął Nero, jak mija wichur, burza, pożar, wojna lub mór, a bazylika Piotra panuje dotąd z wyżyn watykańskich miastu i światu. Wedle zaś dawnej bramy Kapeńskiej wznosi się dzisiaj maleńka kapliczka z zatartym nieco napisem: Quo vadis, Domine?

KONIEC TOMU TRZECIEGO I OSTATNIEGO.